R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES-PICTA.COM

Colour Chart #13

Centimetres Inches

Blue Cyan Green Yellow

Red Magenta White 3/Color Black

SKI

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812—1838).

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1826)

Z PORTRETU JANUAREGO SUCHODOLSKIEGO.

Dz. 94, 2222,

JÓZEF KALLENBACH

XI

ZYGMUNT KRASIŃSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LAT MŁODYCH

(1812—1838)

jest 1 egz/1

TOM PIERWSZY

dop 1/1

LWÓW 1904
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SP.

92(Krasiński) : 884

BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego
17581/1

WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELL. W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

Str.

Słowo Wstępne VII

Księga Pierwsza. Dom i Szkoła.

I. U Kolebki 3

II. Dom Rodzinny 14

III. Dziecko 29

IV. Student Uniwersytetu 52

V. Sąd sejmowy 65

VI. Zajście w Uniwersytecie 75

VII. Twórczość okresu warszawskiego 83

Księga Druga. Rok w Genewie 125

Księga Trzecia. Rok cierpienia.

I. We Włoszech 205

II. Powstanie Listopadowe 219

III. Drugi pobyt w Genewie 231

IV. Po upadku powstania 274

V. Twórczość 298

VI. Ostatnie miesiące w Genewie. Wyjazd. . . . 318

Objaśnienia i uzupełnienia 331

Dodatki: Wizerunki: *a)* Zygmunta Krasińskiego z r. 1826. *b)* Jana Krasińskiego. *c)* Wincentego Krasińskiego. *d)* Maryi z Radziwiłłów Krasińskiej.

Rodowód Zygmunta Krasińskiego.

SŁOWO WSTĘPNE.

Przed dwunastu laty ukazało się duże dzieło Prof. Stanisława Tarnowskiego o Zygmuncie Krasińskim. Od tego czasu przybyło sporo cennego, nowego materyału, który pozwala dziś dokładniej wniknąć w dzieje duchowe autora „Nieboskiej“ i „Irydyona“. Dzięki inicyatywie wnuka Poety, Adama hr. Krasińskiego, ukazały się dwa tomy korespondencyi z Henrykiem Reeve, rzucającej bardzo wiele światła na młode lata Zygmunta Krasińskiego; wyszły młodociane, francuskie utwory z okresu genewskiego, ukazały się fragmenty „Wandy“, rzecz o „Trójcy w Bogu i człowieku“. Wreszcie nowe krytyczne wydanie tekstu „Pism Zygmunta Krasińskiego“, dokonane po kilkuletnich studyach przez p. Tad. Piniego, pozwala objąć całokształt myśli twórczej piewcy „Psalmów“. Nadszedł słowem czas, w którym można się było pokusić o skreślenie życiorysu Z. Krasińskiego na podstawie nowej, obszerniejszej. Przewidywał to autor najlepszej książki o Krasińskim w tych słowach: „Uzupełnienie i prostowanie dzisiejszych wiadomości i sądów, niech będzie zadaniem tych, co kiedyś będą ich mieli więcej i lepsze, z nowych źródeł powzięte“.

Wszystkie te względy wpłynęły na spełnienie dawno żywionego zamiaru napisania monografii, opartej na nowych podstawach, nikomu dotychczas nieznanych. Oprócz bowiem już wymienionych, drukiem ogłoszonych, nowych materyałów do biografii, mógł autor oprzeć się na niewydanych jeszcze listach poety do ojca, jenerała Winc. Krasińskiego do syna, a także na listach Danielewicza do jenerała. Wnuk Zygmunta Krasińskiego pozwolił korzystać z tej prawdziwej kopalni najcenniejszego do budowy dzieła kruszcu. Rzec śmiało można, że nie byłoby tej książki, gdyby nie było tych nowych o Poecie wiadomości, które wnuk jego nam uprzystępnił i przybliżył. Zamieszczone w naszej książce wyjątki z nieznanych listów dadzą tylko przedsmak tego, czem się kiedyś stanie wydawnictwo całej korespondencyi Zygmunta Krasińskiego z ojcem, zamierzone w przyszłości. Miejmy nadzieję, że nim nadejdzie setna rocznica urodzin twórcy „Nieboskiej“ i „Psalmów“, otrzyma społeczeństwo nasze z rąk wnuka poety kilka tomów tych niezrównanych listów, które — bez względu na mnóstwo cennych dla biografii szczegółów — same w sobie zawierają klejnoty spostrzeżeń historycznych, filozoficznych i moralnych, w oprawie przepysznego słowa polskiego.

Z listów tych mogliśmy tu podać w krótkich urywkach to tylko, co rzucało światło na życie poety i rozwój jego ducha. Musieliśmy się oprzeć silnej pokusie podawania stron całych ciekawej i świetnej korespondencyi, nie chcąc zwiększać objętości tomów. A przecież nawet te wyjątki z listów podawaliśmy nieraz z wahaniem i po dokładnej tylko rozwadze. Przecho-

dziliśmy te same obawy, które miał przed dwudziestu sześciu laty Prof. St. Tarnowski, kiedy ogłaszał po raz pierwszy wyjątki z listów do Adama Sołtana, dotyczące miłości poety z lat 1835—7. Zdaje nam się, że jakkolwiek słuszne dawniejsze skrupuły dziś nie mają już racyi bytu, to piękne usprawiedliwienie, które wówczas Profesorowi Tarnowskiemu pozwoliło ogłosić nieznane wyjątki korespondencyi z Sołtanem, może obecnie i do nas się zastosować:

„Nie dla prostej ciekawości, ani z zamiłowania pogrobowego plotkarstwa o zmarłych wielkich ludziach, szperania w każdem ich uczuciu i wyciągania gwałtem na wierzch wszystkiego, co się kryło w ich sercu lub myśli, ani przez zimną tylko admiracyę dla pięknie wyrażającego się cierpienia, przytoczyliśmy te wyjątki. Dla takich tylko względów nie bylibyśmy się poważyli wydobyć ich z milczenia... Ale zdawało nam się, że wyjątki niektóre z tych właśnie listów Krasińskiego ogłosić można, a nawet trzeba, bo one lepiej, niż cokolwiek innego, odpowiedzieć mogą zwycięsko na pewne o nim mylne i niekorzystne wyobrażenia“. (Przegląd Polski, styczeń 1877 r., str. 84).

Obfitość listów z lat 1830—1840 jest po prostu przygniatająca. Samo rozpatrzenie się w mnóstwie materyału i wydobycie odpowiedniej dla monografii treści zabrało już wiele czasu. Wprowadzenie zaś tej cennej treści do wątku opowiadania, na pozór łatwe, okazało się także w wykonaniu zawiłe. A tak dość wcześnie opatrzył się autor, że dzieło o całem życiu Zygmunta Krasińskiego mogłoby się stać dzie-

łem całego życia i że na teraz z wielu względów trzeba poprzestać na obrazie tylko lat młodych.

Jest rok, będący w życiu Zygmunta Krasińskiego granicą dwu wielkich okresów: to rok dwudziesty szósty jego życia, rok 1838. On sam miał to przeświadczenie, że wtenczas kończyła się jego młodość, że rozpocząć się miał wiek męski. My zaś dzisiaj, obejmując całość jego niedługiego żywota, widzimy, że istotnie rok 1838 zamyka i zewnętrznie i wewnętrznie jeden okres, dla siebie całość tworzący. W roku tym bowiem ustają zwolna zamierające już od niejakiego czasu stosunki z panią Joanną, a z samym nowym rokiem 1839 występuje na scenę życia jego pani Delfina. Urywa się z rokiem 1838 korespondencya długoletnia z Reevem, a rozpoczyna się żywa wymiana filozoficznych myśli z Augustem Cieszkowskim. Ustają utwory, odznaczające się zewnętrznie nawet pewną stylową maniera, jak „Pokusa“ i „Noc letnia“, a zwolna przysposabia się grunt dla „Myśli Ligenzy“ i „Przedświtu“.

Słowem i w życiu i w poezyi rozpoczyna się z rokiem 1839-ym nowy okres, vita nuova; do tego więc roku tylko dochodzi nasza praca i u wrót jego staje. Dla opracowania bowiem dalszych lat brak nam jeszcze robót wstępnych: nie mogliśmy przerobić olbrzymiego materyału, zawartego w nieznanej korespondencyi z lat 1840—1859, sam zaś tylko obraz filozoficznych studyów poety, wykazanie powolnej a stałej i tak ciekawej ewolucyi myśli jego teleologicznych i historyozoficznych, wymaga lat całych wyłącznej pracy w spokoju ducha, o który nie zawsze łatwo, albo raczej zawsze trudno. — Ktokolwiek przystąpi do opra-

cowania owych świetnych lat „Przedświtu“ i „Psalmów“ będzie miał wielkie zadanie, nie tyle estetyczne co filozoficzne przed sobą, będzie musiał sięgnąć do samych przepastnych głębin długoletnich dociekań wielkiego myśliciela, nietylko rozważyć zależność Krasińskiego od prądów filozofii ówczesnej, ale także wykazać istotną jego oryginalność.

Nie przesądzając przyszłości, dajemy tylko to, na co nas dziś stać: opowieść o latach młodych poety i o twórczości lat owych. Dajemy okres pełen niepokoju i udręczeń, prawdziwą „Sturm- und Drang-periode“ tego niezwykłego życia. Staraliśmy się zawsze, by poeta sam siebie objaśniał swemi listami i dlatego tyle ich dosłownych daliśmy wyjątków. Gdzie tych listów nie było, tam zastępowaliśmy je korespondencyą osób najbliżej poety stojących, a więc jenerała Krasińskiego, Danielewicza lub Reeva. Światła tu nigdy nie może być za wiele. Nie znamy drugiej natury duchowej równie trudnej do zrozumienia, równie pełnej pozornych sprzeczności, płynących z organizmu przeczulonego i znękanego samem brzemieniem bolesnych przejść, któremi los obarczył jedyne dziecko nerwowej i schorowanej matki. Do różnych smutków jego duszy zaliczyć trzeba w pierwszym rzędzie tę niepokojącą świadomość wewnętrznego rozłamu swego ducha na dwie istoty: kontrolującą i kontrolowaną, z których druga jakby wyzywa pierwszą i na przekór jej czyni, a za to pokutuje potem ciężko i łzami rozbroić się stara nieubłaganego sędziego własnych czynów.

Kto zna poezyę Krasińskiego, ten widzi jednę tylko

stronę świątyni ducha jego i ani się domyślać może wspaniałej rozmaitości i rozmiarów całego gmachu.

Poezya jego jest wzniosłą pieśnią jego życia, ale życie samo, poznane w szczegółach, zawiera ogrom nauki dla nas i jest równie cenną jak poezya spuścizną. Cierpienia jego i męki serdeczne powinnyby nas i uczyć i krzepić; polskie-to bowiem cierpienia i polskie męki. Najłatwiej chyba trafić im do przekonań i charakterów naszych. Te wewnętrzne zgryzoty i szarpania się są chyba polskiej duszy najłatwiej dostępne; a tam, gdzie Włoch lub Anglik widziałby tylko gorączkę nerwów chorych lub przesadę poety — my odczuwamy ból i rozpacz patryoty. Stan uczuć jego jest naszym stanem, cierpienia jego nie przestarzały się, bo w nas żyją, rozłam ducha, co jemu życie zatruwał i nasze dziś nęka i dlatego on nam tak bliski, tak bliźni, tak zawsze współczesny.

* * *

Autor spełnia miły obowiązek, dziękując serdecznie tym osobom, które ułatwiły mu pracę, lub ozdobiły ją cennymi przydatkami. Ile ta książka zawdzięcza Adamowi hr. Krasińskiemu rzekło się wyżej. Dr Józef Bieliński wzbogacił rozdział monografii, dotyczący czasów uniwersyteckich, ważnymi dokumentami, które oświetlają znane zajścia po pogrzebie senatora Bielińskiego. Dr Józef Korzeniowski dał nam kopie ciekawych listów jenerała Krasińskiego do swego Dziada. Liczne a nieznane wizerunki ożywią tę książkę i wprowadzą czytelnika w świat ówczesny. J. O. księżnej

Maryi Lubomirskiej i hrabiance Natalii Potockiej zawdzięczamy tak interesujące, nieznane i ważne portrety pani Bobrowej. Wszystkim wymienionym osobom składa autor jak najgorętsze podziękowanie.

* * *

W końcu zwracamy uwagę łaskawych czytelników na szczegół następujący: ze względów księgarskich format tej monografii zastosować się musiał do formatu „Pism Zygmunta Krasińskiego“. Skutkiem tego liczne uwagi i objaśnienia, znajdujące się w rękopisie u dołu, trzeba było przenieść na koniec tomów, aby nie skracać kolumn tekstu, nie wielkich z powodu formatu. Ma to swoje dobre strony, bo nie rozrywa uwagi czytelnika i daje mu jednolity wątek opowiadania. Ale wiele osób nie zechce już sobie zadać trudu odczytywania końcowych uwag i objaśnień. Otóż zwracam osobną uwagę czytelnika na te dopełnienia końcowe. Znajdzie on tam nieraz dokumenty w całości, których druk w samym tekście byłby zepsuł proporcye; znajdzie ważne wyjątki z pamiętnika jenerała Winc. Krasińskiego z r. 1831, urywki z listów młodocianego autora „Grobu Reichstalów“ do pani Załuskiej i t. d.

* * *

Pracę tę rozpoczął autor przed laty na ziemi szwajcarskiej, prowadził ją nad Wisłą, kończył nad Niemnem. Nie jedno zawdzięcza ona powiewom krzepiącym gór alpejskich, tchnieniom mazowieckich równin,

szumom sosen litewskich. Tak się złożyło, że różne czynniki wpłynęły na coraz bliższe, lepsze poznanie Zygmunta Krasińskiego, który po ojcu przejął mazowieckie i podolskie tradycye, po matce litewską zadumę i wytrwanie; — a z Helwecyą wiązały go na resztę życia jasne wspomnienia tej młodości, co wykuła żywot cały.

W Warszawie, dnia 29 listopada 1903 r.

KSIĘGA PIERWSZA.

DOM I SZKOŁA.

I.

U Kolebki.

Zygmunt Krasiński urodził się w Paryżu, 19 lutego 1812 r., przed samą wiosną, »pamiętną wiosną wojny, wiosną urodzaju«, kiedy to serca polskie ogarnęło »jakieś dziwne przeczucie jak przed świata końcem, jakieś oczekiwanie tęskne i radosne«.

Napoleon był u zenitu swej sławy i potęgi...

Kiedy Jenerałowa Krasińska tuliła w Paryżu do piersi jedyne, wątłe dziecię, Wincenty Krasiński dążył na czele dzielnych swych szwoleżerów z wielką armią, w tym istnym pochodzie ludów różnojęzycznych, posłusznych skinieniu Wodza, »boga Wojny«:

»Wszyscy na Północ!
Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny,
Wojna! Wojna!«

Odrywał się Wincenty Krasiński od kolebki długo wyczekiwanego dziedzica imienia i sławy, zadawał gwałt sercu, posłuszny głosowi obowiązku, który wołał go na pole nowych, ostatnich już może bitew,

mających uwieńczyć trudy lat tylu, ziścić nadzieje Polaka przelewającego krew przy boku Napoleona — dla Polski! Szła wiosna, »piękna mara senna«,

... kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!

* * *

Księstwo Warszawskie, będące dla Napoleona wielkim magazynem wojskowym, wygodną placówką wobec Prus i Rosyi, dla Polaków było kosztowną szkołą polityczno-administracyjną, zarodem nowego życia, które nie dawało się zagłuszyć i zadeptać najgorszym, najcięższym nawet warunkom.

Rosły serca na widok pułków polskich, ale do radości zaraz sączyła się gorycz niepewności i obaw. Z powodu przeglądu wojsk i budowania twierdzy w Modlinie, pisze Niemcewicz 18 sierpnia 1811 r.: »Jeżeli widok tak pięknego wojska ojczystego zachwycał radością, stawały łzy smutku patrząc na 17.000 biednego pospólstwa, zegnanego o mil kilkadziesiąt dla robienia koło tej twierdzy; bodajby tylko utwierdziła tę nieszczęśliwą Polskę, której nawet imienia dziś wymówić nie wolno. Nie uwierzą następcy nasi w przyszłych wiekach, ile pracy, trudów, wydatków, a co najczulsza, ile upokorzenia nie pewność, ale błędna tylko nadzieja odzyskania ojczyzny kosztuje«.

Zamęt w pojęciach już wtedy był znaczny. Po rewii na obiedzie jenerał Zajączek w imieniu swojem

i wojska całego wnosi zdrowie Napoleona, przysięgając mu wierność dozgonną... Tenże Zajączek będzie w kilka lat potem Namiestnikiem Kongresowego Królestwa, jako wierny poddany Aleksandra I. Ale nie o to tu chodzi, tylko o fakt, że wojsko polskie przysięga wierność Napoleonowi, »jak gdybyśmy — woła zgorszony Niemcewicz — nie mieli monarchy, jak gdybyśmy byli tylko departamentem francuskim«.

»Nie jesteśmy uważani, jak tylko składem rekrutów wojska francuskiego, do tego punktu, że bez żadnej ceremonii wszystkie pułki polskie legii nadwiślańskiej, będące w Hiszpanii, dostały numera francuskie i do wojska francuskiego wcielone«.

Z wrodzoną otwartością mówił przytem tegoż roku Napoleon do księcia Józefa Poniatowskiego: »Wskrzeszenie Polski nie wchodzi w plan mój. Podział jej jest największą niegodziwością, ale ja nie mogę się robić Don Quixotem, bym krzywdy niewinnych wetował«.

Z początkiem r. 1812 notuje Niemcewicz w swym pamiętniku: »Zastanowiwszy się nad niedostatkiem, trudnościami i niepewnością losów i nadziei naszych, dziwić się i uwielbiać potrzeba nad tym duchem gorliwości i wytrwania, który pomimo tylu zrażeń panuje we wszystkich. Trudnimy się edukacyą, lubo profesorów niema z czego płacić. Szkoła lekarska, z gorliwości tylko założona w Warszawie, szkoła prawa, biblioteki, ogrody botaniczne, Towarzystwo literackie, rolnicze, kadeci etc., wszystko albo z małym funduszem, albo darmo utrzymywane i pracujące.

Jeśli Polska powstanie, niech przynajmniej wie potomność nasza, cośmy wytrzymywali, jakeśmy pasowali się dla niej«.

Wojsko pochłaniało wszystkie zasoby biednego Księstwa Warszawskiego. Lista cywilna z początkiem 1812 r. od sześciu miesięcy płatna nie była. Natomiast wyczekiwania polityczne doszły do obłędu niemal. W chwili zbrojnego gotowania się Rosyi i Napoleona, uczucia narodowe łudziły się po obu stronach Niemna: tu zapewniano, że Napoleon wskrzesi Polskę, rozgromiwszy Moskwę; tam Aleksander I za pośrednictwem Adama Czartoryskiego ujmował sobie szlachtę uprzejmością swą i dobrocią. Szale były o tyle nierówne, że za Napoleonem przemawiały świetne tryumfy, urok niezwyciężonego wodza, tu zaś wspomnienia Maciejowic, rzezi Pragi i tylu gwałtów sromotnych. Napoleon i Aleksander starali się prześcignąć w obietnicach dla Polski, a poczciwy Niemcewicz w marcu 1812 r. zapisał te charakterystyczne naiwnością słowa: »Tak długo, z tylu ofiarami, nie mogliśmy się doczekać jednej Polski, — wkrótce ujrzymy ich może dwie, daj Boże, bez wojny domowej«. Niestety, los srodze zadrwił sobie z nadziei Niemcewicza. Wojna 1812 r. upamiętniła się pożogą i zniszczeniem ziemi polskiej i litewskiej, a z ran tych nie prędko się kraj wyleczył. Już w maju, zanim wojsko Napoleona wyszło z Polski, pisze rozczarowany pobytem armii »przyjacielskiej« Niemcewicz: »Z prywatnemi obelgami szerzą się coraz bardziej publiczne krzywdy: ... Wszędzie lud poopuszczał wioski i w lasach się pokrył; po-

zdzierane strzechy z dachów, nie widać, jak gołą ziemię i niebo. I cóż, że się ziemia wypleni, byleby królestwa podbijać! Bodajby i tak drogą ceną dokupić się ojczyzny, bodajby cierpienia pokoleń dzisiejszych zapewnić mogły szczęście następnych«. Wojska francuskie, saskie, westfalskie dopuszczały się bezkarnych gwałtów na polskiej ziemi: »któż wyliczy rabunki! — a tak naród wszędzie krew swą za Napoleona lejący, doznaje krzywd i obelg, jak gdyby podłem i bezbronnem był żydowstwem!« (Niemcewicz, 323). Za całą pociechę miał nam starczyć dowcip króla westfalskiego: »Mon armée n'est pas une armée de demoiselles«.

Wychowaniec Stanisławowskiej epoki, nie łatwo zapalny Niemcewicz, pisze po wybuchach radości powszechnej w czerwcu 1812 r.: »Wrodzona jest w sercu człowieka kochać ziemię ojczystą: nie dziw, że ją kochają mieszkańcy łagodnego nieba, obfitej ziemi, że kochają ojczyznę świetną i poważną. Lecz kochać ją pod cierpkiem niebem, ubogą, wycieńczoną, obdartą, bez rozkoszy, same tylko w udziale mającą cierpienia, Polak tylko jeden może«.

Napoleon umiał nadzieje nasze rozniecić, uczucia rozpalić do najwyższego stopnia zapału i uniesienia. Odchodzono niemal od zmysłów z radości w Warszawie w czerwcu 1812 r.

Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
»Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!«

»...*Tłum gwałtownych poruszeń mięsza myśli porządek*: ciężko jest tłumaczyć się w chwili, gdzie

wszystkie zdolności duszy są tylko czuciem samem. ...Sejm nasz zwołanym był na dzień 26 czerwca. Groźna postawa Europy, przytomność w stronach naszych, na czele niezliczonych Narodów, pierwszego Bohatyra i najpotężniejszego w świecie monarchy, troskliwość obywatelska od tylu lat w każdym ważnem zdarzeniu rokująca pomyślność dla rozszarpanej ojczyzny — wzniecały w sercach wszystkich najtkliwsze oczekiwania«.

A jenerał Wincenty Krasiński w listach do żony, pisanych z obozów, z zapałem, nie dającym przystępu najmniejszemu zwątpieniu, wołał, jakby echo pieśni legionów: »...będziem Polakami« — »Zygmuntek może bydź pewien, że będzie Polakiem«. Ta pewność dodawała sił jenerałowi w trudach wojennych, które w przekonaniu jego już są bliskie końca. Dnia 11 września sądzi, że pokój będzie rychło zawarty. Nadchodzi zdobycie Moskwy, jej pożar, który W. Krasiński uważa jako karę Bożą za rzeź Pragi.

Katastrofa okropnego odwrotu w zimie 1812 r. nie złamała energii i przywiązania Krasińskiego do Napoleona. Zapewne doszły go wtedy wyrzekania matki, starościny Opinogórskiej, których echem stawała się jenerałowa. Odpisuje Wincenty Krasiński żonie ze Smoleńska 10 listopada 1812 r. w tych krótkich, stanowczych, a godnych zapamiętania słowach: »Si je servais Alexandre, je le servirais fidèlement. Mais une fois servant l'Empereur, il n'ya ni privation ni perte, ni sacrifice que je ne ferais pour lui... *Elle* (matka) *est russe — moi polonais*«. — Uwydatnia się tu cały kontrast przekonań

ówczesnych politycznych, dzielących matkę od syna. Takie to były czasy, w których dusze polskie nie wiedziały, skąd wyglądać ratunku, a przecież serca biły zgodnie dla ojczyzny tylko. Książę Józef Poniatowski i książę Adam Czartoryski jednego przecież pragnęli, a w różnych znaleźli się obozach...

Jenerał Krasiński walczy wytrwale w r. 1813 pod Lützen, Bautzen, Dreznem i Lipskiem, coraz więcej rozkochany w synku, którego dorywczo tylko widuje i napieścić się nim nie może.

Zreorganizowawszy pułk swój, gotował się jenerał do kampanii 1814 r., którą wśród zimy rozpoczął, dzień i noc na deszczu, w błocie, o głodzie, bijąc się z wściekłością rozpaczy. W bitwie pod Brienne walczy przeciw Rosyanom nie dobywając szabli, z harapnikiem w ręku.

Wiadomy koniec tej kampanii. Z Fontainebleau 6 kwietnia 1814 r. pisał W. Krasiński do żony, przebywającej w Paryżu: »Role nasze skończone. Nigdy nie widziałem nic równie wielkiego, jak Cesarz... Jedź do Polski — amnestya już dana, urządź nasze sprawy, ja przyjadę do Warszawy. Nie chcę już nigdzie służyć, chcę wrócić spokojnie i używać prawdziwego szczęścia przy Twym boku. — Moja duszo, kominek, ciepłe piwko...« Pisał to z głęboką boleścią w sercu, po rozbiciu najświetniejszych nadziei, w których łączył Polskę z Napoleonem.

Napoleon resztki wojska polskiego powierzył jego dowództwu, zaszczycając go listem chlubnym dla tych dzielnych wojowników, którzy od Madrytu do Moskwy szli za nim w przekonaniu, że lejąc krew swą, wzbudzą

życie nowe nad Wisłą i Niemnem. Teraz resztki tej armii, z upoważnienia Aleksandra I, odprowadził Wincenty Krasiński w lecie 1814 r. do Warszawy. Powrót ten był od granic ziem polskich niemal tryumfalnym pochodem. Z zapałem przyjęła Warszawa jenerała Krasińskiego, wracającego na czele dzielnych Krakusów. Ale czekały go bolesne chwile: rozwiązanie i rozpuszczenie pułku szwoleżerów, z którymi lat tyle przebył. Dokonał tego jenerał 25 lutego 1815 r. Z rozdartem sercem pisał do żony: »Już się stało... już niema szwoleżerów! Co ma dusza cierpi, tego nikt nie wyrazi...« Wyjechał wtedy W. Krasiński z Warszawy na Podole do matki swej, zrazu zapewne z zamiarem zaniechania karyery wojskowej i poświęcenia się interesom rodzinnym, nadwątlonym długą nieobecnością w kraju.

Polska rozpoczynała nowy okres bytu politycznego. Konstytucya Królestwa zapowiadała autonomię wcale znaczną, sejm, własne wojsko, wolność prasy, wolność osobistą, wolność sumienia i druku, równość w obliczu prawa, niezależność sądów, odpowiedzialność ministrów, współudział narodu w ustawodawstwie przez sejm, złożony z senatu i izby poselskiej, unią personalną z Rosyą i t .d. W tych warunkach mogłaby się była przynajmniej część dawnej Rzpltej rozwijać normalnie, gdyby konstytucya była istotnie w zupełności dochowaną. Niestety, nieprzyjazne prądy partyi wojskowej rosyjskiej oddziałały wcześnie na Aleksandra I, który już dawnego zaufania do Adama Czartoryskiego nie miał, a z opinią szowinistów rosyjskich, niechętnem okiem na swobody kon-

stytucyjne Polski patrzących, liczyć się musiał. Od samego początku był wielki cierń, kolący i jątrzący, w nowym organizmie Królestwa Polskiego: był to wielki książę Konstanty, brat cesarza Aleksandra I, który nie troszczył się o żadną konstytucyę, ale rządził despotycznie wojskiem polskiem. Konstytucya nie dawała mu prawa do mieszania się w rządy cywilne — ale człowiek ten, przywykły do stosunków służalczych w Rosyi, nie dbał o żadne przepisy prawne. Bystrem okiem dostrzegł odrazu Adam Czartoryski niebezpieczeństwo, grożące konstytucyjnemu życiu Królestwa ze strony w. ks. Konstantego; wszystkie jego listy w tej sprawie do cesarza Aleksandra pozostały jednak bez skutku.

»Pod pozorem utrzymania karności w wojsku polskiem, chciał je uczynić bezwolnem narzędziem swojem, a domagając się ślepego i bezwarunkowego posłuszeństwa, jakiem się odznaczali sołdaci moskiewscy, karał samowolnie, srodze i w hańbiący sposób żołnierzy i oficerów różnych stopni za najlżejsze przekroczenia dziwacznych częstokroć przepisów i rozkazów swoich«..

Nadaremnie *już w październiku* 1815 r. przestrzegał ks. Adam Czartoryski, w proroczych niemal słowach, Aleksandra I. Już w kilka miesięcy potem doszło do tego, że oficerzy w wojsku polskiem, nie mogąc znieść upokorzeń i zniewag, doznanych od w. księcia, a nie chcąc gwałtownemi czynami narażać bytu Królestwa, kończyli samobójstwem.

Ks. Adam Czartoryski, donosząc o tem Aleksandrowi I, załączał mu, jako smutny alegat, list jednego

z takich samobójców, adjutanta jenerała Krasińskiego, Wilczka. W tym liście pisał Wilczek przed samobójstwem do siostry swej, między innemi, co następuje:

»Widzę towarzyszów broni i rodaków zhańbionych, chwałę ojców naszych podeptaną, prawa najlepszego z władców gwałcone codziennie. Słowem, zostawiam kraj mój biedny bez obrony, wydany na zachcianki jednego człowieka. Ileż to razy omal nie stałem się zabójcą! Jakiż to byłby cios dla ciebie siostro! Tak! chciałem się poświęcić, aby wyswobodzić nas z więzów haniebnych, które nas gnębią na przekór woli najlepszego z Monarchów. Zważywszy jednak, że skutki nie odpowiedziałyby może mym nadziejom, wolę pozbawić się życia, które mogłoby się stać fatalnem dla mej ojczyzny«.

Czartoryski dodawał w swym liście do Aleksandra I, że Wilczek był młodzieńcem powszechnie lubianym i żołnierzem odznaczającym się (*très distingué*). Mówiąc zaś o ogólnej sytuacyi w kraju, donosił w tymże liście:

»Wogóle panuje tu od niejakiego czasu jeśli nie wzburzenie, to wielkie przygnębienie. Jest to choroba moralna bardzo zaraźliwa, której przedewszystkiem ulegają uczciwi ludzie. Lękają się oni, by rząd nasz, zawsze tu źle traktowany (rudoyé), któremu zagrażają ciągle oszczerstwa w Petersburgu, rząd, krępowany w swobodzie dyskusyi (!) i działania, z niewielu środkami, by działać z pożytkiem, z jeszcze mniejszemi środkami, aby co dobre utrzymać, nie stracił energii i kredytu, wreszcie uszanowania dla samego siebie. Wiem dobrze, że W. Cesarska Mość nie tego sobie życzy; ale mimo Jej woli, która działa ze zbyt znacznej odległości, sprawy zdają się przybierać kierunek dla kraju niepomyślny«.

Gdy tak się działo z samego początku Królestwa Kongresowego, czyż można się dziwić, że w 15 lat potem przyszło do rewolucyi listopadowej! Czy raczej

nie dziwić się cierpliwości polskiej, która tylu ofiarami, rzucanemi na pastwę molochowi — Konstantemu, starała się okupić szczątki swobody politycznej?

Co mógł myśleć o tych samobójstwach wojskowych jenerał Krasiński? Co myślał na wieść o samobójstwie oficera napoleońskiego, swego adjutanta, Wilczka? Czy nie burzyła się w nim krew polska, czy też obojętnie znosił zniewagi wojsku polskiemu wyrządzane? Jasnej odpowiedzi nie dają nam ani zwierzenia poufne jego przyjaciół, ani listy. Spróbujmy wniknąć w charakter i pobudki działania tego człowieka, który był ojcem ukochanym Zygmunta Krasińskiego.

BIBLIOTEKA NARODOWA

II.

Dom Rodzinny.

Ród Krasińskich, herbu Korwin, na Mazowszu już w XIV wieku znany i znaczny, zakwitnął zwłaszcza w wieku XVII. Stanisław Krasiński, wojewoda Płocki († 1617 r.), pięciu synów zostawił; z tych najstarszy Ludwik († około 1640 r.), starosta płocki, kasztelan ciechanowski, dał początek linii, z której wyszli Adam, Biskup Kamieniecki i Michał, marszałek konfederacyi Barskiej, podkomorzy rożański, który »cały majątek Oyczyznie poświęcił«. Michała synem młodszym był Jan, późniejszy starosta opinogórski, wychowany przez stryja swego, biskupa Adama. »Gdy wrócił z wojażu do Opola, do swey ciotki, z Krasińskich Xiężney Lubomirskiey, kasztelanowey krakowskiey, znalazł projekt, przez familię zrobiony, ożenienia go z Panną Czacką, Podczaszego koronnego córką; co później przyszło do skutku«. Z małżeństwa tego ze siostrą Tadeusza Czackiego przyszedł na świat w Boremlu (woj. wołyńskie) d. 30 stycznia 1783 r. Wincenty, wśród następujących okoliczności: »Moia matka w ciąży będąc, dawnym zwyczaiem jechała, by rok nowy 1783 zacząć w domu rodzicielskim. Wywrócona

w Boremlu, dobrach swey stryienki, musiała się u niey zatrzymać, a po 30 kilku dniach cierpień na świat mnie wydała; zawieziony iak nie żywe dziecko do kościoła wtenczas; gdy moy oyciec dowiedziawszy się o chorobie i przypadku żony, przemieniał konie w Boremlu, gdzie usłyszawszy o nieszczęściu, iakie mą matkę spotkało, 30 stycznia udał się do kościoła, mnie pod szubę wziął, a uczuwszy ieszcze trochę życia, szukał mamki, którą znalazłszy, mnie oddał iey; trzy dni oczu nie otworzyłem i piersi nie przyiąłem, a do siedmiu lat słabowity, nie miałem żadney nadziei życia. Wyratowany od oyca, byłem iego ulubieńcem. Nadto wiele matkę kosztowałem, bym nie zaznał cierpkich przypomnień, a nieraz był przyczyną między małżeństwem utarczek. Może więcej do oyca przywiązany, nie zasłużyłem na to przywiązanie, które móy brat młodszy posiadał. Lecz gdy w dzieciństwie śmierć go zabrała, nigdym nie potrafił obiąć iego mieysca w sercu matki«. (*Ze wspomnień Jenerała Krasińskiego).*

Jan Krasiński, starosta opinogórski, rotmistrz Kawaleryi Narodowej, zbyt młodo umarł, z wielką szkodą dla kraju, który potrzebował wówczas jak najwięcej ludzi gorącego serca i najczystszych zasad. Wybrany posłem województwa podolskiego na pamiętny sejm 1788 r., który dzięki jego właśnie inicyatywie przedłużył się i urósł na czteroletni, odznaczył się śmiałem i stanowczem wystąpieniem jako obrońca swobód i godności coraz bardziej przez ościenne dwory poniewieranej Rzeczypospolitej. Z mów jego Kościuszkowski już wieje duch i wielkiej rewo-

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

lucyi przeczucie. Sporo tam śmiałości i energii, wielka znajomość praw i dziejów naszych, a w stylu, obok tradycyj najlepszych krasomówstwa polskiego, jakaś rzymska jędrność i tacytowska krótkość wysłowienia. Spokój sumienia, czystość pobudek, gorąca i rozumna miłość ojczyzny cechują te przemówienia sejmowe Jana Krasińskiego. Mało kto wówczas z taką pewnością, że mu kłamu nie zadadzą, mógł mówić: »interes ani prywata mną nie władają, bo od żadnej nie pensyonowany Potencyi, obstając przy winnych obowiązkach Oyczyznie, utracić zysku tego, lękać się nie mam przyczyny«. Słów też nie przebierał, owszem silnych i prostych używać lubił; ciętość ironicznych zwrotów wobec króla, a w stronę »Nayiaśnieyszey Imperatorowey Jeymości«, musiała dojąć do żywego. Ze słowami umiał Jan Krasiński łączyć czyny. W dobrach swoich dziedzicznych, w Dunajowcach na Podolu, zniósł za życia poddaństwo, a w testamencie z d. 20 lutego 1790 r. czyn ten szlachetny w prostych stwierdził słowach:

»Jako zaś zniosłem poddaństwo osobiste w dobrach moich dziedzicznych Dunajowcach, tak i teraz toż samo potwierdzam«.

Śmierć przedwczesna (1 marca r. 1790) tak dzielnego posła na sejm i zasłużonego krajowi obywatela była niepowetowaną stratą dla jedynego dziecka, siedmioletniego Wincentego: »W siedmiu leciech straciwszy oyca, któren zaczął bydź iednym naywiększy wpływ w kraiu maiącym, chociaż dopiero 33 rok życia liczył, straciłem i opiekuna i wszystko razem. Guwernerów odprawiono (!),

JAN KRASIŃSKI

STAROSTA OPINOGÓRSKI, POSEŁ NA SEJM CZTEROLETNI,

DZIAD ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

mnie na wieś zawieziono. Pamiętam, jak przez sen i dobroć oyca i dbanie o mnie i prezenta, jakie on dawał, i to, żem u twey matki bywał, żeśmy się żoną i mężem nazywali, że mnie Królowi prezentowano, żem w mundurze officerskim chodził, żem z oycem ieździł, po wielkich salach bywał w dziecinnych latach...«. Jedynakiem zajęła się matka, która, jak już słyszeliśmy, dla różnych powodów własnego dziecka nie lubiła. Była to ciekawa postać surowej staropolskiej pani.

Starościna Opinogórska nie odznaczała się wdziękiem niewieścim. Rysami przypominała znakomitego brata swego, Tadeusza Czackiego, ale męska jego piękność tu jakby w karykaturze się odbiła: małe, przenikliwe, wąsko oprawione i złośliwie zmrużone oczy, przedzielał nos długi, bardzo długi, zwieszający się nad ustami, skrzywionemi w brzydki grymas. Twarz ta musiała dziwnie razić i jeszcze się brzydszą wydawać przy pięknem, szczeropolskiem obliczu małżonka jej, Jana Krasińskiego. Starościna Opinogórska była postrachem rządców swych, rezydentów, ekonomów i domowników. Ludzie dorośli, nawet wojskowi, najchętniej kryli się przed nią; służba drżała. Niewiasta to była dziwnego autoramentu, niesłychanej powagi, despotycznego usposobienia, wielkiego skąpstwa. Obiegał o niej następujący czterowiersz:

Nie ładna, lecz rozumna,
Grzeczna — ale dumna,
Wolność broni ustami:
Chce być równą, lecz z królami.

Jedyny syn rygoru nie znosił. Częste były z matką

nieporozumienia. Pobyt w domu był dla syna przykrym nieraz; z rodzicielskiego domu do krewnych i pod ich opiekę się uciekał.

Z biegiem lat przybywało matce rzeczywistych lub urojonych powodów do niezadowolenia z syna. Młodziutki dwudziestoletni Wincenty ożenił się rychło, ale wśród okoliczności, nie miłych dla matki; pojął pannę z możnego rodu, bogatą, ale starszą od siebie, brzydką, a więc wyglądać mogło, że ożenił się dla majątku. Tą panną bogatą była księżniczka Radziwiłłówna Marya, sierota, wychowująca się przy ojczymie, marszałku Małachowskim, który dbał bardzo o polskość księżniczki. W liście z Knyszyna z d. 19 czerwca 1792 r. pisze St. Małachowski do wychowanicy swej: »nie opuszczam pisać do Wść Panny w oddaniu Jey responsn, a tym zachęcić Jey do pisania listów po polsku, lubo dla Niey być ma z trudnością; lepiey użyć iey teraz, jak potym, gdy konieczność wypadać będzie, bo nikt temu wierzyć nie będzie, aby Polka po polsku pisać nie umiała. Przeto życzę W. Pannie pisywać do mnie; tym wprawisz się w polskie listów pisanie«.

Panna zrazu uważała małżeństwo to za rzecz niemożliwą, trochę śmieszną; przyszłego męża nazywała w listach chłopczykiem. Ujęta zapewne pięknością i wdziękiem »chłopczyka«, oddała mu rękę bez trudności i przykrości.

Ślub odbył się we Lwowie d. 12 września 1803 r.; miał zatem wówczas Wincenty Krasiński zaledwie lat 20. Przystojny, smukły, zgrabny i ugrzeczniony, powszechnie się podobał. Wyjechał z żoną za granicę,

w Paryżu poznał pierwszego konsula; niebawem uledz miał wszechmocnemu czarowi cesarza Francuzów. Żądny działania, zawiązał w Warszawie tajne patryotyczne towarzystwo »Przyjaciół Ojczyzny«, które jednak »dla komerażów i intryg osobistych« spełzło na niczem.

Wincenty Krasiński, w oczekiwaniu lepszych czasów, odjechał z żoną na Podole. Tutaj pożycie wspólne ze starością opinogórską nie zapowiadało się najlepiej. Matce małżeństwo to nie było miłe. Syn, ożeniwszy się dla majątku z panną starszą od siebie, spadał niżej w opinii matki.

Nie brakło wreszcie starościnie opinogórskiej jeszcze jednego powodu do niezadowolenia z syna. Wincenty Krasiński na wieść o wkroczeniu Napoleona do Wielkopolski, pospieszył do Poznania i ofiarował swe służby cesarzowi Francuzów, mile od niego przyjęte. Matka nie oceniła uczuć patryotycznych syna, który w zwycięzcy Prus i Austryi przewidywał niedalekiego pogromcę Rosyi i wskrzesiciela Polski. Niewiasta w innych wychowana zasadach, nie cierpiała rewolucyi francuskiej i jej naturalnego syna, Napoleona. Czy niechęć ta była wynikiem wpływu emigrantów francuskich, licznych wówczas w kraju naszym legitymistów, czy na dnie jej był instykt narodowy, nie wierzący Napoleonowi, ten sam instykt, który trzymał zdala od Napoleona Kościuszkę i Adama Czartoryskiego — trudno dziś wiedzieć; to pewna, że starościna opinogórska uważała za zgorszenie i wstyd, aby potomek senator-

skiego rodu szedł w służbę wojskową pod komendę »uzurpatora i parweniusza«, Bonapartego.

Wincenty Krasiński znalazł jednak w wojsku napoleońskiem to, czego pragnął: ujście dla energii młodzieńczej, rycerskiej, dalej niezależność, oddalenie od ogniska domowego, które skutkiem tak niefortunnego zbiegu okoliczności nie zapowiadało wiele radości. Od r. 1806 do 1814 trwał wiernie Wincenty Krasiński przy boku Napoleona, zdobywając rany, rangi, tytuły i sławę dzielnego wojownika. Przywiązanie do Napoleona było tak silne, że nawet groźba wydziedziczenia przez matkę nie zdołała ani na chwilę zachwiać wierności jenerała dla cesarza Francuzów.

W Paryżu, gdzie stale jenerałowa W. Krasińska przebywała, przyszedł na świat d. 19 lutego 1812 r. długo z upragnieniem pożądany syn, który na chrzcie św. otrzymał imiona: Napoleon Stanisław Adam Feliks Zygmunt. Była to najradośniejsza chwila w życiu małżeńskiem jenerała. Od lat tylu wyczekiwanego dziedzica fortuny i sławy serdecznie, namiętnie ukochał Wincenty Krasiński.

Pułk jego zajmował zimowe kwatery w Chantilly. »Skoro tylko małżonka jego do sił wróciła, przeniosła się z Paryża do miejsca pobytu męża. Urodzenie syna pułkownika powitał radośnie pułk cały, który swego dowódcę otaczał miłością i zaufaniem. Drobne niemowlę stało się ulubionem pułku dziecięciem i nieraz wiarusy, okryci bliznami i zaszczytnemi oznakami męstwa, brali go na ręce, pieścili się z nim i bawili«. Dziecięcą pamięcią nie zapamiętał jednak Zy-

gmunt ani osoby Napoleona, ani dni jego chwały i potęgi.

Ojciec z daleka, w obozach pod Wilnem, Możajskiem, przy łunie pożaru Moskwy drżał o zdrowie dziecka swego, niepokoił się o żonę, wątłą z natury, skłonną do melancholii i przywidzeń. Czule karcił ją w listach, że poddaje się myślom czarnym, że egzaltacya i wyobraźnia rozbujała, lubująca się w myślach ponurych, może skwasić jej życie i ich pożycie, błaga ją, by nie myślała o śmierci, by się bawiła na koncertach i balach. Wypytuje się w każdym liście o »Napoleonka«, bo tak wówczas zwali rodzice jedynaka, zapowiada, że za powrotem »zje go« z pieszczot.

W Witebsku marzy o matce i dziecku. Widzi jej drobną postać, jak z malutkim »Napoleonkiem« przechadza się po lesie w Chantilly, a w Moskwie snuje plany o wychowaniu jedynaka i lęka się, by go pieszczotami nie popsuto.

Z listów tych, pisanych dorywczo w obozach i przemarszach, przebija się czuły ojciec i dobry mąż. Wierzymy najchętniej, że po rozstaniu się z Napoleonem w r. 1814 jenerał Krasiński niczego więcej nie pragnął, jak spokojnego, cichego ogniska domowego. W całem jego usposobieniu nie możemy się dopatrzeć ani źdźbła czysto wojskowych upodobań, które cechują zwykłego rębajłę (»Haudegen«). Owszem, na dnie charakteru jego leżało zamiłowanie spokoju i tych »Muz«, które milkną wśród szczęku oręża. W czasach wojennych skupuje czy to w Paryżu, czy w Madrycie rzadkie księgi i rękopisy, uczęszcza do

bibliotek hiszpańskich, francuskich i w. i. i spędza w nich godziny całe. Oto przykład charakterystyczny. W końcu sierpnia 1812 r. w Smoleńsku ma kwaterę przy cesarzu Napoleonie; ale dowiaduje się, że jenerał Zajączek dostał złe mieszkanie; ustępuje mu więc swego pokoju, sam przenosi się do biblioteki. Znajduje tam jakieś stare rękopisy polskie i zamiast spać, zaczyna je czytać i część nocy spędza na czytaniu. Jakże w tem niepodobny do innych jenerałów napoleońskich!

Umysł to był wyższy, dążący do kształcenia się, pragnący uzupełnić braki dorywczej i niekompletnej za lat szkolnych nauki. Do pióra miał pociąg od dawna. Już podczas kampanii hiszpańskiej zamierzał napisać dla żony »Rzut oka na Hiszpanię« i obszerny plan dzieła w liście jej posyłał. Czytał niezmiernie wiele, a gdy w pierwszych latach Królestwa Kongresowego upragnionej doczekał się ciszy, stał się jednym z najpilniejszych i najgorliwszych członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Ale w trzydziestym trzecim roku życia trudno zamknąć się choćby nawet w najpiękniejszym pałacu i skazać się na dobrowolną bezczynność. W tych latach ambicya, chęć odznaczenia się w każdym człowieku przemaga. Młody, rwący się do życia jenerał poszedł za przykładem innych towarzyszów broni, wstąpił do służby w wojsku polskiem Królestwa, pomimo zapewnień, dawanych żonie w chwili bolesnej rozstania z Napoleonem, że pragnie tylko ciepłego piwa i kominka. W r. 1818 mianowany jenerał-adjutantem cesarza Aleksandra I, trudne ma stano-

wisko wobec w. ks. Konstantego, który nie cierpiał w wojsku polskiem wspomnień napoleońskich, tak drogich sercu i pamięci W. Krasińskiego. Krew musiała się w nim burzyć na każdorazowy fakt bezczeszczenia publicznie przed frontem oficerów napoleońskich. Samobójstwo kapitana Wilczka, tak bliskiego i wspomnieniami hiszpańskiemi i stanowiskiem służbowem, dotknęło najboleśniej najczulszych strun jenerała. Ale ciężkie rozczarowanie po upadku Napoleona, którego gwieździe tak ślepo zaufał W. Krasiński, nauczyło go zimno i trzeźwo patrzeć na sprawy publiczne. Sama powściągliwość szlachetna Wilczka, który wolał siebie życia pozbawić, niż gwałtownym postępkiem naruszyć świeży byt Królestwa — była przykładem, jak się hamować trzeba, znosić wiele, aby ocalić jeszcze więcej. Jenerał Krasiński zaczął »politykować« z w. ks. Konstantym, starał się rozbrajać go dowcipnemi słówkami, jednak nie uniknął zatargów z nim i zajść przykrych. Chronił się wówczas w domowe zacisze i krzepił widokiem dziecka, w którem widział przyszłego powiernika najgorętszych uczuć i pragnień.

Konstantego tyranie, okrucieństwa i dziwactwa dzikie znoszono dla miłości kraju, w nadziei niedalekiej, lepszej przyszłości. Aleksander I nieraz w rozmowach poufnych z Adamem Czartoryskim i z prezesem senatu Zamojskim przyrzekał, że do Królestwa przyłączy Litwę, wzywał do spokoju i ufności, sam się łudził i w najlepszej wierze łudził naród.

Wincenty Krasiński, mianowany senatorem-wojewodą, otwierał sejm pogodny 1818 r., jako jego mar-

szałek. Był wtedy u zenitu popularności i twórczości. Jako mówca sejmowy nie mógł się mierzyć z ojcem swoim, nie miał jego łatwości wysłowienia, ani staropolskiego toku słowa; przecież po ojcu wziął współczucie dla uboższych. Na sesyi z d. 2 kwietnia 1818 r., gdy omawiano sprawę rozgraniczeń własności ziemiańskich, w te słowa przemówił:

»Nie od możnych i majętnych tylko jesteście wybrani: liczniejszy rzęd uboższych obywateli ufnością Was zaszczycił. Oni tąż samą ręką bronią oyczystą władali, którą kray bogacą i Was żywią. Ich dzieci płakać na Was będą, ieźli ze źle zrozumianego oporu zostawicie ciężary, obarczycie ich prawnictwem i zostawicie podnietę pieniactwu, które ostatni potrzebom domowym wydziera zasiłek«.

Jako autor nie odznaczał się gładkością stylu i poprawnością form; zadziwia natomiast i zastanawia w ojcu Zygmunta Krasińskiego zamiłowanie w wyrazach niezwykłych, złożonych: »piękność *własnotwórcza*, opowiadali *przedłużnie*, *wszystkopoświęcenie*, piorun *siedmiogórny*, *rozjadłe* złorzeczenia, *księgoskłady* i t. p.

Zostawszy członkiem król. Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie (»czynnym« d. 6 lutego 1820 r.), wygłasza różne mowy pochwalne, interesuje się żywo pracami Towarzystwa, składa mu liczne dary w rzadkich rękopisach, księgach i wykopaliskach.

Pałac, niegdyś Czapskich i po nich przez jenerałową odziedziczony, zapełniał Wincenty Krasiński kosztownemi meblami, zdobił staremi portretami przodków. Zebrał piękną i bogatą zbrojownię, o bi-

bliotece nie zapomniał, do której stare dzieła zbierał, nowe w ozdobnych wydaniach sprowadzał. Zaczął prowadzić życie przystojne, wystawne.

Była w nim tradycyjna żyłka polskiego pana, lubiącego przepych, gościnnego, żądnego popularności. Dla popularności posuwał też gościnność jak najdalej. »Święcone« wówczas bywało może najobfitsze w domu jenerała. »Cała niemal publiczność warszawska aż do aktorów teatralnych, miała w niem udział«. Krasiński bowiem (zaznacza Kaj. Koźmian), zaniedbywał często możniejszych, a za popularnością ubiegać się i opinię wszystkich klas jednać sobie lubił. Powagą nie raził, a uprzejmością pociągał«.

Grunt duszy był dobry; ojciec Zygmunta usposobienia był wesołego, żartami umiał rozbrajać nawet hypochondryą żony, żartować potrafił także z siebie. Kajetan Koźmian zaznacza w swych pamiętnikach, że jenerał Krasiński, »nawet dotknięty czasem w swoją powagę, w swoje małe próżności, w arystokracyę, umiał się sam z siebie śmiać i żartobliwość żartobliwością pokrywał«.

W jednym z licznych listów do żony swej dał jenerał Krasiński następującą własną charakterystykę, która dobrze go maluje; światła i cienie są tu hojnie nagromadzone:

»Kiedy się zastanawiam nad sobą, znajduję, że daję się unieść sercu memu, albo *pierwszemu porywowi*, bez rozmysłu w chwili decyzyi, *upór zaś potem nie pozwala mi zmienić postanowienia.*

Natura dała mi wszystko, aby mnie uszczęśliwić, a ja nie umiałem z jej darów skorzystać. Odziedzi-

czyłem piękne imię, jestem bogatym, przystojnym, umysł mam żywy, górny, śmiały i szlachetny, pełen ambicyi, ale bez zawiści; lubię naukę, ale bez trudu; chcę być bogatym, a jestem rozrzutnym; nie jestem bogobojnym, a nie lubię bezbożnych; jestem libertynem, a szanuję moralność; jestem trzeźwym, a lubię zabawić się; rad się podobam, a umiem boczyć się; szanuję płeć piękną, a złe mam o niej wyobrażenie; lubię wykwintne towarzystwo — a nie cierpię przymusu. Dumny jestem i żądny popularności, chciwy pochwał, *a nic sobie nie robię z opinii.* Radbym być prawie doskonałym, a miary żadnej zachować nie umiem. Widzisz z tych szczegółów, że zastanawiam się nad sobą, a to już jest krokiem naprzód, by się stać lepszym. Powtarzam sobie codziennie z Pascalem: »Kim jesteś? skąd idziesz? dokąd idziesz?«

(Z Illingen 22 kwietnia 1809 r.).

Tę charakterystykę należy mieć w pamięci, kiedy się zechce wniknąć w pobudki politycznego działania jenerała w latach późniejszych.

Szczęśliwe miał usposobienie jenerał, a zapewne i duży zasób stoicznej rezygnacyi, kiedy mógł być wesołym nawet we własnym domu, zamieszkałym przez matkę i żonę, dwie panie, które mało miały wspólnego między sobą, chyba to jedno, że każda na swój sposób nękała jenerała. Starościnę opinogórską już znamy. O jenerałowej słów kilka teraz powiedzieć trzeba.

Niewielka, rysów nieregularnych, oczu dużych, pięknych i inteligentnych, cery schorowanej, była matka Zygmunta wątłego zdrowia, a usposobienia melancho-

JENERAŁ WINCENTY KRASIŃSKI
OJCIEC ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

licznego. Złe zdrowie oddziaływało najniekorzystniej na humor, który był zmienny, kapryśny, dla otoczenia męczący. Serce było najlepsze, głowa pełna urojonych zmartwień, podejrzeń, przywidzeń, któremi trapiła męża z bliska i z daleka. Z głębi Rosyi musiał ją jenerał w r. 1812 uspokajać i błagać, aby nie poddawała się egzaltacyi i hypochondryi: »Widząc wszystko w czarnych kolorach, możesz tylko skwasić nasze życie«. A z Moskwy w liście do niej każe ucałować jedynaka i życzy mu: »niech nie ma twojej głowy, ale wszystkie twe przymioty«. Życzenie to nie spełniło się. Zygmunt Krasiński odziedziczył po matce organizm delikatny, nerwowy, przeczulony, skłonność do melancholii, urojeń i przywidzeń, ale także serce najlepsze, umysł lotny, dowcip niepospolity. Rzadkie miała jenerałowa chwile wesołości, ale wtedy jaśniała rozumem i oczytaniem. Rodzaj inteligencyi był lotniejszy, niż u jenerała, który czuł dobrze wyższość żony w niektórych względach i uważał ją za swego ducha opiekuńczego. Dochowały się jej albumy, w których zapisywała sobie ustępy piękniejsze z przeczytanych książek francuskich, polskich lub angielskich; znać stąd bogactwo i rozmaitość lektury. Rysowała dobrze; zachowała się jej kompozycya (gouache), przedstawiająca scenę rycerską powitania czy pożegnania młodego wojaka u progu zamku gotyckiego. W gotyku empire'owym była widocznie rozmiłowana, gdyż mamy różne próby rysunku kominków gotyckich itp. Jenerał przejął od żony to zamiłowanie w pseudo-gotyku; średniowieczne tło pierwszych powiastek Zygmunta może mieć swe

źródło, między innemi, także w opowiadaniach i upodobaniach artystycznych matki.

Pod cienką powłoką francuszczyzny i wielkoświatowych manier kryła się polska dusza i poetyckie uczucie. Syn przyznawał jej potem nawet dar proroczy. »Wychowana w szkole cnoty, bo w domu ś. p. Stan:sława Małachowskiego, liczne w swem życiu dała dowody, jak mocno utkwił w jej sercu przykład prawdziwego przywiązania do ojczyzny tego nieśmiertelnego męża, Marszałka Czteroletniego Sejmu. Najlepsza Polka, była także najlepszą obywatelką, matką, żoną i przyjaciółką«. Szczerze religijna, sama wpoiła w dziecko ukochane zasady wiary, a w ostatnie lata, z powodu wzrastającej choroby nerwów, usunęła się całkiem w domowe zacisze, oddana wyłącznie wychowaniu dziecka. Najgorętszem jej pragnieniem, wyrażonem w testamencie, było, aby dziecko jej wyrosło na dobrego chrześcijanina i dobrego Polaka.

III.

Dziecko.

»Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie tarzasz się po trawnikach, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z...

Zkąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronie twoje obarczone myślami?...

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: Jakie śliczne dziecię!«

NIEBOSKA KOMEDYA.

Dzieckiem już zapowiadał Zygmunt Krasiński niezwykłe zdolności i dziewczęcą niemal czułość. Gdy czasem zapadał na zdrowiu, odpowiadał na pytanie, że go bardzo boli, że nie trzeba o tem matce mówić, bo ona i tak już jest cierpiącą. W piątym roku życia polubił i przywiązał się mocno do znacznie starszej księżniczki Sapieżanki i powtarzał, że z nikim innym się nie ożeni, tylko z nią. Dowiedział się wkrótce, że księżniczka zaręczona i że niebawem wyjdzie za mąż. Zapłakał na tę wiadomość Zygmuś, a kiedy go

pocieszano, że znajdzie kiedyś żonę podobną do Sapieżanki, wykrzyknął w uniesieniu: »O nie, drugiej Anny być nie może na ziemi, tak jak dwóch słońc na niebie niema!« Porównanie obiecujące i niezwykłe u 5-letniego dziecka.

Kiedy go ktoś z gości żartując nazywał ulicznikiem, hultajkiem itp., pobiegł Zygmunt ze skargą do matki. »A cóżeś mu odpowiedział?« zapytała matka. »Zamilkłem — odrzekł — bom nie chciał być grubianinem«. Ten rys grzeczności, jak najdalej idącej, zachowa Zygmunt na zawsze. Przytomności umysłu dowodzi fakt, że przed Aleksandrem I, który zażądał, aby mu wiersz jaki wygłosił, zaczął z ogniem, śmiało patrząc w oczy carowi, deklamować ustęp z Woltera »śmierć Cezara« od słów: »Tu dors Brutus«.

Cesarzowej matce, która w r. 1819 zwiedzała Warszawę, na jej zapytanie, czy chce być jej rycerzem obrońcą? odpowiedział dowcipnie i wymijająco: »Non, Votre Majesté, n'a pas besoin de défenseurs n'ayant point d'ennemis«.

Zdolności musiały być zdumiewające, skoro zdecydowali się rodzice na bardzo wczesne rozpoczęcie nauk jedynaka. Emigrantka francuska, pani Delahaye, była boną małego Zygmunta, uczyła go początków języka francuskiego, którym zapewne i rodzice często rozmawiali. Już w 8-ym roku życia pisuje Zygmunt Krasiński francuskie listy do matki i do ojca. Równocześnie kształci się w polskim języku pod kierunkiem nie byle kogo. Józef Korzeniowski obejmuje kierunek nauk i dozór domowy. Taki nauczyciel mógł się zainteresować takim uczniem. Dochowała

MARYA Z RADZIWIŁŁÓW KRASIŃSKA

MATKA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

się korespondencya jenerała z Korzeniowskim (bez (bliższej daty, ale przed końcem maja 1820 r.), rzucająca wiele światła na te początki nauk niezwykłego dziecka.

Na zapytanie jenerała (może z Opinogóry), jak się ma Zygmunt, który jakąś lekką chorobę przechodził, odpowiada J. Korzeniowski, że »Zygmuntek zdrów już zupełnie« i że z ucznia jest zadowolony. »Uczy się dziecię dobrze i z ochotą, przytem wesołe, je dobrze, skacze jeszcze lepiej, śpiewa z arfą, brzęczy pałaszem, rezonuje (nb. sam na sam ze mną) o polityce i moralności (!!); słowem mam tu w miniaturze trubadura i rycerza, aktora i filozofa«.

Uradowany jenerał odpisuje:

»Nie mogłeś mi większego ukontentowania zrobić, iak mi pisząc i donosząc o małym. Jego pierwiastkowo rozwiiaiące się przymioty, lub nadzieia cnoty, są iedyną pociechą, mogę powiedzieć, skołatanego i ściśnionego tylu politycznemi i domowemi przygodami serca i nim ieszcze me uczucia się odżywiaią«.

Jenerał ocenił wartość Korzeniowskiego jako człowieka i jako poety. Zwie się w listach jego »dobrym przyjacielem«, prosi o jego wiersze; wielka szkoda, że jenerałowa (mająca już tylko niespełna dwa lata życia) z powodu postępów choroby swej stawała się coraz przykrzejszą dla domowników, czem zrażony Korzeniowski, postanowił się usunąć. Widział to jenerał i lękał się stracić takiego nauczyciela. Zaradzić stanowi rzeczy nie mógł. Spodziewał się czas jakiś, że może Korzeniowski będzie wyrozumialszy na ka-

prysy chorej osoby. Otrzymał jeszcze jeden od niego list, bardzo ciekawy i charakterystyczny:

»JW. Jenerale! Raz dopełniając rozkazu JWJenerała, drugi raz dogadzając samemu sobie, pisałem o Zygmuntku. W rzeczy samey miło patrzeć, iak rozum iego coraz nowych sił nabiera, iak w każdem zdarzeniu okazuie bystrość poięcia, przytomność umysłu, chęć nieograniczoną dowiadywania się i uczenia. Im bardziej go poznaię, tem mocniey się przekonywam, że można o nim iak naypochlebnieysze mieć nadzieie; byleby w dalszym wieku, to iest po skończeniu edukacyi, wizyty, bale (na co JWJenerał zapewne nie pozwoli) nie były ostatecznym celem, i byle brak zatrudnienia i jemu i krajowi użytecznego i ważnego, nie uczynił z nadzwyczajnego dziecięcia pospolitego młodzieńca. To, com tu powiedział, iest rzetelnem, szczerem i tem mniey podeyrzanem bydź powinno, że żadnego nie mam interesu do ganienia lub chwalenia Zygmuntka; oddalaiąc się albowiem z domu JWJenerała, nie iako o wychowańcu moim, lecz już iako o dziecięciu ze wszech miar interesuiącem mówię. *Czwartek, Warszawa*«.

Odpowiedź na ten list maluje tak dobrze i miłość własną jenerała i namiętne ukochanie dziecka i piękny jego stosunek do Józefa Korzeniowskiego, że nie wahamy się w całości odpowiedzi tej przytoczyć:

»Od kilku czasow znaiąc przyczyny, które wiodą WWPDobr. do porzucenia edukacyi mego syna, w którey tyle pokładałem nadziei, znaiąc iego sposób myślenia, szczyrze się przyznam, iż nie miałem dosyć

śmiałości zacząć tey rozmowy, która miała rozstrzygnąć los mego dziecięcia.

Niebo mnie iego iednego dało, nadaiąc mu tyle darów, ile mało inne posiada. Tym bardziey truchleię nad ich przystosowaniem i użyciem.

Chowaiąc go dla kraiu, własnego imienia sławy, nie mam innego celu, iak wpoić w jego młodocianą duszę te cnoty i przymioty, które są iedne w stanie zachować niewzruszone iego i me szczęście.

Dopełnienie tych życzeń w pracy WWPDobr. tylko i w jego przykładzie widzieć mogłem. Wytrwanie iest także przymiotem. Szczęśliwym bym się sądził, gdybym mógł i tego w nim znaleść przykład.

Nasz sposób widzenia równy, tak polityczny, iak domowy, zapewniał, iż się nie omyliłem. Gdy list iego zerwał ieszcze zostaiące nadzieie, do iego serca iako przyiaciel się udaię. Chciey bydź rownie dla mnie dobrotliwym, iako niebo, co mi dziecie dało, przykładaiąc się do zdziałania z niego człowieka i ukształcenia tylu przymiotów.

Zdziałamy nierozerwany przez obce osoby układ; mnie spokoyność zostawisz, nadzieie spełnisz, a tobie zasługę, żeś kraiowi dał godnego obywatela.

Jeśli zaś nie może bydź inaczey, chciey mi przynaymniey podać sposobność dania dowodów tey szczyrey przyiaźni, którą mu wiecznie zachowam. 23 maia 1820. (podp.) Krasiński«.

Korzeniowski nie dał się zatrzymać. Po nim objął ster wychowania Piotr Chlebowski; jak z listów jego

wnosić należy, był to człowiek bardzo wykształcony i obywatelskim ożywiony duchem, ale despotyczny, popędliwy i zbyt szorstki dla wątłego dziecka. Nauka domowa miała na celu doprowadzenie chłopca do wyższych klas Liceum warszawskiego. Niezwykłe zdolności Zygmunta Krasińskiego z jednej, wielka ambicya ojca z drugiej strony sprawiły, że nauka ta odbyła się w dziwnie przyspieszony sposób.

Chwali się dziecko w liście do matki z d. 10 listopada 1820 r., że umie nieźle deklinować *scriba*, *scribae*. Dziewięcioletni Zygmunt czyta Bielskiego (15 lutego 1821 r. »bitwę morską Wizymira z królem duńskim«), a równocześnie Chlebowski rozpoczyna z nim arytmetykę. Z dochowanych zeszytów widzimy, jak prędko, za prędko uczyć się jej musiał Zygmunt Krasiński.

Pierwszy zeszyt, zaczynający się dodawaniem, »skończono 26 lutego 1821 r.« Dziewięcioletni uczeń oblicza tam już takie zagadnienie: »Robotników 17 przez 6 dni na tydzień, a po 12 godzin na dzień pracujących, zrównało ziemię na ogród w 9 tygodniach i 4 dniach, co godzina trzy stopy kwadratowe wyrównywając. Jakież było pole tego ogrodu? I co ta robota kosztowała, rachując po dwa grosze za każdą stopę kwadratową?«

W zeszycie »Przykłady« Nr. 2 mamy na str. 14 u dołu dopisek ręką Chlebowskiego:

»We 45 dni po chorobie trwaiącey od 18 maja aż do 4 lipca 1821 r. zaczął znowu przykłady dalsze pisać Zygmunt Krasiński. Świadczy Chleb.«

Na str. 15 u góry: *Dzielenie ułomków*. Po przykła-

dzie 32-gim zanotował Chlebowski po rosyjsku, aby uczeń nie odczytał: »большая ссора съ Графинею«. Możemy łatwo domyśleć się, o co tu poszło.

Surowy mentor pragnął, aby uczeń po dłuższej przerwie, spowodowanej chorobą, powetował czas stracony; zadawał mu zapewne więcej i to właśnie w porze najtrudniejszej dla dziecka, bo wśród lata, gdy tyle pokus w ogrodzie i na polu. Matka litowała się nad dzieckiem, może broniła je od przepracowania, stąd: »wielka kłótnia«, po której jednak tryumfował Chlebowski, bo nieszczęśliwe »Ułomki« (zeszyt II) »skończono 29 sierpnia (!!) 1821 r.«

Początki łaciny, polskiego, francuskiego i arytmetyki wypełniły zimę r. 1821/22. Na wiosnę r. 1822 choroba jenerałowej postępowała szybko. Od roku niemal była obłożnie chora. Jenerał czule pielęgnował ją w chorobie. W końcu marca r. 1822 zapadła ciężko. Dnia 12 kwietnia umarła. »Od kilkunastu już dni opatrzona świętemi Sakramentami, z największą spokojnością ostatniej oczekiwała chwili. Żegnała krewnych i przyjaciół, błogosławiła syna i starała się pocieszyć strapionego męża. Na jego umarła łonie«.

Mały Zygmunt rozpaczał i nie dawał się utulić. Jenerał natychmiast po zgonie małżonki wyjechał z synem do Opinogóry, pragnąc oszczędzić dziecku strasznego widoku zamykania zwłok do trumny i pogrzebu. Tymczasem w Warszawie odbyły się uroczystości żałobne.

Wincenty Krasiński odczuł serdecznie stratę małżonki. Nie mógł się pogodzić z brakiem tej, którą

za ducha swego opiekuńczego uważać był przywykł. Godzinami modlił się przy kanapie, na której nieboszczka umarła; błagał ją, by mu się objawiła.

A. E. Koźmian mówi, że »uderzony tym dotkliwym ciosem, przez rok prawie cały odosobnił się od świata, oddał się cały niepocieszonemu smutkowi i jedynych pociech w miłości dla jedynego syna poszukując, otoczył go podwójną pieczołowitością, tak, że stał mu się ojcem i matką«.

Jenerał oddał się całą duszą wychowaniu jedynaka. Zygmunt Krasiński chętnie później opowiadał, że ojciec jego po zgonie jenerałowej nieraz długie poświęcał mu godziny. Zamykał się z nim w osobnym pokoju, tam wpajał weń miłość ojczyzny i nienawiść obcego jarzma; kazał powtarzać przysięgi Hannibala przeciw Rzymowi. Opowiadał mu dzieje ojczyste, utwierdzał w umyśle jego wyobrażenia o obowiązkach obywatela, tam kazał sobie przysięgać, że tym obowiązkom i uczuciom zawsze wierny pozostanie. Nie sprzeniewierzył się tej dziecięcej przysiędze syn.

Ubóstwiał wtedy ojca, widząc w nim ideał wcielony rycerza i obywatela polskiego. Cały późniejszy stosunek syna do ojca wyrasta z tych dziecinnych wspomnień. Te zamykania się w pokoju, te przysięgi, przestrogi i zaklinania były jakby szeregiem zwycięstw pokojowych okrytego bliznami jenerała nad wątłą i wrażliwą duszyczką chłopięcą. Wtedy to Zygmunt popadł, jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo w zależność, że tak powiem, psycho-fizyczną od ojca. Młodziutka dusza jego zawierzyła całkiem

i bez zastrzeżeń ojcu, mówiącemu o Polsce, o jej chwale i upadku, o Napoleonie, co miał ją wskrzesić, o swych nadziejach na przyszłość...

Jenerał z dumą i radością patrzał na olbrzymie postępy dziecka w naukach. Jeszcze za życia matki miał ośmioletni Zygmunt sporą biblioteczkę, złożoną z 172 tomów (polskich książek 39, francuskich 133 i jedna niemiecka).

Wśród polskich nie brakło oczywiście *Nowego Elementarza Polskiego* z obrazkami, *Gramatyki* Kopczyńskiego, był i *Świat Malowniczy*, ale był także dar babki, 26 tomów *Wyboru Pisarzów Polskich* wydania Mostowskiego, a w nim arcydzieła naszej poezyi i prozy dla użytku szybko rozwijającego się chłopca.

20 października 1822 r. odbyło się poświęcenie kościoła w Ciechanowie, należącym wówczas do jenerała Krasińskiego. Po tej uroczystości kościelnej otrzymał tamże Zygmunt Krasiński Sakrament bierzmowania.

W jesieni 1822 r. Chlebowski rozpoczął z wychowankiem swym znowu regularną naukę łaciny, polskiego, arytmetyki itd. Tłumaczenia na łacinę z polskiego pisane były jeszcze na podwójnych liniach. Pani Delahaye, która przywiązała się czule do dziecka, pozbawionego pieszczot matki, starała się ze swej strony, aby francuszczyzny Zygmunt nie zaniedbywał. Może za przykładem matki nieboszczki, u której widywał albumy, sprawił sobie Zygmunt podłużną książeczkę, ładnie oprawną w czerwoną skórę ze złoconemi brzegami i na wewnętrznej białej

stronie okładki dziecinną ręką i ortografią dużemi literami wypisał:

Albaume
Sigismond Krasinski

Wpisywał tu sobie na podwójnych liniach wiersze francuskie, polskie i różne sentencye, z których tę przynajmniej warto tu umieścić, bo istotnie była ona dla Zygmunta Krasińskiego hasłem życia całego:

Il faut plus aimair (!) *sa famille que soi meme, sa patrie plus que sa famille, le genre humain plus que sa patrie.* *Lettre sur la France.*

Są tam jeszcze wypisy ze »Śpiewów historycznych« i długi wyjątek z polskiego przekładu tragedyi »Athalia«; ale kart zapisanych nie wiele (25 na 225 stron), bo pewnie czasu na to nie stawało.

Rzadko zdarzyła się chwila wytchnienia i chłopak dowcipny płatał niewinne figle. Świadczy o tem list polski bez daty, na podwójnych liniach (zapewne z r. 1822), z adresem:

Xiędzu Szyszcze (!)
WMPanu i Dobr.
Wielmożny Xięże Szyszko.

Pozwól W. WaćPan Dobrodziey, bym Mu powinszował krzyża i nominacyi na Dziekanią.

Zapewne dwór Jego żeński powiększonym będzie, temu więc za lat 12 się rekomenduię.

Zygmunt Krasiński.

Potem dopisek francuski z życzeniami pani Delahaye, »la bonne de Sigismond«. Przy niej można było takie listy pisać; nie byłby na nie pozwolił surowy

p. Chlebowski, który zawsze pędził do nauki. Do łaciny wcześnie przyłączyła się greka, a musimy przyznać nauczycielowi, że uczył doskonale, bo z dochowanych rozbiorów gramatycznych, preparacyj i tłómaczeń z greki na łacinę (Luciana i Iliady) widać, że Zygmuntowi nauka greczyzny przychodziła z łatwością. W »preparacyach« wymagał Chlebowski, aby uczeń notował obok wyrazu, potrzebnego do przekładu, także spokrewnione z nim etymologicznie, a tym sposobem nietylko utrwalał w pamięci znaczenie wyrazu, ale wzbogacał zapas językowy i mimowoli zaprawiał do głębszego wnikania w ducha języka helleńskiego.

Z nadejściem letnich upałów przenoszono naukę z pałacu na Krakowskiem Przedmieściu do Opinogóry.

Starostwo opinogórskie od kilku już pokoleń było w posiadaniu Krasińskich. Za Napoleona nadane było czasowo Bernadottemu, »księciu Pontecorvo«, ale znów wróciło do Winc. Krasińskiego, który od Aleksandra I otrzymał potwierdzenie dawnego polskiego nadania. Obszerne włości, należące do tego starostwa, ciągną się od Ciechanowa do Pałuk i Kołaczkowa, graniczą z rodowem gniazdem, Krasnem, będącem wówczas w posiadaniu krewnej jenerała, z innej linii Krasińskich.

Kiedy po wojnach napoleońskich rozejrzał się w ojcowskiej Opinogórze młody dziedzic, nie znalazł tu zagospodarowanego majątku. Duży, stary dwór, wznosił się na wzgórzu, panującem nad okolicą płaską i mało zadrzewioną. Wszystko było opuszczone i prozaicznie smutne. Jenerał park około domu za-

łożył, stawy niewielkie oczyścił, kapliczkę na drugiem wzniesieniu opodal stojącą od upadku podźwignął. Dwór typowy polski, z ogromną salą do zebrań i biesiad, ozdobioną portretami królów polskich (fikcyjnymi), pań z XVII i XVIII wieku, liczne miał pokoje wygodne, z oknami na okolicę, monotonną wówczas, a nieurozmaiconą jeszcze dzisiejszemi drzewami.

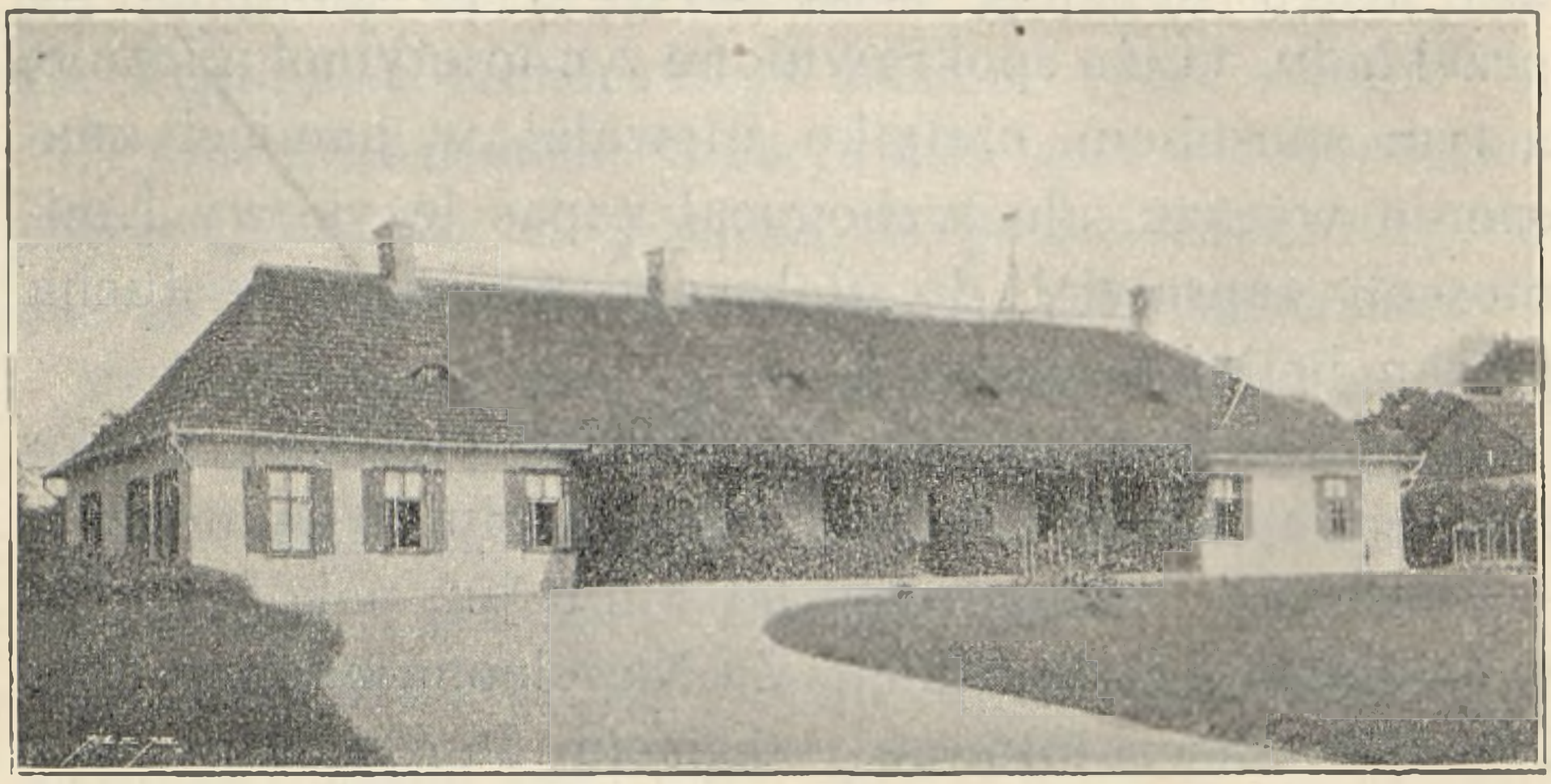

Dwór w Opinogórze.

Ale dla małego Zygmunta Krasińskiego to był raj swobody i uciech chłopięcych. Tu mógł biegać do woli, odwiedzać sąsiednie wsie i folwarki, zapomnieć bodaj na chwilę o algebrze i greckich słówkach. Krótkie bywały wakacye i niezupełne, bo Chlebowski nawet w sierpniu zadawał lekcye. Wybujały nad lata zdolności chłopięce. Ojciec, który chciał mieć w jedynaku fenomen zadziwiający rozumu, z dumą i radością patrzał na rozwój dziecka, a ulegając wreszcie podszeptom próżności, która była jedną z najsilniejszych pobudek działania w całem jego życiu,

urządził na wielką skalę we własnym domu egzamin dwunastoletniego Zygmunta. A. E. Koźmian, który pamiętał ten fakt, tak go opisuje: »Sprosił na tę uroczystość ojciec najznakomitszych ówczesnych mężów krajowych, w stolicy przebywających, najcel-

Sala »napoleońska« w dworze opinogórskim.

niejszych nauczycieli szkół. Młody uczeń obudził podziw i uradował wszystkich przytomnością umysłu, żywością odpowiedzi, obfitością zaczerpniętej nauki. Postępy jego, zwłaszcza w językach, literaturze, w historyi i jeografii starożytnych, przeszły wszelkie oczekiwania. Był to dzień prawdziwie uroczysty i radosny i dla syna i dla ojca i dla przyjaciół jego«. Na

innem miejscu wspomina znowu, że niezwykłem pojęciem, pamięcią bez granic, żądzą nauki obdarzony młody uczeń zadziwiał nadzwyczajnemi postępami i żadnemu z rówieników prześcignąć się nie dał. Kierownicy jego zanadto może wymagali od zdolnego ucznia. Nieraz surowo się z nim obeszli, »a tak pamięć porannych dni jego życia obciążały niemiłe wspomnienia«.

W nagrodę świetnego egzaminu otrzymał od ojca w lecie 1825 r. strzelbę; unosi się nad jej zaletami, donosi z Opinogóry o pierwszych zabitych kuropatwach, polowaniu na kaczki w błotach ciechanowskich, i rozpoczyna już pisać do ojca listy ciekawe dla nas, z wyraźnemi dowodami budzącego się pisarskiego talentu. Wczesna, forsowna nauka sprawiła, że dziecko nie miało prawie czasu być dzieckiem, a myśli swe zaczęło wyrażać jak dorosły. Ponieważ zaś naczytało się wyrażeń górnych i stylu Księstwa Warszawskiego, więc też chodziło zrazu na szczudłach wyszukanych frazesów. Nic pod tym względem bardziej charakterystycznego, jak te napół dziecinne, napół chłopięce listy 13-letniego Zygmunta, które jenerał z prawdziwym pietyzmem przechował. Od pierwszego zaraz, z d. 24 lutego 1825 r., kreślonego z dziecinną starannością na liniach, mamy to wrażenie, że chłopiec naśladuje jakiś niedawno przeczytany zwrot klasyczny. Zaczyna się ten list tak:

»Przecież dzisiaj mróz czterostopniowy ścisnął *słabemi* okowy (!) błoto po ulicach; zamiast chmur czarnych piękny lazur nieba rozwesela oko, przy-

zwyczajone w teraźnieyszey zimie do posępnych widoków«.

Rozpoczynają się te »*czarne chmury*«, które będą stałą niemal przyprawą listów młodocianych Zygmunta, a z których jeszcze w 10 lat potem drwić będzie jenerał. 4-go sierpnia 1825 r. uraczy go synek takim obrazkiem z Opinogóry: »Opuściła nas pogoda, czarne chmury pokryły niebo, znów szumny wiatr wypuścił Eol (!), a chwilami deszcz oschłą skrapia ziemię«.

Od najwcześniejszego dzieciństwa da się u niego zauważyć styl retoryczny, z którym stanie do walki żywe poczucie natury i wielka na jej wdzięki wrażliwość. Tegoż 1825 r. wczesną jesienią odbywa Zygm. Krasiński w towarzystwie mentora Chlebowskiego pierwszą swą większą podróż. Jedzie z Warszawy na Garwolin, Żelechów, Krasnystaw, Włodzimierz, Poryck, Beresteczko, Krzemieniec i Jarmolińce do dziedzicznych Dunajowiec na Podolu i na każdym popasie pisze pierwszy swój »Dziennik Podróży«, notuje skrzętnie wrażenia. Trzynastoletni podróżnik zadziwia nas swemi spostrzeżeniami o nastroju poważnym.

Przejeżdżając przez Adamów i Wolę Gutowską, widzi, że: »grunta częścią dobre, częścią nieurodzajne« i nadmienia, że »lud podlaski pracowitszy od mazowieckiego«, lecz zaraz w nocie u dołu stronicy dopisuje: »Tak przynaymniey się zdaie próżniakowi, iadącemu wygodnym powozem i ziewającemu po nudnych piaskach«.

Lud go widocznie obchodzi żywo. Podlaski nazywa szczęśliwszym od mazowieckiego dlatego, »że wsie

wszystkie prawie przy wodzie i lasach leżą — przy każdej prawie chałupie znajduje się kilka drzew i ogród«.

Ta dziewięciodniowa podróż na Podole bardzo go rozwija i kształci jego pogląd na świat i ludzi.

Poryck budzi w nim niedawne wspomnienia Czackiego: »Tu przemieszkiwał Czacki, tu on pomyślał ożywić duch narodowy i strapioną dźwigać oyczyznę«. Beresteczko nasuwa mu wspomnienie krwawej bitwy, rzezi, Krzemieniec stawia przed oczy fakt, że tam »uczniów przeszło sześćset«. Aż w Dunajowcach po skończonej podróży skupiają się jej wrażenia; los chłopa ruskiego w taką się krystalizuje syntezę. Zważmy, że to trzynastoletni myśliciel pisze:

»Zacząwszy od Krasnego Stawu lud iest iuż po większey części ruskim, a od granicy wszędzie obrządek ruski panuie. Piękne położenie i wesołe widoki Wołynia uprzyiemniaią drogę. Rozległe stepy Podola wystawuią żyzność i obfitość wielką. Chłop ruski często zamożnieyszy od mazowieckiego, ale uciśniony przez panów, będących często w zmowie z żydami, nie śmie podnieść głowy. Każdy pan jest królikiem u siebie despotycznym. Pan otoczony kozakami patrzy bez litości na męki zadawane z jego rozkazu włościanom, a ludzkość spodlona wygląda zbawiciela. Takim zbawicielem mógłby być mąż cnotliwy, któregoby wymowa miękczyła skamieniałe serca panów na cierpienia włościan. Ale taki sposób lepieyby się udał w średnich wiekach, kiedy ieden pustelnik wymową i wpływem religii tysiączne za sobą prowadził narody.

Takim zbawicielem mógłby się stać rząd, wglą-

dając w postępowanie nieludzkie panów z włościanami.

Trzeci środek naylepszy i jedyny jest: większa oświata«.

Jakie to nadzwyczajne ujęcie trudnego przedmiotu! Jakie zrozumienie prawdziwego stanu rzeczy i jak bystro urodzaj ziemi przeciwstawiony niedoli ludu! Jak już tutaj dźwięczy przeszłość »zakuta w zbrojną stal« w owym zwrocie ku wojnom krzyżowym, a równocześnie trzeźwy rzut oka na teraźniejszy rozłam społeczny widzi »cierpienia włościan« i »skamieniałe serca panów«, i to wszystko nazywa po prostu »spodloną ludzkością«! Jak on już szuka »zbawiciela« dla tej ludzkości...

A niech nikt nie mówi, że to jest pozowaniem malca, udanem lub poddanem mu (może przez towarzysza podróży) zamyśleniem się nad dolą wieśniaczą — nie! To nie z głowy, przeładowanej nauką płynęło, ale z głębi czującego, kochającego serca. Bo oto w tydzień potem zwiedza Zygm. Krasiński Podole i jary naddniestrzańskie i Ladawę Aleksandra Czackiego i tegoż wieś Serebryńce, a chwaląc w liście do jenerała dom »pana Aleksandra« i porządek w jego gospodarstwie, dodaje te znamienne słowa: »a co mi się naylepiey podobało, że go bardzo kochaią chłopi«. Takich słów się nie pisze z głowy.

Zachwyty młodziutkiego Telemacha nad pięknościami Podola ostudza poniekąd nieubłagany mentor. W podróżnych tłumokach znajduje się Iliada, a Zygmunt pisze 9 września 1825 r. z zapałem, nie wiem czy bardzo szczerym: »Codzień tłómaczę *boskiego* Homera«...

Przepiękne widoki jarów podolskich wzbudzają w nim zachwyt, wywołując pierwsze opisy wdzięków przyrody. W liście z 16 września 1825 r. znajdujemy następujący krajobraz:

»...rano w sobotę 11 września wyjechaliśmy z Bernaszówki. Mgła przeszkadzała nam do rozeznania przedmiotów. Długo dosyć jechaliśmy, wysiadając gdzie zła była droga. Wyjechaliśmy na ogromną górę. Tu nam się pyszny widok okazał. Mgła opadająca napełniała cały dół i jary okoliczne. Wystawiała ogromny przestwór jakby wodą białą *(śnieżną)* napełniony, na którym unosiły się bałwany różnego kształtu, czarne, o które obijające się promienie świetnego słońca czyniły widok wzniosły i wspaniały...«

Młodziutkie pióro nie zdolne tu jeszcze wysłowić, wyrazić zachwytu szczerego. On czuje więcej, niż może powiedzieć; widać to po nim, jak »myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie« — ale on już wie, gdzie piękno, on się już upaja promieniami wschodzącego słońca, igrającemi na skłębionych oparach Dniestrowych, a przyjdzie czas, kiedy mu ten obraz podolski odtworzy się w duszy i wtedy napisze:

»Od baszt św. Trójcy do wszystkich szczytów skał
...leży mgła *śnieżysta*, blada, niewzruszona, mara oceanu, który miał brzegi swoje
...i głębokości swoje, gdzie dolina, której nie widać, i słońce, które jeszcze się nie wydobyło.
...Powoli śpiące obszary budzić się zaczynają — w górze słyszać szumy wiatrów — z dołu promie-

nie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu wyziewów...

Słońce ze wzgórz na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury...

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu...«

Tamten obrazek ręka dziecka kreśliła, ten ręka tytana — ale ten sam człowiek widział i odczuł pierwsze, stworzył drugie.

Widoki podolskie rozszerzyły horyzont społeczny i ideowy. To też zwycięstwa Grecyi, strząsającej wówczas okowy tureckie, wywołują zapał w 13-letnim Zygmuncie:

»Ucieszyłem się — pisze do ojca — ze zwycięstw Greków«, a wydobycie się ujarzmionego tego narodu na wolność nazywa »najpiękniejszym fenomenem politycznym«.

A w związku z tym zapałem może mniej przykre były preparacye greckie do Iliady.

Należy sobie wyobrazić wówczas Zygmunta jako chłopca małego wzrostu, owalnej twarzy, szatyna z dużemi, piwnemi oczyma, trochę czerwonawą cerą. Dużo wdzięku i dobroci było w ustach prawie dziecinnych.

Obojętnie donosił ojcu z Dunajowiec pod koniec swego pobytu 27 września 1825 r.: »Nowina Podolska, że dzisiaj, t. j. w dzień św. Michała, są zaręczyny Panny Delfiny Komarówny z P. Mieczysławem Potockim, co bardzo gniewa Pana Orłowskiego«.

Gdybyż mógł się domyślać, czem kiedyś dla niego będzie nie panna, ale pani Delfina!...

Powróciwszy z Podola, zabrał się Zygm. Krasiński tem raźniej do pracy, ile że był to ostatni rok domowej nauki. Chlebowski uważał, że domowe wychowanie do czasu tylko jest dobre, a przygotowawszy przez r. 1826 wychowanka swego tak, aby mógł być przyjętym na zwyczajnego ucznia ostatniej klasy Liceum, we wrześniu t. r. zaprowadził go do zapisu i tak opisuje jenerałowi pierwsze wrażenia szkolne swego ucznia. Rektor Liceum, Linde, obrażony na jenerała, niechętnie przyjmował jego syna do swej szkoły. Po zapewnieniach Chlebowskiego, że wychowanek jego »żadney płochości politycznej nie popełni«, Linde zgodził się na przyjęcie. »Tymczasem Zygmunt pociągany był do zdania examenu z religii przez X. Prefekta. Bronił się od tego, wymawiając się tem, że wczoraj zdał wszystkie examena i że dziś tylko do zapisu przyszedł; aż sam Rektor spór ten rozstrzygnął: wziąwszy Zygmuntka za rękę, stawił go przed Prefektem, który po kilku zapytaniach uznał go zdolnym do klasy VI, lubo pytania były tak dziwaczne i humor odpowiadającego podrażniony, że na żadne prawie nie odpowiadał,— łzy mu były w oczach, a śmieszek na ustach.

Ztąd poszło, że na wszystko szkolne patrzy teraz jeszcze z pogardą, wszystko zdaje mu się być niższe od niego. W kolegach swoich widzi chłopców bijących się i wadzących z sobą i ma to im za złe; lubo sam żadney zabawy nie odbył dotąd bez mocowania się z kuzynkami. Bierze się wszakże szczerze do pracy i widać, że nie chce się dać nikomu wyprzedzić. Naywiększą korzyść zapewnia dla niego

szkoła z tego względu, że musi ze swojej głowy układać i pisać odpowiedzi na podane themata, do czego w domu niepodobna go było skłonić. A jeżeli są nieprzyzwoitości publicznej edukacyi, nigdy one nie dorównywają złym skutkom i nałogom w domowem wychowaniu zdarzającym się — osobliwie w młodzieńczym wieku. Jedyne tylko dobro i wielostronne ukształcenie ucznia mi powierzonego powodowało mną, żem JWu Jenerałowi zaproponował przyjęcie do swego domu Xiędza Chiariniego; równie i teraz nie w innym celu poradziłem uczęszczanie do Lyceum«. (24 września 1826 r.).

Oto jak mu czas schodził w ostatniej klasie Liceum warszawskiego:

»Chodzę codzień do Lyceum zrana, to jest od pół do 8ey aż do 11-ey i popołudniu od drugiej do czwartej. We wtorek i czwartek popołudniu zupełnie wolne. Jest dosyć do roboty, ale nie nad siły. Dają w Lyceum polski, francuski, łaciński, niemiecki, grecki język, oprócz tego historyą, literaturę, geografią, matematykę. Szósta klasa jest dosyć liczną, gdyż przeszło pięćdziesiąt uczniów zamyka. Codzień o 10-ej zrana dziesięć minut wolnych jest, podczas których przybiegam do domu na śniadanie...«.

Zachowane kajety licealne z nauki greckiego, historyi, matematyki świadczą o wielkiej pilności; że wymagania ówczesnego Liceum były niemałe, dowodzi chociażby ten fakt, że 14-letni Zygmunt Krasiński przerabiał z algebry działania z ilościami urojonemi, teoryą postępu i logarytmów, przechodził wreszcie początki analizy geometrycznej.

Ale równocześnie rozmarzał się »Freyszycem« na scenie warszawskiej i tak ojcu wrażenia swe opisywał:

»Muzyka, mówią, nie tak piękna, jak w sztuce »Sroka złodziej« — ale za to opera więcej do dramy podobna, ma dużo akcyi, ustawicznie pioruny grzmią, ustawicznie na scenie strzelają, diabłów wywołują, którzy w ognistych przychodzą postaciach. Osobliwie drugi akt, gdzie Strzelec w nocy w lesie leje kule zaczarowane, jest pełny duchów, strachów, niedopyrzów, gromów etc., etc. bardzo w guście romantycznym, a pomimo, co Pan Koźmian mówi, że to są duby średnich wieków, jednak Freyszyc bardzo zabawny«.

W lipcu 1827 roku siadał Zygmunt Krasiński do końcowych egzaminów licealnych. Egzaminy piśmienne były wówczas bardzo długie i bardzo uciążliwe.

Donosi ojcu d. 4 lipca 1827 r., że poprzedniego dnia siedział w Liceum od 6-ej zrana do 4-ej popołudniu i pisał ćwiczenia łacińskie.

Nazajutrz siedział znowu od 6-ej zrana do 6-ej wieczorem i przez te 12 godzin napisał »robotę polską«. Taki na nią nam temat zadali: »Wykazać niedostateczność prawideł moralności z samego rozumu wypływających i wskazać wyższość zasad moralności chrześcijańskiej«. A następnych dni czekały go znowu roboty francuskie i niemieckie. Wszystko to odbywało się pod surowym napozór nadzorem. Po tylogodzinnej pracy Zygmunt ma jeszcze dość sił, aby

zabawić ojca opisem, jak się to takie egzaminy piśmienne odbywają:

»Czarownik kilka razy przychodzi na dzień do nas, zagląda pod stoliki, czy słowników lub książek nie mamy. Ciągle zaś przy nas siedzi profesor. Nie wolno ani słowa gadać jeden do drugiego, lub się radzić, jednak nie zachowują tego przepisu, bo się śmieją, gadają i krzyczą, i nie tak to jest nudne, jakby mogło być«.

Były też chwile uciążliwe, kiedy wśród upałów lipcowych trzeba było po piśmiennych egzaminach zasiąść do ustnych. Pierwszy to raz narzeka Zygmunt:

»Dużo mam bardzo do roboty. Cały dzień siedzę w klasie, a wieczorem pracuję, osobliwie nad matematyką...«

Wreszcie po ostatecznych egzaminach ukończył w r. 1827 Liceum i wstąpił do uniwersytetu warszawskiego.

IV.

Student Uniwersytetu.

Pobyt Zygmunta Krasińskiego w Uniwersytecie Warszawskim trwał od jesieni 1827 r. do 24 marca 1829 r. Zapisany na Wydziale prawa i administracyi, słuchał wykładów przepisanych na pierwszym kursie tego wydziału, ale uczęszczał także na wykłady innych wydziałów. Widzimy bowiem z notat jego i listów do ojca, że w marcu 1828 r. zdaje »pierwszy egzamin z fizyki« i egzamin z filozofii. Notuje skrzętnie wykłady z historyi powszechnej, a nadto w domu uczy go prywatnie X. prof. Chiarini starożytności wschodnich i biblijnych w porównaniu ze starożytnościami greckiemi i rzymskiemi; bierze od niego lekcye języka arabskiego i tłumaczy zdania Alkoranu na język łaciński.

Żywy, dowcipny, ruchliwy, nie należał do spokojnych »trusiów«, bogobojnie w ławce siedzących. Dał się we znaki i kolegom i profesorom. Ówczesny rząd uniwersytecki trzymał uczniów w rygorze niemal gimnazyalnym. Prowadzono »Księgę pilności i obyczajów uczniów Król. Uniwersytetu w Warszawie«; w r. szkolnym 1827/1828 znajdujemy tam pod Nr. 43 takie świadectwo:

»*Krasiński Zygmunt*, prawa i administracyi.
Spowiedź wielkanocną: odbył.

Co do mszy, nauki religii i prelekcyj: regularny.
Pilność: pilny.
Obyczaje: bardzo płochy.
Napominany, przestrzeżony lub ukarany: Za niespokojne zachowanie się w audytoryach.

Uwagi. W I kwartale: w początkach był niespokojnym, teraz znacznie się poprawił. W II kwartale: Ukarany aresztem na godzin 24 za pokrzywdzenie kolegi.

Zdanie ogólne: Zdatny, pilny i obyczajny, lecz płochy«.

Zygmunt Krasiński nie wiele zapewne martwił się urzędowemi uwagami rządu uniwersyteckiego. Rozpoczynał 16-y rok życia, pochłaniał powieści i poezye bez braku i smaku, czytał tam tyle o czułych sercach, kochających i kochanych bohatyrach, że wreszcie sam pragnął pokochać. Pod mundurem studenta uniwersytetu biło serce wrażliwe już na wdzięki niewieście. W pałacu rodzicielskim, pod opieką jenerała, mieszkała wówczas wychowanica jego, młodziutka słomiana wdówka, pani Amelia z Bronikowskich Załuska, której mąż Roman oczekiwał w więzieniu śledczem na wyrok sądu sejmowego. O kilka lat starsza od Zygmunta, kochająca go jak braciszka, nie domyślała się, że była przedmiotem jego tajemnych wzdychań. Nie domyślał się też niczego jenerał, a czujnego oka matki nie było już, niestety. Jenerał często dla licznych spraw majątkowych wydalał się z Warszawy do Opinogóry, Knyszyna, Dunajowiec i t. d. Długie wieczory zimowe schodziły wtedy Zygmuntowi na sprzeczkach i nieporozumieniach z panią Załuską, które on ojcu obszernie opisywał, żartobliwie zwąc panią Amalię »mocarstwem

nieprzyjacielskiem«, »*les puissances belligérantes*« i t. d. W liście z d. 22 stycznia 1828 r. czytamy: »Z Panią Załuską iestem *in statu quo*. Gada do mnie, przycinki robi, drwi, śmieie się ze mnie, ia zaś z zmarszczonemi brwiami siedzę spokoynie, czasem odpowiem, czasem zamilczę, czasem rzutem wzroku przymuszę ią spuścić oczy, ale przez cały obiad nayczęsciey *je suis en but te à ses plaisanteries* — ale darmo«. Na innem znów miejscu: »Chodzę do akademii, w wieczór bywam, po zawarciu *des preliminaires de Léoben* u Pani Załuskiej. W wieczór często gramy z Baronem w karty. Pani Delahaye bywa z Augustem. Wszystko spokojnie i wszystko cicho. Niebo *pochmurne*...« Spokój i cisza były tylko pozorne. Z początkowych niewinnych sprzeczek i przekomarzań się miał wyjść szesnastoletni młodzian z serduszkiem zranionem. A z temi pierwszemi podmuchami miłości schodzą się pierwsze próby literackie. Słyszymy o jego przekładzie łacińskim Mickiewiczowskiej »Świtezianki«! Powstają drobne powiastki jego, np. »Pan Trzech Pagórków, ułamki ze starego rękopismu«, utwór napisany w Opinogórze (6-go kwietnia 1828 r.) z dedykacyą jenerałowi, wierszami (10 strofek 4-wierszowych), a wśród nich takie, niezbyt rytmiczne, ale pełne prawdy określenie chwały:

»Chwała! cóż bowiem czyni pierś niezłomną,
Co sprawia, że serce świętszym ogniem płonie?
Ah! ta myśl tylko, że nas nie zapomną,
Że w sercach ziomków odżyjem po zgonie»!

»Pan Trzech Pagórków«, to hołd złożony dziedzicznej Opinogórze, to próba śmiała upoetyzowania

najpospolitszego krajobrazu, który był mu drogi, bo tam pacholęce, swobodne, letnie pędził miesiące. W tej dziecinnej robocie są już drobne ziarenka szlachetnego kruszcu.

Ten sam pałac, w którym w czasie nieobecności jenerała było »wszystko spokojnie i wszystko cicho«, nabierał życia, gwaru i wesołości z przyjazdem gospodarza. Lubiał on wystawne życie ku niemałemu zmartwieniu oszczędnej starościny opinogórskiej, lubiał, by o nim mówiono. Próżność była u niego osobistą »i była niebezpieczniejszą od tej, familijną. Chciał sam błyszczeć i świecić i chciał, żeby błyszczał i świecił jego dom«. Chęć wyniesienia się i popularności przeważała nad szlachetnemi pobudkami. Popularność starał sobie wyrobić słynnemi literackiemi obiadami, na których bywali wszyscy, zajmujący się sprawami publicznemi i postępem piśmiennictwa. Czwartkowe (według Koźmiana: sobotnie, po wykładach Osińskiego) obiady u jenerała Krasińskiego mają swą kartę w dziejach literatury naszej, a starcia klasyków z romantykami tam się właśnie odbywały. Na tych głośnych obiadach bywali zwykle: Niemcewicz, Kaj. Koźmian, Osiński, czasem jenerał Fr. Morawski, Brodziński, Fr. Salezy Dmochowski, z młodych: Witwicki, Gaszyński i Odyniec.

»Gospodarz uczonych obiadów, wierny zasadzie neutralności, zapraszał reprezentantów obu kierunków i zwykle podjudzał jednych przeciw drugim. z czego wszczynały się z początku żwawe dysputy, przeplatające każdą potrawę, a na wety wywiązywała się zajadła kłótnia, ubliżająca nieraz dostojeń-

stwu lub powadze tego lub owego klasyka, który sobie poprzysięgał więcej nogą nie wstąpić w dom jenerała«. Po tygodniu jednak wracał.

Na słynnych tych obiadach nie bywał syn jenerała; jednak ich odgłos dochodził do niego za pośrednictwem Odyńca. »Oddychał on tem powietrzem, które dom ojcowski napełniało i które, choć bezwątpienia nie stworzyło w nim ducha poetycznego, bo ten od Boga był mu dany, rozwinęło w nim jednak usposobienie do pisarskiego zawodu. Wrodzoną wrażliwością umysłu chwytał on wszystko, co do imaginacyi i duszy przemawiało i w gronie rówieśników lubił się zajmować przedmiotami, które rozbierano i o które spierano się w towarzystwie, jakie ojciec jego u siebie zgromadzał«. (A. E. Koźmian).

Powodem zainteresowania się obiadami literackiemi nie były dla Zygmunta same tylko rozprawy klasyków z romantykami. Do spraw estetycznych mięszały się bardzo silnie sprawy serca. Zygmunt Krasiński coraz więcej rozmarzał się studencką miłością do pani Załuskiej. Odyniec, który bywał wówczas częstym gościem na obiadach u jenerała, dostrzegł rychło, co się święci, a w *Listach z podróży* przekazał nam kilka szczegółów, które skądinąd znajdują potwierdzenie w listach Zygmunta do ojca. Pisze Odyniec: »Ja o tem wiedziałem przez to, że po każdym czwartkowym obiedzie, na których on (Zygmunt) jeszcze nie bywał, a ona (Załuska) prezydowała zwykle, jako jedyna dama i gospodyni domu, musiałem mu zdawać sprawę ze wszystkich jej słów

u stołu, istotnie nieraz bardzo trafnych albo dowcipnych, a których on był ciekawszy, niż literackich dysput z klasykami«.

Istotnie szesnastoletni chłopak rozmarzył się na dobre, spotykając w domu codzień uroczą młodziutką mężatkę. Zakradał się do jej salonu, z ukrycia godzinami patrzył na nią, zazdrościł tym, co ją odwiedzali, szalał poprostu.

Nie domyślał się niczego jenerał. Zygmunt zaś, korzystając z nieładu, panującego w olbrzymim pałacu ojcowskim, żył nienormalnie, wrodzoną nerwowość podniecał sztucznie herbatą, której wiele z rumem wypijał. Następstwem tego były bezsenne, pełne gorączkowych marzeń noce...

W dodatku zasmakował we fajce; pomimo zakazu ojca, ćmił ją potajemnie wraz z przyjacielem i koleżką Konstantym Gaszyńskim, aż wreszcie jenerał, przyłapawszy syna na gorącym i dymiącym uczynku, zgromił za skrytość, ale umiarkowanego palenia pozwolił. Gaszyński, wchodząc raz do pokoju Zygmunta, widzi go przy kominku z dużym cybuchem, palącego fajkę — zdrętwiał z przerażenia na myśl o jenerale, dowiedziawszy się jednak o pozwoleniu, pochwycił uradowany za węgiel i z tryumfem wypisał nad kominkiem: *Żyj ero fajkowa!*

Odtąd we wspomnieniach przyjaciół będzie to termin techniczny na oznaczenie błogich lat młodocianej swobody — a w listach swych do Gaszyńskiego będzie się z czasem podpisywał ostrożny Krasiński jako: *Erofajkowy.*

Atmosfera duchowa i literacka epoki sprawiła, że

Sigismond Krasiński Père Mr Zaleyński

aujourd'hui Lundi 22 Juillet

a l'honneur de lui

faire l'honneur de venir passer la soirée chez lui, Palais de

ses Parents, le 1829.

Les personnes invitées sont priées de ne pas fumer la pipe.

syn jenerała Krasińskiego wcześnie bardzo zaczął oddychać literaturą i marzyć o sławie pisarskiej. Na obiadach literackich wprawdzie nie bywał, ale dokładne echa sporów namiętnych budziły jego ciekawość i zapalały do rozczytywań się w najnowszych płodach romantyzmu. Nic to, że w ciągu marca 1828 r. w uniwersytecie zbliża się pora egzaminów z filozofii i — fizyki. On dostał od Waleryana Krasińskiego najnowszy utwór Mickiewicza: Wallenroda, i pochłania go namiętnie. A jak go rozumie! Jak się unosi nad nim w listach do ojca: »Zdaje mi się — pisze 26 marca 1828 r. — że jeszcze Polska nic takiego nie miała. Ten charakter ciemny, ponury, ta zdrada mściwa — wszystko serce przeraża, umysł wzbija, duszę przenosi do piekielnych marzeń. A jakie piękne wiersze, jaka moc, energia, harmonia — wszystko tchnie żalem i smutkiem, żalem, który nam tak przystoi«.

Mickiewicz olśniewał go stylem poetyckim, rozpalał żarem uczucia, ale był jeszcze, na ogół biorąc, za trudny, za silny dla 16-letniego młodzieniaszka. Był natomiast inny pisarz, który utworami swemi historyczno-legendowemi, romantyzmem średniowiecza, fabułą przystępną dla chłopięcego umysłu, działał na razie bezpośrednio na fantazyę i poddawał łatwe pomysły — to Walter Scott. Doskonale objaśnił to J. Tretiak:

»Zaczynano — mówi — wówczas tłómaczyć i naśladować u nas Walter-Scotta, a jednym z pierwszych naśladowców był stały uczestnik zebrań w domu jenerała, Niemcewicz. Uwielbienie dla W. Scotta nawet wśród najzaciętszych klasyków nie spotykało oporu. Tak więc Z. Krasiński już w otoczeniu swojem mógł

znajdować silną zachętę, aby się zwrócić ku temu genialnemu powieściopisarzowi. Godził się przytem W. Scott doskonale z arystokratycznemi przekonaniami i sympatyami, które ojciec wpajał w syna: czarodziejska wyobraźnia W. Scotta, wywołując przed oczy świat średniowieczny, oblewała go idealnem światłem, owiewała urokiem jego instytucye, przedstawiała w najponętniejszych barwach życie rycerskie, budziła cześć dla przeszłości i żal za nią. Walter Scott wywarł ogromny wpływ na młodzieńczą wyobraźnię naszego poety«.

16-letni Zygmunt uległ czarowi opowiadań Walter Scotta, rozmiłował się w idealnym świecie średniowiecznym i zapragnął niebawem odtworzyć tę przeszłość, a to na podstawie swojskich tematów. Pisze więc za wzorem powieści Walter-Scotta swego »Zbigniewa«, tę trzytomową powieść, która w toku pisania nazywać się będzie także »Hanną z Ciechanowa«, aż wreszcie ostanie się przy ceremonialnym tytule: *Władysław Herman i dwór jego.*

Powieść ta, zaczęta w r. 1828, zapewne uległa potem przeróbkom. Tymczasem fantazya, nie mogąca poprzestać na odległych czasach Władysława Hermana, zwróciła się do barwnej, awanturniczej, pełnej rozmaitości epoki wojen trzydziestoletnich, którą zapewne z rozczytywania się w dziejach powszechnych lepiej mógł poznać. Obok więc rozpoczętego »Zbigniewa« pisze powieść »oryginalną«, jak na tytule czytamy: *Grób Rodziny Reichstalów.*

Wedle słów A. E. Koźmiana, użył on chwil, godzinom snu odjętych, na napisanie tej powieści.

Fr. S. Dmochowski, ku niemałej zapewne dumie młodziutkiego autora, wydrukował tę powiastkę w Rozmaitościach, dodatku literackim do »Gazety Korespondenta Warszawskiego« w maju 1828 r.

Nadchodzi tymczasem jesień 1828 r. i nowy rok szkolny w uniwersytecie warszawskim. W końcu września t. r. uwiadamia Zygmunt ojca o rozpoczętych wykładach: »Od 8—9 mam codzień administracyę wykładaną przez P. Kunata, od 9—11 w sobotę konstytucyę przez Engielkiego, od 3—5 we środę, czwartek i piątek prawo polskie przez Bandkiego, od 5—6 w poniedziałek, środę i piątek literaturę przez Brodzińskiego, a we wtorki i piątki od 4—5 prawo kanoniczne przez X. Szaniawskiego«.

W domu było nie zbyt przyjemnie: »Babula ciągle iest zdrową, ale nie w naylepszym humorze. Robię, co tylko mogę, by iey usłużyć i nie gniewać na siebie, po całych godzinach czytam iey zrana Fraysynusa, w wieczór *L'histoire de la grande armée* przez Ségura. To dzieło osobliwie bardzo się iey podobało, bo Ségur zupełnie iednego z nią iest zdania, co się tyczy chęci Napoleona uwolnienia Polski«. Czasami szedł do teatru i starał się zdać sobie sprawę z wartości estetycznej danego utworu. Znać tu już myślącego krytyka: »Byłem za pozwoleniem babuli zawczoray w teatrze na nowey komedyi Fredra (!) pod tytułem »P r z y i a c i e l e« — może to naylepszem iest z iego utworów. Charaktery do naywyższey komiczności posunięte, osobliwie iest w tey sztuce porównanie arystokracyi pieniężney i rodu. Oboiey z nich wydane śmieszności, ale tak mistrzowsko, że trudno

prawdy, choć trochę przesadzoney, nie poznać, — oprócz tego, mieysca są bardzo piękne co do wierszy i zupełnie wzniosłe — namiętności bardzo pięknie malowane i to zdaie mi się stanowi cechę Fredra, że on w naywiększey części swoich komedyi, podziela sztukę na dwie części. Iednym osobom nic nie daie komiczności — wszystko u tych uprzywileiowanych istot iest szlachetnem, one są bohaterami, one robią intrygę, a dopiero *les accessoires* są komiczne, dopiero przyboczne osoby śmiech wzbudzaią, a pośród nayżywszey komiczności, naywiększych żartów i śmieszności wznosi się zawsze coś szlachetnego i poważnego, coś z takiem ukształtowanego talentem, że otaczaiąca płaskość i śmieszność skazić go nie może« (29 września 1828 r.).

Rok szkolny zdawał się iść spokojnym trybem w uniwersytecie. W listopadzie 1828 r. zaszedł jednak fakt niemiły, w którym i Zygmunt Krasiński ubocznie odegrał pewną rolę. Dnia 14 listopada, na wykładzie historyi prof. Bentkowskiego, ktoś wśród słuchaczów rozmową wykładającemu przeszkadzał. Zdawało się Bentkowskiemu, że to Ludwik Wołowski i po wykładzie ostro go za to skarcił, pomimo, że ten zapewniał go o swej niewinności. Gdy Bentkowski w ostrym tonie nakazywał Wołowskiemu milczenie, inni uczniowie »zaczęli okazywać swoje nieukontentowanie«. Rzekł im Bentkowski: »Panów razem przestrzegam, że takie gburowskie postępowanie hańbi uczniów uniwersytetu«. Na lekcyi następnej 17 listopada obrażeni uczniowie »wytupali« Bentkowskiego. Pierwotna kara surowa złagodzona

została w ten sposób, że główni winowajcy: Ludwik Wołowski i Leon Łubieński skazani zostali na cztery dni aresztu (zamiast relegacyi na 2 lata), następujący zaś uczniowie otrzymali dwa dni aresztu (zamiast cichej relegacyi na rok jeden), przyczem porządek osób jest tu wskazówką większej winy: *Zygmunt Krasiński*, Mieczysław Potocki, Dominik Magnuszewski, Julian Dąmbski, Konstanty Danielewicz, Aleksander Miączyński. Zygmunt Krasiński zatem wiedzie rej w kategoryi uczniów, skazanych na dwudniowy areszt. Można sobie wystawić, co się działo w pobliskim pałacu na wiadomość, że syn jenerała ma spędzić noc w kozie. Ile to znieść musiał biedny Zygmunt ostrych przymówek od babki, ile surowych wyrzutów od ojca! A jak unikać musiał wzroku pani Załuskiej! Z karceru uniwersyteckiego pisał skruszony młodzieniec do ojca kilka listów na bibulastym papierze. Widać, że to krótkie więzienie upokorzyło go niemało:

»Kochany Papo!

Pod samym strychem siedzę w ciepłym pokoiku, wiatr zimny naokoło mnie, naprzeciwko okna wieże św. Krzyża się czernią. Piszę i czytam. Teraz iadłem kolacyę, niezadługo położę się spać — niech Papa pewnym będzie, że drugi raz coś podobnego mnie nie spotka. Niech mi Papa przebaczy moie przewinienia. A ia przyrzekam uroczyście, że święcie dotrzymam słowa danego. Zygmunt Krasiński.«

Źle zaczęty rok szkolny nie wesoło się zapowiadał. I w uniwersytecie i w mieście nie mówiono o niczem innem, tylko o Sądzie Sejmowym, o wyroku uniewinniającym, o gniewie Mikołaja i korespondencyi

jego z Radą Administracyjną Królestwa Polskiego (grudzień 1828 r.). To wszystko, o czem zaraz szczegółowiej pomówimy, trzymało w naprężeniu miasto całe. Zygmunt Krasiński smutny był przez całą tę zimę, jakby w przeczuciu decydujących w życiu jego wypadków. 11 stycznia 1829 r. pisał do nieobecnego w Warszawie ojca: »...Bardzo smutno w domu bez Papy, wieczory u Babuli długie, dnie w pokoiu także długie, wszystko idzie niezmiennie, posępnie, czas się toczy poważnie, powoli, tak jak postylion saski. Monotonia, rozerwana tylko świstem wichrów, lub brzękiem srebra, którym stół nakrywają, wielowładnie panuie; ogień nawet wolniey zdaie się palić na kominku. A do tego czas zimny, niebo *pochmurne*, zasłane pościelą zimy dachy i bruki, wiatr ostry...«

Młody autor interesował się też żywo, czy najnowszy utwór jego znajdzie łaskę w oczach rodzica:

»Jeśli Papa rzucił okiem wśród podróży i ważnieyszych zatrudnień na *Zbigniewa*, zapewnie nie podoba mu się charakter Mestwina, ale musiałem go tak zbrodniczym wydać, żeby Zbigniewa uszlachetnić, bo ten i ten występny, ale pierwszy w zamiarach i czynach, drugi tylko w czynach«. (Tenże list).

Kiedy tak uczeń uniwersytetu warszawskiego ogłaszał »Grób Rodziny Reichstalów«, a przygotowywał do druku »Zbigniewa«, utwory przepojone ideą zemsty, tymczasem naokoło niego atmosfera polityczna stawała się coraz więcej duszną i parną. Zanosiło się coraz widoczniej na burzę, w której pobudki zemsty i odwetu miały odegrać piorunującą rolę.

V.

Sąd sejmowy.

Ostatnie lata panowania Aleksandra I zaznaczyły się w Królestwie szeregiem faktów, dowodzących, że ufność narodu do króla ustąpiła miejsca podejrzliwości obustronnej. Konstytucya była zredagowana niedokładnie i dawała pole do nieporozumień, stawianych nieraz bardzo ostro. W Sejmie wytworzyła się opozycya, kierowana przez braci Niemojewskich z Kaliskiego, stąd partyą Kaliską zwana. Była ona poniekąd echem mów Benjamina Constant i jenerała Foy; nie liczyła się z arcytrudnem położeniem Królestwa. Była niewczesną, choć zrozumiałą wobec szaleństw w. ks. Konstantego. Aleksander I nie chciał żadnej parlamentarnej opozycyi uznawać; w myśli jego, sejm miał być wyrazem potrzeb i życzeń kraju, do *krytyki* rządu nie miał się mięszać. Były to pierwsze kwasy, które niebawem miały zatruć życie konstytucyjne Królestwa.

Od r. 1820 mnożą się w Europie objawy wzmożenia się absolutyzmu z jednej i krecia robota stowarzyszeń tajnych z drugiej strony. Szereg faktów wpły-

nął zniechęcająco i zastraszył Aleksandra I: zamordowanie Kotzebue'go, ajenta rosyjskiego w Niemczech, księcia de Berry we Francyi (1820 r.), wreszcie powstania w Neapolu i Hiszpanii. Zjazdy monarsze w Opawie (listop. 1820), w Weronie (1821) i Lublanie uchwaliły zasadę zbrojnej interwencyi w razie wybuchnięcia rewolucyi gdziekolwiekbądź w Europie. Rozpoczęto prześladować związki uniwersyteckie młodzieży, w Niemczech naprzód; w Wilnie doprowadza Nowosilcow do aresztowania Filaretów i do ustąpienia Ad. Czartoryskiego z kuratoryi wileńskiej. W Aleksandra I wmawiają, że hydra rewolucyjna korzysta z jego liberalnych zarządzeń.

Na dobitek stan finansowy Królestwa, które odziedziczyło po Księstwie Warszawskiem niemoc ekonomiczną, doszedł w r. 1821 do tego, że skarb począł zalegać w wypłatach, od 2 miesięcy nie dawał płacy urzędnikom publicznym, na żołd dla wojska nie miał dostatecznej gotówki. Nowy minister skarbu, książę Lubecki, odwołał się do patryotyzmu, wykazując, że finansowe kłopoty Królestwa mogą i polityczny byt tegoż skompromitować. Rozpoczął się ucisk fiskalny. Lubecki w środkach nie przebierał, ale bądź co bądź skarb wypełnił. Założono wówczas Tow. kredytowe ziemskie i Bank Polski.

Niekonstytucyjne rządy, gwałty Konstantego, wpłynęły na tworzenie się tajnych towarzystw patryotycznych, którym dodawały bodźca moralnego nastrój rewolucyjny Włoch i Hiszpanii ówczesnej, tudzież ogólne niezadowolenie z wyników kongresu wiedeńskiego; były to jakby ostatnie fale rozbudzonych

i zawiedzionych przez Napoleona nadziei, dążących *quand même* do jakiegoś urzeczywistnienia wielkich pragnień swobody.

Od r. 1819 istniało na polskiej ziemi wolne mularstwo narodowe. Na rozkaz Aleksandra I wszystkie loże w Królestwie zamknięto. Wtedy wielki mistrz lóż utworzył tajemny związek Węglarzy polskich. Po wstąpieniu do tego związku jenerała Umińskiego i pułkownika Prądzyńskiego (1821 r.), po naradach utworzono 3 maja t. r. powszechne narodowe Towarzystwo patryotyczne. Związek ten, podzielony na 7 prowincyj, rozwijał się energicznie. W r. 1822 dochodziła liczba związkowych do 5000. Do związku wcisnął się ajent policyjny Karski i wydał główne osoby związku. Zyc i Dzwonkowski odebrali sobie życie w więzieniu. Łukasiński nie wyjawił związku. Cichowski męczarnie zniósł, uwiecznione w opowiadaniu Adolfa w III części Dziadów. Po daremnem 2-letniem śledztwie oddano Łukasińskiego, Dobrogojskiego, Dobrzyckiego, Koszuckiego, Machnickiego i Szredera, wbrew ustawie urzędowej, pod nadzwyczajny sąd wojenny, którego prezesem był jenerał Hauke, minister wojny. Wyrok wykonano 1 października 1824 r. na placu Krasińskich; skazanych zakuto w kajdany i odesłano do twierdzy w Zamościu.

Towarzystwo patryotyczne przycichło, ale nie zamarło, owszem wzrosło do 8000 członków. Na czele stanęli teraz podpułkownik Krzyżanowski, Jędrzej Plichta i Wojciech Grzymała. Tymczasem Łukasiński chciał się wyrwać z twierdzy przy pomocy współwięźniów. Zamach na straż nie udał się. Katowany

pod pałkami zaczął Łukasiński niejedno zeznawać, co zaraz odwoływał.

Po śmierci Aleksandra I wybuchło powstanie dekabrystów 1825 r. w Petersburgu. Śledztwo z Pestlem, Bestużewem i Murawiewem wykryło związek sprzysiężenia rosyjskiego z Towarzystwem patryotycznem polskiem. Zeznania spiskowców rosyjskich potwierdziły to, co wymęczono pałkami na Łukasińskim. W styczniu i lutym 1826 r. uwięziono mnóstwo osób w Królestwie i ziemiach zabranych. Po ukończeniu śledztwa z Łukasińskim i innymi chodziło o to, kto ma sądzić? W. ks. Konstanty i Nowosilcow byli za sądem wojennym, ale Lubecki, bardzo już wpływowy w rządzie Królestwa i w Petersburgu, umiał przekonać króla Mikołaja, że w tej sprawie powinien wydać wyrok tylko sąd sejmowy (§ 142 konst.). Mikołaj zwołał w kwietniu 1827 r. sąd sejmowy przeciw Sew. Krzyżanowskiemu, Stan. Sołtykowi, Majewskiemu, ks. Dembkowi, St. Zabłockiemu, Wojc. Grzymale, And. Plichcie i Romanowi Załuskiemu, oskarżonym o zbrodnię stanu. Prezesem sądu zamianował król Piotra Bielińskiego.

Opinia publiczna była po stronie więźniów stanu. Senat polski miał zadecydować, czy było zbrodnią stanu myśleć o odbudowaniu całej ojczyzny. »Na podstawie nowo przeprowadzonego śledztwa uznał sąd sejmowy, mimo przeciwnego zdania prokuratora, że oskarżonym, którzy opierając się na oświadczeniach Aleksandra I, nieraz ponawianych, pragnęli połączenia ziem polskich, a żadnym czynem gwałtownym nie zamanifestowali życzenia swego, nie

można zarzucać zbrodni stanu według określenia zawartego w ustawie karnej co do tej zbrodni, i że jedyną winą, w jaką popadli rzeczywiście, jest nieodkrycie spisku rosyjskiego', o którym wiedział Krzyżanowski i inni. W braku więc dowodów prawnych uwolnił ich od zarzutu zbrodni stanu, a za nieodkrycie spisku rosyjskiego skazał Krzyżanowskiego na 6 lat, innych na 3—2 lata więzienia, Sołtyka, Zabłockiego i Załuskiego uwolnił całkowicie. Wyrok zapadł jednomyślnie — tylko jenerał Krasiński, w myśl wniosku prokuratora, głosował za karą śmierci«.

Wyrok sądu sejmowego dogodził najserdeczniejszym pragnieniom narodu polskiego, ale rozjątrzył w. ks. Konstantego, obruszył do żywego Mikołaja. Publiczność warszawska na rękach niemal nosiła sędziów senatorów, Mikołaj I zaś twierdził w liście własnoręcznym do w. ks. Konstantego, że prezes sądu, senator Bieliński, uchybił obowiązkom względem króla i ojczyzny i sam powinien być oskarżony o zbrodnię stanu. Stosownie do przedstawień w. ks. Konstantego, nadesłał król Mikołaj zapytanie do Rady Administracyjnej, »czy wyrok sądu sejmowego przypisać należy mylnym wyobrażeniom o naturze zbrodni stanu, czy też chęci podniecania najwystępniejszych zamiarów?« Ministrowie polscy radzili przez dwa miesiące nad tem, co odpowiedzieć na takie zapytanie? Rada Administracyjna, zestawiwszy mniemania wszystkich ministrów, przełożyła królowi (10 grudnia 1828 r.) w formie urzędowej ich zdanie zbiorowe, przypisujące wyrok sądu sejmowego uło-

mności ustawy karnej, obowiązującej w Królestwie, a nie złej woli senatorów. Był to zręczny wybieg Lubeckiego, który wprawdzie ocalił jego własną sytuacyę w Petersburgu, ale Mikołaja I nie przejednał. Senatorowie pozostali aż do zatwierdzenia wyroku pod dozorem policyi w Warszawie. Mikołaj I zatwierdził wreszcie wyrok, ale rozkazał rządowi Królestwa, aby wszystkim senatorom sądu, *z wyjątkiem jen. Krasińskiego*, oświadczył niezadowolenie monarchy. Proces Towarzystwa patryotycznego zakończył się pozornem zwycięstwem opinii publicznej Królestwa, ale w zasadzie przesądził on już stosunek narodu do Mikołaja. Rewolucya była tylko kwestyą czasu i to niezbyt długiego.

Jenerał Krasiński nie taił swych zapatrywań. Zanim jeszcze rozpoczął sąd sejmowy swe czynności, Wincenty Krasiński wypowiedział otwarcie swe zdanie. Kaj. Koźmian przechował nam ważne pod tym względem szczegóły. Na jakimś obiedzie rozprawiano »o trudnem położeniu przyszłego sejmowego sądu, powołanego do potępienia tego, co każdy dobry Polak w sercu nosi i doczekać sobie życzy«. Krasiński ze zwykłą sobie otwartością, a może i nieostrożnością rozprawiając, nie taił trudnego położenia. »Ubolewam — rzekł — nad nierozwagą i zaślepieniem tych, co się dali wciągnąć w spisek rosyjski przeciw cesarzowi Aleksandrowi, lecz nie taję mego przekonania, że komu z nich dowiedzionem będzie należenie do spisku, mam go za zbrodniarza stanu, bo naraził na zgubę to, co mamy, i czego, jako ciało konstytucyjne, to jest senat, obrońcami od wszelkich zama-

chów jesteśmy, a jeżeli mam za zdrajców stanu cywilnych, podwójnie uważam za takich wojskowych, jak np. Krzyżanowskiego, który zgwałcił przysięgę rycerską i wierność chorągwi, pod którą służy«.

Na to Niemcewicz z oburzeniem rzekł: »Więc życzenie niepodległej Polski, jako Polak, uważasz za zbrodnię stanu? Nie pojmuję tego patryotyzmu, który dotąd wyznawałeś«. — »Nie *życzenie* potępiam, które sam, jako dobry Polak, w sercu noszę, lecz kuszenie się nierozważne o dopięcie tego życzenia, niepodobnego w tej chwili do uiszczenia, a przez to zgubnego i równie występnego przeciw Polsce dziś istniejącej, jak przeciw władzy, której zaprzysięgliśmy wiarę«. — »Więc oskarżonych potępisz w sądzie sejmowym?« — »Nie wiem, pójdę za mojem przekonaniem, według dowiedzionej lub niedowiedzionej winy«.

Po skończonym obiedzie wyszedł Niemcewicz rozgniewany, mówiąc do Kaj. Koźmiana: »Odtąd noga moja w jego domu nie postoi i rozumiem, że każdy prawy człowiek to samo zrobi«. — Niemcewicz był wielką powagą w ówczesnej opinii. Zdania jego o Krasińskim zaczęły krążyć po Warszawie, wielu zaprzestało bywać u jenerała. Zmiennym jest ogół. Popularnemu do niedawna jenerałowi śmiano nawet zarzucać, że zdradzał przed w. ks. Konstantym tok obradowania sądowego. (Powodem pogłosek był fakt, że jako komendant gwardyi codzień musiał się stawiać po rozkazy, a niedość przezorny Krasiński złą wybrał do tego porę, bo po każdej sesyi senatu do

w. ks. Konstantego spieszył). Kaj. Koźmian zapewnia na podstawie zeznań brata swego, biskupa kaliskiego i arcyb. Woronicza, że jenerał Krasiński »zachował się (w czasie sądu sejmowego) z umiarkowaniem, że skłonniejszy był znaleść oskarżonych niewinnymi, niż karać surowo winnych«.

Dlaczego zatem, sam jeden z senatorów, za karą śmierci głosował? — Bo tak mu dyktowało wewnętrzne, silne przekonanie. Z rozmowy jego z Niemcewiczem widocznem było, że nie da się uwieść podszeptom serca, ale wypełni konsekwentnie wymagania rozumu i wojskowego honoru. Wyjaśniając Niemcewiczowi swój punkt zapatrywania, położył jenerał Krasiński dwukrotnie nacisk na doniosłość przysięgi: »Krzyżanowski zgwałcił przysięgę rycerską i wierność chorągwi«, a dalej: »władzy zaprzysięgliśmy wiarę«. Kto, jak on, wiernie wytrwał przy boku Napoleona, póki go sam cesarz Francuzów z przysięgi wierności nie zwolnił, ten świeżej przysięgi na wierność Królowi Mikołajowi lekceważyć nie mógł. Tu jest klucz do zrozumienia i głosu jenerała w sądzie sejmowym 1828 r. i postąpienia jego w rewolucyi listopadowej.

Ogół odwrócił się wówczas od niego i za renegata poczytał. Dziś wiemy, że niesłusznie, że jenerał Krasiński głosował za skazaniem członków Towarzystwa patryotycznego z całkiem zrozumiałych pobudek, które sam najlepiej określił, mówiąc do Niemcewicza: »Nie życzenie potępiam, ale kuszenie się nierozważne o dopięcie tego życzenia...«

Dziś, kiedy mamy poza sobą bolesne doświadcze-

nia lat 1831 i 1863, kiedy niema u nas już żadnego poważnego, politycznego stronnictwa, któreby śmiało otwarcie, czy skrycie do zbrojnego wzywać powstania — dzisiaj spokojnie już możemy ocenić pobudki działania Wincentego Krasińskiego, możemy oddać mu sprawiedliwość i powiedzieć, że dał wówczas rzadki u nas przykład hartu duszy i obywatelskiej odwagi, kiedy śmiało poświęcić chciał jednostki dla ratowania bytu narodu. A historya polska przez usta jednego ze swych mistrzów dała już świadectwo prawdzie. Kalinka, który bystro przejrzał i ocenił warunki ówczesne, mówi tak o członkach Towarzystwa patryotycznego, których działalność narażała byt Królestwa Polskiego:

»Bóg w swem niewyczerpanem miłosierdziu podawał nam drabinę, po której trzeba było tylko cierpliwie wstępować ze szczebla na szczebel, aby bezpiecznie wyjść na sam szczyt. I czy to wszystko było tak małą korzyścią, aby się godziło ją niszczyć? ażali ci, co te korzyści na szwank wystawiali, byli względem narodu niewinni? Jakież prawo mieli odbierać Polsce to, co miała, a czego zastąpić jej nie byli zdolni? kto ich upoważnił do wyrzeczenia, że już zbliża się czas do ostatecznej o śmierć lub życie rozprawy? Że byli między nimi ludzie szlachetni, pełni zapału i miłości ojczyzny, któż temu przeczy? ale odkądże to wolno dla indywiduów, którzy zresztą własną lekkomyślnością ściągnęli na siebie karę, poświęcać kraj? Że kobiece serce mogło się tutaj zawahać, to pojmujemy; ale mąż stanu, ale senator

powinien, kiedy potrzeba, gwałt zadać uczuciu, pilnować zasady«.

Taksamo *myślał* zapewne niejeden z senatorów Królestwa Polskiego w r. 1828; tak *zrobił* tylko jeden z nich: Wincenty Krasiński. Rozumiemy dziś dobrze pobudki szlachetne tych, co pragnęli rodaków, dążących do niepodległości ojczyzny, oswobodzić; chciejmy także zrozumieć i wniknąć w pobudki działania tego, który wbrew żądzy popularności, tak łatwej przecie do zadowolenia, wyżej nad dobro jednostek stawiał szczęście przyszłych pokoleń.

VI.

Zajście w Uniwersytecie.

Co się działo tymczasem w duszy i w sercu szesnastoletniego młodzieńca? Czy zdawał on sobie jasno sprawę z położenia, w jakiem się ojciec jego znalazł? Trzeba przypuścić, że zrazu nie. Najbliżsi koledzy szkolni i przyjaciele, Gaszyński lub Danielewicz, ci mu z pewnością nie powtarzali krzywdzących pogłosek o jenerale, nim jeszcze wyrok sądu sejmowego zapadł. Ale po wyroku? Gdy Warszawa cała niemal na rękach sędziów nosiła, co uniewinnili, a przynajmniej od śmierci uratowali członków Towarzystwa patryotycznego, czy wtedy mógł on nie wiedzieć, że tylko ojciec jego za karą śmierci głosował? A jeśli wiedział? jakiż nawał sprzecznych uczuć wstrząsnął nim całym! Jakież noce bezsenne, różne od tych, rozmarzonych rojeniami serca i rojeniami literackiemi, spędzał teraz, aby znaleść odpowiedź na pytanie: dlaczego ojciec nie tak głosował, jak inni, jakby serce polskie pragnęło? Dlaczego nie bywa już u nas stary Niemcewicz, dlaczego tylu innych przestało bywać? Co się stało? Czyż ojciec nie ten

sam, napoleoński żołnierz, co za Polskę krew przelewał?

Pytania te rojem natrętnym cisnęły się do młodej duszy i nie dawały spokoju. Ojca badać nie śmiał, z przyjaciółmi mówić o ojcu nie chciał, a drugiego Kalinki przy sobie nie miał...

Ale miały nadejść gorsze dla niego chwile. Dnia 6 marca 1829 r. umarł senator wojewoda Piotr Bieliński, prezes sądu sejmowego. »Stolica przygotowała się na uczczenie zasług jego w hołdzie pogrzebowym. Nie chcąc w nim dozwolić udziału młodzieży szkolnej (pamiętano zapał, jaki była przy pogrzebie Staszica objawiła), władza uniwersytecka z wyższego polecenia ogłosiła nakaz, aby w dniu obrzędu wszyscy bez wyjątku uczniowie znajdowali się na prelekcyach«.

Niepotrzebny zakaz rozdrażnił tylko młodzież akademicką; wszyscy studenci uniwersytetu związali się słowem, że na pogrzeb Bielińskiego pójdą. »Jenerał Krasiński zażądał podobno od syna przyrzeczenia (mówię *podobno*, bo zawsze syn temu zaprzeczał), że się okaże powolnym rozporządzeniu zwierzchności uniwersyteckiej«. W Pamiętnikach swych A. E. Koźmian w innych słowach rzecz przedstawia: »ojciec zakazał znajdować się na pogrzebie Bielińskiego, a raczej (?) żądał niepotrzebnie, aby w tym razie posłuszeństwem woli ojcowskiej udowodnił swoją miłość synowską«. Pierwszy raz znalazł się Zygmunt w położeniu bez wyjścia — albo raczej z wyjściem bolesnem dla młodej duszy, kochającej Polskę i ojca, a zmuszonej w tym dniu wybierać między powszech-

nym aktem patryotycznym, a niezłomną wolą ojca. »Wyobraź sobie — mówi A. E. Koźmian — że masz wybierać śmierć ojca lub matki, syna lub córki, a pojmiesz męczarnie tych, których los stawia między sprzecznemi targaniami sumienia«. Zygmunt Krasiński z rozpaczą w duszy uległ rozkazowi ojca, w dniu pogrzebu Bielińskiego, dnia 13 marca 1829 r., znalazł się sam jeden ze studentów w gmachu uniwersyteckim i jeden jedyny słuchał wykładu prawa polskiego, od którego mógł był przecie zwolnić jedynego słuchacza prof. Bandtke.

Koledzy Zygmunta Krasińskiego dowiedzieli się o tem i na drugi dzień, dnia 14 marca, przed i po prelekcyi Osińskiego, obrzucili go gorzkiemi wyrzutami, »mieniąc go niegodnym swojej kompanii«. Niedawny przyjaciel jego, Leon Łubieński, znieważył go najdotkliwiej, obdarł mu znaki akademickie z kołnierza. Małego wzrostu, mizerny, wątły Zygmunt byłby uległ brutalnej przemocy, gdyby nie pomoc i obrona wiernego druha Konst. Gaszyńskiego; raz jeszcze przyszło do podobnie przykrej sceny w uniwersytecie. Obronił Zygmunta wówczas drugi przyjaciel, Konstanty Danielewicz.

Takich chwil nie zapomina się na resztę życia, chociażby się było najpospolitszym ze śmiertelników, a cóż dopiero gdy się ma wrażliwą duszę przyszłego poety.

Rozpacz, wściekłość, żądza odwetu musiały trząść nim, jak wichry jesienne wątłem drzewkiem. Jeszcze po latach wielu, gdy inne cięższe, zmartwienia pierś mu gniotły, odzywała się ta pierwsza, serdeczna

blizna; w *Niedokończonym poemacie* mówi młodzieniec do Aligiera (Danielewicza):

»Ot, widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rówieśników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węża załamane schody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny... Nieprawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach. Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! krzyczą: »panicz! panicz!« jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół — za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał...

»Krzyknąłeś — oni odpadli odemnie, jak liście suche odpadli odemnie...

»Tak, czuję jeszcze twój uścisk. Słyszę jeszcze głos twój: »oni niesprawiedliwi. Ty bądź więcej, niż sprawiedliwy — przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach«. — Potem zeszliśmy razem, a tyś przechodząc wśród nich spokojnym czasem powtarzał głosem: »hańba wam!«

Być więcej, niż sprawiedliwym, jak doradzał Danielewicz, trudno było, jak trudno! rozdrażnionemu młodzieńcowi. A przecież przełamał się i kolegom przebaczyć potrafił. W tydzień po głównem zajściu

miał miejsce następujący fakt, który podajemy tu według urzędowego raportu inspektora Carré do inspektora jeneralnego przy uniwersytecie warszawskim. (Na ważniejsze ustępy zwracamy uwagę drukiem rozstrzelonym:)

»Gdy dziś uczeń Zygmunt Krasiński wszedł do auditorium, gdzie od 5—6 literatura polska przez W-o profesora Brodzińskiego wykładaną być miała, dało się słyszeć po lewej stronie małe szurgotanie nogami, które ustało, jak tylko tenże uczeń, poprosiwszy o głos, z niemałym zapałem do obecnych uczniów w te się odezwał słowa: »oskarżony jestem, jakobym miał powiedzieć, że mąż, który niedawno pochowanym został, nie wart jest szacunku. Ponieważ tego przed nikim nie powiedziałem, że nawet o tem nie myślałem, ogłaszam za fałsz i potwarz, co tylko w tej mierze kto powiedzieć może; gdy twierdzą, żem miał któremu z kolegów oświadczyć, niechaj występuje ten, który miał to odemnie słyszeć. Niechaj występuje! Dlaczego nikt się nie odzywa?! Gdzie jest?! Co mam z tego wnosić, zdaje się, że więcej nie potrzebuję dla przekonania, że na mnie potwarz rzucona jest. Byłem wprawdzie z tej przyczyny od kolegów znieważony, lecz im to z serca daruję, nie oskarżyłem ich i nie oskarżę«. Jak skończył te słowa, wszedł W. Brodziński do audytoryum. Prelekcya była wykładana w przykładnej spokojności. Ledwie opuścił salę, występuje uczeń Leon Łubieński i zapewnia wszystkim słowem honoru, że to jemu powiedział Zygmunt Krasiński, gdy

szli razem na prelekcyę finansów. Tu dopiero wszczęła się żywa kłótnia między jednym i drugim. Nareszcie po długich sprzeczkach Zygmunt Krasiński wyzwał formalnie Leona Łubieńskiego na pojedynek, nazywając go kłamcą i potwarcą. Wtem WBrodziński, któremu podinspektor Rosiński dał znać, powrócił do auditorium. Uwiadomiony od podpisanego o wszystkiem, wzywał uczniów, aby do przybycia JWRektora zatrzymali się w audytoryum. Dopiero zabrał głos, gdy doniósł mu bedel, że JWRektora w domu niema. Tyle dokazał prośbami, uwagami i znaną wymową, iż do podania sobie przyjacielskiej ręki obydwie strony nakłonił z wielkiem ukontentowaniem obecnych audytorów, którzy przez niejaki czas jednomyślnie wołali: »zgoda, zgoda, niechaj wszystko będzie zapomniane!« Gdy to się stało, spokojność ledwie nie była przerwana przez krzyki jakiejś cudzej młodej osoby (Gurowski), której kazano wyjść z audytoryum. Zaraz po skończeniu prelekcyi chciał inspektor wydziałowy wszystko ustnie W-u Inspektorowi Jeneralnemu opowiedzieć, lecz nie zastawszy go w domu, ma za obowiązek uskutecznienia tego na piśmie.

Dan w Warszawie 20 marca 1829 r.

Honoryusz Carré«.

Napróżno Brodziński pogodził pozornie dwóch młodzieńców. Krzywda, Krasińskiemu wyrządzona, była zbyt ciężką. Łubieńskiemu nie przebaczył on ani wtenczas, ani nawet po latach, gdy go ten o przebaczenie błagał. Rada uniwersytecka skazała obu na

»ciche oddalenie z uniwersytetu« (relegacyą) dnia 24 marca 1829 r.

Zajście to w uniwersytecie starło przedwcześnie złudzenia i rojenia młodzieńcze; zaszczepiło w duchowym organizmie Zygmunta, z natury już po matce do smutku skłonnym, jakiś zarodek goryczy, którą przesiąkną wszystkie jego, nieliczne w życiu radości. »Kto wie, mówi współczesny A. E. Kożmian, czy ta godzina uniwersytecka nie była dla Z. Krasińskiego tą chwilą, która nadała całemu życiu jego kierunek i właściwy charakter jego uczuciom syna i Polaka. On sam wyraził tę myśl w tym wierszu, w którym rzekł, że

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały;
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.“

A stary Kaj. Kożmian, który patrzał w długiem swem życiu na niejedną nikczemność ludzką, zapisał na starość w Pamiętniku swym (III, 319) te ostre i prawdziwe słowa: »Wielu z zapalonych śmiałków, którzy pierwsi ręce wznieśli dla znieważenia Zygmunta Krasińskiego, dziś posiada intratne urzędy, u obecnej władzy jest w znaczeniu, kiedy przeciwnie Zygmunt Krasiński, już dziś mąż dojrzały, trawi życie jak męczennik najszlachetniejszch uczuć, dowodząc ciągle, czem był już podówczas i jakie zasady prawdziwej miłości ojczyzny, w domu rodzicielskim nabyte, w duszę jego wrosły...«

Jenerał Krasiński mógł być z syna zadowolony; dał on »próbę kochania«, ale ojciec zrozumiał teraz,

że syna w Warszawie dłużej zatrzymać znaczyłoby to narażać go na ciągłe obelgi rówieśników. Wykształcenie rozpoczęte, a tak fatalnie przerwane, musiało gdzieś znaleść ciąg dalszy. Pora było namyśleć się, co zrobić.

Tymczasem Zygmunt miał przymusowe wakacye już od końca marca 1829 r. Można być pewnym, że całą wiosnę, lato i jesień tego roku spędził pracowicie w Warszawie i Opinogórze; w książkach szukał nietylko rozrywki, ale ukojenia w ciężkim smutku. Pisał dalej drobne powiastki historyczne na wzór Walter-Scota, wykończał swego *Zbigniewa.* Wprawdzie i powiastki te (Mściwy Karzeł i Masław, Zamek Wilczki) i powieść historyczną o Władysławie Hermanie ogłosi Zygmunt Krasiński dopiero w roku następnym, ale powstały one z wszelką pewnością w Warszawie i Opinogórze przed wyjazdem jego za granicę i noszą współczesne, charakterystyczne znamiona. Zanim młodociany ich autor Polskę opuści, rozpatrzmy się dokładniej w literackim jego dorobku z okresu warszawskiego.

VII.

Twórczość okresu warszawskiego.

Namiętne rozczytywanie się w powieściach i poezyach, zwłaszcza zamiłowanie w utworach Walter-Scotta, zwróciło wcześnie fantazyę, niemal dziecinną jeszcze, ku przeszłości dziejowej polskiej. Zależało przedewszystkiem na uświetnieniu stron rodzinnych, dziedzicznej Opinogóry, równin mazowieckich, Ciechanowa, ruin książęcego zamku, wznoszących się nad szeroko rozlewającą Lidynią — tych wszystkich miejsc, które w dzieciństwie swem i pacholęcem wieku przebiegał tylekroć Zygmunt Krasiński.

Umysł jego badawczy częste sobie zadawał pytanie: »skąd nazwisko *Opinogóra?*« Nie mogąc nigdzie znaleść »początku lub powodu takiego imienia«, puścił wodze dziecinnej fantazyi; skoro historya nie dawała mu objaśnienia zagadki, sięgnął do przedhistorycznej epoki, do czasów pogańskich, kiedy to »horda słowiańska«, nie znająca jeszcze chrześciaństwa, »zamieszkiwała płaszczyzny, a Opin, *pan trzech pagórków*, władał nad nimi«. Tak powstała błaha co do treści historyjka »Pan Trzech Pagórków«, uświe-

tnienie Opinogóry, złożone w hołdzie jej dziedzicowi d. 6 kwietnia 1828 r. Nie tyle się tu dziwić temu, co słabe, jak raczej temu, co już dobre i dobrze wyrażone. Zadziwia chęć dobrania archeologicznego tła (»srebrna Dziedzilia«, Marzanna, Poświst, dalej nazwy słowiańskie głównych figur opowiadania). Znamienną cechą będzie odrazu zamiłowanie w krwawych, mściwych i okrutnych postaciach. Opin jest dziecinnie przerażający; jest to jakiś cyklop, druzgocący na prawo i lewo bez potrzeby: »maczuga Opina siała rzeź i — rany(!) — miecz ciężki druzgotał głowy wrogów... mógł być Lwem — wolał zostać Tygrysem«(!).

Wstęp i koniec, to jakby ramki, obejmujące właściwy obrazek Pana Trzech Pagórków. Kiedy dziś historya Opina nic już nas nie obchodzi, te ramki, te osobiste zwierzenia i wspomnienia zachowały swą wartość; rzeczowo i formalnie są najlepszą cząstką na wpół dziecinnego utworu.

Komuś, co pierwszy raz widzi ciechanowskie łąki i mokradła, wyda się okolica ta najzwyklejszą w świecie; dla niego drogi tam najmniejszy krzaczek. »Ledwie, że każdego kwiatka nie pamiętam«. Czem dla Mickiewicza w dzieciństwie były ruiny baszt nowogrodzkich, tem dla podrastającego Zygmunta Krasińskiego stały się »ciechanowskiego zamku ostatki«. Dawały oparcie rojeniom o »dzielnych rycerzach«, »hożych dziewicach«, mostach zwodzonych itd. Ale rozmarzony przeszłością student uniwersytetu boleśnie odczuwał współczesny stan swej ojczyzny. Sąd sejmowy wisiał jak miecz Damoklesa nad głowami wszystkich. To też nawet do tej nie-

winnej powiastki o fantastycznym Opinie mięszają się gorzkie rozmyślania o dzisiejszym stanie, »obecnych nieszczęściach«. Już tu się znaczy gorąca miłość rodzinnej ziemi: »Okrzyki wolności nie odbijają się już teraz o zczerniałe sklepienia, nie tętnią kopyta, nie dźwięczą puhary, nie krzyżują się już żelazne pałasze. Ręka, która je ujmowała, spoczywa w grobie — zimny głaz wstrzymuje jej zwycięskie zapędy — mech wije się nad niezwalczonym bohaterem — sławy tylko pamięć została — a te mury, te baszty, skropione rannemi jutrzenki łzami, zdają się płakać nad zbiegłemi laty, nad dzielnemi pany. Codzień kamień odpada, codzień część wieży runie na ziemię; nieprzebite razami nieprzyjaciół warownie w proch się rozsypują, a ten proch się miesza z popiołami dawnych panów, z ostatkami zardzewiałej broni. Dumałem ja w tym zamku, zmęczony biegiem, kładłem broń na ziemię, a wlepiając oczy w naddziadów siedliska, przypominałem sobie dzieje ojczyzny. Wiatr czasem przerwał milczenie — czasem kruk złowieszczym głosem przypomniał obecne nieszczęścia. Księżyc, wschodzący z za chmury, zastał mię nieraz opartym o głaz nieczuły, zgłębiającym dawne czasy. Promienie pochodni niebios zlewały się na mnie i, żałobnym światłem oblewając ostatki dawnej chwały, trącały o leżące kamienie, o wijące się rośliny, a kiedy natrafiały na ułamki miecza lub zbroi, w promienistych rozlewając się strumieniach, zdawały się radować, że na niewolniczej ziemi spotkały ślady dawnej wolności«.

Już z listów trzynastoletniego Zygmunta z Podola przebijało żywe poczucie wdzięków natury, wyrażone tam jeszcze nieudolnie. Częstsze obcowanie z przyrodą wydaje po latach trzech obrazki o barwach pełniejszych, bezpośrednich: »Cały dzień goniłem za lisami i zającami, nie zważając na schylające się ku zachodowi słońce. Właśnie już teraz ostatnie światła promienie złociły iglastych sosen wierzchołki i szczyty poważnych dębów; ptaki rozliczne ostatnim śpiewem modlitwę wieczorną wznosiły do Boga; gdzieniegdzie liść zaszeleściał pod lotną stopą zwierza, wracającego do nocnego łożyska, czasem kraska lub różnobarwna sójka przeleciała nad głową i, pociągnąwszy dalej, siadła na jakiem drzewie — tam oblana promieniami słońca, zdawała się unosić po falach złotego potopu. — Wietrzyk raz, nizkie poruszając krzewy, igrał z każdym liściem i kwiatem, drugi raz, okręcając się na około stuletnich lasu olbrzymów, nachylał ich gałęzie na wszystkie strony. — Czasem też zupełna panowała cisza«. — Zwracają w końcu uwagę naszą pierwsze wiersze, w których klasyczny tok Niemcewicza łamie się w końcowych strofkach (8 i 9). Znać tam już powiew Mickiewiczowskiej »Ody do Młodości«.

Pomimo licznych, przeważających stron słabych »Pana Trzech Pagórków«, pomimo naturalnego całkiem rozmiłowania się w okropnościach drugorzędnego romantyzmu i krzywych rysów nieudolnej jeszcze ręki, pierwszy ten datowany utwór Zygm. Krasińskiego ma

pewne cechy charakterystyczne, które w historyi jego ducha należało tu uwydatnić.

Ważniejszym bez porównania jest drugi utwór młodziutkiego autora: Grób Rodziny Reichstalów. Jest to pierwsza, dziecinna prawie w swych usterkach, próba ujęcia dłuższego opowiadania w zaokrągloną całość. Przy ocenie tej powiastki ciągle mimowoli ma się na myśli późniejszego autora arcydzieł i dla tego nie jest się dość dla niej sprawiedliwym. Są tam dzieciństwa — nie przeczę. Ale jest kilka rysów śmiałych, zadziwiających u 15-letniego młodzieniaszka; jeśli nie ma tam jeszcze pazurów lwa, to są już pierwsze przebłyski upodobań, zamiłowań, które z czasem stężeją i urosną do charakterystycznych objawów z epoki »Nieboskiej« i »Irydiona«.

»Grób rodziny Reichstalów« ma tytuł o tyle niewłaściwy, że z grobem tym opowieść sama nie wiele ma do czynienia. Grób jest fantastyczną dekoracyą, w której się chłopiec genialny rozmiłował zgodnie z nastrojem drugorzędnego romantyzmu, pełnego trumien, strachów, upiorów, lochów podziemnych i t. p.

Właściwa fabuła: miłość Wallensteina do Minny Reichstal, przymus dziewicy, córki astrologa Reichstala, do małżeństwa z wstrętnym jej Wallensteinem, otrucie się Minny, wreszcie pomszczenie tej śmierci przez brata Minny, ostatniego z Reichstalów, który po kilkunastu latach w przebraniu jako Leslie Wallensteina zabija — ta fabuła dziecinną nie jest. Sam pomysł nie byłby się zrodził w byle jakiej szesna-

stoletniej głowie; wykonanie było słabe, siły zawiodły młodziutkiego autora, który szedł tu za hasłem: »Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił«.

Wykonaniu przeszkodziła przedewszystkiem zbyt jeszcze dziecinna wyobraźnia, lubująca się w dekoracyach fantastycznych, oświetleniu niezwykłem ludzi i zdarzeń, wyobraźnia dobierająca umyślnie czarnych lub jaskrawych barw, byle osięgnąć natychmiastowy, brutalny efekt: (lejący deszcz, opis pokoju astrologa, mowa Wallensteina, powrót astrologa ze Wschodu do »Egry«, grób Reichstalów, charakterystyka Leslie'a i t. d.).

Charakterystyki są powierzchowne, dotyczące ubiorów raczej, niż duszy. Ale pobudki działania są trafnie, po ludzku odczute, chociaż nie dość po literacku rozwinięte. Astrolog Reichstal zmusza córkę do poślubienia Wallensteina, bo sam uwielbia znakomitego wojownika, a co ważniejsza: gwiazdy wróżą mu wielką przyszłość. Minna Reichstal nie cierpi Wallensteina. Dlaczego?

Uważa się to za kardynalny błąd »Grobu«: »nieokreślony i niewytłómaczony miłością ku innemu wstręt Minny ku Wallensteinowi, wstręt tak wielki, że przełamanie jego (?) jest powodem jej śmierci, wydaje się błędem powieści«. Jak gdyby antypatya do Wallensteina musiała być koniecznie wywołaną miłością dla »innego« — jak gdyby nie mogła mieć źródła w szlachetniejszych, moralnych pobudkach! Minna jest niezwykłą dziewicą. Krasiński pisze może za wiele o jej licach, włosach, wstążkach i przepaskach, za mało o niej samej; ale wśród drobnych,

zewnętrznych szczegółów umieszcza przecież taki rys charakterystyczny: »zadziwiłby się każdy widząc, że dzieło czytane przez osiemnastoletnią dziewicę było rozprawą o śmierci, niedawno wydaną przez pewnego protestanta i dowodzącą, że nie jest zbrodnią zginąć z własnej ręki, żeby uniknąć hańby lub nieszczęścia«. Dla bacznego czytelnika, pomnego, że jest to powieść z dziejów wojny trzydziestoletniej, rozgrywającej się na tle kontrastów religijnych i katolicyzmu — ten fakt, że Minna zaczytana w książce protestanta, nie cierpi wroga protestantów Wallensteina, może dać nieco do myślenia.

W ogóle, w rodzinie Reichstalów religia odgrywa ciekawą rolę. Astrolog Reichstal w »pustyniach Arabii« poślubił niegdyś »muzułmankę« Fatymę. Przyjmuje ona w Eger chrzest wraz z dziećmi. Ale w gruncie duszy Fatma pozostała wierną wierze swych ojców. Przed samą śmiercią, »w ostatniem jej westchnieniu usłyszano słabo wymówione słowa: »Bóg jest jeden a Mahomet jego prorok«. Minna odziedziczyła po matce pewną miękkość wschodnią. »Urodziła się Minna z pięknemi przymioty, z sercem czułem na męki innych, ale jej dusza nie miała tej mocy, której trzeba na poświęcenie się wiecznym cierpieniom i boleściom, żeby ratować i zapewnić szczęście drugim. Przekonała się z czynów i słów Wallensteina, że sercu jego prawdziwa miłość niedostępną była. Że jedna w nich tylko władała duma i pycha, niczem nie powstrzymana... A pędzić życie z takim człowiekiem zdawało jej się,

że to jest zamienić złudzenia i błogie chwile młodości na męczarnie bezdennego piekła«. Jest zatem powód antypatyi do egoisty, pysznego Wallensteina dostatecznie zaznaczony, choć nie dość rozwinięty.

Ciekawszym i z wielu względów ważniejszym dla nas jest charakter brata Minny, Alana Reichstal. — Z początku powieści mało o nim słyszymy. Występuje w rozdziale IV jako kapitan z pułku Lichtensteina, młodzieniec butny i energiczny. Nic nie wie o »niebezpieczeństwie« grożącem siostrze, o przymuszonym jej ślubie z Wallensteinem; przybiega za późno, aby obronić siostrę, która już w rozpaczy trucizny zażyła. Postanawia się zemścić na Wallensteinie, tę zemstę przekazuje mu Minna krótko przed zgonem.

Rozdział VI jest najciekawszy, bo maluje dobrze, jak na 16-letniego pisarza, gorączkowy stan brata, pragnącego pomścić przedwczesny zgon siostry. Szatan ukazuje się Alanowi, który zawiera układ z nim o duszę swą i »własną śmierć, mającą nastąpić zaraz po śmierci Wallensteina«. Przed zwłokami matki i siostry Alan wygłasza przysięgę zemsty okrutnej, pogańskiej, jak na wnuka Fatymy przystało:

»Całe moje życie, wszystkie chwile poświęcę zemście nad Wallensteinem. Ścigać go będę, krok w krok za nim postępować... Miałem piękny zawód przed sobą. Ale ja go teraz zamienię na zawód krwi i rzezi, pomsty i śmierci... i t. d.

Cierpliwie, po nieudanym pojedynku z Wallensteinem, czeka Alan lat piętnaście na spełnienie przy-

sięgi. Dokonywa jej jako Leslie, pod obcem nazwiskiem, w przebraniu godnem Wallenroda i pod maską, bardzo Wallenroda przypominającą: »Wpadał czasem Leslie w czarną posępność. Wtenczas nienawidził świat i ludzi... Z nikim nie obcował, nigdy uśmiechem nie powitał przyjaciela, nigdy oka nie zwrócił na hoże dziewice... głuchy był na wesołe pienia, na uniesienia radości...

(Minstrelów hymny i piękności względy
Nic przemawiały do zimnego ducha.
Na krasne lica spoglądał z daleka,
Od czarującej rozmowy ucieka).

On także, tak jak Wallenrod, »daleko od ojczyzny w rozpaczy młode strawił lata«, byle kiedyś dogodzić zemście. »Mnie nic prócz zemsty nie wzrusza, wre ona w mojem sercu«.

Tak zatem mamy w grobie Reichstalów do czynienia z tragicznym konfliktem woli ojca z wolą dziecka (Astrologa i Minny); z konfliktu tego rodzi się idea zemsty, która wypełnia resztę utworu. Jestto charakterystyczne dla przyszłego twórcy Irydyona, który już tutaj na lat niemal 10 przed wydaniem swego arcydzieła wprowadza bohatyra poświęcającego zbawienie swej duszy dla dogodzenia namiętności zemsty, wprowadza szatana, zawierającego układ na wieczność. Alan mówi szatanowi: mnie Wallenstein, a tobie ma dusza. Kiedyś wykrzyknie do Massyniszy Irydyon: »Mnie Rzym, tobie duszę moją!«

Prof. J. B. Antoniewicz, który trafnie dostrzegł tej zarodkowej komórki zemsty, co przeniesiona

z powiastki o trzydziestoletniej wojnie na ruiny Rzymu wystrzeli bujnem drzewem pod włoskiem niebem, scharakteryzował też doskonale Grób Reichstalów: »Estetycznego i stylistycznego sądu ta powiastka nie znosi, ale to pewnem, że pisząc ją Krasiński czuł i rozumiał więcej, niż wiedział i mógł«.

Utwór to, zrodzony w bujnej imaginacyi studenta pod wpływem rozczytywania się w historyi wojny 30-letniej, z niewielu śladami Walter Scotta, które pozostawiła po sobie »Narzeczona z Lamermoor« zwłaszcza w scenie podpisania aktu ślubnego. Nagłówki rozdziałów noszą wyjątki liczne z Mickiewicza, a mianowicie strofki ze Świtezianki, zdania z Sonetów, Grażyny, IV. cz. Dziadów, nadto cytaty z Szekspira, Lamartina, wreszcie z Trembeckiego.

Już samo zestawienie nazwisk dowodzi w 16-letnim chłopcu wielkiego, a zarazem gorączkowo bezładnego oczytania.

Gdyby wreszcie mnie zapytano, czy jest tam w Grobie Reichstalów jakaś iskierka talentu, czy w pospolitej rudzie szarej opowieści błyszczy przecież tu i ówdzie jakiś atom szlachetnego kruszcu — odrzekłbym, że tak, że to, co jest wzięte z bezpośredniej obserwacyi natury, lub z opowiadań starszych jest naturalne, naiwne, świeże. Znać, że dziecko wzrastało w sferze wojskowo-ziemiańskiej. (Np. ustępy z rozdziału IV. t. IV. str. 44—46. Poczucie piękności natury jest żywe, acz nieudolne porównania świadczą jeszcze o młodziutkiej, niewprawnej, ręce (str. 35 »Ustała burza...«)

Stylistyczne usterki są raczej wynikiem niewykoń-

czenia, niż nieumiejętności. Dodajmy zaraz, że Dmochowski jako redaktor mógł niejedno wygładzić i poprawić. Autografu nie znamy. Co pozwala się domyślać poprawek obcej ręki, to pewna nierówność stylu. Dyalog zdradza 16-letniego autora, ale opisy i charakterystyki są nieraz bez zarzutu, czasem wprost ładne. Na przykład ten ustęp z młodości astrologa: »Gwiazdy są skazówkami mego życia, rzekł do siebie i t. d. (IV. 39).

Próbowano odszukać źródło literackie »Grobu«, ale dotychczasowe poszukiwania nie wydały pomyślnego wyniku. Prof. Antoniewicz próbował bezskutecznie dowieść wpływu Schillera (dramatu: Historyi Wojny) wreszcie radził szukać źródeł »Grobu w powiastkach Walter-Scotta, a gdyby i to zawiodło, przeszukać »niemieckich naśladowcow Walter-Scotta«. Zdaje mi się, że ta ostatnia »peryferya« wpływów jest stanowczo u Krasińskiego wykluczona, Mamy w »Grobie« do czynienia z przeróżnymi mott'ami z Mickiewicza, Lamartina, Szekspira, nawet z jakiegoś Bezimiennego, którym może był sam Krasiński; ale nigdzie niema śladu żadnego van der Felde, Tschokkego lub Rochlitza. Cała sfera umysłowa, w której się obracał młodziutki autor Grobu Reichstalów wyklucza z góry bezpośrednie *niemieckie* wpływy (t. j. nie za pośrednictwem przekładu francuskiego lub polskiego).

Natomiast wpływ Walter-Scott'a da się stwierdzić, choć nie w tej mierze, by tytuł »Grobu« jako powieści oryginalnej mógł ulec zaprzeczeniu.

Wykazał p. M. Reiter wpływ widoczny jednego ustępu »Narzeczonej z Lamermoor« — ktoś inny wykaże nam może jeszcze wpływ jakiegoś opisu lub niezwykłego zdarzenia z innej powieści Walter-Scota. — Ale pomysł całości »Grobu Reichstalów« zbyt jest naiwny, by musiał być koniecznie skądsiś zapożyczony.

Ogólny rzut oka, na »Grób R. Reichstalów« wykazuje zamiłowanie w nadzwyczajności, w niezwykłych scenach (trup Fatymy zakonserwowany, Alan wydziera po zabiciu Wallensteina »z drżących piersi bijące jeszcze serce« bohatera, i t. p.), w kreśleniu charakterów przeważa widoczna skłonność do wyzyskania konfliktów i starć między zaciętymi, nieustępującymi sobie postaciami. (Astrolog i Minna-Alan i Wallenstein.) Arystokratyczny wreszcie punkt widzenia przebija wyraźnie już teraz:

»Wallenstein chcąc pojąć córkę astrologa za żonę, nie zniżał się, bo ród Reichstalów świetniał zawsze blaskiem męstwa i sławy...

Bliższe rozpatrzenie młodocianego tego utworu wykazuje zatem obok przelotnych czynników, działających na wyobraźnię studenta, pewne rysy, delikatne jeszcze ale z biegiem lat mające się wyraźniej uwydatnić i nabrać cech stałego współczynnika twórczości.

Inne drobne utwory z lat 1828—1829 ukazują się w druku w ciągu 1830 roku, (kiedy Z. Krasiński bawi już za granicą), w czasopiśmie, którego współwydawcą był serdeczny przyjaciel K. Gaszyński.

Kolej ogłoszenia anonimowych powiastek Krasińskiego nie może jednak być dowodem chronologicznym pierwotności utworu. Niejeden rękopis mógł na wyjezdnem zostawić Krasiński Gaszyńskiemu, tem bardziej, że kiedy w połowie października 1829 r. Warszawę opuszczał, K. Gaszyński z pewnością o »Pamiętniku dla płci pięknej« mówił z przyjacielem, jako o przedsięwzięciu niedalekiem urzeczywistnienia.

Rozpatrzmy się w tych drobnych powiastkach.

Oto najpierw *Mścivvy Karzeł i Masław Książę Mazowiecki*, Powieść narodowa. (Pam. dla p. p. I, 145 do 152, 191 — 198.) Układ, styl, pojęcia, dziecinne są i tak miejscami naiwne, że trzeba dać tej »powieści narodowej« miejsce tuż obok »Rodziny Reichstalów«, a może nawet przed nią jeszcze. Zarazem trzeba uprzedzić, że to nie jest ani »narodowa« ani historyczna powieść.

Krótki wątek opowiadania tak się przedstawia:

Już po ucieczce Ryxy z Polski, za czasów Masława »srogiego łupiezcy« żyje w swym zamku Joanna z Gozdawy (niedaleko Opinogóry), można i bogata pani. Po śmierci męża swego bardzo jest zajęta Masławem, który nie żywi dla niej zbyt przyjaznych uczuć. Joanna zaczyna go nudzić. »Czas by się pozbyć tej rozmiłowanej wdowy«. Masław pozuje na strasznego dziwomężа: »oczy krwią zaszłe, długa broda i wąs gęsty«. — Joanna przecież godna ze wszech miar tego człowieka. Zazdrosna o swoją dworkę Elżbietę, męczy ją różnemi sposobami. Kropla krwi męczonej dziewicy pada na śniadą twarz

Joanny. Po umyciu twarzy widzi Joanna, że miejsce krwią zwalane bieli się po starciu jak »śnieg na górach«. Ofiarą tego odkrycia pada biedna Elżbieta, zamordowana przez karła, oddanego całkiem Joannie. »Joanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w ciepłej krwi twarz swoją umyła«. Odtąd jaśniała urokiem białej twarzy, a ponieważ od czasu do czasu potrzeba było powtarzać krwawe kąpiele dla utrzymania białości lica, ginęły zatem dziewice »jedna po drugiej«. Z rozpoczęciem powieści ma właśnie zginąć Zbisława z Czernic (miejscowości w pobliżu Opinogóry) narzeczona Jordana z Bordan.

Karzeł ma już dość zbrodni, a skoro mu Joanna wzgardą płaci, postanawia uwiadomić Jordana o niebezpieczeństwie, grożącem jego narzeczonej. W chwili stanowczej ocala Jordan Zbisławę, idzie z nią na skargę do Masława, ucztującego u Joanny i wpada z deszczu pod rynnę, gdyż Masław dawno już pożądliwem okiem na Zbisławę spoglądał i teraz pragnie ją mieć przy swoim boku. Jordana wtrąca do więzienia a gdy Zbisława nim gardzi, każe Masław do słupów przysionka zamkowego przywiązać Joannę, Jordana, Zbisławę i Karła; puszcza wszystko z dymem. U stóp wzgórza Gozdawskiego przygląda się pożarowi Masław z orszakiem rycerzy, wreszcie jedzie ku pobliskiej wiosce na nocleg. »Czas by się przespać, jużeśmy długo biesiadowali, a dobre miała wino Joanna«. Na tem koniec.

Oczywiście dekoracya nie pozostawia także nic do życzenia i jest w zupełnej harmonii z treścią dziecinnie przerażającą: »Słońce już zaszło a czerwone

chmury zapowiadały straszliwą burzę, ciemność zalegała obszary«.

Niektóre uwagi poboczne miały dowodzić, że »mściwy karzeł« wcale dobrze jak na XI wiek, ćwiczony był w psychologii.

»Zazwyczaj — rzekł Karzeł — oczy wierniejszemi są od uszu, bo to co widzimy, więcej nas uderza nad odgłosy i poszepty ludzkie«.

Już ta uwaga przekonywa, że o kolorycie epoki nie może tu być mowy i skądże wreszcie miał się 16-letni chłopiec zdobyć na to, czemu nie podołają nawet w pół wieku potem powieściopisarze »historycznі«?...

On się po prostu ćwiczył w rysunku postaci i charakterów, w dyalogu i układzie, a wątku do tej powiastki dostarczyła wzmianka o zamku węgierskim Kseith, zamieszczona w Miscelaneach »Dziennika Warszawskiego« z r. 1826. Czternastoletni Krasiński wyczytał tam (tom VI, 75 — 77) następujący artykuł:

»W podróży opisowo malowniczej ponad brzegami Waagi przez barona Miedniańskiego, drukowanej w Pesth 1826 r. znajduje się następująca historyczna okoliczność. Zamek Kseith nad Waagą przedstawia teraz gruzy i zwaliska. Należał on kiedyś do Mathiasa Korwina i Maxymiliana II i dostał się Elżbiecie Batorównie, synowicy Stefana Batorego, króla polskiego, a żonie Franciszka Nadasdy. Księżniczka ta nadała nieszczęsną sławę temu zamkowi, w którym przez wiele lat dopuszczała się okrucieństwa, jakiego prawie dzieje nie wystawiają przykładu. Kazała ona wychowywać w swoim pałacu ubogie dziew-

częta, które uposażała i wydawała za mąż co rok w czasie niektórych okoliczności; ale karała gwałtownie i srogo najmniejsze uchybienia i zdawała się mieć upodobanie, poglądając na cierpienia tych niewinnych istot. Dnia jednego w szalonem uniesieniu uderzyła gwałtownie jedną z tych nieszczęśliwych tak, że krew bryznęła jej na twarz. Zbliżywszy się do zwierciadła dla otarcia twarzy, zdało się jej, że w miejscu skrwawionem ciało stało się bielsze, piękniejsze i świetlejsze. Wnet przychodzi jej na myśl, azaliż nie mogłaby się odmłodnić, we krwi ludzkiej się kąpiąc. Dwie stare służące i karzeł nadworny Fitzko pomagali jej w wykonaniu tak okropnego zamiaru. Młode dziewczęta znikały, jedna po drugiej, i, co zaledwie można pojąć, więcej niż 300 zostało zamordowanych dla kaprysu tej okrutnej niewiasty. Pewien młodzieniec, utraciwszy tym sposobem swoją narzeczoną, powziął podejrzenie, a rozrzuciwszy złoto, wydostał nawet szczątki nieszczęśliwej, którą opłakiwał. Zapalony gniewem, przejęty boleścią, leci do Presburga i napełnia całe miasto wyrzekaniem żałości i rozpaczy. Grzegorz Thurzo, kanclerz królestwa, widząc, że chodzi o znakomitą osobę, udał się sam na miejsce, zeszedł niespodzianie cztery potwory na gorącym uczynku, właśnie w tej chwili, gdy ofiara ostatniego oddawała ducha, opierając się pierwej nadaremnie swoim zabójcom.

Natychmiast uformowano proces, którego akta zostały wydrukowane dla zaspokojenia powszechnej ciekawości i oburzenia. Dwie owe kobiety skazano na ucięcie prawej ręki i głowy, karła na utratę ręki

i spalenie żywcem. Księżnę wtrącono do ciemnego więzienia w którem po trzech latach umarła, roku 1614«.

Nie będziemy znęcać się nad drobną powiastką Krasińskiego, przejętą, jak widzimy, bardzo wiernie z obcego źródła, pełną naiwności i niedokładności. Natomiast należy należy przypomnieć jeszcze raz tytuł dziwaczny, w którym na pierwszy plan wysunął młodziutki autor Karła z epitetem charakterystycznym a w jego pojęciu chlubnym: Mściwy Karzeł! Po mściwym Allanie Reichstalu mamy teraz mściwego Karła. I on także »przysiągł zemstę« i dokonywa jej wprawdzie kosztem niemałym, skoro i sam ginie i dwoje narzeczonych — wszystko mu niczem, na chwilę przed straszną śmiercią całopalenia »z dzikością« spogląda na Joannę z Gozdawy i urąga ofierze swej zemsty: »Jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! płeć jej od lilii bielsza! szkoda, że ją dym okopci!.. krwi trochę, krwi trochę...« Słusznie stwierdza p. M. Reiter na Mściwym Karle, że Krasiński w plastyce charakterów mściwych ćwiczył się od początku swego zawodu pisarskiego.

Oto inna powiastka p. n. *Zamek Wilczki.*

Jest to z porządku wydrukowania ostatni z utworów, pomieszczonych w »Pamiętniku dla płci pięknej« — ale dowody wewnętrzne przemawiają stanowczo za wczesnem, warszawskiem jego pochodzeniem. Temat swojski jest tu według szablonu obrobiony, ale trochę spokojniej podany, niż w »Reichstalach« lub »Mściwym Karle«. Treść „Wilczków«

nie jest znowu zmyślona, ale z historycznej opowieści wzięta. Znalazł ją Krasiński w wydawnictwie p. t. »Wanda« z r. 1825, gdzie na str. 199 — 200 mamy artykuł Milewskiego *Trębowla i jej okolice:*

»Obronny niegdyś zamek Wilczki, a dziś zupełnie spustoszały, dokoła oblewa rzeka Strypa. Jeden ze starostów Wilczków dostał się w niewolę turecką pod Chocimem; po dziesięciu latach powróciwszy do rodzinnego miejsca znalazł żonę swą już innemu poślubioną. Była to pani z domu Złotnickich, która straciwszy losem wojny męża, popadła w ciężką chorobę. Powziąwszy jednak wiadomość w kilka lat od powracających ziomków z niewoli tureckiej o śmierci męża swego, dała się nakłonić familii, zaślubiła rękę innemu. — Po dziesięciu latach starosta Wilczek w całej okolicy miany powszechnie za umarłego, wraca z niewoli w ubiorze pielgrzyma, wycieńczony długoletniemi cierpieniami, niepoznany od dworu i żony, przyjęty był w zamku z tą gościnnością, jaka zawsze znamionowała charakter Polaków. Dano wieczerzę; przy niej gdy opowiadać zaczął przygody swojej niewoli, najmłodszy syn jego 13 lat mający, temi słowy odezwał się: »Pielgrzymie, zwiedziłeś jak powiadasz Ziemię świętą, byłeś przez lat tyle w niewoli; o, gdybyś mógł uprosić u Boga, iżby tak jak i dzieciom twoim powrócił nam ojca, którego okrutni zabrali nieprzyjaciele«.

Wyrazy te obudziły silne uczucia miłości rodzicielskiej; nieszczęśliwy ojciec porwał z uniesieniem syna i zawołał! »Bóg ci go wraca, synu!..« lecz nie dokończywszy reszty słów z radości w objęciach sy-

nowskich skonał. Przytomni zostawszy w osłupieniu nadzwyczajnością tego zdarzenia, wkrótce odkryli straszną tajemnicę, lecz już było za późno; żadne bowiem środki lekarskie nie potrafiły go przywrócić do życia. Żona w rozpaczy udała się do pobliskiego klasztoru i tam w ślubach zakonnych resztę dni swoich dokonała. Całe zaś to zdarzenie w jednej z sal zamkowych dla uwiecznienia pamiątki odmalowanem zostało«.

Opowiadanie to wyzyskał szczegółowo Krasiński, rozszerzył reminiscencyami z »Narzeczonej z Lamermoor« i Kenilworth, a w charakterystyce głównej osoby, Henryka Wilczka, dał znowu folgę osobistym skłonnościom i nowemu dziecięciu swych rojeń pisarskich przekazał familijne rysy Alana i Mściwego Karła:

Henryk Wilczek był »uprzejmy dla innych, lecz ten który go obraził, darmoby szukał przebaczenia winy; krwią musiał ją przypłacić, a mściwy oręż Henryka umiał sobie zawsze utorować drogę do serca nieprzyjaciela ojczyzny lub osobistego wroga. Namiętności Wilczka wybuchały z żywością, kiedy iskra pożar wiecznie tlejący w sercu zapaliła«. Gdy umarł, jeszcze na twarzy jego »malowała się nienawiść, ostatnie uczucie, którem oddychał«.

Przed rozdziałem III. tej powiastki umieszcza Krasiński motto: »Zemsta jest rozkoszą bogów. — Stare przysłowie«.

Możnaby to stare przysłowie umieścić jako godło znamienne wszystkich trzech utworów młodocianych Krasińskiego. Reichstal, Mściwy Karzeł i Wilczek

dyszą żądzą odwetu, zemsty. Należy jednak zauważyć, że w Wilczku idea zemsty pojawia się pod koniec dopiero, jak *Deus ex machina*, aby ogniem bengalskim nadzwyczajności dodać uroku legendzie historycznej, która nic o zemście nie mówi, ale każe Wilczkowi umrzeć »z radości w objęciach synowskich«.

Przystępujemy teraz do najobszerniejszego utworu z czasów warszawskich, do owego »Zbigniewa«, o którym już słyszeliśmy, a który wychodzi dopiero w r. 1830 w trzech tomach p. t. Władysław Herman i jego dwór.

»Pod tym napisem — doniósł Pamiętnik dla płci pięknej« w zeszycie z d. 1. Maja 1830 r. (II. 135) — wyszła z drukarni przy Mazowieckiej ulicy w trzech tomach powieść historyczna, z dziejów narodowych XI wieku napisana. Sprzedaje się po główniejszych księgarniach i właściwych składach za cenę złp. 10«.

Krasiński był już wtedy od kilku miesięcy w Genewie i z niemałem zadowoleniem mógł w następnym zeszycie »Pamiętnika« wyczytać krótką, a bardzo pochlebną wzmiankę o swym utworze. Podał tu Gaszyński — boć on był zapewne autorem dwudziestokilkuwierszowej recenzyi — przedewszystkiem dokładniej tytuł utworu; dowiadujemy się przynajmniej o inicyałach autora: »przez N. K.« Sama recenzya nie mogła na nic przydać się autorowi, ani go w niczem pouczyć. Gaszyński chwali niemal wszystko, a gdzie się ośmieli coś wytknąć, zaraz sam osłabia wrażenie słów ostrzejszych, np. »obrazy silnie działające na umysł, a choć niekiedy za okropne,

przecież nigdy nie odstępujące od prawdy«; recenzent chwali trafność charakterów, a opis śmierci Mestwina, »zajmujący rozdział ostatni trzeciego tomu« nazywa »samą poezyą«.

Przecież nawet przyjaciel nie mógł przemilczeć, że w utworze tym Krasiński snuł tylko wątek Walterskotowskich pomysłów. »Jak w Kenilworcie Walterskota — mówi Gaszyński — przy Lejcestrze snuje się ciągle Warnej do wszystkich pociągający go występków, tak Mestwin, jakby duch złego, opanowawszy serce Zbigniewa, wiedzie go z zbrodni do zbrodni; aż nareszcie ocuca się Zbigniew nad samą przepaścią i poznawszy chytre namowy podłego sługi, własną ręką go karze«.

Jak widzimy, Gaszyński na lat 60 wyprzedził krytyków dzisiejszych i śmiało wskazał główne źródła natchnień Krasińskiego w tej dobie.

Treść utworu jest uboga i mogłaby się w trzech rozdziałach zawrzeć; młodzieńcza gadatliwość sprawiła, że mamy rzekomą powieść historyczną w trzech tomach, że zatem objętością jest Władysław Herman największem dziełem Krasińskiego, a treścią należy do najsłabszych.

Powieść właściwie mogłaby mieć (jakoż miała) tytuł: »Zbigniew« lub »Zbigniew i Mestwin« bo ci dwaj więcej działają tu i znaczą niż Władysław Herman i dwór jego.

Dorywczy syn Władysława Hermana, Zbigniew porywa Hannę z Ciechanowa, córkę Wszebora zacnego rycerza; na zamku swym potajemnie z nią ślub bierze. Wszebor i Mieczysław, syn Bolesława

Śmiałego, zakochany w Hannie, przetrząsają Księstwo całe, aby odszukać Hannę, a dowiedziawszy się w końcu. że Zbigniew ją w zamku swym ukrywa, oblegają zamek z znacznem wojskiem: krew bratnia z obu stron hojnie płynie.

Wprawdzie wystarczyłaby ojcu Hanny wiadomość prosta, że Zbigniew poślubił ją i że córka jego jest prawowitą żoną Zbigniewa; cóż kiedy Zbigniew należy do natur dziwnie upartych i o ślubie swym z Hanną nie mówi ani ojcu jej ani swemu ojcu, Władysławowi Hermanowi — nie mówi zaś dla tego, że wówczas nie byłoby racyi pisać *trzech* tomów, a Krasiński byłby musiał na krótkiej powiastce poprzestać. Już z tego widać, na jak kruchej podstawie opiera się długa i monotonna budowa owej »powieści historycznej«.

Jak w »Wilczkach« mamy *czarny charakter* uosobiony w rycerzu niemieckim von Glennaberg, który jest *spiritus movens* a zarazem złym duchem Jana ze Złotnik, tak i tu ma Zbigniew złego ducha przy sobie; jest nim także Niemiec, także rycerz, Mestwin, wcielenie zbrodni i szatańskich pomysłów. Rządzi on Zbigniewem jak kuglarz maryonetką i doprowadza go do steku okrucieństw i zbrodni.

Inne figury, występujące w powieści, pozbawione są wszelkich cech oryginalniejszych.

Krasiński nie zgubił wprawdzie nigdzie wątku opowiadania i utrzymał wszystkie postacie w pewnym, z góry obmyślanym nastroju — niestety, wyobraźnia jego siliła się napróżno o to, aby rzecz samą urozmaicić, a uwagę czytelnika do powieści przykuć.

Wszystkie osoby mówią tu do zbytku i prawie nigdy nagadać się nie mogą. W największym zgiełku bitwy rozprawiają jak przy garncu miodu pod lipą.

Kolorytu epoki Władysława Hermana niepodobna oczywiście wymagać od 17-letniego powieściopisarza. Dowiódł on niesłychanej, jak na młodziutki wiek, pamięci, posiłkując się stosownie i bez jaskrawego pogwałcenia prawdopodobieństwa historycznego przypomnieniami z Walterskota, który podał mu gotowy niejako formularz, schemat przeciętny średniowiecznych strojów, zwyczajów, nawet krajobrazów.

Obok Walterskota najważniejszym źródłem dla Krasińskiego była oczywiście *Historya narodu polskiego* przez Naruszewicza. »Stosunek Zbigniewa do ojca jest historycznie wierny. I w historyi i w romansie ma Władysław Herman szczególną słabość dla Zbigniewa, choć on był tylko jego synem, jak mówi historyk »dorywczym«. Nie zamilcza Krasiński tego faktu. Większego użytku atoli z tego motywu, który w historyi wielką rolę odegrał, Krasiński nie robi, prawdopodobnie dla »większej przystojności«. Że się Krasiński nie będzie krępować historycznymi faktami, było łatwem do przewidzenia. Jakoż zmienia dowolnie wiek i stosunki osób historycznych.

Pierwszy raz kusi się Krasiński w tej powieści o wprowadzenie postaci humorystycznej. Historycznie późniejszego Skarbimira, hetmana i pana Krakowskiego, zmienia na pana Gulczewa i Kościelca, robi z niego skąpca i tchórza. Postać to nieudana. Co się tyczy zależności od Kenilwortha Walterskota, już Gaszyński zwrócił na to uwagę; idąc za tą wska-

zówką doszedł prof. Antoniewicz do całego szeregu motywów analogicznych, nietylko z Kenilwortha przejętych, ale także ubocznie z »Purytanów« i »Ryszarda Lwie-serce«.

Obok Walterskotta i Naruszewicza wpłynęła także na Krasińskiego tragedya Niemcewicza p. t. »Zbigniew«. Z historyi nie mógł się niczego Krasiński dowiedzieć o małżeństwie Zbigniewa. Znalazł je w tragedyi Niemcewicza, który tak się usprawiedliwia: »Przydałem żonę Zbigniewowi, tkliwą, pełną słodyczy i rozsądku, by burzliwą męża zaciętość tem mocniej wystawić«. W osobach tragedyi wymienia Niemcewicz: »Dobrosława, żona Zbigniewa — potajemnie mu zaślubiona«. Niemcewicz odsyła wreszcie tych, co o prawdzie przytoczonych czynów przekonać się zechcą« do III. tomu Naruszewicza. — Wpływ tragedyi Niemcewicza w ogóle nie jest wielki: szczególnie Dobrosława podobna do Hanny.

Zasadnicze właściwości natury duchowej młodego autora i tutaj występują na jaw. Typów szlachetnych nie umie jeszcze nakreślić. Taki Mieczysław np. ma być przeciwstawieniem Zbigniewa, ale wygląda blado i niepozornie; podobnie Hanna, nadzwyczaj cnotliwa i zupełnie bierna, nie może w czytelniku obudzić sympatyi. Natomiast Mestwin i Zbigniew, jako »czarne charaktery« są widocznie ulubieńcami fantazyi Krasińskiego. Obaj są mściwi (Mestwin w nazwisku już zemstę przypomina) i nie przebierają w środkach, byle celu dopiąć.

Zbigniew ma jednak jakieś szlachetności przynajmniej odruchy, Mestwin jest prawie wcieleniem złego

Oto kilka próbek charakteru Mestwina: »Hanna moją będzie, albo też jeżeli odrzuci Mestwina, dozna jego zemsty, zemsty, której przykład zagrzmi w przyszłości, zemsty niewidzianej dotąd«. — Gdy Hanna ma zginąć od trucizny, ręką jego zadanej: »Kiwnął na grających w drugiej stronie, by przestali. Może chciał wszystkie uczucia przez muzyczne tony rozpierzchnione, zebrać na tę jedną chwilę, w której miał zemstę nasycić, a choć ta chwila tak ważną, tak uroczą dlań była, nie wydał ani głosem ani twarzą żadnego wzruszenia...«

Ogólna charakterystyka z samego początku utworu ma nas przygotować na najstraszniejsze czyny Mestwina: »Było coś okropnego w jego obliczu. Zdawało się, że podstęp i zdrada obrały swoje siedlisko na jego twarzy, a usta tak nawykły do szyderczego śmiechu, że ciągle zachowywały piętno pogardy i natrząsania się z innych.

Charakter Zbigniewa: »krew żywiej po żyłach zawrzała, słodkie uczucia, zapełniające duszę ustąpiły gwałtownej żądzy zemsty«. Kiedy mu Mestwin opowiada plan »okropnej zemsty«, mającej zgubić Hannę i Mieczysława, Zbigniew »miotający wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

»Gromadźcie się duchy zbrodni, uwieńczcie moje i mojego powiernika skronie. Wyzywam was do walk, odpowiedz szatanie! odpowiedz, czybyś zdołał powziąć taki zamiar lub przystać na podany sobie. Nie, nigdybyś takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej jak ja miłości...« i t. d. Porównać wreszcie trzeba końcową tyradę

Zbigniewa, streszczającą się w tych słowach: »Dla mnie świat zniknął, jedna została się zemsta«. W ostatnim pojedynku z Mestwinem, »ramię Zbigniewa wspierały wszystkie namiętności, skupione w jednej chęci zemsty«.

Zemsta szaleje tu po prostu w tej trzytomowej powieści, szerzy spustoszenie i zbiera trupy. Nawet spokojny poniekąd, szlachetny, a Krasińskiemu widocznie sympatyczny bohater drugorzędny, Henryk z Kaniowa, przysięga zemstę nad Mestwinem i dokonać jej pragnie aż do końca samej powieści, w czem go jednak wyręcza Zbigniew.

Nawet cień zabitego Mieczysława nie przebacza, lecz z drugiego świata wzywa Zbigniewa do pomsty.

»Mąż zbrojny okropnem wejrzeniem spoglądał z pod szyszaka, otworzył usta i wyrzekł: zemsta, zemsta. A mury długiem echem powtórzyły zemsta... Po drugi raz otwarły się jego usta, zawołał: »Mestwin« i powtórzył: zemsta«.

Co się tyczy techniki pisarskiej, to przeważa konwencyonalny, walterskotowski i drugorzędnie romantyczny nastrój. (Władysław Herman na tronie; jest on królem Lechii, i podpisuje się na pergaminach znakiem krzyża, »bo nie było wtenczas zwyczajem, żeby monarcha swoje imię kładł na jakim przywileju lub nadaniu«).

Naiwne pojmowanie epoki zaznacza się w następujących szczegółach:

Hetman i wojewoda Sieciech na rozkaz króla »ma uczynić przegląd wszystkich domów miasta Płocka dla wykrycia, czy czasem nie jęczy

w srogiem więzieniu Hanna z Ciechanowa; hetman i wojewoda spełnia tu funkcye komisarza policyi.

Krajobrazy ponure kreśli Krasiński z upodobaniem (por. np. Ulrych wśród świstu wichrów i huku piorunów).

Biskup Stefan miał być w pojęciu autora postacią poważną; nieudolne wykonanie czyni z niego figurę niemal pocieszną, a w ruchach sztywną: Na widok samobójstwa Ulrycha »biskup wzdrygnął się i... podniósł oczy do nieba«.

Ten sposób pisania trwa niemal do końca samego *Władysława Hermana;* wszelako nie da się zaprzeczyć, że w miarę jak się zbliżamy do ostatnich rozdziałów, styl nabiera mocy i barwy.

Prof. Antoniewicz dostrzegł bystro tej wewnętrznej ewolucyi w układzie i charakterach postaci. Być może jednak, zawcześnie widzi tę zmianę już od połowy dzieła; a w każdym razie nie zauważył istotnej, psychologicznej przyczyny, która wywołała zmianę w sposobie pisania: »odmienne uczucie i odmienną myśl«. Przypuszcza prof. Antoniewicz, że ustępy, świadczące o pogłębieniu psychologicznem charakterów i krajobrazów powstały już w Szwajcaryi, na co niepodobna się zgodzić; nietylko, że milczy o tem zupełnie Z. Krasiński w swej drobiazgowej korespondencyi, ale zobaczymy niebawem, że nie miał on w Genewie całkiem czasu na takie poprawianie, że pochłonięty był wtedy całkiem innemi pracami.

Na zmianę uczuć wpłynęła nie Szwajcarya, tylko Warszawa i nie Byron, ale pogrzeb senatora Bie-

lińskiego ze wszystkiemi swemi bolesnemi następstwami.

Już po napisaniu Władysława Hermana zaskoczyła młodego autora owa rodzinna katastrofa, która mu kazała wybierać między opinią rodaków a miłością ojca, a gdy ojca wyprzeć się nie chciał, naraziła na zniewagę, obelgi kolegów i srom publiczny.

W takich chwilach dojrzewa bardzo prędko człowiek — a zatem i pisarz. Gdy po bolu serdecznym i mękach »piekielnych« przyszedł do siebie i spokój odzyskał, już on nie był tym samym, który kreślił spokojnie Władysława Hermana i dwór jego. Byłby może i powieści całkiem zaniechał, ale miał już jej pewnie dwa tomy, a moze i całość, plan był dawno opracowany, więc w dokończeniu a najprawdopodobniej w przerabianiu końca jej znalazł znękany umysł rozrywkę. Zamiast myśleć o sądzie sejmowym i o sądzie dorywczym kolegów, mógł na chwilę zapomnieć o swej biedzie i dokończyć losów Mestwina i Zbigniewa. Pisał dalej, poprawiał, uzupełniał, ale bezwiednie pisał już inaczej. Gdy dawniej rozum na chłodno kazał mu tworzyć obrazy, plątać intrygi i rozplątywać, teraz on sercem zranionem inaczej odczuwał rozpacz i mściwe drugich, choćby urojonych osób uczucia. »Piekło« jak sam mówi »zrodziło się w duszy dziecka« i przedwcześnie kazało dziecku dojrzeć na młodzieńca. To też inaczej będą ludzie czuć i mówić na początku, inaczej na końcu Władysława Hermana.

Któż w słowach tych Zbigniewa, zwróconych do do Henryka z Kaniowa w przedostatnim roz-

dziale »Władysława Hermana« nie odczuje własnych Zygmunta Krasińskiego uczuć:

»Ja płaczę za sławą... Ciebie wszyscy kochają, zaczynasz piękny zawód i masz nadzieję. Mnie... odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja, dawniej wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniej dla mnie jak słońce na czystem niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdartem sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgrozą, każde usta przekleństwami... Stoję na brzegu przepaści, nie mogąc ani wprost się rzucić, ani wstecz się cofnąć... Dla mnie świat zniknął... jedna została się zemsta...«

Tak pisał zbolały młodzieniec »zwiedziony od przyjaciela«, który istotnie pragnął spotkania się orężnego z Leonem Łubieńskim, a w dwa lata potem jeszcze w Genewie przebaczyć mu nie chciał.

»Władysław Herman« sam w sobie błahy, dawno już przez ogół zapomniany, przez mało kogo czytany — ma dziś tylko wartość dokumentu psychologicznego, ciekawy głównie z powodu owej widocznej pod koniec utworu ewolucyi ducha i stylu.

Ciekawy wreszcie jako zupełnie namacalny dowód niezwykłej pracowitości i energii pisarskiej, porywającej się już nie na powiastki, ale na »trzy tomy«.

Pośredni dowód olbrzymiego już w r. 1828 oczytania i siły wchłaniającej (resorpcyi literackiej) mamy w owych „*mottach*“, które zdobią niemal *ex offo* każdy rozdział Władysława Hermana. Jest w tem do pewnego stopnia kokieterya młodziutkiego pisarza,

popis lektury, istotnie olbrzymiej, ale nie każdy 17-letni młodzian potrafi wytoczyć taki arsenał cytatów (zachowywamy charakterystyczny ich porządek, lub raczej nieporządek):

Wallenrod, Władysław pod Warną (Niemcewicza) Wallenrod, Odyniec, Serbska Duma, Iliada 19 księga, Tymowski, Niemcewicza Śpiewy Historyczne, Felińskiego Barbara, Grażyna, Odyniec, Tomaszewskiego Jagiellonida, Szekspir (?), Odyniec, Walter Scott (Guy Mannering), Alfieri, jakaś Ballada szkocka, Mickiewicz, Byron, La Bruyère (str. 363 t. IV. ważne i charakterystyczne), Washington Irving, Byrona (Melodye hebrajskie). Dziady (IV. cz.), Hamlet.

Do zmyślonych »mottów« należą, zdaje się: stary romans (r. XI.), Piosnka gminna (r. XII.), Bezimienny (r. XIII.), Zbrodniarz (r. XIV.), Bezimienny (r XIX), r. XXI, Bezimienny r. XXII., r. XXXII.

Z przytoczonych nazwisk najciekawsze może jest Byrona, bo dowodzi, że Krasiński zaczyna zwolna smakować w namiętnym i pessymistycznie nastrojonym piewcy »Child-Harold'a«, a swemu Zbigniewowi każe pod koniec przemawiać tonem Manfreda. Nie mniej charakterystyczne dla nastroju umysłu są cytaty z Szekspira i Mickiewicza. Na tym szeregu *mottów* można wreszcie stwierdzić ponownie pewien przełom w usposobieniach literackich i smaku estetycznym: od Niemcewicza, Felińskiego i Tomaszewskiego, przechodzimy zwolna do Walter Scotta i Alfieriego, wreszcie do Byrona i Hamleta.

Postęp był stały i widoczny, a dla samego Krasińskiego już w dwa lata po wydaniu powieści tak

oczywisty, że w liście do przyjaciela, do tego samego samego Gaszyńskiego, co tak przychylnie trzytomową powieść »historyczną« witał, okrutny dla własnego utworu autor nie wahał się napisać: »Co do mego *Hermana* uważam go za *nikczemne dzieło*, za płód dzieciństwa, gdzie kilka iskierek ledwo że tleją wśród perzyny i gnoju. (26. maja 1832 r.) — Zobaczymy z czasem, że Krasiński miał wówczas wszelkie prawo tak o powieści swej twierdzić.

Krytyczny rzut oka wstecz jest tylko świetnym dowodem, jak już daleko wtedy zostawił za sobą »*największy*« swój utwór z ery »fajkowej«.

Sen Elżbiety Pileckiej (Rozmaitości Warszawskie. D. 13 maja 1829).

Odkrycie tego anonimowego utworu i przysądzenie go Z. Krasińskiemu jest zasługą prof. Antoniewicza. Tak zestawienie niektórych zwrotów z ustępami *Wład. Hermana*, jak niemniej zupełna analogia zewnętrznej kompozycyi z późniejszymi drobnymi utworami — niepozwalają wątpić, że mamy tu istotnie do czynienia z młodzieńczym utworem Zygmunta Krasińskiego. Motta z Byrona i z Walter Scotta określają odrazu pokrewieństwa duchowe i wpływy literackie. Rozmarzenie pod wpływem miłości studenckiej dla starszej o lat ośm hrabiny Załuskiej zrodziło tę senną fantazyę. Tkanina faktów historycznych bardzo tu wiotka, niemal rozwiewna, właśnie jak na sen przystało.

Dzieje Elżbiety Pileckiej, którą jako wdowę po Granowskim pojął Władysław Jagiełło za żonę, są tu fantastycznie skreślone jako sen młodej Elżbiety.

Była to córka Ottona, wojewody sandomierskiego, który był generałem wielkopolskim za panowania Ludwika Węgierskiego. Na jedynaczkę Elżbietę spaść miały olbrzymie dobra wojewody Ottona. Wszyscy Toporczykowie, współherbowi Pileckich pilnowali bogatej dziedziczki. Zdobył jej serce i uwiózł ją za granicę jakiś rycerz morawski, Wisław; odbił mu ją drugi Morawianin Janczyk Hyczyński, zabił Wisława, Elżbietę poślubił. Owdowiawszy, wyszła zamąż za kasztelana nakielskiego, Wincentego z Granowa, który umarł na generalstwie wielkopolskim 1410 r. 2. Maja 1417 r. wyszła niezbyt już młoda Elżbieta Granowska za króla Władysława Jagiełłę. Bielski pisze w swej kronice; »Królowi niewiedzieć z czego się podobała, bo już stara była i wyschła od suchot; tak ludzie rozumieli, że go zczarowała, czem król bardzo się ohydził«. Dwa lata była królową, zmarła w r. 1419. »Nikt jej nie żałował — mówi Bielski, ani chodził po niej w żałobie, tylko sam król. — Pochowana w tej kaplicy, gdzie Stefan Król leży i gdy go chowano, wyjęto jej kości z trumny, po których znać jeszcze było, że ta białogłowa musiała subtelna być i cudna« — Tyle historya.

Do wyobraźni Krasińskiego przemówiła przedewszystkiem młodość Elżbiety Pileckiej i fakt wykradzenia jej przez rycerza z stron dalekich; zamiast historycznego Morawczyka mamy jakiegoś fantastycznego Archelda z Haldy. Ucieczka Archelda z Elżbietą nie udaje się: pogoń ojcowska ich dosięga, śmiały rycerz pada po bohaterskiej walce, a Elżbieta dostaje się wstrętnemu dla niej Granowskiemu. Po

jego śmierci (wszystko to śni się młodej Elżbiecie) Elżbieta marzy o koronacyi, a sen cały kończy się jak bajka: »i kochanka Archelda była królową Lechii«.

Przytoczmy przynajmniej początek sam »Snu«, aby dać próbę natchnienia i stylu:

»Marzenia i ułudy młodości gromadźcie się na około mnie. — Często niespokojnemu sercu przyszłość w promienistem okazujecie świetle. Innej teraz po was wymagam przysługi. Wróćcie mi przeszłość. Unieście mnie w odległe czasy, pomiędzy innych ludzi, ale zawsze na téj samej ziemi, na ziemi ojczystej, której zeschła garstka milsza jest duszy i oku niż połyskujące wszystkiemi tęczy farbami, kamienie na skroniach możnych. — — — Niech moje pienia wyrwą ze snu śmierci śpiących w stalowych zbrojach rycerzy«. — Za lat kilka napisze: »dajcie mi przeszłość, zakutą w zbrojną stal«.

Na tym drobnym utworze dostrzegamy stanowczych zmian w sposobie tworzenia i pisania. To, co pod sam koniec Wład. Hermana zaledwie zaznaczyło się w uczuciach Zbigniewa, pewien nastrój rzewny, to rozbrzmiewa pełnym, elegijnym tonem w Śnie Elżbiety. Tu i ówdzie wraca jeszcze w opowiadaniu konwencyonalna formułka Wład. Hermana: tak np. mamy tu jeszcze »dziewice Lechii«, Elżbieta będzie królową Lechii. Spotykamy jeszcze nieodłączny szablon walterskotowski: »ciemne baszty, dumne wieże, grube mury, most zwodzony, żelazne po wszystkich pokojach kraty i strzelnice«, ale będą to jakby mimowolne przypomnienia, odruchy dotychczasowej maniery.

Natomiast, co jest stanowczo nowem, świeżem, młodem, jak ruń zielona na wiosnę, to poczucie żywe i bezpośrednie natury. Szare, bezbarwne opisy krajobrazu z »Wład. Hermana« znikają. Na ich miejsce wybijają się na sam przód opowieści kolory roślinne, barwy i tony powietrzne i wodne; wszystko to na razie przebujne, przebogate, splątane i aż rwące oczy, ale jaki w tem wszystkiem dowód życia, krwi silnie tętniącej, uczucia przepełniającego pierś młodzieńczą: »Szumiący potok wrzał pomiędzy spadzistemi opokami, zamglewając powietrze drobną pianką, której każda kropelka na błyszczącą zamieniała się tęczę, a nareszcie poważna Pilica tocząc kryształowe wody pośród ubarwionych wybrzeżów, zakończała srebrną wstęgą ogrody Ottona Sandomirskiego«.

Cały obraz natury w ustępie trzecim jest nawskróś uduchowiony. »Świat opuszczony od śmiertelnych władców przechodził pod opiekę niezrozumianych istot. Duchy, spływając na srebrnych chmurach, zastępowały miejsce słabych ludzi... Rozciągając z świetnych promieni uwite skrzydła, czuwały nad ziemią wolno w przestrzenie puszczoną, iskrę zapału wlewały w uśpionych bohaterów, lub przyszłych nieszczęść przeczuciami ostrzegały wolę, wystawioną na zamachy zbrodni«.

Rok upłynął od »Grobu Reichstalów«, a jakże olbrzymi postęp pod każdym względem! Język, tam jeszcze trwożliwie poprawny i możliwie bezbarwny, bezosobisty, tu już śmiały, pewny siebie, szczęśliwie wzbogacony neologizmami, ba, kreacyami Krasiń-

skiego: »ożywne słońce (z Karpińskiego), *odzieleńcie* się gaje; nierozmyślne stopy; pod ciężarem woni (!)«. Pojawiają się dobrze dobrane i barwne *epitety*.

Uczucia tam dziecinnie prawie wyrażone, nie przeżyte i przebolałe, ale z książek przejęte; tu nastrój, na którego oddanie pożyczyć trzeba słów od poety: oto miłość ogniem zionie — wyjdzie z zamętu świat ducha! »Nie zwlekaj zaślubiona mi już sercem oblubienico! Nie zwlekaj! — Słowa młodzieńca przenikały aż do duszy Elżbiety, jak promienie wiosennego słońca do kielicha rozwiniętej róży...«

Ów Leitmotiv zemsty, który dotychczas tak przemożnie głuszył inne tony i wszechwładnie wybijał się nad nie, nie mógł oczywiście zniknąć odrazu bez śladu. Mamy go więc i w śnie Elżbiety, ale jakże jest złagodzony, by nie rzec wygładzony, do rzędu wizyj, hallucynacyj biednej Elżbiety zepchnięty. Kiedy na Granowskiego, ubielonego starości włosem, patrzała »nieszczęśliwa Elżbieta, zawsze obok widziała pokrwawionego Archelda, który wróciwszy z świata duchów, uśmiechał się jeszcze smętnie do oblubienicy, ale sztylet zemsty wzniesiony trzymał nad jej ciemięzcą«. — Otóż ten sztylet zemsty pozostaje tylko wzniesiony, jest naleciałością dawnych przywyknień, jest z tej samej fabryki, co sztylet Alana Reichstala, Henryka Wilczka, Mestwina, z tą różnicą, że tamte broczą się krwią ludzką, a ten jest dekoracyą, z pochwy nie wyjdzie i Granowski naturalną umrze śmiercią.

Charakterystyki osób są wprawdzie zawsze jeszcze trochę za ogólnikowe, ale przecież śmielsze w wyrażeniach, szczęśliwsze w doborze rysów znamiennych.

Oto Elżbieta: »Biała szata w lekkich fałdach obwijała wysmukłą kibić. Lica świeżością podobne były do różanego światła jutrzenki, mięszającego się do fal srebrnego strumienia. Rozwiane włosy, bursztynowemi pierścieniami pieściły się wietrzykiem, a ich barwa tak świetną była, jak gdyby igrający promień zaszłego słońca wmięszawszy się do nich i nie mogąc już z jedwabnych wydostać się splotów, w złotem po nich roztopił się świetle. Na czele godność i spokojność niebiańska się odbiła. W oczach tylko znać było ogień wyrażający zmienne dziewiczych piersi uczucia« itd. itd. To jest jedyna postać na jawie. Wszystkie inne są w widzeniu sennem Elżbiety. O tem należy pamiętać, aby sprawiedliwie ocenić pewną rozwiewność rysów Archelda, Granowskiego i Władysława Jagiełły. Widzenia marzącej dziewicy mają istotnie pewną mglistość obrazów sennych (ustęp 9), które udały się Krasińskiemu szczęśliwie.

* * *

Snem Elżbiety Pileckiej kończy się w sposób bardzo znamienny okres warszawski twórczości Z. Krasińskiego. Uczestniczyliśmy w ciekawej ewolucyi młodocianego umysłu.

Wychowany w sferze na pół jeszcze francuskiej, na pół napoleońskiej, zrazu całkiem wojskowej, wcześnie objawia Zygmunt Krasiński umiłowanie wszystkiego, co rycerskie, co przenosi myślą na pola bitew i chwały; wszak rodził się w 1812 roku, roku wojny, w ową pamiętną wiosnę, o której poeta mówi:

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jednę taką wiosnę miałem w życiu.

Wychowanie domowe, tradycya najbliższa wspierały to zamiłowanie rzeczy i spraw rycerskich. Natura odmówiła warunków zasadniczych: był mały, wątły, był zresztą jedynakiem, o którego życie drżał ojciec. Żądza sławy, odznaczenia się, odziedziczona po jenerale, musiała innego szukać ujścia, nie w trudach wojskowych: znalazła je całkiem naturalnie w sławie pisarskiej, o której już dzieckiem Zygmunt Krasiński marzy. Dziecko widzi, jakiem poszanowaniem otacza ojciec ludzi niewojskowych, odznaczonych nie na polu bitew, ale na polu piśmiennictwa, walczących nie szablą, lecz piórem — i w umyśle dziecka, obok ideału »przeszłości, zakutej w zbrojną stal«, staje ideał pisarza, przodownika społeczeństwa, poety, zagrzewającego pieśnią do czynu. Błyszczący mundur wojskowego nęci go silnie, ale w czasie, gdy umysł dojrzewa wśród licznych nauk, któremi się ojciec na egzaminie 12-letniego syna popisze, Zygmunt widzi, z jakiem uszanowaniem ojciec stale przyjmuje u siebie literatów i poetów, takiego Niemcewicza, Osińskiego, K. Koźmiana, jen. Morawskiego, Lelewela, ba: Odyńca i Witwickiego — i młodziutki uczeń, męczony nawałem lekcyj z historyi, łaciny, geografii, matematyki i t. d., marzy przedewszystkiem o sławie pisarskiej, marzy o druku, tak jak dziewczę podlotek marzy o pierwszej długiej sukni.

Rojenia rycerskie i pisarskie schodzą się w jedno i wydają ustęp z wojny trzydziestoletniej: Grób Ro-

dziny Reichstalów, pełen urojonych nadzwyczajności. Pod koniec pisania wpada mu w ręce Wallenrod, wysławiany przez Odyńca, krytykowany przez uczestników obiadów ojcowskich — i do Grobu Reichstalów wchodzi przebrany Leslie-Alan, czekający 15 lat na zemsty spełnienie. Wallenrod szczepi w duszy dziecka-pisarza to, czemu sam wielkość swą i zgryzotę zawdzięcza, a czem wybuchnie przeciw wajdelotom:

Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka
I wlewa w duszę najsroższe trucizny:
Głupią chęć sławy i — miłość ojczyzny...
Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela,
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela...
Słuchałem pieśni, zanadto, niestety!...

Słuchał ich także chciwem uchem młody Zygmunt. Do rozgorączkowanej, rozpalonej nadmiernem oczytaniem wyobraźni, przemawiało przedewszystkiem to, co okropne, a jak mu się zdawało, tą okropnością męskie, rycerskie: zemsta wydawała mu się samą kwintesencyą wszelkiej intrygi, a najpierwszem zadaniem młodziutkiego pisarza, potrzebą niejako literacką stało się:

Aby krew mieszać w puhary wesela.

Powszechny zapał dla Walter-Scotta każe mu w powieściopisarzu angielskim szukać przedewszystkiem

natchnienia; w formie noweli historycznej umieszcza on treść zaczerpniętą z dziejów ojczystych. Naiwność pojmowania stosunków ludzkich i historycznych będzie stałem znamieniem tych pierwszych prób literackich, aż wreszcie pierwszy cios bolesny, tem boleśniejszy, że z ojcowskiej woli wszczęty, a ręką przyjaciela dokonany, nauczy go, co to życie i co to cierpienie. Dodajmy, że cios ten rani serce w chwili, gdy ono przepełnione jest pierwszą, studencką miłością, a zrozumiemy całą pełnię nowych, gwałtownych wzruszeń, które przyspieszą i bicie serca i rozwój ducha autora trzytomowej powieści. Już mu Walter-Scott nie wystarcza; już Hamlet jego powiernikiem i Gustaw z IV części Dziadów, a rozgoryczony niesprawiedliwem, niezasłużonem cierpieniem za winy niepopełnione, zacznie autor Snu Elżbiety Pileckiej smakować w chmurnym i zgorzkniałym Byronie; tworzy sobie nową formę dla nowej ducha swego treści.

Siła zdarzeń wydala go wówczas z Polski. Wyjeżdża 17-letnim młodzieńcem, chciwym wrażeń nowych, ale zawczasu tęskniącym po kraju rodzinnym, który kocha namiętnie. Opuszcza Polskę na pozór spokojną, rządzoną przez swoich, mającą własne swe wojsko, sejm i organizacyę wewnętrzną. Ach, gdyby mógł był przypuszczać, do jakiej Polski po trzech latach powróci!...

Po wakacyach r. 1829, spędzonych w Opinogórze, nastała pora wyjazdu. Jenerał zdecydował się wyprawić syna do Genewy. Charakter francuski tego miasta, dobrane i inteligentne tamtejsze towarzystwo,

rozgłos uczonych, jak de Candolle, Sismondi, Rossi, de Bonstetten i inni, piękne i zdrowe położenie — wszystkie te względy nakłoniły jenerała do tego, że wybrał dla syna Genewę.

W piękny dzień październikowy 1829 r. zajechał duży powóz z parą dzielnych koni przed pałac Krasińskich. Wyjeżdżał z kraju syn jenerała w towarzystwie starego, doświadczonego mentora, Jakubowskiego. Jenerał Krasiński, nie chcąc zapewne mieć świadków czułego z synem rozstania, odprowadził go aż do Błonia. Tu się pożegnali. Ojciec wyprawiał syna z błogosławieństwem, z przestrogami, które własnoręcznie spisał i dał na drogę. Rozstawali się na długo, na lata całe, to też łzy płynęły obficie. Starali się zapewne nie myśleć o dziwnych i bolesnych powodach tej koniecznej rozłąki. Ale przyszłość narodu stała już między nimi, niewidzialna, nieubłagana jak fatum.

Rozstanie było smutne w r. 1829; ale powitanie w r. 1832 miało być jeszcze cięższe i nad wszelki wyraz tragiczne.

KSIĘGA DRUGA.

ROK W GENEWIE.

(3 listopada 1829 — 3 listopada 1830).

Od samego wyjazdu z Warszawy tęskni Zygmunt Krasiński do stron rodzinnych. Daje wyraz uczuciom swym, pisząc zaraz nazajutrz po rozstaniu się z ojcem z Kalisza liczne listy: »do Babuli, do Girardego, do Wyleżyńskiego, do Danielewicza, Gaszyńskiego i Stasia Krasińskiego«. Jak na krótki popas, chyba dosyć listów naraz! Droga przez Śląsk była »nudna, powolna, błotnista«. Odpoczywali pół dnia w Wrocławiu, z czego korzysta zapalony do listów podróżnik i znowu sześć listów pisze do wyżej wymienionych osób. Na Glatz, Reinerz, Jaromierz i Königgrätz jechali do Pragi, gdzie stanęli późnym wieczorem 18 października. Zwiedził osobliwości stolicy Czech. Zwłaszcza widok z wieży katedralnej na całe miasto zachwycił go; autor Grobu Reichstalów patrzył z ciekawością na pałac Wallensteina i na Górę białą. Teatr praski wydał mu się gorszym od warszawskiego. Zwiedzanie Pragi nie przeszkodziło jednak napisaniu siedmiu listów (siódmy do X. Chiariniego). 21 października ruszyli z Pragi na Pilzno ku Bawaryi, która zrazu niezbyt się podobała Krasińskiemu. Zwiedziwszy Ratysbonę (Regensburg), piękniejszą jechali okolicą nad brzegami Dunaju na Neuburg i Augsburg, aż dotarli do granicy wirtemberskiej w Konstancyi. Tu wspomnienia Hussa na chwilę oderwały

myśl młodego podróżnika od tęsknoty za Polską. »Helwecka ziemia« zaraz za Konstancyą podobała mu się dla swej »czystości i piękności wsi i miasteczek«. Na Zurych i Bern, gdzie zachód słońca, oświecający Oberland, wywołał pierwsze zachwyty nad przyrodą szwajcarską i gdzie znowu sześć listów napisał, skierował się Krasiński ku Szwajcaryi. Przejeżdżając koło Morat (Murten) oglądał pole bitwy, słynnej klęską Karola Burgundzkiego (22 czerwca 1476), i z zachwytem opisywał ojcu męstwo górali. »Te wielkie wspomnienia wzruszyły moją duszę«.

2 listopada wyjechawszy z Moudon w kantonie wodejskim, ujrzał wreszcie Krasiński ze wzgórza wspaniały Leman, »nieprzejrzany obszar wody, ściśniony między dwoma pasmami gór«. Wrażenie było zbyt silne, aby mogło zaraz znaleść odpowiedni i godny siebie wyraz. Przytem »źle się wydają najpiękniejsze obrazy, kiedy łzy zaciemniają oczy, a serce pełne żałości woli o moralnych (!) myśleć uczuciach, niż gubić się w zapatrywaniu się na materyalne ogromy. Polska ze swoimi piaskami pod bardziej wabiącemi stawiała mi się farbami, niż góry szwajcarskie, i za jezioro Genewskie nie odstąpiłbym wspomnienia o stawie (!) opinogórskim«.

Tak więc tęsknota za ziemią rodzinną przysłania jeszcze czarną gazą najpiękniejsze widoki Szwajcaryi. Pierwsze wrażenie jeziora Genewskiego jest bardzo treściwie skreślone, ale nie oddaje tak dobrze piękności natury, jak np. późniejszy, spokojniejszy list do Gaszyńskiego. Między pierwszem wrażeniem a wykończonym obrazem upłynie czas, niezbędny na

spokojne przetrawienie i przyswojenie sobie tych nowych czynników twórczości.

3 listopada 1829 r. o godzinie 11 rano stanął Zygmunt Krasiński z mentorem swym Jakubowskim w Genewie. Zajechali do »oberży« pod Wagą (la Balance), poczem po południu już przewieźli się na zamówioną i przygotowaną pensyą staruszki wdowy, pani Rérilliod. Z. Krasiński nie był zadowolony ani z właścicielki pensyonatu i jej starych i brzydkich córek. ani z drożyzny genewskiej. Do najpierwszych znajomych Krasińskiego w Genewie należał stary Lombard, bankier i syn jego.

Nie tracąc czasu, Krasiński zaraz myśli o nauce; postanawia wziąć czterech metrów: angielskiego, francuskiego »t. j. do mowy dyplomatycznej francuskiej«, do fortepianu i do matematyki, »t. j. raczej do zrozumienia trochę taktyki wojskowej, co może zdać się, czytając dzieła«. Prosi także ojca, aby mu pozwolił uczyć się fechtunku »dla wzmocnienia ręki i ciała«. Z pokojów miał ładny widok na spacery genewskie i góry śniegiem okryte. Dzięki temu, że właścicielka pensyonatu spokrewniona była z pierwszemi rodzinami genewskiemi, wszedł Krasiński bardzo łatwo w tamtejsze towarzystwo. Już na trzeci dzień po przyjeździe złożył wizytę staremu Bonstettenowi, który z twarzy przypomniał mu Niemcewicza. Jak bacznie uważał na wszystko młodzieniec, można wnosić z tego, że odrazu ocenia Bonstettena i w liście do ojca notuje: »zdaje mi się daleko niższy rozumem (od Niemcewicza)«. Pierwszy wieczór u Lombarda nie zostawił mu zbyt przyjemnego wrażenia

z powodu niedyskretnych pytań genewczyków, czy to lub owo znanem jest w »Polszcze«. Natomiast ważnem jest, że na tym właśnie wieczorze, a zatem już 5 listopada 1829 r. poznał się Krasiński »z młodym Anglikiem, zwanym Mr. Reeve. Trudno go osądzić od pierwszego razu«. Będzie to niebawem najserdeczniejszy przyjaciel Zygmunta na cały szereg lat. Reeve, uczęszczający już od roku na uniwersytet genewski, zapewne pierwsze mu dał informacye o wykładach i profesorach.

Krasiński nie był jeszcze 7 listopada zdecydowany, na jakie wykłady uczęszczać. »Nie wiem — pisze do ojca — na jakie kursa chodzić, bo niezmiernie wszystko powikłane w tutejszym uniwersytecie, który w rzeczy samej nie jest, i to przyznają sami Genewczycy, uniwersytetem«.

Pierwszą niedzielę (8 listopada) poświęcono na spacery w okolicach Genewy, które wydały się Krasińskiemu »prześliczne«. »Góry, doliny i jezioro są trzy pierwiastki, które rozmaicie się kombinując, najpiękniejsze tworzą widoki... Wody Lemanu mają sobie właściwy, niebieski, ciemny kolor. Zdaje się z daleka, że roztopione *lapis lazuli* toczy płynne fale. — Pisałem dziś do Babuli, do Wyleżyńskiego, do Rybczyńskiego, Girardego, Danielewicza, Henryka Krasińskiego i Pągowskiego«.

Niezwykły zapał w korespondowaniu trwa dalej. Jednym zamachem pisze ośm listów. Wieczorem idzie do teatru. — Z wykładów uniwersyteckich wybiera sobie ekonomię polityczną i filozofią; inne wykłady jeszcze się nie rozpoczęły. Dobry syn odczytuje

przestrogi ojca już po drodze, zaraz w Kaliszu, Pradze, Bernie i Genewie. »Przejąłem się nim (listem ojca), łzami go oblałem — będę postępował podług jego przestróg. Czułość, która w nim panuje, rozrzewnia moje serce... Pamięć dobrego ojca unosi się nademną, by bronić mnie i okrywać, by wskazywać drogę powinności i honoru, i mam nadzieję, że nikt nie będzie mógł, ani śmiał, zarzucić mi czynu, godnego wstydu i rumieńca. Kochany Papo, wszystko, co moje szczęście teraz stanowi, jest wspomnienie. Teraźniejszość mało ma dla mnie powabu, wśród zabaw i salonu nie upatruję żadnej ponęty. Żyję w przeszłości i karmię się nadzieją. Staram się urzeczywiścić Papy cele, ale czas, który mam bez niego i bez ukochanych, zostawionych osób przebyć, jest czasem goryczy i smutku; jest to droga pełna cierniów, na których mdłe tylko kwitną róże, jest to pora próby i cierpienia. Bo nie kryję Papie, że smutek najgłębszy mnie pożera. Umiem go ukrywać i śmiać się potrafię w potrzebie; lecz uśmiech ten nie pochodzi z duszy, jak dawniej, jest on jedynie mechanicznym ust ruchem. Jedna tylko myśl uczynienia Papę szczęśliwym utrzymuje mnie w nowym zawodzie, jedna nadzieja zjednoczenia się z nim uśmiecha się memu sercu i rozwesela je. Zresztą wszystko jest głazem, lodem dla mnie, wszystko małem, śmiesznem mi się wydaje. Oprócz Polski, oprócz Papy, oprócz Warszawy nic niema dla mnie na świecie, a góry i jeziora Helwecyi są mdłą pociechą dla oka, dla serca zaś żadną. — Sosnowe lasy i piaski Mazowsza milej mojej stawiają się pamięci, niż urocze doliny

i wzgórza Lemanu; Ciechanowskie wieże piękniej wznoszą się w mojem wspomnieniu, niż Mont-Blanc, która do nieba dotyka, a wody Lidyni milej szemrzą w moich uszach, niż wodospady rozbijające się z szumem o Helwecyi skały«.

Wspomnienia domowe nabierają teraz silnego uroku. I »Babula« z daleka staje się bardzo drogą i kochaną. »Przywiązany wnuczek« pisze: »wyobrażam sobie pokóy sypialny, zielony, z swemi stolikami, obrazami, zwierciadłami i kapliczką, — widzę kochaną Babulę, siedzącą w aksamitnem krześle, przy stole, na którym ułożone w porządku papiery i obrazy mego oyca i matki. Drzwi z czerwonego salonu otwieram, wchodzę i biegnę paść do nóg kochaney Babuli«. Na jej życzenie przepisuje dla niej i posyła kilka listów św. Franciszka Salezego, który, jak wiadomo, był biskupem genewskim.

Zygmunt Krasiński postanawia uczyć się z całem umysłu natężeniem, a w chwilach wolnych od nauk chce czasem »dodać kilka kart do zaczętego Zawiszy, by polskiej nie zapomnieć mowy, a może też, by i miłości własnej dogodzić«. Spodziewa się na wiosnę przez okazyę wysłać »Zawiszę ukończonego« do Warszawy i prosi ojca, aby rękopis odesłał wówczas do drukarni »p. Józefa« (Krasińskiego). Zapisuje się do wybornie urządzonego Towarzystwa »Société de Lecture«, gdzie ma mnóstwo gazet i najnowsze dzieła; tymczasem zaś życie towarzyskie zaczęło mu urozmaicać pobyt nad Lemanem. Pani domu wydała wieczorek, na którym poznał Krasiński różne damy, »żadnej pięknej i przyjemnej, oprócz dwóch Ągielek,

nazwiskiem panien Willan: jedna blada, blondynka, melancholiczna, druga brunetka i żywa jak proch leszczyński; obie naturalne, nie pedantki i bez pretensyi, rzecz dziwna w Genewie, gdzie wszyscy roszczą sobie prawa do rozumu, erudycyi i głębokości pomysłów«. Jedna z tych panien Willan, Henryeta, będzie niebawem przedmiotem wzdychań młodego Zygmunta.

Z wieczorku u Bonstettena jest niezadowolony: »ścisk, gorąco, nuda«. — Ogólne wrażenie wieczorków genewskich jest bardzo dowcipnie i trafnie skreślone w liście drugim z d. 18 listopada 1829 r.: »O pół do dziewiątej przychodzi się do małego salonu (Krasnodębskiego w Pałukach jest dwa razy większy). Zastaje się mnóstwo osób, oddzielonych od siebie podług płci: bo damy siedzą jedna przy drugiej na długich kanapach przy sobie w około ścian postawionych, a mężczyźni stoją trzy godziny w miejscu, zostawionem z drugiej strony salonu. Damy gadają między sobą, mężczyźni między sobą: to o botanice, to o zoologii, czasem o Don Miguelu i o panu Bourmont. Zdarza się, że mężczyzna przysunie się do damy i powie kilka słów o wietrze, o pogodzie, o błocie, lub mrozie — a potem się odwróci, by się cofnąć do arrière-gardy, składającej się z całej męskiej kompanii. Tymczasem obnoszą herbatę, poncz, limonadę, ciasta, — o kolacyi nigdy nie słychać. Trwa taki wieczór ze trzy godzin, a potem każdy wychodzi spotniały, zmęczony, znudzony, nie odniósłszy żadnej korzyści, nie doznawszy żadnej przyjemności; ale

mówiono mi, że później poprawią się wieczory i zabawniejszymi się staną.

Jest to w charakterze Genewczyków wrodzonem, że chwalą się, jedni drugich, bez żadnej miary. Słowa: »*C'est un homme distingué, intéressant, aimable, savant — c'est une femme charmante, pleine d'esprit, agréable*« — nie wychodzą im nigdy z ust, a indywidua, których się tyczą, czasem zupełnie przeciwne mają przymioty«.

Z tym opisem młodego Polaka warto zestawić, co o towarzystwie genewskiem owoczesnem mówi członek długoletni i chluba tegoż, Augustyn Pyramus de Candolle w swych pamiętnikach. Pokaże się, jak świetnie i trafnie charakteryzował Krasiński tamtejsze stosunki:

»Wszystkim zebraniom towarzyskim w Genewie nadały obyczaje nasze tak jednostajną barwę, że dla zauważenia różnic trzebaby poniekąd wziąć szkło powiększające. To też, jakkolwiek w zimie często się komuś trafi złożyć trzy lub cztery wizyty, zdawać mu się może, że zaledwie zmienił tylko salon, do tego stopnia jednakowe znajdzie wszędzie opinie, jednaki ton i maniery. Tłómaczy się to częstymi stosunkami towarzyskiemi tych wszystkich osób na rozmaitych zebraniach. Towarzystwo genewskie miało wogóle życie i urok, które zatraciło z czasem, odkąd opinie metodystów i radykalne zapatrywania 1830 r. zaczęły się do niego przedostawać i dzielić je na partye. Obcowanie z cudzoziemcami ma dla nas wielkie korzyści. Częste spotykanie się nas Genewczyków w Radach, Komitetach, Towarzystwach filan-

tropijnych, Towarzystwach naukowych, klubach i wieczornych zebraniach sprawia, że wszyscy się znamy. Ledwie który z nas otworzy usta, a wie się prawie z góry, jak będzie przemawiał: bo, jeśli chodzi o sprawy ważne, zna się jego przekonania, jeśli zaś chodzi o prostą rozmowę, zna się dostatecznie jego zapatrywania, by odgadnąć, co powie. Każdy z nas czuje to instynktownie; skąd wynika, że niezbyt silimy się, aby powiedzieć coś interesującego lub nowego. Natomiast współudział cudzoziemców w konwersacyi dodaje jej życia; cieszymy się tem, cokolwiek nowego wnoszą; cieszymy się także, kiedy wywołają czasem nową umysłowości stronę w rodakach naszych, których znamy oddawna, ani się domyślając zasobów ich wiedzy.

»Z tego to podwójnego powodu bardzo lubiałem rozmawiać z cudzoziemcami, skoro ci albo umieli dobrze opowiadać o swym kraju, albo dobrze obserwować nasz własny«.

Piękności natury zachwycają Krasińskiego i w listach do ojca daje on często wyraz swym szczerym zachwytom. Te małe obrazki natury są to jakby szkice odręczne, ważne dla poznania rozwoju umysłowego poety, w którego dziełach tak później przyroda na plan najdalszy usunięta. Z mieszkania p. Galiffe-Pictet, który Krasińskiego na obiad zaprosił, otwierał się widok rozległy na góry Salève i Mont-blanc. Oświetlenie było wieczorne. »Dzień był pochmurny, ale przy końcu konające już promienie przedarły się przez mgłę i ostatniem pożegnaniem ozłociły dalekie śniegi Salewu. Nigdym jeszcze ta-

kiego uczucia *Piękna* nie był doznał, jak wtenczas. Niech Papa sobie wystawi pasmo gór czarnych, w cieniach wieczoru pogrążonych. Był to pierwszy obraz w tej okolicy, gdziem się znajdował. Za tymi ogromami ciemnymi dopiero białawe wierzchołki wysmukłych skał się ukazują i szczyty gór odleglejszych: na nie właśnie wtenczas padały promienie słońca. Złoto, purpura, drogie kamienie, niczem nie są w porównaniu złudzeń, sprawionych śniegiem, lodem i igrającem po nich światłem. Wszystkie farby tęczy, potrojonej mocy i blasku, świetniały na tym ciągu szczytów; każdy kawałeczek lodu przez chwilę dyamentem się stawał, każda chmura morzem ze srebra i złota, każda kropla wody w perłę się zmieniła, każdy wierzchołek skał, podług swojej bliskości lub oddalenia, to w ametystowe, to w rubinowe ustroił się blaski. A nad tem wszystkiem, łukiem zakrzywiła się tęcza, obejmująca pół widnokręgu, jak gdyby nieba jeszcze przyłożyć się chciały do świetności ziemi.

»Przeciwne więc widoki stykały się zbliska: tu ciemność pochłaniała wszystko i jednostajną nadawała barwę i czarnej skale i srebrnym śniegom, tu znowu każde drzewo, każda chata, każdy kamyczek, każdy strumień inny miał kolor. Odrobina skrzepłej wody świetniała na kilka mil około. Chmurka, coby inaczej nie zwróciła spojrzenia, teraz podobną była do tronu gieniuszu. Jasność i cienie, woda i zmrożenie składały pierwiastki tych dziwnych, bogatych i fantastycznych widoków, co chwila się zmieniających. W tem miejscu zdawała się góra płomieńmi okryta krwa-

wymi, w tamtem bladawą światłością migała wśród nadchodzących cieniów; w tej chwili chmura oblana była potokami ognia, w następującą złotą przybierała barwę — a potem darmo śledziły ją oczy: roztopiona w błękicie, lub zapadła w miejsca nocą już zagarnięte, zniknęła na zawsze. Tysiączne zmiany, to zwolna, to w mgnieniu oka następowały po sobie, lecz coraz słabiej oświecone skały i lody traciły z rażącego blasku — nareszcie złoto i purpura rozeszły się w powietrzu, a słabszy, fijołkowy kolor, i srebrna barwa, zostały przez jakiś czas panami przestrzeni, lecz i te niezadługo osłabiły się znacznie. Coraz więcej gór ciemność zabierała, tak jak zwycięski zdobywca, który co chwila dalej się posuwa. Już tylko najwyższe jeszcze błyszczą szczyty, a kiedy ostatni promień słońca skonał na wierzchołku Mont-Blanc, zupełne noc odniosła zwycięstwo...«

Obok natury interesują go ludzie; w najbliższem otoczeniu ma ciekawą figurę, p. Leonarda Revilliod, syna właścicielki pensyonatu, w którym mieszka. W liście do ojca daje Zygmunt długą, szczegółową charakterystykę tego Genewczyka, z którym widocznie w pierwszych tygodniach chętnie przestawał. Charakterystyka jest widocznie przesadna, L. Revilliod, wygląda tu na postać byrońsko-romantyczną, jakkolwiek Zygmunt zastrzega się, że »ten obraz nie jest przesadzony moją r o z r o m a n t y c z o n ą głową, jak mówi Osiński«. Tak z opisu gór przy zachodzie słońca, jakoteż z próby portretu duchowego L. Revilliod widać widać wyraźnie, że Zygmunt Krasiński ćwiczy się w obserwacyi przyrody i ducha ludzkiego,

że zbiera świadomie materyały do jakichś prac literackich, może do tego Zawiszy, o którym w poprzednim liście ojcu wspomina. Przytem tęsknota za krajem wielka i z listów w każdym niemal ustępie przebija. Utrzymuje »ciągłą i żywą korespondencyą z Warszawą« — w stosunku do ojca jest widocznie nieśmiałym, jakby siebie niepewnym; są ustępy, które raczej oznaczają stosunek podwładnego do naczelnika, wychowańca do opiekuna; wielka staranność w doborze słów, ale czułości dziecięcej bardzo mało.

Kontynuuje Zawiszę i posyła Gaszyńskiemu już 10 listopada 1829 r. »*Opisanie jeziora Leman*« do »peryodycznego dzieła, które on wydaje«. Najwyraźniejszy to dowód, że współpracownictwo w »Pamiętniku dla płci pięknej«, który dopiero w r. 1830 zaczął wychodzić, omówione było między przyjaciółmi jeszcze w Warszawie w lecie 1829 r. Opis Lemanu ukazał się w pierwszym zeszycie Pamiętnika (str. 31—34). W porównaniu z tonem listów do ojca znać tu większą śmiałość wyrażenia, swobodę wypowiadania swych wrażeń. Aż się wierzyć nie chce, że ten sam Zygmunt w tydzień potem będzie pisać do ojca o sobie: »Staram się być najgrzeczniejszym, najskromniejszym i kiedy widzę, że kto niegrzeczny, to na drugą stronę salonu przechodzę, żeby się czasem nie dać zaczepić i nie unieść się złością«.

Nie odbierając przez kilka tygodni listu od jenerała, Zygmunt zaczyna być niespokojny, pisze list 8 grudnia z delikatnemi wymówkami, a dla rozwe-

selenia ojca opisuje mu, »co zowią w Genewie *les sociétés du dimanche*«.

»Każda dziewczynka, jak tylko chodzić już może bez pomocy mamki i jak tylko wymówić zdoła słowa: »*Bon jour, bon soir, beau temps, mauvais temps*«, zaczyna stawać się częścią towarzystwa, t. j. że co niedziela w zimie chodzi do zbioru dziewczynek wego wieku, pije z niemi herbatę i plecie. Oczywista rzecz, z czasem te dziewczynki, córki kilku przyjaciółek, stają się pannami, a jeśli która idzie za mąż, wtenczas: *on ouvre la société du dimanche*, mówiąc technicznym do tego wyrazem i wolno mężczyznom wdawać się w to towarzystwo, składające się z dwudziestu lub trzydziestu panien. Stąd pochodzi, że są towarzystwa niedzielne, od dzieci liczących cztery lata, do poważnych matron, mających 20 razy tyle. Towarzystwo więc ogólne Genewy dzieli się na małe zbiory, na małe plemiona, czyli po francusku mówiąc, na wielką liczbę *koteryj*, które psują i niszczą całą działalność, żywość i przyjemność wieczorów i assamblów: bo każda panna nie śmie nic mówić, nic robić, nie wie, jak usiąść, jak przyjąć komplement, jak nań odpowiedzieć, gdyż 20 lub 30 towarzyszek jej koteryi wiecznie czuwa na jej najlekse skinienie, najcichsze słowo, a całe miasto wie nazajutrz, wiele pończochy uszyła i wiele taśm uhaftowała na kanwie. Ten systemat wspólnego szpiegowania się kobiet oddala wszelką uprzejmość z ich twarzy, wszelką otwartość z ich charakteru, wszelką żywość młodości odbiera, a połowę wdzięków odkrada piękności: słowem, za-

mienia tutejsze damy na głazy z marmuru, na postawy z kamienia«.

Ostre uwagi o książętach: Hohenlohe i Biron, przebywających w Genewie, dowodzą, że Krasiński nie lgnął bynajmniej do »tężyzny« arystokratycznej. Do ściślejszych znajomości zalicza Augusta Zamojskiego, który był od roku studentem Akademii Genewskiej, i Ferdynanda Dupan, »de la haute volée«. Na nudy nie mógł Z. Krasiński narzekać. »Codzień sypią się jak grad zaprosiny na wieczory i obiady«. Zajęć naukowych nie miał zrazu wiele. Podaje w liście z d. 8 grudnia tabelkę tygodniową godzin nauce poświęconych, z której widać, że tylko dwa razy w tygodniu zajęty był przez 4 godziny (w czem 1 godzina fortepianu). Angielskiemu poświęca 6 godzin na tydzień, francuskiemu 2, filozofii 3 i jedną godzinę Ekonomii politycznej. Zapowiada, że będzie uczęszczał na kurs historyi rzymskiej, wykładany przez słynnego prawnika Rossi. »Sławny on jest — pisze Krasiński — z wymowy, ma zawsze postać śpiącego człowieka i Włocha, myślącego tylko o *dolce far niente*«.

Pelegrino Rossi (ur. 1787) należał do najznakomitszych profesorów Akademii genewskiej. Jako stronnik Murata musiał w r. 1815 opuścić Włochy, przeniósł się do Genewy, gdzie go zamianowano profesorem prawa rzymskiego. Wysoki, z typową twarzą Włocha, o czarnych włosach, wywierał wielki wpływ na swych słuchaczów pomimo pozornej niedbałości (*apparence indolente*). Olbrzymie oczytanie, bystrość sądu i zręczność włoska w przedstawieniu swych zapatrywań wywoływały podziw słuchaczów. »Jour-

nal de Genève« (wówczas tygodnik, barwy radykalnej, w opozycyi do konserwatywnego rządu) daje w numerze z d. 21 stycznia 1831 r. entuzyastyczne sprawozdanie z wykładów Rossi'ego. Zaznaczywszy tłumne zebranie słuchaczów, »zawsze pragnących usłyszeć profesora Rossi«, stwierdza wielbiciel jego, że niepodobieństwem jest dać pojęcie o czarodziejskim zachwycie, jaki wywoływa wykład Rossi'ego: »*c'est une magie qui échappe à l'analyse*«. Niepodobna oddać wdzięku wymowy, mnóstwa zwrotów dowcipnych, wyrażeń malowniczych, czasem może trochę dumnych (*ambitieuses*), ale zawsze znakomicie dobranych, by wyrazić myśl z wszelkiemi jej delikatnemi odcieniami i wywołać pożądane wrażenie. »Wreszcie, jak oddać tę niedbałość (*laisser aller*) widoczną, która przypomina owe wiersze Lafontaine'a, gdy mówi o Nocy, tej bogini, która

Par de calmes vapeurs mollement soutenue
La tête sur son bras et son bras sur la nue
Laisse tomber des fleurs et ne les répand pas.

W końcu pisze sprawozdawca »Journal de Genève: »L'art de notre professeur est de n'en point mettre en évidence, et ses éloquentes leçons ressemblent presque à des conversations familières, où le génie se trahit quelque fois par des tirades brillantes et des aperçus neufs et pleins de finesse«.

Wykłady jego z zakresu historyi rzymskiej wywarły wielki wpływ na przyszłego twórcę Irydiona, otworzyły mu nieznane horyzonty i wprowadziły w samą głąb zagadnień powszechno-dziejowych.

Tymczasem jednak młody Zygmunt więcej żył

myślami w Warszawie, niż w Genewie. Narzeka, że mu mało kto odpisuje na listy i oblicza, że od wyjazdu z Warszawy (a zatem w przeciągu 7 tygodni) napisał »przeszło 80 listów«! List z d. 8 grudnia kończy się wreszcie ważną wiadomością: »Na Nowy Rok ma wyjść Władysław Herman. Niezmiernie bym pragnął go ujrzeć«. Słowa te najwyraźniej dowodzą, że Krasiński rękopisu Wład. Hermana nie brał z sobą do Genewy, że zatem poprawek żadnych tego utworu w Genewie nie dokonał.

14. grudnia 1829 r. pisząc do Ojca z życzeniami noworocznymi, wyraża Krasiński żal, że nie może mu osobiście złożyć swych życzeń i ofiarować nowej pracy: »pierwszego tomu Zawiszy na czysto przepisanego i w safian oprawnego«. Ale odległość nieubłagana stoi na przeszkodzie. Co gorsza, że wilia Bożego Narodzenia się zbliża, a on tego »starożytnego naddziadów zwyczaju« obchodzić nie będzie: »nie zobaczę ani maku, ani siana, ani strucla«.

Pociesza się wycieczkami w okolice Genewy *(Celigny)* w towarzystwie Augusta Zamoyskiego, który mu się coraz więcej podoba. Uczy się pilnie na fortepianie, już umie wygrać kilka »*airs*«. »Codzień lepiej rozumiem po angielsku i gadam z Anglikami i Angielkami«. Uczy się także stylu dyplomatycznego: skraca lub przerabia drukowane noty, mowy, traktaty francuskie. »Metra do tego mam p. Roget, niezmiernie słusznego człowieka i światłego, a razem bardzo pięknych uczuć«. Był to Franciszek Roget (ur. 1797, umarł 1858) teolog kalwiński, profesor literatury w r. 1829, historyi w 1835, eme-

ryt w r. 1848. — współpracownik czasopisma *Bibliothèque Universelle*, doskonały znawca łaciny i francuszczyzny.

Kurs historyi powszechnej wykładany przez Rossi'ego bardzo się Krasińskiemu podobał: »Jego sposób wykładania jest wyborny — nie wylicza drobnostkowych faktów. ale zastanawia się nad ogółem historyi i z prawdziwie filozoficzną powagą wzrusza groby narodów i popioły królów«. — Znakomitości genewskie nie rugują jednak z pamięci Krasińskiego nauczycieli warszawskich. W liście do Ojca (6. I. 1830) poleca się pamięci księdza Chiariniego: »zawsze jestem jego kochający uczeń, niezapominam łaciny, odczytuję klassyków i czytając ich, zawsze pamiętam o tym, z którym tak często ich czytałem«.

Dla charakterystyki pierwszej jego miłości studenckiej ważna jest wiadomość w liście (VI.) do Ojca z d. 15. stycznia 1830 r. »Odebrałem niedawno list od Pani Załuskiej z niezmiernemi oświadczeniami przyjaźni, czułości, dobrych życzeń — położyłem ten list w biurku osobno od innych i napisałem na kopercie, żebym wiedział od kogo: »*varium ac mutabile semper est faemina monstrum*«.

Widocznie Jenerał przeczuł, że jedna z panien Willan stanie się ideałem rozmarzonego młodzieńca, skoro syn pośpiesza uspokoić ojca: »Zdaje mi się, że już Papa sądził, żem się w nich, a przynajmniej w jednej z nich zakochał. Lecz powietrze Genewskie nie bardzo sprzyja miłości. Zimno ogromne panuje w tonie dam tutejszych, a jeśli Warszawa jest na północy Europy, to Genewa jest na północy uczuć«.

Nie mamy powodów podejrzywać prawdziwości tych słów w owym czasie, kiedy to Krasiński więcej był jeszcze profesorami niż pannami zajęty. W tym samym liście pisze, że poznał »p. Sismondi autora sławnej Włoch historyi« i że »bardzo wiele znajduje przyjemności w jego rozmowie«.

Kiedy skutkiem jakichś »romantycznych wyrażeń« w liście do »Stasia« Krasińskiego Jenerał zapytuje syna o wyjaśnienie rzeczy, tłómaczy się wówczas Zygmunt w sposób charakterystyczny; jest to może jeden z pierwszych krytycznych rzutów oka na samego siebie, owo Γνῶθι σεαυτὸν, które przyświecać będzie »Nieboskiej«.

»Zrobiłem małą uwagę nad swoim charakterem, a ta jest: że czasem fałszywy entuzyazm mnie porywa i staram się utrzymywać go słowami podobnemi do sławnych *promieni fal*, a nie uważam, że osoby, które mnie czytać będą, powezmą wcale fałszywe wyobrażenie o stanie duszy mojej. Pisząc do młodych ludzi, rówiennikόw moich, to mi się przytrafia i muszę na przyszłość strzedz się tego...«

Opis »balu« genewskiego jest dowodem zupełnej eszcze swobody umysłu, a zarazem pewnej niechęci do tańca, łatwo zrozumiałej u młodzieńca małego wzrostu.

Jakkolwiek przyznaje, »że nie ma ucha«, że nie jest muzykalny, jednak czyni postępy w grze na fortepianie, grywa pieśni z *Damy Białej* i *Cyrulika Sewilskiego*.

Zima pierwsza, którą Krasiński spędził w Genewie

odznaczała się niezwykłą w tych stronach surowością; część jeziora Genewskiego zamarzła.

Może w związku z tem jest nowa fala smutku, która nawiedza Zygmunta

Niepewność, co się dzieje z drogiemi mu osobami (bo listy z Warszawy coraz rzadsze), wreszcie jednostajność życia w małem, obcem mieście — »nie najmilsze sprowadza chwile«. »Wszystko mi się wydaje niezmiernie smętnem w tem życiu, wszystko niezmiernie powikłanem; przeszłość ulatuje szybko, że ledwo pamięci wystarczy na jej wspomnienia; teraźniejszego czasu, oprócz w gramatyce, nigdzie niema na świecie, a przyszłość, co chwila w przeszłość się zmienia«. Zaczyna się sobie przypatrywać. »Teraz właśnie (2. Lutego 1830) siedzę przy dogorywającem ognisku, z dwoma (sic) świecami na stole, z Moorem i Byronem z jednej strony, kursem Dyplomacyi z drugiej, Zawiszą z trzeciej...«

Narzeka po raz pierwszy na »swój reumatyzm«.

Zwierza się następnie ojcu z pierwszego swego artykułu francuskiego, (O stanie literatury polskiej), przeznaczonego do Bibliothèque Universelle, a napisanego na życzenie starego Bonstettena. — Czego jednak ojcu nie donosi, to tego, że pierwszą pobudką był zdaje się list o literaturze rossyjskiej panny Anastazyi Chlustine, którym się de Candolle zachwycał, jako jakiemś unicum w swoim rodzaju. List ten wydrukowała *Bibliothèque Universelle* w zeszycie listopadowym p. t. »Lettre sur l'êtat àctuel de la Littérature russe adressée à Mr. **.

W przypisku, u dołu, czytamy:

»Cette lettre est écrite par une jeune demoiselle qui par son esprit et ses connoissances pourroit fournir une nouvelle preuve du point où est portée l'éducation littéraire des dames de la noblesse russe«.

Z pewnością nie mówiono w salonach genewskich w listopadzie o niczem innem tylko o tem »arcydziele«. Krasińskiemu mogło być nie miło, że tak się zachwycają pracą o literaturze rossyjskiej, a o polskiej nic nie wiedzą. Pisze wtedy (w końcu stycznia) swój ośmio-arkuszowy List, o czem donosi ojcu. Bonstetten z pochlebnym przypiskiem, acz bez wymienienia nazwiska autora, List ten w zeszycie *Bibliothèque Universelle* na luty 1830 r. wydrukował p. t.: *Lettre sur l'état actuel de la littérature polonaise, adressée à M. Bonstetten.*

Do tego artykułu umieściła redakcya następujący przypisek: »Mr. de Bonstetten ayant vu, par un exemple récent, combien les rédacteurs de la *Bibliothèque Universelle* mettent de prix à tenir leurs lecteurs au courant de la littérature dans des pays divers, a bien voulu leur communiquer cette lettre qui lui a été écrite de Paris par un jeune Polonais de 17 ans, et qu'il avoit depuis plusieurs mois en porte-feuille. »Cette lettre«, nous dit-il en nous l'adressant, »me semble digne de faire le pendant de celle sur la littérature russe que Vous devez à une demoiselle de vingt ans. L'une et l'autre prouvent que chez les nations slaves: le talent *n'attend pas le nombre des années*«.

Artykuł to młodociany, przesadny i entuzyastyczny. »Au quinzième et au seizième siècle, la Pologne, j'ose le dire, étoit la nation la plus éclairée(!) de l'Europe, en exceptant toutefois l'Italie; dont les savans s'empressoient d'accourir à la cour de nos princes pour y chercher protection et largesse«.

Szczegóły są z pamięci czerpane, a więc niedokładne nieraz, zwłaszcza daty w przypiskach. Widocznym celem Krasińskiego było przeciwstawienie narodu i literatury naszej narodowi i literaturze rossyjskiej.

»La civilisation et les lumières ne furent jamais complètement éteintes en Pologne, comme cela arriva en Russie pendant que les princes de Moscou allaient chaque année s'agenouiller et déposer leur couronne aux pieds des Khans de Tartarie« (str. 139).

Z XVI wieku wymienił młody autor: Kochanowskiego (»Nestor des poètes polonais«), z XVII.: Sarbiewskiego, Skargę, z XVIII.: Krasickiego, Trembeckiego, Karpińskiego, Dmochowskiego, Naruszewicza, Kniaźnina, Szymanowskiego. — Przywiązanie do Napoleona zaznacza się w gorących zwrotach: »celui qui distribuoit les couronnes et faisoit trembler l'Univers«.

Żyjących pisarzy dzieli na dwie kategorye: tych, co się urodzili za panowania Stanisława Augusta: Ceux qui appartiennent à la première datent encore du règne du Stanislas Auguste. Les seconds sont nés après le partage de leur patrie« (146). Stosownie do tego podziału mówi najpierw o Niemcewiczu, którego »Dzieje Zygmunta III.« nazywa arcydziełem

wymowy; o Woroniczu (son chef-d'oeuvre est le discours qu'il prononça à l'enterrement du prince Joseph Poniatowski. L'effet en est tel, qu'on croit voir les ombres des grands hommes de l'ancienne Pologne se rassembler à la voix de l'orateur...«) Mowa dalej o Śniadeckim, Kożmianie, Osińskim, poczem przechodzi do walki klasyków z romantykami. Mickiewicz jest pierwszym z poetów romantycznych: »Plein de verve et de cet enthousiasme propre au printems de la vie; il prend souvent un essor sublime et planant au-dessus de la terre il force l'admiration et excite l'étonnement par son audace. C'est Icare volant près du soleil; mais ses ailes ne se fondent point, au contraire elles se déploient d'autant plus qu'il s'elève...

»En lisant ses ouvrages on croit voir un monarque qui force les mots, ses eclaves, à venir se placer sous sa plume, et manie les expressions dans tous les sens avec la plus grande facilité«.

Zacytowawszy w przekładzie pieśń Wajdeloty, od słów: Comme au son de la trompette de l'archange... (Jako w dzień sądny z grobowca wywoła Umarłą przeszłość trąba archanioła) do... »jak ich przodkowie niegdyś całe życie«, — przechodzi wprost do jenerała Morawskiego, następnie mówi o Wężyku, Odyńcu (»digne des grands maîtres qu'il étudia. c'est à dire, de Goethe et de Burger«), Felińskiego »B. Radziwiłłównej«, o Brodzińskim, B. Zaleskim, Fredrze, Dmochowskim (synu), Kowalskim (tłóm. Moliera), Lelewelu; kończy pochwałą Gaszyńskiego (son genre ressemble à celui du grand poète irlandais

Moore, on y retrouve la mème délicatesse d'idées et la mème magnificence d'expressions. Il se plait à semer les fleurs et les pierres précieuses à pleines mains«. Następuje przekład bajki Gaszyńskiego: *Łza, kropla rosy i zefir*. W końcu mówi krótko o romansach niemieckich Bronikowskiego i o Bernatowiczu.

Równocześnie z pisaniem artykułu francuskiego o Literaturze Polskiej robi Krasiński coraz szybsze postępy w angielszczyznie. Na tej samej pensyi mieszka anglik młody, Leach, z którym Krasiński często rozmawia po angielsku. Co ważniejsze, rozczytuje się na dobre w poezyi angielskiej: »czytam ciągle Byrona, Moora, Washingtona Irvinga, Southey'a, Campbella. Dziwną jest rzeczą, że niema prawie żadnego z poetów angielskich, któryby o Polsce i Kościuszce nie wspominał. Przestałem się dziwić, że Anglicy nie uczą się powszechnie obcych języków. Na cóż one im się zdadzą, kiedy w własnym mają wszystko, co tylko mieć można. Moor osobliwie niezrównany, Moor mnie zachwyca w swojej *Lalla Roukh, w Melodyach Irlandzkich* i *Miłościach Aniołów*. W tym ostatnim poemacie zdaje się, że się nie wiersze ziemskiego poety słyszy, ale brzmienia Anioła w niebiosach, tyle jest idealności, tyle wytworności, czystości i płynności. Gdyby nie poezya, niewiem, coby człowiek czynił na świecie i czyby mógł żyć ciągle otoczony tylko zimną rzeczywistością?«

Muzyka wywiera na nim swój czar. Wyuczył się »z piętnaście kawałków najsławniejszych oper na

fortepianie i zawsze je grając, zdaje mi się, że widzę kochanego Papę z uśmiechem serdecznym na ustach«.

Życie towarzyskie coraz więcej zabiera mu czasu. »Zaprosiny na wieczory nieskończonem snują się pasmem, i zewsząd odbieram bileciki ręką dam pisane, dam po 60 lat, panien po 40 lat mających: »*Mr. le comte Crasinsky nous fera l'honneur de venir prendre le thé chez moi etc. etc.*« — piję jedną filiżankę, prowadzę salonową konwersacyą, trzymam kapelusz w ręku, trę rękawiczki w drugiej i gadam o zimnie i o śniegu, o memoirach Bourienna i o romansach Walter-Scotta, o Wilhelmie Tellu i o łososiach Lemanu«.

Z początkiem marca 1830 r. zmartwiony jest Kraśiński jakimś listem Ojca. Rozeszły się w Warszawie pogłoski, że Zygmunt pojedynkował się w Genewie. Można sobie wyobrazić niepokój i gniew jenerała, który się rozchorował z obawy o jedynaka. Odpowiedź syna maluje dobrze dziecięcą jeszcze zależność od Ojca:

»Wyobrażając sobie niespokojność Papy, darmo szukałem przez ten czas jakiejkolwiek osłody smutkowi i nie mogłem spokojnie zasiąść do pisania; książkę czytałem, lecz nie rozumiałem ani słów, ani myśli. Wszędzie zdawało mi się słyszeć lub widzieć skutki gniewu Ojca. Sam portret Papy wiszący nad moją głową, zdawał mi się zmieniony; czoło zasępione i usta bez uśmiechu napełniały mnie bojaźnią: przyszło do tego, że często nie śmiałem nań spojrzeć. Choć zupełnie niewinny byłem, gniew ojca srogo szarpał moje serce; odległość nas dzieląca, słabość Papy,

niepewność, czy uwierzy moim oświadczeniom, czy zdołają one podejrzenie z jego umysłu wyrugować — i tysiączne myśli, nieprzerwanie się snujące, sprawiały wpływ najprzykrzejszy na moję duszę...«

Gorliwa lektura w dzień, zabawy wieczorem — oto na czem schodziły wówczas miesiące Krasińskiemu. Angielki, panny Willan wydają »bal pyszny«. Krasiński zaznacza, że na każdym balu »jakiś rodzaj smutku mnie napada, może przez zazdrość, że się wszyscy bawią«. W gruncie rzeczy, było w tem sporo miłości własnej: mały wzrost upokarzał go przed sobą samym i nie pozwalał na to, aby mógł iść w zawody z »wyżej urodzonymi«, większym wzrostem obdarzonymi młodzieńcami. — Ciągle przytem myśli o literaturze polskiej. W liście do ojca (z 6. Lutego 183[illegible]) posyła także artykuł dla Pamiętnika, wydawanego przez Gaszyńskiego. Artykuł ten zawierał szczegóły, opowiedziane Krasińskiemu przez oficera francuskiego Claparède, »który długo stał w Korsyce. Sądzę, że są godne uwagi i pospieszyłem ułożyć je dla Pamiętnika Gaszyńskiego, który, jak słyszę, dosyć ma wziętości w Warszawie«.

Gaszyński wydrukował to opowiadanie Claparèda, spisane przez Z. Krasińskiego, w tomie drugim Pamiętnika (str. 63 — 72) p. t. »*Teodoro*, król borów, powieść korsykańska«. W przypisku podaje Gaszyński wyjątek z listu Zygmunta, który w podobny sposób, jak Ojcu, tłómaczy genezę tego opowiadania. Powiastka ta jest tylko z tego względu ciekawa, że znowu świadczy o niewygasłem zamiłowaniu Krasińskiego do opowiadań, biorących zemstę za pod-

stawę działania. Teodoro mści się za miłość młodzieńczą, której go żandarm francuski pozbawił — odtąd poprzysięga vendettę, zabija żandarma; z kolei kładzie trupem siedmdziesięciu kilku żandarmów, aż zdradzony przez przyjaciela pada od kuli z obławy francuskiej. — Styl opowiadania jest dość mdły, sprawozdawczy. Za motto służy już nie Walter-Scott, ale Washington Irving (The Sketch book).

Od lutego 1830 r. stosunki z Reevem stają się coraz częstsze i bliższe. O rok młodszy od Zygmunta Krasińskiego, smukły, z bujnymi włosami i rysami typowymi Anglika, Reeve imponował młodemu Polakowi rzekomym »wielkim talentem do wierszy angielskich i dziwną na swój wiek nauką«.

Częste z nim dyskussye literackie przypominają Krasińskiemu Warszawę i Gaszyńskiego: »Czytam z nim teraz tragedye Szekspira po angielsku i często słupieję z zadziwienia nad oryginalnością tego autora«.

Z sąsiadem na pensyi, Leachem, czytał znowu Krasiński po angielsku listy Juniusa »na końcu 18-go wieku pisane przeciw ministrom angielskim«. Chwali w tych listach wymowę »równą Cyceronowej«.

Dotychczas nie spotkaliśmy w listach Krasińskiego żadnej uwagi o kalwinizmie Genewy. Nie rażą go żadne rozmowy w towarzystwie genewskiem, przyjaźni się z różnowierczymi Genewczykami i Anglikami tak, że mogłoby się zdawać, iż kwestye religijne są mu całkiem obojętne. Dopiero przypadkowe zdarzenie każe mu zastanowić się nad tem, jak ci Genewczycy wierzą i w co wierzą. Umiera jakaś

panna w Genewie. Z powodu protestanckiego pogrzebu pisze Krasiński: »nigdzie zapewne tak mało nie dbają o umarłych, jak w Genewie. U nas, przyjaciółki jej wszystkie poszłyby ze łzami w oczach za trumną; każdaby różę białą złożyła na grobie, ktośby miał mowę na cmentarzu, przypomniałby w niej zgasłe wdzięki, anielską dobroć, opisał okropności zgonu i wpoiłby w serca słuchających długą pamięć jej piękności i prrymiotów.

»A tu tymczasem nieuczczone jej zwłoki zaniesiono do grobu, kilku krewnych z powinności szło za trumną; ani głos dzwonów, ani głos ludzi nie oznajmił jej straty, i jednej gromnicy na jej cześć nie zapalono; wszystko odbyło się zimno, umiarkowanie, bez wystawy: ciało w wykopaną fosę spuszczono, a nikt nie złożył napisu na kamieniu, nikt kwiatów nie rzucił wokoło, nikt drzewa nie zasadził, by przynajmniej ono jedno płaczliwemi gałęziami grób osłaniało, kiedy wszyscy o niej zapomnieli. — W religii protestanckiej nie ma modlitw za umarłych, pozbawieni są tej jedynej pociechy po utracie drogich osób. W religii ich nic niema poetycznego, wszędzie rozsądek i zimny rozum panuje, a czucia mało lub nic niema. Niekształtną trumnę, źle zbitą, niosą na cmentarz. Przybywszy tam, rzucają ją w dół głęboki, po śliskich belkach, tak, że się trumna łamie i rozpękuje na dnie, a ciało zostaje nie zakryte. Na prędce wtenczas rzucają ziemię na to ciało — i wszystko skończone. Taki jest pogrzebowy obrzęd w Genewie i trudno bez boleści patrzeć na te ostatki ludzi, których ludzie nie szanują, bo wszędzie indziej mięsza

się coś tkliwego z wyobrażeniem zeszłych z tego świata. Łzy nad grobem wylane zdają się być hołdem drogim, ukochanym osobom, których już niema; kwiaty rzucone na ich grobie zdają się miłą ich pocieszać wonią. Smutek przechodzi tym sposobem z rozpaczy do miłego, słodyczy pełnego rozpamiętywania. Ale tu, kiedy dusza uleci, odrzucają ciało, gardzą zwłokami i dlatego tylko zdają się je grzebać, by nie sprawiły zarazy. To mi przypomina wiersz Berangera:

C'est d'un lâche de briser la coupe,
Quand la liqueur est tarie...«

Przechodząc od umarłych do żywych, wylicza syn ojcu piękności genewskie, które są »nader rzadkie«. Jest ich raptem trzy: pani Rigaud-Saladin, Angielka panna Olcok i — *last not least:* panna Willan, »ani piękna, ani ładna, ale pełna wdzięku, smaku, żywości, młodości, przyjemności«. Ten szereg epitetów mógł dać jenerałowi nieco do myślenia. Zaraz potem donosi syn, jak mu wykład historyi rzymskiej się podoba; widzimy z przytoczeń, że przyszłemu poecie przedewszystkiem niezwykłe zestawienia i silne, do wyobraźni przemawiające zwroty imponowały: »Kurs pana Rossi o historyi rzymskiej wielce jest ciekawy. Obala on początkowe dzieje aż do Tarquiniusa, jasno wykazując, że to są tylko bajki lub dowcipne mity. Trudno mu zrównać w obrazach nagłych i pełnych kolorytu. Wymowny i *piquant* przez swój cudzoziemski akcent, romantycznie zupełnie wykłada historyą w niektórych miejscach. Na przykład: opisując jak Tullia tratowała po ciele ojca w ulicach Rzymu

powiada: *Et on vit le sang du père jaillir sous les roues du char de la fille.* W drugiem miejscu znowu mówił nam: *Qu'en considérant les débordements des peuples du Nord sur l'empire Romain, on croit encore entendre le bruit de la marche de l'espèce humaine.*«

Samodzielność sądu i ciętość odpowiedzi zaczynają się budzić zwolna. Jenerał, nie cierpiący widocznie romantyków i dawnego ich na Litwie sztabu: filaretów, dogodził swej złośliwości, pisząc synowi: »dziwną jest rzeczą, że włościanie umierają na chorobę filaretów i poetów«. Zygmunt chwyta w lot pocisk i odrzuca: »To jest znakiem zapewne cywilizacyi i skutkiem Komisyi Oświecenia« — dając tem ojcu do zrozumienia, że rodzaj choroby nie jest przywilejem wyłącznym jakiegoś stanu — i że z równą sprawiedliwością możnaby wogóle oskarżać Komisyą Oświecenia o złe skutki oświaty dla ludu. Ustęp ten zresztą nie jest w liście Zygmunta jasny; należałoby mieć tekst listu jenerała.

Ojciec interesuje się nietylko wzrostem duchowym syna, ale także fizycznym. Pod tym względem pociecha nie wielka. Zygmuntowi nie zdaje się, aby urósł od wyjazdu z Warszawy, bo »po sukniach nie znać« — natomiast służący Lintner, znający widocznie słabsze strony swych chlebodawców, utrzymywał, że Zygmunt o »jeden cal urósł«. Dla położenia końca tej niepewności postanawia Krasiński: »dziś zaraz wezmę miarę na drzwiach«.

Zbliżająca się rocznica jego urodzin (19 lutego) poddaje mu myśli raczej melancholią owiane. Cały miesiąc, między 19 lutego a 19 marca jest Krasiński

niespokojny, w niepewności, czy ojciec już mu darował ów nieszczęsny, a nie rzeczywisty pojedynek. Bo też wina niepopełniona przywiodła mu na myśl, inne dawniejsze grzeszki młodości, czy dzieciństwa — rozumiał, że ojciec miał pewne podstawy do niekorzystnych o jedynaku przypuszczeń i z pełną skruchą pisze: »każda strona mej duszy, każdy zakątek umysłu drga na Jego (ojca) wspomnienie, na wspomnienie win, tyle razy darowanych, szaleństw, tyle razy przebaczonych i dobroci bez miary...« Wspomnienia »nieszczęśliwej fajki« w Opinogórze każą się domyślać, że owe szaleństwa nie były niczem innem, tylko wybrykami chłopięcemi. W połowie marca zaczął Krasiński brać lekcye matematyki stosowanej. Nauka ta wydaje mu się dosyć trudna, ale bardzo jest rad, że wrócił do matematyki, jak do »zaniedbanej oddawna przyjaciółki, której i korzyści i nieprzyjemności zawsze teżsame.«

Wśród częstych wycieczek konnych z Reevem poznaje Krasiński lepiej swego rówieśnika, ma z nim »mnóstwo dyskusyj filozoficznych, religijnych, poetycznych i literackich«. Daje ojcu następującą ważną charakterystykę młodego Anglika: »Wielkie on posiada talenta, erudycyą obszerną i rozum nie nizki; ale z tem wszystkiem jest zanadto mistyczny: np. wierzy co do słowa w *Apocalipsis;* ale to jedno odsunąwszy, najpiękniejsze myśli i najwznioślejsze ma uczucia. Dziwnym on jest składem wszystkich namiętności młodości, połączonych z chrześciańską dążnością, z poezyą chrześciańską, i otwarty, szczery, bez żadnego udawania ma charakter, do tego nieco

trzeba dodać podejrzliwości angielskiej i zimnej krwi w obcowaniu. Niedawno byliśmy konno w Gex, mieście odległem o półtora mili od Genewy i już we Francyi — i tam siedząc na wzgórku piaszczystym obaśmy improwizowali odezwę do Mont-Blanc. który w całej swej chwale wznosił się przed nami. Bardzo on piękne i wysokich myśli pełne wiersze angielskie napisał w momencie, a ja biedną prozą francuską, którą przeistoczoną na polski język Gaszyńskiemu do żurnalu przesyłam«. Ta biedna proza francuska »przeistoczona na polski język« pojawiła się w »Pamiętniku dla płci pięknej« (II, 165—167),

Jest to niezła próbka »fałszywego entuzyazmu«, o którym pisał niedawno Krasiński do ojca. Ten wyścig natchnienia z Reevem nie mógł być wyrazem szczerego uniesienia, a mamy także wątpliwości co do piękności owych wierszy angielskich Reeva. W kilkanaście miesięcy po tem, w wrześniu 1831 r. pojawił się anonimowo, jak zwykle, artykuł francuski Krasińskiego w *Bibliothèque Universelle* p. t. *Le coucher du soleil sur le Mont-Blanc. Extrait du journal d'un voyageur.* Trudno stwierdzić, o ile ten opis francuski polegał na pierwotnym tekście francuskim, skreślonym obok Reeva w marcu 1830.

Ponieważ ojciec zapewnia, że go i najmniejsze drobiazgi życia syna obchodzą, zdobywa się Zygmunt na odwagę i opowiada ojcu (d. 21 Marca 1830 r.) *un petit acte de galanterie à la française.* Przedmiotem tej »galanteryi« jest nie kto inny, jak Henryeta Willan. Zygmunt Krasiński zaczyna na dobre igrać z ogniem; niebawem poparzy się i prze-

kona, *qu'on ne badine pas avec l'amour:* »Temu kilka tygodni na wieczorze u Pani Faure zacząłem rozmowę z panną Willan młodszą, o moim *Liście* (t. j. ona o tym przedmiocie zaczęła), który miał wyjść niezadługo. Naturalnie, jak w każdej rozmowie, zboczyliśmy od początkowego przedmiotu i zupełnie w inny wpadliśmy (!). Nie pamiętam, com jej później powiedział, że się rozgniewała dość mocno i oświadczyła, że już nigdy przez całe życie ze mną słowa mówić nie będzie. Wiedząc dobrze, że *ira furor brevis est,* a powtóre pamiętając na: *furens quid faemina possit,* odeszłem (!) od niej, ale po godzinie przyszłem (!) błagać przebaczenia, które otrzymawszy, ośmieliłem się ją prosić *de m'octroyer un don, de m'accorder une demande.* Nie chciała z początku, nie wiedząc, czego będę żądał, lecz po dość licznych naleganiach przemogłem i obiecała, że dopełni prośby mojej... Wtenczas poprosiłem ją, by nigdy nieczytała mojego *Listu,* wyjść mającego — ... i żądałem, by zamiast czytania jego, zrobiła z niego papilloty, co było największą abnegacyą miłości własnej.

»Nie chciała na to przystać, pomimo obietnicy. Ja powiedziałem, że przymuszę ją do dopełnienia słowa, i jak tylko mój list wyszedł dwa tygodnie potem, pociąłem go na papilloty i posłałem pannie Henryce Willan. Dotąd jeszcze rzecz nie rozstrzygnięta, bo prawie codzień nalegam, by papilloty z niego zrobiła, a ona się broni i nie wiem, co się stanie.

»Przytoczyłem to Papie jako przykład mojego poświęcenia się *pour les dames,* gdyż własną pracę podarłem na papilloty dla jednej z nich«.

Jak żywo i tęsknie wspomina kraj rodzinny widać z małego ustępu w liście o polowaniu w Opinogórze.

Na balach zaś nietylko się nie bawi, ale owszem wpada w nastrój pogrzebowy.

Kiedy mu ojciec coś doniósł o romantyzmie, burzącym gazety warszawskie, Krasiński daje mu swój pogląd na kwestyę romantyzmu, bardzo ważny dla nas dziś, bo wyjaśniający *ex post*, jak mylne i chwiejne pojęcia o romantyzmie były w Polsce jeszcze koło 1830 r.:

»Co do romantyzmu, burzącego gazety warszawskie, przekonałem się, czytając teraz Szlegla historyę literatury i poezye angielskie żeśmy jeszcze w Polsce dalecy od pojęcia, co to jest poezya romantyczna.

Opierając się na tem czczem imieniu, mnóstwo u nas młodych ludzi zbłądziło, błądzi i błądzić będzie, bo nie zrozumieli całej wzniosłości, chrześciańskiej dążności romantycznej poezyi. Szlegel bardzo pięknie powiada, że jak nasza religia tak i poezya nasza (bo niezawodnie romantyzm jest naszą nowszą poezyą i właściwą) wzrasta pomiędzy grobami i stąd jej dążność do melancholii, do uczuć o inszym świecie i do wznioślejszych myśli nad klasyczne, bo klasycy pojęli tylko piękność cielesną, a my pojęli ideał piękności duchowej. Zresztą, kto na upiorach opiera romantyczność, wart być wyśmianym, lub pogardzonym. Nieszczęśliwa chęć małpowania niewolniczego zgubiła nas Polaków w teraźniejszej epoce literatury, jeśli nie wszystkich to przynajmniej wielu, a osobliwie tych, którzy naśladowali Byrona lub innego poetę, nie czytawszy go pierwej — boby go nie zrozumieli.«

Lekcye francuskie z profesorem Roget bardzo Krasińskiemu się podobały: »czynię kompozycye po francusku dosyć często i nabieram zręczności w tem. Oprócz tego częste mam rozmowy z p. Roget o rozmaitych rzeczach, o starożytności, o filozofii, o religii. Jest to człowiek tak przyjemny, tak światły, jak rzadko«.

Obok tych lekcyi otoczenie francuskie Genewy zaczyna oddziaływać nietylko na jego język potoczny, ale na formę natchnień nowych. Ani bowiem praca usilna uniwersytecka, ani olbrzymia z krewnymi i znajomymi korespondencya nie wyczerpuje energii jego pisarskiej. Jakaś żywiołowa natchnień siła zmusza go do przelewania na papier tego nadmiaru myśli, wrażeń i uczuć, które roją mu się dniem i nocą, a zwłaszcza nocą. W zimowe noce wśród ciszy uśpionej pensyi genewskiej, w pokoju czerwono obitym, przy dwu świecach, przy kominku, zasiada do pisania mały wzrostem, potężniejący duchem młodzian i z rozpalonym wzrokiem, przy cygarze puszcza wodze fantazyi. Drobniutkiem pismem zapełnia kartki po kartkach, na których widać równoległe, długie, regularne sznureczki pisma, perełki natchnień.

Pisał po francusku, bądź dlatego, że odwykał na obczyźnie od polskiego słowa, i łatwiej mu było po francusku myśli swe wyrażać — bądź też dlatego, że wydrukowawszy niedawno (luty 1830 r.) z powodzeniem list francuski do Bonstettena o Literaturze polskiej, nabierał ambicyi pisarskich i pod umiejętnym kierunkiem profesora Roget'a pragnął wydoskonalić swój styl francuski. Pisał rzeczy drobne

rozmiarami, niepozorne treścią: bądź to nowelki z podkładem auto-biograficznym, bądź też urywki wrażeń dziennych.

Tymczasem jakaś niegrzeczność, która spotkała Zygmunta Krasińskiego ze strony niejakiego Mercier na balu wobec Henryetty Willan, przyspieszyła jasną świadomość budzącej się miłości. Między 21 marca a 12 kwietnia nastąpiły między młodą Angielką a 18-letnim Krasińskim wyznania, zapewnienia najczulszej, najwierniejszej miłości. Przyszło to zapewne nagle, niespodziewanie, jak burza wiosenna i rozruszyło uczucia ich do samego dna duszy. Henryetta opuszczała niebawem Genewę wraz z swą rodziną. Oboje nie mogli się oddawać złudzeniom, by marzenia ich na ziemi ziścić się mogły. Krasiński zbyt dobrze znał swego ojca, by mógł przypuszczać, że ten zgodzi się na ślub jedynaka, dziedzica magnackiej fortuny, z jakąśtam Angielką, choćby najpiękniejszą. To też młodzieniec był w rozpaczy. Panna Willan nie oddawała się złudzeniom. Ale miłość silniejszą była nad wszelkie ziemskie przeszkody. Przysięgali sobie dozgonną wierność i połączenie dusz kiedyś za grobem. Było to całkiem odmienne uczucie od tego, jakiem student warszawski rozmarzał się na widok pięknej pani Załuskiej. Miłość dla Henryki Willan była istotnie głębszem, szczerem uczuciem, była — jak sam potem zaznaczał — »punktem wyjścia dla jego natchnień poetyckich«, uczuciem czystem, wolnem od jakiejkolwiek przymieszki ziemskiej, uczuciem smutku pełnem, bo oboje zakochani wiedzieli, że do siebie należeć nie będą nigdy. 14-go

kwietnia 1830 r. nie było już Henryetty w Genewie. Zostawał tam Krasiński sam, złamany, pogrążony w rozpaczy, co gorsza, nie mający, prócz Reeva, nikogo, przed kim mógłby się wypłakać. Ojcu jednak nie chciał taić swej miłości; opisał mu swą rozpacz w liście z dnia 30 kwietnia, doskonale malującym i nastrój ponury kochanka i skrzętną zabiegliwość młodego autora, który teraz dopiero czuje, że ma o czem pisać i że cierpienie dodaje mu aureoli we własnych oczach.

Wyjazd panny H. Willan do Anglii był bardzo bolesny dla rozkochanego młodzieńca, ale jakże bogatą stawał się kopalnią nowych wrażeń! jakże wzbogacał tekę pisarską! Jak teraz błoga, niedawna przeszłość stawała się skarbcem niewyczerpanym najdroższych wspomnień! jakże się teraz stokroć lepiej rozumiało Byrona i jak słuszny był powód do bajronizowania rano i wieczór, na wycieczce w górach, lub na łódce, kołysanej modrą falą genewskiego jeziora. Rozpoczynają się wtedy artykuły francuskie o charakterystycznych tytułach: »fragmenty dziennika«, »fragmenty snu«, refleksye nad »śmiercią«, a dalej rozmiłowanie się w cmentarzach i podziemiach, a jeszcze dalej badanie samego siebie, przyglądanie się swemu byronizmowi — a równocześnie z tem wszystkiem piękne, jasne zdrowe artykuły o »Legiach polskich«, o »Spowiedzi Napoleona«, o »Duchowieństwie« i inne.

Niefortunna miłość była wybornym pretekstem do skreślenia kilku »nastrojowych« fragmentów, ale ani serca nie złamała, ani jasności sądu nie

przyćmiła, ani woli nie nadwątliła. Rozogniła tylko fantazyę i dała jej kierunek bajronicznej ponurości, do której i dawniej autor »Grobu Reichstalów« miał już bezwiedny pociąg. Teraz przybył przynajmniej powód. Miłość dla Angielki, z góry skazana na smutną i stanowczą rozłąkę, nastraja go ponuro. Jeszcze Henryetę ma w Genewie, jeszcze się jej widokiem upaja, a już mu fantazya rzuca welon czarny na złote rojenia kochanka. Już w snach gorączkowych roi o kataklizmach, całkiem podobnych do tych, które w 10 lat potem odnajdziemy w »Legendzie«. W tym samym fragmencie przeczuwa, że świat cały ma zginąć w strasznej konwulsyi, a on sam unosi się na krwi potokach, na oceanie krwawym. Dawne, ulubione motywy zemsty, którą dyszał i Alan Reichstal, i »mściwy karzeł«, i Mestwin, i Zbigniew, i Teodoro, król borów, nie opuszczają go tutaj. Obok tych rojeń gorączkowych, sennych, znajdujemy w autografach francuskich sporo fałszywego, robionego liryzmu, który układa, nie dramat jeszcze, ale przynajmniej bajroniczną pozę. W pięć dni po rozstaniu się z Henryetą pisze Krasiński długi fragment, historyę pielgrzyma, którym jest on sam oczywiście. Pierwsza to próba własnego portretu duchowego — próba nierówna jeszcze, niedostrojona, ale mająca kilka dobrych rysów charakterystycznych:

»Twórca nieznużony — on lubił cieszyć się własnymi tworami... Silny własną mocą i wielkością swej woli, gromadził on wokół siebie fantastyczne widma, nawpół rozwiewne jak mgła, nawpół rzeczywiste: z nich on odgadywał wieki przy-

szłe. A wówczas wyciągał ramiona ku lepszym światom, piękniejszym, i jak gdyby mógł je objąć uściskiem — tulił do serca swego te kształty ukochane, które z oddali mglistej zdawały się spływać ku niemu na słońca promieniach...«

Jakaż tu Konradowa miłość dla swych »dzieci wieszczych«! I czy niemógł Krasiński wołać, jak we dwa lata po nim Konrad: »W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję — wy wszystkie moje«!

Fragmenty francuskie następują po sobie szybko — nieraz dzień po dniu — ale niepodobne są do siebie: raz ponure, to znowu spokojne, klasyczne niemal prostotą i swobodą opowiadania. Polskim utworem z tych miesięcy, owocem literackim tego samego stanu uczuć jest: »O n«, *ułomek z pamiętników życia młodzieńca*, napisany w więzieniu Chillonu i posłany 29. kwietnia 1830 r. Gaszyńskiemu do Pamiętnika gdzie pojawił się w zeszycie, z dnia 15. czerwca (na str. 241 — 250).

Cytat z T. Moore'a jest już znamieniem najnowszych wpływów literackich a zarazem ponurego nastroju:

To which life nothing darker or brighter can bring
For which Joy has no balm and Affliction no sting.

Świeże wrażenia pierwszej wycieczki statkiem z Genewy do Chillon dały Krasińskiemu tło do obrazu jednostki ludzkiej miotanej na drobnym statku wzburzonemi falami Oceanu. »Bliski już ostatniej chwili został sam z przyrodzeniem, zawieszony na wierzchołkach fal między niebem i morzem, bez nadziei ratunku, bez chęci ocalenia się i jedynem

wspomnieniem zajęty, jedynem, które przekwitłe serce jeszcze do żywszego bicia przymuszało«. Młodzieniec, »pomimo własnej woli i napadu burzy«, nie może jakoś zginąć. Zasypia snem wspomnień i »całą młodość ujrzał na nowo«.

Jest to już drugie echo Snu Byronowego; pierwszem był Sen Elżbiety Pileckiej. Tylko tam Krasiński krępowany był historycznością postaci i Walterskottowskim jeszcze przyborem archeologicznym. Tutaj swobodnie puszcza wodze fantazyi i z rozżalonego serca snuje wspomnienia rzeczywistych, własnych przygód. Jest to zatem poetyczna autobiografia, bardzo ważna, bo sięgająca dziecinnych czasów opinogórskich:

»Dom rodzinny z *szerokiemi komnaty*, *z obrazami przodków*, *z rozległemi ogrodami* na chwilę mu się przypomniał i w żywych barwach stanął przed nim — i słyszał dźwięk dzwonów *ojczystej kaplicy* i zdało mu się, że *klęcząc przy grobie, pod ciemnem sklepieniem*, łzami niewinności skrapiał nieczuły kamień i gorące modlitwy wznosił do niebios, o których jeszcze nie nauczył się wątpić. — —

...łowy, dzikie *lasy*, *przestronne błonia*, spienione rumaki mieszały się razem, i on był częścią każdego obszaru i on ścigał trwożliwe zwierzęta, i on trąbką zwoływał ogary, i on pod wieczór wracał z radością w sercu do mieszkania, nad którego dachem igrające promienie zachodu już wtenczas młodą nęciły duszę, by z niemi do niebios uleciała. — Drzewa dawno niewidziane, *wzgórek tyle razy deptany*, *staw lekkim uwieńczony mostem*, *gaje* odwiedzane przy blasku

księżyca z pierwszą serca niedoświadczonego ponętą, z pierwszą istotą, która rzuciła w to serce przyszłe cierpień zarody, okrążyła go mglistem pasmem...«

»On« jest stanowczo najpoetyczniejszym utworem, na jaki dotychczas zdobył się Krasiński. Blednieje przy nim Sen Elżbiety Pileckiej i wszelkie późniejsze próbki sztucznych entuzyazmów. Szczere uczucie, prawdziwa miłość i to nieszczęśliwa, beznadziejna miłość wydobywa z piersi młodzieńczej rzewne i czyste tony... Szczęście mu jakby na to tylko zabłysło, aby skryć się natychmiast. Nie spodziewa się już wiele od życia ten Gustaw, samotny jak, tamten z IV. części Dziadów i smutny aż do śmierci jako tamten; nie przypuszcza nawet, że może go jeszcze coś okropniejszego spotkać, niż miłość bez nadziei ślubu, że i dla niego przyjdzie rok 1831, który z Gustawowych jęków i narzekań strąci go do Konradowych rozpaczy, by wznieść go potem do Konradowych — natchnień.

Dziwnem, niedającem się zaprzeczyć jest w tym ustępie, wydrukowanym w czerwcu 1830 r., jakieś instynktowe przeczucie niedalekiej, listopadowej rewolucyi. Ma podobne Mickiewicz, kiedy w lipcu tegoż roku pisze wiersz swój do »Matki Polki«; Krasiński przeczuwa niemal swą mimowolną, tragiczną bezczynność w r. 1831: »dusza jego nie znalazła dość siły ani w wewnętrznych uczuciach, ani w zewnętrznych obrazach, by oprzeć się boleści ponurej i ciężkiej, która podobna do wyrzutów sumienia na zawsze w sercu jego zasiadła i w żelazne ujęła okowy. Pożary otaczały go syczącemi płomieńmi, klęski

ludzkości (czy to nie pierwsze drgnienie »Nieboskiej«?) bitwy i rzezie nieprzestannie się snuły, miasta w perzynie, państwa zstępujące do grobu, przyjaciele ginący bez mocy wyrzeknienia ostatniej woli lub pożegnania, nawalnice przeciwnego losu, nic już na przekwitłem uczuciu nie mogły...« »On« samobójcą nie jest, ale Boga o śmierć prosi. Statek jego zwolna zatapia się w falach Oceanu.

Zakończenie nie jest pozbawione uroku: (250) »Nareszcie ujrzał, jak się wody przecisnęły aż na pokład okrętu, powoli objął go bałwan morski, kołysany zwolna, w jego łonie zagrążał się w pożądaną otchłań i ostatni promień słońca żegnającego ziemię, który igrał po rozwianych jego włosach, zmięszał się także z lekką i błyszczącą falą, która nad niemi się wznosząc, pokryła czoło młodzieńca jasnością kryształu, rozognionego światłem nieba.

Stylistycznie nawet jest »On« dowodem wyraźnym wyrobienia się i postępu znacznego. Niema wykrzykników: *och*!-ów i *ach*!-ów — jest za to pozorny spokój — po burzy — jest ten styl, że się tak wyrażę cery bladej, dowodzącej cierpienia, które zawsze ilekroć z szlachetnych płynie pobudek, upiększa, uzacnia człowieka. Jest to styl uszlachetniony przez miłość.

Należy jednak zauważyć, że i tu gallicyzmy się trafiają; »błagał potęgi nieba i piekła, by zakończyły życie nieznośne porównaniem uszłego, krótkiego szczęścia z długiem i obecnem nieszczęściem«.

Wyobraźnia jest jeszcze gorączkowo niespokojna i chorobliwe niemal nasuwa wizye: »przebywał spie-

kłe pustynie, żmijom zostawione w podziale, gdzie promienie słońca członki jego paliły i krew z ran ciekącą wysuszały w powietrzu, nim spadła na piaski(!)«.

Obrazy jeziora przerabia tu w wyobraźni swej na wrażenie morza. Ojcu donosi 29. Maja: »Byłem na statku parowym temu kilka dni wśród silnego wiatru, zupełnie jezioro do morza podobnym było; mgła zakrywała brzegi«.

Pomimo ciężkiego smutku żyć trzeba było dalej w Genewie. Przeziera z listów ciche pragnienie podążenia do Anglii — napomyka tu i owdzie o listach polecających do Anglii — lecz znając ojca mógł być pewnym, że ta podróż do skutku nie przyjdzie. Tymczasem lgnie widocznie do wszystkiego, co mu Anglią i Henryettę przypomina. Poznaje młodego anglika Way'a i dowiaduje się od niego ciekawych szczegółów o Metodystach i ich kościele, idzie na ich nabożeństwo w okolicy Genewy i bardzo żywo opisuje Ojcu wyniesione stamtąd wrażenia. Znać już z tego opisu, że kwestyami religijnemi się zainteresował, że z Reevem dużo o nich rozprawiał.

Jenerał przyjął wiadomość o miłości syna dla Angielki z wyrozumiałością — starał się syna pocieszyć; w duszy był może zadowolony, że to głębsze uczucie uchroni Zygmunta od zepsucia, a z czasem zostawi tylko czułe wspomnienie, do niczego nie obowiązujące. Syn był wzruszony do głębi współczuciem ojca. Ośmielony niem do dalszych wynurzeń, opisuje stan obecny swej duszy, odkrywa ze zdziwieniem moc i głębię nowego uczucia, sam siebie nie po-

znaje: »Nigdym nie miał pierwej wyobrażenia, bym był zdolny tak silnie, tak ogromnie czuć. Wiedziałem, że żywe mam chęci, ogniste pragnienia, ale nigdym się nie domyślał, by tak dzielna namiętność zamieszkać mogła w mojem sercu i żebym nią owładnięty, spadał coraz bardziej, t. j. tracił siłę moralną przez smętność. Muszę jednak wziąć się do pisania (!), może mnie to wyratuje...«

Tu schodzi się miłość własna z miłością autorską. Zygmunt Krasiński ma teraz w miłości swej dla Angielki obfitą kopalnię wrażeń — autorska ambicya będzie z tej kopalni czerpać długo, jakiś czas nawet wyłącznie. Ojciec, pragnąc może odwrócić trochę uwagę syna na inne tory, donosi mu o jakiejś niechętnej krytyce francuskiego Listu do Bonstettena o literaturze polskiej. Zygmunt domyśla się zaraz autora krytyki: »Poznałem w niej pióro hr. Leona Łubieńskiego i to mnie ucieszyło, bo kto się do takiej krytyki zniża, nigdy się do wyższych rzeczy ani pomysłów nie wzniesie. A jednak mógł ten młody człowiek(!) nad wieloma inszymi wzbić się; ale do wyniosłości nietylko rozumu, ale i serca trzeba. Tego ostatniego brakuje. Czasem, kiedy przypominam sobie, jak mnie zdradził, jak mi był niewdzięcznym, niewiem, czy lepiej nienawiścią, czy pogardą mu odpłacić. — A teraz życzę mu dobrej zabawy z krytyki mego listu, który zapewnie jest niedostateczny, młody, jak i jego autor, ale zdaje mi się w dobrej i polskiej, że tak powiem intencyi pisany. Opinia o nim Papy droższa mi nad wszystkie opinie wszystkich romantyków i klasyków«.

W następnym liście z d. 29. maja wraca Zygmunt do niewyczerpanego tematu swej miłości dla Henryetty Willan i określa ją jako uczucie na wskróś platoniczne, idealne, uczucie dla którego chętnie poświęciłby osobiste szczęście, byle nie narażać szczęścia drogich sobie osób, w pierwszym rzędzie ojca. Kiedy zaś ojciec, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że syn ostatecznie tę miłość »przefilozofuje«, pisze mu prosto z mostu: »romantyzm w głowie, a klasycyzm w sercu« — Zygmunt widocznie draśnięty do żywego, prosi, aby mu wolno było co do tego »maleńką uwagę uczynić« — i zamiast tej maleńkiej uwagi daje wcale długi i dobry wywód o romantyzmie i klasycyzmie, aby przekonać ojca, że w głowie może być tylko klasycyzm, a w sercu tylko romantyzm:

»Każda rzecz, znana już dawniej, zwyczajem, prawem i podziwem wieków uświęcona, zowie się klasyczną, podziwem massy, rozumie się massy, dla której konieczne są prawidła, prawa i przepisy. Klasyczną rzecz być nie może bez przepisów pewnych i praw przyjętych; wszystko zaś, co jest stałe, poważne, ustalone i przepisom podległe, należy do rozumu i do rozwagi; do rozumu, bo rozum jest władzą duszy rozbierającą, rozstrzygającą, przyjmującą i odrzucającą — do rozwagi, bo bez rozwagi ani przyjąć, ani odrzucić nic nie można. Stąd wypada, że klasyczność jest polem, nad którem zimny i namiętności pozbawiony rozsądek dzierży wieczne panowanie; kiedy tymczasem romantyzm, będąc rzeczą pochodzącą z natchnienia, rzeczą przepisom obcą, bo zmienną, jak serca zapały, jak chęci, namiętności, należy do

duszy, do serca. Wszystko, co wzbija się nad zwykłą sferę, co skrzydłami wyobraźni wsparte, rzuca błonia ziemi, by lecieć w górne obszary, (skąd niebezpieczny, przyznaję, upadek) wszystko to w wieku XIX zowią romantyzmem i wszystko to, zdaje mi się, musi koniecznie należeć do serca i być jego skutkiem i wypływem. Wszakżeż sercu praw nadawać nie można, wszakżeż skrępować go przepisami niepodobna, przewidzieć jego namiętności nikt nie może, ani wyrachować jego uczuć i pragnień. — Romantyzm także nie ulega żadnemu poddaństwu, i wolny, bez więzów, buja po umarzonych, po idealnych przestrzeniach.

»Więc dwie są rzeczy do wzięcia pod uwagę: z jednej strony Rozum, Rozsądek, u którego nic bez rachuby ani praw być niemoże — z drugiej serce, żadnej rachubie i prawom nie hołdujące. Następują skutki teraz po przyczynach. — Dwa są skutki: Klassycyzm i Romantyzm. Pierwszy, odwiecznych zasad trzymający się i za nie niewykraczający — drugi, urągający się z przepisów i zadawnionych form.

»Nieodzowną jest prawdą, że zawsze skutek jakiejś przyczyny zachowuje ślady tej przyczyny i ma nawet pewne oznaki z nią wspólne. Z tego rozumowania wypada, zdaje mi się, że do przyczyny: *rozum*, ściąga się skutek: klasycyzm, wspólne z nim mający cechy; a do przyczyny *serce*, skutek: romantyzm, zachowujący w sobie ślady i popęd dany przez swoją przyczynę.

»Nie chcę ja tu wchodzić w sprzeczkę, ale tylko to piszę, żeby Papie okazać, co myślę i jak te dwie

rzeczy uważam. Zresztą, mogę się mylić i nie mam tyle miłości własnej, bym moim słabym rozumkiem chciał walczyć z doświadczeniem ukochanego Papy. *Il me tient* tylko *à coeur* donieść Papie, że nie miłość własna była główną moją sprężyną, bo gdyby tak było, gdybym był przekonanym o tem, niezmiernie bym się widział spodlonym w własnych oczach«.

Miłość dla Henryetty nie zmniejsza się; ale z burzliwego, namiętnego uczucia, przechodzi powoli w sferę rzewnych wspomnień. Wcale prędko po wyjeździe panny Willan, bo 29. Maja, zaczyna Krasiński rozumować o swej miłości, co jest już poniekąd zapowiedzią, że się z tej miłości wyleczy: »Prawdziwie czuję, że ją wzniośle i pięknie kocham. Od czasu jej wyjazdu ciągle myślę o niej z czułością brata, troszczącego się o siostrę. Od miesiąca już nie miałem od niej wiadomości i to niezmiernie mnie zasmuca.

»Moje uczucie dla niej nie słabnie: owszem, coraz się zwiększa; ale niema już tej gorączki namiętnej, już tych pragnień zapału i uniesienia. Czuję *pewne* przywiązanie(!) dla niej, składające się z *pewnego* rodzaju wdzięczności, z miłych wspomnień i słodkich życzeń, które codzień wznoszę do Boga dla jej szczęścia. — Powiem także Papie, że nierównie czuję się lepszym i wznioślejszym w głębi duszy od czasu, w którym ją pokochałem. Więcej odwagi nabyłem wobec przeciwności życia, więcej litości wcisnęło się do mej duszy dla innych: słowem, czuję się lepszym i do wyższego stopnia podniesionym. To pochodzi także z tego, że wystawiwszy jej mój charakter pod jak najżywszymi farbami(!), mam jakąś w tem

miłość własną takim go utrzymywać, choć już jej tu niema«.

Niemałą oznaką uciszenia się wewnętrznego jest niespodziewana wiadomość o nowych studyach: »Wdałem się teraz aż po szyję w prawo polskie i muszę się go doskonale wyuczyć«. Nie zaniedbuje też angielszczyzny i donosi o tem w słowach, które każą się domyślać, że uważa podróż do Anglii za możliwą: »sądzę, że za trzy miesiące będę umiał dosyć po angielsku, by się z każdym w Anglii rozmówić, każdego Anglika zrozumieć... Profesora Roget'a bardzo chwali: »wybornym jest profesorem i zupełnie się różni od wszystkich Genewczyków i duchem i opinią...«

W pierwszej połowie czerwca otrzymał Krasiński od Ojca różne książki z Warszawy, a wśród nich swego Władysława Hermana i »Pamiętnik dla płci pięknej«, wydawany przez Gaszyńskiego. Niedojrzałości sądu dowodzi jeszcze to, że mu się Władysław Herman podoba: »dosyć dobrze swojemu celowi odpowiada, t. j. dążeniu do okropności i silnego wzruszenia«(!). *Pamiętnik dla płci pięknej* także mu się podoba, nawet bardzo, czy to dla doboru wierszy, czy też dla autorów, których wszystkich zna. Pisze dalej »Zawiszę«, ale »brakuje mu w tych czasach na wenie«. »W prawa polskie się wdał i już połowę ich ogromu przejrzał i wielu szczegółów nieznanych i interesujących się dowiedział«.

Z okolic najbliższych Genewy najmilszą mu jest wieś, zwana *les Paquis* (dziś już dzielnica Genewy, zapełniona ogromnymi domami), tuż nad brzegiem

jeziora. Często tam idzie na spacer, łatwo się domyśleć, dla czego: jest tam »domek w którym nikt teraz nie mieszka« — ale z pewnością mieszkała w nim do 13 Kwietnia rodzina Willanów. Wspomnienie Henryetty uświęciło mu ten zakątek:

»Jest przy Genewie, zaraz o kilkaset kroków za bramami, wieś zwana *les Paquis*, nad którą nic świeższego i piękniejszego wyobrazić sobie nie można. Domy czyste, białe, bez wystawy i zbytku, ale wytworne. Ogrody, kwiaty, krzewy w około i płoty uwite z zielonych krzaków i wijących się roślin: takich płotów nigdzie u nas niezdarzyło mi się widzieć, a bardzo jednak są piękne i nęcące zdaleka barwą swoją jasną i świeżą. Potem zaraz następuje brzeg jeziora i widok z niego na górę Mont-Blanc i pasmo *des Glaciers*, a przed niemi jeszcze widok na drugi brzeg Lemanu, okryty domkami i powabnemi ogrody. To miejsce jest najczęściej samotne, t. j. większa część *des Paquis* jest ludna i zamieszkała przez cudzoziemców, ale posuwając się drogą dalej, dochodzi się do domku, w którym nikt teraz nie mieszka. Przed nim jest ogródek pełny róż i winnych krzewów, otoczony nie wysoką zagrodą, a obok niej zaraz na dół się schodzi, na brzeg jeziora i mały jest tam port, dostateczny na dwie lub trzy barki. Wśród dnia, kiedy wszystkie inne miejsca są pełne ludzi i hałasu, to jedno jest samotnem i pustem, to jedno w milczeniu i tam zawsze zmierzam w moich przechadzkach — i największą jest mi przyjemnością tam pisać, lub odczytywać, com napisał. — Zagłębiam się w moim przedmiocie, czasami

podnoszę głowę i nakarmiam się pięknym w około widokiem: Ciche — smutne jezioro, po niem w oddali suną się statki z białymi żaglami. Dalej jeszcze, gdzie wzrok zasięgnąć może, zieloność i drzewa — dalej za tem góry, różane przy zachodzie słońca, a obok przy mnie kwiaty wonne i miękka murawa i u stóp moich konające fale Lemanu...

»Zresztą życie moje zawsze jest jednakowe: pracuję dzień cały, piszę »Zawiszę«, ale brakuje mi w tych czasach na wenie. W prawa polskie się wdałem i już połowę ich ogromu przejrzałem i wielu szczegółów nieznanych i interesujących się dowiedziałem. Wczoraj wpadło mi pod rękę dzieło Chodźki, świeżo w Paryżu wydane p. t. „*Tableau de la Pologne*«; to jest przerobienie z dzieła Maltebruna... W tem samem dziele jest także i moje tłómaczenie broszurki Lelewela o polskiem prawodawstwie, które uczyniłem, będąc jeszcze w Liceum«.

Donosi w tym czasie (12 Czerwca) ojcu o »największym tryumfie literackim«:

»Napisałem po francusku mały kawałeczek o Legjach polskich, kończący się na tem, że stary żołnierz wraca do ojczyzny po długiej niebytności i walkach. Napisałem to był na moję zwyczajną lekcyę stylu z panem Roget i starałem się wydać w tem czułe uczucia moje.

»Po przeczytaniu mu tego kawałka obróciłem się ku niemu i ujrzałem dwie łzy spływające po jego licach.

»Zapewne, to pochlebiło mojej miłości własnej, ale szczerze powiem, że jeszcze górę nad tem wzięło

przyjemne uczucie, *qu'il compatit* nieszczęściom mojego kraju«.

Krótka ta fantazya poetyczna ($3^1/_2$ kartki druku), ujęta w poprawną prozę francuską, składa się z 3 części. W pierwszym ustępie Krasiński opisuje czułe pożegnanie legionistów w piękny majowy poranek z ziemią rodzinną — w drugim daje rzut oka na ich czyny wojenne, głośne po całych Włoszech; w końcowym ustępie widzimy wynędzniałego, zbiedzonego legionistę, który wraca na to samo miejsce, skąd niegdyś młodzieńcem wyszedł; niepoznaje zrazu okolicy, wreszcie z zanadrza wydobywa woreczek z ziemią rodzinną, co tyle lat na sercu jego spoczywała, i wysypuje ją, mówiąc: »Terre de Pologne, retourne à ta mère... Je t'ai portée par tout le monde, serrée contre mon coeur; à présent je te rends d'où je t'ai prise«. Z westchnieniem ruszył dalej w swą drogę stary legionista i na tem się kończy nowelka.

Krótka treść nie może dać wyobrażenia o podniosłym nastroju patryotycznym, jakim całość jest owiana. Jest to jakby hymn na cześć matki ziemi, ziemi polskiej, droższej nad wszystko, o której legionista nie przestał myśleć ani pod piramidami Egiptu, ani w cieniu bananów na St. Domingo, ani w czarodziejskich pałacach Alhambry. A jednak trud życia całego nie wydał plonu. Ów »wielki człowiek«, który za cenę krwi polskiej obiecywał legionom wskrzeszenie ich ojczyzny, »w jej dawnym blasku« — przyrzeczeń nie dotrzymał i stary legionista nie będzie mógł umrzeć szczęśliwym...

Bezwątpienia książka L. Chodźki o legionach Polskich poddała Krasińskiemu myśl napisania tej drobnej powiastki. I znowu jest rzeczą charakterystyczną, że w tym samym prawie czasie Mickiewicz myślał także o epopei p. t. *Legionista*, a w Genui (16 Lipca 1830) na prośby dyrektora orkiestry, polaka Mireckiego, snuł wątek libretta dla opery, której bohaterem miał być Tadeusz, legionista.

Z lektury ówczesnej wymienia: „Degerando: *du perfectionnement moral*“, obiecując sobie stąd niemało korzyści duchowej.

Od 27 Czerwca 1830 r. bogaty materyał korespondencyi Krasińskiego do Ojca zwiększa się jeszcze listami do Reeva, podróżującego po Szwajcaryi. Rozpoczyna się korespondencya francuska z przyjacielem, ogromna, pełna szczegółów, ale przez to samo nie łatwa do opanowania. Rzuca ona wielkie światło na inne strony duchowe Krasińskiego. Listy do ojca mają mimowoli nastrój pewnej zależności i powciągliwości w słowach: są szczere ale niejedno pomijają milczeniem, nie jedno zbywają krótko z obawy, by nie obudzić podejrzliwości ojcowskiej. Do Reeva zaś pisze śmiało, jak do rówieśnika, do towarzysza sercowych udręczeń, bo i Reeve zakochany jest w pannie Konstancyi Sautter, (z patrycyatu genewskiego) która mu jednak wzajemnością nie odpłaca. Listy do Reeva rozjaśniają mnóstwo szczegółów literackich, poglądów estetycznych i filozoficznych dojrzewającego Krasińskiego, zawierają w sobie ukrytą historyę ewolucyi duchowej przyszłego twórcy Nieboskiej. Uzupełniają się wybornie listami do ojca. Odmienne

temperamenty i zdolności Reeva i Krasińskiego wyzywają się wzajemnie w listach, toczą spory, krytykują się lub chwalą — bezwiednie, mimowolnie odsłaniając raz po raz światła i cienie swych moralnych, duchowych zasobów.

Jest mianowicie jedna strona ciekawa w listach do Reeva: rojenia o Henryecie będą tu odźwierciedlone w sposób dokładniejszy, a zarazem poetyczniejszy, niż w listach do ojca. Jenerał sceptycznie zapatrywał się na całą tę miłość, a Zygmunta raziło to i onieśmielało w zwierzeniach. Ojcu z obowiązku potem zdawał sprawę z swych uczuć, — przed przyjacielem, także zakochanym i cierpiącym, odkrywał smutek swój cały, bez przemilczeń i retuszu.

W jakąś bezsenną noc czerwcową odczytuje Krasiński broszurę moralną Boissier'a „*Les retrouverons-nous dans un monde meilleur*“? Choć styl tej broszury zupełnie prozaiczny i suchy, Krasiński czerpie z niej otuchę („*consolation, vie et espérance*“) powiada, że po ukończeniu Zawiszy napisze podobny utwór po polsku, zdobiąc go wszelkimi klejnotami wyobraźni i poezyi. Poświęci ten utwór tej, która go natchnęła.

Lekcye z Rogetem wywołują swoją drogą dalsze utwory drobne francuskie.

Po Legionach Polskich, które staraniem Rogeta »ukazać się mają w Bibliothèque Universelle wraz z innymi niektórymi kawałkami« — napisał Krasiński historyę młodzieńca, który jest poetą w duszy, czuje piękność i wzniosłość, a nic

wyrazić, niczego napisać nie umie. (Por. List pierwszy do Reeva).

Zupełne milczenie o tym utworze, którego autograf Reeve nam przechował, panuje w liście do ojca; natomiast o innych szczegółach Jenerałowi donosi: o zamierzonej w sierpniu wycieczce do Chamouny, w okolice Berna, Interlaken i Lucerny — o poglądach swych na Władysława Hermana, już o wiele surowszych (»rzecz pisana w szale romantycznej okropności, kiedym sądził, że okropność jest wzniosłością«), wreszcie krótko o nadziejach, przywiązanych do Zawiszy: »Może »Zawisza« lepiej się uda«. Od zarzutu ojca, że kochanek Henryety może z czasem stać się śmieszną kopią Celadona, osławionego bohatyra romansu *L'Astrée* (w. XVII), broni się Zygmunt w sposób pełen godności, a zarazem świadczący, że odtąd już nie tak skwapliwie będzie się zwierzał z swymi sercowymi kłopotami przed ojcem; ma teraz zresztą czulszego, bliższego, wyrozumialszego powiernika: Reeva.

Interesujące są tam uwagi o J. J. Rousseau i o młodzieży genewskiej; znać w nich poniekąd wpływ zapatrywań F. Roget'a, który wyrzekał na zmateryalizowanie społeczeństwa genewskiego.

Genewa bez Henryety jest pusta, a zaczyna być niemiła. — Widoki, krajobrazy prześliczne są — »piękny to kraj zaiste, gdzie można się takim widokom przypatrywać, ale ludzie tutejsi ich nie czują: są góry — ale niema ludzi, jak sławny jakiś pisarz powiedział«.

W pierwszych dniach Lipca pisze Krasiński fanta-

zyą p. t. *La Confession de Napoléon* a to pod wpływem wiadomości wyczytanej w Lacretellu o tajemnej spowiedzi Napoleona przed śmiercią. Utwór ten ukończył 8 Lipca 1830. *La Confession de Napoléon* nie wyszła z druku, nie pojawiła się w *Bibliothèque Universelle*, pomimo, że Krasiński zapowiada ojcu (w liście z d. 16 Lipca), że Spowiedź Napoleona przeszle wraz z *Legiami polskiemi* »po ich wydrukowaniu w Septembrze«.

Powodem niewydrukowania była zapewne opozycya w redakcyi Bibliothèque Universelle przeciw artykułowi, tchnącemu wysokiem uznaniem dla Sakramentu pokuty, który, jak wiadomo, nie jest Sakramentem u kalwinów. Utwór pod tyt. »Spowiedź Napoleona« nie zaginął; dochował go Reeve w autografie; w przekładzie polskim podała »Biblioteka Warszawska« (1901, III, 209—216).

Pomimo wielkiego zamiłowania w angielszczyźnie nie zapomina ani o polskiej literaturze, ani o rozpoczętym Zawiszy. Ojca prosi, by mu przysłał dzieła Brodzińskiego; Gaszyński ma mu załatwić literacką kwestyą i ma wypisać z Niesieckiego »cały artykuł o Zawiszy Rokszycu«. — »O ile pamiętam, nie jest długim i więcej nad kartkę nie zajmie«. Widać z tego, że już w Warszawie zbierał sobie Krasiński materyały do swego romansu o Zawiszy. Czas, pomimo upału lipcowego spędza Krasiński niezmiernie pracowicie: »Moje dni pędzę wśród kałamarza, pióra, historyi polskiej i powszechnej, dzieł angielskich i Zawiszy. Wieczory obracam na samotne przechadzki, w których mam upodobanie po całodziennej pracy«.

Zawisza (16 Lipca 1830) jest już widocznie bliski ukończenia, gdyż Krasiński pisze w połowie Lipca do Warszawy z zapytaniem do hr. Józefa Krasińskiego, czy zechce podjąć się druku Zawiszy, »którego godzina wyjścia na świat dobija«.

Protestantyzm genewski, przechodzący wówczas ciężkie przesilenie, budzi w 18-letnim młodzieńcu poważne myśli o wierze i o stosunku religii do Państwa. Wyrazem tych rozmyślań jest następujący, ciekawy i charakterystyczny wyjątek z listu do Ojca (16 Lipca 1830).

»Od niejakiego czasu różne porobiłem sobie uwagi nad stanem duchowieństwa w Genewie... Rozgałęziła się w tych stronach religia protestancka na mnóstwo ramifikacyj, które codzień się mnożą i trudności wiele za sobą prowadzą. Pastorowie nie wiedzą co już czynić. Krytyczne ich położenie, bo rząd zupełną tolerancyą ogłosiwszy, nie miesza się do sekt powstających, z których każda nowego obiera sobie pastora i utrzymuje: ci za tym są ministrem, ci za tamtym, ci na tego idą kazanie, tamci na tamtego. Stąd wypływa, że wkrótce nie będzie już żadnej religii stanu, t. j., że pastorowie, przez Rząd upoważnieni, nie będą mieli co robić, lub przynajmniej bardzo mało, a takim sposobem Rząd wszystkie uznając religie, żadnej sobie nie zatrzymując, (do czego przymuszonym zostanie siłą okoliczności), stanie się Rządem wszystkich wyznań i żadnego zdania mieć nie będzie: t. j., że Rząd i Religia do stanowczego rozdziału przyjdą, że religia będzie dla indywiduów, ale już nie dla massy.

»Z dziwnego tego skutku dalej wypłyną wielkie szkody, i coraz większe rozdrobnienie się wiar i wyznań pojedynczych, a kiedy taki stan rzeczy dojdzie do ostateczności, zdaje mi się, że druga ostateczność wkrótce po niej nastąpi, t. j., że katolicyzm jeden i nierozdzielny znów weźmie górę. Bo ludzie przypisując rzeczy samej szkody, z ich nierozsądku wynikłe, opuszczają rzecz samą i wracają do tego co dawniej było; aż znowu namiętnościami swemi nie zepsują tego i znów porzucą, by znów potem wrócić.

»Zdaje mi się więc, że teraz nadchodzi kryzys na religią protestancką, teraz mówię tj. w przeciągu 40 lub 50 lat, jeśli zawsze rzeczy iść będą podobnym do dzisiejszego trybem«.

Bystrości rozumowania nikt nie odmówi tym uwagom młodziutkiego socyologa, a słuszność przewidywań jego, nawet co do daty, sprawdziły aż nadto różne przesilenia protestantyzmu i kalwinizmu w Szwajcaryi, którym towarzyszył stały wzrost i wzmocnienie katolicyzmu (Pius-Verein). W bezpośrednim związku z wyrażonemi w liście do Ojca zapatrywaniami jest artykuł „*Sur le Clergé*“ (z dnia 15 lipca 1830), odznaczający się ścisłem, logicznem rozumowaniem i wybornym stylem francuskim.

Nadchodzą upały sierpniowe. Stosownie do projektu, dawno ułożonego, puszcza się Krasiński wraz z mentorem swym Jakubowskim i Reevem na wycieczkę do Chamounix 2 Sierpnia. — 4 Sierpnia wziąwszy przewodników i muły, już o 4-ej z rana wyjechali na górę Montanvert, która przytyka do Mont Blanc, pieszo przedostali się do t. zw. »morza lodów«,

a po trzygodzinnej dalszej drodze wśród wąwozów, doszli do t. zw. »ogrodu, przestrzeni zielonej i kwiecistej pośród lodów i śniegów«.

6 Sierpnia wyjechali z Chamounix na mułach i przez górę Tête Noire przedostali się do Martigny. Podróż ta nie zostawiła miłych wspomnień, z powodu jednostajności wrażeń, i jazdy na mule, nieznośnej dla Krasińskiego. Z nudów wziął się wtedy do pisania wierszy na mule »i pierwszy raz w życiu udało mi się kilka znośnych napisać«. Chce je Krasiński posłać Gaszyńskiemu, ale wprzód musi je pokazać Odyńcowi, który właśnie bawił w Genewie z Mickiewiczem.

»Przyjechali — pisze do ojca Zygmunt Krasiński — oba w wilią mego wyjazdu i przez chwilę tylko Odyńca widziałem, ale teraz spodziewam się nacieszyć jego towarzystwem przez dni, które będę bawił w Genewie, wprzód nim udamy się do Bernu i do Lucerny, skąd wrócimy 1 Septembra«.

7 Sierpnia z Martigny wdzierali się na górę Śgo Bernarda. W słynnym klasztorze przenocowawszy, nazajutrz zwiedzili kościół, a schodząc niżej *La Morgue* (trupiarnią), gdzie go przejął widok zastygłych zwłok matki z dzieckiem. Z Martigny piękną drogą Symplonu dojechali 9 Sierpnia do Montreux, skąd 10 Sierpnia statkiem parowym dostali się do Genewy. — Sens moralny tej całej wycieczki był ten, że zakochany młodzieniec wszędzie w podróży widział tylko swój ideał, swoję Henrykę: »cokolwiek pięknego lub wzniosłego spostrzegałem w przyrodzeniu, to mi przypominało Henrykę, tak jak gdy-

bym ją przed sobą widział, — a jednak nie ma żadnego podobieństwa między nią, a skałą, okrytą lodem. — Ale wszystko, co wzniosłe w niebie, co piękne na ziemi, zawsze mi ją przypomina. Jej wyobrażenie połączone u mnie z pięknością moralną i fizyczną wszędzie. Jeśli patrzę na uśmiechającą się okolicę, widzę ją zaraz przed sobą, jeśli czytam coś pięknego, zdaje mi się, ze czytam jej imię. Smutno mi teraz myśleć, że Papa powie: »On szaleje«; bo prawdziwie czuję, co piszę i mocno czuję — i choć wiem, że śmiech wzbudzę, muszę to pisać. *To nieco ulgą jest sercu.*

Opis podróży swej radby posłać Gaszyńskiemu do Pamiętnika, nie wie tylko, jak sobie dać radę: »Są to ułomki, w których opisuję celniejsze miejsca«. Zawiszę też radby drukować: »kosztował on mnie tyle pracy, że pragnąłbym, by na świat wyszedł. Gdyby został w pularesie, byłoby to niejako *une fausse couche*".

11 Sierpnia widzi się z Odyńcem, który go przedstawia Mickiewiczowi. Oto, jak opisuje pierwsze wrażenia tej znajomości Krasiński:

»Mickiewicz bardzo grzecznie mnie przyjął; ale jest bardzo bladym i słabym; małego wzrostu, wychudłej twarzy, ale pięknych, spokojnych, melancholicznych rysów.

»Towarzystwo Odyńca niezmiernie mi jest miłem; wiele przyjaźni mi okazuje i wdzięczności za dobroć Papy. Mickiewicz jest zimny, ponury. Wygląda na rozsądnego bardzo człowieka. Dziwne czasem ro-

bimy sobie o ludziach wyobrażenie, które upada za ich poznaniem«.

Łatwo z tych wierszy poznać pewne rozczarowanie Krasińskiego co do Mickiewicza. Trzeba przypomnieć, że Mickiewicz wogóle nie zawierał chętnie znajomości nowych, a właśnie wówczas nie całkiem był zdrów fizycznie, moralnie zaś cierpiał bardzo z powodu niepewności i niepokoju o Ankwiczów, którzy przebywali w Paryżu, wzburzonym niedawną rewolucyą. Nierozwikłany stosunek jego do panny Ewy Henryety Ankwiczówny, nie odbierał mu jeszcze nadziei pomyślnego wyniku pragnień serca, ale też nie dawał spokoju myślom. Dlatego to wydał się Krasińskiemu wówczas »zimnym i ponurym«. Już po kilku dniach zachwycony nim będzie autor »Legij polskich«.

Tymczasem i Odyniec patrzył na Krasińskiego, jakby go raz pierwszy zobaczył. Nie poznawał małego Zygmuntka, któremu przed rokiem w Warszawie zdawał sprawę z obiadów czwartkowych u Jenerała. »Rok ledwo, jak go po raz ostatni widziałem w Warszawie, a cóż to już w nim za różnica! Rychtyk jak między panienką w krótkiej a długiej sukience. Tam, był to jeszcze tylko bystry, sprytny, przenikliwy studencik; teraz, choć ma zaledwo rok 18-ty, jest to już pełen siły i zapału młodzieniec, i genialny — jeżeli może jeszcze nie myśliciel, to przynajmniej marzyciel-poeta; chociaż wierszy zgoła pisać nie umie i w prozie tylko probuje sił swoich. Prawda, że jest on też tu właśnie, jak kwiat, czy owoc dojrzewający na słońcu, to jest rozwija się

i dojrzewa nie przez to tylko, że się uczy i myśli, lecz i że po raz pierwszy kocha się na dobre...«

Odyniec dokładnie był wtajemniczony w sercowe sprawy Krasińskiego w Genewie i mógł sobie wytłómaczyć teraz duchową przemianę »przenikliwego studencika« w pełnego zapału i siły młodzieńca, który »przy najwznioślejszej szlachetności uczuć i myśli, ma je wszystkie takie skrzydlate, że ciągle tylko bujają nad ziemią...«.

Dawno zamierzona podróż Krasińskiego po Szwajcaryi, przyszła teraz do skutku w towarzystwie Mickiewicza i Odyńca. Mamy z niej potrójne sprawozdanie: w listach Odyńca do przyjaciół, w liście Krasińskiego do ojca i w dzienniku jego z podróży. Widzimy z nich jasno, jak doniosłe znaczenie miała ta ta kilkutygodniowa wspólna podróż dla rozwoju duchowego autora »Zawiszy«. Po wykładach Rossiego, po lekcyach Roget'a, rozszerzających widnokrąg umysłowy i wydoskonalających styl — obcy, odetchnął Zygmunt Krasiński przy boku Adama Mickiewicza pełną piersią i zaczerpnął na całe życie filareckiego ducha. Przy tym genialnym nauczycielu, bez lekcyj i wykładów nauczył się inaczej, zdrowiej na świat spoglądać, a dalszym jego myślom, natchnieniom, aspiracyom poetyckim nadał kierunek śpiewak Wallenroda i Farysa.

Podróż szła z Genewy na Vevey i Montreux ku przełęczy Col de Jaman, skąd przez Monbovon weszli w kanton fryburski i bez zatrzymywania się, bo deszcz i mgły zasłaniały piękne okolice Gruyères, na Chateau d'Oex i Weissenburg dotarli piękną doliną

Simmenthal do miasteczka i jeziora Thun. Po drodze Krasiński odczytywał Odyńcowi owe wiersze napisane na mule w podróży do Chamounix. »Koszlawe dość i chropawe, tak, żeśmy się z nich obaj uśmieli« — pisze Odyniec. »Zaklął mnie na wszystkie świętości, aby o nich Adamowi nie mówić. A jednak w treści jest myśl poetycka i zapał i barwność; tylko, że forma niezgrabna, brak zwłaszcza poczucia miary i muzykalności rytmu. Przedmiotem ma się rozumieć jest Miss Harry. I rzecz szczególna jak to samo imię Henryeta w dwóch tak różnych osobach nad Tamizą i Sekwaną, jednostajnie w tej chwili obu moich towarzyszy zajmuje«.

Ani się domyśla Odyniec, że tożsamość imienia stanie się niebawem powodem fatalnej omyłki państwa Ankwiczów. — Przy wspólnem zwiedzaniu podziemi więziennych w zamku Chillon Mickiewicz mówił podniośle o okrucieństwie ludzkiej przemocy i o potężniejszej nad nią sile ducha ludzkiego. Przyszły mu może na myśl wspomnienia filareckiej niedoli. Odyniec zaznacza w listach: »Zygmunt słyszał po raz pierwszy mówiącego w ten sposób Adama i mówił mi, że słuchając, o Byronie i Bonniwarze zapomniał«.

Przy przejściu Col de Jaman, podniecony wspaniałym i rozległym widokiem, jaki się z tamtąd rozciąga na jeziora Genewy, Neuchatel i Morat, »wrzał Krasiński poetyckim zapałem«, a nie mogąc go wydać inaczej«, w dzienniku Odyńca ołówkiem, siedząc na ziemi na szczycie Jamanu, cały rapsod o nim napisał«. Wyjątek z tego »rapsodu« »najlepszego zre-

sztą ze wszystkich«, przytoczył Odyniec w swych listach, dodając zarazem komentarz i uwagi Mickiewicza o malarstwie w poezyi:

»Jezioro tak spokojne i ciche, jak w pierwszym dniu stworzenia. W przeźroczystej jego powierzchni odbija się sklepienie niebios. Błękity górnej, powietrznej, — i dolnej wodnej przestrzeni stykają się w niem razem. Tu płynie barka z srebrzystemi żaglami, tam płynie obłok łabędziej białości. Zdaje się ono brzemienne i własnym i cudzym lazurem. Cała piękność przyrodzenia w jego piersiach zamknięta. Wszystko, co nad brzegami stoi, wszystko, co nad falami się wybija, po raz drugi istnieje w jego toniach. Ono jedno jest sobą samem i całą naturą zarazem. W niem i wód kryształ i niebios obszary i skał wierzchołki razem się malują. Ono zda się być duszą całej okolicy. Każdy jej ruch, uczucie, działanie, musi na jego licach odbić się koniecznie. Wodospad w niem po raz drugi spada z urwisk góry; chmura powtórną drogę przelatuje; każdy promień słońca w jego łonie na błyskawicę się zmienia i górne swe ognisko odzyskuje. W pozostałej naturze wszystko jest raz tylko pięknem; w nim i przez niego (!) wszystko dwa razy jest wzniosłem: i dzięki jego przeźroczystym falom, serce z podwójną siłą bije tem samem uczuciem na szczycie zielonego Jamanu«.

Odyniec stwierdza, że ustęp ten »niezmiernie się Adamowi podobał«. Wszczęła się rozmowa o malarstwie w poezyi, a uwagi Mickiewicza godne są tu przypomnienia:

»Obrazowość w poezyi starożytnej miała raczej na-

turę rzeźby niż malarstwa; jak w ogólności sama rzeźba górowała ponad malarstwem... kontury były jasne i wyraźne, o koloryt mniej dbano. Średniowieczna sentymentalność w uczuciach, jak w przewadze malarstwa nad rzeźbą, tak też odbiła się zarówno w rodzaju obrazowości w poezyi, aż i ją samą nakoniec pociągnęła za sobą w przesadę. Jak więc utrzymać przyzwoity środek, owo *iustum medium* błogosławionych? Prawda, jak zawsze i wszędzie, jest i tu jużciż najpewniejszą podstawą i prawidłem. Ale czy tylko prawda samej rzeczy, czy i odbieranego od niej wrażenia? Sama wierność np. szczegółów w krajobrazie, które słowo koleją tylko może przedstawiać, łatwo zrobi go raczej mapą, niż obrazem; ale też opis samych tylko wrażeń, choćby nawet zachował koloryt, niemniej łatwo może kontury, lub i sam kształt przedmiotu, zatrzeć lub zaciemnić.

»Otóż Adam w tym ustępie Zygmunta chwalił bardzo a bardzo to żywe połączenie widoku z wrażeniem w umyśle patrzącego, i to z całą naturalnością i prostotą, bez żadnej sentymentalnej, tendencyjnej pretensyi«.

Mickiewicz ośmielił swemi pochwałami Zygmunta Krasińskiego do obfitych wynurzań swych myśli, słuchał go uważnie i starał się cierpliwie wyrozumieć, ku niemałemu zdumieniu Odyńca, który znał Mickiewicza z tej strony, że nie zadawał on sobie zwykle trudu w przekonywaniu drugich i prostowaniu ich mylnych zapatrywań, »zwłaszcza ze swoimi, których albo z góry wyłaje, albo milczeniem tylko *veto* swoje wyraża«.

Rozgrzany pochlebnym sądem Mickiewicza i pouczającą rozmową, Krasiński wobec Odyńca »wściekał się zwłaszcza na klassyków i krytyków warszawskich za głupie ich uprzedzenia i płytkie sądy o Adamie, od którego (jak się wyraził) posłyszał w jednej godzinie więcej nowych i rozumnych rzeczy, niż od nich w całym ciągu obcowania z nimi«.

W dalszej drodze odbywały się między Odyńcem a Krasińskim »lekcye wierszowania«. Krasiński miał z sobą poezye Shelleya, »odznaczające się rozmaitością i harmonią miary wierszowej«. Te mu radził Odyniec tłómaczyć z zachowaniem miar i rytmu, nie troszcząc się o zachowanie sensu. Wynikały z tego oczywiście dziwoląg, z których młodzi poeci śmiali się do rozpuku. Po kilku dniach wierszowania z Odyńcem doszedł wreszcie Krasiński »do poczucia uchem, bez liczenia na palcach, różnicy w ośmiozgłoskowym wierszu, między średniówką na czwartej a na piątej syllabie. On to zaraz przemienia na miary łacińskie, które umie doskonale na pamięć...

»Zygmunt jednak ma ucho bardzo muzykalne i gra ślicznie walca Webera«.

W Interlaken Krasiński oddawna rozmyślający pod wpływem broszury Boissier'a o stosunku zagrobowym dusz ludzkich, napisał długi ustęp, albo jak mówi Odyniec, »sążnisty *rapsod* (!) filozoficzno-poetyczny o spotykaniu się po śmierci dusz kochających się za życia«.

Krasiński donosi o tem ojcu w następujących słowach: »Niepogoda przymusiła nas siedzieć całe południu w Interlaken. Dla odpędzenia nudy, napi-

sałem w tym dniu broszurkę po polsku, której treść wyda się dziwaczną papie. Jest to rozprawa dowodząca, że dusze osób przywiązanych do siebie za życia, spotkają się po śmierci. Od czterech miesięcy już mi ciężyło na sercu, bym się z tą myślą wypisał i ten ciężar zrzuciłem w Interlaken«.

Cała droga do Lauterbrunn zeszła na rozmowie towarzyszów podróży o poezyi w ogóle, a o romantyzmie w szczególności. Krasiński zdumiony był zapatrywaniami Mickiewicza, który »wyśmiewał albo gromił to właśnie, o co jego samego klasycy warszawscy posądzali i oskarżali najbardziej«.

Odyniec przypuszcza, że Mickiewicz rozwiódł się nad romantyzmem umyślnie, aby Krasińskiemu dać »wyobrażenie prawdziwe o naszym romantyzmie wileńskim«, okrzyczanym na obiadach u Jenerała. Mówił więc mistrz naszego romantyzmu *szeroko*, że wyzwolenie się z pod ciasnych formułek pedantów, albo z dowolnych więzów, narzuconych przez modę, nie znaczy wcale pogardy odwiecznych praw zdrowego rozsądku, dobrego smaku i przyzwoitości, tak w myślach, jak w wysłowieniu; ale tylko, że istotną zasadę romantyzmu stanowi możność i wolność studyowania prawdy nagiej, z odrzuceniem jej draperyi czasowych; jak rzeźbiarz z nagiego modelu uczy się budowy ciała, nim je potem sam w dziełach swoich stosowną draperyą okryje. Jeżeli zaś t. zw. klasyczny ideał możnaby sprawiedliwie przyrównać do manekina, na którym krawcy i modniarki przymierzają nowo zrobione suknie i kapelusze; to tem mniej (?) można brać za ideał żywych mania.

ków, którzyby gwałtowne gesta lub kontorsye w twarzy chcieli udawać za dowów większej siły uczucia«.

Krasiński o tej dyskusyi w drodze do Lauterbrunn przemilcza; ale widocznie była ona dla niego przełomową w zapatrywaniu na Mickiewicza, bo w dwa dni potem zapisuje w dzienniczku (21 Aug.) przesłanym potem jako list do ojca: »Mickiewicz nieco się ożywił i lepiej z nami zapoznał. O, jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległej on jest nauki, umie po polsku, po francusku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historyą, filozofią, matematykę, chemię i fizykę. W literaturze, nikt może w Polsce tyle niema znajomości. Słysząc go mówiącym, zdaje się, że każdą książkę czytał. Sądy ma bardzo rozsądne, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu zmarszczki na trzydziestoletniem czole wyryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach.

Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego«.

Zbawienny wpływ Mickiewicza zaznaczył się zaraz podczas podróży szwajcarskiej w dzienniku tej podróży, pisanym po francusku może z zamiarem przesłania go Henryecie Willan. Dziennik to pisany już bez afektacyi, bez przesady, a zawiera tak silne odczucie krajobrazu, że dziś jeszcze, po latach 70-ciu kilku, wieje stamtąd woń łąk alpejskich. Dar spostrzegawczy jest w dzienniku podróży szwajcarskiej wprost zdumiewający.

Odyńcowi z pewnością zdawało się w roku 1830, że jest większym od Krasińskiego poetą, dlatego, że uczył młodszego od siebie brata w Apollinie, jak pisać wiersze, nie licząc na palcach zgłosek. A przecież już wówczas nawet, już z tych prozą pisanych a poezyą tchnących obrazków przyrody Krasińskiego, które sam Odyniec w listy swe wplata, znać wielkiego artystę, co odczuwa naturę silniej, a wrażenia swe oddaje śmielej i energiczniej, niż roztrzepany i rozgadany Odyniec. Wieczorem 21 sierpnia siedzą obaj przy oknie hotelowem i podziwiają Jungfrau, oblaną promieniami zachodzącego słońca. Obaj spisują następnie swe wrażenia współczesne, a z tych opisów przekonać się można o prawdzie starego adagium: si duo faciunt idem, non est idem. Opis Krasińskiego jest prosty, w szczegółach i kolorach realistycznie wierny, w odczuciu idealnie poetyczny. Odyniec nie umie stopniować ani kolorów, ani wyrazów; porównania jego, same w sobie trafne, nie wiążą się z całością i w przejściach rażą. Widok góry Jungfrau przy zachodzie słońca i jego przejął, i nim wstrząsnął do głębi, ale słowa jego mają się do fantazyi świetlnej Krasińskiego, jak zwykła fotografia do krajobrazu malarza-artysty, który farb nie dobiera i efektów kolorytu nie oblicza — lecz z zapałem twórczym przenosi na płótno majestat przyrody, przed którą się korzył w zachwycie.

Na odczytywaniu wspólnie z Odyńcem poematu Shelley'a *Queen Mab*, na rozmowach to o krytyce i krytykach, to o moralności w teoryi i w praktyce schodziły miłe dni wycieczek w okolicach Meyringen,

Hasli i Grimsel. W Handegg, po zwiedzeniu wodospadu rzeki Aar, skreślił Krasiński w dzienniczku Odyńca opis swych wrażeń, p. t. Spadek Aary. Notatki te dadzą się porównać do pobieżnych szkiców, które nietylko mają posłużyć malarzowi do utrwalenia głównych zarysów krajobrazu, ale są zarazem ćwiczeniem ręki i oka w *szybkiem* utrwalaniu zmiennych co chwila i różnobarwnych wrażeń.

Jakiż tu postęp widoczny w stosunku do pierwszych mozolnych prób widoków góry Montblanc w listach do ojca! Jaka już pewność w doborze wyrazu właściwego, jaka potoczystość i malowniczość okresu, jak znamienna dążność do zharmonizowania całości i dostrojenia jej do jednego głównego tonu (potrójna przepaść — ciemne sosny — ryk wód — trzy mosty drżą od gwałtowności i szumu potoków — straszliwa Aara...)

Andermatt, Furka, Most dyabelski, Jezioro czterech kantonów, Rigi — oto punkty wytyczne dalszej wycieczki, opisanej szczegółowo przez Odyńca, dość pobieżnie w listach Krasińskiego do ojca. 30 sierpnia stanęli w Lucernie, która się Krasińskiemu więcej od Genewy podobała. Charakterystycznem jest dla usposobienia religijnego poety, że zwrócił uwagę na katolicyzm Lucerny: »kościołów katolickich dwa, a bardzo lubię katolickie kościoły po dawnem ich niewidzeniu«. Czwartego września wrócili do Genewy, syci wrażeń i ożywieni. Krasiński podkreślając sumę tych wrażeń kończył tak list swój do ojca: »Ogółem podróż ta przyjemną mnie była, a towarzystwo Mickiewicza niezmier-

nie pożyteczne. Nauczyłem się od niego zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń się pozbyłem — i niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie, wpływ dobry i szlachetny.

»... Miałem teraz polować trochę, ale za smutny na to jestem. Zamknę się w pokoju i będę czytał i uczył się«.

Powróciwszy z tej pamiętnej podróży, pisze Krasiński dalej rozmaite fragmenty. Niektóre uważać należy za ćwiczenia w rysowaniu obrazków psychologicznych na zadany samemu sobie, obojętny temat; ale tuż potem powstają zwierzenia genialnej duszy, spragnionej rozwiązania wiekuistej zagadki bytu.

Jeden z Fragmentów, pisany w październiku 1830 r., jest niezmiernej doniosłości w historyi rozwoju duchowego poety. Zawiera on bowiem w zarodku pomysł postępowej ewolucyi ludzkości ku Bogu, a sama data świadczy o tem, że na lat 10 przed Prolegomenami Augusta Cieszkowskiego, przyszłym twórcą »Myśli Ligenzy« wstrząsały prądy filozoficzne; już wówczas, w 1830 r., treść Bóstwa oswobadzał on »z wież gotyckich i nieskończoność dawał mu za mieszkanie«; a z głębokiem poczuciem godności człowieczej wołał tam:

»Dusza moja w nieśmiertelności swej nie ustępuje Tobie!«

Śmierci już wtedy nie uznawał.

»Jest — zdaniem jego — tylko życie i wieczna przemiana. Gdy będę z Tobą, może znowu czegoś

wyższego się domyślę? Z domysłów stwierdzonych ku domysłom wszczynającym się wzrastać będę zawsze, wzlatywać ciągle, aż w końcu nie będę już miał ani domysłów, ani obaw. A wtedy będę... *czem?*«

I drżącą ręką napisał przyszły autor Psalmów:

»Bogiem może, równym Mu wiedzą i wolą — ale nie mocą«.

Lecz przerażony śmiałością własną, skreślił wnet po napisaniu te przepyszne słowa. Czuł bowiem swą ziemską znikomość, ale czuł także wiekuistość swego bytu.

Jest w tym fragmencie miejscami nastrój tak potężny, rzekłbym demoniczny, że tylko z monologiem słynnym Fausta, wzywającego Ducha, to znowu z »Rozmową wieczorną« Mickiewicza zestawić go można. Nastrój, mówię, nie wykonanie. Głos to jeszcze chłopięcy niemal, ośmnastoletni ale jakże głęboki i przejmujący! Jaka tam głębia wiary! jak tytaniczna pewność siebie i jak szlachetna, już od razu, samowiedza swej nieśmiertelności! Ziemski świat mu nie wystarcza — on mu tylko dowodem i postulatem innego świata, bo »na każdy atom materyi, rzucony w przestrzeń, musi być jakaś myśl lub życie jakieś w wieczności«.

»Jako ogniwo w bezmiarze nie mogę opuścić mego miejsca; lecz przyjdzie dzień, w którym przerwę to ogniwo, a wtedy szczątki me przetopią się na pierścień wyższy i świetniejszy. Cierpliwości zatem i męstwa!«

Były to rzadkie chwile ekstazy, w których 18-letni młodzian wychodził »za gwiazd kołowroty« i wzbijał się na zawrotne wyżyny, skąd wszechświat przeczuwał. Ale ogniwo ziemskie przykuwało go silnie do szarej rzeczywistości, ściągało na padół codzien-nych stosunków. Z hymnu natchnionego zstępował młody pisarz do prostej powieści: tworzył dalej fragmenty i nowelki, bez koniecznej potrzeby, często też bez natchnienia. Nie należy bowiem przypuszczać, jakoby wszystkie te francuskie, drobne utwory pisane były w chwilach szczerego zapału. Owszem, nieraz zasiadał Zygmunt Krasiński do pisania w chwili podrażnienia nerwowego, które w niedoświadczeniu młodzieńczem mógł uważać za moment twórczy. Pisanie przynosiło mu ulgę, może pozwalało ukoić tęsknotę, może dawało chwilę zapomnienia. Fragment taki spełniał zatem zadanie chwili, ale nie miał w sobie dość treści żywotnej na przyszłość.

Kilka jeszcze tygodni zabawił Mickiewicz z Odyńcem w Genewie — odwiedzali znane nam salony Bonstettena, Chlustinów — bawili się wieczorami wspólnie z Krasińskim u Ankwiczów, którzy z początkiem października do Rzymu wyjechali, dokąd też za nimi i Mickiewicz podążył.

Krasiński ożywił się niezmiernie w towarzystwie Odyńca i Reeva, urządzał wycieczki na jeziorze z ogniami sztucznemi, które omal że nie były przyczyną katastrofy. Żałować należy, że w tych właśnie tygodniach, kiedy Mickiewicz bawił jeszcze w Genewie, Krasiński nie pisał listu do ojca, czekając na wiadomości od Jenerała. Dopiero w dwa tygodnie

po wyjeździe Mickiewicza, pisze Krasiński dnia 22 października dłuższy list do ojca, gdzie osobny poświęca ustęp autorowi Wallenroda. Ponownie stwierdza tu czuły i platoniczny kochanek Henryety, że wpływowi Mickiewicza zawdzięcza wiele, bardzo wiele dobrego. Był to jakby cichy, niewidomy posiew nowego, jędrnego ziarna, które zejść miało po latach bujnym plonem.

»Mickiewicz siedział jeszcze dość długo w Genewie i często go widywałem. Rozmowy z nim miane oświeciły mnie w wielu względach co do literatury i filozofii. Niechaj Papa wierzy, że to nie stronność, ale prawda, co powiadam: Jest to człowiek najoświeceńszy, którego dotąd widziałem, człowiek zupełnie w równi z europejską cywilizacyą, umiejący dziwnie dobrze godzić realność suchą życia z najwznioślejszemi pomysłami poezyi i filozofii idealnej; mający najczystsze zamiary i chęci, a razem obszernego umysłu, sięgającego do wszystkich nauk i sztuk, wybornego sądu o rzeczach politycznych i scyentyficznych; rozsądku niezachwianego w rzeczach codziennych, spokojnego, cichego charakteru. Widać, że przeszedł przez szkołę nieszczęścia. Zupełnie mi wyperswadował, że szumność jest głupstwem, tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w naszym wieku, że wszystkie ozdóbki, kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli niema; że wszystko na tej myśli polega, — i że chcąc być czem teraz, trzeba uczyć się, i uczyć, i uczyć, i prawdy wszędzie szu-

kać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, a potem gasną na wieki. Spotkanie z nim wiele mi dobra przyniosło.

»Przed dwoma tygodniami wyjechał stąd i prawdziwie było smutnem i rozczulającem widzieć, kiedy się żegnał z Odyńcem. Myśl, że może już nigdy się nie zobaczą, rzucała barwę boleści na tę chwilę. Ściskali się długo, Odyniec ze łzami w oczach, Mickiewicz ze stalszą postawą, ale z twarzą, na której znać było najgłębszy smutek.

»Tak się rozjechali — i Odyniec żałował go, jak gdyby kochanki. Jest on dotąd tutaj i codzień się widujemy«.

Ponieważ Jenerał obiecał synowi wydrukować najnowsze jego utwory, Zygmunt Krasiński dziękuje ojcu i uprzedza, że »rękopisma są dosyć liczne«. Gaszyński otrzyma osobne co do druku informacye, a rękopisy wysyła poeta »w tych dniach przez dyliżans« — pod adresem ojca.

»Składają się z dwóch tomów: Romansu Zawiszy, z broszurki pod tytułem: »Ułomki podróży szwajcarskiej« i z *Rozprawki o duszach*, która jak mi się wydaje, jest to, com najlepiej napisał w życiu, bom najgłębiej nad nią myślał i bardzo mi jest do serca (!!), by mogła być wydrukowaną. Teraz zacząłem powieść z życia pospolitego, idąc za radą Mickiewicza, w której będę się starał Ciechanów i Ciechanowskie intrygi opisać. Myślę wprowadzić charaktery, które tam widziałem, w całej ich prawdzie, — a potem, tak

mi miło jest opisywać znajome pola, te błota wokoło zamku, ten zamek stary wśród zakrętów rzeki, tę olszynę po drugiej stronie, ten kościół proboszcza z blaszaną kopułą i ten klasztor Przeora, rozpadający się w gruzy, czarny i napiętnowany dziełem czasu — a potem te szerokie błonia, gdzie tak szczęśliwy byłem.

»Razem poszlę także Papie kawałki moje z *Bibliothèque universelle* wyjęte«.

Nietylko twórczość Krasińskiego zaczyna wchodzić na tory wskazane mu przez Mickiewicza, ale nawet zapatrywania estetyczne stają się echem niemal dosłownem zapatrywań Mickiewicza, dawniej jeszcze w Rosyi głoszonych.

»...Zawsze z wiekiem swoim postępować trzeba. Żeby w Warszawie co do nauk i literatury postępowano zgodnie z wiekiem, nie mielibyśmy sobie do wyrzucenia, żeśmy z tyłu o wiek zostali od Europy i że już literatura rosyjska nawet jest wyższą od naszej. A teraz literatura miesza się ze wszystkiem, z polityką, z naukami, z towarzyskiemi związkami, bo opinia publiczna jest nową siłą, zjawiającą się w ostatnich czasach i równie silną i przeważną w moralnym świecie, jak para, niedawno odkryta, w fizycznym«.

Niemniej i pod względem stylu zanosi się u Krasińskiego na stanowczą, świadomą pobudek i celu reformę. »Styl mój szumny już zupełnie, o ile będę mógł, odrzucę i już Papa nie ujrzy, spodziewam się, w moich następnych listach i pismach tych chmur, tej rosy, o którą zawsze mnie upomina«.

Zycie towarzyskie, bardzo ożywione pochłonęło ostatnie tygodnie pobytu w Genewie. Taki raut u Bonstettena, opisany przez Odyńca (IV, 363 i n.), może dać wyobrażenie o rodzaju towarzystwa i nastroju, jaki tam panował.

W tym samym czasie (w październiku) toczą się między synem a ojcem listowne narady co do wyjazdu z Genewy. Jenerał W. Krasiński lękał się, że przewrót lipcowy we Francyi może pociągnąć dalsze konsekwencye polityczne w postaci wojny Rosyi z Francyą i pragnął zawczasu oddalić syna z nad granicy francuskiej.

Nie było już tajemnicą wówczas w wyższych sferach wojskowych i administracyjnych w Warszawie, że z Petersburga zapytano urzędowo o możliwość mobilizacyi i stan finansowy Królestwa. Wiemy dziś, jak wiadomości z Petersburga o bliskiej wojnie Rosyi z Francyą oddziałały na przyspieszenie wybuchu rewolucyi w Warszawie. Jenerał Krasiński chciał widzieć syna jak najdalej od Polski i od Francyi. Syn oświadczał się za Florencyą i Rzymem i uspakajał ojca, że nie będzie tam żadnych rozruchów politycznych. Staje na tem, że 3 listopada, a więc w rocznicę przybycia do Genewy wyjeżdża Zygmunt Krasiński z mentorem Jakubowskim do Włoch na Simplon i Medyolan. Około 20 listopada spodziewają się stanąć we Florencyi. Wyjazd z Genewy byłby był o wiele milszym dla Krasińskiego, gdyby celem podróży była Anglia. Ojciec na to się nie zgodził.

»Szemrać nie będę, ani się sprzeciwiać — pisze

do ojca — szanuję Papy wolę, ale zanadto jestem szczery, bym nie powiedział, żem smutny, że mi nie dobrze«. Ostatni dzień w Genewie spędza Krasiński na pożegnaniu jeziora i tego miejsca nad jego brzegiem, gdzie szczęśliwy byłem szczęściem, które już się nie wróci«. Przyjaciele Reeve i Zamojski, żegnali go łzami i odprowadzili o milę od Genewy.

Ten pierwszy rok za granicą był bardzo doniosły w rozwoju duchowym Krasińskiego. Przyjeżdżał do Genewy, jak to słusznie zauważył Odyniec, rozmarzonym studencikiem, wyjeżdżał młodzieńcem, wzbogaconym w wiedzę, naukę, pilnie zapracowaną i porządnie nabytą; gienialne zdolności pozwalały mu objąć w krótkim stosunkowo czasie rozległe przestrzenie wiedzy w różnoległych jej, nieraz wprost rozbieżnych kierunkach: poezya angielska, styl dyplomatyczny i poetyczny francuski, filozofia, matematyka stosowana, starodawne prawo polskie, historya powszechna, ekonomia polityczna — oto spis pobieżny najważniejszych gałęzi drzewa wiadomości, pilnie badanych przez 18-letniego młodzieńca.

Wrażliwość, wyobraźnia młodzieńcza nic na tem nie tracą; zdrój poezyi bije już tak silnie, że go ani matematyka nie zatamuje, ani studya dyplomatyczne i prawne nie wysuszą. Tęsknota za ziemią rodzinną każe myśli ciągle przebywać w Polsce a powieść historyczna Zawisza utrzymuje go w jakimś rycerskim, średniowiecznym nastroju. Styl powoli wyswobadza się z formy obcej, ale z trudnością jeszcze, gdyż francuszczyzna doskonalona jest pod czujnem okiem Rogeta — ale polskiego nauczyciela dla pol-

skiego stylu Krasiński w Genewie niema, a z listów do Ojca widać, jak mu trudno francuski gotowy frazes zastąpić polskim zwrotem. To też utwory francuskie górują wtedy nad próbkami polskimi. List o literaturze polskiej do Bonstettena jest pod względem stylu nieskończenie wyższy od Teodora, króla borów, tak jak »On« nie może się mierzyć ze »Spowiedzią Napoleona«, chociaż ma niezaprzeczone zalety wewnętrzne i formalne, jako wierny wyraz ówczesnego nastroju duszy. Bo nadszedł już był czas, w którym młodzieniec, zajęty dotąd pilnie tem wszystkiem, co wydaje drzewo wiadomości, spojrzał rozmarzonem okiem na drzewo życia.

A z drzewa życia chylił się wtedy ku niemu kwiat rajski, wonny, wymarzony w snach, wyśniony na jawie — ale mroźny wicher północny powiał po niem i rozsypał białe kwiecie pierwszej, niewinnej miłości... Polały się łzy czyste, rzęsiste Zygmunta Krasińskiego na tę uroczą sielankę młodości, a Opatrzność zesłała mu na ukojenie ran serdecznych, na pokrzepienie rozumu i woli największego na ziemi polskiej lekarza, tego samego, który i nasze troski od pokolenia do pokolenia koi — Adama Mickiewicza. Ten go nauczył »zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać«, wyperswadował mu szumność w działaniu i mowie, wskazał mu wzniosły cel życia: prawdę i jedyną drogę do niej: naukę. Nauczyciel był gieniuszem — ale i uczeń godzien był mistrza. Ocenił odrazu, że to spotkanie wywrze wpływ zbawienny i stanowczy na dalszą drogę jego ducha. Ognia, przejętego z piersi wieszcza,

nie uronił, ani na marne nie obrócił; zamknął go szczelnie w swej młodzieńczej piersi, gorzał nim wewnętrznie, aż po latach pójdzie od niego żar na ogrzanie milionów serc i blask, który objaśni wiekową pomrokę dziejów i przyszłą dolę ludzkości...

KSIĘGA TRZECIA.

ROK CIERPIENIA.

(1831)

I.

We Włoszech.

Na Sion, Brieg, Simplon, Aronę (Lago Maggiore) i Seste Calende kieruje się Zygmunt Krasiński do Medyolanu, gdzie staje 7-go listopada.

Świeże a bolesne rozstanie się z przyjaciółmi nie pozwalało mu zachwycać się pięknymi widokami. Wszelako droga na Simplon, wykuta w skałach na rozkaz Napoleona, wywoływa w liście do ojca podziw dla potęgi Cesarza, który wielką myśl swą chciał i mógł w czyn zamienić.

Opis tumu Medyolańskiego jest jeszcze naiwny, poniekąd pretensyonalny; znać, że to dopiero pierwsze wrażenie włoskie nie przemyślane jeszcze, nie porównane i nie wytrawne. Natomiast muzyka, śpiew i gra aktorów w teatrze La Scala zachwycają go; tu widać z opisów, że dawniejsze wrażenia z teatrów warszawskich, praskiego i genewskiego dawały podkład porównawczy i zachęcały do sądu samoistnego. — Już tu słyszymy pierwsze niedobre wieści o zdrowiu jego: z powodu kilkudniowej słoty w czasie podróży, narzeka 18-letni Krasiński, że mu reumatyzm dokucza w nodze i ramieniu.

W liście medyolańskim zapowiada ojcu, że 10 Listopada wyjeżdża do Florencyi, i że stamtąd będzie pisać do niego. Ten list z Florencyi widocznie przepadł: może trafił już na pierwsze dni rewolucyi Listopadowej i Jenerała Krasińskiego w Warszawie nie zastał. Natomiast mamy długi (V) list francuski pisany z Florencyi do Reeva. Krasiński zastał tam na poczcie dwa listy od Henryety Willan i pełen upojenia i rozmarzenia pisze do przyjaciela. Podaje nam tu wyjątki z listu Henryety, z których widać, że młoda Angielka nie na żarty go pokochała. Krasiński zdaje sprawę przyjacielowi z swych uczuć i czynów. Kocha Henryetę, ale jej oświadcza w liście, że mężem jej nie będzie nigdy. »Byłem zmuszony odjąć jej nawet cień nadziei«. Będzie do niej pisać, póki ona nie uczyni wyboru i nie znajdzie męża; potem już nie będzie mógł pisać, ale zachowa zawsze dla niej uczucia brata dla siostry; po śmierci kiedyś, upomni się o swe prawa. Krasiński lęka się nawet o rozum Henryety, obawia się, czy ona nie zwaryuje i przypomina, że list jej do Lucerny adresowany kończył się zwrotem: »an old maid for your sake«. — Oczywiście zaczyna on odczuwać zgryzoty sumienia. »Jestem na drodze potępienia. Wracam zawsze do tej zasady; Pocóż zwróciłem ją z jej drogi i rzuciłem na moję: ona marzyła, że na niej znajdzie róże, a zamiast nich ma łzy gorzkie i ciernie«.

W tym stanie podniecenia, bliskiego rozpaczy, zbliżał się Krasiński do Rzymu. Stanął w nim dnia 30 Listopada 1830 r., a więc w dniu pierwszym rewolucyi naszej, ani się domyślając, że kiedy on spokoj-

nie oddawał się wrażeniom podniosłym, jakie w każdym człowieku się budzą, gdy po raz pierwszy widzi miasto wieczne, równocześnie w Warszawie panował zamęt, niepewność działania u góry, w Rządzie Królestwa, lękliwość wśród mieszczan, szczery zapał jedynie wśród młodzieży... Nie przeczuwał Zygmunt Krasiński, co się wówczas z ojcem jego działo, i że niebawem serce jego znękane dziecinną prawie miłością dla Henryety Willan, zajęknie od bolu męskiego na odgłos cierpień Ojczyzny.

W Rzymie znalazł mieszkanie duże na Piazza di Spagna, które nastręczył mu Ankwicz jeszcze z Florencyi. »Pięć pokojów, dobre powietrze i widok na cały plac Hiszpański«.

Przed samym wjazdem do Rzymu miał już nastrój odpowiedni: »coś jakby tchnącego poszanowaniem przed tyloma wiekami sławy, wielkości, zbrodni i nieładu«. Nazajutrz po przyjeździe Krasińskiego zmarł papież, Pius VIII. Zastał w Rzymie Mickiewicza, żyjącego w ciągłej niepewności i troskach miłosnych. Stosunek jego do starego Ankwicza nie polepszył się. Krasiński tak go opisuje: »Strasznie zesmutniał i wynędzniał od czasu widzenia się z nim w Genewie: cierpienia tak głęboko wyryte na jego twarzy, że aż żal bierze patrzeć«. Bezwątpienia towarzystwo Krasińskiego podziałało ożywczo na znękanego Mickiewicza. Zaprowadził go Mickiewicz do kościoła św. Piotra, a potęgę wrażenia tam odniesionego podniosły także obecność i rozmowy twórcy Dziadów. »Ogrom przytłacza samą uwagę z początku tak, że jej natężyć nie można, bo zdaje się napróżno natężać

uwagę na taki ogrom. Niezliczona jest liczba bogactw w nim, ale nic w kupie, nic nie naładowano, nic za nadto. Kopuła na dachu wydrążona wewnątrz jest sama tak wielka, jak cały Panteon. Żadnego obrazu malowanego w całym kościele niema. Wszystkie z mozaiki drobnej ułożone w kolosalną wielkość. Opisywać byłoby daremnem. Jakże opisać? bo od czego zacząć i gdzie skończyć w tym oceanie marmuru, porfiru, złota, posągów, ołtarzy, nagrobków, sklepień i arkad.

»Pomimo tego wszystkiego jednak, przyznam się Papie, że dla mnie kościół Św. Piotra nie wzbudził głębokiego uczucia religijnego. Za nadto myśli się tu o sile i sztuce ludzkiej, by myśleć *immediate* o Bogu; a potem taka świątynia nie jest tak zgodną z duchem Religii Chrześciańskiej, by ją żywo i tkliwie przypominać miała.

»Ale jest drugie miejsce w Rzymie, gdzie byłem i gdzie musiałem, siłą niepojętą przejęty, modlić się z całego serca, z całej duszy do Zbawiciela świata: jest to Koliseum, które widziałem przy świetle księżyca.

»Wyobraź sobie, kochany Papo, ogromny okrąg podłużny, z głazów piętrzących się jedne na drugich ułożony, wysoki, jak kościół Luterski w Warszawie, bez dachu.

»To jest amfiteatr owalny, dawne siedzenie ludu rzymskiego i Cezarów, kiedy rozpływali się w radości, widząc krew gladyatora i rozdartą pierś męczennika pierwszych wieków Kościoła. — Nad tym budynkiem pustym, spokojnym, umarłym — żywe, nie-

bieskie niebo Italii, migające gwiazdami, i z swoim księżycem, równającym się w blasku z słońcem Północy. Słupy olbrzymie, arkady, przedsienia, kolumny, to częścią nadpsute, to częścią jeszcze stoją całe, ale gdzież te pokolenia, które tu pląsały?

»Stopniowo księżyc wstępował na niebo, kiedy tam byłem i z pod cienia wyrywał coraz dalsze części gmachu. Tam arkada wypływa z ciemności, tam obicie z bluszczu, zastępujące teraz dawne z jedwabiu i purpury kobierce«.

Ten wspaniały ustęp, przedsmak najpiękniejszych kart Irydiona, jest dokumentem psychologicznym niezmiernej doniosłości. A jest to prawie opatrznościowem, że Krasiński zwiedza Kolosseum i duma o »zwycięstwie życia nowego nad starem« w chwili, gdy jeszcze jest o Polskę spokojnym, gdy nie wie jeszcze nic o świeżych wypadkach warszawskich, ale krzepi się w noc miesięczną wśród wiekopomnych ruin widokiem czarnego, prostego krzyża, który rzucał »cień pokoju i błogosławieństwa«. »Nigdy się nabożniejszym nie czuł, jak wtedy«; mógł dodać, że nigdy też dotychczas nie wzniósł się był na taką wyżynę poetyckiego a zarazem chrześcijańskiego na świat wejrzenia... Pierwszy zarodek przyszłego arcydzieła wówczas w Kolosseum w duszę jego zapada. Lata przejdą i zdawać się będzie, że myśl ta nie wykiełkuje, zgłuszona światową burzą — ale żywotne ziarno nie zamarło — czekało tylko stosownych do rozwoju zdarzeń i rosnąc z cicha w sercu miłującem wystrzeliło po latach niewiędnącym, ogromnym kwiatem: Irydyonem. On już tu, w r. 1830, zawarty w tem

ziarnie, w tej myśli, tak drżącej od wzruszenia, przejmującego młodzieńczą pierś Zygmunta: »Ten krzyż, temu tysiąc lat taki sam, jak dzisiaj, deptany był w tych miejscach; za niego rzucano tygrysom i lwom chrześcijańskie dziewice... Wtenczas Koliseum stało wielkie, pyszne, w niem lud najpotężniejszy świata... a teraz rozsypuje się w gruzy i upada, a krzyż się nie odmienił, z drewna, jak wtenczas — a jednak stoi w pośród budowy, stoi nad ziemią, która go prześladowała, i panuje tam, gdzie nim pogardzano...«

Niebawem dojdzie Krasińskiego przejmująca wieść z nad Wisły o świętej walce za wolność, za Ojczyznę, wieść, która mu odbierze spokój duszy na długo, tak jak wynik tej walki zatruje mu życie — i kiedyś, za lat kilka on wróci z brzemieniem niedoli narodu swego pod ten cichy krzyż na Koloseum, będzie tu wśród łez gorzkich dumał o »prześladowcach i prześladowanych« i będzie szukał rozwiązania strasznej zagadki, aż w nim wyczyta »godło niezaprzeczone zwycięstwa życia nowego nad starem«.

Ani wątpić, że tak jak do św. Piotra tak i do Kolosseum zaprowadził go najpierw Mickiewicz. I kto wie, czy nie w rozmowie z piewcą Wallenroda usłyszał po raz pierwszy Krasiński doniosłe wyrazy o tym stosunku prostego krzyża do kolosalnych ruin olbrzymiej rzymskiej potęgi? To pewna, że Mickiewicz częstym był gościem w Kolosseum. Stattler opowiada, że po częstych (r. 1830) wieczornych zebraniach u Strzeleckiego na Piazza di Spagna, »udawaliśmy się nieraz późną nocą na stare Forum lub

do Kolosseum, a Mickiewicz siadał tam jak pielgrzym pod drewnianym krzyżem na środku areny będącym i skupiał się w sobie...« — Krasiński wprawdzie nie wymienia Mickiewicza w opisie Kolosseum, ale też zaznacza wyraźnie, że nie był tam samotny:

»Weszliśmy na piętra górne...« Był w towarzystwie Ankwiczów, co zwiększa prawdopodobieństwo, że był z Mickiewiczem. Jest rzeczą łatwą do przyjęcia, że on, tak przejęty czcią dla Mickiewicza w czasie podróży szwajcarskiej, teraz poddał się całkiem jego wpływowi. Widać to nawet z książek, które wtedy czyta:

»Czytałem w tych dniach dzieła p. Lamennais o religii katolickiej: »Indifférence en matière de Religion«.

Otóż właśnie Mickiewicz jest wówczas zajęty tą samą książką i poleca ją usilnie Odyńcowi w liście — a Krasiński wprost napisze do Reeva: »J'ai trouvé chez Mickiewicz un ouvrage du célèbre de Lamennais sur la Religion catholique«.

Kto wie, czy także nie pod wpływem Mickiewicza, postanawia Krasiński »przypomnieć sobie po grecku«. Chce nadto prowadzić dalej genewskie studya angielszczyzny, ekonomii politycznej i historyi nowożytnej.

Cały ten pierwszy list z Rzymu i o Rzymie jest bardzo ciekawy i ładny; oczywiście, że niewyczerpujący przedmiotu: »trzeba — mówi Krasiński — długiego czasu, by w nim można się rozpoznać«. Ale już to bardzo dodatnio o młodym autorze listu

świadczy, że wrażenia swe w Rzymie spisuje i że się nimi dzieli.

Pod tym względem Krasiński ma pewną śmiałość pierwszej młodości: starszy od niego o lat 14 Mickiewicz będzie dziwnie lakoniczny w listach z Rzymu i powie w jednym z nich po prostu: »O Rzymie trudno pisać«, — lub »Rzym mnie zagłuszył...«

Ale Krasiński jest wówczas w ciągłem podnieceniu, w ciągłem rozmyślaniu o swej miłości, której Rzym nie zagłuszył — więc pisze do ojca o Rzymie, do przyjaciela o Henryecie Willan. Dzieło Lamennais'go przekonywa go rozumowo o potędze katolicyzmu, tej religii jego »ojców«, która, jak wyznaje Reeve'owi, oddawna już tylko czcze znaki krzyża w nim wywoływała (»à laquelle depuis longtemps je n'ai accordé que quelques vains signes de croix«). Po przeczytaniu Lamennego »przepaść przed oczyma jego się rozwiera«. Bo po za tą wiarą niema zbawienia — on to rozumie, ale cóż poradzi na to, że Henryka Willan nie należy do Kościoła katolickiego! Więc nie będzie zbawiona! ta kochanka duszy jego! więc czyż wybierać trzeba między nią a Bogiem?! — Jest tu oczywiście przesada, której źródło w młodzieńczem usposobieniu Krasińskiego. Ale wówczas niepokój jego jest szczery, nieudany.

Po tych troskach duchowych o zbawienie Henryki mamy w liście opis wrażeń rzymskich: św. Piotra i Kolosseum.

Znajdujemy tu miejscami przekład dosłowny znanego nam już tekstu polskiego, co każe wnosić, że

ustęp o Kolosseum w liście do ojca był tylko wyjątkiem z jakiejś całości o Koloseum. Krasiński pisze bowiem wyraźnie w liście do Reev'a: Te myśli są po większej części wyjęte z ustępu polskiego (»un morceau polonais«), który napisałem o Koliseum«. Początek francuski jest dokładniejszem rozwinięciem starożytnej strony Kolosseum i ma bardziej rzymski nastrój myśli:

»W piękną noc księżycową wstąpiłem pod arkady, które widziały tyle pokoleń; na nich rozsiadał się lud — król, w dniach swej potęgi; arkady te nie załamały się ani pod ciężarem ludzi, ani pod ciężarem czasu. Księżyc był jeszcze nisko na widnokręgu, wnętrze budynku było ciemne; starałem się przebić wzrokiem mym ciemności. Serce mi b.ło, bo czułem się blisko odległych wieków. Pogrążyłem się w wspomnieniach. Zwolna promienie księżyca zaczęły wdzierać się przez rozwaliny murów, przez wejścia portyków; dziwny to był widok: promienie księżyca łamały się na łukach, na kapitelach i słupach; na kilku miejscach igrały znowu z bluszczem, który zastąpił purpurę i jedwab cyrku. Wszedłem na pierwsze piętro, następnie na drugie, wszędzie ciemno, czarno. Znowu zatrzymałem się, oddałem się głębokiemu rozmyślaniu.

»Niebo błękitne nademną zasiane było włoskiemi gwiazdami, podemną przepaść całej wysokości Kolosseum. Wspomnienia za wspomnieniami przybiegały ku mnie, a wyobraźnia moja podniecała się stopniowo. Im bardziej przedmioty wyraźniejsze się stawały dokoła mnie, tem więcej myślałem o cza-

sach dawno przeszłych, które żyją jednak w pamięci ludzkiej. Zdawało mi się, że słyszę głosy zmięszane: krzyk przenikliwy gladyatora, potem oklaski całego ludu; szmery uznania po wrzaskach okropnych; ryki lwów i tygrysów; a potem wśród tego grecka muzyka fletu i dźwięki trąb wojskowych. Naraz jęki się wzbiły i upadły w milczeniu; czułem, że już się więcej nie podniosą. Nagle szczęki mieczów i sztyletów starożytnych rozbrzmiały wśród sklepień, a potem zdało mi się, że tu i tam usłyszałem, jak pada ciało pokryte pancerzem, jak puklerz po piasku się toczy, to znowu, jakby szmer kilku strumyków toczących się wolno. Zapach krwi poczułem, ale ponad wszystkie te krzyki, ponad ten hałas wzbijał się głos jakiś, choć łagodny i drżący. Głos ten wznosił się w powietrzu cały harmonijny. Rzekłbyś: śpiew nadziei, chociaż usta, które go wydały, miały się zamknąć na zawsze. Rzekłbyś: hymn śmierci, który dziewicach rześcijańska spiewa przed połączeniem się z Bogiem.

»W tej chwili księżyc ukazał się na murach Kolosseum, jak gdyby wychylał się ze zwoju bluszczu, który w girlandach spadał z wierzchołka budynku.

»Kolumny, arkady, portyki, siedzenia cezarów, senatorów, ludu ukazały się blade i w ruinie. Arena się odsłoniła. Na jej środku wznosił się krzyż z czarnego drzewa. Ten krzyż wart dla mnie katedry medyolańskiej i kościoła św. Piotra. Krzyż ten prześladowano na tem samem miejscu przed wielu wiekami, kiedy Kolosseum wyobrażało całą wielkość tych, co go zbudowali. Krzyż ten od owych dni krwi i ża-

łoby w niczem się nie zmienił, niczem się nie ozdobił; dzisiaj stoi na miejscu, tam, gdzie po nim deptano, a dumne Kolosseum, które z pychą spoglądało na poniżenie krzyża, teraz wokoło niego w proch się rozsypuje.

»Ale krzyż nie zdaje się wzbijać w dumę ze swego tryumfu. W milczeniu wyciąga ramiona swe czarne w obie strony budynku, a cień jego zdaje się rzucać błogosławieństwo pokoju na ziemię, gdzie spoczywają snem wiecznym: prześladowcy i prześladowani. Kto nie wierzy w Jezusa Chrystusa, ten niech idzie w noc księżycową do Kolosseum, a jeśli nie upadnie na kolana przed tym symbolem wiary, znać, że człowiek ten, z góry to mówię, niema ani duszy ani serca. Jest on mniej niż człowiekiem, który jako duch od Boga pochodzi, a więcej, niż człowiek, jako duch złego«.

Nasuwa nam się także domysł następujący.

Opis Kolosseum w liście do ojca był pierwszym rzutem, pod wpływem pierwszego natchnienia. Ważniejsze ustępy przepisał Krasiński; posłużyły mu one za kanwę do skreślenia dłuższego opisu Kolosseum, który powstał już po wysłaniu listu do ojca, a przed napisaniem listu do Reeva, a więc między 6-tym a 9-tym Grudnia 1830. — Mamy tu już artystyczne wyzyskanie wielkiego tematu, cieniowanie kontrastów psychicznych (gladyator — chrześcianka; cezar i lud rzymski, a prosty krzyż w środku areny).

Czem deszcz wiosenny na rolę uprawną, tem był Rzym dla 18-letniego Krasińskiego. W tych kilku tygodniach, kiedy jeszcze nic nie wie o powstaniu

listopadowem, cieszy się on bujnem natchnieniem. Pisze po polsku jakąś powiastkę o Angliku, zakochanym w Venus Medycejskiej i ginącym z miłości dla niej. Był to rodzaj dziennika-pamiętnika, który nieszczęśliwy Anglik zostawia swym przyjaciołom.

Krasiński chce kilka nowelek w ten sposób napisać i ogłosić razem p. t. *Ułomki o Włoszech* (Fragments sur l'Italie). Już nawet przygotował przedmowę do nieistniejącej książki i daje przekład jej francuski w liście do Reeva:

»Piękna noc iskrzyła się nad mą głową, zdala dochodziły odgłosy muzyki Rossiniego, rozbrzmiewającej nad grobowcem Scypiona.

»Zacząłem myśleć o herbacie, o wieczorach wydawanych na szczycie Kapitolu. Anglicy przypatrują się przez lornety ruinom Kolosseum; walca tam tańczą, gdzie pierwszy Brutus zabił swe dzieci, a drugi swego ojca; a naokoło obelisków sprowadzonych z Egiptu sprzedają na targu kapustę. Sprawy to godne śmiechu. ale co do mnie, odczułem coś na kształt smutku, nie wiem dlaczego, bo trzebaby raczej śmiać się. — Tak samo w całych Włoszech! Być może, że potrzeba tej równowagi w świecie, że potrzeba śmiesznych rzeczy, że trzeba bawić się na miejscu wielkich cnót i wielkich zbrodni. — A mimo to gorzkie to uczucie dla tego, który nie rozumie wzniosłego porządku wszechświata i nie może wznieść się do tego porządku. Tak, są gorzkie rzeczy, naprzykład muzyka *buffo* na grobie Scypiona lub kapusta do sprzedania na Forum«.

Żałować należy zatraty każdego listu z tych cza-

sów. Niestety, dwa listy, pisane między 5 a 13 Grudnia nie zastały już Jenerała Krasińskiego w Warszawie i prawdopodobnie na zawsze zaginęły. — Z listu pisanego 13 Grudnia dowiadujemy się o pewnem przygnębieniu, które tłómaczy się złem zdrowiem i niepogodą. »Deszcz wciąż leje«. Skutkiem tego Rzym wydaje się Krasińskiemu »smutnym okropnie«. »Wielkie — puste miasto, ruiny, rudera«. Niepogoda zmuszała do siedzenia w domu i do nauki. »Uczę się po włosku, po angielsku, czytam Ekonomią polityczną Say'a, Eneidę po łacinie, Iliadę po grecku, a kiedy natchnienie przyjdzie, to piszę też czasem«.

W tym miesiącu napisał także powiastkę p. t. »Gastołd«, którą wykończył w przeciągu 24 godzin; założył się bowiem z Mickiewiczem (może u Ankwiczów), że przez dzień jeden napisze powieść. Drobny ten utwór odznacza się spokojem i cichym humorem, świadczącym najlepiej o tem, że mógł powstać tylko przed otrzymaniem wiadomości o nocy listopadowej, a więc w pierwszej połowie Grudnia 1830 r. »Gastołd« jest ostatnim utworem, pisanym wedle szablonu z okresu Warszawskiego; ale styl prosty i język czysty dowodzą większej dojrzałości w niedawnym autorze »Władysława Hermana«.

Wpływ Włoch i Rzymu odwrócił wnet uwagę jego od epizodycznej »powieści żmudzkiej«.

Ojcu donosi, że już we Włoszech napisał dwie małe powieści pod tytułem »Venus Medycejska« i »Koliseum«.

Po liście z d. 13 Grudnia następuje w korespon-

dencyi z ojcem długa przerwa. Następny list datowany już z Genewy 14 Maja 1831 r.

Mielibyśmy trudną do wypełnienia pustkę w życiorysie i to z bardzo ważnego okresu, gdyby nie listy do Reeva, które pozwalają wniknąć do głębi stroskanej i zbolałej duszy Zygmunta Krasińskiego.

II.

Powstanie Listopadowe.

W kilka dni po wysłaniu listu do ojca, 15-go lub 16-go Grudnia dowiaduje się nareszcie Krasiński w Rzymie o wybuchu rewolucyi w Polsce. »Jutrzenka wschodzi!«

Z całego listu angielskiego do Reeva widać przedewszystkiem jedno: szczerą chęć dostania się na pole walki. Radby tam pospieszyć razem z Augustem Zamoyskim, ale czeka wiadomości od ojca, ciągle w tem jeszcze złudzeniu, że ojciec został przy wojsku polskiem... A jednak jakieś wątpliwości wkradają mu się do serca.

Wyrzeka przed Reevem na położenie swe straszne (»devilish position«), na to, że go rodacy nienawidzą, że »dni chwały jego ojca przeszły, a teraz...« I nie śmie dokończyć zdania.

»Oh, wszystko jest dla mnie męczarnią i troską! Kocham dziewicę — ona nie dla mnie — kocham kraj mój — — on mnie odpycha; kocham sławę — a sława jest posępna i ciemna. Ah, niczego się nie

spodziewać, oto co mi zostało na ziemi. Bóg tylko jest mą ucieczką...«

A teraz obawa, co sobie Reeve o nim pomyśli. Kto wie, czy w Genewie polacy nie obmawiają go nie oczerniają? — Tylko Zamoyski i Mickiewicz są szczerymi jego przyjaciółmi (z Polaków znanych Reevowi). Rozpacz poczyna go ogarniać. Widzi, że wszystko się zwraca przeciw niemu, czuje, że imię jego może być okryte wstydem i obelgami, a życie upłynąć w samotności i wzgardzie.

I tak mu zaczęły schodzić w strasznej niepewności i zgryzocie tygodnie, rozpoczęte w pełni natchnienia i nauki.

Cóż pod ten czas robił jego ojciec?

Stanowisko wyjątkowe, które zajął Jenerał Wincenty Krasiński w Sądzie Sejmowym w r. 1828 określiło, z góry niejako, stosunek jego do rewolucyi listopadowej. Przywykły do sytuacyi jasnych, w duszy zwolennik spokoju po burzliwym okresie Napoleońskim, jako wojskowy, znający na wskróś siłę przeważną Rossyi, nie chciał W. Krasiński wojny z nią i lękał się jej wyników. W głowie mu się pomieścić nie mogło zwycięstwo oręża polskiego. »Rewolucya wybuchła w Warszawie przez 5 akademików, 4 podchorążych zaczęta i 3 poetów, jak oficerów tyleż«. Z takiego początku źle wróżył o całości i powodzeniu walki.

Opowiedziawszy się zrazu przy W. X. Konstantym, po zawarciu układu odprowadził swe pułki do Warszawy. Oddajemy na chwilę głos historykowi powsta-

nia, Barzykowskiemu: (Hist. Powst. Listop. Poznań, 1884, t. I. 387—389):

»Jenerałowie Winc. Krasiński i Kurnatowski znajdowali się w głównej kwaterze cesarzewicza. Na wezwanie Zamojskiego opuścili ją, wsiedli na konie i wraz z wojskiem do miasta pospieszali... Ci dwaj jenerałowie stanęli na czele tych wojsk, które istotnie do ich komendy należały. Kurnatowskiemu była nawet zrobiona uwaga, iż może go jaka nieprzyjemność spotkać, lecz on odrzekł: »i ja także polak, a wojsk moich opuszczać nie umiem««. Lecz jak tylko lud ich spostrzegł, natychmiast obraźliwe i zelżywe wykrzyki słyszeć się dały, ale do otoczonych przez innych wojskowych nikt z ludu zbliżyć się nie mógł. Pod Bankiem trzeba było z konia zsiąść i udać się na posiedzenie Rządu dla dopełnienia aktu wierności. Lud znalazł więc sposobność zbliżenia się do nich i upokarzające dla obydwóch sceny miały miejsce, a jedynie Chłopickiemu i Szembekowi zawdzięczać winni swoje ocalenie. Ci piersiami własnemi zasłonili ich i do Banku uprowadzić zdołali, lecz obelżywe okrzyki nie ustawały i odgróżkom końca nie było. Dla uspokojenia umysłów, z rozkazu Rady obydwaj jenerałowie, bladzi jak chusty, ukazali się na balkonie Banku, wśród dwóch akademików, trzymających na krzyż, jeden chorągiew akademicką, drugi sztandar narodowy. Na nich położyli oni palce, a profesor Szyrma, odczytał głośno przysięgę wierności insurekcyi, którą słowo w słowo powtórzyli...«

»Kurnatowski i Krasiński nie chcieli służyć rewolucyi i podali się do dymisyi«.

»Kurnatowski słowa dotrzymał, nie służył w szeregach narodowych, ale niczem nie zdradził sprawy i przez cały czas wojny na ustroniu w cichości pozostał.

»Lecz inaczej Krasiński postąpił: ... prosił rządu, aby dla bezpieczeństwa osobistego wolno mu było na wieś, do dóbr swoich, w województwo płockie się oddalić. Zażądano słowa, że spokojnie tam pozostawać będzie; dał je i zaledwie na miejsce przybył, aliści zbiegł, uciekł do Prus, aby ztamtąd pospieszyć do Petersburga, czołem uderzyć carowi i *usługi swe przeciw ojczyznie ofiarować*«. (Że tak nie było, zaraz się dowiemy).

A teraz *audiatur et altera pars:* Przytoczymy wyjątki z listu Jenerała Krasińskiego do syna; w niektórych szczegółach uzupełniają one wiadomości Barzykowskiego, w innych przedstawią je w odmiennem oświetleniu. Przedtem jednak dajmy jeszcze urywek z dziennika rewolucyjnego »Patryota«, który nazajutrz opisywał fakt, podany przez Barzykowskiego, w następujących słowach:

»Przed pałacem rządu tymczasowego potrzeba było całej powagi wodza, aby ocalić życie jenerałowi Krasińskiemu Wincentemu. Należało mu je ocalić, bo się dobrowolnie w ręce nasze powierzył. Zaczął mówić, ale przypomniano sąd sejmowy i to dostateczną było karą. Wziął i on dymisyę. Zacny jenerał Szembek zaręczył, że były kolega jego zmaże hańbę swoją przy pierwszej sposobności. Wincenty! Imię twoje było nam niegdyś drogie! Czy przypominasz sobie, ile to łez uroniliśmy,

gdyś bohaterów naszych na ziemię ojczystą przyprowadzał? Czy przypominasz sobie, z jakiem witaliśmy cię w tenczas uniesieniem? Dlaczegóżeś wzgardził wieńcem, którym Cię uczcił naród, zawsze sprawiedliwy i którego kwiaty do dziś dnia nie byłyby zwiędły, gdybyś nie był chciał szukać w sromocie, wyższej nad niego nagrody...«.

Wincenty Krasiński tak opisał synowi chwile przełomowe swego życia:

»Klub, wiedziony przez Mochnackiego, Bronikowskiego, Machnickiego, przysiągł mą śmierć. Przed Bankiem otoczony, tysiącem broni okolony, a krzykiem ogłuszony, odwróciwszy konia, zacząłem mówić, »iż chcą wolności, a wolności nadużywają. Któż większe przysługi krajowi zrobił, jak ja? nareszcie będą mieli prawo zabić, jeżeli jeden człowiek się znajdzie, w całej Warszawie lub kraju, któren powie, żem mu krzywdę zrobił, lub żem nie służył mu, gdym mógł pomódz«. Rozruch się zrobił; zaczęto krzyczeć, że prawda, żem cnotliwy i mogłem poyść z Generałem do Pałacu Banku, gdzie Rząd siedział. Wszedłszy, spytałem się Xięcia Czartoryskiego, bladego jak trupa: »Co to za rząd? czy króla uznaje?« Powiedział mi, że nie wie; na to odpowiedziałem, że cnota, co memi krokami zawsze wiodła, nie pozwoliła mi zdradzić ufności we mnie położonej, ni przysiąg łamać, ani bratobójczego nie pozwoli jąć się oręża i że dymisyę daję. Na to powiedziano mi, że trzeba, żebym napisał. Wziąłem z przed Xięcia arkusz papieru i napisałem dymisyę. Odgłos się rozszedł, żem dał dymisyę. Zaraz kluby jakobińskie, które się po-

formowały, deputacye poprzysyłały, żeby mnie wydano, lub żebym służył i objął komendę. Rząd słaby obwieścił mnie, żebym sam o sobie myślał.

»Teraz, żebyś wiedział, że przysłali do mnie, gdym bronił przy kościele Aleksandra, (żeby nie atakowano Xięcia), że rano w piątek (3 grudnia) przysłali mnie propozycyę, bym zwalił Chłopickiego i wydał Xięcia, a wtenczas uznają mnie Naczelnikiem. Odpowiedziałem, że nigdy jeszcze żaden Krasiński nie był zdrajcą i ja nim nie będę«.

Zostawiony samemu sobie jenerał Krasiński, wobec tego, że Franciszek Grzymała na czele rewolucyonistów wtargnął do Banku i szukał go, uszedł bocznemi schodami na ul. Elektoralną, przedostał się za rogatki, a spotkawszy tam znajomego, dostał się w okolice Skierniewic, gdzie ośm dni w przebraniu jako ekonom przebywał. Dał o sobie znać zaufanym w Warszawie.

»Jeden dawny oficer mego pułku przywiózł mi propozycye, rzucone do Pałacu, różnych klubów, wywyższenia mnie, bylem dał słowo, że będę im przewodniczył. Odpowiedziałem, że nie chcę nawet ich zdradzić, że jako adjutant króla, nie mogę być dezerterem i zapomocą tego oficera nocą przebrałem się nie bez niebezpieczeństwa i blisko Mławy granicę po chłopsku ubrany przeszedłem, pocztę wziąłem i tu jestem. Posłałem cesarzowi raport, a drugi list napisałem, mówiąc, że pierwszy był cnotliwego żołnierza, ten zaś człowieka, żem przysiągł wierność, zachowałem, ale przeciwko krajowi w niczem

służyć nie będę, ani bronią ani radą. Ciekawym odpowiedzi«.

Otóż i błąd wielki: »*Ciekawym odpowiedzi!*« Ciekawość niestosowna i niepotrzebna stała się, według przysłowia, pierwszym stopniem do piekła, piekła późniejszych udręczeń moralnych. »Król« zawezwał swego »adjutanta« do Petersburga i »cnotliwy żołnierz« wahać się już nie śmiał. Pojechał nad Newę, gdzie, nawiasem mówiąc, nie był samotnym, gdzie zastał już prezesa Senatu Królestwa Polskiego, Ordynata Zamoyskiego...

Dlaczego ojciec Zygmunta Krasińskiego nie poszedł za przykładem jenerała Kurnatowskiego i po wzięciu od Rządu narodowego dymisyi, nie osiadł na wsi w Opinogórze? nie przebył roku 1831 »na ustroniu w cichości?« Wszakże odrazu powziął postanowienie, wyrażone w liście do Mikołaja I, »przeciw krajowi w niczem nie służyć, ani bronią, ani radą!«

Można dziś tylko domyślać się pobudek.

Jenerał mniemał, że ruch rewolucyjny nie ma podstaw narodowych, że jest wywołany przez ludzi, wrogich społecznym zasadom państwowym, »na to, żeby ci co posiadają, nie posiadali, a ci co nie posiadali, aby posiadali«. Z takim prądem solidaryzować się nie chciał; ruchu całego zaś na seryo nie traktował. Wróżył powstaniu rychły upadek. W kilka tygodni po nocy listopadowej pisał: »Podobno cała ta wrzawa(!) warszawska(!) i stu dni nie potrwa, a co będzie potem, Bóg jeden wie tylko... *Bien souvent le mieux est l'ennemi du bien*“.

Zadawał sobie już 24 grudnia 1830 r. pytanie, »co

będzie potem«. A wróżąc niepowodzenie orężne, znając Petersburg, przewidywał, że lepiej nie będzie. I tu może próżność rodowa zaczęła mu szeptać do ucha: »Tamci kraj gubią, ruinę mu gotują, ty idź, jako człowiek, co przysiągł wierność i jej dochował, idź do »Króla«, a kiedy nadejdzie chwila stosowna, któż wie, czy ciebie nie poszlą z Petersburga nad Wisłę z różdżką oliwną pokoju i powrotu do *status quo*... Wtedy będziesz pierwszym wśród pierwszych, witany jak zbawca, drugi »Bayard *sans peur et sans reproche*«.

I Wincenty Krasiński uległ podszeptom ambicyi i posłuszny wezwaniu, udał się do Petersburga na długie miesiące strasznych wyczekiwań, łez samotnych i rozczarowań...

A tymczasem jedyny syn jego przebywał w Rzymie męki piekielne, to wyrywając się ku Polsce, to opadając w bezsilnem szamotaniu się z dziwnym losem swoim.

Położenie narodu polskiego z początkiem samym wojny r. 1831 ocenił on bardzo przenikliwie: »Żadna ludzka siła, ni pomoc nie może nas wesprzeć w tej rozpaczliwej sprawie *(this desperate cause«)* — ale ten sam Bóg, który rzekł: »Stań się światło« — i stało się światło — ten sam może znów rzec: »Stań się Polsko!« i Polska powstanie olbrzymia i swobodna«.

Rozpaczliwych wyrzekań Zygmunta Krasińskiego na przeznaczenie swe i t. d. nie należy brać dosłownie; są to nieraz wybuchy gorączki młodzieńczej

dochodzącej do szału, tak, że jakiś n. p. list pisany około 20 stycznia 1831 r. sam każe potem Reeve'owi spalić jako płód uniesienia *(I was not in a free mind)*.

Jakoż listu tego nie mamy. Możemy łatwo sobie wyobrazić, ile tam było goryczy, żalu, może nawet bezsilnej złości na urojonych, czy rzeczywistych wrogów. Jakiś wyjątek z gazety angielskiej »Galignani Messenger« (między 1 a 11 stycznia) o Jenerale i o Zygmuncie Krasińskim nadesłał mu Reeve z Genewy. Krasiński nie wie, czy to podstęp jego wroga (L. Lubieńskiego?), czy może wskazówka jakiego przyjaciela, który nie mogąc wprost znieść się z nim, wskazał mu tym sposobem drogę, po której powinien kroczyć. Ale on i bez tego artykułu wiedział i wie, co mu uczynić trzeba. Jeśli nie będzie się bił za Polskę, cóż powiedzą na to przyjaciele jego, co pomyśli o n a?

»Przyjaciele głośno zawołają: Jesteś tchórzem! A ona powie: Jesteś zdrajcą. Bo gdym cię pytała? co nas dzieli? Odpowiedziałeś mi: moja ojczyzna. A teraz? nie ma cię na polu bitwy; spisz ciężkim snem wśród ruin Rzymu — a tu nie pora dumać na ruinach, ale budować na nich nowy gmach o fundamentach z członków ludzkich i głów, o cemencie z krwi!« I cóż ja odpowiem? Nic«. — I objaśnia, że z Rzymu się ruszyć nie może, bo mu minister paszportów nie wydaje, bo jest bez grosza i w fizycznej niemożebności wyjazdu. Ale spodziewa się, że mu ojciec napisze, aby się z nim połączył. On jeszcze nie śmie przy-

puścić, aby mogło być inaczej. „*Il est aussi bon Polonais qu'aucun d'eux. Oui; il m'enverra l'ordre de venir, et alors je partirai*“. — Ale tymczasem cierpi strasznie. Nie wychodzi prawie z domu, chyba do Leacha. I to ciekawe, że nie szuka Mickiewicza, który także nie wie, co ma robić i siedzi w Rzymie i cierpi moralnie...

Życie daje Krasińskiemu cierpką naukę, czem są plany, marzenia, postanowienia ludzkie. — Czyż mógł kiedykolwiek przedtem przypuścić, że »będzie musiał spać, gdy inni powstali, pisać, gdy inni walczą, pić wino, gdy inni krwią się poją, i gnuśnieć w ciemnicy, gdy inni rwą się ku wolności i światłu«.

Reeve, jak na spokojnego Anglika przystało, pociesza przyjaciela nie rozumowaniem, ale faktami, albo przynajmniej zapowiedzią faktów. Zdaje mu się, że idzie do europejskiej wojny i że ta ocali Polskę. — Radby on Krasińskiego wyrwać z bezowocnego narzekania i każe mu działać, a przedewszystkiem zbliżyć się do pola działania, do Polski. Jako przykład stawia mu Augusta Zamoyskiego, który stara się przekraść do Polski. „*Je présume* — pisze Reeve — *qu'il se considère comme émancipé de la domination paternelle, attendu que son père s'est réfugié à Pétersbourg mais les fils restent pour soutenir le nom et la gloire du nom de Zamoyski*“. Trudno było wyraźniej powiedzieć, czego Reeve oczekiwał po Zygm. Krasińskim. Obecność w tych okolicznoś Mickiewicza w Rzymie dziwi zapewne Reeva, który zapytuje w liście:

„Et Mickiewicz? N'oubliez pas de me dire ce qu'il fait, quand vous écrirez“.

Tymczasem w Rzymie w połowie lutego 1831 r. wybuchła panika przed rewolucyą, idącą z Bolonii. Rząd papieski powołał Transteweranów do obrony zagrożonej rzekomo stolicy. Jakubowski namawiał Zygmunta Krasińskiego do wyjazdu z Rzymu, póki czas. Krasiński się sprzeciwił. Nie chciał zostawiać Ankwiczów samych, »same niewiasty bez pomocy«. Jest to trochę dziwne. Przez cały tydzień Krasiński opiera się wyjazdowi z Rzymu i »czyni co może, aby pocieszyć tę rodzinę (Ankwiczów)«. *(I made al my efforts to console that family).* Jeżeli do tego obowiązku poczuwał się młodziutki Z. Krasiński, o ileż bardziej musiał się poczuwać Adam Mickiewicz, starszy znajomy i czulszymi węzłami przykuty do progu Ankwiczów.

Tymczasem ambasador rosyjski dał rozkaz, aby Polacy z Królestwa Polskiego opuścili Rzym. Mickiewicz jako Litwin mógł pozostać i został też w Rzymie do 19 kwietnia. Krasiński musiał stąd wyjechać i udał się prosto do Florencyi. Donosił stamtąd 20 lutego Reev'owi, że *campagna* rzymska przepełniona brygantami, rząd papieski w strachu, a armia Bolońska nadciąga ku bramom Rzymu. »Mickiewicz tam został« — donosi Reeve'owi Zygmunt Krasiński. »Nie obawiam się o niego. Wielcy ludzie mają swą gwiazdę w obłokach«. — Rzecz dziwna, że Krasiński nie stara się uzasadnić i wytłómaczyć, dlaczego Mickiewicz w Rzymie został. We Florencyi zdaje się Krasiński być nieco spokojniejszym. »Piszę jeszcze

czasem«, lecz kiedy piszę, to prawie zawsze na temat jakiejś dawnej legendy o walce człowieka z starym nieprzyjacielem rodu ludzkiego. Zacząłem czytać biblię po angielsku. Wspaniała! Manfred także stał się mym ulubieńcem... Zawsze lubiłem świat duchów«.

III.

Drugi pobyt w Genewie.

Z Florencyi na Genuę i Medyolan udali się Krasiński i Jakubowski do Genewy, dokąd przyjechali 25 marca, ciągle jeszcze wyczekując wiadomości i rozkazów jenerała Krasińskiego. Nareszcie nadchodzi list od ojca tak dawno upragniony, nadchodzi 14 maja po tylu miesiącach gorączki, niepokoju, wątpliwości... I cóż przyniósł ten list? ukojenie? hasło do czynu? swobodę działania?...

Przyniósł mu rozkaz pozostania na miejscu — nie mięszania się do rewolucyi, tak jak on, Wincenty Krasiński do niej się nie mięszał. A wówczas dopiero jak Dant za życia przeszedł Zygmunt Krasiński przez piekło... Kochać ojca, to przykazanie Boże — kochać ojczyznę, to najświętszy obowiązek uczciwego człowieka. Nadeszła chwila, gdzie należało wybrać: między ojcem w Petersburgu, a Polską we krwi broczącą — i syn się nie zawahał. Postanowił przekraść się do Polski, na Paryż (jak Mickiewicz) przedostać się do jej granic i walczyć za nią. Ile ten krok stanowczy, grożący zerwaniem z ojcem go koszto-

wał, to odczuć można z wspaniałego listu z d. 14 maja 1831 roku, pisanego istotnie krwią serdeczną i łzami. Nigdy żaden syn podobnego listu nie napisał, jak nigdy żaden ojciec nie nasłuchał się tyle prawd polskich i wprost ludzkich od syna. Po siedmdziesięciu latach nawet list ten dziś jeszcze płonie żarem zgwałconej miłości ojczyzny, kipi najszlachetniejszem wzburzeniem i stanowić będzie odtąd wśród dokumentów Krasińskiego wspaniałe świadectwo dojrzałości jego polskiego serca i polskiego ducha:

1831. Genewa, 14 maja.

»Kochany Ojcze!

»14 maja odebrałem w Genewie list kochanego Papy i oblałem go mojemi łzami — w niepewności dotąd czekałem codzień na wiadomości od Niego i codzień omylony w nadziei, smutniałem bardziej.

»Dzięki Bogu, żem wyszedł z tego stanu niepewności. Pyta mnie się, Kochany Papa, com robił od 16 Decembra. Ten czas przeszedł mi na ciągłej gorączce, na ciągłem oczekiwaniu, na ciągłych boleściach wszelkiego rodzaju.

»Rzym, Florencya, Genewa, Medyolan przeszły mi przed oczyma jak kartki książki, którą się czyta, nie myśląc o niej. Myślałem wciąż o drogiej Polsce i o drogim Ojcu. 25 marca przyjechałem z p. Jakubowskim do Genewy i odtąd tu przebywam, czekając zawsze na listy od Papy.

»Teraz kiedy ten list nadszedł, kiedy w nim czytam wyrażoną wolę Papy, będę prosił o posłuchanie,

o uwagę, o pobłażanie synowi, o miłosierdzie, miłość i błogosławieństwo.

»Nie może wątpić Kochany Papa, że go kocham więcej od wszystkich ludzi, żem gotów dla Niego poświęcić wszystkie związki, czego Mu dowód dałem przeszłego roku — ale też nie wątpi mój Ojciec, żem jest jego synem, wnukiem biskupa Adama i Polakiem. Pisałem w liście do Królewca do Papy, że nienawidzę ludzi, którzy przeciw niemu powstali w Warszawie, alem pisał zarazem, że kocham Polskę i że kiedy Jej sprawa narodową się stanie, nic mnie wstrzymać nie zdoła.

»To samo powtarzam dzisiaj.

»Nasz wiek jest wiekiem poświęceń i pokuty. —

»Ofiarę z siebie uczynić, jest obowiązkiem świętym, od Boga nakazanym. Odpadły z moich oczu wszystkie złudzenia młodości — nadzieje dni świetnych ziemskiego szczęścia. Nigdy szczęśliwym się nie czułem, od kiedy zapamiętam, że żyję — nie byłem szczęśliwym w kochaniu, w tem, co szczęście młodości dla innych do najwyższego stopnia podnosi — i nadal też sobie żadnego szczęścia nie wróżę, nie rokuję. — Wiem również, że chwała wyżebrana u ludzi, kończy się na krzykach kilku, a potem na niczem. Dawniej marzyłem o niej, teraz już jej sobie nie obiecuję; ale tkwi mi w głębi duszy, żem powinien dokonać świętego obowiązku, od którego nikt na ziemi uwolnić mnie nie może. Są takie obowiązki na świecie, które jedne tylko środkują między stworzeniem a Stwórcą, nie przypuszczając

między nich trzeciej osoby. Takim obowiązkiem jest służenie Ojczyźnie.

»Drogi Papa mi pisze, bym podróżował, uczył się, kształcił i bywał po towarzystwach. Trudnoby to przyszło mi do wykonania w stanie, w którym jestem. Cierpienia wjadły się głęboko w moje serce; nieprzerwaną mam gorączkę; czasem czuję, że mi się mózg przewraca; dni moich i nocy nikomu nie życzę. Czytać, pisać mi nie sposób; ledwo dokończyć mogę zaczętej rozmowy.

»A potem, podróżować, włóczyć się między cudzoziemców, kiedy w tamtej stronie Europy mój Ojciec nieszczęściami przywalony — moja babka w smutku lat ostatka dociąga — a moi rodacy walczą, by zginąć lub zwyciężyć — jest rzeczą nietylko niepodobną do uskutecznienia, ale wywołującą co chwila rumieniec wstydu na moje lica. —

»I któż ze mną zechce pomówić? kto rękę ścisnąć? kto się zapoznać? kiedy się dowie, żem Polak, podróżujący dla zabawy i nauki w czasie, kiedy Polacy codzień giną w Polsce! — Takiego stanu znieść nie mogę. Cząstkami umieram codzień. — Przez Boga! lepiejby było odrazu umrzeć i nie męczyć się tyle!

»Ale to są przyczyny mniej więcej egoistyczne — bo można zrobić ofiarę z siebie i wstyd znosić przez poświęcenie. Takiej ofiary podjąć się jestem gotów, choć wiem, coby z niej po kilku miesiącach wynikło: śmierć lub szaleństwo. — Lecz nie o to idzie. Wracam teraz do tego, com wzwyż powiedział, do obowiązku świętego, który

góruje nad wszystkimi inszymi i który mnie woła do Polski, między szeregi moich braci.

»Teraz nadchodzi dla mnie uroczysta chwila. Zmuszony jestem powiedzieć Ojcu, którego kocham i kochałem zawsze nadewszystko, że pójdę przeciw jego woli, że będę się starał do Polski wrócić, że to jedynym od dzisiaj staje się celem wszystkich moich myśli i działań.

»Ojcze drogi! niechaj Bóg mnie sądzi, a Ty nie odmów mi swojego błogosławieństwa!

»Pan Jakubowski, któremu to oświadczyłem, powiedział mi, że wszystkiemi sposobami będzie starał się mnie zatrzymać. Szanuję go tem bardziej, bo pełni swój obowiązek — muszę więc wejść w walkę z człowiekiem, który od dwóch lat codziennie daje mi dowody przywiązania. — Los mój pełen jest goryczy, ale w Bogu ufam; On omylić nie może, bo ma całą wieczność za wydział swej sprawiedliwości.

»W tych dniach będę się starał dostać się do Paryża, a stamtąd jak najprędzej do Warszawy. Z każdego miejsca, z którego będę mógł, będę pisał do Papy.

»Stało się! Czuję jeszcze na twarzy łzy Ojca, żegnającego mnie w Błoniu, serce moje rozdarte ze wszech stron — gdzie się tylko obejrzę, widzę przyszłość czarną.

»Jakże mam ten list zakończyć? Cóż mam powiedzieć dalej? Dziwno, że mi pióro nie wypada z ręki!

»Na kolanach błagam, wspominając obraz matki mojej, której śmierć po dziesiąty raz obchodziłem

miesiąc temu w Genewie, błagam mego Ojca o przebaczenie i błogosławieństwo. — Cierpienia, które sprawię jeszcze, odbiją się w mojej duszy — już ich ciężar dźwigam na sumieniu.

»Źle mi jest, o! źle. Kiedy wspominam na Ojca, drżę cały i cofam się przed przedsięwzięciem.

»Ale kiedy Polska mi na myśli staje, znowu sił mi przybywa, znowu przypominam sobie, że dzieckiem nieraz przysięgałem przed drogim Papą, że ją zawsze, zawsze kochać będę.

»Dotrzymam przysięgi. Błagam o przebaczenie i błogosławieństwo — Bóg w nieskończonem miłosierdziu dozwoli, bym kiedyś to błogosławieństwo u stóp Ojca odebrał.

»Ojcze drogi! nie odwróć lica od syna. Wierzę mocno, że robię to, com powinien. Przebacz mi. Ten, co na krzyżu umierał, w chwili zgonu przebaczył mordercom. Proszę o przebaczenie i błogosławieństwo, a niech wielki cień biskupa Adama nademną skrzydła swej opieki rozciągnie!

Zygmunt Krasiński.

List ten mógł być punktem zwrotnym w życiu Zygmunta Krasińskiego. Gdyby był się wykradł z Genewy i przedostał do Polski, byłby jeszcze trafił na samo przesilenie wojny narodowej, a po niej byłby musiał podzielić losy emigracyi polskiej. Trudno oceniać, jakieby to wydało owoce dla niego samego i dla poezyi polskiej. Nie przyszło do tego. Ten list gorączkowy kończy się dopiskiem z następnego dnia:

15 maja. Pan Jakubowski zamknął mi wszystkie drogi do wyjazdu...«.

Trzeba to tak rozumieć. Jakubowski nie mógł przeciwdziałać postanowieniu Jenerała i spełnił tylko swój obowiązek mentora, nie dając Zygmuntowi Krasińskiemu pieniędzy na wyjazd, a może porozumiawszy się także z władzami genewskiemi, aby młodzieńca powierzonego jego pieczy, nie wypuściły z miasta. Ale ludzie wydostają się nawet z więzień, a cóż dopiero z miasta dużego, położonego tuż przy granicy francuskiej. Zresztą Reeve, który właśnie wyjeżdżał z matką z Genewy do Anglii, chciał Krasińskiego przekraść z sobą, ale jak sam zeznaje, był za słaby, uległ energicznym przedstawieniom Jakubowskiego, a także — co bardzo ciekawe — niezdecydowanie Mickiewicza wpłynęło osłabiająco na zamiar Reeva. Mickiewicz przybył do Genewy z Rzymu, bawił od kilku dni i nie spieszył się...

Krasiński zatem, gdyby był stanowczo wymknąć się chciał Jakubowskiemu, byłby mógł tego dokonać. Dlaczego nie zrobił tego? Wyjaśnienie zagadki leży w pobudkach psychologicznych, w samej istocie natury Krasińskiego. Natura ta była na wskróś szczera, prosta, lubiąca sytuacye legalne, była to po prostu natura prawa. On chciał bić się za Polskę, rwał się do powstania — ale chciał mieć na to pozwolenie wyraźne ojca, nietylko dlatego, że ojca kochał serdecznie, ale z początku także dlatego, że temu ojcu ufał, że widział w nim przedewszystkiem Polaka, który przeszedł z Napoleonem od Hiszpanii do Berezyny, bił się w nadziei, że do-

służy się nietylko tytułów, ale wolnej Ojczyzny i zpewnością Polskę kochał. Otóż póki ten ojciec nie nadesłał mu pozwolenia na wstąpienie w szeregi wojsk polskich, Krasiński nie chciał samowolnym krokiem dobijać niejako Jenerała w opinii publicznej: »patrzcie — mówionoby — syn, młodzieniaszek 19-letni walczy, może ginie za Polskę — ojciec, jenerał zdradza wojsko i naród«. On wiedział, że ojca swego wstąpieniem do wojska polskiego, udziałem w rewolucyi może poprostu moralnie dobić — i przed tym czynem zadrżała ręka synowska... On już w duszy zrobił z siebie ofiarę, choć mu się serce krwawiło — on wiedział, że mu Jenerał z Petersburga pozwolenia nie przyszle, ale spodziewał się jeszcze wbrew nadziei samej i szturmował dowodami serca i rozumu.

Ojciec mu pisał do Rzymu w grudniu: »za 5 lub 6 miesięcy będziesz mógł mnie prosić o swój powrót, kiedy rzeczy pewniejszej barwy nabiorą«. Syn pisze z Genewy: »te miesiące upłynęły. Rzeczy nabrały świętej, iż tak rzekę barwy, bo — *narodowej*“.

Błaga ciągle ojca, by mu wolno było do Polski wrócić, przedstawia mu, że obecnie ani jemu na nic się zdać nie może, ani Polsce na nic i zapytuje: »Czemże jestem? Wszyscy moi przodkowie bili się za Polskę... Dla czegoż mnie jednemu dostało się patrzeć na walkę i nie módz biedz do niej?« Czeka na odpowiedź ojca, jak na »Zbawiciela«. Stara się poruszyć w nim najczulsze struny wspomnień, własne dzieciństwo, gdy igrał w pokoju Jenerała przy

kominku; gotów poświęcić dla ojca życie swe, spokojność, szczęście.

»Ale — dodaje — zarazem jest w każdym człowieku coś więcej nad życie i szczęście — a to Polsce się należy«.

Dwa długie, ciężkie miesiące upłyną, nim doczeka się Zygmunt Krasiński listu z Petersburga. A tymczasem położenie jego stanie się istotnie rozpaczliwem. Walka uczuć sprzecznych, niedających się, jak w tym wypadku, pogodzić — mogła była wyrzucić z równowagi umysł nawet męski, nie dopiero młodzieńczy. Kto inny mógł był z tej walki wewnętrznej wyjść złamany, zepsuty, zgorzkniały na resztę życia i goryczą swą drugich poić. Krasińskiego ta klęska podwójna: rodzinna i narodowa doprowadziła niemal nad samą przepaść rozpaczy i zwątpienia, zatruła mu młodość, owszem pozbawiła go właściwie młodości; z tej strasznej próby wyjdzie on zwycięsko — moralnie. Ale zwycięstwa duchowe okupić trzeba zawsze kosztem sił fizycznych. Krasiński przedwcześnie starzeje, a nie obdarzony od natury organizmem krzepkim, owszem po matce odziedziczywszy szczupły zasób energii fizycznej, dojrzeje w nieszczęściu jak roślina w cieplarni, zakwitnie rychło, zaowocuje dziwnie wcześnie, ale za to pochyli znużoną głowę na sen wiekuisty w latach zaledwie męskich...

Już od lat czterdziestu kryje go mogiła, a rówieśnicy jego wszak za dni naszych dopiero do grobu zstąpili (Reeve umarł 1895, Józef Majer, Franciszek Smolka 1899, Leon XIII. 1903 r.) Ale też nikomu z rówieśników jego nie było danem przejść takiego

1831 r. Taki rok jeden starczy za kilkadziesiąt lat zwykłego życia.

Mickiewicz, dużo był starszy i bardziej od Krasińskiego zahartowany wówczas, a przecież przebolał strasznie długie jak wieczność miesiące wiosenne i letnie 1831 r. Zwątpienie nurtowało duszę jego i trzymało go zdala od Polski. Nie wróżył powodzenia orężowi naszemu i sprawie wyswobodzenia się — a gdy po miesiącach przedługiej pielgrzymki stanął wreszcie u granic Królestwa w Poznańskiem, rozpacz dosięgła szczytu i kładła mu już do ręki broń samobójczą...

19 Kwietnia opuścił Rzym, w pierwszych dniach Maja był jeszcze we Florencyi, zapewne koło 15 Maja stanął w Genewie, gdzie zastał Chlustinów, Reeva i Krasińskiego. — Reeve wyjechał z Genewy 18 Maja; Krasiński opłakał ten wyjazd przyjaciela. Odprowadziwszy go do St. Cirgues, wraca stamtąd piechotą do domu, zastaje Mickiewicza z Jakubowskim, ale nie widać, by mu to towarzystwo przyjemność sprawiało. — Mickiewicz nie zastąpi mu Reeva. Nazajutrz po rozstaniu pisze do Anglika:

»Vous me manquez de toute la bonté de Votre coeur, de toute l'étendue de Votre esprit. Et à présent à qui irai-je dire avec confiance mes peines? à qui parlerai-je d'immortalité, de Dieu, d'Éternité. A deux mains je saisirai mon âme qui déborde et je la refoulerai jusqu'au fond de ma poitrine! Et que me sont tous ces êtres qui passent et repassent devant moi...«

Pisze tak, jakby nikogo niemiał około siebie prócz Jakubowskiego i Lintnera! A przecież Mickiewicza powinien był zaliczać do osób, którym mógł z ufnością powierzyć swe troski...

Takby się zdawało, ale tak nie było. Nie było zaś dlatego, że jak już wiemy, Mickiewicz swym brakiem decyzyi w sprawie współudziału w wojnie narodowej zbałamucił nawet Reeva, który nalegał na wyjazd Krasińskiego do Polski, — Mickiewicz trzymał niejako z Jakubowskim i stąd mogło się wyrodzić pewne oziębienie stosunków z Krasińskim. Nie mamy żadnego słówka w korespondencyi Krasińskiego, któreby rzucało światło na tę sprawę.

Ale oczywista Krasińskiemu mogły na myśl przychodzić takie pytania:

Mnie zakazuje ojciec bić się, Jakubowski strzeże mnie jak więźnia — ale Mickiewicz jest wolny jak ptak, siedzi w Rzymie od pięciu miesięcy, siedzi teraz w Genewie i nie spieszno mu na pole bitwy. Nie spieszno jemu? piewcy Ody do Młodości: *Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił!* Jemu? który stworzył postać mściwego Wallenroda:

»Ja to sprawiłem, jakem wielki, dumny:
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!«

Cóżbyśmy dali za to, żeby mieć choć słabe echo rozmów ówczesnych Mickiewicza z Krasińskim! ich wymiany myśli... A rozmawiać z sobą musieli! Tak np. Krasiński przewozi Mickiewicza łódką 19 Maja z brzegu Genewy Eaux Vives do Paquis, dokąd Mi-

ckiewicz podąża na wieczór do Chlustinów. Krasiński nie idzie tam, choć zna Chlustinów, zostaje sam, woli podpłynąć pod altanę Henryety...

21 Maja Mickiewicz ma wyruszyć do Paryża, a najlepszym dowodem stosunków ceremonialnych między nimi jest to, że Krasiński prosi Reeva, aby mu doniósł z Paryża, co też o nim Mickiewicz będzie mówił...

Po wyjeździe Mickiewicza Krasiński rozczytuje się w Chateaubriandzie, ale to mu dni nie wypełnia. Więc na ulubionem jeziorze w łódce spędza dni całe i noce, w pogodę i słotę i podczas burzy... »Nabawia się kataru z wilgoci i pozbywa się go moknąc jeszcze lepiej...« Narzeka wprawdzie na to, że go wszystko opuszcza, nawet poezya, lecz właśnie w tym samym liście posyła przyjacielowi streszczenie rozpoczętego świeżo utworu.

Jest to historyjka prozą *(moi, impuissant dans le rythme)*, zrazu rozpoczęta może ot tak, dla zabicia czasu, ale z czasem rozwinięta dokładniej, wysnuta z własnego wnętrza, a więc pełna bolu i szału. Jest to ów zagubiony *Adam Szaleniec*, o którym dotychczas głuche tylko krążyły wieści.

Będzie z niego streszczenie i wyjątki (w francuskim przekładzie) przesyłać przyjacielowi Krasiński, a to w miarę powstawania powieści.

Zdamy z niej sprawę we właściwem miejscu.

Może nigdy rzeczywistość tak szybko nie przemieniała się w poezyę. Pod wpływem wiadomości Reeva z Paryża, pod wpływem tego, co ludzie mówią o Jenerale Wincentym Krasińskim i czego oczekują po synu, rośnie *Adam Szaleniec*, karmiony żalem,

lecz nie pojony nadzieją, rośnie utwór, w konwulsyjnych niemal rzutach, pod razami hiobowych wieści z ręki przyjaciela, o którym także mógł rzec Krasiński:

»On mnie gnał naprzód swojej prawdy biczem«.

Utworowi temu za godło służyć mogła tragiczna dewiza:

Furiis agitatus Orestes.

Orestes zaiste polski! Orestes który Matki nie zabił, ale na zabijaną z oddali, bezsilnie patrzeć musiał, choć mu z bolu serce skowyczało...

Wszystkich wyrzekań, skarg, jęków nie podobna tu wyliczać, zestawiać i na zimno dziś ważyć. Trzeba je odczytywać w listach do ojca i w listach do przyjaciela; tam, we właściwem miejscu, czuć cały ich żar i ból niewysłowiony.

Zauważyć jednak należy raz jeszcze, że Zygmunt Krasiński ojca swego nie rozgrzeszał, ale jako syn sądzić go nie chciał...

Gdy mu Reeve radzi, aby przekradł się przez granicę francuską z Genewy i dał się po prostu odstawić do Paryża żandarmom francuskim, Krasiński drętwieje na samą myśl skandalu rodzinnego:

»Czy uważasz mnie za zdolnego, bym dorzucił kamień do stosu, którym ukamienowano mego ojca! Czy chcesz, bym obnosił po Francyi hańbę tego, który tam zdobył tyle chwały? Czy chcesz, bym po bohatyrskim oddaniu się żandarmom czytał dwa dni później w gazecie jakiejś obelgi otaczające nazwisko mego ojca, a wśród nich tu i ówdzie kilka pochwał dla mnie?

»Tak, mówię to wyraźnie, ale tylko Henrykowi Reeve'owi i nikomu zresztą na świecie, mój ojciec popełnił błąd ciężki, straszny; ale to nie moja rzecz żądać od niego wytłómaczenia...«

On się uważa odtąd za ofiarę miłości synowskiej, ofiarę cichą i zapomnianą na ziemi, ale jawną u »stóp tronu Syna Człowieczego«. — Reev'owi, a z nim i nam wszystkim dzisiaj, skłonnym do posądzenia go o brak energii, niezdecydowanie itp. odpowiada Krasiński spokojnie i z rezygnacyą: »Bądźcie nieszczęśliwi, jak ja, i wtedy mnie sądźcie...«

Mamy tu innymi słowy wyrażoną myśl podobną Mickiewicza:

»Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...«

W tych miesiącach próby moralnej wykazała się cała wartość i doniosłość przyjaźni z Reevem, który umiał łagodzić ból, część winy nawet na siebie przyjmując, bo czemuż on go z sobą przemocą do Paryża nie wziął! Reeve nie ma w sobie nic ze sztywności i oziębłości angielskiej, nie rozprawia z biednym Krasińskim, ale współczuje jego niedoli. On sam zresztą wie i czuje, jak mało jest Anglikiem (»combien peu je suis Anglais«).

Przez cały czerwiec Krasiński zajęty jest »Adamem Szaleńcem«, który ma odzwierciedlać jego najskrytsze uczucia, »wszystkie krople goryczy«, które zbiorą się w tym utworze jak w kielichu. »Może kiedyś ten kielich ludziom ukażę, mówiąc im: »oto co mi dała ziemia i jej mieszkańcy«. — Ale równo-

cześnie czuje, że cierpienie go zahartowało na wszelkie niespodzianki losu:

»Przygotowałem się w milczeniu nocy. Marzenia moje były przygotowaniem: ścisnąłem się mocno pasem boleści w okół piersi mej i oto zagadka przedemną! pierwsza-li (Polska) czy druga (Rossya) rozleci się w kawałki?«

1-go Lipca otrzymał Krasiński z Paryża (nieznany nam) list Mickiewicza, z którego widział, że autor Wallenroda jeszcze nie był zdecydowany. Donosi o tem Reevowi Krasiński, a ponieważ przypuszcza, że Mickiewicz będzie w Londynie (o czem Reeve napomyka w listach), więc każe Reevowi uściskać od siebie Mickiewicza.

Ciągle mu posyła do Londynu dalsze wyjątki z Adama Szalećca. Nawzajem odbiera stamtąd próby poetyczne Reeva, któremi na ogół biorąc się zachwyca, ale od czasu do czasu. coraz śmielej, opatrywa je krytycznemi uwagami, którym trudno odmówić słuszności.

Z razu wydaje mu się, że Reeve będzie poetą, a on sam nie, bo niema daru wierszowania. Ale wśród zgryzot moralnych, wśród ciągłych naprężonych wyczekiwań losu wojny polskiej i losu własnego, jedyną podporą (zwłaszcza w owych samotnych letnich miesiącach 1831 r.) staje mu się tworzenie, jedyną osłodą poezya, która jest w nim i przejawia się nie w wierszach, jakby on sobie życzył, ale w pomysłach, w natchnieniu ciągłem. On zdaje sobie doskonale sprawę z tych skarbów duszy własnej:

»Przekonałem się tymi czasy, że mam istotnie

iskrę poezyi w mem łonie, co prawda bardzo niedoskonałą, skoro brak mi rytmu.

»Dowodem tej poezyi jest okoliczność, że bez nadziei, aby mnie kiedykolwiek ludzie czytali, piszę i to z takim zapałem piszę, jak przedtem. Tak zatem piszę, bo muszę pisać. Piszę, bo piszę. *I cannot choose but write* jak mówi także Coleridge.

»Co to znaczy być poetą, jeźli nie to, że się ma nadmiar myśli, które potokiem wzbierają nad powierzchnię duszy, wrą w niej, póki nie znajdą sobie ujścia. Nie dba poeta, czy ujście to prowadzi do uszu ludzkich lub ku nicości; byleby tylko pozbył się tego ognia, co go pali i nie daje mu na chwilę odetchnąć. Oto dlaczego mówiłem ci zawsze dawniej, że jesteś wyższy odemnie przez to, żeś pisał dla siebie, a ja dla drugich«.

W lecie 1831 r. cholera postępowała groźnie z Rosyi na zachód Europy, siejąc przestrach przed sobą. Krasiński zdenerwowany do najwyższego stopnia brakiem wiadomości od ojca, donosi Reeve'owi w liście z d. 13 lipca, że ma przeczucie, iż umrze na cholerę. W tem przeczuciu pisze tegoż dnia testament; w nim zapisuje przyjacielowi różne drobiazgi, a także rękopisy francuskie i angielskie. Najważniejszem jest zakończenie testamentu, przytoczone dla Reeva:

»Opuszczając tę ziemię w wieku bankierów i gnębicieli, jednego tylko żałuję, tego mianowicie, żem nie padł na polskiem polu bitwy i żem niemiał u łoża śmierci żadnego z mych angielskich przyjaciół«. — Te słowa — dodaje Krasiński — są

symbolem mej duszy, bo co się ziemi tyczy, nie żałuję jej wcale«.

Kiedy nareszcie 11 lipca nadeszły listy od ojca z Petersburga, Krasiński czuł się niemi rozbrojony. Zamiast ostrych rozkazów, z któremi chciał walczyć, znalazł w listach pokorną niemal prośbę zgnębionego, nieszczęśliwego ojca, który przed synem ze swych uczuć się spowiadał...

Echo tego listu mamy w piśmie Krasińskiego do Reeva z d. 12 lipca:

»Ojciec pisze do mnie z rozdzierającą czułością; mówi mi, że gotów jest poświęcić ojczyźnie siebie i dziecko swoje, zaklina, bym czekał: niebawem połączy się ze mną«.

Krasiński wyrzeka przed Reevem. że ma serce niewieście, że nie śmie wystawić się na przekleństwo ojca, że wreszcie ten list go rozbroił: »Kiedy, zamiast gróźb znalazłem tam prośby, zamiast gniewu błogosławieństwa, zamiast rozkazów błagania, zamiast uczuć, na których myśl samą drżałem, miłość Polski przebijającą z każdego słowa — cała siła moja (odporna) roztopiła się w łzy...«

Mniejsza o to, że jakiś pół-polak (jak mówi: »drugie pół, dyabeł wie co«) wracający z Włoch wyznał mu, że ks. Gagaryn w Rzymie powiedział, iż wszystkie ambasady rosyjskie mają rysopis Krasińskiego i rozkaz odstawienia go do Petersburga, gdyby chciał z Genewy umknąć.

Ale co się z nim dzieje na myśl o ojcu, który ze szczytu powodzenia i ambicyi upadł i dziś nikogo już na świecie niema prócz jedynaka...

Krasiński jeszcze ma jakiś promień nadziei, że ojciec jego będzie się bił za Polskę, a on przy ojcu... Na czem ten promień nadziei się zasadzał, nie wiemy...

Ale to pewna, że ten słaby promyk zatrzymywał go nad brzegiem przepaści. I on, tak jak równocześnie Mickiewicz, marzył o samobójstwie; byłby je może popełnił, gdyby był miał pewność, że umrzeć to znaczy zasnąć na wieki. Ale cóż wieczność? I tu znowu filozoficzny podkład umysłu jego na jaw się wybija.

»Wieczność? Otóż zobaczysz, będziemy w tej wieczności nowe mieć znoje, nowe troski...

»Przeklniemy kiedyś wieczność, jak przeklinamy ziemię. Będziemy się żalić, a pot rzęsisty (à larges gouttes) spływać będzie z czół wiekuistych naszych«.

Ton listów do ojca zmienia się teraz, odkąd Wincenty Krasiński już rozkazywać nie śmiał, ale mógł tylko błagać i zaklinać... Odtąd Zygmunt Krasiński czuje się w prawie przemawiać do ojca, jak do starszego, zbłąkanego brata, już mu dokładniej roztrząsa polskie sumienie i nie tyle jako syn do niego przemawia, ile raczej jako Krasiński do Krasińskiego:

»Dzisiaj-bym życie moje oddał, bylebym *(ojca)* mógł widzieć g d z i e i n d z i e j i raz jeszcze przed skonaniem uścisnąć. — Związane mam ręce — mało energii w duszy — słabieję coraz gorzej na umyśle — kocham, o, kocham mego ojca i z założonymi rękoma stoję daleko od Polski. — Jednak niech Papa się zmiłuje! Czyż nie jest to obowiązkiem moim być tam

i czynić, jak inni czynią? Papa ma czternaście ran na ciele za Polskę — w setnych bitwach jego pałasz zabłysnął w sprawie Polski — ale ja! cóżem dotąd uczynił, bym mógł na późniejsze lata mieć spokojne sumienie? jeśli teraz nie zabezpieczę sobie pociechy na przyszłość, działając jako przystoi na Polaka, jakże płynąć mi będą lata? — To wszystko są mniej więcej rozumowania, które można zbić przeciwnemi, tak jak każde dowodzenie na tym świecie, ale to, co zniszczyć ni uspokoić nie można, jest w moich piersiach — mówię o tej chęci walczenia za Polskę, o tem głębokiem przekonaniu, że to moją powinnością, o tej strasznej bojaźni, by mi nie wyszło na przekleństwo od ludzi i Boga to, że spokojnie tu siedzę.

»Dźwigając ten węgiel rozżarzony w łonie, chwili, chwili jednej pokoju nie mam. Letarg i gorączka — oto dwa stany, które nawzajem mną władają — dwa dni letargu, dwa dni gorączki — oto całe moje życie!... Zmiłuj się, drogi ojcze, nademną! Gdybym nawet zginął w tej tak pięknej sprawie, czyżby ci nie została po mnie święta pociecha i szlachetne wspomnienie?...

»Papa wie, jak go kocham; spodziewam się, że zna mnie dobrze i że poznał może, iż w 19 leciech nie jestem już tym samym, co dawniej, kiedym go zwodził w Opinogórze..., nie wdawałem się w zdrożności, mojemu wiekowi właściwe, choć namiętności nie słabych jestem, bo kocham mego ojca. Karty, kobiety, wszystko, wszystko poświęcić mu potrafię, ale nie jechać do Polski, nie bić się za Polskę, to

mi ćwiartuje duszę. Ręce mam związane — sposobów żadnych do jechania, alem zanadto szczery, zanadto poważam i szanuję Ojca, abym tu się nie przyznał, że gdybym miał sposoby, nie wiem, czybym pomimo jego woli nie opuścił Genewy dla Warszawy. Powtarzam zawsze, iż to uczucie obowiązku i bojaźń wstydu tak mnie nękają, iż czasem od zmysłów odchodzę, kiedy o tem pomyślę. Nieszczęśliwy jestem! — dawniej to mówiłem przez Romantyzm, dziś niestety, rzeczywistością to się stało...«

Rzecz charakterystyczna: tuż po wylewie patryotycznych uczuć następuje popis autorski. Zdaje ojcu ogólną sprawę z wrażeń włoskich, albo ściślej mówiąc, rzymskich — wreszcie chcąc dać ojcu »wyobrażenie o impresyi Włoch« przepisuje dla niego w liście »kawałek należący do jednej rzeczy, którą pisze teraz«... Czy miał to być wstęp do »Adama Szaleńca«, czy też jest to wyjątek z jakiegoś zaniechanego z czasem utworu, trudno dziś rozstrzygnąć. Jest to studyum z natury, jako próba obserwacyi i charakterystyki duchowej, ważniejsze niż pod względem stylu, który ma w sobie znamiona przejściowej epoki. Oto początek: »Z gajów wyzierają czarne oczy między pomarańczą a cytryną... Mnich w długiej szacie idzie z kijem, bosą nogą po drodze. Apeniny przy widnokręgu błyszczą w całej słodyczy farb swoich — niebo piękne — ziemia piękna. Ruin — nie do wyliczenia; księży, co nie miara; ubogich hurm; muzyka brzmi nad tem wszystkiem tak ponętnymi dźwięki, że inszej sobie nie życzyć w chwili

zgonu — gdzie stąpisz, to kwiat, gad, nierządnica, lub pamiątka po bohaterze. — Gdziekolwiek się obrócisz, to musisz zachwycić woni róży, myrtu, lub aloesu — gdziekolwiek spojrzysz, tam lice blade z wycieńczenia, ale żywe ciągle, lub chmura w lekkich zwojach rozciągająca się po błękicie nieba, jak na łożu rozkoszy, — lub kościół, w którym ołtarzy więcej, niż modłów, a zalotów więcej, niż ołtarzy; lub brama, dawnych zwycięstw córka; lub obelisk, z dalekiej pustyni wędrowiec; lub fontanna, nad którą jeszcze stare Bogi panują, grająca wodami pośród ich posągów; lub kaplica z lampą, żarzącą się nad czołem Madonny, której wdzięki mówią bardziej do oka i serca, niż wszystko, co wokoło się wznosi...«

W sierpniu 1831 r. Krasiński przechodzi znowu powrotną gorączkę uczucia swego dla Henryety. — Reeve na prośby Krasińskiego jedzie do Tunbridge Wells, miejsca zamieszkania panny Willan, odwiedza ją i nawiązuje delikatnie nić stosunków, zupełnie od kilku miesięcy przerwanych. Na prośbę Henryety posyła jej Reeve artykuły Krasińskiego w Bibliothèque Universelle, a także Spowiedź Napoleona i ustęp napisany w Bellegarde. Niepewność, jak Henryetta przyjmie Reeva, co o nim samym myśli, czy go jeszcze kocha — zwiększa w Krasińskim nastrój rozdrażnienia nerwowego. Wspomnienia zeszłoroczne dolewają, rzec można, oliwy do tego ognia, trawiącego młodą duszę. Rok temu odbywał wycieczkę do Chamonix z Reevem, do Oberlandu i Rigi z Mickiewiczem — a teraz samotny przeżuwa miłe wspomnienia, aby teraźniejszość tem czarniejszą mu się

wydała. Odbywa ponownie wycieczkę do Chamonix, rozdrażnia ranę i pisze w Arveiron fragment dla Reeva po francusku, w luźnych odstępach, swoim zwyczajem. Są to czułe, przyjacielskie zwierzenia na cześć Reeva, trochę patetyczne, ładnie napisane, ale na ogół nieco wymuszone.

Reeve czuł się w Anglii nie swój; nie podoba mu się ani społeczeństwo, ani ustrój jego. Tak mało zna jeszcze sam siebie, że myśli, iż do polityki mięszać się nie będzie, chyba w sprawie Polski i to z miłości dla Krasińskiego i Zamojskiego. Krasiński z okazyi jakiegoś listu Reeva, który się nie dochował. przestrzega przyjaciela przed tem zniechęceniem do własnej ojczyzny i każe mu lepiej wypróbować swe serce angielskie: niech czeka, aż nieszczęścia zaczną spadać na Anglią, a wtedy z pewnością patryotyzm jego się ocuci. Krasiński pisze to pod wpływem bolesnych, osobistych wrażeń i dlatego pisze z zapałem. Jest tam ustęp, dowodzący, że zaczyna on głębiej zastanawiać się nad organizacyą społeczeństw europejskich, że zaczyna przewidywać smutny koniec obecnego »stanu posiadania«, przeczuwać kataklizm dziejowy... Głos przyjacielski, pełny niezadowolenia i obaw o Anglię, odbija się w jego sercu i porusza tam struny ani polskie wyłącznie, ani angielskie specyalnie — ale wszechludzkie. Zrazu, jak tutaj, struny te dźwięczą cicho, ledwo dosłyszalne, ale w miarę rosnącego doświadczenia będą wydawały coraz pełniejsze tony, aż zabrzmią po mistrzowsku — w Nieboskiej.

»Kupcy i bankierzy — ale czyż nie widzisz, że

jest ich za wiele na tym świecie, że prawa Bożej miłości na tem cierpią; potrzeba wstrząśnienia, aby w przepaść wpadli — a my, jeśli na skraju przepaści zostaniemy, mój przyjacielu, będziemy patrzeć na tę smutną naukę, na te ciała w otchłani drgające, pod stosem biletów bankowych«.

Pierwsza w tymże liście wzmianka wyraźna o St. Symonistach każe przypuszczać, że Krasiński zainteresował się żywo tym ciekawym objawem społecznego fermentu. Dużo wtedy mówiono o St. Symonistach, o ich organizacyi w Paryżu i na prowincyi (Dijon, Lyon itd.), o ich przewódcach: Bazard'rze i Enfantin. Nie można wątpić, że kiedy Krasiński z Rzymu wrócił do Genewy, Reeve i przyjaciele genewscy (Duchesne, Binet) w rozmowach wracali często do kwestyi St. Symonizmu. Osobista niedola Krasińskiego nie dała mu zrazu dokładniej zainteresować się tą ważną sprawą. Aż z czasem dopiero, w samotności, szukał innych podniet umysłowych, a zastanowienie się nad własną biedą prowadziło go prostą drogą do rozmyślań nad ogólną niedolą ludzkości. Umysł filozoficzny, wzbogacony spostrzeżeniami, wyniesionemi z ruin Rzymu i historycznych miejscowości Włoch, zaczął zgłębiać i porównywać dzieje ludzkości i jej nadzieje i dążył nieznacznie na pozór, ale stale do jakiejś syntezy społecznej.

Równocześnie, ani na chwilę nie zapominając o Polsce, którą jak węgiel żarzący w łonie swem nosi, snuje Krasiński przeróżne pomysły poetyckie. Reeve'owi, który widocznie nie miał ich do zbytku, posyła temat do obrobienia w wierszach poetyckich,

a Reeve przyjmuje dar przyjacielski i pomysł Krasińskiego rozwija, wciela go do swego poematu.

Poezyę francuską sądzi on wówczas dość surowo. Ani Wiktor Hugo, ani Balzac nie zadawalają go: »Nie zaczytuj się w poezyi Hug'a... Jest to poezya wyrażeń, bez myśli. Wielką wadą W. Hug'a, Balzaka i całej tej generacyi ponurych poetów, lękających się, by ich ulewa nie zmoczyła, jest nadmiar wyobraźni i zbyt mało uczucia. Nie masz harmonii między władzami ich dusz. Czytaj ich, a co ci po przeczytaniu pozostanie, nie będzie tworzyć całości harmonijnej. Czytaj zaś Szekspira i Byrona: kilka szczegółów wyda ci się tam niezgodnych, ale całość utworzy zgodną muzykę. Wielki poemat powinien naśladować wszechświat, gdzieto szczegóły wydają się czasem dziwaczne, gdzie jednak całość jest boską«.

Z końcem sierpnia nowa pokusa spada na Krasińskiego. Któryś z Łubieńskich, stryj Leona, przyjechał do Genewy w sprawie pożyczki państwowej dla Polski. Przed wyjazdem wzywa do siebie Krasińskiego, oznajmia mu, że w Paryżu formuje się ekspedycya pod wodzą księcia Moskwy, która z Hawru morzem ma się przedostać na brzegi Żmudzi. Do tej ekspedycyi zaprasza Krasińskiego na podstawie depeszy Kniaziewicza. Zygmunt Krasiński postanowił jechać do Paryża, spakował rzeczy, nie zważał na łzy i zaklęcia Jakubowskiego; pieniędzy pożyczył mu Duchesne. — Tymczasem wychodzi na jaw, że ekspedycya księcia Moskwy jest fałszem, fikcyą Łubieńskiego, że w Paryżu chcą Krasińskiego użyć do biura ambasady polskiej. Tego znowu on nie chce; pisania

ma dosyć, bić się pragnie. »Nie chcę codzień w notach i listach wypisywać świętego imienia Polski; ja chcę rzeźbić je szablą na piersiach rosyjskich — wszystko, lub nic!«

Cała ta mistyfikacya trwała tylko dni kilka, ale wzburzyła do gruntu skołataną duszę Krasińskiego. »Może te dwa dni szału na przemian, uniesienia i rozpaczy kosztowały słaby mój organizm rok życia«. A do ojca napisze: »Takie sceny (z Jakubowskim) niszczą życie«.

Z górnych rojeń wyprawy na Litwę trzeba było zstąpić do »czegoś świętszego, niż chwała, do idei zapoznanego poświęcenia, cichego, milczącego...«

Jakby miał za mało dotąd prac umysłowych, zabiera się jeszcze do czytania Danta w oryginale, w czem mu pomaga stary kapitan Polak, bawiący w Genewie, Jaźwiński. Otwiera mu się wiek średni, który on odrazu doskonale odczuwa i prześlicznie określa:

»Zacząłem czytać Dantego w oryginale, nie umiejąc słowa po włosku i rozumiem Dantego. O, jak te średnie wieki są posępne, natchnione, imponujące! Jak on skorzystać umie z każdego obrazu czarnego i ponurego! Jak ten deszcz zimny pada tam boleśnie na potępionych! Jaka gorycz w tych duszach straconych, które krążą w powietrzu, jak liście jesienne! A obok zjawia się starożytny Charon, cerber starożytny. Wszystko jest na swem miejscu: pogróżki starego świata i nowego. Bogowie ustąpili z nieba, ale pod ziemią zachowali swe trony. Dante jest jednym z tych geniuszów, którzy wyobrażają nie po-

kolenie jedno, nie wiek jeden, nie konstelacyę jedną, ale całą drogę mleczną wieków«.

A z Polski szły coraz gorsze wieści. Do bitw przegranych przyłączało się coś gorszego jeszcze: niesnaski w Rządzie, częste zmiany wodzów naczelnych siały popłoch w wojsku, odbierały ufność w pomyślny wynik narodowej sprawy. Na wieść o dymisyi Skrzyneckiego pisze Krasiński do Reeva, zasmucony do głębi i przewidujący już fatalny koniec wojny. Daje sylwetkę Skrzyneckiego, najpiękniejszą, jaką ktokolwiek wodza tego uczcił — rzewny nekrolog zasług wojennych człowieka, którego zmarnowano u nas w r. 1831: »Skrzynecki był jedynym człowiekiem, który mógł zmierzyć się z olbrzymią potęgą Rosyan, bo miał odwagę bohatera, geniusz wodza i poświęcenie męczennika chrześcijańskiego. Tyś go nigdy nie widział. Ale ja, który go tylekroć podziwiałem w czasie mego dzieciństwa, widzę te kształty smukłe i proste, to oblicze blade i surowe, te oczy czarne i spokojne, ten wzrok szlachetny i pewny siebie, znikający wśród szeregów żołnierzy, z którymi się żegnał. Ten człowiek był wielkim człowiekiem. Ufność swą położył tylko w Bogu, nie wrzeszczał tak, jak ci tchórze, gubiący teraz Warszawę: »zwyciężyć lub zginąć!« Ale byłby zwyciężył lub zginął. Opłakuję Skrzyneckiego, jakbym ojca mego opłakiwał; bo nie widzę już człowieka, mogącego zbawić Polskę. W nim był zamknięty wyrok Boga. Oni rozdarli ten wyrok łaski, rozkazując mu opuścić armią«.

Czyta ciągle ogromnie wiele i ostrzy na książkach swój zmysł krytyczny. Historya współczesna Schlegla

nie podoba mu się; uważa ją za gorszą od historyi literatury tegoż autora. Zarzuca mu, że chce uogólniać (généraliser), a nie może tego dokonać, że »przesypia« wielkie wypadki, a zatrzymuje się przy błahych faktach. Natomiast chwali i zaleca Reevowi do czytania Ballanche'a, myśliciela francuskiego, który daje »wyobrażenie poetyckie o starożytności, a wielkie i ogromne o Wschodzie«. Nawoływa wreszcie do Reeva do energii, on, na pozór złamany, sam pod brzemieniem nieszczęść narodowych. A kiedy Reeve się tłumaczy, że trudno mieć energię wśród brukwi i zajęcy, Krasiński mu wyjaśnia, że energię można i należy mieć wszędzie i zawsze. Ale na to potrzeba spojrzeć na całość rodu ludzkiego i stworzyć w sobie świat dla siebie. Trzeba się zmierzyć z przeznaczeniem, które ciąży tak nad ludzkością, jak na każdym osobniku, trzeba zejść na »udeptaną ziemię« (jakby Zbyszek powiedział) i moralnie wyzwać przeznaczenie do walki, ścigać je krok za krokiem i przeciwstawić mu odwagę atlety. Wtedy się zrodzi energia. A gdy zapragniesz czułości i czystości, spokoju i słodyczy, to zaniechasz na chwilę idei Przeznaczenia i wzniesiesz się do idei Opatrzności, idei Boga Miłości, gdzie niema walki, ale kontemplacya, niema krzyków wojennych, ale hymn łaski, gdzie już niema zniszczenia, ale zbawienie.

»A stamtąd znowu spadniesz całym swym ciężarem na arenę pełną potu i umęczenia, zewrzesz się znowu, ciało z ciałem, z ludźmi, braćmi twymi i z okolicznościami, twemi siostrami, — i znowu się rozdzie-

rać będziecie wzajemnie, aż w końcu Opatrzność otworzy niebiosa i poda ci rękę — i wszystko się skończy wśród potoków światła, zachwytu wiary i miłości«.

Podobnie określa Przeznaczenie i Opatrzność w liście do ojca (18 września 1831 r.):

»Ile mogę, staram się hartować duszę przeciw temu, co ma nadejść, bo myślę, że coraz gorzej będzie! Ja to nazywam przeznaczeniem. Czyli, że u mnie wola innych ludzi i okoliczności zowie się przeznaczeniem. Jest to Fatum starożytne, okrutne, niczem nie odwrócone w swojej zawziętości — ale góruje nad tem Opatrzność Boska, która czasem łamie i kruszy to Fatum; która w tym świecie niekiedy, a w tamtym zawsze oblewa promieńmi chwały i nieśmiertelności. Takiemi myślami gotuję się do walki ze światem, bo życie człowieka jest długą walką, a niczem inszem.

»Kiedy kto słaby, ten żali się przed każdym, szuka pociech na łonie kobiet, w rozpustach i zagłuszeniu, dopóki, stawszy się zwierzem, już pociech nie potrzebuje; ale kto mężny, ten i słowa nikomu nie powie, oprócz Bogu, lub przyjacielowi i ojcu, ten znosi i cierpi ufając w tę Opatrzność, która wcześniej czy później na pomoc mu zbieży. — Takim bym stać się pragnął«.

Z Włoch przywiózł Krasiński różne rękopisy porozpoczynanych prac, o których już nieco słyszeliśmy. Reevowi opowiadał w Genewie o utworze p. t. »Wizya« (*Une vision*), gdzie dużo było o nim samym, o Henryce, Włoszech, gdzie też występowały duchy,

szatan itd. »Rodzaj fantastyczny, pełen szału«. Było to już ukończone t. j. — objaśnia Krasiński — koniec był tego rodzaju, że można było dodać tam nowy początek, albo ciąg dalszy«. Otóż teraz — we wrześniu 1831 r. — dodaje Krasiński nowe dwa rozdziały. Jeden z nich zawiera wizyą młodzieńca (t. j. Krasińskiego) na morzu lodowem (podnóże Mont-Blanc) i sen jego u źródeł Arveyron.

»Obraca się rzecz — objaśnia Krasiński — na tych samych zawiasach (*hinge*), co *Adam* (Szaleniec), ale forma, obrazy i kanwa są całkiem inne«.

W drugim rozdziale wizyoner, istota obdarzona drugim wzrokiem, widzi młodzieńca o zmierzchu w jego pokoju. Następuje fantastyczny opis à la Hoffman pokoju Krasińskiego. Wizyoner opowiada dalej, jak młodzieniec ze znakiem na czole zbliża się do księgi jakiejś tajemniczej o kartach niebieskich, pokrytych dziwacznymi znakami. Z pomocą tej księgi wywoływa młodzieniec kolejno duchy: najpierw staje duch średniowiecza, od którego młodzieniec żąda, by starł piętno z jego czoła (tj. hańbę bezczynności w r. 1831). Ale anioł średniowiecza nie ma środka na starcie tego piętna i znika. Młodzieniec z jękiem wyrywa kartę z księgi i pali ją, z żalem spoglądając na jej popioły. — Wzywa dalej ducha ubiegłego stulecia, wzywa słowami lud i naród. Staje duch świetny, otoczony tęczą trójkolorową, pełen blasku i mocy — ale tam, gdzie serce być powinno w piersiach, widać było tylko otwór głęboki i pusty. Nie było serca. Na wezwanie młodzieńca, by anioł stulecia ubiegłego starł piętno na jego czole,

duch wybucha śmiechem, nie myśli ścierać piętna na czole młodzieńca, owszem radzi mu, by chodził z tem piętnem i nie zważał na nie. Oburzony młodzieniec odpędza ducha. Obraca jedną tylko kartę w tajemniczej księdze i wzywa Ducha Wolności, Ducha wieku, w którym żyje, zaklinając go na imię Polski i imię Grecyi. Zrazu odległe jakieś dźwięki słychać, wreszcie jakaś gwiazda u stropu pokoju błyszczy i znika, ale pod wpływem donioślejszych zaklęć młodzieńca (»Duchu wieku teraźniejszego wzywam cię siłą łańcucha jestestw, siłą wiedzy istot stworzonych!«) pokój napełnia się światłem srebrzystem od góry do dołu i staje w pośrodku geniusz młody z obliczem olśniewającem, ale niezbyt pięknem. W ręku trzymał stempel do bicia monety i bicz żelazny — szatę miał z prostego sukna.

»Duchu! zetrzej to piętno z mego czoła!« — woła młodzieniec. Ale duch mu odpowiada: »Tajemnicy tej nie posiadam, nie dostałem jej w podziele... Nie znam cię wcale. Nie jesteś z tego wieku«. — Kimże ty jesteś? Kimże jest wiek twój? woła z wściekłością młodzieniec, zmuszając ducha wieku do odpowiedzi.

»Wiek ten jest wiekiem ciemiężycieli i bankierów« odpowiada duch, poczem go młodzieniec bardzo nieuprzejmie wypędza.

W dalszym ciągu mamy także wizyę dziewicy, w której zaraz domyślamy się Henryety.

Posyłając te urywki zaznacza Krasiński, że przekład z polskiego był mu uciążliwy. Do jakiego stopnia dbały jest o swe myśli, widać z tego, że po-

syła Reevowi w kopii nawet urywek angielski, który pisał owej nocy, gdy myślał, że wycieczka zbrojna na Litwę dojdzie do skutku.

Jesienna pora była płodną w natchnienia dla Krasińskiego tak samo, jak dla Słowackiego i Mickiewicza. Ledwie ukończył Wizyę, wraca do powieści, zaczętej we Włoszech. Miał to być romans z życia wiejskiego, pod tytułem Przeor Augustynów. Wątek utworu uległ zmianie pod wpływem czasu: »nawiązałem ten wątek do rewolucyi polskiej, a ponieważ nic nie mogę spokojnego napisać, wprowadziłem tam klęski i niepowodzenia; biednej dziewicy kazałem umrzeć. Miałem silne i mocne natchnienie temi dniami. Codzień pisałem jeden rozdział. Niebawem to skończę i zacznę przepisywać, aby dać umysłowi wypocząć...«

A tymczasem ten umysł nie wypoczywa, ale rzuca garściami całemi myśli poetyczne, często rozwichrzone romantycznym nieładem, częściej ciche i blade, jak lilie wodne, wykwitłe na głębinach smutku i samotnego rozmyślania. Do takich należy np. przepiękny ustęp o znaczeniu wspomnień w życiu człowieka i czem są one w porównaniu do jego nadziei.

»Moje wspomnienia są najdroższą rzeczą, jaką posiadam, a niejedna nadzieja nie byłaby mi tak drogą, jak one. Nadzieja, mój przyjacielu, jest poematem, jest dramatem w samym jego początku! będzie tam zatem walka i rozczarowanie. Wspomnienie zaś jest poematem, dramatem skończonym. Była walka, było szczęście, ale choć to należy już do przeszłości, to jednak jakiś instynkt wieczności sprawia, że człowiek zamienia tę przeszłość na teraźniejszość i zmusza ją

do stania się teraźniejszością, ale teraźniejszością bez trosk rzeczywistej teraźniejszości, bez uczucia, czem jest nędzne życie rzeczywistej chwili obecnej, bez wszystkich drobnych przyjemności teraźniejszych, które są cierniami. Co do mnie, nazwałbym wspomnienie różą, której ciernie znikły, różą, co pozostała sama, samotna, która z ogrodu tego, kędy kwitła, przeniosła się na łono nasze i tu ukryta, chwieje się za podmuchem naszej duszy i roztacza swe wonie. Nadzieja, to pączek błyszczący świeżością na zewnątrz, a w środku stoczony nieraz przez gąsienicę; a kiedy wyczekujemy, że się liście rozchylą, nie znajdujemy nic, prócz zgnilizny.

»Nadzieja wszystko ma przeciw sobie, i człowieka samego i przeznaczenie albo wolę innych ludzi. Wspomnienie zaś jest nietykalne: jest to trybun duszy, który broni jej przeciw rozpaczy, który w dniach trwogi podtrzymuje ją i nie daje jej się poniżyć; bo dusza z szlachetnemi i wielkiemi wspomnieniami nie poniży się nigdy. Dusza zaś o wielkich i szlachetnych nadziejach może częstokroć nie mieć szczęścia, pochylić się i runąć w błoto. A jakiż to czar, jaka siła, jaka potęga w wspomnieniu!

»Jest ono księciem tajników człowieka, jest geniuszem przepaści ducha: ono to zarzuca zasłonę ze złota i błękitu na wszystko, czem byliśmy niegdyś, ono zmienia czarę goryczy na puhar półboga, ono dorzuca do miłości miłość, do przyjaźni przyjaźń, ono z przeszłego życia naszego tworzy muzykę, przy której łatwiej nam kroczyć ku przyszłemu życiu.

»W dniach walki wspomnienie jest muzyką Tyr-

teusza, na dni rozkoszy jest muzyką Anakreonta. Wspomnienie to synteza — nadzieja to analiza i t. d.«

Każdy wówczas list do ojca był ciężką dla Zygm. Krasińskiego przeprawą. Napisawszy np. list z d. 18 września 1831 r. donosi o tem Reevowi i zaznacza, że po skończeniu listu do ojca »ma łzy na powiekach, a wściekłość w sercu«.

Łatwo to zrozumieć. Jenerał Krasiński przedstawiał w listach synowi tylko ujemne strony ruchu narodowego, który uważał za objaw samowolny jednego stronnictwa politycznego; zarzucał partyi, co rewolucyę wywołała, że zgubiła Polskę. Oto jeden list taki, bez daty, lędący, zdaje się, odpowiedzią na wielki list syna z d. 14 maja 1831 r.:

»Do mego syna. Dobre i kochane dziecko!

Szczerość Twoya rozczuliła mnie i Bogum podziękował, że mam syna, któren czuć umie i razem to czucie poświęcić cnocie i powinności. Przyszedłeś do wieku, w którym można równo mówić do Twego umysłu jak do serca. Twoye poznanie powinno bydź równe moyemu z różnicą tylko reflexyi i doświadczenia. Z zapałem patrząc na rzecz z iedney strony ią widzisz, unosisz się i formuiesz sobie powinności lub odrażenia, któreby mieysca nie miały, gdybyś z zimną krwią rozważył i ocenił. Czy sądzisz, że gdyby szło o szczęście oyczyzny, gdyby honor kazał był wszystko poświęcić, twoy stary oyciec, któren od dzieciństwa wszystkie kroki, życzenia, pracę, co tylko było drogiego, kraiowi poświęcał, nie byłby działał podług swey powinności? nie byłby ostatek krwi wylał i nawet ciebie nie byłby dał na ofiarę?!

Lecz gdy tego nie zrobił, muszą inaczej stać rzeczy. Ty idziesz za opinią młodych i nierozsądnych, Twoy oyciec waży, co cnota i powinność każe, a że zna, co to iest honor, możesz mu uwierzyć. Przyznay, że pierwsza twa myśl, która cie ciemięży, iest, co powiedzą o mnie w kraiu, co myślą tu cudzoziemcy, widząc młodego Polaka, nie toczącego krwi, gdy iego współrodacy się biią. — Co do opinyi w kraiu, trzeba z początku zacząć. Rewolucya Kościuszki była przeciwko nieprzyiaciołom kraiu — była dla przeszkodzenia, ieżeli można, zguby kraiu. Ta zaś grób mu kopie. Tamtę zaczeli obywatele, naród. Te zaś kilku cudzoziemców i dzieci. Tamta miłością oyczyzny tchnęła, tu od mordu swoich się zaczęło i od chęci zamordowania władcy, czego nigdy nie było w kartach historyi naszey. Tamta-by broniła króla, ta przeciwko własnemu... Zdala czytaiąc żurnale, całkiem nie wiesz, co się dzieie. Czy sądzisz, że seym uznał bezkrólewie? Nie; ale gdy się zeszedł, Lelewel wszedł do Izby senatu z klubem, którego każden członek miał pistolet i puginał. Nie pozwolił głosować i kazał protokuł zrobić gwałtem, pod karą śmierci, do woyska biorąc, kto żyie. Jedni klubiści tylko zostaią wolno. Wszystko się mieni. Wszyscy starzy senatorowie porzucili. Anarchia do naywyższego stopnia się wznieciła. Rabunek i zabieranie wszystkiego iest rozkazem dziennym. Co tylko miało naygorszą konduitę, sławne z szulerstwa, pijatyk i rozboiu, iakoto: Kuszel, Budziszewski, Jan Leduchowski są na czele wszystkiego. Gustaw nawet, z głową zapaloną, musiał porzucić. Kray zrabowany

przez własnych, nierząd zupełny. Choroby, głód, oto są skutki zapalenia iednych, tchórzostwa drugich, którzy nie zatrzymali z początku. Niezadługo to się skończy, nietylko przez bieg, ale przez własne rozterki i nic się nie zostanie, iak przeszłość szlachetna skalaną, kray wyludniony, zniszczony i przyszłość niepewna i tylko w szlachetności króla, któren Polskę chce ieszcze utrzymać. Przyidzie czas, że nie tych opinia będzie ścigać, co czyste ręce będą mieli od zabóystw, ale tych, co się do zguby kraiu przyczynili, tych, co nayszlachetnieysze karty naszej historyi rozdarli, tych, co na gruzach oyczystych własnych korzyści szukali. Wszystko przeydzie, ale nigdy cnota nie będzie wzgardzoną. Daymy na to, że gdybyś oyca twego, chcąc dobić, poszedł do nich, co cie czeka? Albo bydź uczestnikiem nowych Robespierów, Dantonów, albo ich ofiarą. — Wróćmy się jeszcze do opinii. Czy kiedy krew się lała potokiem we Francyi, nie krzyczał lud popularnie: niech żyje komitet?! Czy kiedy walono domy boskie, gdy Boginię mądrości wodzono po Paryżu, nie było to opinią publiczną? Czy nie było tam także wielu, co sobie powiedzieli: »co powiedzą?« Czy chciałbyś bydź niewolnikiem opinii, za którą nieraz na wstyd rodu ludzkiego trzeba się wstydzić.

»Narodowości poznikały. Dwa kolory rządzą światem: porządek i rozruch, a to na to, żeby ci, co posiadaią, nie posiadali, a ci, co nie posiadali, żeby posiadali. Ztąd to ten ruch nieznośny partyi, któren w całym świecie się rozszerza, a przybiera pretexta nayszczytnieysze miłości oyczyzny,

żeby doyść do celu. Dosyć iuż ofiar padło w Polszcze dla ambicyi niektórych naczelników partyi. Na pretekstach nie zbywa. Dlatego proszę cię, byś spokoynie końca czekał. Twoia kariera nigdy nie była woyenna. Zostaw mi syna, niech w tey walce partiów nie ma co sobie do wyrzucenia. Niech ieszcze zostawi oycu moment spokoyności i nadzieię przyszłości. Z daleka nie możesz wiedzieć, co się dzieie. Na matkę twą zaklinam cię, zostań spokoynie i (*wyraz nieczytelny*) życia twego oyca, któren tylko gorycze znał, a w tobie i w twym szczęściu tylko może mieć nadzieię spokoyney i miłey przyszłości«.

Syn zgodzić się z ojcem nie mógł i nie chciał. Jest coś bolesnego, a zarazem podniosłego w tej polemice syna z ojcem. Zygmunt Krasiński nie waha się wyznać ojcu, że go list jego »zmartwił«. Nieszczęścia wojny narodowej nie tyle go martwią, co upadek ducha, który widocznie zauważył w liście jenerała. Syn jest pełen uwielbienia dla walki nierównej w obronie swobody: »Walka to słabych przeciw olbrzymom, poświęconych śmierci przeciw dawnym krzywdzicielom, ludzi pamiętnych, że mieli wielkich przodków, przeciw ludziom, którzy żadnego nie mogą wyliczyć przodka. I im bardziej Polska krwią, pożarami, trupami zasłana, tem droższą, świętszą jej sprawa staje się mojemu sercu, tem bardziej w tej sprawie widzę palec i Opatrzność Boga, bo tym, którymi się opiekuje, nie zwykł on dawać zwycięstw bez trudu i smutku. Tych owszem, których posyła na karę rodu ludzkiego, tych, mówię, otacza łatwościami i korzyściami bez znoju; ale tym, którym jakiekolwiek

dzieło zbawienia poruczył, zapory stawia na drodze, każe im cierpieć i ginąć, bo to jest jednem z praw tego nieszczęśliwego winą samych ludzi świata, że nic pięknego, zbawiennego stać się nie może bez cierpień i boleści, bez krwi rozlanej i zburzonego bytu wielu. Kiedyś dowiemy się, dlaczego takie prawo ma swoje miejsce w wyrokach Boga miłości i pokoju. Dzisiaj tylko głowę przed niem schylać trzeba, znosić mężnie, gdyż odeprzeć niepodobna.

»Przecież, by zbawić świat, trzeba było śmierci Boga. Aby zbawić kraj jeden, ileż to ludzkich śmierci i klęsk dopieroż trzeba!«

Syn radby widzieć ojca swego jak najdalej od Petersburga i od Rosyan, bo przypuszcza, że zdala od wrogów narodu dowiedziałby się »*wreszcie*« jenerał Krasiński »prawdy o Polsce, prawdy uznawanej przez całą Europę..., że sprawa Polski jest sprawą narodową, a nie stronnictwa żadnego, sprawą nie kilku, ale ojczyzny. Zła sprawa, fałsz, błąd, kłamstwo nigdy nie mogą mas natchnąć odwagą i poświęceniem. Trzeba uwierzyć czemuś, by bronić tego, — a kiedy cała Polska uwierzyła, że to sprawa narodowa, kiedy 170 tysięcy Polaków jej broni, trudno się zgodzić na mniemanie, że to jest fakcyą stronnictwa«.

Jenerał Krasiński marzył widocznie o karyerze dyplomatycznej dla syna, skoro żądał od niego, by wziął świadectwa w Genewie, że uczył się stylu dyplomatycznego. Syn objaśnia, że tych lekcyj stylu dyplomatycznego było zaledwie kilkanaście, że zatem niema racyi brać świadectwa; a przeczuwając, o co

ojcu chodzi, zaznacza Zygmunt Krasiński, że karyera dyplomatyczna nie przemawia ani do jego serca, ani do jego zdolności. O dyplomatach ma wyobrażenie bardzo niekorzystne. Wreszcie wprost zapytuje: »w jakiejże dyplomacyi przyszłoby mi działać? w moskiewskiej? Pierwej serce z piersi mi wydrą, niż moskiewski mundur na piersiach przypłaszczą«.

Dyplomatą zatem nie będzie. Ale może przyjść chwila, że w wojsku się na coś przyda; dlatego uczy się teraz nauk wojskowych, fortyfikacyi, marszów, bo ma przeczucie, że prędzej czy później zda mu się na coś ta nauka. »Silniejszy wpływ miały, niż może Papa myślał kiedy, silniejszy, mówię, wpływ miały na moje uszy dziecinne jego opowiadania i opowiadania jego towarzyszów broni, wszystkie świadczące o jego chwale. Takiej chwały nabyć i tym samym sposobem było zawsze życzeniem mego serca, które teraz się rozwinęło i mocy nabrało...«

Ciągle wraca do wstrętnej mu nad wyraz bezczynności własnej w Genewie, a czuć z każdego słowa listu, że i bezczynność ojca jest mu kamieniem na piersiach. »Położenie nasze zobopólnem jest okropnem...« Stan duszy jego, tylekroć przezeń opisany, pogarsza się w miarę nieszczęść narodowych. Nad całym tym rokiem życia może biograf Krasińskiego wypisać własne jego słowa: »Zestarzałem się od boleści, bo w utrapieniach często powtarzanych więcej jest starości, niż w latach wielu«.

Świat mu zaczyna brzydnąć i dolegać. Wciąż tu trzeba ucierać się z kochanymi bliźnimi: — »Ludzie wołają głośno wolność! a pokryjomu myślą: pie-

niądze; każdy radby uciskać i zgnieść drugiego; mało jest serc, a nawała oświadczeń i deklamacyi...«

Na wiadomość o wzięciu Warszawy przez wojska rosyjskie wybucha Krasiński:

»Warszawa się poddała! Rosyanie bezczeszczą umarłych i żywych. Ale mam ufność w Bogu, który nie zostawił nigdy zbrodni bez kary, który gromadzi węgle żarzące się na głowach królów. Ufam wreszcie słowu apostoła; tam jest Bóg, gdzie jest wolność. O, jak ubóstwiam teraz tę ziemię skrwawioną, tak uświęconą tylu bolami i nieszczęściami, zasianą kośćmi męczenników, tę ziemię rezygnacyi i entuzyazmu, ziemię, gdzie przodkowie moi śpią w grobach, na których bracia moi polegli, a gdzie kiedyś my, pozostali, pomrzemy na trumnach naszych braci. Wszystko dla niej, dla tej ziemi: i życie moje i trudy moje, dni me i noce, smutki i radości. Wszystko dla niej: i szabla moja i lutnia — wszystko, aż do ostatniego tchnienia...«

Upadek powstania narodowego napełnił duszę Krasińskiego boleścią, pełną rezygnacyi. Równocześnie kwestya życia i śmierci narzucała mu się w Genewie na każdym kroku. Powszechna trwoga przed cholerą, która już nawiedziła była Bazyleę, nadawała Genewie widok niezwykły, szczegółowo przez Krasińskiego opisany. Co do niego samego, miał to przekonanie, że jeśli już na nic światu nie potrzebny, to z pewnością zginie na cholerę, ale jeśli będzie żyć, to znak, że ma jeszcze jakiś cel w życiu do spełnienia. Zapowiada jednak, że na wszelki wypadek pójdzie jutro do spowiedzi i komunii św. »Nie chcę

umrzeć, jak ciało, ale tak, jak duch powinien rozstawać się z życiem. Na pożegnanie napisał hymn żałobny dla Polski p. t. *Une Étoile*. Kopię manuskryptu swego posłał Reevowi, zaznaczając, że utwór ten przeznaczył dla *Bibliothèque Universelle*.

Rozwój umysłowy Krasińskiego był wówczas tak pospieszny, niemal gwałtowny, że nawet Reeve, który go dopiero przed pięciu miesiącami pożegnał, z podziwem odczytuje ostatnie prace przyjaciela i tak mu pisze: »...*votre puissance intellectuelle augmente rapidement*«. I zaraz dodaje bardzo trafne wytłumaczenie tego fenomenu psychicznego: »*et en vérité, il doit en être ainsi: dans les greniers de souffrance vous avez trouvé riche provision de pensées, et quand vous les aurez semées, elles vous rendront le centuple*...«

Lecz Krasiński zbyt drogo okupił ten przyspieszony rozwój duchowy: »Za całe życie w niewoli nie mam nawet roku, jedynego roku wolności« — tak będzie się żalił przyjacielowi. Szczęśliwszy od niego Mickiewicz będzie mógł o sobie powiedzieć:

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jednę taką wiosnę miałem w życiu —

Wiosnę wolności, lato swobody i wyczekiwań, a po niej jesień złowróżbna i straszna zima Berezyny...

Mickiewicz i Krasiński będą całe życie żałować, że w r. 1831 nie widzieli przynajmniej swobodnych sztandarów polskich, nie zaczerpnęli pełną piersią powietrza polskiego, powietrza wolności, w tym jedynym — na cały wiek roku, w którym na polskiej

ziemi był rząd, był sejm i było wojsko narodowe. A trzeci z nich, Słowacki, kryć będzie żal swój w głębi serca za ten krok nierozważny, za ten wyjazd z Warszawy na wiosnę r. 1831, gdy wszystko wróżyło jeszcze jak najlepiej... Po latach wielu wyzna matce, Makrynie Mieczysławskiej: »Godności nie mam, przed męką uciekłem...«

Krasiński dochodził zwolna do tego stanu duszy, kiedy to pod wpływem i pod razami złych i coraz to gorszych wieści serce twardnieje, drętwieje z bólu, kiedy pierś już nie zdolna jęku, a oczy suche, bo źródło łez w końcu wyschło...

Zamiast własnych skarg, szle wówczas przyjacielowi słowa Lamennais'go wyczytane w czasopiśmie *L'Avenir*. Widać, że tak książka Lamenais'go o Religii, jak niemniej osobista jego dla Polski sympatya, o której i od Ankwiczów i od Mickiewicza z Paryża mógł się dowiedzieć, kazały Krasińskiemu pilnie śledzić słów i myśli Lamennais'go. Ustęp tego autora o Polsce, posłany przez Krasińskiego Reevowi, jest istotnie piękny i podniosły:

»Warszawa poddała się. Bohatyrski naród polski, opuszczony przez Francyę, odepchnięty od Anglii, uległ teraz w walce przeciw hordom tatarskim, sprzymierzonym z Prusami w walce toczonej chwalebnie przez ośm miesięcy. Jarzmo moskiewskie znowu ciążyć będzie na narodzie Jagiellonów i Sobieskich...

»A więc, narodzie szlachetny, bracie nasz po wierze i po orężu, kiedyś walczył o życie, nie mogliśmy ci pomódz tylko życzeniami — a teraz, gdy leżysz powalony na arenie, nic ci, prócz łez, dać nie możemy;

oby ci te łzy przynajmniej jakąś ulgę przyniosły w bólu twym bezmiernym. Wolność uniosła się nad tobą, jak cień przelotny, cień, co przeraził twych gnębicieli. Zdało im się, że Sprawiedliwość ujrzeli:

»Po dniach ponurych sądziłeś, o! narodzie z wzrokiem w niebo utkwionym, że widzisz tam znamiona pomyślniejsze. Powiedziałeś sobie: »Zbliża się pora wyswobodzenia. Ziemia ta, co kryje prochy ojców naszych, będzie jeszcze naszą ziemią. Nie posłyszymy już tutaj głosu cudzoziemca, co nam rozkazy swe wzgardliwe dyktował; ołtarze nasze wolne będą, swobodne ogniska rodzinne«. — A jednak pomyliłeś się, narodzie! To nie pora narodzin była, lecz pora śmierci dla wszystkiego, co najsłodsze i najświętsze dla ludzi!

»Narodzie bohatyrski, narodzie ukochany przez nas, spocznij w pokoju w mogile, którą ci usypały zbrodnia jednych, a tchórzostwo drugich. Ale nie zapominaj! mogiła twa nie pusta, jest w niej nadzieja, jest na niej krzyż, który mówi: »Odżyjesz«. (Lamennais. *Avenir*).

Katastrofa r. 1831 zrobiła swoje. Zdala od Polski, bezczynny i bezsilny, wycierpiał Krasiński więcej, niż gdyby go piki kozackie pokłóły były na wszystkich polach bitew. Ale z pól Grochowa czy Wawru, gdyby z ran się był dźwignął, byłby poszedł z innymi spokojnie dzielić chleb tułaczy, rad z obowiązku dopełnionego; byłby wyniósł z Polski tę świeżość ciała i ducha, która pozostała niestartą cechą naszych wychodźców z r. 1831. Kto ich widział, jak pod bielutką siwizną zachowali do końca życia młodzieńczy

niemal rumieniec, płomienny wzrok i niewyczerpany skarbiec nadziei w lepszą dolę narodu — ten tylko potrafi ocenić, czem była wojna r. 1831 dla tych, co brali w niej czynny udział.

Krasiński z r. 1831 wyjdzie, jak z choroby ciężkiej, ze zdrowiem starganem, z napiętą do ostatnich granic wyobraźnią, podrażnioną i niezaspokojoną, z sercem gorejącem, a tak boleśnie, bo z ręki ojcowskiej zranionem... Po latach jeszcze wielu będzie narzekał na ten mróz Północy, który zwarzył najpiękniejsze kwiaty jego patryotycznych uniesień.

Z chwilą, gdy w jesieni tegoż roku pierwsza fala emigracyi naszej napłynęła do Paryża, zamknął się okres walki orężnej. Krasiński nie miał już dokąd wyrywać się. On, co miał tej Genewy za wiele już na wiosnę 1831 r., teraz chętnie na zimę w niej się zamyka i ojca prosi, aby go stąd nie ruszał. Do Polski mu nie spieszno, bo tam krew jeszcze nie oschła i kości wojowników nie zbielały jeszcze...

IV.

Po upadku Powstania.

Jak dla emigracyi całej, tak i dla Krasińskiego nastał czas skupienia się, wysnucia konsekwencyi z faktu dokonanego, z dzieła wojny narodowej, które Mickiewicz na przekór niepowodzeniu orężnemu, nazywał płodnem na przyszłość.

Jest prawo perspektywy fizycznej, które i w dziedzinie historycznej ma racyę bytu. Kto przed olbrzymiem płótnem Matejkowskiem stanie tak blisko, że się o nie otrze, ten z całego obrazu zobaczy kawałeczek pomalowany olejną farbą i nic więcej. Kto wyemigrował z Polski w r. 1831, ten nie zdawał sobie sprawy na razie, ile rok ten zaważy w dziejach naszego narodu. Większość wychodźców naszych myślała, że na wiosnę roku 1832 przyjdzie do europejskiej wojny i że wrócą nasi żołnierze z bronią w ręku nad Wisłę. Z perspektywy historycznej po latach przeszło 70-ciu inaczej oceniamy doniosłe skutki wojny »za waszą i naszą wolność«. Ale w r. 1831 nikt, prócz dwóch Polaków, nie zdołał wytworzyć sobie takiej perspektywy dziejowej. Tylko Mic-

kiewicz i Krasiński wznieśli się nad poziom chwili bieżącej i ocenili doniosłość dziejową powstania narodowego.

Mickiewicz na skrzydłach Konradowego natchnienia wzbił się ponad wieków otchłanie i dojrzał widzeniem Piotrowem szczęśliwszej przyszłości polskiego ludu.

Krasiński, młodszy, nie obdarzony taką potęgą wzlotu, nie uczuciem tylko, ale rozumem postanowił wytworzyć sobie ową perspektywę duchową, któraby mu pozwoliła wznieść się po nad doczesną klęskę r. 1831 i ocenić, czem ona w życiu wiekowem narodu, czem naród sam w życiu powszechnem ludzkości. Niezwykły rozum jego, który wyszedł zwycięsko z wewnętrznej ducha rozterki, rozum od wczesnej młodości lgnący z natury do kwestyj filozoficznych, przeciwstawił zaraz sprawę nieszczęśliwej ojczyzny — sprawie ludzkości, sprawie Europy i tym sposobem uzyskał punkt archimedesowy, po za Polską będący, z którego to punktu wszechludzkiego rok 1831 odrazu odsunął się na odległość pożądaną.

To, co było tak bliskiem jeszcze serca, stanęło na dalekiej perspektywie duchowej i dało się ująć rozumowi. Rzecz to na pozór dziś prosta, ale tylko geniusz Krasińskiego zdobył się wówczas na nią.

On z umysłu teraz zaprzestaje skarg i wyrzekań. Serce już wypowiedziało wszystko, czem wezbrało od roku. — On teraz rozczytuje się w filozofach i historykach i chce zdać sobie sprawę, czem jest społeczeństwo ludzkie z XIX wieku, ku czemu dąży i czego się może spodziewać. — On to rozumie

doskonale, że Polska nie może i nie powinna być jakimś wyjątkiem w Europie; że nic ludzkiego nie może być jej obojętnem; że przeto, aby Polsce pomóc i ją wyratować, trzeba przedewszystkiem jasno zrozumieć, czem jest i czem ma być cała Europa. Społeczeństwo zaś europejskie wydaje mu się niepewne losu i drogi dalszej. To, co on w okół siebie widzi, to mu się wydaje strupieszałem, to, co przeczuwa, dalekiem jeszcze urzeczywistnienia:

»Nasz wiek jest tem dla starej Europy, czem był wiek ubiegły dla starej Francyi. Towarzystwo zblazowane, zepsucie, zbytek, nędza, mało wiary, wiele szału, kilka zasad oderwanych od swego źródła wiekuistego i rzuconych nago na prąd, co nas unosi — oto nasz stan.

»Jasną jest rzeczą, że jesteśmy na pograniczu: z jednej strony parci przeszłością, z drugiej przyszłością; a przykra to walka dwu tych potęg w naszej duszy. Może dla wnuków naszych nie będzie już przeszłości i będą oni żyć tak spokojnie, jak spokojnymi mogą być stworzenia ludzkie wśród teraźniejszości, już ustalonej, tej samej teraźniejszości, która dla nas jest przyszłością chwiejną i niepewną.

»Jest rzeczą pewną, że dzisiaj jeszcze dla wielu z nas, wspomnienie przeważa nad nadzieją, a idee przeszłe nad temi, co się wyłaniają z naszego czasu; boć to są szlachetne wspomnienia i wielkie idee, chociaż już się dokonały i zdaniem wielu są już bez duszy. Co do mnie, nic temu nie wierzę: idea nigdy nie może zaginąć. Tak, powtarzam to: szlachetne są to wspomnienia, bo sięgają Golgoty szczytów: stam-

tąd unoszą się nad szyszakami tylu bohatyrów, nad czołami niewinnymi tylu piękności; a później mięszają się ze Wschodem, z tym Wschodem tak pogodnym, tak marzycielskim, tak olśniewającym ową swobodą ruchów (nonchalance), tak wzniosłym w swej ociężałości.

»Nie, mój drogi, nie będziemy nigdy ani takimi, jako przodkowie nasi, ani takimi, jak nasi następcy. Chcę rzec, że dla nas-to drogi zawiłe, fale wzburzone, ścieżki na przełaj, drożyny cierniste, a w końcu cierniowe korony. Nasza teraźniejszość zawsze zatruta będzie albo tęsknotą za tem, czego już niema, albo miłością nigdy niezaspokojoną przyszłości, tego co przeczuwamy, a czego nigdy nie ujrzymy.

»I chciejże się dziwić, że dusza czasem zaduma się w sobie, nie ufa przyszłości i rzuca się całkiem ku przeszłości! Przeszłość jest tu; przeszłość znała nas, jesteśmy dziećmi jej starych dni, kołysała nas na swych kolanach; pierwsze słowa do niej zwracaliśmy. A teraz, gdy widzimy, jak się oddala, płaczemy czasem za nią. — Ale z drugiej strony przyszłość jest także tutaj, wyciąga ku nam ramiona. Lecz koło niej widzimy ofiary rzucające się, one wierzyły w przyszłość, czepiały się jej ramion, jej skrzydeł i upadły, jak żółw, co wymknął się ze szponów orła.

»Stąd to pochodzi, że nie jesteśmy z żadnego wieku, że nie możemy należeć do żadnego; bo chaos jest naszem mieszkaniem, naszem otoczeniem, naszem wszystkiem. Ludzie, którym Bóg każe się zrodzić w podobnych epokach, muszą mieć więcej siły, więcej

energii, rezygnacyi, więcej myśli, niż ludzie innych wieków. Bo wszystko nam bolem, a nic radością — wszystko przeszkodą, nic pomocą; bo jeśli tylko mamy serce i duszę, to zawsze będziem w niepewności, przerzucani z systemu do systemu, z wierzeń do wierzeń, z fali na falę — to opłakujący przeszłość, to znowu pełni entuzyazmu dla przyszłości... Jedynym środkiem, by nie upaść przed czasem, jest wierzyć w słowo Boga i wiedzieć, że trzeba walczyć z ludźmi, nie oddawać się nigdy spoczynkowi. Inaczej zginęliśmy — i to na zawsze, jak może ja«. —

Jeśli się spytamy, skąd w 19-letnim młodzieńcu bierze się tyle bystrości sądu i tak jasne widzenie współczesnego mu stanu społeczeństwa, to odpowiedź znajdziemy najpierw w jego usposobieniu, skłonnem do porównań faktów, zestawiań, wydobywania wniosków z danych historycznych i moralnych przesłanek — a następnie w kolosalnem oczytaniu młodzieńca, przechodzącem poprostu zwykłą miarę ludzką i doprowadzającem Krasińskiego niemal do utraty wzroku. Zacząwszy wątpić o społeczeństwie europejskiem, szuka, gdzie może, wyjaśnienia wątpliwych kwestyj, pochłania dzieła historyczne i filozoficzne, wreszcie współczesną belletrystykę francuską i zdaje mu się, że i tam czyta złowróżbne *Mane, Tekel, Fares:*

»Przeczytałem wiele dzieł historycznych: Wenecką historyę p. Darue, Guizota dzieła, filozofię Cousina, Ballanche'a, mnóstwo systematów, hypotez, kilka dzieł wojskowych, najnowsze utwory literatury francuskiej, od których mózg się kręci, ale w któ-

rych nic nie czuje serce. Są to frazesa, styl pełny przekręcań, obrazy śmiałe rozuzdanej wyobraźni, ale mało czucia, dużo bezwstydu i mało prawdziwej energii. Jest to literatura przedziwna na wiek swój, dowodząca, że towarzystwo zupełnie zepsute, że mu potrzeba silnych wzruszeń, że tych się chwyta zapamiętale, gdziekolwiek je spotyka.

»To są ostatnie konwulsye moralne śmierci wielkiego narodu — okropne, przerażające, mające w sobie dużo odrazy i dużo wielkości«.

Do politowania nad upadkiem Francyi łączy się także niechęć z powodu jej zgubnych, politycznych na nas wpływów. Przejeżdżał przez Genewę Jan Jezierski, ten sam, którego rząd polski wysłał w samych początkach powstania do Petersburga, aby starał się uzyskać u Mikołaja I. pewne koncesye dla Królestwa, a w zamian przyrzekł spokój w kraju. Misya Jezierskiego spełzła na niczem. Otóż ten to Jezierski opowiedział Krasińskiemu wiele zakulisowych intryg i sprawek z r. 1831, wiele szczegółów, które młodzieńca goryczą napoiły:

»On-to mi wystawił Polskę, wydaną rozterkom własnym i cudzemu nieprzyjacielowi, cierpiącą i od swoich i od wrogów, szarpaną teoryami, wykrzywionemi przez tchórzów, którzy bojąc się jąć za szablę lub bagnet, woleli żyć, by wrzeszczeć, a ojczyznę zgubić, niż pójść, poledz i ojczyznę zbawić. Jak św. Pawłowi łuski z ócz, tak i mnie podobnież z ócz w dół padały urojenia, omamienia. Naśladowanie Francuzów nas zgubiło i przedtem

i teraz. Polskę chcąc podźwignąć, trza polskich używać sposobów, tych polskich sposobów, któremi Polska dawniej kwitnęła i gromiła«. (*Do Ojca*).

Podobnie w liście do Reeva:

»Jezierski opowiedział mi dziwne i straszne rzeczy o klubach. Polska zginęła przez kluby. Opowiadania jego były dla mnie pełne goryczy. Dowiedziałem się o wielu podłościach i haniebnych postępkach. Warszawa była pod panowaniem sztyletu. Niezgody wszędzie w sejmie i w armii. Biedna Polsko! Wiele złudzeń spadło mi z oczu. Czy dałbyś wiarę? Wielu było tchórzów między nami. Ci tchórze wcale się nie bili. Krzyczeli na sejmie, wśród czterech murów — a Polska zginęła«.

Pesymistyczny nastrój, wywołany i tem, co się naczytał o Francyi i tem, czego się o Polsce nasłuchał, wpływa także na to, że Krasiński zaczyna krytycznem okiem na siebie samego patrzeć. W życiu swem dotychczasowem widzi sporo exaltacyi, ciągłe poszukiwanie silnych wrażeń, ciągłą walkę między silnemi pragnieniami, a słabem, nieznoszącem spełnienia ich ciałem. Gdy więc organizm nie znosił ekscesów fizycznych, wpadał Krasiński w drugie przeciwieństwo: oddawał się ekscesom umysłowym, pisał i pisał »przyzywając poezyi głosem wielkim, bo była ona rozwiązłością duszy mojej (car c'était une débauche de mon âme). To mu się zdawało, że jest poetą i cieszył się z tego, to znowu, gdy wiersz mu był oporny, a z prozą walczyć musiał, wpadał w zwątpienie.

Przyjacielowi odsłaniał głąb swej duszy i malował

portret swój trochę czarnemi farbami; jednak uchwycił własne duchowe rysy wcale trafnie. Nie mamy wizerunku jego z lat owych. ale posiadamy natomiast własnoręczny jego duchowy portret: *se ipsum pinxit.* Pozorne sprzeczności psychologiczne: zapał patryotyczny i brak energii w wydobyciu się z Genewy, nienawiść do wroga i bezczynność polityczna późniejsza, albo raczej utajona działalność bezimienna, wstręt do potajemnych związków i zamiłowanie do jawnego, nie skrytego działania (późniejsze: »szablę kocham, wstyd mi noża«) — to wszystko jest mu już o sobie doskonale znanem. Filozoficznej rady mędrca greckiego Γνῶθι σεαυτόν on od wczesnej młodości słuchał i mało kto w naszej literaturze mógł się poszczycić takiem gruntownem, bezlitośnem dla miłości własnej, zgłębieniem swych przywar i niedostatków.

»Nie jestem stworzony na spiskowca... Nie znam się na milczeniu, na uśmiechu, nie znam hipokryzyi na ustach, gdy w sercu wre wściekłość; nie dla mnie lochy, tajne towarzystwa, przysięgi. których nie można głośno wyrzec.

»Dla mnie słońce jasne, a w obliczu słońca ostrze szpady błyszczące i na dwa kroki przedemną nieprzyjaciel — później szał natarcia wzajemnego w walce beznadziejnej, purpura krwi lojalnie wylanej, ostatnie westchnienie przeciwnika umierającego pod gołem niebem, przedemną, przed całym światem.

»Udawać zgoła nie umiem; a z Warszawy droga gotowa, pewna, wybrukowana na Sybir.

»Jeśli się dowiesz dziś, że udałem się do Warszawy, będziesz mógł rzec sobie: za dni kilka parę trupów

zginie na brzegu Wisły — a jeszcze dni kilka i Zygmunt będzie na Sybirze. — Zresztą niech to pozostanie między nami: to mój los, prędzej czy później miny czekają mnie pod dachem wieczystego śniegu, prędzej czy później tak trzeba będzie skończyć«.

Sybir staje się odtąd prawdziwą zmorą w życiu Krasińskiego. Ciągle mu się będzie zdawać, że skończy na Syberyi. Jest to osobliwy rodzaj autosuggestyi poetycznej, która z czasem znajdzie ujście w poemacie p. t. Ostatni.

Stosunek do Henryety Willan był coraz dziwniejszy. Miłość dla niej nabierała coraz bardziej cech mglistych. Rysy jej zacierały się z wolna w wyobraźni kochanka; jej zacięte milczenie tłumaczył sobie Krasiński tem, że nim gardzi... Duma jego cierpiała z tego powodu i nie mogło się nawet obejść bez wymówek: »Dlaczego Henryka mnie opuściła! Gdyby ta kobieta była mnie kochała tylko przez pół tak mocno, jak ja ją ubóstwiałem, byłbym czemś więcej, niż jestem, niż kiedykolwiek będę. Gdyby mnie była pobudziła, rzuciła, popchnęła, nie wlókłbym się dziś po Genewie. Ale ona na swą odpowiedzialność zaczęła mną gardzić; za pierwszym wiatru podmuchem odwróciła swą twarz odemnie; ona sama pozbawiła mnie całej energii. Resztę sił obróciłem na to, by cierpieć w milczeniu — ale siły do czynu mi brakło. Ta kobieta mogła była zrobić ze mnie bohatyra, powtarzam: bohatyra! Lecz wolała skrystalizować się w zimnej obojętności.

A jednak niech będzie błogosławioną kochanka mej młodości!«

Wyrzekania te dowodzą, że człowiek w nieszczęściu nie jest sprawiedliwym. Zarzuty stawiane tu pannie Willan są bezpodstawne. Raczej ona mogła zarzucić niejedno Krasińskiemu. Sam jej powiedział, że się z nią żenić nie może i nigdy nie ożeni. Pocóż więc miała wznawiać listy, rozmarzać jego i siebie? Milczała — i z tego milczenia najniewłaściwiej usiłował ją wyrwać Krasiński. Ale w nim kłóciły się i wówczas i nieraz jeszcze potem dwa żywioły, z których jeden nazwałbym poetyczno-sercowym, a drugi filozoficzno-rozumowym. Pierwszy miał prawo głosu w imię młodości samej; trudno być w 19 roku życia samym tylko filozofem. Drugi, rozumowy pierwiastek brał rychło górę w imię doświadczenia, okupionego bolesnymi miesiącami 1831 roku.

A wtedy myśl się zwracała ku szerszym zagadnieniom. Reeve odgrywał tu, całkiem mimowolnie, rolę budziciela ze snów i rojeń miłosnych.

W Anglii zanosiło się na burzę społeczną. Lud domagał się rozszerzenia praw politycznych.

5 października 1831 r. wraca Reeve z Londynu do rodzinnego Norwich. Powóz posuwa się wolno wieczorem ciasnemi uliczkami małego miasta, przepełnionymi robotnikami i ludem. Krzyczą oni coraz i dopytują się, co słychać z Reform-bill'em? A gdy im odpowiadają, że parlament odroczony, lud wydaje długi jęk bolu i nienawiści, który może się niebawem na okrzyk zemsty zamienić. Nie ma wątpliwości, dodaje Reeve, lud angielski gotuje się do walki. Będziemy walczyć; przyjacielu, stara Anglia

przepadnie! Jestem, jak młody majtek, który rozpoczyna służbę na pięknym statku; który widzi, jak coraz szybciej okręt pędzi na skały, gdzie się rozbić musi...«

Parlament odrzucił 8 października bill reformy 41 głosami. Obawiano się rozruchów nie tyle w samym Londynie, co na prowincyi. Reeve zapowiadał: »jutro rozpoczną się dni odwetu« i dawał poetyczny obraz uroczystej chwili w parlamencie angielskim.

Podobne opisy zachwycały Krasińskiego i były podatnym materyałem rozmyślań dalszych na temat walki klas. Reeve był tu bezwiednym współpracownikiem przyszłej Nieboskiej Komedyi. Obawy jego niedalekiej rewolucyi społecznej w Anglii przejmie Krasiński skwapliwie, jako zupełnie zgodne z jego postulatem rozumowo-historycznym. Co więcej, Reeve zażąda od przyjaciela polaka, aby wypowiedział swe zdanie, jak ma nadal przyjaciel-anglik postąpić?

Krasiński pospiesza z radą. Neutralnym pozostać nie wolno. Solon śmiercią karał tych, co chcieli w stanowczych chwilach być neutralnymi. Rzuć się w objęcia arystokracyi, lub ludu; ja przechylam się na stronę arystokracyi...« Ale rozstrzygać zdala nie śmie, radzi tylko nie być neutralnym, w modlitwie gorącej do Boga szukać natchnienia...

»Módl się do Boga gorąco, a On cię najlepiej pokieruje, stokroć lepiej od tego, który w tej chwili do ciebie pisze i drży za każdem słowem i z obawy i ze wzruszenia, aby dawane pospiesznie rady nie pchnęły cię na tory, dla ciebie niekorzystne...

»Reeve, Henryku, mój przyjacielu, zbudź w sobie

energię całą! Cała Anglia ryczy dokoła ciebie, nie spoczywaj, powstań, spojrzyj oko w oko ojczyźnie swojej i wśród ogólnego przełomu i chaosu szukaj fałdów białej sukienki, szukaj kogoś, kogo-byś mógł ukochać i bronić, szukaj róży wśród dzid i wśród nagich szabli...«

Przed kilku miesiącami Anglik dodawał Polakowi bodźca i wzywał go do działania, pragnął wyrwać go z bezczynności; teraz role się zmieniają. Krasiński nawoływa Reeva, aby nie oddawał się bezczynnemu spokojowi (le calme), aby nie zasypiał w okolicznościach tak ważnych, nie siedział, gdy Anglia cała wstaje.

Ale Reeve zbyt był praktycznym i trzeźwym Anglikiem, aby zapleśnieć i oddać się tylko rozrywkom. Człowiek, który Farysa na angielskie przełożył, musiał mieć w sobie bodaj jednę, maleńką żyłkę poetycznego na świat wejrzenia, musiał odczuć energię Beduina, pędzącego na wyścigi z wiatrem stepowym. Reeve miał przytem skłonność lekką do mistycyzmu, umiał na pamięć Apokalipsę św. Jana i lubiał oddawać się w chwilach wolnych od polowań na przepiórki i zające, rozmyślaniom o przyszłości. Pewnej niedzieli (23 paźdz.) zamiast pójść w Bracondale na nabożeństwo i kazanie angielskie, siadł i napisał Krasińskiemu rodzaj kazania na temat cierpień ludzkości i swoich przewidywań.

Zdawało mu się, że rok 1832 będzie złowróżbnym dla całego świata, że przyjdzie w nim do jakiejś katastrofy fizycznej, która wstrzęsie podstawami nie-

wzruszonymi sprawiedliwości i wiary. Przesilenie zbliżać się będzie coraz szybciej.

W końcu października 1831 r. przyszedł niespodziewanie do Krasińskiego w Genewie z wizytą Leon Łubieński, aby się pojednać i pogodzić. Pokazało się, że człowiek, który z takiem bohaterstwem zdzierał przed kilku laty w uniwersytecie warszawskim akademickie odznaki z kołnierza Zygmunta Krasińskiego, nie bił się także wcale w r. 1831, choć nikt go nie wstrzymywał i drogę z Anglii do Polski miał wolną. Jeszcze jeden dowód, że łatwiej szlify drugim zdzierać, niż samemu na nie w polu bitwy zapracować.

Przyjął go Krasiński jak najgorzej: całą tę wizytę, rozmowy swe z przeciwnikiem, nieubłagane postanowienie rozstania się w nieprzyjaźni, pokorę Łubieńskiego itd. opisał szczegółowo w liście do Reeva, pobieżniej ojcu. Odmalował tam i przeciwnika swego i siebie, nie szczędząc barw.

Łubieński nazwał się człowiekiem przyszłości — nie przeszłości. Krasiński przyznaje mu ogromne zdolności przy zupełnym braku serca. Wszystko ten człowiek rozumie, nic nie odczuje. Nie można wątpić, że to człowiek XIX wieku, w którym przeszłość obumarła i nigdy nie istniała: »Spytaj go, kto to Normandczyk, rycerz krzyżowy, trubadur, kto Dante, Kalderon, Szekspir — a w nos ci się rozśmieje. Ale zapytaj go, kto to Mirabeau, Wolter, Danton, Balzac lub Laclos, a oczy mu się zaiskrzą; bo wymieniłeś źródła jego natchnienia, które całe mieści się w głowie, a nie raczy nigdy zstąpić do serca. Co do mnie

twierdzę, że kto niema szlachetnych wspomnień, nie może mieć szlachetnych nadziei. Może się mylę; ale jest to moim artykułem wiary, bo: odrzucić przeszłość — znaczy to odrzucić część wieczności, całe arcydzieło stworzenia; znaczy to, nie mieć w sobie kultu mogił, nie mieć całej jednej partytury w muzyce duszy«.

Tem, czego brak Łubieńskiemu zarzuca, najlepiej sam siebie Krasiński charakteryzuje. On będzie się uważał za przedstawiciela i obrońcę przeszłości, w której tyle widzi piękna i poezyi.'

Ale opisując przyjacielowi wizytę Łubieńskiego i wybuch swej nienawiści do człowieka, który go przed laty pozbawił czci koleżeńskiej, a pośrednio zmusił do wyjazdu z Polski, nie spodziewał się, co mu Reeve odpisze. List tegoż z d. 10 listopada 1831 był przyjacielskiem, lecz zarazem surowem rozstrząsaniem sumienia Zygmunta Krasińskiego, był dowodem, że grunt duszy Anglika był bardziej chrześcijańskim, niż u starszego o rok Polaka. Reeve głęboko jest zasmuconym uczuciami zemsty, które jeszcze teraz po latach przepełniają serce jego przyjaciela. Znakomicie charakteryzuje on stan jego duszy, odkąd go poznał, bije go własnemi jego argumentami, przypiera tak do muru, że biedny Krasiński nadaremnie będzie usiłował się bronić, nadaremnie będzie chciał zaprzeczyć, że go list przyjaciela nie wzruszył; sumienie, zatrwożone wywodami Reeva, zmusi go do otworzenia listu, który już zapieczętował i do wyznania, że list Reeva ugodził go w samo serce, że czuje to, jak i to czuje, że z nim jest źle.

Krasiński usprawiedliwia się, jak może, z uczuć nienawiści. Uważa ją za tak potężnie zakorzenioną w swem sercu, że ani myśleć o tem, by się jej wyrzec. Połowa serca jego wypełniona jest miłością — o niej niech Reeve myśli, a niech zapomni o tej drugiej, w której nienawiść mieszka; Reeve nie zna tego uczucia, bo znać nie może. Ale jemu, Krasińskiemu, nienawiść potrzebna do życia. »Mów cicho o nienawiści, jest to dziecię, które śpi i rośnie we śnie, po co je budzić przed czasem?«

Krasiński przerzuca zręcznie temat z wypadku szczególnego (Łubieński) na pole ogólno-narodowe (Rosya) i zaznacza, że się z nienawiścią ku wrogom niejako od dziecka bratał i rósł z nią razem. »Wyssałem ją z pierwszych spojrzeń mej matki, z pierwszych słów mego ojca. Tyś wolny i wolno urodzony, nie pojmujesz, co to niewola, co to brzęk kajdan, śniegi Sybiru, kraty więzienne, wspomnienia rzezi Pragi...«

Odsłania tam Krasiński jedną stronę charakteru swego i temperamentu. Doskonale zdaje sobie sprawę ze swych wewnętrznych przeciwieństw, z tego, co nazywa swoim amalgamem duchowym, »z tysiącznych kontrastów«, jakie są w nim i dowodzi, jak już głęboko zastanawiał się nad sobą, jak surowo umiał się sądzić.

List Reeva, potępiający zasadniczo nienawiść, jako uczucie niechrześcijańskie, zmuszał Krasińskiego do stoczenia wewnętrznej walki, do odpowiedzi samemu sobie, czy nienawiść może być istotnie podporą życia jego, czy może być dodatnim czynnikiem duszy

ludzkiej? Odtąd nie będzie już miał spokoju. Kwestya nienawiści zapadnie głęboko w duszę jego: kolec drobny a dokuczliwy, z którym żyć można, ale od czasu do czasu drażni on organizm i przypomina się boleśnie.

Lata całe będzie tak żyć Krasiński. Idea Nienawiści i Idea Przebaczenia będą się w nim ścierały na przestrzeni Petersburga i Rzymu, aż przyjdzie moment, w którym pogańska żądza nienawiści narodowej uchyli czoła przed krzyżem samotnym w Koloseum, przed ideą Miłości, wszystko odkupującej. Wtedy to uśpiony przez wieki Irydion, nienawidzący Romy Grek, pójdzie na Północ do krainy mogił i krzyżów.

Wpływ Reeva dosięgnął tu kulminacyjnego szczytu, był jak najzbawienniejszy dla Krasińskiego, choć działał nie doraźnie, ale powoli. Reeve nie dał się zniechęcić argumentami Krasińskiego, ani zbałamucić nimi. Wyjaśnia mu, że jeśli kiedy, to teraz, w nieszczęściu, Polacy powinni żyć w zgodzie, a Krasiński powinien się pojednać z Łubieńskim. I przypomina pytanie św. Piotra: »Panie, ilekroć mam przebaczyć nieprzyjacielowi memu, czy siedmkroć?« Jezus odrzekł: »zaprawdę i siedmdziesiąt razy siedm«. Gorszy się tem, że Krasiński w liście jego widział tylko dzieło stylu i chęć wywołania wrażenia. »Cóż po stylu i wrażeniu, jeżeli myśli me nie są twemi myślami, a zasady me twemi zasadami. Mam twarde serce, nie współczuję cierpieniom bliźnich, nie pojmuję litości i nie umiem dać sobie rady z sympatyą, ale, Bogu niech będą dzięki, nie widziałem jeszcze, aby człowiek, który łkając błagał mnie o przebaczenie,

napróżno mnie o nie błagał. Nigdy też nie uścisnąłem lekkomyślnie ręki wroga, który się do stóp moich rzucił«.

Krasiński czuje się pokonanym, ale nie przekonanym: »Vous avez le droit pour Vous et moi j'ai le fait, un fait qui me brule l'âme...« On wie, że taka dyskusya może go tylko poniżyć w oczach przyjaciela, ale kłamać nie może. On uwielbiał Krzyż na Kolosseum, gotów jest do poświęceń niegłośnych, do cierpień, do przebaczenia wreszcie i zapomnienia uraz, ale nienawiść wroga jest dla niego przykazaniem Bożem, bo ojczyzna, język, zwyczaje narodowe, to są dary Boże i bronić ich jest obowiązkiem; »kiedyś zażądają odemnie rachunku w wieczności...« Zresztą analizować uczuć nie można, one są w nas i rządzą nami. Świat polski, to świat odrębny. »Nasza cywilizacya nie osiągnęła jeszcze stopnia cywilizacyi francuskiej i angielskiej; są jeszcze u nas uczucia poetyczne honoru, wiary, niezawisłości narodowej, podczas kiedy tutaj nie myślą o czem innem, tylko o dobrobycie materyalnym, o rewolucyi wielkiej, ale nie politycznej tylko socyalnej, która każe oddać własność, ziemię, bogactwa, t. j. dobre łóżka, dobre obiady, dobre piece tym, co czuwają, co ziębną i łakną«. Rozpoczyna się ferment duchowy u Krasińskiego, ostra krytyka i przewidzenie dzisiejszego niemal stanu kwestyi społecznej... A co jest charakterystyczne, to owo wyłączenie Polski z aspiracyj brutalnie materyalnych, które dostrzega na Zachodzie.

W końcu listopada tegoż roku 1831 wybucha

w niedalekim od Genewy Lyonie formalna wojna robotników fabryk jedwabiu z wojskiem; tysiąc kilkaset trupów pada, fabryki palą się, a w niemożności szybkiego porozumienia się wojska z Paryżem, robotnicy są przez czas krótki panami miasta. I znowu wieść ta jest dla Krasińskiego objawem przepowiedzianej dyagnozy społecznej. W liście do Reeve'a maluje on w najczarniejszych kolorach przyszłość społeczeństwa i woła:

»Na ruinach zamków i katedr, na złomach budowli gotyckiej, zbryzganej krwią, trzeba będzie usiąść i trzymać lirę wysoko, aby krew jej nie obryzgała: bo krew tryskać będzie... Ale z odwagą i natchnieniem, przy blasku pożarów można przechadzać się i gardzić mordercami; można pogodzić się z losem swym, a wzrokiem ducha dostrzedz w oddali *przedświt*, którego zmysł wzroku nigdy nie obaczy. Cóż znaczą te wrzaski i krzyki, te głowy spadające i ciała napół spalone, napół porąbane? To gniew Boży, który świat odradza... Wszystko runie, spłynie i zgnije — ale nadejdzie dzień, kiedy na tych samych miejscach zboże będzie się kołysało. Nie nam to zresztą myśleć o złotych kłosach. Dzieci nasze będą je zbierały na kościach naszych zbielałych...

»Nim stary budynek się zwali, możemy jeszcze rozprawiać w sklepionych salach i budzić echa przeszłości...

»Ja, com widział krzyż na Koloseum, nie dam się zwieść kilku szaleńcom i nie będę wierzył temu, w co nie wierzyli moi ojcowie.

»Wszystko to złudą, zmorą społeczeństwa, które tworzy i rozprawia, ale czuje, że ginie...«

Ustęp powyższy dowodzi, że zasada, podwaliny i zrąb »Nieboskiej Komedyi« już są w głowie Krasińskiego w końcu 1831 roku.

Myśl jego już przepracowała wielki problem przeciwieństw społecznych. Chodziło tylko o formę, w której miał poeta odlać treść bardzo żywotną. Forma, jakiej dotychczas używał (luźne opowiadanie i wylewy liryczne), nie nadawała się do tak potężnej, kipiącej w sobie treści. Z drugiej strony Krasińskiego tak dotychczas pochłaniała treść sama, tyle czasu poświęcił na jej zgłębianie, że niepodobieństwem było wymagać, aby w 20-ym roku życia zdobył się i na jednę i na drugą. To też kilka lat upłynie, zanim do tej, wzbierającej ciągle w społeczeństwie ówczesnem i w nim samym treści dorośnie i obejmie ją odpowiednia, jedynie jej godna forma.

Życie na pozór płynie jednostajnem, płaskiem korytem; młodzieńcy marzą i roją: Reeve o Genewie i pannie Sautter, Krasiński o Henryecie w Anglii; ale od czasu do czasu fala społecznego życia natrafi na zaporę, kamień i rozbryzgniętą pianą ocuci rozmarzonych młodzieńców i przyprowadzi ich do rzeczywistości, do — nieporządku dziennego.

Tak będzie z Reevem, gdy krzyki i narzekania ludu, domagającego się praw społecznych, zmuszą go do zastanowienia się nad przyszłością Anglii, tak będzie z Krasińskim, gdy rewolucya robotnicza w Lyonie, zwycięska acz krótkotrwała, urośnie w wyobraźni jego, bardzo powiększającej, do symptomatu

grożnego, zwiastującego przełom dziejowy. Wszystko w okół niego będzie mu wróżyć upadek społeczeństwa teraźniejszego. Gdy mu ojciec w pół gniewnie, w pół żartem wyrzuca egzaltacyę niepohamowaną, Krasiński woła: »confiteor, mea culpa, mea maxima culpa!« — ale zaraz tłumaczy się i objaśnia, że nie może być innym, skoro silne jego namiętności i wyobraźnia z ognia dostały się w taki wiek właśnie i w takie okoliczności:

»...oczywistem jest, że szybko zbliża się upadek teraźniejszego towarzystwa Europejskiego, że wszędzie równowaga zerwana, nadpsuta zgoda, nadwątlone posady, i pod zasłoną zawichrzeń i nieładu, coś nowego, nieznanego, o którem nie domyślamy się nawet, usiłuje wyjść na wierzch i świat ten zagarnąć.

»W podobnem jesteśmy położeniu do państwa Rzymskiego, konającego pod napadem barbarzyńców. I wtedy cywilizacya wysokiego była doszła stopnia, i wtedy już ludzie nasycili się byli wszystkiem do woli, do sytości: naukami, poezyą, rozkoszami, krwią gladyatorów, więc wpadli w nudę i niemoc...

»My dzisiaj inaczej postępujem co do formy, tak samo co do ducha. Spieszą się ludzie z swoimi pismami, mowami, systematami. Niema dnia, żeby czegoś nie wynaleźli, nie odkryli, żeby starych gałganów nie zeszyli w świeże chorągwie, pod które zwolenników cisną się tłumy. Kto kiedy widział więcej zbytku w uroczystościach, w obiadach, w balach? Ogromny ruch

wszędzie się objawia. Lud wycina żołnierzy po miastach i pali domy. Poeci szaleją i nie dadzą odpocząć drukarzom. Filozofowie marzą o nowych zbawicielach świata. Sekty nowe zjawiają się...

»...W Paryżu St. Simoniści mają nadzieję, że nową wiarą świat ten stary odmłodnią. A tymczasem młodzież w nic nie wierzy, upija się marzeniami rozgorzałej wyobraźni i kiedy się zatacza nad brzegiem przepaści, w którą to całe pokolenie runąć musi, chlubi się, że nową drogę odkryła i spodziewa się na niej zwycięstw i chwały. Ale wszyscy jednozgodnie czegoś się spodziewają, przeczuwają, że coś wielkiego, strasznego ma nadejść...

»...Nam ludziom teraźniejszego pokolenia trudne zaiste dostało się życie. Stoimy zawieszeni między przeszłością a przyszłością; kochamy przeszłość, bośmy jej dzieci przecie, a wszystko nas od niej odrywa i popycha ku przyszłości, której nigdy nie ujrzymy, bo przed jej ustaleniem, zapewne kilka generacyj jeszcze męczyć się i silić będzie i upadnie wśród walki. Jedynym tu puklerzem jest wiara w Chrystusa i odwaga, bo całe nasze życie będzie burzą; darmo dumać w spokojności i zabawach, lub szczęściu. Nie dla szczęścia zrodzeni jesteśmy, ale na pot krwawy, na ciągłą bójkę, nie tyle zewnętrzną, z okolicznościami — o tę mniejsza — ale wewnętrzną, z naszemi sprzecznemi uczuciami, pamiątkami i nadziejami, które nie przestaną się nigdy ścierać, jedne drugie rugować z naszej duszy. A z tem wszystkiem, choć tyle wycierpimy, choć tyle energii i dzielności rozwiniemy, przepa-

dniemy na zawsze, bo w takowych czasach sława nie pyta się o imiona szczególne, ale tylko o masy. Ci tylko sławni na wszystkie wieki, którzy zamęt uciszają...

»Żyjąc więc w takowych czasach, dumając często nad nimi, martwiąc się niekiedy, oburzając się czasem, wielu rzeczy zrozumieć nie mogąc, ale wierząc, iż wszystkie dążą do zaguby i przetworzenia się, trudno, by się czasem nie ratować exaltacyą. Moja exaltacya jest muzyką Dawida, by serce nie pękło Saulowi...«

Tak, jak roślinka, gdy raz kiełkować pocznie, czerpie ze wszech stron soki żywotne, krzepi się rosą i wiatrem i drobna na pozór, głęboko już w ziemi tkwi korzeniami — tak przyszła *Nieboska Komedya*, bezimienna jeszcze, niepozorna, niepoetyczna, puszcza już korzenie głębokie i wchłania w siebie wszystko, co jej wyjść może na pożytek, a więc list przyjaciela, broszurkę agitatora, wrodzoną niechęć do przechrztów, jakąś przypadkowo otrzymaną gazetkę rewolucyjną warszawską, jakąś przygodną na wsi rozmowę.

Na spacerze niedaleko Genewy, we Ferney, wstępuje Krasiński do karczmy, aby oczyścić fajkę. Zastaje dwie dziewczyny służebne, jednę brunetę, silną i wygadaną, drugą cichą, wątłą, onieśmieloną blondynę.

Krasiński, ciągle myślący o jednem i tem samem, zaczyna z dziewczynami rozmowę o rozruchach robotniczych w Lyonie.

»Dobrze zrobili robotnicy, mój panie — zawołała czarna, wykręcając ścierkę w rękach, jak gdyby krę-

ciła kark dziecku — oni chcą równości. Już od dawna przyrzekają nam równość w niebie; niech się wprzód na ziemi rozpocznie«.

»Nie będzie równości w niebie — odparłem — tylko pod warunkiem nierówności na ziemi, a mówię wam, że wszyscy wy nie pragniecie równości, ale owszem tyranii«.

»Oh, tak — odrzekła bruneta, z uśmiechem kobiety, szukającej wybiegów — tak, my o tem dobrze wiemy, że równość jest niemożliwą na świecie, ale czy już nie dość długo zginaliśmy kolana przed wami, każdy niech spełni swą rolę, każdy po kolei, do djaska!« I wybuchnęła śmiechem, który mnie o dreszcze przyprawił.

»To był przedstawiciel ludu z oczami młodej dziewuchy, a z sercem tygrysiem i z głodem w piersiach.

»Więc chcecie, abyśmy byli waszymi niewolnikami, a to dlatego, abyście mogli jeść, pić i ogrzać się, a wtedy mówicie: Będziemy szczęśliwi! Nie wierzcie temu, niema szczęcia na ziemi«.

»Wiem ja o tem, panie — odrzekła dziewczyna, potrząsając garnkiem — aleć lepiej dobrze zjeść, niż źle, a zresztą, pora już, abyśmy zajęli wasze miejsca! Od iluż to wieków je zajmujecie?« I widać było w jej dużej, błyszczącej źrenicy płomień i pragnienie zemsty za wszystkie upokorzenia, których kiedykolwiek doznała...«

Zwraca się Krasiński do drugiej dziewczyny, cichej i zalęknionej. Ta nie pragnie rzezi i walk i cudzego mienia; wolałaby raczej jeść suchy kawał chleba, byle w spokoju, zdala od zaburzeń.

Krasiński wychodzi z karczmy cały przejęty powagą i poetycznością tej sceny, którą *con amore* przyjacielowi opisze. Widzi odrazu w owej rezolutnej brunetce kobietę przyszłości, kobietę wyzwoloną, o której — mówi — »marzą demoniczni utopiści dni naszych. Nie będzie ona potrzebowała ramienia mężczyzny, aby się na niem wesprzeć — ale też dla serca mężczyzny nie będzie już bóstwem. Silna, muskularna i namiętna będzie równie łatwo zabijać i — rodzić...«

Ta przedstawicielka ludu z oczyma młodej dziewuchy, a z sercem tygrysiem i głodem w piersiach wejdzie z czasem do »Nieboskiej«.

Tak zatem ani w pokoju swym, ani na spacerze nie może Krasiński wyjść z zaklętego koła rozmyślań o doli społeczeństwa i obaw o jego przyszłość. Książka, dziennik, list przyjaciela mówią mu o tem w domu, na przechadzce mówi o tem przygodnie spotkana dziewczyna z ludu. Wszystkiemi drogami duszy wciągać on będzie wątek podatny i pożądany społecznych zagadnień, by przerabiać je na treść pożywną dla przyszłego arcydzieła, które już w łonie poety żyje i czeka, aż się czas wypełni...

V.

Twórczość.

Kiedy się rzuci okiem na twórczość Krasińskiego w tym pamiętnym roku 1831, zdumienie ogarnia nas na widok tego mnóstwa studyów, prób literackich, tej płodności wyobraźni bogatej, niewyczerpanej, wszechstronnej. Rozpoczyna się ten rozkwit w listopadzie 1830 r. na ziemi włoskiej zrazu pogodną nowelką romantyczną »Venus Medycejską«, następnie głębszą refleksyą o Colosseum i jakimiś ułamkami o Włoszech, z których zaledwie dowcipna przedmowa w cząstce się zachowała. Nie mamy dokładniejszych wiadomości o innych pracach z Włoch do Genewy przywiezionych; wiemy tylko, że była wśród nich »Wizya«, o której Reevowi w Genewie opowiadał, a dalszy jej ciąg fantastyczny do Anglii mu posyłał. — Do tych »włoskich« rękopisów zaliczyć trzeba »Wygnańca«.

Dopisek brzmi: »Napisane w r. 1831 i ofiarowane Konstantemu Gaszyńskiemu«. — Sama treść świadczy niezbicie, że mamy tu do czynienia z nastrojem pesymistycznym Krasińskiego, gdy z Rzymu na Flo-

rencyą podążał do Genewy w ciągłej niepewności o Polskę i o swój współudział w wojnie narodowej: »Lecz może w roskosznej krainie, pod jasnem niebem bawiąc się wesoło, przy kochance cudzoziemce, pędząc dni uniesienia i namiętności, z wieńcem kwiecia na skroniach a z jej ręką w dłoni, z ustami na ustach, posłyszysz, że twoja ziemia zrzuca jarzmo i rwie kajdany, które ją krępują: wtenczas, jeśli pożegnawszy wśród jęków i łez lubą na wieki, pobiegniesz ku szczękowi szabel na ojczyste błonia, lecz w pół drogi zatrzymają cię ludzie i okoliczności; jeśli słysząc co dzień wieści o swoich, co dzień napróżno ku nim wzdychasz, słysząc, że się biją, ty drzemiesz; słysząc, że zwyciężają, ty dzielić chwały nic możesz, słysząc, że giną, ty żyć musisz; jeśli się ani uciczką, ani podstępem, ani zbrojną ręką przebić nie potrafisz; jeśli wylawszy moc całą na usiłowania, ujrzysz wreszcie, że daremne i od obu kochanek daleki, ani jednej sławą pocieszyć, ani drugiej zgonem pomódz nie zdołasz: — o wierzaj mi, to jest wygnaniem i takiem wygnaniem, jakiem Bóg tylko w największym gniewie karze grzesznika. Wtedy ci już godziny, w których obcy mówić będą o wieściach ojczyzny, dłuższemi od dni się wydadzą; nocy twoje przeniosą się na pola, gdzie uczujesz ostatnie uciśnienie konających braci...«

Ważniejszym od Wizyi i Wygnańca jest w Genewie, tuż po wyjeździe Mickiewicza, rozpoczęty utwór p. t. *Adam Szaleniec.*

Rozstanie się z Reevem nasunęło Krasińskiemu

myśl napisania »historyjki«, w którejby przyjaciel jego odgrywał pierwszą rolę. Rzecz dzieje się na dalekim od Genewy zakątku jeziora przy Villeneuve. Cudzoziemiec jakiś lord Henry Gram (Reeve) w łódce zbliża się do parowca »Winkelried«, który już odbił od portu, wskakuje do statku, przestrzega kapitana przed skałami (fikcyjnemi) niedaleko St. Gingolphe, rozmawia z kapitanem statku o dawnych swych stosunkach genewskich i rozpytuje się o przyjaciela swego. Kapitan mu odpowiada, że przyjaciel jeszcze żyje w Genewie, ale że zwaryował. Niedaleko brzegów Sabaudyi zrywa się burza. Jakaś barka tonie. Lord Gram ratuje człowieka w barce — pokazuje się, że to jego przyjaciel — szaleniec. Zrazu ucieka on w Genewie od Anglika. Potem przyszedłszy na chwilę do zmysłów, daje mu do odczytania swój rękopis. Jest tam i wspomnienie Henryety, szał, wstyd, ojczyzna — jednem słowem uczucia duszy samego Krasińskiego. — Lord Gram wywozi chorego przyjaciela swego z Genewy do Valais, gdzie w jakimś klasztorze szaleniec, który rozumie jednak, że tylko w niebie jest dla niego ratunek, zostaje księdzem. Krasiński krótko streszcza swą »historyjkę«:

»Opis łuków wygiętych w klasztorze na górze — scena wyświęcenia kapłańskiego — świece w środku nawy, odblask czerwony. Lord Gram w głębi, nazajutrz ma wyjechać. Nowy ksiądz idzie do swej celi. Nazajutrz znajdują go w agonii, kończy z gorączki. Pożegnanie Lorda Gram z przyjacielem. Koniec«.

Ponieważ to pierwsze streszczenie powiastki na-

trafiło na różne krytyczne uwagi Reeva, który stawiał zarzuty technicznym szczegółom dotyczącym statku, jeziora, a także nie zgadzał się z ponurem zakończeniem, Krasiński wraca w następnym liście (7 czerwca) do tejże nowelki, dokładniej ją streszcza według rozdziałów i poraz pierwszy wymienia tu imię szaleńca: Adam. — Ze streszczenia dokładniejszego widać, że wspomnienia Henryety przeważną tu grały rolę; dyalogi, przytaczane w urywkach są dziwną mieszaniną napuszonego i dziecinnego niemal stylu.

Są to tyrady, jak je sam Krasiński nazywa. Pokazuje się jednak, że pierwotna »historyjka« zaczyna się wydłużać. Niema już mowy o nagłem zakończeniu i śmierci w klasztorze. Owszem, dowiadujemy się, że drugi rozdział kończy się ucieczką Adama w łódce w nocy. »Dotąd doszedłem — pisze Krasiński — i nie posunąłem się dalej. Przepraszam za tak długie nudy. Chciałbym, aby całość utworu zostawiła w czytelniku wrażenie poematu, tymczasem szczegóły są romansem, bo nie umiem pisać wierszy«.

Począwszy od 12 czerwca, zaczyna Krasiński posyłać Reevowi obszerne wyjątki z Adama Szaleńca i to nie w streszczeniu, ale w dosłownym przekładzie z polskiego. Utwór ten zaczyna go nęcić i przykuwać go do siebie. Jedyne godziny życia są dla niego te, w których pisze »swój poemat lub romans«, kiedy opisuje szaleństwo człowieka, »który ma mnie przedstawić, kiedy usiłuję przypomnieć sobie wszystkie me wrażenia, wszystkie troski, wszystkie rozproszone krople goryczy, aby zebrać je

w pełny kielich, pokazać go może kiedyś ludziom ze słowami: »oto co mi dał świat i jego mieszkańcy!« Z pierwotnej historyjki wyrasta rodzaj pamiętnika, w którym prawdy więcej niż zmyślenia.

Urywki posyłane Reevowi (ogółem jest ich sześć) nie dają jasnego wyobrażenia o całości, która, zdaje się, wykończenia się nie doczekała. — Nie mamy epizodu, jak Adam Szaleniec ucieka z szaletu na górze Salève, całą noc rozmyśla nad światem duchów i opowiada w końcu Gramowi zjawienie się św. Rozalii.

Jakie znaczenie sam przypisywał utworowi temu, widać z uwagi kończącej list z d. 25 lipca: »Ciągle piszę mego Adama; może to kiedyś będzie jedyny dowód, przemawiający na moją korzyść«. — Ostatni urywek przesłany Reevowi mieścił się w liście z dnia 27 lipca. Na sierpień przypadają fragmenty d. c. Wizyi, związane ze wspomnieniami wycieczki do Arveyron; przerywają one natchnienie »Adama«. We wrześniu wzburzony jest projektowaną wyprawą na Żmudź, następnie wiadomością o wzięciu Warszawy i pisze dalej »Wizyą« (wywołanie ducha wieków), Przeora Augustyanów, wreszcie »Gwiazdę« (L'Étoile). Milczenie Reeva mogło też było podziałać zniechęcająco na Krasińskiego. List z 29 września kończy się wymówką: »Nic mi nigdy nie mówisz o tem, co ci posyłam: o Adamie, o Wizyi duchów stuleci? Krytykuj-no!« — Milczenie Reeva tłómaczy się tem, że go sprawy społeczne Anglii więcej obchodzą zrazu, niż cały Adam Szaleniec. Dopiero 13 grudnia 1831 r. przypomina sobie Reeve gorączkowy utwór przyjaciela i pisze: »Daj u Bar-

bezata wydrukować rękopis Adama. Nie zapominaj, że możesz zmusić każdego człowieka, znającego język polski, do pokochania ciebie i uwielbienia (adorer). Zrobisz sobie opinią całkiem do ciebie należącą, opinią poety, nie mającego nic wspólnego z historyą twego rodu, ani z błędami poprzedzających cię pokoleń. *Curtius Rufus videtur mihi ex se natus*, mawiał Tyberyusz...

»Kto będzie śmiał powiedzieć, że ojciec twój nie znalazł się w murach Warszawy, skoro rozgłos twój powiększy się, nie kosztem chwały ojcowskiej, ale na korzyść jego nazwiska... Skończę, od czego zacząłem: Ogłoś manuskrypt Adamac. Krasiński rady tej nie usłuchał. Ani Adama Szaleńca nie wydał, ani rozgłosem osobistym nie chciał się nad ojca w opinii publicznej wywyższać. Całe życie robił co mógł, aby pozostać bezimiennym poetą polskim... Powody, dla których Adama nie ogłosił były zresztą głębszej natury:

O ile z fragmentów pozostałych sądzić wolno, całość nie była związana silnie ścięgnem jednej przewodniej myśli. Rozpacz po stracie kochanki i ojczyzny była zapewne przedmiotem godnym najwznioślejszych, lirycznych uniesień. Ale ten sam przedmiot nie znosił epicznego traktowania, nie nadawał się do spokojnego opowiadania. Jeżeli gdzie, to tutaj, nie wolno było z hymnu zstępować do prostej powieści.

Tymczasem Krasiński, rozpocząwszy rzecz na krótkie rozmiary (»historiette«), w ciągu pisania pod wpływem hiobowych wiadomości, nadsyłanych mu

z Paryża, rozszerzał ramy opowieści, przeciągał nić zasadniczą (szału), a co gorsza, to co było jeszcze rzeczywistością bieżącą, to już poetyczną szatą wspomnienia przyoblekał. Na przekór hasłu Schillera:

Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen —

on to, co jeszcze żyło (przyjaźń dla Reeva, miłość dla Henryety, a cóż dopiero miłość ojczyzny) żywcem kładł do trumny pamiątek.

Dziś dla nas te szczątki *Adama Szaleńca* mają ogromną wartość, nie same w sobie, ale o ile są wiernem odbiciem ówczesnych uczuć i poetyckich rojeń Krasińskiego. Przekonywamy się przedewszystkiem, czego przedtem domyślać się tylko było można, że pomysły Nieboskiej i Irydiona powstawały równocześnie, owszem pomagały sobie i krzepiły się wzajem. Nie było zatem owej »marche descendante«, owego zstępnego rozwoju ducha, jak przypuszczał Klaczko, który dziwił się, że po idei komedyi Nieboskiej, idei wszechludzkiej, zstąpił Krasiński do węższego zakresu myśli Irydionowych.

Oto ustęp z *Adama Szaleńca*, nie pozostawiający żadnej wątpliwości co do tego, że Irydion i Nieboska były jakby dwoma strumieniami, płynącymi z jednego wspólnego źródła, z idei o potędze chrystyanizmu, kruszącej tak samo Rzym stary, jak i stary dziś ustrój nasz społeczny.

»Marzyłem wśród ruin: Starożytny świat pobity, u mych stóp, przed krzyżem z drzewa — milczenie grobowców ponad tem; burze naszego wieku,

wspomnienia ojczyzny mej ujarzmionej — wszystko to mięszało się w mym mózgu. Pocieszałem się, spoglądając na Rzym w glinie i w błocie, bo w dzieciństwie mem poprzysiągłem był zemstę innemu Rzymowi, a depcąc pierwszy, wyobrażałem sobie, że kiedyś deptać będę drugi.

»W nocy idąc z Kolosseum na grób Cecylii (Metelli) brałem w ręce me z uśmiechem ironii szczątki porfiru, jaspisu i miotając je na kamienie, cieszyłem się, że się kruszą na tysiączne kawałki. »Tak będzie kiedyś z pychą Północy!« wołałem, a echo sarkofagów, powtarzając ostatnie wyrazy, przedłużało je ponurym dźwiękiem, tak, iż widziałem się już na pogrzebie tyranów«. —

Widzimy zatem, jak do myśli czysto »rzymskiej«, że się tak wyrażę, mięszają się odrazu dwie myśli współczesne: myśl o »burzach naszego wieku« i myśl o ujarzmionej ojczyźnie. Wspólnem tych myśli źródłem było pojęcie krzywdy ludzkiej: Rzym *uciemiężający* ludy barbarzyńskie i piękną Grecyą; społeczeństwo XIX w., *krzywdzące* czarną masę robotników i Rosya, *przygniatająca* butem sołdackim powaloną Polskę, wyciskająca z niej resztki życia. Temu pojęciu krzywdy ludzkiej przeciwstawiało oburzone serce poety uczucia zemsty, krwawego odwetu, uczucie pielęgnowane już, jak sam mówi w czasach dzieciństwa, a tak namacalne w pierwszych, naiwnych utworach (Grób rodziny Reichstalów, Mściwy karzeł, Teodoro i t. d.). W związku z powyższemi założeniami, budzi się w Krasińskim estetyczna konieczność tworzenia *antytez* moralno dziejowych:

Krzywdzącemu Rzymowi przeciwstawiony będzie mściwy Grek, Irydion — krzywdzącej arystokracyi XIX-go w.: mściwe bożyszcze tłumów ciemnych i cierpiących: Pankracy.

Czas stawiania antytez będzie oczywiście pierwszą fazą twórczą, stanem, że tak powiem embryonalnym Nieboskiej i Irydiona; aby te płody duchowe dojrzały do wyjścia na świat, potrzeba będzie pogodzenia i wyrównania antytez w syntezie, którą zwolna dopiero wypracuje w sobie duch Krasińskiego.

Ale wróćmy do Adama Szaleńca. Od niego trudno wymagać syntezy, on cały pogrążony jest w antytezie, w poczuciu zemsty za doznaną krzywdę. *Campagna* rzymska ciszą swoją nie koi jego żalu i bolu: »Ach, niczego nie pragnę, chcę tylko w godzinę skonu mieć przeczucie, że nieprzyjaciele ojczyzny mej runą w proch tak samo jak te portyki, i że kiedyś będą marzyć i kląć na ich grobach, jak marzyli i przeklinali na tych tu ruinach ludzie wolni, którzy pogrążyli w piasku potęgę Rzymu...«

Inne fragmenty dotyczą świeżych wrażeń niemocy wydobycia się z Genewy, wstydu wobec Maryi (tak się tu nazywa Henryeta Willan) i współrodaków; czasem jasna świadomość cierpień moralnych i ich następstw, cierpień fizycznych, wyrywa Krasińskiemu z piersi narzekania, Jobowym podobne:

»Kto odda oczom naszym zgasłym ogień młodości? Kto z powiek mych zetrze ślady łez, które przeżarły je jak krople, co liście dziurawią. Ach, napróżno, napróżno! Jesteśmy tem, czem nas zrobiły nienawiść ludzka i zemsta Boga (!)

»Pochyliłem się przed czasem ku ziemi — głos mój stał się ochrypłym, nieustająca gorączka napełnia krwią źrenice moje, serce już na pół zgniło w mem łonie...«

Tęsknota za krajem rodzinnym i miłość ojczyzny wybuchają tu jękami i skargami najczulszemi:

»Ha, już nie zobaczę nigdy tej ziemi, gdziem się wychował, tego domu, gdziem wyrósł, tej kaplicy, gdzie spoczywa moja matka! Ach, dzwonek tej kaplicy roztopiłby we łzy całą twardość głazu, który noszę w mym łonie! Wieczorem módz się pomodlić tam przed kratą, niedaleko trumny przy blasku lampy — a z pola dochodzi mnie śpiew oracza, odgłos pługa, pierwszy krzyk nocnego ptaka, pierwsze westchnienie wieczornego wietrzyka, ostatni ćwirk skowronka, ostatnie pożegnania rozstających się wieśniaków, całe dzieciństwo moje ciśnie się przez kraty krypty i otacza mnie w pobliżu grobowca mej matki; a potem jej łoże śmiertelne i ostatnie pożegnanie, a potem lata młodzieńcze. — Przestań! potknąłem się o hańbę. Ona mnie obaliła o ziemię — nie, nie — już się nie podźwignę nigdy...«

To znowu Adam Szaleniec wzywa szatana, pana ciemności i potępionych, aby dał mu swej siły archanielskiej na zniesienie ciosów i nieszczęść. Pogarda Maryi ciąży mu jak największe brzemię, brzemię nie do zniesienia. Chciałby już Herostratowej sławy, rozgłosu zbrodniarza, byleby tylko wyrwać ją z milczenia wzgardliwego.

Zachowane fragmenty z Adama Szaleńca dają dostateczne wyobrażenie, czemby mogła być całość.

Zamierzona zrazu »historyjka«, której pogodny i swobodny początek zapowiadał nowelkę smutną, ale nie zbyt znowu tragiczną, wyrastała w miarę pisania na jakiś ogromny monolog Szaleńca, pełen lirycznych wybuchów, ale nie pozbawiony logicznego myślenia. Cała trudność polegała właśnie na tem, aby postać bohatyra nabrała jakichś rysów prawdopodobieństwa. W krótkiej nowelce byłby charakter Adama Szaleńca i geneza psychologiczna jego szału nie dały się dostatecznie uzasadnić; rozwinięcie zaś dłuższe wątku powieściowego przy zupełnym braku jakiejkolwiek akcyi narażało historyę Adama Szaleńca na nieuniknioną monotonię narzekań i jęków bohatyra. Sam Krasiński to czuł już w czasie pisania, skoro wyjątki przesyłane Reevowi nazywa tyradami, a nawet jeremiadami. — Bardzo jest zatem podobne do prawdy przypuszczenie, że Adam Szaleniec nie był nigdy ukończony i że go z czasem Krasiński w rękopisie zniszczył. — Na zniszczenie mogła także wpłynąć zmiana zapatrywań na ruch narodowy r. 1831. Krasiński dowiedział się od Łubieńskiego, Jezierskiego i innych o przeważnej roli, którą odgrywały kluby warszawskie polityczne w wywołaniu i kierownictwie ruchu narodowego. Wstręt do klubów demokratycznych wpłynął oziębiająco na dawniejszy entuzyazm dla roku 1831. Rozpacz Szaleńca, że nie wziął udziału w wojnie narodowej, wydawać się mogła już w r. 1832 samemu Krasińskiemu nieco egzaltowaną. Straty tej nie ma powodu zbytnio żałować, skoro dochowały się (choć w przekładzie francuskim) fragmenty, które dają nam wyobrażenie dostateczne

o utworze, a równocześnie zawierają w sobie dowód, że zestawienie potęgi Rzymu z potęgą carymu rosyjskiego nasuwało się już w r. 1831, stanowiąc urodzajną niwę dla przyszłych pomysłów Irydionowych.

Po Wizyi, do której w sierpniu dorabiał ciąg dalszy, niezbyt różny od nastroju Adama Szaleńca, Krasiński napisał, jak już wspomnieliśmy, po francusku, ustęp elegijny p. t. Gwiazda, (*Une Étoile*). Jest to »hymn pogrzebowy dla Polski«, jak go sam nazwał. — Gwiazdą, gasnącą na niebie ludzkości jest Polska. Krasiński wyobraża ją sobie jako gwiazdę, rzuconą na wszechświat, krążącą wśród niezmiernych globów twardych, obok planet z ołowiu i krwi. Spotkanie młodej, pięknej gwiazdy z cięższemi planetami, groziło jej śmiercią i zniszczeniem. Jakoż uległa tej katastrofie »młoda męczenniczka niebios«. Co się z nią stało po nieszczęsnem rozbiciu? Czy leży kędyś jako masa bezduszna, czy też zmieniwszy bieg, wychyli się kiedyś z ciemnicy i bolu, ukaże się znowu na horyzoncie? Poeta ufa Bogu zemsty i sprawiedliwości. Gwiazda wyjdzie kiedyś z biegu dalekiego, ciężkiego i zapomnianego. »Wstrząśnie grzywą promienistą, jak rumak gotujący się do boju, stanie znowu do walki, aby znaleść w niej coś więcej nad chwałę«.

„*Gwiazda*“ napisana jest piękną, patetyczną nieco francuszczyzną. Porównanie zdaje się na pozór odnosić do całej przeszłości polskiej; przy bliższem rozpatrzeniu się widać, że Krasiński miał tylko na myśli Królestwo kongresowe:

»A son *court* passage vous l'avez saluée, comme un berceau de lumière, et ce n'était qu'un cercueil. Mais nous serions des ingrats, si nous pouvions oublier si tôt cette lueur fugitive qui jeta tant de de vie dans nos âmes...

»Que va-t-il faire ce fragment d'un monde brisé...«

Utrzymać porównanie do końca nie było wcale łatwe; aluzye polityczne nie są dość przejrzyste. Cały wybuch powstania jest tu pominięty, a powód upadku niejasny: »Alors elle s'arrêta comme pour prendre haleine, et c'était pour mourir... elle attendit l'avalanche des sombres étoiles, qui se détachaient de toutes parts (?), pour se précipiter sur elle (?)...«

Ale każde porównanie kuleje, a cała wartość poetycka tego utworu polega na pięknym stylu i bujnej wyobraźni młodzieńczej.

W tym samym tomie *Bibliothèque Universelle* (na str. 99—102) znajduje się opis zachodu słońca na Montblanc: Le coucher du soleil sur le Mont-Blanc. Extrait du journal d'un voyageur.

Przed rokiem ogłosił był Krasiński w Pamiętniku dla płci pięknej (II, 165—167) »Myśli Polaka przy górze Mont-Blanc«, pełne entuzyazmu sztucznego (»Witam cię góro! Witam cię nieśmiertelności obrazie!... Oh! Witam cię Montblanc! — O! słońce! itd.). Tutaj mamy do czynienia ze spokojnym i wiernym opisem przyrody, tu i ówdzie uduchowionym, albo przeładowanym w porównaniach.

Zdawaćby się mogło, że jak na jeden tylko rok, i to tak ciężki rok wojny narodowej, trudno już było

o więcej prób i szkiców literackich. Ale dla podnieconej wyobraźni Krasińskiego nie wystarczały ani szkice włoskie, ani Adam Szaleniec i Wizye, ani drobne utwory francuskie.

Wiadomość, zrazu ogólnikową, o nowym utworze polskim znajdujemy w liście z dnia 2 października 1831 r. — Krasiński jest wtedy cały wzburzony upadkiem powstania, wzgardą Henryety. Sam jest przeświadczony o swej nerwowości (mes rêveries, mes phrases saccadées, mes vacillements) i kończy list: »Allons, mon ami, je vais finir, je vais finir; mais avant je vous dirai que j'ai commencé un poème de l'histoire de Pologne — tant est fort en moi le besoin d'écrire que rien ne peut reduire en poudre...«

Wzmianka ta ogólnikowa o poemacie polskim z historyi polskiej powtarza się w liście z d. 16 października. Donosi tam Reevowi, że nie miał od dwóch tygodni natchnienia (a więc właśnie od czasu pierwszej wzmianki), ale że »dziś zmartwychwstał i napisał właśnie długi ustęp z poematu polskiego«.

Nie wiedzielibyśmy, o co chodzi, gdyby nie Reeve, który zażądał od Krasińskiego przysłania mu wyjątków z poematu o historyi polskiej, jak mu się wydawało. Wówczas to Krasiński tłómaczy się jaśniej (20 października) i pisze tak:

»Trudno posłać cokolwiek z mego poematu, bo tworzy on całość i nie może być rozdrobiony (scattered) na kawałki. Nie zrozumiałbyś z nich, o co chodzi. Ale, do licha, to nie jest poemat o historyi polskiej, ale zdarzenie z historyi polskiej — o fałszy-

wych Dymitrach rosyjskich, z których jeden pojął Polkę za żonę, albo raczej obaj...«

A zatem Agaj-Han!

Nie mieliśmy dotychczas dokładnej daty napisania tego utworu; obecnie możemy najdokładniej określić chwilę powstania tej opowieści historycznej, którą Krasiński nazywa poematem. Możemy także oznaczyć kilka przynajmniej stacyj twórczych.

6 grudnia 1831 r. donosi Krasiński: »Piszę ciągle mój poemat polski. Są w nim pożary i bitwy, zabawy i rozkosze. Jestem pod wpływem czasów, w których żyję. Ale, co prawda, zdarzenie odbywa się w czasie, kiedy olbrzymie carstwo moskiewskie waliło się od Bałtyku do morza Kaspijskiego, pod żelaznymi rękawicami wojowników polskich. Był to także świat mający zginąć (s'en allant périr), a zdobywcy deptali ruiny z chciwością i śmiałością Hiszpanów Korteza z Meksyku. To też można tworzyć wspaniałe obrazy z tych dni tryumfu i żałoby, z tych nocy pożarów i rozpusty. Starałem się zwłaszcza odmalować osobę fantastyczną, prawie dziecko, ze Wschodu, płonące namiętnościami; następnie (malowałem) uczucie niezawisłości i awanturniczą karyerę przewódcy Kozaków, który na wątłej łódce płynąc po Dniestrze (!) po przez morze Czarne szedł palić przedmieścia Konstantynopola. A sułtan z wściekłości przegryzał bursztyn w swych zębach, patrząc z okien Seraju na dym i pożogę — a potem przewrót w Rosyi, błędne pogonie dowódców polskich, co zapędzali się aż do Azyi i łupili ten kraj, pełen

kamieni drogich, kwiatów i światła... ludy muzułmańskie pomięszane z narodami chrześcijańskiemi.

»Wiek ów, to nasze wieki średnie.

»Wszystko tam bohatyrskie i nacechowane energią. Znaleść można w Polakach, co na swych koniach przebiegają Moskwę od morza do morza, olbrzymi zapał (szał), wiarę w samego siebie, poczucie siły osobistej barbarzyńców, co się na Rzym rzucili i Rzym deptali. Tak padła Moskwa przed mymi przodkami! Ach! przodkowie moi wielcy byli i wierzyli w Najśw. Pannę. Wzywając Jej imienia bili szablami w lica wrogów; ci padali, by już nie powstać. Stara Polska miała dni chwały olbrzymiej i świetnej; mało który naród tyle zrobił i tyle zdobył. Dla nas przeszłość jest niebem czystem, ogromnem, lśniącem. Zwrócić się ku niej, to znaczy zwrócić się ku chwale. Nasza przyszłość z niej tylko wytryśnie i żal mi, kiedy widzę, jak tylu ludzi rzuca się na szyję Francuzom, aby wyżebrać u nich wzory, a wystarczy uklęknąć u trumien ojców, aby wyczytać na nich nazwiska bohatyrów. — Głupstwa i błazeństwa Dantony i Lamarki, tam, gdzie się miało Zamoyskich i Sobieskich. Potomkowie ich — to niewdzięczniki. Cały tłum ludzi dzisiejszych zblednie przed jednym jedynym grobowcem ludzi przeszłości...«

W słowach powyższych mamy doskonałe określenie pobudek psychologicznych i estetycznych, które wpłynęły na wybór tematu: tryumfowi Rosyi z roku 1831 chciał przeciwstawić poeta tryumfy Polski z r. 1612, ukoić niemi swój ból patryotyczny. Równocześnie, wobec nowożytnych ideałów społecznych ryso-

wała się poetycznie, pełna chwały i uroku przeszłość Polski szlachetnej i szlacheckiej. Dantony i Lamarki nie mogli wytrzymać porównania z Zamoyskimi i Sobieskimi. Całe pojęcie przeszłości dziejowej Polski jest tu młodzieńczo gorące i naiwne — do krytycznego rzutu oka z Psalmów jeszcze bardzo daleko!

Ale nawet Agay-Han nie wyczerpnął całkowicie energii i fantazyi Krasińskiego. Dnia 30 października 1831 r. donosi Reevowi, że napisał w tych dniach dla *Bibliothèque Universelle* opowieść à la Balzac. Jest to historya młodego Hiszpana w Wiedniu. Tajne towarzystwo jakieś (*divine, mystérieuse*) kazało temu Hiszpanowi rozsiewać cholerę w kształcie proszku białego, zawartego we flaszeczce. »Historyę tę napisałem jednym ciągiem, od 10-ej rano do 8-ej wieczór, nie wstając od stołu, chyba dla zapalenia cygara. To też kiedy wstałem, byłem na pół szalony. Straszną jest ta historya. Mam tymi dniami w sobie niecierpliwość jakąś, głuchy gniew, który mnie trawi i robi nieszczęśliwym, jak nigdy jeszcze nie byłem«.

Wymieniona tu bezimiennie powieść *à la Balzac* nie doczekała się druku w *Bibliothèque Universelle*. Dochowała się natomiast w autografie, według którego wydrukowano ją w drugim tomie »Correspondance« (str. 269—293). Osnowa jej fantastyczno-romantyczna przykuwa i dziś jeszcze uwagę nietylko polskiego czytelnika. Dowodzi ona, że w Krasińskim tkwił materyał na poważnego powieściopisarza francuskiego. Początki Balzaka nie były lepsze od owej Cholery, w której mamy niejedno echo bezpośrednich wrażeń genewskich z czasu panującej tam

epidemii cholerycznej. Zwraca tu uwagę naszą scena podziemna jakiegoś tajnego zgromadzenia z wielkim kapłanem Izydy (l. c. 281), mędrcem Ionii itd. Cała scenerya przypomina bardzo późniejsze zebrania w podziemiach z »Niedokończonego Poematu« i z tego względu *Le Choléra* ma znaczenie zarodnej komórki pomysłu, po latach inaczej rozwiniętego.

Podobne znaczenie posiada niejeden z licznych artykułów francuskich, pisanych w ciągu 1830 i 1831 roku.

Z autografów francuskich wyczytać można zwikłane dzieje cichych, bezkrwawych, a tak znojnych walk wewnętrznych młodego poety, zdobywającego, po stromych ścieżynach, w pocie ducha, te ideały społeczne, które przyświecać miały »Nieboskiej Komedyi« i wieść go na szczyty prawdy i piękna.

Niepodobna dać tutaj wyczerpującą charakterystykę czterdziestu kilku artykułów francuskich, napisanych przez Krasińskiego w ciągu roku 1830 i 1831. A przecież trudno je pominąć milczeniem. Mało mamy bowiem w historyi literatury naszej podobnie ciekawych dokumentów psychologicznych. Dusza polska wyciska tu swe znamię na obcej formie, w obcym języku. Myśli bujne, wzbierające jak rzeka na wiosnę, wylewają się pędem żywiołowym i torują sobie drogi różne, nieoczekiwane, często zdumiewające. Nie są to jeszcze myśli wykształcone, ścięte w kryształ zasad, ale mgławice, ale puchy nasienne, gnane wichrem młodości, rodzajne kędyś po latach...

Stajemy u kresu twórczości z j e d n e g o tylko roku! Krasiński tak ją sam określi ojcu:

»Napisałem dużo rzeczy w wielu rodzajach: jedne rozsądniejsze, drugie niepomiarkowane — podług stanów mojej duszy: kiedy wpadała w gorączkę, musiałem jej ulżyć, pisząc szaleństwa. To wdawałem się w żarty z ludzi, to w płacze nad nimi, to w potoczne ich życie, to w świat wyższy, świat Duchów... Zdaje mi się czasami, że siła mojej wyobraźni coraz się krzepi«.

Z daleka nawet widzi to Reeve i pisze do przyjaciela: „*Votre puissance intellectuelle augmente rapidement*“. Spostrzeżenie to całkiem było słuszne.

Rok 1831 był przełomem w wyobraźni, w sile uczuć, w sile twórczej Krasińskiego. Rok to wielki w jego życiu — może nawet największy. Nieszczęścia wszelkiego rodzaju: klęska narodowa, klęska rodzinna (jawne potępienie jenerała przez opinię publiczną), klęska osobista, sercowa — wszystkie te bole przeorały do głębi młodzieńczą niwę umysłu i serca Krasińskiego. A równocześnie padało ziarno natchnień, plenne i czyste: *Nieboska komedya* już się zawiązuje wśród ciągłych obaw poety o dolę ludzkości — *Irydyon*, w poczwarce Adama Szaleńca; wreszcie *Agaj-Han* rozpoczęty i daleko posunięty. A tak, rzec można bez przesady najmniejszej, że duch Krasińskiego będzie przez długi lat szereg czerpał soki żywotne z natchnień, nagromadzonych w r. 1831. Stanął on wówczas na wyżynie moralnej, na którą wyniosło go cierpienie wielkie, uszlachetniające; na tej wyżynie nie długo, niestety, zdoła się utrzymać. Krewkość młodzieńcza rzuci go niebawem w wir uciech światowych; ten wir go upoi, ale go nie po-

chłonie. Uratuje go wspomnienie 1831 roku. Ku wyżynie, wówczas osiągniętej, będzie on nieraz zwracał wzrok tęskny; będzie go ona nęcić ku sobie i wołać: *Excelsior!*

Rok 1831 jest decydującym w zapatrywaniach poety historycznych i narodowych; tylko filozoficzne ulegną z czasem przeobrażeniom. W ciągu tego jednego roku dokonywa się w nim ewolucya umysłowa, estetyczna i społeczna, ewolucya, do niedawna zupełnie zagadkowa, a wyjaśniona dopiero przez listy do ojca i do Reeva.

I tem się tłumaczy, że tak długo zabawiliśmy przy r. 1831. Robota około fundamentów wydaje się niepozorna, niemiła, jednostajna. A jednak od jej dokładności i mocy zależy cała wartość i siła budynku. Tylko ten, kto z uwagą dochodził początków i prób literackich Krasińskiego, będzie miał klucz do tajników późniejszej jego twórczości. Tylko ten, kto od fundamentów bada plan architektoniczny budynku jego twórczości, zrozumie wszystkie powikłane przejścia tego ogromnego zamczyska myśli potężnej i trafi do poetyckiej świetlicy równie dobrze, jak do ustronnej kaplicy patryotycznych rozmyślań.

Rok to brzemienny w następstwa dla całej naszej poezyi, ale bodaj na nikim nie wywarł tego wpływu, co na Krasińskim. Kiedyś, gdy całokształt jego korespondencyi poufnej ujrzy światło dzienne, pokaże się dowodnie, że rok 1831 był istotnie najważniejszym, najboleśniejszym rokiem jego życia. Siew był w »gorzkości«, polewany łzami — ale plon wyrósł bujny, na pożytek pokoleń całych.

VI.

Ostatnie miesiące w Genewie. Wyjazd.

Ciche, spokojne życie genewskie nietylko sprzyjało pracy, ale do niej wprost wyzywało. To też Krasiński gromadzi wówczas olbrzymi zapas erudycyi, czyta bez wytchnienia historyków i filozofów, Ballanche'a i Micheleta, ale nie zapomina o polskich pisarzach. Babkę prosi o nadesłanie klasyków polskich i tak ojcu uzasadnia swą prośbę:

»W ostatnim liście do Babuli (listopad 1831 r.) ośmieliłem się Jej prosić, by była łaskawa przysłać mi kilka książek polskich, jako to: *Kazania Skargi*, 2 tomy in octavo czy duodecimo; *Chronikę Górnickiego*, wydania Dmochowskiego i tłómaczenie *Jerozolimy Wyzwolonej* przez Piotra Kochanowskiego, bo się lękam, bym nie zapomniał polskiego języka; nie używam go bowiem w rozmowach, li tylko nim piszę, a rzadko czytuję. Ale teraz przenoszę tę prośbę do kochanego Papy i zaklinam, by zadosyć jej uczynił, bo prawdziwie czuję, jak język moich ojców słabieje w mojej pamięci — i nie dziwota temu, gdyż rzadko jaki Polak się zdarzy, z któ-

rymbym mógł — i to niedługo — rozmawiać, a proszę o Zygmuntowskich autorów dlatego, że w nich jednych tylko zachował się klejnot polskiej mowy — reszta naszych pisarzy po większej części po francusku myślała, a po polsku pisząc, przerabiała słowami słowiańskimi tok myśli francuskich«.

Babka spełniła gorącą prośbę wnuka. W miesiąc potem miał już Z. Krasiński autorów żądanych i uradowany dziękował starościnie opinogórskiej w liście z 25 grudnia 1831 r. za Skargę, Górnickiego, Kochanowskiego. Zachwyca się nimi: »Jaką radość uczułem, kiedym przeczytał kilka kartek Skargi, w którym polszczyzna tak dostojna i wyborna, a myśli tak poważne, a proroctwa tak dobitne...

»...mnie, czytającemu owe martwe drukowane słowa, dreszcz bieży po ciele i serce w smutku tonie...

»Smutnem to nader było uczuciem, kiedy mi się zaczęło wydawać, że zapominam stopniami po polsku. Często trawiłem całe godziny na przypominaniu sobie słowa, na dąsaniu się z moją pamięcią — gniewałem się i martwiłem, ale teraz mam nadzieję, że tę puściznę świętą po przodkach zachowam nieskażoną w sobie«. — Równocześnie Jakubowski donosił starościnie opinogórskiej, że Zygmunt »czyta gorliwie Skargę«.

W grudniu przyjechał do Genewy Roman Załuski, mąż pani Amalii, i rozmowami swemi utwierdzał Krasińskiego w przekonaniu, że zanosi się na zmiany głębokie w ustroju społecznym:

»Nie wierzy on, zwyczajem XIX wieku, w przy-

szłość pełną wielkości, szczęścia, rozkoszy — w przyszłość, której warunkami są rzezie i mordy, a podstawą materyalne szczęście bez religii, bez żadnego ładu, wsparte na dumie człowieka, na dumie rozuzdanej, która spoglądając na gwiazdy w górze, zlatuje w przepaść u dołu. Zresztą, jakem wyżej powiedział, jest to człowiek styrany, który dawniej wierzył, że żyć trzeba gwoli zabawie, a dziś wierzy, że żyć trzeba gwoli smutkowi i pokucie«.

Koniec r. 1831 i początek 1832 spędził Krasiński wśród sprzecznych uczuć: między balem hucznym, a pogrzebem młodziutkiego, 16-letniego Artura Sobańskiego. Krasiński idzie za trumną rodaka i na cmentarzu nasuwają mu się myśli bardzo dziwne, a zupełnie przystające do niedalekiego autora Nieboskiej:

»Ponieśli trumnę do grobu tylko co wykopanego. Pot lał się z czoła grabarzy, bo ziemia twarda była, pracowali, jak aresztanci; kto wie, może w chwili zmęczenia przeklinali tego, co właśnie umarł: »Oh, niedość tego, że bogacz gnębi nas za życia; po jego śmierci musimy jeszcze dla niego kopać i pocić się. Niech będzie przeklętym bogacz za życia i po śmierci«. I wrzucili trumnę do grobu, jak się rzuca ciężki kamień na wroga...«

Oto próbka nastroju myśli o społeczeństwie, prawdziwej zmory, która nie opuszcza już na chwilę Krasińskiego. Wzrok i słuch ma wytężone w stronę Paryża i Francyi, bo zdaje mu się, że stamtąd przyjdzie burza.

27 stycznia 1832 donosi Reevowi, że St. Symoni-

stom zamknięto ich zbór i że rozpoczęto kroki sądowe przeciw ich »papieżom« (Bazard i Enfantin). »Mimo to twierdzę, że St. Symoniści przeminą (feront leur temps) a spełnią swe przeznaczenie; a przeznaczeniem ich jest stanąć kiedyś na czele wielkiego ruchu proletaryuszów; wtedy to, mój Henryku kochany, nadejdą dni próby, które zachwiałyby nawet wybranymi, gdyby Bóg nie przyspieszył końca świata«.

Reeve postanowił wyjechać z Anglii na czas jakiś do Francyi i Niemiec; miał się poświęcić karyerze prawniczej i należało mu wprzód nabyć dokładniejszego uniwersyteckiego wykształcenia. Już w styczniu 1832 r. zapowiedział Krasińskiemu przyjazd swój do Genewy, dokąd go, prócz przyjaciela, ciągnęły przedewszystkiem wdzięki panny Sautter. Można sobie wystawić, z jaką radością powitał Krasiński samą wiadomość o bliskiem spotkaniu się z tym, który był przez rok cały niemal połową jego duszy.

»Obaczę wreszcie człowieka, którego tyle kochałem, który był moją jedyną pociechą po stracie kochanki, jedyną pociechą po stracie rodziców, przyjaciół, ojczyzny, honoru. List twój był dla mnie stosem Volty, uczułem w sercu iskrę zachwytu i szczęścia, iskrę, co wstrząsła całą duszą moją« itd. Krasiński zawczasu cieszy się na długie, nocne rozmowy z przyjacielem, który przez rok ubiegły tyle dojrzał i duchowo urósł.

»Wśród ciszy nocnej będziemy mówić o świecie, o tym świecie, który ugina się pod naszemi stopami i nachyla się ku przepaści«.

Reeve przywoził mu także list Henryety, pisany do Reeva, ale właściwie przeznaczony dla Krasińskiego. (Podobnie Maryla pisała do Zana listy, kierowane właściwie do Mickiewicza). Ten list Henryety, przed którym zawczasu drżał biedny Krasiński, mieścił w sobie ostatnie pożegnanie rojeń miłosnych. »To ostatnia flaga, którą wywiesza statek przed zatonięciem... A ci, co na brzegu stoją, przykuwają wzrok swój i serce do statku — po chwili wszystko jest spokojne, a Ocean przelewa się nad tymi, co zginęli. Mam lat 20 dopiero, a już mi oberża ziemska zbrzydła, wzdycham do Pałacu niebieskiego...«

Reeve po drodze zatrzymał się czas jakiś w Paryżu, gdzie znalazł wstęp do domu ówczesnych znakomitości: Cousin'a, Lerminier'a, Ballanche'a, Victora Hugo i i. »Będziemy o tem wszystkiem mówić« zapowiada Krasińskiemu. Jakbyśmy chętnie podsłuchali te rozmowy dwóch niepospolitych młodzieńców, choćby tylko o następującem zdarzeniu, które wymienia Reeve w swym liście:

»Idę dziś wieczorem (14 lutego 1832) na kazanie St. Symonistów. Oni są z pewnością Antychrystem naszej epoki. Zobaczysz, jaki zrobią postęp w Anglii ci rzekomi reformiści (religionnaires). Jest to, jak mawiał ks. de Lamennais, klub pod dzwonnicą. Amatorzy klubów i dzwonnic są bardzo u nas (w Anglii) liczni«.

Chwyta ten zwrot zaraz Krasiński i odpowiada przyjacielowi: »Tak, zgadłeś, St. Symoniści są Antychrystami naszego wieku. Weź do ręki ich pisma: ziemskie sprawy rozpuszczają (rozwadniają, délayent)

w oceanie piękności, doskonałości, rozkoszy, a równocześnie dążą do hierarchii surowej, stałej; chcą zrobić niewolników, obdarzonych wszelkimi możliwymi doskonałościami. Co do Nieba — jest to wyraz, który nie popłaca u nich — i zawsze tak bywa, kiedy społeczeństwo doszło do swego kresu. Są oni przedstawicielami naszej dekadencyi, ostatnim wyrazem naszego rozwoju: na wpół przebiegli, na wpół fantastyczni, układający najszlachetniejsze, najżywsze uczucia we formułki matematyczne. Na nic się nie zda zamykać ich świątynie, nie zginą, nie dlatego, jakoby byli prawdą, ale dlatego, że są kłamstwem; a są czasem epoki, w których kłamstwo żyje swem życiem i przebywa swój rozwój. Lecz kiedy takie rzeczy nadchodzą, bądź pewnym wówczas, że świat nie ma już długich dni życia, że olbrzymia przepaść otwiera się kędyś, aby pochłonąć stare społeczeństwo, a nowe zarodki ruszają się już i są na świecie, choć niewidome, aby stworzyć nowe życie. Między despotyzmem a demokracyą któż dziś wybierze? Pytam się, czy nie gardzisz czasem tą biedną ludzkością, zakneblowaną w Rosyi, bełkocącą we Francyi i w Anglii wyrazy, których nie rozumie...

»Ogłaszam to, wierzę w to, że społeczeństwo nasze ginie, a my wszyscy przepadniemy wśród okropnych konwulsyj. Chlubię się (tą przepowiednią), bo walka, którą podejmiemy, odświeży mi serce. Ależ tak, wiem o tem, że zginę, lecz co to znaczy? Czyż śmierć nabawi mnie drżenia trwogi? Przysięgam ci, Henryku, że na tym świecie widziałem dotychczas tylko podłość. Ty masz duszę, co nie jest materyą, ale oni

wszyscy — Mikołaj czy St. Symoniści — toć to błoto, tak, błoto, mój przyjacielu!«

Reeve, opuściwszy Anglię, nie myśli już o tem, co się tam dzieje; wyrywa się nawet z Paryża, byleby czemprędzej stanąć w Genewie, a już koniecznie być na balu cudzoziemców (27 lutego), gdzie spodziewa się ujrzeć swój ideał wcielony, pannę C. Sautter. Krasiński przeciwnie; odkąd już raz na zawsze rozstał się z nadzieją ujrzenia Henryety Willan, myśli tylko o sprawie społecznej, o antagonizmach i walce klas; wszędzie ją widzi, wszędzie się jej domyśla, zewsząd odgłosów jej nadsłuchuje.

Cholera srożyła się wtedy w Londynie (20 lutego 1832). Krasiński pisze do Reeva: »Lud powie: Jakto! bogaczów nie tyle umiera, co nas, hołyszów. Patrzcie-no! Odłączają się od innych, mają lekarzy i pomoc. Ah! jeśli mamy umrzeć jutro, zemścijmy się (przynajmniej) dzisiaj. Do walki! Naprzód z pikami i siekierami! Tłuczcie okienice domów! Niech dywany lecą na strzępy i sieją na ulicach kwiaty, jak w dzień świąteczny. Nasze dzieci i żony wykrzywiają się w konwulsyach. Oddają ducha w nędzy i na tapczanie. Niechże resztki bogaczów osłonią je w ostatniej godzinie... Naprzód! naprzód! Cholera nas niszczy — zabijajmy i masakrujmy — potem umrzemy!«

»Brawo! przyjaciele moi — naprzód! Gdybyście byli chrześcijanami, umarlibyście w milczeniu... Ale kto tu będzie mówił o krzyżu. Sztandarem Ludu to głowa, drżąca na pice wśród śpiewów. Palcie i niszczcie! Niech każdy niesie swoją dawkę zbrodni ku

nieśmiertelności: szlachta, stan średni, biedacy. A biedacy nie mają szczęścia, bo Jezus Chrystus wybrał ich na swój lud, ale oni nie umieją czekać na króla swego. Za kawałek mięsa, za puhar wina, za sztukę złota zrzekną się dziedzictwa Niebios! A w ów dzień szatan zaciera ręce z radości i patrzy na ziemię, jak dziecię na zabawkę i mówi sobie: »Stłukę ją«.

Jest to już bardzo wyraźna i bardzo piękna przygrywka do Nieboskiej. Mamy tu i silne odczucie nędzy proletaryatu i głębokie współczucie dla ciemnoty gminu, który »czekać nie umie« i zbawienie duszy za doczesne zaspokojenie potrzeb swych cielesnych sprzedaje. Coraz silniejszem tętnem bije zawiązek wielkiego poematu.

Urywek przytoczony znajduje się w liście, pisanym na dni kilka przed przybyciem Reeva do Genewy (27 lutego). Odtąd urywa się na kilka miesięcy korespondencya przyjaciół, którzy z całym zapałem młodości wznowili zapewne zeszłoroczne chwile wspólnego pobytu. Natomiast rozpoczynają się wtedy właśnie listy do K. Gaszyńskiego, które wypełniają wybornie brak korespondencyi z Reevem. (Od 9 marca 1832 do 3 sierpnia t. r.). Charakterystyczną cechą tych listów jest ich lakoniczność, dająca się wytłómaczyć silnem wówczas cierpieniem oczu, jak niemniej pewien nastrój świadomej siebie wyższości umysłowej (ciągłe zachęty, aby Gaszyński uczył się po angielsku; por. zwłaszcza list mentorski z d. 22 marca 1832 r. [str. 11—12]).

Krótkie wyjątki z listów Reeva do matki, pomie-

szczone w jego »Życiu i korespondencyi« (Londyn, 1898) dorzucają kilka szczegółów, które nam zresztą są znane z listów Krasińskiego do ojca.

Reeve zastał Krasińskiego chorego na oczy. Lekarz sądził, że nie była to choroba organiczna, ale poprostu nadmierne utrudzenie wzroku wśród szalonej pracy r. 1831. Lekarz zakazał mu czytać i pisać, natomiast wiele chodzić, bywać w towarzystwach. Było to prawdziwą męką dla Krasińskiego, który salonowego próżniactwa nie cierpiał.

W pierwszych dniach marca nadszedł list jenerała, wzywający syna z powrotem do kraju. Wiadomość była niespodziewana i zasmuciła przyjaciół.

Reeve notuje w liście do matki: »Właśnie wśród wesołości naszej i radości ze spotkania wspólnego otrzymaliśmy wiadomości najgorsze dla naszego szczęścia: odwołanie Zygmunta do Polski. Dawno tego oczekiwałem, albo czegoś równie złego. Wiecznie pracująca kosa niszczyciela-cara nie może zostawić i nie zostawi też ani jednego kwiatu, by zakwitł po za jej obrębem, więc wraca do Polski mój przyjaciel. Bóg tylko wie, co się zdarzyć może. Spodziewamy się, że unikając Warszawy, będzie mógł dość spokojnie spędzić czas swój, aż mu pozwolą znowu wyjechać. 15 sierpnia jest terminem jego powrotu do domu ojców: jest to święto Napoleona, które jenerał Krasiński zawsze obchodzi bardzo uroczyście. Jesteśmy teraz w marcu i nie wiemy, co w pięciu miesiącach zdarzyć się może. Ale, tymczasem, pierwsza część projektu obchodzi mnie szczególniej. Zygmunt i jego szambelan mają opuścić Ge-

newę w końcu kwietnia i udać się do Turynu. Następnie przez Milan i Weronę do Wenecyi, po przez Adryatyk do Tryestu i na Klagenfurt do Wiednia... Proponują mi, abym odbył z nimi część podróży, a ponieważ celem moim bezpośrednim jest Monachium, rozstałbym się z nimi albo w Weronie, aby na Trydent i Innsbruck dostać się dalej — albo też jechać razem do Klagenfurtu i potem po drodze obejrzeć Salzburg«.

Matka Reeva zgodziła się na ten projekt. Pożegnanie zaś Genewy nie było już dla Reeva tak bolesne, odkąd się wyrzec musiał wszelkiej nadziei poślubienia panny Sautter, która w kwietniu zaręczyła się z p. Diego de Combes, a w kilka tygodni potem była już panią de Combes.

Uczucia Krasińskiego na wiadomość, że ma opuścić Genewę i wrócić do Polski były podzielone: tęsknił za krajem od lat kilku i rwał się do stron rodzinnych, a równocześnie drżał na myśl o tem, co teraz w Polsce się dzieje:

»Serce skacze mi z radości — pisze d. 3 marca 1832 r. — kiedy obraz Opinogóry i ojca, przed którym uklęknę, stawia się mojej myśli. Dzień 15 augusta jest wielką pamiątką. W Opinogórze odpust — grób matki mojej, błogosławieństwo ojca: to wszystko mięsza się w mej duszy, przejmuje ją gorączką, — ale tu też koniec wszelkiego uniesienia i tkliwego uczucia. Za wrotami Opinogóry wesele to nasze znika. Dreszcz mnie porywa na myśl odwiedzenia Warszawy i Polski, tej drogiej, nieszczęśliwej ofiary... Oni dumni przechadzają się po ziemi naszych

ojców... Na tę myśl, czuję w sobie gniew święty Mojżesza, kiedy grzebał w piasku pustyni ciało Egipcyanina — ale mniejsza o to; za chwilę jedną u stóp ojca dałbym wszystko; zniosę te widoki, pełne okropności, tę dumę, naigrawającą się z najświętszych uczuć.

O Boże, Boże! co też z Polską się stało!«

Z większą jeszcze otwartością, z silniejszą rozpaczą pisał do Gaszyńskiego (24 kwietnia 1832):

»Rozstajem się, Konstanty mój! Ja idę popracować około wspólnego dzieła, nie na otworzystych polach, gdzie chwała czeka, ale pośród ciemności, gdzie kajdany czekają. Bądź co bądź, świętej dokonam powinności... Ja przepadnę bez chwały, bez znaczenia, ale ty pamiętaj, żem był dobrym Polakiem, pamiętaj, żem nadewszystko Polskę umiłował, że proszę codzień Boga, by mi dozwolił za nią zginąć, czy w boju, czy na rusztowaniu, byleby za nią; to będzie dniem najpiękniejszym mego życia...«

Ojciec zapytywał zapewne syna, czemu się poświęcić zamierza, czem chce być? Zygmunt Krasiński z prostotą, pokorą niemal wyznaje, że w dzisiejszych stosunkach trudno mu wybrać zawód jakikolwiek; ale przyszłości się nie wyrzeka.

»Co się zaś tycze mojego zawodu nadal, odkryć go nie mogę. Cóż teraz jest do robienia? — nic, tylko cierpieć i ból ofiarować Bogu. Edukacya moja nie dopełniona, czuję to jawnie i codzień; okoliczności, które wpływały na moją podróż, odjęły odemnie większą część korzyści, którebym mógł był z niej odnieść. Czuję się na sile bycia czem inszem, niż

jestem dziś. To od Boga zależy, czy tem będę, lub nie.

»Daruj, drogi Ojcze, że tak mało piszę, ale oczy mnie bardzo bolą — od miesiąca przeszło nic robić nie mogę«.

W ciągu kwietnia pogorszyła się choroba oczu; ledwie list mógł napisać. Zresztą nie wiedział, jak czas zabić. »Nudami schodzą mi dni; nic robić nie mogę, ni czytać, ni pisać. Staram się obserwować ludzi — jakże często się mylę!« W tych warunkach pobyt dłuższy w Genewie nie przedstawiał już żadnego uroku dla Krasińskiego.

Czwartego maja 1832 r. duży powóz wyjeżdżał z Genewy do Turynu. Siedzieli w nim: Roman Załuski, Zygmunt Krasiński, Henryk Reeve, Jakubowski i Lintner. Podróż nie zapowiadała się zbyt wesoło. Krasiński cierpiał na oczy i nosić musiał duże, sine okulary, które go całkiem szpeciły. Reeve rozstawał się z Genewą i z rojeniami pierwszej swej miłości nie bez żalu, ale ze stałością i zimną krwią angielską. »Pierwszy mój akt się skończył — pisał do matki — a ja nie jestem wielbicielem jedności dramatycznej. Najbliższy akt niech się rozpocznie, gdzie chce, skoro musi się gdzieś rozpocząć... Młoda głowa ma całą garderobę, w którą przystraja kolejno wszystkie następujące po sobie Chloy, Laury i Sofonisby... Ale, ostatecznie są na świecie poważniejsze od nich rzeczy. My wszyscy musimy opuścić nasze wyspy Kalipsy i zmierzyć się z niebezpieczeństwami burzliwego archipelagu; droga do naszej Itaki jest niebezpieczna i długa...«

Jeśli tak na przyszłość swą zapatrywał się młody Anglik, któremu życie dotychczas gładko się toczyło, cóż dopiero mógł myśleć Zygmunt Krasiński! Wyjechał przed trzema laty z Polski, zmuszony do opuszczenia Warszawy zdarzeniem najboleśniejszem dla duszy młodego Polaka; wracał do ojczyzny okrwawionej, powalonej w gruzy i zgliszcza, pozbawionej samego kwiatu społeczeństwa... On, co wzdychał za Polską i przed rokiem rwał się ku niej, teraz drżał na samą myśl, że na ulicach Warszawy roje obcego żołdactwa natrafi, na obliczach rodaków przygnębienie i rozpacz wyczyta. Lata nauki cichej, spokojnej już się bezpowrotnie skończyły. Drugi rok pobytu w Genewie, rok moralnego cierpienia, był stokroć od pierwszego ważniejszym. Dojrzał w nim rychło człowiek-myśliciel; wytrzymał zwycięsko brzemię tylu zagadnień społecznych, narodowych i osobistych, które mu los nieubłagany odrazu i jednym niemal zamachem na młodzieńcze ramiona zarzucił.

Odtąd nieść on będzie cierpliwie swe brzemię. Pochyli mu ono ku ziemi wątłe ciało — ale nie ugnie się pod niem mocny duch. Owszem, duch ten wytęży swe siły, by w nieustannym znoju walczyć do ostatka o zwycięstwo. Będzie też mógł kiedyś śmiało powiedzieć:

Bonum certamen certavi, ... *fidem servavi*...

Młodość głębokimi ciosami kuła potężne kształty jego ducha.

OBJAŚNIENIA I UZUPEŁNIENIA.

(str. 4). Pamiętniki J. U. Niemcewicza (1809—1820) Tom I. Poznań 1871, str. 262—3.

(str. 5). tamże, 273. Było to wynikiem dawno powziętej polityki: »Jego Ces. Mość nigdy nie zamyślał o odnowieniu Rzpltej«. Z mowy francuskiego ministra spraw zagranicznych.

Askenazy, Dwa stulecia, wyd. drugie, 1903, str. 288. Podobnie mówi Napoleon w lecie 1810 r. do posła rosyjskiego Kurakina: »Ja nie chcę odnowienia Rzpltej« (str. 292), »nie chciałem i nie chcę, bo to nie leży w moich widokach« (str. 301)

(str. 6). Niemcewicz, l. c. 297.

(str. 8). Listy Litewskie (Niemcewicza).

z Warszawy 29 czerwca 1812. Te *Listy* wychodziły arkuszami. Na końcu I-go arkusza (str. 16, u dołu) czytamy: »Te Listy daléy ciągnąć się będą. — Cena arkusza gr. 15«. Jest ogółem listów 24. Przedostatni datowany 15 sierpnia r. 1812. Zapewne smutne wiadomości jesienne z Moskwy przerwały ochotę do pisania dalszych listów. Druk urywa się na str. 191 wielkiemi pochwałami dla »Bohatyra, który w mądrości, odwadze i czynach równego nie miał i mieć nie będzie. Niech wdzięczność nasza i potomków naszych wyrównywa dobrodziejstwom i sławie Jego«.

(str. 8). z pod Wilna, 29 czerwca 1812 r. »nous serons Polonais!«

(str. 8). tamże, 7 lipca 1812 r.

(str. 8). jest on tu echem nadziei samego Napoleona, łudzącego się do ostatniej chwili.

(str. 10). Listy do żony: ze Wschowy, 11 sierpnia 1814: »Il semble que notre marche est une fête nationale« — z Września, 26 sierpnia, — z Kutna, 1 września, w którym zaprasza jenerałową na 6 września do Łowicza.

(str. 11). Henryk Schmitt. Dzieje porozbiorowe Polski (1795—1832). Lwów, 1868, str. 341 i nn.

(str. 11). »La présence de Mgr le grand duc dont la conduite est faite pour ôter tout espoir sur le sort futur de ce pays et a rendu impraticables plusieurs reformes et amendements, que le gouvernement désiderait mais qu'il n'a pu oser entreprendre...«

(str. 12). Mémoires du Prince Adam Czartoryski. Paris, Plon, Nourrit et Cie, 1887, str. 359—362.

(str. 14). Zychlińskiego »Złota Księga«, tom XII, 159—238.

(str. 14). Ze wspomnień jenerała W. Krasińskiego, spisanych dla syna w Petersburgu 6 sierpnia 1831 r.

(str. 15). Tamże. — Upadają wobec tego fantazye Falkowskiego (Żychliński, l. c. 226).

(str. 17). Tu się urywają wspomnienia jenerała.

(str. 17). Przesadny, a w wielu szczegółach całkiem fałszywy wizerunek starościny Opinogórskiej skreślił Dr Antoni J. (Rolle) p. t. »Babka Poety« (Opowiad. Histor. Serya VII. Lwów, 1891 str. 233—282). Stosunek jej do syna i do wnuka był całkiem inny w rzeczywistości. Nigdy starościna Opinogórska nie była ani »ze wszechmiar wyjątkową« (!) ani »tak bardzo nieszczęśliwą kobietą«. Bardzo natomiast trafna i charakterystyczna jest tam scena starania się Jana Krasińskiego o rękę »podczaszanki koronnej« (l. c. 243—249). Chciwość i skąpstwo podczaszego odziedziczyła córka i nękała niemi potem syna jedynego, a nielubianego! Ostatnie karty opowiadania Rollego (275—277) o dziwactwach, ba, »furyach« starościny Opinogórskiej przeczą poprzedniemu tonowi panegirycznemu i dają w końcu wizerunek mętny i bałamutny. Liczne też są błędy w datach familijnych.

(str. 18). St. Tarnowski, Z. Krasiński, 1893, str. 32.

(str. 19). St. Tarnowski l. c. 34.

(str. 19). Pamiętniki Józefa hr Krasińskiego (1790—1831), skrócone przez Dra Fr. Reuttowicza. Poznań, 1877, str. 46, 49.

(str. 20). Wincenty Krasiński wstąpił do wojska francuskiego w końcu roku 1806 jako pułkownik w sztabie Napoleona. W kwietniu 1807 r. otrzymał dowództwo IV konnego pułku

wojsk Księstwa Warszawskiego, w kwietniu t. r. mianowany szefem lekkokonnego pułku gwardyi (Chevaux legers de la Garde). Awansuje na generała brygady (Brigadier) 1811 r., na jenerał-lejtnanta (Divisionnaire) 1813 r. Jako taki obejmuje naczelne dowództwo wojsk polskich, wracających do Polski w sierpniu 1814. Kawalerem legii honor. mianowany w roku 1807, oficerem 1809, komandorem w r. 1811. Raniony w bitwie pod Eylau (Iłów), 1808 r. w Madrycie, 1809 pod Wagram.

(str. 20). Prócz syna mieli córeczkę, zmarłą zaraz po urodzeniu 3 kwietnia 1804 r. w Warszawie.

(str. 21). A. E. Koźmian, Z. Kr. listy... poprzedzone wstępnem słowem i życiorysem. Poznań, 1859, str. 14—15.

(str. 21). List z Możajska 11 września 1812 r., adresowany do Paryża, Boulevard Montmartre, 10.

(str. 22). List do żony z d. 23 sierpnia 1812 r. ze Smoleńska.

(str. 24). W tym to roku wychodzą jego prace z druku: a) *Aperçu sur les Juifs de Pologne*... (Paris, 1818). b) *Odpowiedź na uwagi* (w sprawie »Aperçu«. Warszawa, 1818. c) Rzut oka na wieszczów Prowancyi, zwanych Trubadurami (tamże, 1818 r.). d) Mowa miana przy odebraniu laski marszałkowskiej (d. 27 marca 1818 r.). e) Mowa miana przy zagajeniu pierwszej sesyi sejmowej (27 marca 1818 r.). f) Mowy w izbie poselskiej r. 1818.

(str. 24). Ob. np. »Rzut oka na wieszczów Prowancyi...«, gdzie mamy sporo gallicyzmów i konstrukcyj francuskich. Na karb podolskiej gwary położyłbym takie zwroty: »*byli* śpiewaki godne«, »trubadury *przyczynili się*« i w. i.

(str. 24). Ob. ważne i pięknie wydane dzieło Aleksandra Krausshara: Towarzystwo król. Przyj. Nauk (1800—1832). Monografia historyczna: Księga III. (Tom V). 1820—1824. Kraków, 1904. Por. str. 62, 115, 201. (»W. hr. Kr. oświadczył gotowość ofiarowania Towarzystwu wszystkich oryginalnych bull papieskich, przez siebie posiadanych, a ściągających się do rzeczy polskich«), str. 208, 227, 229, 290, 322.

(str. 25). Kaj. Koźmian, Pamiętniki III, 315.

(str. 28). Wspomnienie pozgonne. Kuryer Warsz. 1822, nr. 88.

(str. 35). Kuryer Warsz. Nr. 88 r. 1822.

(str. 35). Tamże w Nrze 92 z d. 18 kwietnia czytamy: »Na

wielkiem żałobnem nabożeństwie, odbytem onegdaj w kościele OO. Kapucynów za duszę ś. p. Maryi z Xżąt Radziwiłłów Hrab. *Krasińskiej* tyle się znajdowało osób oddających ostatni hołd i posługę zmarłej, iż kościół objąć ich nie zdołał. Celebrował J. W. Arcybiskup Prymas *Hołowczyc*. Kazanie miał J. X. *Falkowski*, Rektor Instytutu Głuchoniemych, a Kondukt Rzymski śpiewali JJWW. Senator Biskup *Czyżewski*, Biskupi Sufragani *Ostrowski* i *Manugiewicz* tudzież Prałat *Węgierski*. Liczną orkiestrą dyrygował kapelmistrz królewski *Kurpiński*, która grała Requiem *Wintera*.

(str. 36). St. Tarnowski stara się inaczej wyjaśnić, dlaczego mały Zygmunt był smutny po śmierci matki: »Do smutku — mówi — mogła się przyczynić, jeżeli go nie poczęła, tęsknota za matką, uczucie osierocenia i samotności, w jakich po jej śmierci znalazł się w jej dziedzicznym, wielkim pałacu. Współcześni mówią, że jenerał łatwo i lekko znosił swoje wdowieństwo. Synek zaś może czuł, że dłużej od ojca pamięta, że żałuje więcej...« (l. c. 35).

(str. 37). *Reiestr Xiążek Zygmuntka, spisany d. 18 lutego 1820.*

Wybór Pisarzów Polskich Edycya Mostowskiego Tomów	26
Historyia Polska Bandkiego	2
Dzieiopis dla Młodzieży przekład z francuskiego z Textem w Wrocławi 1814	1
Jeografia Steyna w Wrocławiu 1819	1
Gramatyka Kopczyńskiego na klas: 1	1
Kazimierz W. Drama JNiemcewicza	1
Pielgrzym w Dobromilu 1819	1
Nowy Elementarz Polski z Obrazkami	1
Gramatyka Francuzka Waillego	1
Początki Mitologii w Wrocławiu 1810	1
Arytmetyka Jozefa Czecha	1
Abecadlo dla Młodzieży w Warszawie	1
Świat malowany Wrocław 1805	1
Le Voyageur de la Jeunesse p. Pierre Blanchard Paris 1812	6
Etrennes à mon fils Paris 1815	2
Le Nouveau Robinson 1779 Hamb:.	2

Petit Robinson ou les Aventures de Robinson Crusoé Paris 1816 1
Märchenbuch für die Jugend 1
Voyages d'Antenor en Grèce et en Asie Paris 1811 . . . 2
Les nouvelles Nouvelles de l'Enfance Paris 1815 1
La Découverte de l'Amerique par Campe avec Figures — Suisse 1784 3
Vie d'Illustres Conquérans 1802 . . . . . 2 tylko
Méthode pour étudier la langue Latine p. Guerrolt Paris 1806 2
Le Plutarque de la Jeunesse Paris 1818 4
Histoires édifiantes Paris 1757 1
Oeuvres complètes de Berquin 1802 Paris 28
Le Fablier du premier âge Paris 1807 1
Entretiens, drames et Contes moraux p. Mme de la Fite 1809. Paris 4
Les Soupers de Famille Paris 1817 4
Le Petit Portefeuille rétrouvé 1818 2
Magdeleine ou l'Amour filial Paris 2
les Enfans voyageurs Paris 1818 4
les Conversations maternelles Paris 1818 2
la Fée Gratieuse Paris 1814 1
la Fée Bienfaisante 1
les Veillées du Chateau 1816 Paris 3
Coutumes Gauloises Paris 1819 1
le Nouveau Buffon de la Jeunesse Paris 1817 4
Etrennes aux Jeunes Gens 1818 2
Fables de Lafontaine 1757 1
Alphabet des Enfans Religieux 1
Nouvelle Grammaire Allemande de Gottschied et Junker 1810 1
Bible de l'Enfance 16° 1
Histoire Greque 1
Histoire Romaine 1
Histoire des quadrupedes 1
Histoire des Oiseaux 1
Costumes des différentes Nations 1
Cent pensées d'une jeune Anglaise 1

Tableau des Vertus du Peuple	2gi tylko
les Enfans de la Providence	4
Contes à mes fils p. Kotzebue	1 tylko
le Jeune dessinateur	1
Petite école des arts et métiers 1816	4
le Tour du Monde 1814	6
Les Enfans de la Providence	4
Le Monde en miniature	1
Delassemens de l'Enfance	6v
Contes de Mme de Genlis et de Mme Beaufort d'Hautpoul	2v
Cabinet du jeune Naturaliste	6v
Calendrier de la jeunesse	1v

total 172 volumes.

(Spis ten zawdzięczam uprzejmości p. Zygmunta Wolskiego).

(str. 37). Kuryer Warsz. 2 listopada 1822 r. Wiadomość tę zawdzięczam p. Ferd. Hösickowi.

(str. 39). Kajety greckie Z. Krasińskiego dochowały się w *Tece*, zawierającej: 1) Rozbiory gramatyczne z łaciny, preparacye, substantiva, verba. 2) Rozbiory gramatyczne z *Iliady*, preparacye, tłumaczenia z *greckiego na łacinę*, Προγυμνασμα Luciani Samosatensis (preparacya); przykłady ze składni greckiej przyimkowej (παρά, περί, πρός, ὑπέρ, ὑπὸ itd,). W preparacyach do Iliady zwraca uwagę notowanie dokładne wyrazów etymologicznie spokrewnionych, lub pochodnych; np. νόος, mens, νοέω, cogito, νόημα, cogitatum, διάνοια, mens, ὁμόνοια, concordia itd. Albo pod »ἐπιμνησθεὶς, recordatus. Part. aor. a ἐπιμνάομαι, recordor. Simplicissima radix est μνάω. Etym. a μένος, mens; μνήμη memoria, μνημοσύνη, nomen Deae, μνήμων, memor, ἀναμιμνήσκομαι idem q. μνάομαι» itp., itp.

Gramatyczny rozbiór *Iliady* (A, Z, N) zawiera się w kilku zeszytach bardzo starannie zapisanych. — Mamy wreszcie „*Themata Greckie*“. Dwa zeszyty (kart 14 + 12). Ćwiczenia greckie, tłómaczenia, zwroty syntaktyczne itp.

(str. 40. *krewnej jenerała, z innej linii*...) Wyrażenie nieścisłe: linia była ta sama i bardzo bliska, bo mowa tu o Joannie, stryjecznej siostrze jenerała. (Żychl. XII, 225).

(str. 40 *(kapliczkę)*. Dziś na jej miejscu duży kościół się

wznosi, stawiany wedle planów jenerała zaraz po jego śmierci; w podziemiu kościoła mieszczą się w dużej krypcie trumny ze zwłokami jenerała i jego potomków.

(str. 41). A. E. Koźmian l. c. 20.

(str. 48). Linde przechodził w lojalności dla rządu wszelkie granice; sympatye jego rosyjskie mierziły nawet Rosyan. W. Krasiński dał raz publicznie głośny i silny wyraz swemu oburzeniu na Lindego, w tegoż obecności. Stąd niechęć rektora Liceum do ojca Zygmunta Krasińskiego.

(str. 49). Chiarini Ludwik, Włoch, profesor hist. kościelnej i języków wschodnich w uniw. warszawskim, członek warsz. Tow. Przyj. Nauk, autor słownika hebrajskiego i gramatyki hebrajskiej po łacinie. X. Chiarini przywiązał się serdecznie do jenerała i Zygmunta. Kiedy z niewiadomych nam powodów utracił stanowisko w uniwersytecie, napisał do jenerała krótko: »Mon Général, on m'a déjà suspendu la pension. L. C.« Na tym samym liście odpisał mu jenerał: »Vous la trouverez chez moi — et le mal qu'on peut reparer n'est pas un mal«.

(str. 49). Essai historique sur la Législation Polonaise... par Joachim Lelewel... Paris, 1830. Na stronie poprzedzającej tytuł wydrukowano: *Cet essai historique publié à Warsovie (!) en 1828*) en langue polonaise, a été abrégé et traduit et français sous les yeux de l'auteur par M. Sigismond Krasinski. Le manuscrit français a été communiqué en 1830, a Paris, par M. Jean Przygodzki,... à M. Léonard Chodzko qui l'a inséré dans le second volume de la nouvelle édition du Tableau de la Pologne ancienne et moderne, publié d'abord en 1807 en un volume par Malte-Brun.* — Drugie wydanie: »Tableau de la Pologne...« Bruxelles, 1831.

(str. 51. *Uczy go prywatnie X. Chiarini).* Dochowały się w zbiorach prywatnych wnuka poety własnoręczne notaty z nauki języka arabskiego. „*Grammaticae arabicae Compendium*“. Dwa zeszyty własnoręcznie przez Z. Kr. zapisane. Zeszyt pierwszy, kart 12, zaczyna się: »Caput Imum. De Litteris«. Kończy się: »Activum defectivi. Praeteritum. — Zeszyt

*) Pierwszy druk w Rocznikach Warsz. Tow. Przyj. Nauk 1827 r.

drugi, kart 12. Zaczyna się: »*Alkoranus*. Caput Aperiens«. Tekst arabski kopiowany przez Z. Kr., obok przekład jego na łacinę (pagina fracta). Koniec: »et non Deus iis negligentia ex eo quod facitis. § 146«.

Mamy także osobny obwolut z napisem: „*Antiquitates orientales cum graecis romanisque compositae*“; zawiera: cztery zeszyty, w końcu luźne kartki, ogółem kart (16 + 12 + 12 + 22 + 13) 75, papieru różnego formatu. Na czele pierwszego zeszytu ręką Z. Kr. napisane: *Chiarini „Antiquitates“*.

Mamy tam: Praeliminaria. — Fontes Archeologiae itd. Ogółem w 415 paragrafach, po łacinie wyłożone przez Chiariniego, a przez Z. Kr. spisane własnoręcznie starożytności biblijne.

(str. 52). Wł. Korotyński. »Pilność i obyczajność Z. Kr.« Tyg. Illustr. 1893 r. t. II, str. 206.

(str. 54). Dr medycyny Girardot, lekarz pułkowy, utracił w kampanii 1814 r. nogę i mianowany za to przez Napoleona baronem cesarstwa, przeniósł się potem do Warszawy i żył na łaskawym chlebie jenerała Krasińskiego.

(str. 54). Cieszkowskim, słynnym później autorem »Ojcze Nasz'a«.

(str. 54). Tom IV, 1—21. — O wcześniejszych jeszcze próbach literackich wspomina A. E. Koźmian, które sięgałyby licealnych czasów. »W czternastym roku życia już marzył o sławie pisarskiej, już ta się przed nim w całym uroku młodą wyobraźnią wywołanym przedstawiała. Niebawem uchwycił za pióro i w chwilach wolnych od nauki skreślił powieść, której tytułu nie pomnę, a którą tajemnie wydrukować na bibule dla oszczędzenia kosztów rozkazawszy, z uczuciem tryumfalnem, jako ofiarę synowską ojcu złożył. Ojciec lękając się, aby tego rodzaju zajęcia nie odrywały go od użytecznej i obowiązkowej pracy, a przytem, aby wysilenia młodzieńczego umysłu nie wpłynęły szkodliwie na zdrowie młodzieńca, przyjął dar, lecz dalszego zabronił autorstwa, a nauczycielom czuwać zalecił, aby tego zakazu uczeń nie przełamywał« (l. c. 27).

(str. 55). Tarnowski, 31. — Siemieński, Obóz klasyków (Portr. Liter. III. Poznań 1868).

(str. 56). Siemieński l. c. 311—312. Por. A. E. Koźmian l. c.

str. 20—22. Charakterystyka tych zebrań zwięzła i piękna u Kaj. Koźmiana III, 334.

(str. 57). »Staropolska gościnność otworem drzwi trzymająca, a która się czasem w *nieład domowy* przemieniała« (A. E. Koźmian l. c. 20).

(str. 60). Tretiak, Z. K. w pierwszej dobie młodości, Przew. Nauk. Lit. 1884, str. 873.

(str. 61). Frayssinous, biskup francuski, napisał głośne wówczas dzieło: *Défense du Christianisme* (1825). przetłumaczone na j. polski przez M. W. Kosickiego w 4 tomach, Warszawa, 1827. Drugie wydanie w r. 1828.

(str. 61). *Histoire de Napoléon et de la grande armée pendant 1812* (Paris, od 1824 r.).

(str. 62). Wyrok Rady Uniwersytetu (Pismo Kuratora Jeneralnego Instytutów naukowych do Komisyi Wyzn. i Ośw. za Nr. 680 z 3 grudnia 1828 r.). Zawdzięczam go uprzejmości Dra Józefa Bielińskiego, któremu za kopię tego i dalszych uniwersyteckich dokumentów serdeczne składam podziękowanie.

(str. 65). »w nieszczęśliwej i niedość jasnej redakcyi« mówi Kaj. Koźmian, III, 52.

(str. 65). Do całej tej epoki, nie dość jeszcze po dziśdzień rozjaśnionej, najlepiej wprowadza znakomity (niedokończony, niestety!) szkic X. Waleryana Kalinki: Królestwo Kongresowe i Związki tajne. (Przegl. Polski, 1895 r. Kwiecień-czerwiec).

(str. 66). Zapowiada i charakteryzuje dobrze ten stan Europy książka nieznanego autora p. t.: *„Des sociétés secrètes en Allemagne et en d'autres contrées; de la secte des Illuminés, du Tribunal secret, de l'assassinat de Kotzebue, etc. Paris 1819.* [str. 259].

(str. 69). H. Schmitt l. c. str. 393.

(str. 72). Kaj. Koźmian l. c. III, 317—320. Inaczej podaje Józej Krasiński.

(str. 74). Kalinka l. c. Maj, 1895, str. 303—305.

(str. 76). A. E. Koźmian, Listy o »Stef. Czarn.« str. 28.

(str. 76). A. E. Koźmian, Listy, 29.

(str. 77). Tenże, Pamięt. II, 127.

(str. 77 *Bandke*). Inaczej przedstawia fakt L. Orpiszewski

(Kilka wspomnień, Rocznik Tow. Hist. Lit. Paryż 1867, str. 288): »Bandke przyszedł i otworzył rękopis do czytania, gdyż było przytomnych 3 uczniów; jeden wyszedł — dziekan skorzystał z litery prawa i nie zaczął lekcyi«.

(str. 81 *relegacyą*). Akty Uniwersyteckie w tej sprawie. Nie dają one opisu zajścia na schodach, przedstawionego w »Niedokończonym poemacie«, z łatwo zrozumiałego powodu. Z. Krasiński nie wystąpił ze skargą, a władzy uniwersyteckiej zależało bardzo na tem, aby ze względu na jen. Krasińskiego sprawa cała jak najprędzej i najłagodniej załatwioną została.

Sprawa 12 marca 1829 r.

Rektor Królewskiego Uniwersytetu Do Jaśnie Wielmożnego Ministra Prezydującego w Kom. Rz. Wyz. Rel. i Ośw. Publ.

Wiadomo jest Jaśnie Wielmożnemu Ministrowi, iż przygotowania do pogrzebu i sam pogrzeb ś. p. Senatora wojewody Bielińskiego wzruszyły znaczną część ludności warszawskiej i sprawiły na niej pewną senzacyę. Uczniowie Uniwersytetu, skłonni przez wiek swój do przejmowania zapału, podzielili go z publicznością i nie utrzymali się w obrębach przyzwoitych.

Lubo prelekcye umyślnie dla ich zatrudnienia nie były dyspensowanemi, oni przecież sami się od nich w większej części niestawieniem się usunęli, dnia 12 bm. po południu dla Exportacyi, a dnia 13 przed południem dla żałobnego nabożeństwa. Przed ruszeniem z miejsca orszaku pogrzebowego, jeden z uczniów, znany z pomieszanego na pół rozumu (Zenon Świderski — *przepisywacza nawias*), [dla czego z bióra Komisyi Rządowej niedawno jako suplikant oddalonym został), poważył się bez wiedzy Zwierzchności wystąpić z przemową. W czasie pochodu orszaku uczniowie uformowali ścisłą kolumnę, która tuż po senatorach zajmowała miejsce, a która na wstępie do kościoła, ośmielona zachęceniem i pomocą innych osób, przełamała straż policyjną. Po wniesieniu ciała do grobu, za przykładem osób starszych, część uczniów uniwersyteckich podzielała także między siebie zdjęte z trumny ozdoby. — Dnia 14 licznie zebrani, jak zwykle, na prelekcyą prof. Osińskiego, krzyczeli tłumnie na ucznia Zygmunta Krasińskiego, mieniąc go niegodnym swojej kompanii. Uczeń ten nie znajdował się

z nimi na pogrzebie, lecz prócz tego, krzyczący mieli inne powody niechęci ku niemu. Rektor, zapobiegając dalszym zdrożnościom, ukarał najprzód aresztem Zenona Świderskiego, który się poważył wystąpić z mową w pośród dygnitarzów krajowych, — i przedsięwziął środki z władzą dozorczą na wyśledzenie tych, którzy w czasie tłumnych wykroczeń mogli być winniejszymi od reszty. Sam zaś w towarzystwie Sekretarza Uniwersytetu (Brodziński) zgromadził wszystkich uczniów i gromiąc ich wykroczenia w szczegółach, miał do nich przemowę, w treści: że niepotrzebnie opuścili kilka prelekcyi; że obchód pogrzebowy powinien być aktem religijnym, który wymaga skromności i nie dozwala żadnych uniesień rażących. Że nie mając na czele swojem Zwierzchności, nie byli upoważnieni występować in corpore; że okazywanie czci dla zmarłych jest czynem dobrowolnym, za opuszczenie którego nie godzi się prześladować drugich, tembardziej, jeśli im ich obowiązek dopełnić tej posługi nie dozwalał; że okazane w powyższych postępkach bez wiedzy Zwierzchności porozumienia się są nadewszystko nagannemi itd. Nadto przypominał Rektor uczniom dawane poprzednio z innych okoliczności przestrogi: Że nie do nich należy sądzić o osobach wyższego w kraju znaczenia; że nie oni mogą roztrząsać podzielone opinie, w rzeczach zwłaszcza politycznych i rządowych; że w ich wieku i powołaniu obecnem, jeden tylko przedmiot zajmować ich powinien, a ten jest usposobienie się umysłowe i moralne do przyszłych w czasie posług krajowych; że nakoniec, jeśli nie chcą przestróg i napomnień, nie zostawiają zwierzchności, tylko smutną konieczność powściągania ich karami. Wkrótce potem JWMinister wezwał Rektora i Dziekanów na konferencyą, w której zalecił, aby wszyscy uczący wspólnemi siłami wpajali w młodzież uniwersytecką ducha spokojności i umiarkowania, a nadewszystko nie mieszania się do rzeczy obcych dla siebie, tudzież uszanowania i wdzięczności dla Rządu.

Rektor więc zebrał natychmiast wszystkich profesorów Uniwersytetu i wolę im JWMinistra oświadczył. Profesorowie odpowiedzieli jednozgodnie, iż to czynili dotąd i czynić chcą nadal, ile to jest w ich mocy i ile do tego w obecnem urzą-

dzeniu Uniwersytetu środków znaleść mogą. Tym końcem przyjęli chętnie podane od Rady Uniwersyteckiej i nawzajem podali od siebie niektóre środki zaradcze do zajęcia tem mocniej młodzieży naukami. Z tych niektóre ogłoszone są już uczniom przez wystawienie karty pomiędzy audytoryami.

Tymczasem uczniowie, po upomnieniu Rektora, widząc obostrzoną na siebie baczność, zaczęli pomiędzy sobą uznawać, iż za daleko posunęli swój zapał i skłaniali się do naprawienia zdrożności przynajmniej w części, to jest chcieli się pogodzić z uczniem Krasińskim, który ze swojej strony szukał także pojednania się z nimi. Wskutek wzajemnej skłonności — uczeń Krasiński pierwszy zabrał głos dnia 20 t. m. przed prelekcyą profesora Brodzińskiego i zapewniał, że rozgłoszona wieść, jakoby miał wyrzec pewne słowa ubliżające, o które się na niego koledzy rozgniewali, była zupełnie fałszywą i dla zjednania sobie wiary wzywał, aby ten, ktoby słyszał z ust jego te słowa, wystąpił przeciwko niemu i zadał mu kłamstwo. Wtem wszedł profesor i odbył prelekcyą w zupełnej spokojności. Lecz gdy tenże wyszedł z audytoryum, zabrał głos uczeń Leon Łubieński i zapewnił pod słowem honoru, że Krasiński powiedział przed nim słowa ubliżające, których się teraz zapiera. Krasiński pod słowem honoru twierdził, że jest to potwarz. Obydwaj wpadli w uniesienie i wyzwali się na pojedynek. Jeden z obecnych Inspektorów przypominał im prawo zakazujące pojedynków pod relegacyą, od razu pierwszego, i skłaniał ich do zgody i odwołania pojedynku, a widząc usiłowania swoje nieskutecznemi, wysłał do profesora Brodzińskiego podinspektora, z uwiadomieniem o tem, co się stało w jego nieobecności. Ten powrócił do audytoryum i nakazawszy uciszenie, po długich reflexyach skłonił nakoniec obudwu do zgody i zupełnego pojednania się. Inni uczniowie nie mieszali się wcale do zwady, owszem okazywali chęć pogodzenia zwaśnionych i puszczenia wszystkiego w niepamięć, zapewniając, że honor obudwu, pomimo ich sporu i niemożności wyjaśnienia w tym czasie prawdy, uważać będą za niesplamiony i czysty.

To ostatnie zdarzenie, w którem dwaj ci uczniowie popeł-

nili publicznie w audytoryum obrazę prawa, w jednym z głównych artykułów [na które szczególniej zwracana bywa uwaga uczniów, przy udzielaniu im matrykuły] uważane odrębnie, bez względu na przeszłość, mogłoby zasługiwać na pobłażanie i być załatwionem jedną z kar mniejszych, przez wzgląd na nastąpione pogodzenie się po uniesieniu. Lecz go tak uważać nie mogła Rada Uniwersytetu, przez wzgląd na dawniejsze tychże obudwu uczniów postępowanie. Uczeń Krasiński, skłonny do kłótni zaczepnej, już nie pierwszy raz wykroczył przeciwko ustawie zakazującej pojedynków. Uczeń Łubieński nie tak zaczepny, jak nieustępny, już nieraz występował nieupoważniony w imieniu drugich, niby naczelnik i do zmowy między uczniami prawie zawsze należał. Obadwa niespokojni, burzliwi, już byli raz skazanymi na oddalenie z Uniwersytetu za wyrządzone kilkakrotnie niespokojności przeciwko Profesorom i tylko w nadzieję przyrzeczonej poprawy, przy upokorzeniu się, ułaskawieni. To rozważywszy, Rada Uniwersytetu przekonała się, że równie obraza prawa, jak potrzeba ukrócenia zuchwalstwa, i wyrugowania zarodu jawnie okazanej niespokojnosci, wymaga tego, aby ci dwaj uczniowie oddaleni zostali z Uniwersytetu naszego. Wyrzekła zatem na dniu wczorajszym jednomyślnie ich relegacyą. Relegacya ta, jako już powtórnie wymierzona, powinnaby być głośną. Rada jednak przez wzgląd, aby ogłoszenie nie poruszało okoliczności pogrzebowych i materyi obcych dla Uniwersytetu, tudzież przez wzgląd, że ci uczniowie pogodzili się i sami się nazajutrz przed Rektorem oskarżyli, poprzestaje na oddaleniu cichem, z uwiadomieniem samych tylko rodziców i oddalonych.

W Warszawie d. 24 marca 1829 r.

X. Szweykowski. *Brodziński,* Sekr. Uniw.

Z polecenia JWRektora mam honor złożyć raport następujący:

Po lekcyi dzisiejszej, która się w zupełnej spokojności odbyła, uważałem, że uczniowie wszyscy prawie w audytoryum

pozostają; zważając, że Inspektor i dwóch podinspektorów z nimi zostają, odszedłem do sali ustępowej, zatrzymując się jednak na jakowy wypadek. Wkrótce zawiadomił mię podinspektor, że między uczniem Leonem Łubieńskim i Krasińskim powstała kłutnia (!), a z tego powodu zaburzenie w audytoryum, że ci dwaj odgrażali sobie wyzwaniem. Dano znać Rektorowi, ja wszedłem do katedry, kazałem wszystkim udać się na miejsca i oczekiwać przybycia Rektora, co zaraz uskuteczniono i spokojność nastąpiła. Widząc uniesionych Łubińskiego (!) i Krasińskiego, oczekiwałem niejakiego uspokojenia, dając łagodne tylko napomnienia. Gdy dano znać, że Rektora w domu niema, oświadczyłem, iż bez ukończenia i rozeznania tego, co zaszło, z audytoryum nie wyjdę; dodałem, iż jako przyjaciel tylko, i znający rodziców obudwu uczniów, żądam, aby z powolnością opowiedzieli mi przyczynę niechęci przeciwko sobie. Przystąpili obadwa do katedry i zaczęli sobie wymawiać swoje urazy, w młodzieńczem, prawda, uniesieniu, lecz w przyzwoitych wyrazach. Łubiński wyrzucał Krasińskiemu, że na uczniów Uniwersytetu, którzy się znajdowali na pogrzebie ś. p. Bielińskiego, obelżywych używał wyrazów — Krasiński temu pod słowem honoru zaprzeczał, Łubiński mniemał także, iż jego honor jest obrażony, gdy tym sposobem potwarcąby został w oczach kolegów, wzbraniał się przeto tych wyrazów odwołać, czego po nim Krasinski żądał. Gdy po ukończeniu tego sporu w około będący uczniowie zapytywani byli, czy słyszeli, lub że Krasiński obelżywe mówił wyrazy, lub że o tem Łubiński ich uwiadamiał, nastąpiło powszechne milczenie. Z tego korzystając zapytałem się wszystkich, czyli w ich mniemaniu splamił dobre swe imię P. Krasiński za słowa nieudowodnione, lub p. Łubiński za to, że te słowa rozgłaszał, na co równie niema dowodu. Odpowiedzieli jednomyślnie, że nie. Tu zabrałem głos obszerniejszy, wskazując w ogólności nieprzyzwoitość takowego postępowania, że z powodu plotek i drobiazgowych uraz ściągają uczniowie na siebie gorszą opinią, niż na nią istotnie zasłużyli, że przez swoją niebaczność trują spokojność rodziców, narażają siebie i Instytut, i sami powołują zwierzchność do surowości. Wystawiwszy nakoniec,

iż kłótnia tych dwu uczniów, którzy znają surowość przepisów za zaburzenia w audytoryum, chociaż nie w czasie lekcyi popełnione, pochodziła zapewne z chwilowego zapomnienia się, wezwałem ich, aby to obadwa odwołali i szczerze z sobą się pogodzili. Łubiński powiedział, iż to uczyni na słowo profesora, co Krasiński usłyszawszy, te same słowa powtórzył. Oświadczyłem, że żądam szczerości, iż tego pogodzenia nie jestem obowiązany czynić z urzędu, ale jako obydwom życzliwy. Uczniowie zaczęli ich zachęcać do pojednania. W tym ozwał się młodzieniec, w ławce siedzący, po cywilnemu ubrany, którego w czasie tym nie spostrzegłem; chciał on coś przemówić przeciw Łubińskiemu, czyli Krasińskiemu. Na to powstali prawie wszyscy przeciw niemu, a nawet obadwaj w mowie będący uczniowie, iż nie mając munduru, nie ma prawa odzywać się w audytoryum. Zaczem mógłem być dosłyszany, aby się oddalił, obstąpili go uczniowie z groźbami, tak, że sam byłem przymuszony do niego przystąpić, i wziąwszy za rękę, wyprowadzić. Poczem uspokoili się wszyscy, a za powtórnem mojem wezwaniem, Krasiński z Łubińskim zbliżyli się do katedry, zachęceni przez uczniów, uściskali się wzajem i za wdanie się moje podziękowali, co uczynili i inni uczniowie.

Zaleciłem spokojne rozejście się, oraz, ażeby tego, co zaszło, po mieście nie roznosili, co wiele głosów przyrzekło. Po wyjściu z audytoryum rzeczony młodzieniec w cywilnych sukniach na podwórzu jeszcze się przyłączył do wychodzących, którzy go głośno łajali. Odprowadziłem go na bok i zatrzymałem, aż się wszyscy rozeszli z podwórza. Młodzieniec ten zowie się Gurowski (Bolesław?); płakał przedemną, wyznawał nieprzyzwoitość swego postępowania, żalił się na zniewagę, jakiej doznał, że musiał ustąpić z audytoryum; uważałam, iż tenże mogący mieć lat 17, więcej jest nieroztropny, niżeli zuchwały.

Dodać tu muszę, że w czasie całego zdarzenia w audytoryum [wyjąwszy przypadek z Gurowskim] wszyscy uczniowie zachowali się jak najprzykładniej, że kłótnia i zaburzenia były tylko pomiędzy dwoma Łubieńskim i Krasińskim, że nie dostrzegłem żadnego stronnictwa, przeciw jednemu lub drugiemu,

lecz owszem okazywał się duch reflexyi i przykładna chęć porządku. W. Inspektor Carré był obecny całemu zdarzeniu, który zapewnie raport z swej strony złoży, szczególniej o tem, co zaszło w ten czas, gdy po lekcyi z audytoryum wyszedłem.

Dnia 20 marca 1829. *Brodziński.*

Dnia 16 marca 1829 r. (autograf Szwejkowskiego — podpisy autografy).

Wezwany przez rektora i badany p. Zygmunt Krasiński, uczeń Uniwersytetu, z okoliczności zaszłych przed prelekcyą i po prelekcyi prof. Osińskiego, oświadczył, że został znieważony, od kogo? nie wi (!) w szczególności, bo głosy były liczne i tłumne, a na prelekcyi tej znajdowało się wiele osób nie należących do Uniwersytetu, nikogo zatem w szczególności wymienić nie może. Jakie słowa były znieważające tego dla wrzasku ogólnego nie rozeznawał i nie pamięta, »to tylko pamiętam, że skorom się tylko pokazał w sali, zaczęli na mnie sykać, tupać i kiedym wychodził toż samo czynili. Także oświadczył, iż lubo doznał zniewagi, nie myślał wcale zanosić skargi i nie zanosi, ani żąda, by za niego był kto karanym.

Zygmunt Krasiński. *X. Szwejkowski.*

Rektor Królewskiego Uniwersytetu (*cały własnoręczny*).

Na żądanie JW. Wincentego Hrabi Krasińskiego Generała Jazdy, Ministra Wojewody etc. uwalnia niniejszem Syna Jego Zygmunta Krasińskiego od kursów w Królewsko-Warszawskim Uniwersytecie, na które w Wydziale Administracyi od roku szkolnego 1827/8 aż dotąd nieprzerwanie uczęszczał.

W Warszawie d. 27 marca 1829 r. *X. W. Szwejkowski.*

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju (*własnoręczny cały*).

Z wielu bardzo przyczyn chcąc dać inny tor nauk brania memu synowi Zygmuntowi Krasińskiemu. Mam honor prosić

Jaśnie Wielmożnego Wać Pana Dobrodz. o przesłanie mi jego uwolnienia od kursów na jakie był zapisanym.

Cześć być mam z winnym poważaniem Jaśnie Wielmożnego Wać Pana Dobrodz. najniższym sługą

Warszawa D. 26 marca 1829. *Krasiński.*

Do JWHrabi Krasińskiego, Generała Jazdy etc. Rektor Uniwersytetu (*własnoręcznie*).

Wiadomo zapewne JWPanu, że Syn Jego w Uniwersytecie tutejszym będący, bywał napominany i karany, za wykroczeczenia przeciw karności, że mianowicie w m. listopadzie r. z. należał głównie do zmowy w celu okazania publicznej zniewagi prof. Bentkowskiemu. Za to ostatnie przewinienie zmuszona była Zwierzchność Uniwersytetu wydać na niego wyrok oddalający go na rok jeden od nauk akademickich. Gdy jednak dobrowolnie wraz z innymi kolegami przewinienie swe wyznał, obrażonego profesora i zwierzchność przeprosił i na piśmie przyrzekł, iż nadal nigdy podobnie nie wykroczy, powyższa kara została mu złagodzoną na areszt. Jednakże żywość jego nie dozwalała mu na to przyrzeczenie pamiętać. Okazywał ciągle skłonność do kłótni zaczepnych, a nawet do wyzywania na pojedynek, co według ustaw dla młodzieży akademickiej do głównych przewinień należy. Takowe zajścia jego ze współuczniami były nie małym powodem, iż ci dopuścili się gorszącego wykroczenia przez chęć okazania mu publicznie zniewagi na lekcyi prof. Osińskiego. Zgorszenie to tem było dla Uniwersytetu smutniejsze, iż się rozeszło mniemanie, jakoby niechęć uczniów przeciw niemu stąd jedynie pochodziła, że w czasie pogrzebu śp. wojewody był na lekcyi i niewczesnego ich zapału nie dzielił. Sam jednak p. Zygmunt czuł, że uczniowie mogą mieć do niego słuszne prywatne urazy, szukał więc pojednania się z niemi. Lecz gdy w zabranym głosie oświadczył, że ze względu pogrzebu nic takowego nie mówił, coby ich obrażać mogło, a Leon Łubieński zarzucał mu nieprawdę, powstał między niemi spór do tego stopnia, iż p. Zygmunt wyzwał na pojedynek p Łubień-

skiego, pomimo przestrogi obecnego Inspektora. Lubo za wdaniem się przybyłego profesora się pogodzili i przyszli obydwa rektorowi to zapomnienie się wyznać, przecież Rada Uniwersytetu i sama widząc się w konieczności i naglona przez JWMinistra Oświecenia tudzież przez osoby władz najwyższych o poskromienie młodzieży, uważając, że p. Zygmunt nie pierwszy raz dopuścił się wyzwania na pojedynek, że za zaburzenia w audytorium w listopadzie r. z. już wyrok relegacyi na siebie ściągnął i pod tym warunkiem miał sobie takowy złagodzonym, że nadal spokojnie sprawować się będzie, gdy jednak nowych się wykroczeń dopuścił, zmuszona była wydać na niego wyrok cichego oddalenia od Uniwersytetu na rok jeden, o czem JWPana uwiadomić poczytała sobie za obowiązek. (Wszystkich relegowanych rodzice lub opiekunowie odbierali takie zawiadomienie). Nadmienia przytem Rada Uniwersytetu, że zważając w P. Zygmuncie zdolności i dobre moralne przymioty, sądzi, iż wiek późniejszy i doświadczenie uczynią go sposobniejszym do korzystania z nauk Uniwersyteckich i że dla jego własnego dobra usunąć go należy od stosunków z młodzieżą, któreby mogły dać powód do sformowania w nim charakteru niespokojnego.

D. 23 marca 1829 r. *X. W. Szwejkowski.*

(str. 82. *Obelgi rówieśników*). Do jakiego stopnia dochodziła zaciekłość, dowodzi fakt, że pomimo wyjazdu Zygmunta Krasińskiego za zagranicę, młodzież uniwersytecka nie chciała Gaszyńskiemu darować wstawienia się za przyjacielem i wciąż go prześladowała; Gaszyński ze zmartwienia chciał sobie życie odebrać. Dopiero wstąpienie Gaszyńskiego do związku podchorążych uśmierzyło nienawiść rodaków (Utwory... zebrał i życiorysem opatrzył B. T. Poznań, 1880, str. XL).

(str. 87). Dokładny tytuł rzadkiej dziś broszury: Grób Rodziny | Reichstalow | powieść oryginalna | z dzieiów woyny trzydziestoletniey | przez | Zygmunta Krasińskiego | Warszawa | W drukarni Gazety Korrespondenta | 1828 | (in 12°, str.

102). — Pierwodruk w »Rozmaitościach Warszawskich«, począwszy od Nru 18-go z d. 14 maja 1828 r.

(str. 88. *błędem powieści*...) M. Reiter, Przyczynki do genezy kilku utworów Krasińskiego, Ateneum, wrzesień 1899, str. 483.

(str. 91. *Wallenroda przypominającą*). »Wallenroda«, jak już wiemy, czytał Z. Krasiński w drugiej połowie marca 1828 r. Miał go od Waleryana Krasińskiego. (Listy do ojca). »Wallenrod« czytany był w obozie klasyków w Warszawie w marcu 1828 r. (Por. Siemieński Portr. lit. III, 361). W kwietniu t. r. nie wolno już było w gazetach warszawskich nic pisać ani o Wallenrodzie ani o Mickiewiczu i temby się tłumaczył brak cytat z niego w Grobie R. R.

(str. 92 *wiedział i mógł*). Przegląd Polski, kwiecień 1896 r., str. 32.

(tamże: *podpisania aktu ślubnego*). M. Reiter l. c. 484—5.

(str. 94 *przyjaciel, K. Gaszyński*). Pamiętnik dla płci pięknej, wydawany przez L. Z(ienkowicza) i K. G(aszyńskiego). Rok pierwszy, Tom pierwszy. Warszawa, w drukarni A. Gałęzowskiego i komp. 1830. (Wychodził »poszytami«).

(str. 97 *następujący artykuł*). Ob. Ateneum, wrzesień 1899. M. Reitera Przyczynki do genezy kilku utworów Z. Kr., str. 489—490.

(str. 100 *Trębowla i jej okolice*) wykazał to M. Reiter: Z. Krasiński jako współpracownik Pamiętnika dla p. p. — We Lwowie 1894, str. 34—35.

(str. 101 *Opowiadanie to*). Szczegóły u M. Reitera, l. c. 32—36.

(str. 102 *Władysław Herman*...) Autograf dochował się w części i ma taki tytuł:

Hanna z Ciechanowa | Zbigniew *(przekreślone)* | Powieść z dzieiów | XIgo wieku | ofiarowana 1° Stycznia 1829 roku | (*ręką jenerała dopisek*): W. Krasińskiemu | przez | syna | Z. Krasińskiego | Wydrukowany | w 1830 roku | pod tytułem | Herman i dwor iego«.

Gruby zeszyt, oprawiony w papier, na grzbiecie skóra, napis złocony »Zbigniew 1«. Karty nieliczone, tylko arkusze, u góry

na lewo; jest arkuszy 35. Na końcu rękopisu: »Koniec Rozdziału 14go i zarazem Tomu 1go«. (w wyd. pierwszem odpowiada tekstowi str. 91 tomu drugiego).

(str. 103). Pierwszą pobudką do napisania utworu mogło być miejscowe podanie, przywiązane do ruin zamku ciechanowskiego. L. H(ubert) pisze w Encyklopedyi Orgelbranda (s v. Ciechanów): »...legenda o wykradzeniu Hanny, córki Wszebora wojewody, jakoby narzeczonej Bolesławowi Krzywoustemu i o uniesieniu jej do zamku płockiego, gdzie przyrodni brat Bolesława Zbigniew panował i gdzie wkrótce wskutek zadanej trucizny życia dokonać miała. Przedmiot ten posłużył za osnowę do osobnej powieści, napisanej p. t. »Anna z Ciechanowa«.

(str. 104 ...*powiastce poprzestać*). Całkiem trafnie krytykuje sam siebie autor w tych wyrzekaniach Hanny: »Człowiek, któremu poświęciłam wszystko, mnie zhańbił, kiedy jednem słowem mógł swoją i żony sławę ocalić...«

(str. 105). Por. uwagi prof. J. B. Antoniewicza w *Przegl. Polsk.* l. c. str. 37.

(str. 106). *Przegl. Polski*, maj 1896, str. 347 i n.

(str. 106 *Dobrosława podobna do Hanny*). Dokładnie wykazuje to M. Reiter w Ateneum l. c. str. 495—496.

(str. 113 *Sen Elżb. Pileckiej*) ob. *Przegl. Polski*, lipiec 1896, str. 70 i n.

(str. 127 *góry śniegiem okryte*). Mieszkał Z. Krasiński przy *Place du Grand Mezel*. Domy na wzniesieniu; u dołu ciągną się terasy i bardzo wówczas modna *Promenade de la Treille*.

(str. 128 *Mr Reeve*). »Henri Reeve de Nordwick, Angleterre« pod r, 1828 w »*Livre du Recteur*, catalogue des Étudiants de l'Académie de Genève«. — Genève 1860, p. 323.

(str. 130 *drukarni p. Józefa*). »Założoną w tym czasie drukarnię Józefa hr. Krasińskiego nabył Świerczewski itd.« Encykl. Powsz. Warszawa. S. Orgelbrand, 1861. T. VII, str. 466.

(str. 132 *de Candolle*). Mémoires et souvenirs... Genève, 1862. pp. 401, 402 i 409.

(str. 138 *apparence indolente*). Ob. studyum De Crue, Genève et la Société de Lecture. Genève 1896, str. 28.

(str. 139 *pleins de finesse*). Journal de Genève, jeudi 21 Janvier 1830, p. 11. Wysłany do Paryża w r. 1833, zrobił takie wrażenie na Ludwiku Filipie, że go powołano na katedrę w Collège de France. Mianowany hrabią, parem Francyi, posłem Ludwika Filipa w Rzymie, zakończył życie w sposób tragiczny, zasztyletowany przez zbrodniarza w pamiętnym r. 1848, gdy był pierwszym ministrem Papieża Piusa IX.

(str. 142). J. K. L. Simonde de Sismondi (1773—1842), autor *Histoire des républiques italiennes* (zacz. r. 1807, skończ. 1817) i *Histoire des Français* w 29 tomach (1818—1842). Był honorowym profesorem akademii genewskiej, zrazu filozofii (1809), wreszcie historyi od r. 1815.

(str. 143 *de Candolle zachwycał*). W pamiętnikach swych de Candolle nie zapomniał tego faktu (str. 427): »Je puis, par un fait, donner une idée de la prodigieuse facilité de Mlle de Klustine. Je lui demandai un jour si elle ne pourrait pas me donner pour la *Bibliothèque Universelle* un morceau sur l'état de la littérature russe. Trente six heures après elle m'en apporta le manuscrit... (Następuje streszczenie i pochwała artykułu). Elle avait alors dix-neuf ans! Je doute qu'on puisse trouver un second exemple d'une facilité pareille«. — To zdanie ostatnie, zapewne powtarzane przez Candolle'a w salonach, mogło korcić Krasińskiego i wzbudzić ochotę do stwierdzenia faktem, że obok artykułu 19-letniej Rosyanki może godnie stanąć artykuł 17-letniego Polaka. Nota Bonstettena poddała mi niniejszy domysł.

(str. 147 *o Bernatowiczu*). Przekład polski tego francuskiego Listu z krótkim ustępem o Bonstettenie podała S. Duchińska w *Kronice Rodzinnej* z r. 1876 na str. 225—228. — Pani Duchińska miała widocznie bliższe szczegóły o pobycie Krasińskiego w Genewie od kogoś, co już czytał listy Zygmunta do ojca.

(str. 155). *Le coucher du soleil*). Szczegółowo zestawia podobne ustępy M. Reiter w studyum swem, l. c. 9—11.

(str. 156). *Odeszłem, przyszłem*, prowincyonalizmy podolskie, zapewne z Dunajowiec przywiezione, a przez babkę pielęgnowane.

(str. 163 *Dom rodzinny*). Ustęyp, drukowane kursywą, są wyraźnem echem wspomnień opinogórskich: stary dwór i wzgórek — wszystko to dochowało się w Opinogórze; tylko stawu dziś niema, a na miejscu kaplicy wznosi się ładny, duży kościół.

(str. 171 -172 *les Paquis*). Dziś to jedna z najpiękniejszych dzielnic Genewy. Inny widoczek »nocny« od strony jeziora kreśli Odyniec (Listy, IV, 263).

(str. 175 *Tadeusz, legionista*). Listy z podróży Odyńca, IV, 184 i nn. — Por. ustępy z »Pana Tadeusza« o Legioniście. Księga I, 906—927.

(str. 175). *listami do Reeva*). Ob. Przedmowę do wydania korespondencyi Krasińskiego z Reevem, gdzie dokładniej zastanawiam się nad stosunkiem obu przyjaciół: Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve. Paris, Ch. Delagrave 1901. Dwa tomy z portretami Reeve'a i Z. Krasińskiego.

(str. 176 *po ukończeniu „Zawiszy“*). Będzie to: Ułomek | z Dawnego Rękopismu | Słowiańskiego. | wydany przez Z. K. | Warszawa 1830, str. 15. (na końcu): W drukarni Banku Polskiego.

(str. 179 ...*o stosunku religii do Państwa*). Przypominam, że prof. Roget był teologiem genewskim. Od niego mógł Krasiński dużo szczegółów się dowiedzieć.

(str. 180 „*sur le Clergé*). Ob. »Correspondance« II, 169—176.

(str. 183 *i genialny* itd.). Następujące słowa zdają się być dodatkiem późniejszym starego Odyńca, który nie mógł się oprzeć pokusie umieszczania obszernych gloss do krótkich pierwotnych listów; styl pierwotny, odmienny od wydanych *Listów z Podróży*, znany nam jest np. z listów do Leonarda Chodźki. (Muz. Rapersw.).

(str. 189 ...*broszurkę po polsku*). »Ułomek« z Dawnego Rękopisu Słowiańskiego wyszedł w Warszawie w drukarni Banku Polskiego w końcu listopada 1830 r. Jenerał Krasiński był właśnie zajęty wysyłaniem tej broszurki do Rzymu, kiedy rozeszła się wieść o ataku na Belweder. — »Ułomek«, zwłaszcza w samym początku, przypomina ustęp broszury Bois-

siera: „*A ma femme. — Combien de fois ne m'avez-vous pas dit, douce et triste compagne de ma vie, combien de fois, quand le ciel*“ etc.

(str. 191 ...*non est idem*). Por. w Listach z Podróży, w tomie czwartym str. 305—306 ze str. 398.

(str. 194). Ob. »Z nieznanych rękopisów Z. K.« Bibl. Warsz. Sierpień 1901, str. 197—201.

(str. 217 „*Gastołd*“). Ob. »Utwory Zygm. Krasińskiego... zebrał i życiorysem opatrzył B. T. Poznań, 1880, str. LXXII. — Pierwsze wydanie «Gastołda», rzadkie dziś, ma tytuł: Gastołd | Powieść | żmudzka | przez I. Hr. Kras: | Warszawa 1833. | W drukarni b. kom. ośw. N. 1346. na teraz Da. Dz. | Staraniem i nakładem tegoż. Na ostatniej str. 29, po tekscie, wydrukowane kursywą: *Zygmunt Kr.* — Drukowany był »Gastołd» po raz pierwszy w »Tygodniku Polskim« 1833 r. NN. 1—2 »Gastołd« z podpisem Zygmunt Kr., z uwagą redaktora: «Spodziewamy się, że nasi czytelnicy podzielą z nami to zdanie, iż w niniejszej powieści styl męski z czasów Górnickich i Skargów nie tłumi wytwornej polerowności nowszych wyobrażeń«. Ob. »Hist. Liter. Polskiej« P. Chmielowskiego Tom V. Warszawa 1900, str. 122.

(str. 220 *oficerów tyleż*). List do syna, pisany z Królewca d. 24 grudnia 1830 r.

(str. 222 „*Patryota*“). Nr. 4 Warszawa d. 4 grudnia 1830 r.

(str. 226 *udał się do Petersburga*). Dochował się w zbiorach rodzinnych notatnik jenerała, wązka, podłużna książeczka, w czerwoną skórę oprawiona, brzegi złocone. Wewnątrz, na okładce zielonej, napisał jenerał: »Ta Xiążka kupiona w Królewcu Dnia 22 Xbra przez W. Krasińskiego do zapisywania, co robił przez czas niebytności w kraiu«.

Podaję tu kilka drobnych urywków z upoważnienia Ordynata Adama hr. Krasińskiego:

»(*W Peterhofie, podczas cholery*).

Julius.

17. Niedziela. Gorączkę miałem w nocy. Wczoraj sześć miesięcy skończyłem, jak jestem w Petersburgu. Kiedy, Boże, pozwolisz, bym na moją wrócił ziemię!? Oddalony od Matki,

Syna, Familii — sam jestem. Prócz Cesarza, nikt mną się nie interesuje. Boże, zlituj się i błogosław mi, o Boże!

D. 18 Poniedziałek. Cesarz w nocy mi papiery polskie przysłał, o 11ej tłómaczenie odesłałem. Widać z nich, że Jakubiny górę biorą, że rząd musi im ulegać. Cała własność partykularna przeszła na własność publiczną.

August.

2gi augusta. Wtorek. Cesarz mi przysłał gazety: znalazłem, że pod 20 Juli wykreślili mnie z senatu. Boska Wola — *nesciunt quid faciunt.*

September.

Piątek 9ty. Benkendorff mnie pytał, czy chcę jechać ze zleceniami cesarza do Warszawy. Odpowiedziałem, że wszędzie, gdzie mogę mu służyć, a bydź użytecznym współrodakom.

15go Czwartek. Co się z mym synem dzieie? dawno już listu nie miałem. Boże! zachoway go, a mnie weź. Panie! błogosław go! Święta Mario, okryi go płaszczem twey opieki, dotkniy siłą twey korony, a przeszyi promieniem twego światła!

16go Piątek. Do syna pisałem, potym u siebie jadłem śniadanie z Zamoyskim; w wieczór byłem u Żyrosława, gdy o 7ej Harmaty z fortecy ogłosiły wzięcie Warszawy. Boże! co się tam działo?! żadnych detalów. Xiążę Suworów przywiózł tę nowinę i iest w Carskim Siele.

21 Środa. O 5tej zrana Feldjegier zbudził mnie z rozkazu Cesarza, żebym zaraz jechał do Carskiego Sioła. Przybyłem przed mszą. Cesarz mnie jak swe dziecko przyiął. Naylepsze chęci. Między innemi mnie mówił, że żąda tym prędzey końca, by mógł się szczęściem ludzi zatrudnić.

22 Czwartek. Kuryer przybył, że nie chcą dotrzymać kapitulacyi, co rozgniewało cesarza i wszystkie piękne projekta, nad któremi pracowałem, spełzły.

20 środa. — zgryzłem się dekretem banicyi na Romarina korpus.

Wieczór o 8ey na mocy zwołania przez Monarchę byliśmy u Hrabi Nesselrode, gdzie czytał nam wolą Cesarza, żeby obserwacye zrobić nad projektem przedstawionym Nowey Konstytucyi.

29 czwartek. 1sza sessia była: członkowie Zamoyski, Lubecki, Grabowski i ia.

Oktober.

19 środa. Cesarz mi przysłał powiedzieć, bym był o 11cy u niego; w nocy źle spałem, mam gorączkę. U cesarza byłem 2 godzin i pół. To, co tylko szczerość i przywiązanie do kraju kazało, wszystko powiedziałem, ściągaiąc iego uwagę na przyszłość i co powie Historia. Jak anioł wszystko przyiął. Stamtąd byłem u Pana Zamoyskiego na sessyi.

23. Niedziela. Rano byłem u Gen. Czerniszew, który mi oświadczył, że iest wola Cesarza, bym się udał do Warszawy i instrukcyą mi zostawił.

26. Środa. Rano u Xięcia Lubeckiego ziechaliśmy się o adress, gdyż wczoray Hr. Nesselrode znalazł ten, co był, za twardy.

28. Piątek. Wyiechałem z Petersburga.

(na Knyszyn i Opinogórę, przybył 7go listopada o g. 10ej w nocy do Warszawy. Oto pierwsze wrażenia:)

Wtorek. 8y. Rano zaraz byłem u W. Xięcia, od niego u marszałka, którego zastałem jak wściekłego przeciw Polakom i bardzo sucho dla mnie. Widziałem się z Witem i Rautenstrauchem.

Środa. 9ty. Znowu u Marszałka, któren przecież trochę się uspokoił i mógł dyskutować. U Wielkiego Xięcia na obiedzie. Byłem w Banku u Lubowidzkiego, potym u Strogonowa, u Engla, wszystkich zastałem demoralizowanych, słabych i niechętnych Marszałkowi.

Czwartek 9ty. Miałem konferencią z Marszałkiem kilkogodzinną rano, potym obiad u niego i jeszcze po obiedzie drugą«.

(str. 231 ...*rozkazów jen. Krasińskiego*). W tym czasie odebrał Zygm. Krasiński list od poważanego mentora domowego i przyjaciela. X. Chiarini w liście z d. 28 stycznia 1831 r. radził mu nie wracać do Polski, gdyż powrót jego w niczem nie wpłynie na zmianę losu wojny: *„Dans un moment où tout est organisé et en mouvement, votre secours ne pourrait se reduire qu'à augmenter la masse des combattans d'un seul individu. Or sachez, mon cher Sigismond, que* ***votre patrie attend de vous un appui plus essentiel*** *et qu'il ne vous manquera*

pas l'occasion de lui payer ce tribut d'un bon citoyen". — Prorocze słowa człowieka nad grobem stojącego! — X. Chiarini umarł niedługo potem.

(str. 261 *Przeor Augustynów*). Przeora wymienia w liście do K. Gaszyńskiego (Lwów 1882, str. 16) wliczając go do utworów, których drukować teraz nie może, bo pełne »przekleństw na Moskali«.

(str. 270 ... *Une Étoile*). Wydrukował ten utwór w *Bibliothèque Universelle* w zeszycie listopadowym 1831 r. od str. 334—336. Tekst posłany Reevowi jest pierwotny; tekst drukowany ma dość liczne waryanty i zakończenie odmienne. Ob. waryanty podane w dodatku do drugiego tomu »Correspondance«.

(str. 290 ... *ziębną i łaknąc*). Ob. Correspondance I, 356 - 357 i 346—347.

(str. 292 ... *rewolucya robotnicza w Lyonie*). Podajemy tu urywki ze współczesnej *Revue des deux mondes*, słynnego przeglądu, który właśnie w r. 1831 zaczął wychodzić i z pewnością pilnie był czytywany przez Z. Krasińskiego. Niejedno spostrzeżenie francuskie utkwiło wtedy w umyśle i sercu naszego poety.

(Revue d. d. m. Tome Quatrième, Paris, 1831, str. 659—660).

»Révolutions de la Quinzaine«.

Paris, 14 décembre.

»La révolte de Lyon est calmée.

Jusqu'à présent, le mal n'est que pallié. C'est une misère guérie à force de troupes et de fusils. La misère existe toujours, haletante, triste, abattue, toujours prête au courage du désespoir... Que deviendront toutes ces misères entassées dans le comble des maisons, éparses sur les grandes routes; ces misères, qui ont respiré la vapeur de la poudre, qui se sont assises à la table du riche, qui ont dansé autour de l'incendie, qui ont été pouvoir à leur tour, qui se sont couchées dans du linge blanc un jour? Croyez-vous que pour suffire á toutes ses transes, ce soit assez de la présence d'un maréchal de France et même du prince royal? Nous avons bien peur que ce paliatif ne soit de courte durée. Il ne suffit pas

d'ôter leurs armes aux ouvriers, encore faut-il leur donner du pain«.

Powód do rozruchów w Lyonie wyjaśniony tamże na str. 541: Konkurencya szwajcarska wywołała przesilenie w przemyśle jedwabniczym w Lyonie. Fabrykanci musieli zniżyć ceny; »les ouvriers ont réclamé avec toute la véhémence de la misère qui a faim, qui a froid, et qui n'a plus de crédit nulle part«.

Prefekt nałożył taryfę na fabrykantów. Fabrykanci rozpuścili robotników: »Un peuple hâve, livide, mort de faim, armé; c'etait pire qu'un crime c'était une faute«. Przedmieścia ruszyły; robotnicy z czarnym sztandarem, na którym napis: *Vivre en travaillant, ou mourir en combattant*. Zdobyli armaty i strzelali z armat. Kilka dni panowali i trzeba było z nimi paktować.

ibid. 219.

»La Bourse veut la paix, c'est une grande raison pour que nous n'ayons pas la guerre. La Bourse en effet n'est-ce pas la seule souveraine qui de nos jours ait gardé la toute puissance, le seul monarque de ce monde dont le trône n'ait pas été ébranlé?«

(première quinzaine d'octobre 1831).

(str. 298 *Venus Medycejską*). Echo rzeczywistości wyidealizowanej. Wiemy z listów do Reeva, że przyjaciel ich wspólny Leach, z którym się Krasiński zjechał we Florencyi, był »rozkochany« w słynnym posągu Florenckim.

(str. 298 „*Wygnańca*“). „*Wygnańca*“ otrzymał K. Gaszyński w liście Z. Krasińskiego z d. 3 sierpnia 1832 r. Posyłam ci ten ułamek, napisany temu rok przeszło, we Florencyi, po wybuchnieniu naszego powstania. Jest to fikcya, w której ramach oprawiłem własne uczucie«. (Listy do Gaszyńskiego, Lwów 1882, str. 28). — Zachował się autograf pierwotnego francuskiego tekstu »Wygnańca«, noszący dokładną datę: Florence, Mars 1831. — *L'Exilé.*

(str. 312 *nazywa poematem*). Pierwotny tytuł utworu był: »Maryna Carowa« (»poema prozą«). Por. listy do K. Gaszyńskiego. (Lwów 1882), str. 16 (z d. 2 kwietnia 1832).

(str. 313 ... *Hiszpanów Korteza w Meksyku*). Ten ustęp pozwala na pewno określić, jak daleko postąpił był wówczas Krasiński w pisaniu *Agaj-Hana*. Jest to bowiem wyraźne echo VIgo rozdziału powieści od słów: »Wielkie państwo moskiewskie...« do »skrzywdzonych Bogów«. Połowa zatem *Agaj-Hana* była już napisana do d. 6 grudnia. W miesiąc potem (około 5 stycznia 1832 r.) zdążał już Krasiński do końca; widać to z listu do Reeva: »Je me mis à écrire mon poème et comme vers la fin il y a une mort, cette idée de mort après que j'eus fini de la décrire me resta dans la tête...«

Autograf »Agay-Hana« dochował się fragmentarycznie. Brak tytułu i przedmowy. Tekst zaczyna się z odstępem $^1/_3$ stronicy:

»Wieże Kaługi zdaleka« itd.

Brak zatem cytatu angielskiego z Melmoth-Mathurin.

Papier cienki, czerpany, ze znakiem wodnym I. Johannot ($19 \times 23^1/_2$); arkusze u samej góry z lewej strony znaczone; tenże papier ma także w znaku wodnym zamiast I. Iohannot tarczę herbową, na niej dwie ręce w uścisku. Pismo równe, spokojne, drobne, poprawek stosunkowo bardzo mało. Dochowanych arkuszy 12. Ostatnie zdanie: »by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę« — (w wydaniu pierwszem na str. 80).

(str. 315 *Le Choléra*). Na samym początku tego utworu mamy szczegółowy opis pomnika marmurowego w kościele Augustynów w Wiedniu, dłuta Canovy. Sam ten opis, jak niemniej barwne opowiadanie o Praterze, nasuwały domysł, że Zygmuntowi Krasińskiemu musiał być Wiedeń znany już przed rokiem 1830, jakkolwiek nie mieliśmy na to dowodu w korespondencyi z jenerałem lub Reevem. Dopiero po wydrukowaniu tego tomu, w listach z późniejszych lat, znaleźliśmy wyraźną wzmiankę, że Zygmunt towarzyszył jenerałowi do Wiednia w podróży jego urzędowej w czerwcu 1829 r. O tej podróży jenerała wiedzieliśmy już ze zbioru ciekawego dokumentów dyplomatycznych, ogłoszonych w rzadkiem dziś wydawnictwie p. t.: *Le Portfolio ou Collection de documens politiques relatifs à l'histoire contemporaine.* (Tome second. Hambourg. 1836. str. 210. — Ob. także str. 335 i 395). Mamy

tam urzędowe sprawozdanie z audyencyi jenerała Winc. Krasińskiego u cesarza Franciszka: *Rapport adressé à l'Empereur Nicolas par le général Krasinski sur une audience auprès de l'empereur d'Autriche.* Première audience de l'Empereur François le 3 juin 1829: W tej rozmowie zapytuje także cesarz Franciszek jenerała Krasińskiego:

— Quand avez-vous quitté Napoléon?

— Après son abdication,

— Vous êtes de braves gens, vous servirez le nouveau Souverain avec la même fidélité avec laquelle vous avez servi l'ancien.

Któż wie, czy i to wspomnienie i to zapewnienie cesarza Franciszka nie wpłynęło da decyzyą jenerała Krasińskiego w chwili stanowczej w grudniu 1830 r.? (Ob. także str. 9).

Stwierdzić tu tylko chcieliśmy fakt do niedawna nikomu nie znany, że Zygmunt Krasiński poznał Wiedeń po raz pierwszy już w r. 1829, a więc przed podróżą do Genewy.

(str. 315 *artykułów francuskich*). Wykaz ich szczegółowy podał autor w roczniku pierwszym »Pamiętnika Literackiego« (Lwów, 1902, str. 44–51 i 412–420).

(str. 329 ..*nachylu się ku przepaści*). W tym czasie napisał też Krasiński drobny fragment angielski p. t. *Przelotna Chmura*, zupełnie w nastroju i stylu podobny do innych fragmentów francuskich z tejże epoki. Przekład polski »Przelotnej Chmury« wydrukowała »Kronika Rodzinna« w r. 1878 na str. 129—130.

(str. 50—120). Już od 14-go roku życia zaczyna Zygmunt Krasiński pisać listy francuskie do pani Załuskiej jako jej *devoué et respecteux neveu.* Listy te są przeważnie przesadne, treści błahej, dotyczącej domowych kłopotów i zmartwień małego korespondenta. Szczególnie »Babula« jest przedmiotem częstych narzekań, a wnuk szuka odwetu, ośmieszając starościnę opinogórską w swych francuskich listach. Podajemy kilka urywków tej korespondencyi, *zachowując styl i ortografią oryginału;* wyjątki te mogą uzupełnić w kilku rysach nowych to, co czytelnikowi znane już jest z książki. O ile data listu nie jest podana, znaczy to, że niema jej w oryginale.

— »Pour me consoler je lis *Kenilworth* — Amy Robsart est intéressante comme aucune héroïne de tous les romans de Sir Walter, excepté Miss Diana Vernon, comtesse de Beauchamps, qui est votre image vivante.

— »Papa joue le soir avec Babula à l'ennuyeux piquet et moi je baille en regardant...

»j'ai appris à ne plus rire quand on parle des Saints, à ne plus cracher (!) quand on discute sur la légitimité, à ne plus rougir de colère quand on parle contre Bayron, a me taire quand on loue les abus des prêtres et à ne repondre aux absurdités que par un mépris caché et couvert d'une telle couche d'assentiment qu'il est difficile de la percer — voilà mes progrès. Jugez, s'il sont à mon avantage«.

— *(Z pierwszych dni grudnia 1828 r.).*

»Babula est toujours la même ce qui veut dire que je m'ennuis terriblement. (Gniewają go posty, obserwowane skrupulatnie w adwencie trzy razy na tydzień).

»J'ai eu ces jours-ci une petite aventure à l'Université qui m'a valu maintes scènes à l'Université et deux jours de prison — mais ces deux jours n'étaient qu'un adoucissement du premier decret rendu par le Conseil de l'Université et qui me chassait de son sein. Ainsi vous pouvez voir, Madame, que je suis toujours en but à mon destin qui me mènera certainement un jour à la potence, et ainsi s'accomplira la prédiction de quelqu'un que Vous connaissez bien ainsi que moi.

En attendant cet évènement je suis toujours Votre devoué et respectueux neveu Sig. Kr.

P. S. Avant hier j'ai commencé à apprendre l'anglais.

— (27 grudnia 1828 r.):

»Babula vêtue de noir pour la mort de l'Impératrice, assise léternellement sur son trône à bras dorés, dispense ses mots et ses Bura (!) à grande dose.

— (7 lutego 1829 r.).

»Babula est *in statu quo*.

Je m'ennuis à n'en pouvoir plus ni parler ni vivre. J'apprends l'anglais assez vite. C'est la langue des Dieux — On vient de

m'appeller pour aller au tombeau (j'appelle comme cela le salon de Babula).

(Świetny opis wjazdu starościny opinogórskiej na Krakowskie Przedmieście).

— Soixante chevaux ont rempli la cour de notre palais. Dix voitures et fourgons ont fait leur entrée triomphale. Babula est descendue entourée de la population féminine et masculine du Palais. La scène a été pathétique et sublimo-touchante,

Avant-hier j'ai été à Mińsk avec Papa à la rencontre de Babula. L'aspérité et l'aigreur de son caractère s'est un peu diminué, mais il en reste assez pour faire ma vie insupportable.

— — On a parlé de Vous et Babula s'est montrée extrêmement sensible, en répétant pendant un quart d'heure au moins cinquante: n i e b o r a c z k a.

Ça durera deux ou trois jours et après les commérages, les gronderies, les mécontentements rempliront les appartements...

Le chef d'État major Milberg a été à cheval à la rencontre de Son Excellence, la haute et puissante Dame et Châtelaine de Dunajowce. ...De tous les côtés je ne vois que vieillesse, laideur et ennuis. Passer ainsi sa jeunesse est pire que mourir —

Le 7 Juillet. — Sig. Kras.

— Ostatni z tego roku list pisany jest na wyjezdnem z Polski (a więc w połowie października 1829 r.), bardzo smutny, ma następujący dopisek (francuski) kapitana Wyleżyńskiego: »Wyjechał we wtorek. Odprowadziliśmy go do Błonia. Zygmunt płakał rzewnemi łzami w chwili wyjazdu, Jenerał także, a Girardot łkał«. (Por. str. 120).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Rodowód Zygmunta Krasińskiego.

Jan Ignacy Krasiński Kasztelan wizski

Elżb. Teresa Sołtykówna 1° voto Kochanowska

Kasper Załuski

N. Kuropatnicka

Michał Hieronim Czacki

Konst. Wielhorska

Jan Małachowski Kanclerz W. Kor.

Izabella Humiecka Wojewodzianka Podolska

Mikołaj Faustyn Radziwiłł Wojew. Nowogrodzki

Barb. Franc. Kierzgajło-Zawiszanka

Kazimierz Chalecki Pułkownik Petyhorców Miecznik lit.

Maryanna Pakoszówna Chorążanka W. X. L.

Piotr Aleks. Czapski Woj. Pomorski, Star. Knysz.

Konstancya Gnińska wnuczka Jana G. Podkan. Kor.

Jan Ansg. Czapski Woj. Chełm. Podsk. W. Kor.

Teresa Zamoyska Wojew. Smoleńska

Michał Hieronim Krasiński Marsz. Gen. Konfed. Barskiej

Aleksandra Załuska

Feliks Czacki Podczaszy W. Kor.

Katarzyna Małachowska

Albert Radziwiłł Gen. Wojsk W. X. Lit.

Anna Kun. Chalecka dziedziczka Annopola

Tomasz Czapski Starosta Knyszyński

Marya Czapska synowica Tomasza

Jan Krasiński Star. Opinog. Poseł podolski na Sejm 4-letni

Antonina Czacka

Dominik Radziwiłł

Konstancya Czapska 2° voto za Stan. Małachowskim

Wincenty hr. Krasiński Generał, I Ordynat Opinogórski

Marya Urszula Radziwiłłówna

Zygmunt Krasiński

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1834).

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812—1838).

JÓZEF KALLENBACH

XI

ZYGMUNT KRASIŃSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LAT MŁODYCH

(1812—1838)

TOM DRUGI

LWÓW 1904

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO

WARSZAWA — E. WENDE I SP.

17581/1

W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELL. W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO

TREŚĆ TOMU DRUGIEGO.

Str.

Księga Czwarta.

I. Z Genewy do Opinogóry 3
II. W Petersburgu 19
III. »Agay-Han« 40
IV. »Nie-Boska Komedyia« 51

Księga Piąta.

I. Na rozstajnych drogach 149
II. Raj i Piekło (1835 r.) 184
III. Irydion 214

Księga Szósta.

I. W Rozstroju 287
II. W Wiedniu zimą 1836/7 r. 327
III. Przesilenie 336
IV. Ostatnie Spotkanie 361
V. Twórczość 371

Objaśnienia i uzupełnienia 411
Nieznane Fragmenty i Listy Z. Krasińskiego 429
Wykaz Nazwisk . . . . . 441—447
Wizerunki: *a*) Pani A. Załuskiej.
b) Trzy portrety Pani Bobrowej.
c) Portret Z. Krasińskiego z r. 1833/4.

KSIĘGA CZWARTA

I.

Z Genewy do Opinogóry.

Życzeniem było jenerała W. Krasińskiego, aby syn jego przedstawił się w Turynie na dworze królewskim, jako daleki kuzyn. Krasińscy byli spokrewnieni z domem Sabaudzkim przez Franciszkę Krasińską, żonę Karola, księcia kurlandzkiego, a matkę jedynej córki, księżniczki Maryi, która wyszedłszy za mąż za księcia Karola de Carignan, stała się matką rodu, panującego dziś we Włoszech.

Ale nie nadeszły w porę listy rekomendacyjne i ku wielkiej swej radości Zygmunt Krasiński nie potrzebował odbywać etykietalnej wizyty.

Z Turynu na Medyolan, Weronę, Vicenzę i Paduę przybyli do Wenecyi około 20 maja. Krasiński zaczął tu brać kąpiele z wody słonej morskiej spodziewając się, że to mu pomoże na oczy, których stan się nie poprawiał.

Nie mógł ten stan zdrowia wpłynąć korzystnie na humor jego; to też kilka listów, pisanych wówczas z Włoch do ojca, odznacza się niezwykłą zwięzłością i smutkiem. Po 10-dniowym pobycie w Wenecyi, o którym

zaledwie kilka słów w liście swym zanotował, a gdzie skreślił po francusku krótki rzut oka historyczno-filozoficzny na upadek świetnej niegdyś stolicy dożów (*Correspondance*, II, 295—305) — udał się w dalszą podróż na Innsbruck ku Wiedniowi. Coś go ciągnęło do Polski, a równocześnie choroba oczu nie pozwalała nasycać się pięknościami zwiedzanych krajów:

»Chciałbym być już w Opinogórze; choć piękne zwiedzam krainy, coś mnie popycha naprzód ku Polsce, ku Ojcu — i nie wiele też mam pociechy z tego wszystkiego, bo mnie oczy nie dozwalają się nacieszać i niebem i morzem«. (22 maja, Wenecya).

Gaszyńskiemu zaś żalił się (26 maja 1832 z Wenecyi): »Wciąż jestem słaby, z oczyma coraz kiepściej, wczoraj krew w wieczór puszczałem, bo mi tak biła do mózgu, że kazała lękać się apopleksyi. Cierpienia moralne zupełnie ciało moje rozstroiły. Gdybym z Wami był kampanię odbył, byłbym zdrów jak ryba...«

W Innsbrucku rozstali się przyjaciele: Reeve udał się do Monachium, Krasiński do Wiednia. Przyjaźń ich dosięgła wówczas szczytu i odtąd powoli, nieznacznie zrazu, zmniejszała się i słabła. Różne okoliczności wpłynęły na to, a głównie odmienne drogi życia: Anglik mógł zająć w kraju rodzinnym stanowisko, odpowiednie swym zdolnościom; Polak, pod strasznym uciskiem Mikołajowskim, taić się musiał z każdą myślą śmielszą, z każdem gorętszem uczuciem. — Nie było to ostatnie ich widzenie się; przecież nigdy już dawniejszego stopnia zażyłości nie będzie. Reeve zanotował w pamiętniku: »chociaż

dalej korespondowaliśmy, nie wróciła już nigdy dawna poufałość«. (I never lived in his intimacy again). W jesieni tegoż roku już był Reeve pod urokiem i wpływem nowego przyjaciela, Handley'a, i pisał do matki: »Jeżeli Zygmunt jest typem mej przeszłości, to czuję głęboko, że, co do zasad, jeśli nie co do osoby, osoba ta (Handley) jest wyobrazicielem mej przyszłości«. Objaśnia zaraz, że Handley jest republikaninem i *un homme de mouvement.*

W połowie czerwca 1832 r. stanął Krasiński we Wiedniu. Choroba oczu pogarszała się. Leczył go sławny okulista Jaeger, a kuracya była przykrą:

»Cały dzień siedzę w pokoju na pół ciemnym, jeno wieczorem w karecie wyjeżdżam na przechadzkę; nie mogę ani czytać, ani pisać. Zgoła muszę siedzieć z założonemi rękoma i próżnować. Ta choroba nauczy mnie myśleć, dawniej tylko marzyć umiałem«. Zresztą uspokajał ojca: »nuda i cierpienie jest, ale niebezpieczeństwa nie masz«. Tegoż dnia (16 czerwca 1832, Wiedeń) pisał do Gaszyńskiego:

»W ciemnym pokoju, sam jeden, otoczony lekami mam czas rozmyślać nad przeszłością i przyszłością, mam czas rozpamiętywać, żem za Polskę się nie bił. Nie wiem, co ze mną będzie: oczy zagrożone ślepotą, całe ciało rozstrojone; może niedługo pójdę tam, gdzie tylu poszło bez sławy, bez miłości i żalu ludzi... Nikt o mnie wiedzieć nie będzie; moje prace zaginą ze mną razem, moje natchnienia do trumny pójdą«.

Tygodnie w ten sposób schodziły biednemu Krasińskiemu, który niecierpliwił się i rwał do umysłowego zajęcia.

»Przez całe dni myślę, a czasem myśleć jest cierpką rzeczą, bo wszystko, co zbudowało marzenie, to myśl rozwala i burzy, aż wreszcie nic nie zostanie, oprócz żalu, że się czas strawiło na próżnych snach«. (8 lipca 1832, Wiedeń).

Pełne życia listy Reeva z Monachium mogły chorego tylko drażnić. Zdawało mu się czasami, że ośle-pnie; to znowu określał istotę swą jako »głupca z wyobraźnią« i uważał to za najlepszą definicyą, na jaką się kiedykolwiek zdobył.

Spotkanie z bratem Augusta Zamojskiego w Wiedniu, rozmowy z nim zwróciły znowu myśl Krasińskiego w stronę Polski i jej ostatnich nieszczęść:

»Klubowcy nas zgubili. Nie masz żadnego pojęcia o ich szale i wściekłości. Te nędzne szewcy, żydy ochrzczone i krawcy, chciwi na grosz, nie wiedzący nic o Polsce i o jej przeszłości, chcieli zarobić, zyskać, spekulować, wieszając, rzucając kalumnie, podburzając — a teraz rozrzucają broszury przeciw wszystkiemu, co jest prawdziwie szlachetnem i wielkiem u nas. Oni to nazywają Arystokracyą. Ale jeśli mnie kochasz, wierzaj mi i wiedz, że poza Arystokracyą nie ma nic w Polsce, ani talentów, ani oświaty, ani poświęcenia. Nasz stan trzeci, to błazeństwo (fadaise), nasi chłopi, to maszyny. Tylko my jesteśmy Polską. A pewnego poranku, po wielu poświęceniach, powieszą nas naprzeciw ołtarza Ojczyzny. Taki jest bieg spraw i to nieubłagany. Potrzeba, aby czasy się wypełniły, gdy nadejdą. Radykalizm podniesie nas, aby nas obalić i zetrzeć z ziemi. Oby przynajmniej po nas przyszło co szczęśliwego dla tego bie-

dnego kraju — oby ci *novi homines* byli szczęśliwi i stali się kiedyś wielkim narodem. Ale my, my pracujemy na naszą zgubę — mimo to pracujemy; to nasz obowiązek i Bóg na nas patrzy. A potem przyjdzie szubienica i wieczność. Rozważ dobrze te słowa, myśl nad nimi raz i drugi. Nie są one nagłym wybuchem. Są owocem długich rozmyślań«.

Tegoż dnia (14 lipca 1832 r.) pisze do Gaszyńskiego, streszczając niejako obawy swe, szerzej rozwinięte w liście do Reeva: »Wiesz! kiedy zarzucam wzrok na przyszłość, widzę jedno śmierć dla nas, to jest dla tych, którzy są mojego i twojego zdania. Czy z góry, czy z dołu przyjdzie na nas wyrok. Rozważ dobrze, co chcę zawrzeć w tych krótkich słowach. Ale przeto nie powinniśmy się strachać i gińmy, byleby była Ta, dla której zginiemy; a o rodzaj śmierci się nie pytać. Ale ten rodzaj z Francyi przybędzie«.

Do d. 6 sierpnia zostawał Krasiński w kuracyi we Wiedniu. 3-go sierpnia wyprawił list pożegnalny do Gaszyńskiego »z rozstajnych dróg, z których jedna do Europy prowadzi, druga do Polski i dalej...« W liście tym posyłał Gaszyńskiemu »na pamiątkę« ułamek p. t. *Wygnaniec*. 15 sierpnia stanął w Warszawie, zupełnie chory, z oczami czerwonymi, których ból starano się pijawkami złagodzić. Tegoż dnia wyjechał dalej do Opinogóry, a w trzy dni potem pisał już do Reeva list pełen zadowolenia z przepychu, jakim go ojciec otoczył; na chwilę zapomniał o wszystkiem: strzelał bekasy, słuchał śpiewu i gry pani Załuskiej, a w kasetce, gdzie znalazł suty dar

ojcowski (4000 złp.), umieścił relikwie swej miłości genewskiej: listy Henryki Willan. Relikwie, mówimy, bo już serce jego rozgorzało na nowo miłością do pani Załuskiej.

Studencka, warszawska dla niej miłość, zmieniła się była w r. 1829, przed wyjazdem do Genewy, w niechęć prawie, zaznaczoną nieraz potem w listach do ojca; nie wierzył zapewnieniom przyjaźni szczerej. W głębi duszy tkwił żal pacholęcy, że wzgardzono jego miłością. W Genewie rozmarzył się uroczą postacią Henryki Willan, nie myślał o pani Amelii. Przebolał potem rozstanie z Angielką, a pod ciosami r. 1831-go sercem i duszą był w Polsce i dla Polski tylko.

Gdy wrócił do kraju lat dziecinnych, gdy w Opinogórze, przy ojcu i pani Załuskiej, odżyły naraz wszystkie wspomnienia z przed lat czterech, ocknęła się nagle dziecinna miłość, ale już w młodzieńcu dwudziestoletnim. Pomyślmy, że dwoje ich tylko młodych było w głuszy wiejskiej, że pani Załuska jaśniała całym blaskiem młodocianym niepospolitej bystrości, żywości i wdzięku umysłu, a czarem swej muzyki i śpiewu łagodziła ból wielki, moralny, i cierpienia wzroku schorowanego Zygmunta Krasińskiego — a pojmiemy łatwo, co się działo w sercu wrażliwem poety.

»Nienawiść zmieniła się w miłość« — napisze z Opinogóry do Reeva: »Tę kobietę, o której tyle mówiłem, znowu ujrzałem i — pokochałem. Przyszła ku mnie z przebaczeniem na ustach; opowiedziałem jej miłość swą dziecinną, udręczenia me, zazdrości, nie-

AMELIA Z BRONIKOWSKICH ZAŁUSKA.

nawiść czteroletnią, wreszcie mą miłość — bo takie już moje przeznaczenie, że ilekroć ujrzę tę kobietę — kochać ją muszę«.

Z. Krasiński rozumiał doskonale, że Reeve, który zaledwie przed sześciu miesiącami przywiózł mu był list od Henryety Willan do Genewy, nie będzie zachwycony tem nowem, albo raczej wznowionem uczuciem swego przyjaciela. To też stara mu się, jak może, uzasadnić stan swego serca: „*Les passions sont les bouffons qui se raillent de moi*“ — a dalej: „*Satan me couve sous ses ailes*“ — wreszcie, po prostu, a z głębi skruszonego serca: »Bóg nie pobłogosławi takiemu jak ja człowiekowi«.

Tych kilka tygodni opinogórskiej ciszy nie ukoiło młodzieńczych, cierpieniem oczu znękanych nerwów. Wywoływał Manfredowych duchów: »Astarte, przemów do mnie!« — ale zamiast Astarty odzywał się zacny, rozumny, siostrzany głos pani Amelii. Była to osoba przedewszystkiem bardzo rozumna i trzeźwa: starsza od poety o lat ośm, bardzo długo traktowała go jako dziecko, zwłaszcza przed jego wyjazdem do Szwajcaryi — a imponowała mu przez resztę życia.

Rozstali się w końcu, on z rozpaczą, że tam, gdzie spodziewał się miłości namiętnej, znalazł uczucie siostrzane; ona ze smutkiem w duszy z takiego obrotu niepożądanego uczuć Zygmunta. »Odjechała, zwąc mnie zawsze bratem, ja z ustawicznemi słowami: »Kocham Cię«. Nie mogła niczego uzyskać odemnie, ani ja od niej. Pozostaliśmy na miejscach, które nam los wyznaczył«. (Do Reeva, II, 11).

Ale Krasiński nie byłby sobą, gdyby ten krótki

a namiętny epizod opinogórski nie pozostawił literackich skutków. Jakoż z albumu pani Załuskiej dochowała się dni owych pamiątka. Trzy drobne utwory świadczyć będą o uczuciach, które przepełniały wtedy pierś Krasińskiego. Podajemy je tu w całości, nietylko dlatego, że nigdzie dotychczas nie były drukowane, ale także i głównie z tego względu, iż zawierają pierwsze błyski Irydionowych postaci. Gdy w pierwszej fantazyi tło całe krajobrazu raczej Henryety się domaga i genewskim hołduje wspomnieniom, drugi *noktum*, »na pamiątkę« pisany, już jest zapowiedzią Irydionowej u Masynissy służby, jest rozprowadzeniem tych lakonicznych słów do Reeva: „*Satan me couve sous ses ailes*“; trzecie wynurzenie, pożegnanie, ma w sobie już lęk przed sybirskiem zesłaniem, zgrozę instynktową wobec podróży do Petersburga, narzuconej z góry, nieuniknionej.

(Podkreślamy ważniejsze ustępy. Nie zmieniamy oczywiście pomyłek w tekstach Byrona, cytowanych z pamięci).

I.

„*The life is twofold*“ —
A Dream —
Byron —

*

[a] Śniło mi się, żem płynął z tobą po moim ieziorze — i długo się cieszyłem — iako we snie bywa — by potem zapłakać obudziwszy się — iako bywa na iawie — Ale nim się rozdzielim, nim przyidzie powtórzyć płacze w chwili rozstania, opowiem sen móy, a ty posłuchay, proszę.

*

Na barce moiey stałem przed tobą i wiązałem sznury od żaglów — a wiatr z po nad Iura przelatywał i po-

pychał nas ku nadbrzeżom Szyllonu — Dzień mi się wydawał iasny i swieży — fale były błękitne a góry w oddali bieliły się od śniegu — chmur kilka ponad głową się przesuwało — ale żadna z nich burzy nie przepowiada — owszem zdaią się wróżyć pogodę srebrnemi fałdami i lekkiem (*sic*) pochodem —

*

A Ty stałaś u wód gdyby pani całey okolicy — nie żeby duma miała ściągać twe czoło w tej chwili, ale żeś głowę trzymała niewzruszoną w powadze, i wzrok wlepiała w niebo, rzadko skręcaiąc go ku mnie lub ku ziemi — [b] niepamiętam iuż barwy twey szaty, bo złudzenia snów takie znikome iak szczęście — niepamiętam iuż rąbek iaki osłaniał twe piersi, chustka iaka z ramion ci spadała — ale twarz pamiętam oswieconą promieńmi — wznoszącą się wśród żagli igraiących wokoło — nieco wybladłą — z oczyma przeczystego blasku — z pierścieniami ciemnych włosów, które ią obwodziły gdyby ramy czarne, naokoło obrazu pełnego życia i urody —

Ale zarazem do twoich rysów mieszało się coś niepoiętego, nieopisanego — był to niby żal iakowyś, uśpiony, nie ledwo że zapomniany a iednak czytelny — była to niby nadzieia iakowaś niepewna, ledwo że znana tobie samey, a iednak oczewista — Zdawało się że marzysz o goryczach ziemi i o nieba radościach —

Płynęliśmy długo, a wiatr się wzmagał, ieśli dobrze przypominam sobie — Ia wiosła rzucałem i brałem, żaglem odwiiał i ściągał co chwila — Szumiały fale, wicher im odpowiadał i wołał na nie:

»prędzey, prędzey płyńcie dzieci moie« —

Aleś ty ciągle nie wzruszoną była — choć maszt o któren się opierałaś, drżał cały, choć żagiel co nad twoim czołem się kołysał, nadymał się iak chmura podczas zawiei — choć belki czółna skrzypiały i samo czółno skakało po falach iak wieloryb raniony —

---

[c] I pięknie mi było patrzeć na twoią odwagę — na twarz twoią góruiącą nademną schylonym, gdyby twarz Tey, którą wzywaią żeglarze wśród burzy — a choć prosiłem, choć zaklinałem, nie mówiłaś i słowa —
Tak dopłynęliśmy do murów Chillonu —
Widzę cię wśród arkad gotyckich — tam za filarem dostrzegam cię ieszcze — u tych schodów zatrzymałaś się chwilę — gdzież iesteś teraz — gdzie?
Stoię na mieyscu, a nikogo niema przy mnie —
Gdzież iesteś — gdzież iesteś, o pani czółna moiego?
Ono czółno stoi u brzegu samo — puste — z obwisłemi żaglami. Ia na tym moście, który prowadzi do lochów i więzień Chillonu — O gdzieżeś mnie odbiegła?
Łatwiey mi duchy umarłych wywoływać niż ciebie.

»Sen to iest marny, nic nie znaczący« — powiesz i zasmieiesz się z cicha — ale mnie łzy staną w oczach i westchnę — Iako na tey barce moiey przez chwilę, takoż w życiu moiem, iesteś ziawiskiem — cudem — a cud się ukaże i zniknie — on iest tem w życiu człowieka, czem meteor w nocy letniey —
O nocy moia letnio (*sic*) bądźże mi zdrowa na zawsze —

II.

[a] Na pamiątkę —
napisane 26 augusta
1832 r. w Opinogórze

There is many a pang to pursue me
They may crush — but they shall not contemn —
They may torture, but shall not subdue me
T'is of Thee that I think — not of them —

Stanzas to Lady Augusta Byron —
Lord Byron —

A onego dnia Szatan wybrał się do lotu i obleciał gwiazd kilka, nim dostał się do ziemi — swoiey kochanki — nad którą panuie od wieków, którą kocha swoią nienawiścią, iak ią Bóg swoią miłością —

A noc była ciemna, bez księżyca, obwieszona chmurami — Skrzydła rozpostarł i leci, a więc ieszcze ciemniey się stało, to po nad górami, to po nad płaszczyzną — a kiedy raz się iey dorwał, trzymał się iey wciąż, nie wiem dlaczego —

Dawniey o kwiatach nociłem i o wieńcach nad skroniami piękności — O, moie kwiatki, powiędłyście wszystkie — a więc nótę odmieniłem i zaspiewam o starym wrogu ludzi —

Bez huku, bez szumu sunął po obszarach, płynął po powietrzu, gdyby czarny okręt po morzu z dwoma
[b] czarnemi flagami — aż wreście doleciał wzgórza, wśród łanów, na którym bieleie kaplica, a obok stoią mogiły, obwiedzione kratą, osypane rzadkim drzewem, z krzyżem pośrodku —

On się rozsmiał serdecznie na widok krzyża — potem chmurę zawołał do siebie, rozciągnął się na niey i miękko leży — Tu znać pocznie się iego wola obiawiać —

Wiatr się zerwał i gwizdże pomiędzy chmurami, które biegną po niebie całem, iedne za drugiemi, a gwiazdy ledwo że się ukażą, iuż skonaią — ale to niedługo trwało — wicher opadł i znów spokoynie —

Tymczasem pan moiey pieśni się cieszy, bo dwie postacie zbliżaią się do krat cmętarza, a tam gdzie dwóch iest na ziemi, to niechybnie iedna dla niego ofiara —

»Z dwóch tych przeznaczeń podobnych do siebie iedno mnie się należy« pomyślał, a od tey myśli potężney Archanioła zadrzała chmura i ięk rozległ się po nad mogiłami —

Teraz grzmoty słychać w oddali — u samych krańcow widnokręgu [c] błyskawice zrywaią się i opadaią,

iak fale wśród burzy — i na chwilkę iedną w ich świetle zmartwychwstaie okolica, potem znów ginie w ciemności — A niewiasta i mąż z pochylonemi głowy opieraią się na bramie cmentarza. Zapewnie tam ich przyiaciół dawnych pogrzebione zwłoki.

Iaką była modlitwa niewiasty, tego nikt nie zgadnie, bo serce kobiety iest przepaścią, w której tysiąc róż i tysiąc cierni, ale modlitwa tego, który stał przy niey takową była:

»O! ty, który rozpostarłeś swoią opiekę, czy »przekleństwo nad moim zawodem, aniele, zły »duchu, czy gwiazdo, wysłuchay prośby moiey, ostatniey, iedyney, po którey iuż żadney drugiey nie bę»dzie — bo myśli schną w moim mózgu i słowa na »ustach.

»Każdy z synów Adama błąka się w rozpaczy na tey »ziemi, puścizną po grzechach pierwszego rodzica, ale »czasem wspomnienie, czy nadzieia, uniesienie czy spo»kóy, obudzą w nim szczęście, maleńkie, znikome, które »się zowie spadaiącą gwiazdą —

»Z owych chwil wszystkich splata się wieniec o kilku »kwiatach, który więdnieie wczesniey czy późniey, ie»dnym iuż u kolebki, drugim dopiero [d] u łoża śmierci — »ale każdy z nas, o panie, i ia wraz z innemi, mam »prawo do niego, choć wiem i czuię, że on nigdy spie»kłego czoła nie odświeży mnie —

»Prośbę moią wysłuchaycie duchy — Ten wieniec »móy nadaię Tey, co przy mnie teraz milczy i wzdycha »ku tym mogiłom — niechaj pasuie do iey skroni, niech »rosę piękności sączy na iey lica«. —

Szatan przysłuchiwał się rozkosznie i przystał — przecież Iemu wszystko iedno, czy on, czy ona, byleby była ofiara, męki iakoweś, a potem śmierć i zaguba — bo to są pieśni iego poematu wiecznego —

Podniósł się z swoiego obłoku i wyciągnął ramiona w przestwór:

»Synu móy — synu móy, witam ciebie« —

Tu grzmoty się podwoiły ale już żadney błyskawicy nie było. —

Bać więc szczęśliwą iako na cię przystało — bać mi Panią wiecznych uśmiechów i wesela — a kiedy twe serce nabrzmieie, niechay twoie łzy płyną — a nie będzie tak, iak u innych, ktorzy płakać zapomnieli —

Tam gdzie zmierzam, czarne nieba i słońca niemasz — iedno Lampy, kagańce i smutne ognie, które tę noc oświecaią, by ludzie nie oślepli w cieniu — Tobie błękity życia niech pozostaną po mnie — buiay i ulatuy pomiędzy niemi — a to słowo ostatnie, które gorączką pali mi usta, to słowo ostatnie:

»Żegnam cię i ziemię moią« niechay razem znaczy »kocham cię — i nigdy nie przestanę« —

III.

Farewell — Farewell and if for ever
Yet for ever Farewell to Thee —
Lord Byron

[a] »Żegnam« jest zawsze pewnością — ale słowo »powitam« iest marą — a więc pierwszym odzywam się do Ciebie, słabo, po cichu, drżąc z rozpaczy —

»Żegnam Cię«. Żegnam Cię na dzień — na dwa dni — może na rok — może na zawsze.

Teraz ieszcze twa muzyka obwiewa mnie do koła. Teraz ieszcze siedzisz przedemną, gdyby duch, co odlecieć ma i nie wrócić więcey — ale iutro o tey samey godzinie gdzież będzie twoia twarz, twoy głos, twoia szata czarna — Dla mnie iuż nie będziesz na tey ziemi — oto iest łoże śmierci teraz, na którym konam a Ty przyspiewuiesz moiemu zgonowi —

[b] Smierci się nie boię — niechay kula piersi przeszyie — niechay gorączka przepali ciało — ale tak umierać iak w tey chwili — ale konać bez nadziei — wśród ludzi którzy mnie nie rozumieią — wśród czterech ścian białych — i nie ięknąć — i nie westchnąć — tylko milczeć i patrzeć na ciebie i wiedzieć, że cię nie uyrzę iuż więcey, iest losem, którym Bóg karze potępieńców piekła —

A Twoy głos tymczasem się rozlega — wznosi — zapełnia komnatę — płynie w dźwięcznych falach — oni cię słuchaią i myślą — »ona pięknie spiewa« — a ia słucham i myślę: »To dzwony moiego pogrzebu«.

Ale nie chcę narzekać — trza być podłym, by się żalić, że czekaią męczarnie, kiedy minęło szczęście —

[c] O, gwiazdo Tey, którą kocham, przyswiecay lubo iey drodze —

O, aniele stróżu Tey, którą kocham roztocz skrzydła i zley na nią oasis cieniu wśród tey pustyni świata —

O, ciernie, które kaleczycie mi stopy, nie zarastaycie nigdy Iey scieżki —

O, róże, które nigdy nie kwitniecie na moich szlakach, otoczcie Ią waszym rumieńcem i wonią —

Skończyła się modlitwa — czegoż czekać dłużey? wyrzeczmy ostatnie słowo — słowo, które iest całę duszą moią — Żegnam Ciebie — Bąć zdrowa«.

Móy głos iuż nie wydoła moim uczuciom — słabieię, rozprzęgam się, krew mi od serca odbiega, a serce gdzież się podziało — serce gdzie? Ieszcze raz powiem: Żegnam ciebie«.

[d] Iakieś marzenie nadeszło —

Ot — tam widzisz są lody i wyspy z lodu i lądy ze śniegu i trochę mchu na nich — i dali mi Lampę do ręki i rzekli: »oto słońce twoie«.

Ia błądzę —

Cóż to się znaczy? ieszcze trwaią dźwięki — z iakoweyś

opery piosnki słyszę — Ty ieszcze stoisz przedemną — śmieiesz się i raduiesz — Bąć błogosławiona i za twoie łzy i za twoie usmiechy —

Szaleństwo przymila się do mnie — ono ciągnie mnie do siebie, tuli, ściska, aż mi się mózg zawraca — Ta swieca, która się pali przedemną dłuższe ma życie odemnie — bo już zagasłem od chwili, kiedy rzekłem »Żegnam ciebie« —

Zasniymy snem którym zasypiali męczennicy w więzieniach starego Rzymu —

W zamian za te drobne utwory otrzymał Zygmunt na pożegnanie od pani Amelii pierścioneczek i pukiel włosów. Może nie miała sił odmawiać mu tych pamiątek w przededniu jego długiej i wstrętnej mu podróży na daleką północ. Powody tej podróży tak określa Stanisław Małachowski: »Ojciec jego zamierzył przedstawić go monarsze w myśli usadowienia go w kraju własnym i umieścić w urzędzie, w służbie publicznej. W tym celu przedsięwziął z nim podróż do Petersburga«. — Trudno jednak przypuścić, aby jenerał zdenerwowanego, chorego na oczy jedynaka, wiózł dobrowolnie tak daleko i to pod jesień, w najgorszej porze roku. Zdaje nam się, że bliższym prawdy jest tu prof. St. Tarnowski, który domyśla się, że jenerał musiał zapewne w Petersburgu usłyszeć »jedno z tych uprzejmych życzeń, które są rozkazem i groźbą: które trzeba wykonać, bo inaczej zabór majątku, albo Sybir, albo jedno

i drugie. Inaczej byłoby to okrucieństwo bez celu i powodu. Jakie musiały być przejścia bolesne między ojcem a synem, prośby, błagania, zaklęcia, obustronne odmowy? ale tego nikt nie słyszał i nie wie. Dość, że Zygmunt pojechał«.

II.

W Petersburgu.

10-go września ruszył z ojcem swym w długą i bardzo wówczas męczącą podróż. Zatrzymali się na tydzień po drodze w Knyszynie, skąd Zygmunt do pani Załuskiej i do Reeva listy wysłał. Przed Reevem wyrzekał na nową swą miłość beznadziejną i przyznawał, że Reeve jest moralnie doskonalszym od niego. Do pani Załuskiej zaś wyprawił olbrzymi list na dziewięciu stronach dużego formatu (25·4×20·4 cm.) zapełnionych drobnem, szczelnem pismem, rodzaj dziennika, od 18 września do 25-go t. m. Stan zdrowia był widocznie lepszym, skoro mógł nietylko tak dużo pisać, ale wziąć nawet udział w nocnem polowaniu na kaczki w łódce na Narwi i w jej błotach. Napróżno ojciec starał się go rozerwać, napróżno sam zmuszał się do czytania: ciągle miał przed oczyma piękną panią Amelię. Oto urywek tego dzienniczka z d. 23 września, ważny, bo dowodzący, czem się wtedy umysł jego zaprzątał:

»Chciałem się przymusić do myślenia o czemś innem, o historyi, o filozofii, o polityce. Ale stary

Rzym i nowa Francya, Platon i Cousin, Don Pedro i bill reformy były tylko drogami, które w najdziwniejszych zakrętach wiodły mnie zawsze ku Pani...

Ah! gdybym miał opium!« (*z francuskiego*).

6-go października wyprawił jeszcze list do niej z drogi, zatrzymawszy się na krótko u pp. Kossakowskich. Potem już przez kilka tygodni pióra się tknąć nie mógł z powodu wzrastającego bolu oczów. Po dziesięciu dniach i dziesięciu nocach nieprzerwanej podróży stanęli wreszcie w Petersburgu, skąd bardzo smutny list wyprawił Z. Krasiński do pani Załuskiej:

»Czy wiesz Pani, co mówią tutejsi lekarze? Oto mówią, że oślepnę — ja, tak młody, mogący zdziałać coś jeszcze na tym świecie... Kocham jak siostrę, jedyną na świecie kobietę, która mi powiedziała: »Kocham Cię« *[H. Willan]*; a ubóstwiam całą miłością kobietę, która mi rzekła: »będę Twą siostrą«. Żadne z mych pragnień nigdy się nie spełniło. Mam coś w głębi mej duszy, a skazany jestem na to, żebym był niczem«.

Gdy to pisał, nie mógł się przecie łudzić co do uczuć pani Załuskiej. Miał już od niej w Petersburgu list z zapewnieniami uczuć siostrzanych, a w nim taki piękny ustęp, którym dzielił się z Reevem: »Mam dla Ciebie uczucie czystsze, lotniejsze nad miłość — niema nic osobistego w mem przywiązaniu. Będę błogosławić tych, którzy Cię uszczęśliwią, będę kochać tych, których pokochasz, a kiedy świat cały Cię opuści, znajdziesz mnie taką, jaką dziś je-

stem. Przywiązanie moje do Ciebie jest tak czyste, że Aniołowie mogliby je przyjąć«.

Jakże wymowne i piękne słowa!

Jak dobrze charakteryzują one stosunek »cioci« do siostrzeńca, wyższość kobiety starszej, rozumnej i bystro przenikającej gorączkowy, chorobliwy stan Zygmunta Krasińskiego, dla którego miała anielską wyrozumiałość i teraz i zawsze potem.

Pobyt w Petersburgu, od połowy października 1832 r. do początku marca 1833 r., wpłynął szkodliwie na stan moralny i fizyczny Z. Krasińskiego Na domiar złego był on zupełnie samotny. Dni całe sam na sam przepędzał w pokoju, jakby w więzieniu, co prawda zbytkownem i bardzo estetycznie urządzonem. Pokój miał z obiciem zielonem i srebrnem, z czterema kolumnami greckiemi po środku; łóżko kryło się za niemi. Fortepian — kanapa — kominek — dwa okna wychodzące na podwórze, za cały widok niebo zasute chmurami śnieżnymi. »Wstaję — chodzę — piszę trochę — kładę się — znowu chodzę — to samo zawsze i ciągle. Nauczyłem się myśleć. Zdziczeję, lecz stanę się wielkim myślicielem...« (*Do Reeva*).

A równocześnie pani Załuskiej żalił się także na samotność i zapewniał, że tylko myśl o niej i miłość dla niej ratuje go od tego, »by się nie stał kretynem«. To, co go z zewnątrz dochodziło, nie mogło przecie krzepić duchowo: »Oczy coraz gorzej — już życie takie samo w sobie jest trucizną — dodaj Pani do tego kilka innych rodzajów trucizn — a mógłbym zacytować wiersze Byrona:

Like to the Pontic monarch of old days
He fed on poisons —

(Podobien monarsze Pontyjskiemu z dawnych dni,
żywił się truciznami —)

Miłość dla pani Załuskiej była mu, jak sam pisze, »aniołem stróżem« w tych ciężkich pierwszych tygodniach petersburskich. Ale już się tej miłości miało pod koniec. Złowróżbny sen z nocy 12-go listopada opowiedział Zygmunt w osobnym liście do Pani Załuskiej. Sen-to charakterystyczny, bo tło jego odnajdujemy w późniejszych fantastycznych utworach. Wogóle sny odgrywają pewną znamiennną rolę w życiu Krasińskiego, podobnie jak u Mickiewicza. Niejeden sen uważał Krasiński za przestrogę, lub zapowiedź niedalekich zdarzeń. Takim miał się okazać sen z 12-go listopada. Śniło mu się, że był w jakimś ogromnym kościele, podobnym, częścią do kościoła św. Krzyża w Warszawie, częścią do kościoła Kartuzów pod Pawią. Przechodzi kobieta z czarnym woalem, ubrana czarno, oczywiście pani Załuska, i mówi mu, że go czeka w sali zmarłych. On chce iść za nią, ale w tejże chwili wychodzi ksiądz ze mszą. Przyzwoitość każe poczekać trochę i wysłuchać choć części mszy. W chwili, gdy ma zamiar odejść od ołtarza i szukać owej sali zmarłych, wychodzi drugi ksiądz ze mszą — i tak powtarza się to 40 razy, bo tyle jest ołtarzy w kościele owym. W końcu udaje mu się wyjść; rozpoczyna się męczące, jak zmora senna i mozolne poszukiwanie owej sali zmarłych przy pomocy jakiegoś dziwacznego dziada kościelnego *(il sort d'une guerite... visage buffo italien)*.

Znajduje wreszcie panią Załuską, klęczącą za grobowcem, a w chwili, kiedy ma się schylić nad jej głową, otwierają się drzwi z trzaskiem, jenerał wchodzi, ubrany czarno, z czołem bladem i surowem, zdąża ku synowi z gniewem na licach. »Wtedym się obudził«.

Podobnie, jak we śnie, odbyło się zapewne w krótce i na jawie. Jenerał przekonał syna o niemożliwości innych uczuć, niż braterskie, dla pani Załuskiej — a syn poddał się w pokorze woli ojcowskiej. Dnia 1 grudnia 1832 r. napisał uroczysty pożegnalny list do pani Załuskiej, w którym odwoływał się do świata za grobem i spodziewał się, że tam znikną przeszkody. tu ich dzielące. A teraz »zrzekał się tego, co pragnął najgoręcej (*le plus phrénétiquement dans ce monde*). Tak skończył się rychło epizod opinogórski, powrotna, ostatnia fala studenckiej miłości.

A tymczasem dni szare, ołowiane, zimowe, petersburskie wlokły się zwolna biednemu samotnikowi. »Daj mi nicość — wołał do Reeva — a złożę na niej znużoną głowę — ale nicość jest ułudą. Kilka dni temu w nocy przyszedł mi pomysł poematu — idea wielka — wyskoczyłem z łóżka i zawołałem: *Anch' io sono pittore*... Tak! poezya jest żywiołem moim. Oczy mnie pieką. Czaszka pęka, cierpię!« Rosła w nim obawa oślepnięcia. »Wątpię, abym miał siłę żyć ślepym. Boże! oddal ten kielich odemnie! Ale czy mam prawo modlić się do Boga?«

Reeve, który był wówczas pod pierwszym urokiem nowego przyjaciela, Handleya, donosił o zapatrywaniach jego i zasadach. Były one wcale różne od

przekonań społecznych Krasińskiego. Listy Reeva z tych czasów nie dochowały się. Ale z odpowiedzi Krasińskiego widać, że nie był on zadowolony z wpływu Handleya i starał mu się przeciwdziałać: »Powiedz odemnie temu nadzwyczajnemu człowiekowi, co następuje: »Urodziliśmy się i żyjemy w nocy, po zachodzie słońca, a przed jutrzenką. Być może, że noc będzie oświetloną kilku meteorami krwawymi i przelotnymi — ale na długo przed wschodem nowego słońca, wszyscy ustąpimy ze sceny. Otóż, wywołaj cień Huna Atylli, który niewątpliwie był człowiekiem ruchu i przygotował cywilizacyę europejską — i spytaj się go, czy przewidywał przyjście jenerała Waszyngtona. Weź dwóch ludzi związanych z sobą ściślej niż Hun i jenerał, weź Lutra i Dantona: pierwszy nigdy nie domyślał się drugiego.

»Bóg tylko jeden może żyć we wszystkich wiekach; człowiek może żyć tylko w jednym. Myślę przeto, że ci, co chcą się wznieść ponad nieokreślony instynkt jakiejś przyszłości, wszystkim nam wspólny, i mają pretensyę wytłómaczyć, opisać, urządzić *(coordonner)* tę przyszłość, są tylko szalbierzami lub głupcami; *risum non teneatis amici* — bo, powtarzam, urodziliśmy się w zmierzchu wieczoru, teraz ciemności nocy gęstnieją w okół nas — a kiedy kości nasze spróchnieją, wtedy nadejdzie jutrzenka«.

Jest w tym ustępie wyborna próbka nastroju myśli Krasińskiego w Petersburgu; odbywały się w nim wtedy jakby ciągłe, nieustanne ćwiczenia władz ducha, wielkie manewry przed stanowczą bitwą, którą niebawem stoczy. Na pozór ustęp powyższy tylko

do *Nieboskiej* odnieśćby należało, ale to, co zaraz po nim następuje, dowodzi, że i *Irydion* korzysta z dokonywającej się ewolucyi ducha: »Henryku! Każdy człowiek w chwili słabości znajdzie swego Mefistofelesa, jak Faust; zaczyna się to entuzyazmem, a kończy obrzydzeniem i rozpaczą. Niema się czego obawiać ze strony serca, które kochamy. Ale przewaga głowy silnej — to inna rzecz. Jakiś czas walczy się, potem staje się niewolnikiem. Nie wiem, jaka myśl tajemna objawiła mi, że ten człowiek (Handley) jest niebezpiecznym dla ciebie. Nie daj się podbić! Lepiej być mgławicą, niż ogonem komety...

»Zaklinam Cię, nie daj się pociągnąć człowiekowi, którego nazywasz P r z y s z ł o ś c i ą...

»Pojmuję na wpół tylko twój cel. Chcesz być wielkim przez przeszłość, jak on jest nim przez przyszłość, a potem mu powiesz, jemu, który przedstawia coś innego, niż siebie tylko: »Zejdź na arenę«. Jest to szlachetne i piękne. Kiedy myślę o arystokracyach dni naszych, przypominają mi się zawsze bohatyrowie Homera lub Niebelungów, którzy są przeznaczeni na śmierć, a mimo to walczą. Patrz, p o e t y z u j ę s p r a w ę; widzę, jaką-by być powinna, nie jaką jest«.

Istotnie tak było. Ale, co jest najważniejsza, to, że z odległości i na niewidziane, Handley, człowiek »ruchu« i przyszłości rósł na Pankracego, a Henryk Reeve na Hrabiego Henryka.

Czasem wracał jeszcze dawniejszy genewski nastrój i Krasiński posyłał (27 listopada 1832) przyja-

cielowi ustępy elegijne prozą francuską na podobny niż dawniej temat osobistych smutków i zgryzot.

Zapewne pod wpływem listów Reeva z Niemiec bierze się Krasiński do studyowania niemieckiej filozofii; wynikiem tego jest przekonanie się, że filozofia francuska nie jest oryginalną: »Cousin, par Francyi, i Ballanche, są to dwaj złodzieje; okradają Schellinga i innych Germanów« (30 listop. 1832). Na Boże Narodzenie 1832 r. pisze Krasiński list do przyjaciela. w którym rozwija mu niejako program działania politycznego. Jest to jakby pierwszy profil hr. Henryka z *Nieboskiej:* »Jeźli chcesz zaatakować lud, to musisz rozwinąć energię bez granic, a szczególnie energię formy, musisz wznieść głos przeciwko nieubłaganemu rykowi, nieharmonijnemu, lecz toczącemu się z łoskotem grzmotu. Jako przedstawiciel przeszłości, jako poematu skończonego, masz być harmonijnym, ale harmonia twoja będzie musiała być także grzmotem. Czy sądzisz, że dźwięki liry Orfeowej byłyby dokonały czegokolwiek, gdyby się nie były wzniosły w doskonałej melodyi, o ton jeden wyżej, niż ryki dzikich stworzeń i lwów. Bądź zatem silny, wzywaj Boga, by Cię obłogosławił energią, bo dziś jest chwila po temu, albo nigdy. Smutny i zbłąkany pielgrzym, zawiedziony w swych uczuciach miłości, mógł nie mieć energii i z melancholicznym uśmiechem otrząsać zwiędłe kwiaty, które opadały z wiosennej girlandy; ale człowiek, który zwraca się do swego wieku, który wyciąga ramiona, by go odepchnąć, musi się stać olbrzymem jeźli walka ma być

nierówna, olbrzymem, aby wiek znalazł w nim naukę, a on sam chwałę«.

List po liście stara się lepiej wyjaśnić i uzasadnić stanowisko swoje Krasiński jako człowiek przeszłości wobec przyszłości. On tę przyszłość doskonale rozumie; jej tryumfalny pochód w rozmyślaniach swych nieraz widział. »Wiem, że my wszyscy jak kurz przejdziemy, nic nie uwielbiwszy, nic prawdziwego nie pokochawszy, a znienawidziwszy wiele. A jeśli kochamy cokolwiek, to istotnie świat snów i nicości: przeszłość. Kiedy rozważam rzecz jako filozof, widzę w tem tylko porządek cudowny i wieczny — ale kiedy rozważam rzecz jako człowiek, mający serce ludzkie i uczucia ludzkie, związki na tej ziemi, długi szereg przodków w hełmach i pancerzach, śpiących w trumnach, przeszłość wielką i pełną czynów, nazwiska braci mych — to widzę w tem wszystkiem jeno nieład i wówczas mówię sobie: w imię Jezusa będziemy cierpieć, a kiedy nas do walki zmuszą, będziem walczyć. W chwili walki przyjdzie nam na pomoc siła tego barbarzyńcy, czy rycerza, co był naszym pierwszym ojcem. A kiedy wyginiemy, niech urządzą ziemię, jak im się podoba; wolna wola! — a tu myślę, że nadejdzie dzień, kiedy miłość znowu weźmie górę. Bóg bowiem jest sprawiedliwością i pięknością — wszechświat jest harmonijny, a ja jestem nieśmiertelny. Kiedy mi mówisz o wieków wiekach upadam na kolana, uwielbiam, podziwiam, kocham. Kiedy mówisz mi o teraźniejszości, wstaję i patrz! na wargach mych uśmiech sceptycyzmu!«

Gorycz głęboka zalewała mu wtedy serce. Uczucia

w Petersburgu były inne, niż w Genewie w r. 1831. »Już to nie są owe zaklęcia i odruchy wściekłości, które przetrawiły me zdrowie i wydały jako nierozumną poezyą: „*Adama*“; jest to raczej męski smutek, bez uroku, bez szału, dosyć spokojny, a silniejszy, trwalszy, niż wszystkie radości, jakie pomnę. Czytałem tej zimy Ballanche'a, Damirona, Quineta, a potem Biblią i pomyślałem, że filozofia warta tyle, co miłość; można być Werterem w obu rodzajach. Potem napisałem coś, co podobne do czegoś, co tkwi we mnie. t. j. do rozkładu i do kilku myśli dość głębokich. Tytuł jest dosyć dziwny: Irydion Amfilochides; jest to Grek w Rzymie — *et dulces moriens reminiscitur Argos*... To moja pierwsza próba dramatyczna; całość jest na pół dramatem, a na pół opisaniem i opowiadaniem«.

Wiadomość ta znajduje się w liście z Petersburga z dnia 20 stycznia 1833 r. Jest ona niezbitym dowodem, że *Irydion* doczekał się rychlej od *Nieboskiej* ujęcia w kształty widome, skoro sam Krasiński pisze: »to moja pierwsza próba dramatyczna«. Ale poród był poniekąd przedwczesnym; płód zdolny był do życia, wymagał jednak mnóstwa starań i ochrony przed ostrym klimatem północy. Trzy lata upłyną, zanim *Irydion* ukaże się w druku.

Reeve po pierwszych zachwytach dla Niemiec rozczarował się rychło do ludzi, dla których »piwo jest najsilniejszym węzłem społecznym« i już w styczniu 1833 r. przemyśliwał o powrocie do Anglii. Jakaś apatya i niechęć nim owładnęła. Krasiński starał mu się dodać ducha:

»Trzeba być zrezygnowanym na życie i cierpienie, nawet bez balsamu illuzyj na rany nasze. Niegdyś pragnęliśmy stać się istotami poetycznymi — dziś trzeba nam być istotami moralnymi, żyć na łonie rzeczywistości, t. j. być każdej chwili gotowym do walki, która przypieka nas na wolnym ogniu, walki między myślami naszymi a czynami... Jest i w tem ogromna poezya...« W tej abnegacyi, w tej dumie, pełnej miłości, która niema nic w sobie gorzkiej pogardy, okazywanej ludzkości przez niektórych geniuszów, widzę ogrom poezyi i ku niej wyciągnę moje ramiona, bo co do mnie, b ę d ę p o e t ą p r z e z c a ł e ż y c i e: czy jako rolnik, czy mnich, żołnierz, bogaty czy ubogi, czy jako rzemieślnik, b ę d ę z a w s z e p o e t ą, nie dbam o to, czy mnie będą podziwiać lub rozumieć... W tych kilku słowach zamknąłem obszerną teoryę, rozmyślaj nad nią chwil kilka, Henryku«.

Dowiadujemy się dalej, że utwór p. t. W i d z e n i e *(Vision)* rozpoczęty w Genewie, a znany nam z fragmentu wywoływania duchów, doczekał się w Petersburgu wykończenia.

Poświęcał W i z y ę, która pełna była wspomnień genewskiej miłości, Henryecie Willan, a dedykacya łacińska, niezwykle poetyczna, brzmiała:

DILECTAE DICATUM
ET NUNC ET SEMPER

Praca wewnętrzna ducha trwała tymczasem bez przerwy. Jest jej dowodem choćby tylko owo silne poczucie i świadomość, że jest i będzie poetą, na przekór wszelkim biedom życia. Pół roku zaledwie

upłynęło od rozstania się z Reevem, a Krasińskiemu się zdaje, że to już sporo lat minęło (*bien des années*), bo od tego czasu »praca lat kilku dokonała się« w nim. Marzenia miłosne, zgryzoty, rozmyślania filozoficzne pod wpływem cierpień fizycznych, wszystko to kolejno stłoczyło się w nim, fermentowało i zapowiadało nowy pogląd na świat i ludzi.

Wyrazem tego poglądu, surowego dla siebie i drugich, będzie między innymi także długi i ciekawy list, pisany 30 stycznia 1833 r. z Petersburga do jenerała Franciszka Morawskiego, uczestnika literackich czwartkowych obiadów w pałacu jego ojca. List to ważny, bo zawiera jakby esencyę poglądów literackich Zygmunta Krasińskiego na ówczesne francuskie piśmiennictwo. Podając na końcu tomu całkowity tekst tego listu, tutaj przytoczę tylko kilka ważniejszych ustępów. Obok karykaturalnych nieco sylwetek ludzi tej miary, co Chateaubriand, V. Hugo lub Balzac, mamy takie bystre określenie przyczyn rzekomego upadku literatury francuskiej i niespodziewany zwrot ku »końcowi cywilizacyi starożytnej«, dowodzący, że *Irydion* już w wyobraźni jego żyje:

»Od kiedy średni stan wziął przewagę i nazwał się XIX-tym wiekiem, można było przewidywać, że literatura stanie się spekulacyą, że tomy na funt sprzedawać się będą. Trzeba poecie, by wierzył w siebie i w poezyę jako w cel, nie jako w środek; inaczej stanie się bankierem i kupcem, kupcowi zaś wszystko jedno, czy bohatera posłać na skałę, by tam umarł wśród mąk, czy napisać i rozsiewać fał-

szywe zasady. Upatruję wielkie podobieństwo między polityką angielską a dzisiejszą literaturą francuską. Do tego jeszcze dodać można różne insze wpływy. Publiczność łaknie takowych obrazów, bo jej ojcowie i ona sama już objadła się i opiła wszystkimi trunkami, mianowicie krwią. Takowi ludzie nie mogą czytać Idyll Gesnera; nerwy ich rozdrażnione do najwyższego stopnia; trza wraz nowszych poruszeń. Rzymianom pod koniec cywilizacyi starożytnej trzeba było igrzysk i biesiad, to był ich szał zmysłowy, ostatnia konwulsya zmysłowego świata. Teraz to jest nasz szał moralny, może ostatnia konwulsya naszego świata«.

A więc znowu, jak w *Adamie Szaleńcu*, równoczesne zgłębianie dwu epok analogicznych, »końca cywilizacyi starożytnej« *(Irydion)* i »ostatniej konwulsyi naszego świata« (*Nieboska*).

Ważnem nadto i pięknem jest w tymże liście do »klasyka«, jenerała Morawskiego, określenie charakteru i znaczenia Mickiewicza: »Poznałem także za granicą Mickiewicza. W nim jest prawdziwa poezya, bo szuka prawdy i jedynie prawdy, umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć; od niej dostało mu się natchnienie, jakie znamionuje wieszcza, połączone z wielką potęgą myślenia i rozumowania. Do tego jest wielka harmonia między jego wyobraźnią a jego sercem; tamci wszyscy francuscy mają wyobraźnię, ale serca nie mają, wyobraźnia zaś bez serca prowadzi nieraz kobiety do zbrodni, a mężczyzn zawsze do głupstwa.

Byłem z Mickiewiczem w Rzymie; tam trza żyć w przeszłości, i owóż żyliśmy w niej. Nie przeto jednak rozumiem, iżby Mickiewicz nie znał swojego wieku i nie pojmował go. Ostatnich jego poematów jeszcze tu niema; jeśli nadejdą przed moim odjazdem, niezawodnie je prześlę Panu Jenerałowi«.

Jak tu Mickiewicza przeciwstawiał tłumowi pisarzy »bez serca«, tak wogóle »człowieka« stawiał wówczas wyżej nad »ludzkość«, nad »tłum«, który, zdaniem jego, ma tylko pożądania, ale rozumu prawie że nigdy nie używa«. Pogląd ten pesymistyczny, zupełnie zgodny z przekonaniami hr. Henryka z *Nieboskiej*, starał się Krasiński rozwinąć i uzasadnić w liście do Reeva:

»Człowiek jest wszystkiem, przezeń wszystko zdziałane, ludzie są niczem. Ale człowiek obowiązany jest poświęcić się dla ludzi, a nigdy ich nie poświęcać dla siebie. *[W tych słowach mamy już potępienie egoizmu hr. Henryka]*. Choć sam wie, że szczęście jest niemożliwe na tej ziemi, powinien w to wierzyć dla dobra drugich i kroczyć ze wszystkich sił swych ku temu złudnemu celowi (*vers ce but chimérique*). Jest to wielka i święta mistyfikacya; źródłem jej nasz stan (niepełny) ułomkowy. Przekonany jestem, że wszyscy jesteśmy istotami ułomkowymi (*incomplets*). Tem jest właśnie grzech pierworodny«.

Myśl jego niespokojna i wiecznie czynna starała się także przeniknąć tajnie organizacyi świata. Zdawało mu się, że odkrył prawa niezmienne, mechanizm kompletny, koła i sznury, słowem całość mate-

matyczną. »Odkryłem dalej, że przy każdem kole, sznurze, liczbie już zorganizowanej i pchniętej w ruch i spełniającej swe przeznaczenie było coś więcej jeszcze: czynność bezpośrednia, myśl całkiem uduchowiona, może duch, może anioł, to, co nazwałem życiem, chociaż jest już życie organiczne w każdem kole, w każdym sznurze, ale to drugie życie, o którem mówię, jest całkiem mistyczne: każde zdarzenie, każdy fenomen może być objaśniony wyłącznie przez jednę z tych metod, co mi dowodzi, że obie one są współczynne (*coagissantes*) i prawdziwe. Myślę, że w każdej chwili jest w wszechświecie przemiana, przelew (*une transfusion*) tego podwójnego życia, jednego w drugie. Oto dla czego równie silnie wierzę w geniusz Cezara, mówiący do Brutusa: »Zobaczysz mnie pod Philippi«, jak w prawa Kepplera i Newtona«.

Widzimy zatem, jak choroba oczu wpływała poniekąd dodatnio na rozwój duchowy Krasińskiego. »Ta choroba nauczy mnie myśleć« — przepowiadał sam sobie. Istotnie pogłębienie myśli filozoficznej od wyjazdu z Genewy jest już w Petersburgu bardzo znamienne. Bezwątpienia dzieła filozoficznej treści (Ballanche, Schelling, historya filozofii Damirona) wpływały pobudzająco na niego i dawały wątek rozmyślaniom, ale największymi jego mistrzami były: samotność i cierpienie. Samotność fizyczna i duchowa: bo dnie całe spędzał sam w swym pokoju, a ci nieliczni, którzy go odwiedzali czasem, byli mu duchowo obcy lub obojętni; cierpienie, także fizyczne i duchowe, bo do cierpień wzroku dołączały się bez

ustanku cierpienia patryoty, Polaka, w stolicy cara, gnębiciela ojczyzny. Jak przed laty Mickiewicz w Moskwie i Petersburgu nie przestawał marzyć o doli narodu, szukał sposobu na wydobycie go z więzów despoty i tworzył *Wallenroda*, tak teraz Krasiński miał czas wśród tych rekolekcyj petersburskich zastanowić się nad stosunkiem Polski do Rosyi, a wzmianka o rozpoczętym *Irydionie* dowodzi, że znalazł już sposób na ukrycie myśli politycznej. Polaka przebrał za Greka z czasów cesarstwa rzymskiego i Greka tego obdarzył zrazu uczuciami zupełnie pogańskiej zemsty.

Tak naturalne uczucie wstrętu i nienawiści ku ciemiężcom cofało się jednak w długich, samotnych miesięcznych rozmyślaniach przed szlachetniejszymi prądami chrześciańskimi. Idea zemsty dla zemsty wydawać się poczęła jałową. Powoli brała górę w sercu i rozumie młodzieńca-poety idea wyższa, szlachetniejsza, idea chrześciańskiego znoszenia cierpień, owiana pociechą, z samej głębi wiary czerpaną, że »zmartwychwstanie się z pracy wieków«. Ideę taką znalazł ojciec »piękną«: rozgrzeszała go ona poniekąd *ex post* z bezczynności w roku 1831. Syn opowiadał mu obszernie plan i pomysł *Irydiona*. A tak, gdy ze strony najbliższej znalazł Krasiński zachętę do napisania utworu, młodzieńcza fantazya poczęła go stroić w szaty klasyczne, dawała mu podstawę z marmurów rzymskich i rozciągała nad nim nieskalany błękit rzymskiego nieba. Samem prawem psychologicznem kontrastu pojęć i uczuć, marzył cierpiący Krasiński w lodowatym Petersburgu

o Rzymie, grzejącym się w słońcu, zanurzonym w blaskach słonecznych. Myśl patryotyczna, skrępowana nad Newą, biegła nad Tyber, na południu nabrać »szerzy i mocy«.

Kończył się wreszcie ten przymusowy pobyt w Petersburgu, ta ofiara, złożona Molochowi Północy ze zdrowia i zgryzot moralnych. Stanisław Małachowski, późniejszy przyjaciel i powiernik Zygmunta Krasińskiego, tak mówi w *Krótkim rysie* z życia i pism Zygm. Krasińskiego:

»Tę podróż i ten siedmiomiesięczny (*mylnie, zamiast pięciomiesięczny*) pobyt w tej stolicy państwa, w tym zimnym, północnym klimacie liczył Zygmunt do najsmutniejszych dni żywota swego. Oślepły prawie zupełnie, pędził on smutne godziny w ciemnym pokoju i samotności. Skoro tylko uczuł się nieco silniejszym na zdrowiu i wzroku, ojciec zawiózł go do cesarza Mikołaja. Cesarz przyjął go z niezwykłą uprzejmością, oświadczając mu całą życzliwość swoją i obiecując mu wszelkie ułatwienie w otrzymaniu posady u dworu, w dyplomatycznym lub jakimby chciał zawodzie. Trudne i bolesne było położenie Zygmunta w tej chwili, którego umysł i serce w innym znajdowały się kierunku, który inne powołanie w sobie czuł, inną przyszłość przewidywał, i — nie łatwe wyjście z niego. Jedynie smutny stan zdrowia i wzroku, coraz się pogarszającego, ułatwił je i wybawił z niebezpieczeństwa. Cesarz, uznawszy tego istotną potrzebę, zezwolił na wyjazd jego za granicę, do łagodniejszego klimatu i poratowania tak wątłego zdrowia.

Wrażenie, jakie wywarł na umyśle jego pobyt w Petersburgu, odbiło się na kartach poematu, który w Wiedniu napisał p. t. *Pokusa*. Poemat ten ogłosił drukiem później w Paryżu 1841 r., napisany zaś jako przestroga dla młodego przyjaciela Polaka, Adama Potockiego, mającego jechać do Petersburga«.

Około 5-go marca 1833 r. opuścił Krasiński Petersburg, udając się na Warszawę do Wiednia. — Póki był w obrębie policyi rosyjskiej nie śmiał pisać do Reeva o wrażeniach petersburskich. Dzielił się nim tylko wrażeniami z zakresu sztuki i poezyi. Zresztą nie mógł byle komu powierzać sekretów, a od dłuższego czasu już sam pisać listów nie mógł, ale je dyktował.

Widocznie pod wrażeniem II części *Fausta* zestawiał Byrona z Goethem, przyznając autorowi *Fausta* pierwszeństwo.

»Koniec Fausta jest mi dowodem, że Goethe był istotnie wielkim poetą, większym niż sam Byron; bo rozważ Manfreda, Kaina, Marino Falieri etc. etc., a zobaczysz, że wszędzie upadek (*perdition*) wieńczy dzieło. Pod tym względem Byron jest w poezyi tylko przybliżeniem wszechświata. Nie objął wszystkiego, a Goethe objął wszechświat, zrozumiał walkę dobrego ze złem i kazał Dobru tryumfować. A przecież co do formy Goethe jest więcej materyalistą od Byrona. Był dzień, w którym Goethe wziął Diderota za wzór — dziwne to, że człowiek ten w końcu zwyciężył świat i pychę szatana.

»Jest to także wielkim pomysłem, że Faust kończy ślepotą. Tak być musiało. On wszystko wyczerpnął

na ziemi, wszystko w piekle. Teorya i praktyka — wszystko skończyło się dla niego i za prawdę, musiał oślepnąć...«

Badanie poezyi prowadziło go do zastanowienia się głębszego nad istotą artyzmu i poety jako poety. On sam już się poczuł artystą, poznał rozkosze tworzenia, kiedy pisze: »Są rozkosze niewypowiedziane dla artysty, ale też jest on przeznaczony na większe cierpienia, niż ktokolwiek na świecie. Co prawda, egoizm jego jest wzniosły, ale zawszeć to egoizm. A cóż on zrobi, gdy się znajdzie w położeniach, gdzie, aby być szczęśliwym, trzeba być sobą. Jego piekło tu się zaczyna. Nigdy nie będzie naprawdę wiedział, co to miłość kobiety, bo dla niego o n s a m jest wszystkiem. On wszystko tworzy: świat, statuę, wiersz, kochankę. On kocha swe arcydzieła, ale nic innego nie kocha. I dlategoto rzeczywistość jest dla niego trucizną. I dlatego nigdzie nie może znaleść ani spełnienia swych życzeń, ani celu swym marzeniom. Wszystko, co nie jest n i m, zniechęca go i do rozpaczy przywodzi. Żyje pośrodku ludzi jak Kain z przekleństwem na czole. A mimo to on kocha szalenie, pragnie dobra. On zechce szczęścia dla świata, choć go ten świat na każdym kroku odepchnie. Ale, tylko skoro jest samotny, czuje się szczęśliwy. Jest silny, jak półbóg. — Oto dlaczego wielki artysta nie jest nigdy ani dobrym małżonkiem, ani dobrym ojcem. To straszne!... Oto, dlaczego Byron nienawidził świata — oto, dlaczego my brzydzimy się tem, w czem wielu ludzi znajduje upodobanie i mądrość. Drogo się płaci za to, że się zajrzało pod rąbek ta-

jemnicy Bogów. Jedna, jedyna kropla, co z niebios na czoło twe spada, czyni cię niezdolnym do życia na ziemi, a przecież nie stałeś się aniołem. Jesteś po dawnemu człowiekiem, ale już braci niemasz...«

Krasiński wyznaje, że czuje wstręt ogromny do świata. »Każde zetknięcie się z istotą ludzką zięb mnie i pozbawia mnie całkiem natchnienia. Jestem silnym tylko wtedy, kiedy sam jestem. Biada mi!«

Po Wielkiej nocy, spędzonej w Warszawie, wyjechał Krasiński w połowie kwietnia 1833 r. z Warszawy do Wiednia, w towarzystwie Konstantego Danielewicza, którego charakteryzuje tak w liście do Reeva:

»Wielki muzyk, bladego lica, umiejący lepiej wyrazić poezyę swą w akordach, niż we wierszach; zresztą głęboko myślący. Może dojść myślą do olbrzymiej abstrakcyi«. Danielewicz osiągnie z czasem wielki wpływ nad Krasińskim i zajmie wśród przyjaciół jego miejsce pierwsze

Jechali na Kraków, który zachwycił Krasińskiego kościołami swymi i pamiątkami przeszłości. Z Wiednia miał przesłać »długi ustęp« (*un long morceau*) Reevowi z prośbą, aby po odczytaniu posłał go Henryce Willan. Być może, że była to owa Wizya, poświęcona *„dilectae“*. Nie mamy wiadomości, czy Reeve wywiązał się z polecenia. Coś między nimi zaszło w tym czasie. Reeve przewinił w czemś wobec Krasińskiego. Następstwem tego była przerwa dłuższa w korespondencyi, trwająca siedm miesięcy (od 20 kwietnia 1833 do 20 listopada t. r.).

W Wiedniu rozpoczął znowu kuracyę na oczy,

»długą, nudną, nie wiele polepszenia przynoszącą«. Odezwał się znowu do Gaszyńskiego (7 lipca 1833) w tonie smutnym, który objaśnia dostatecznie dopisek Danielewicza: »Jesteśmy tu z Zygmuntem od kilkunastu tygodni i męczymy się brakiem życia, może równie, jak ty, nieszczęśliwem życiem«.

Zdrowie Krasińskiego coraz się rozstrajało: »nerwy moje grają wciąż jak struny i przyjdzie do tego, że same fałszywe akorda wydawać będą... Piszę jeszcze czasem, ale nie z taką wiarą, jak dawniej; gdzież się podziały wszystkie wiary moje!«

III.

„AGAY-HAN“.

W czasie pobytu w Wiedniu postanowił Krasiński zająć się wydaniem Agaj-Hana. Rękopis, dawno już gotowy, teraz może przez Danielewicza przejrzany, przesłał poeta do Wrocławia, gdzie też wyszedł z druku u B. Korna pod literami A. K. w październiku 1833 r., ale z datą 1834 r. Że jednak Agay-Han wydrukowany był i sprzedawany już w jesieni 1833 r. widać to wyraźnie z listów do Gaszyńskiego (d. 21 listopada *1833 r.*). Czytamy tam: »Jeśli wpadnie ci w ręce *Agay-Han*, drukowane w Wrocławiu u Korna, niedawno, to myśl o mnie«. A d. 16 grudnia tłómaczył przyjacielowi intencye swe autorskie: »Agay-Han jest *meus*. Sądzę, że nie było jeszcze po polsku dzieła formy takowej. Poemat prozą; często liryczny; zresztą może być głupstwem, bo myślę, że wiek XIX jest wiekiem mierności pod wszystkimi względami...«

Z listu zaś do Reeva z d. 19 grudnia 1833 r. można dokładniej oznaczyć czas wyjścia z druku *Agay-Hana:* »Dwa miesiące temu ukazał się w Wrocławiu utwór poetyczny na mój sposób (210 stron)... Piszą mi, że robi wrażenie«. (*Corresp.* II, 55—56).

Oto tytuł pierwszego wydania:

A G A Y - H A N

Powieść Historyczna
oryginalnie napisana
przez
A. K.

w Wrocławiu
u Wilhelma Bogumiła Korna
1834

(str. VI+212, in 8º min.)
Na str. 1 przed tekstem czytamy *motto:*

I loved her as a child. I loved her as a youth, but she never did love me.

Melmoth-Mathurin.

(Kochałem ją dzieckiem, kochałem młodzieńcem, ale ona nigdy mnie nie kochała).

To *motto* starczy za dedykacyą: wyraźnie i wyłącznie odnosi się ono do pani Załuskiej. Przypuszczamy, że wyjątku tego z Melmoth-Mathurina nie było jeszcze w Genewie; umieścił go Zygm. Krasiński jako wspomnienie dni letnich w Opinogórze spędzonych w sierpniu 1832 r.

Agay-Han ma na tytule dodatek: *Powieść historyczna.* Punktem wyjścia był dla Krasińskiego epizod z r. 1611: niedola Maryny carowej, jej związanie się z Dymitrem Drugim Samozwańcem, a po śmierci tegoż z atamanem kozackim, Zaruckim, którego awanturnicza wyprawa na Astrachan, po chwilowem po-

wodzeniu zakończyła się zabiciem Zaruckiego i utopieniem Maryny.

Krasiński sam przed I rozdziałem Agay-Hana podał źródło historyczne, z którego czerpał. Były nim Niemcewicza: »Dzieje panowania Zygmunta III«. Jak już z listu do Reeva widać było, pociągnęła Krasińskiego ku tej epoce nie tyle jej tragiczność, istotnie olbrzymia ze względu na stosunek obu narodów, ile raczej obrazowość i rozmaitość: a zatem przeważał punkt widzenia artystyczny nad dziejowym. Zarzutu nie można z tego robić autorowi. Poeta nie jest i nie chce być historykiem. Jego przedewszystkiem nęci malowniczość kontrastów; wyobraźni otwarte tu szerokie pole, fantazya zapełnia je *dowoli krajobrazami*, strojami *różnych* narodów, grą barw, mieniących się jak w kalejdoskopie.

Wątek opowieści stosunkowo ubogi. Maryna, po zabiciu drugiego Dymitra, chroni się do zamku w Kałudze, gdzie ją lud oblega; wreszcie dostaje się do więzienia. Wyprowadza ją stąd giermek, pacholę z krwi królewskiej tatarskiej, Agay-Han, postać zmyślona, którą Krasiński wyposaża do zbytku wschodnim temperamentem, namiętnościami, dzikością, odwagą bez granic itd. Agay-Han kocha Marynę, która lekceważy pacholę, a pełna ambicyi, po zabiciu Dymitra, nie chce wyrzec się panowania i oddaje się Zaruckiemu w nadziei, że ten ją na tron carów wprowadzi, jako matkę maleńkiego carewicza. Agay-Han nienawidzi Zaruckiego; przechodzi na stronę cara nowego i z tatarskiemi pułkami ściga Zaruckiego i Marynę aż na dzikich stepach nadwołżańskich i dalej

za Jaikiem. Dopędza ich, bierze w niewolę, zabija Zaruckiego, a gdy Maryna darzy go wciąż tylko pogardą, gdy niema nadziei, aby mu się dobrowolnie oddała, topi ją pod lodami rzeki Jaiku i sam już prawie nieprzytomny na krach lodowych pędzi ku morzu Kaspijskiemu, by tam zginąć.

Powieść jest przeładowana opisami, a wskutek tego, że brak jej jakiegokolwiek urozmaicenia, że ciągle roztacza przed czytelnikiem pobojowiska, pożogi, krew, trupy, dzikość ludzi, że osoby główne: Maryna, Zarucki i Agay-Han nie mogą najmniejszej obudzić sympatyi w czytelniku, interes w czytaniu słabnie, ciągle się załamuje i nie więzi uwagi, nie tamuje nigdzie oddechu.

Nam dzisiaj, popsutym powieściami historycznymi Sienkiewicza, wydaje się Agay-Han dziwacznym i niesmacznym. Nie należy jednak zapominać, że przeszło pół wieku dzieli *Agay-Hana* od *Ogniem i Mieczem*, że Krasiński miał lat 20, kiedy tę powieść »historyczną« pisał, że tworzył ją w warunkach niekorzystnych, na obcej ziemi, bez materyałów archeologiczno-etnograficznych. Skutkiem tego było, że kolorytu epoki w *Agay-Hanie* niema, że krajobrazy są fantastyczne, a Astrachan, słynny z kawioru, karuku i kawonów, wygląda jak czarowny jakiś gród z bajki indyjskiej. Jakoż przepych farb, koloryt wschodni, zgiełk barw i ludzi jest tu istotnie azyatycki raczej, niż europejski. Są tu opisy, przypominające Matejkowski wir kolorów. Gdzieniegdzie zaś mamy prawdziwą orgię wrażeń świetlnych. Oto np. opis namiotu Agay-Hana:

»Pod jej stopami kobierce naśladują zieloność murawy, dyamenty rosy przejrzystość i krople; u ścian piętrzą się obicia przetykane wieńcami róż, fiołek (sic), jasminów i gałęzi, na których malowane ptaki prześliczne roztaczają pióra, a z góry pada światło dzienne, ale nim dojdzie oczu, przekrada się pośród muślinów i jedwabiów, długo błądzić musi po haftach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, *wyssać błękit* z ametystów i rubinów purpurę, a wtedy *całe pijane od farb i połysków* na dół się stoczy i *pląsa w drżące łuki*, którym końca niemasz; one biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie okręgi, iskry, rozkwitania i życia pozór owym udanym haftom nadając, a promienistemi sieci (!) cały namiót *kratkują od góry do dołu*, zalewają potokiem jasności która płynie *szkarłatem i błękitem*, *zieleni się* jak szmaragd, to *złoci* jak pomarańcza i do oka wpływa mile, bez rażenia, bez olśnienia, gdyby *tysiąc motyli igrających razem* po trawniku, kiedy słońce już nie parzy, a zachodzi w *złocie*, księżyc zaś naprzeciwko się podnosi lamowany *srebrem*, a między niemi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo...«

Od łagodnej bieli pereł do rażących, jaskrawych barw szkarłatu i złota, jakiż tu natłok męczący kolorów!

Co się tyczy osób występujących na tem jaskrawem tle, to nie mamy tu jeszcze starannego cieniowania rysów, raczej grubo narzucane farby, plamy, działające na odległość, rażące z bliska. Niedostatek ten pochodzi z braku dostatecznego materyału słowa polskiego. Wiemy, że Krasiński wówczas brak ten

odczuwał, że domagał się, by mu nadesłano klasyków polskich z Warszawy. Zwłaszcza cztery pierwsze rozdziały Agay-Hana noszą na sobie liczne ślady niewyrobienia słownego. Konstrukcye są niepolskie, porównania często sprzeczne z duchem języka polskiego, okresy wadliwe: »Stoły jedne za drugiemi jak potężny wał się ciągną, na owej zmiecionej dolinie. — Drugie, rozrzucone jak wyspy rozpusty (!) pomiędzy sosnami, które *idąc od wzgórzów niegęstemi szeregi, stąpają otrząsając* (!) śnieg z ramion *aż do tego* rzędu stołów« itd.

Co do form gramatycznych, Krasiński stara się archaizować styl końcówką -y w instr. plur. »zmarzłemi bryły, zbrojnemi stopy, twojemi gwary.

Agay-Han jest bezwątpienia ulubieńcem Krasińskiego. Jakżeż mdło rysuje się ta postać z samego początku utworu, jak nienaturalnie: »w młodzianie owym było coś dziecinnego i strasznego zarazem«, »oczy jego były żywą tęczą (!) uczuć, zmienną jak opalowe (!) połyski« (wystawmy sobie oczy o połyskach — opalowych!), »głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nuty dziecinnego śpiewu aż do grzmiących *dźwięków* (!) surowego męża,... a przy końcu tak był okropny, pełny zawziętości i urągania, że coś w nim podobnego do *skowyczeń* psa wśród nocy zimowej«.

Ani trochę nie dziwimy się Marynie, że w takim Agay-Hanie nie mogła się zakochać. Nic tu nie pomogą pochwały i uniesienia autora: »A on zapalony, niewstrzymany, z czołem, na którem błyszczy tysiąc wspomnień i nadziei, nie już błaga Tatar... ale mło-

dzian z krain południowych Azyi, marzeń ognistych rozhuździany goniec« itd. itd.

Przytem ma on sposób wyrażania się, może wschodnio-tatarski, ale stanowczo niemiły: »Zarazę nam przyniosły nieczesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów, jak z pryszczów gadziny«.

albo: »Sułtanko moja! Tulipanie piękności, żaglu biały na lazurowem jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój« —

Wszystko to dowodzi, że Krasiński pisał z trudnością pod koniec 1831 r. On to sam czuje, sam się na to żali w Agay-Hanie: »Już mi nawet język rodzinny, język mój cudowny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci...

»Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy do koła sieciami...

»Teraz kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę... Czuję codzień więcej słów zagubionych na zawsze... Jedne po drugich mrą drogie pamiątki; Jakaś tam przepaść jest, co czyha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje... To męka, to rozpacz...« (Por. list do babki, t. I, str. 318 i 319).

Istotnie, pomimo wielkiej odporności wewnętrznej, pomimo wszelkich prób archaizowania mowy, styl Krasińskiego w Agay-Hanie pokrywa się od czasu do czasu pleśnią cudzoziemską. Obczyzna nietylko powlekała zewnętrzny wyraz, nietylko psuła okres, ale wgryzała się nieraz aż do samego wnętrza myśli polskiej. Wtedy to słyszymy o naddziadzie Agay-Hana, który pierwszy rzucał w grunt czaszkę zbro-

czoną, węgielny kamień wieży (!) z głów pobitych nieprzyjaciół« — o Zaruckim, że »bycze barki marszczą się nad kształtnem jego ciałem«, »z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były« (!) albo dowiadujemy się, że »gaje i sady mruczą od powiewu letniego; Maryna zaś powie do Zaruckiego: masz prawdę, Igorze!«

I nic tu zrazu nie pomogą starożytne słówka, któremi stara się poeta ozdobić pasmo swego opowiadania. Tkwią one w niem, ale nie wykwitły z niego, ledwie się trzymają powierzchni: »świdrem poszły mu oczy« — okrom wątpliwości, »iżali« itp.

Tymczasem książki polskie, wysłane przez starościnę opinogórską, nadeszły były z Warszawy do Genewy, a z nimi jakby duch nowy, duch polski powiał nad Lemanem. Począwszy od rozdziału piątego, styl Agaj-Hana nabiera mocy, jędrności, wyzwala się z pod przewagi konstrukcyi francuskiej; z niepozornej na początku rudy coraz częściej przebłyskują pod koniec ziarna szlachetnego, szczeropolskiego kruszcu.

Przełom w stylu, nastroju i sposobie opowiadania dokonywa się w ciągu rozdziału piątego. Rzec można, że z Maryną, wydobywaiącą się przy pomocy Agay-Hana z więzienia na świeże powietrze i swobodę, odetchnął i Krasiński pełną piersią i raźniej do dzieła swego przystąpił. Opis ucieczki Maryny z Zaruckim przed pogonią moskiewską należy do najlepszych ustępów. I Zarudzki tu po ludzku przemawia i przyroda opisana naturalnie, oddana bez przesady.

Moment dziejowy coraz lepiej odczuty, nie w szcze-

gółach wprawdzie, ale jako całość: »Ta ogromna burza, co z Lechii ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszchówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamoce się w kącie widnokręgu...«

Opis Astrachanu, cały zmyślony, etnograficznie fałszywy, ale jakże ciekawy, jak ponętny barwami! czyta się jak bajka wschodnia. Już z tego jednego opisu widać, jak się fantazya Krasińskiego wzmogła, jak olbrzymie przeleciała przestrzenie od Snu Elżbiety Pileckiej, Teodora, fragmentu pod tytułem *On* itd. Do udatnych miejsc zaliczyć jeszcze trzeba opis pogrzebu synka Maryny, tudzież śmierć Maryny, wiedzionej na lody Jaika przez oszalałego Agay-Hana.

Sam Agay-Han rośnie w miarę jak się powieść zbliża do końca. Z pacholęcia na pół dzikiego, na poły tkliwego i tającego pod każdem wejrzeniem Maryny, wyrasta Agay-Han na wodza Tatarów, jako Nuradyn, zahartowany w ciężkich wojnach, coraz obojętniejszy na ludzką niedolę pod wpływem rosnącej i przepalającej go jedynej namiętności. Jeszcze krok, a byłby z niego prawdziwy bohatyr.

»Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych. Tak, jak wielki człowiek, co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysiąców do-pnie myśli swojej ogromnej«. W porę spostrzega się Krasiński, że dotknął innej sfery, współczesnej mu, w którą Tatarzyna wprowadzać się nie godzi. To też zaraz przyćmiewa blaski rzucone na głowę Agay-Hana: »Ale w nim owa myśl (ogromu) nie w głowie,

jeno przesiaduje w sercu, nie wywrze ona skutków na cały naród...«

Wśród licznej, dotychczasowej drobniejszej dziatwy natchnień Krasińskiego jest Agay-Han najsilniejszem, na pozór odmiennem dzieckiem, a przecież i on nosi na sobie znamię rodowe, charakterystyczne znamię swego poprzedzającego rodzeństwa: Alana Reichstala, Mestwina, Mściwego Karła, Teodora... Znamię to występuje dopiero pod koniec utworu, ale z całą siłą niezaprzeczonego, rodowego typu. »Miłość twoja — woła rozszalały Agay-Han do Maryny — była dla mnie jako ten most śliski nad otchłanią, po którym wszyscy w godzinę sądu przechodzić mamy do nieba; *ale teraz dostałem się do raju, do Zemsty*«. Jest tutaj to uczucie zemsty uzasadnione szałem namiętnego syna Wschodu, szałem odbierającym mu świadomość słów i czynu — niemniej jednak uczucie to znalazło swój wyraz. Krasiński doskonale sam określił ojcostwo swe duchowe: »Żegnaj mi na wieki dziecię mojej wyobraźni... życie ci przeszło na mękach, a mściłeś się zbrodniami...

Agay-Han powstał w chwili przełomowej w czasie, kiedy Krasiński nie w ciągu lat, ale w ciągu miesięcy dojrzewał, przeobrażał się duchowo, rozrastał. To też ta powieść »historyczna«, jakkolwiek w ciągu kilku miesięcy napisana, inną jest na początku, inną pod koniec. Gdyby mu stan zdrowia był w lecie r. 1833 na to pozwolił, byłby ją autor pewnie uważniej odczytał i pierwsze rozdziały pod względem technicznym »dociągnął«, dostroił do końcowych. Dziś jest Agay-Han wybornym, pierwszorzędnym doku-

mentem psychologicznym w historyi jego rozwoju duchowego. Jest on niezbędnym szczeblem, po którym poeta wstępuje na niedaleką już wyżynę swej twórczości. W *Agay-Hanie* poszły na dno męty, niejasności, niepewności słowa; osad był tam jeszcze u spodu, ale treść słowa u góry była już świetna i przeźroczysta. Forma ustalała się zatem, wydoskonalona, giętka, podatna ruchliwym myślom i lotnym natchnieniom młodzieńca. Narzędzie już miał powolne swej dłoni, a wielka materya, jak ogromny odłam karraryjskiego marmuru, czekała tylko na uderzenie mistrzowskiego dłuta.

IV.

„NIE-BOSKA KOMEDYIA".

Od końca 1831-go roku nie przestaje Krasiński bacznie przypatrywać się rozwojowi spraw społecznych w Europie. Jak to już poprzednio stwierdziliśmy na całym szeregu ustępów z listów do Reeva, walka klas roboczych z kapitałem przedewszystkiem pochłaniała całą jego uwagę. Ciągłe znajdowaliśmy tam zapewnienia o przeżyciu się dotychczasowej organizacyi społecznej, o nocy, w której żyjemy, dalekiej jeszcze od *przedświtu* nowych stosunków. Widzieliśmy, co w Genewie wpływało na podniecenie i naprężenie uwagi jego w tym jednym kierunku: i Reeve z Londynu, i ojciec z Petersburga, i dziewczyna w karczmie w Ferney głosili niemal to samo, choć w różnych tonach i sposobach.

Przesilenie bowiem było wtenczas powszechnie zapowiadane i oczekiwane. Ogólny zapanował niepokój i »jakieś oczekiwanie tęskne«, ale nie »radosne«, jak u Mickiewicza w 1812 r., przeciwnie: smutne, pełne przeczuć złowróżbnych i lęku przed groźną przyszłością.

Byłoby ciekawem i bardzo pouczającem zestawić wszystkie te przeczucia i obawy lat owych w różnych krajach i narodach. Rzec można, iż od upadku Napoleona mnożą się objawy powszechnego niepokoju. Nie tu miejsce jednak na ich szczegółową charakterystykę. Jako przykład przytoczymy tylko kilka głosów, kilka ustępów z dzieł, które z pewnością znał Zygmunt Krasiński.

W porządku chronologicznym wysuwa się na sam przód dzieło anonima o Towarzystwach tajnych w Niemczech itd. *(Des Sociétés secrètes en Allemagne — Paris, 1819).* W słowie wstępnem autor tak charakteryzuje stan ówczesny Europy:

»Europa przechodzi całkiem odrębne przesilenie. Jej moralne i polityczne położenie, całkiem przeciwne naturze, zapowiada nieuniknioną katastrofę. Łuk jest napięty tak silnie, jak tylko może być, ostatnie poruszenie przerwie cięciwę.

»Kiedy Chrześcijaństwo zmieniło postać świata, nastrój umysłów był prawie że taki sam, jak dzisiaj; drogi były przygotowane, czasy się wypełniły: władza Cezarów i poganizm rozpadały się ze starości, a jak Cyceron powiedział, dwóch augurów nie mogło sobie spojrzeć w oczy — bez śmiechu.

»...Idee powszechne, idee panujące gotują wielki przewrót. Sięgają one trochę dalej wstecz, niż poza dwa wieki; ale jeśli zważymy punkt wyjścia, widzimy, jakim krokiem olbrzymów idee te postąpiły. Jeszcze nie wszystko się zmieniło, ale wszystko się zmieni. Obietnice i ustępstwa, które siła wydarła monarchom, co zdetronizowali Buonapartego (!), roz-

dmuchują ów ogień pożerający, który tli wśród ludów od lat trzydziestu. Jego tylko żelazne ramię zdolne było zdusić ten ogień.

»...Przed upływem lat pięćdziesięciu będziem mieć nową religią i nowych panów«.

(Ileż w tym małym ustępie było treści do rozmyślań dla przyszłego autora i *Nieboskiej* i *Irydiona!*)

Najbliższe dziesięciolecie zdawało się zupełnie sprawdzać złowróżbne przepowiednie autora »Towarzystw tajnych«. Okres od 1820—1830 r. zaznaczył się szeregiem faktów, zwiastujących z jednej strony wzrost reakcyi, z drugiej zawziętość żywiołów, dążących do zmiany społecznych stosunków: we Francyi zamordowanie księcia Berry (1820), w Rosyi sprzysiężenie dekabrystów (1825), rozruchy we Włoszech i Hiszpanii, rewolucya we Francyi, Belgii i Polsce, w Anglii *Reform-bill*, jako rozłam między agrarną *gentry* a przemysłowo-fabryczną demokracyą; — wszystko to było dla przenikliwego umysłu naturalnym objawem nienaturalnego, niezdrowego położenia Europy. Filozofowie, historycy i poeci zgodnie, choć z różnych przesłanek, do jednakowych dochodzili wniosków: wiek swój, wiek XIX-y, uważali za czas »przejścia«, przygotowawczy, niezdecydowany, gotujący drogi *Deo ignoto*. Nawet Ballanche, łagodny i cichy filozof-poeta, ten sam, którego uważali współcześni za ogniwo pośrednie między de Maistre'm a J. J. Rousseau'em, pod mglistą powłoką rozumowań historyozoficznych taił obawy o los »patrycyatu«, który nie spełniwszy swej misyi przodowania społeczeństwu, naraża się na walkę z plebejuszami; przeczuwał

chwilę, kiedy to »plebejanizm wejdzie do grodu, tłumnie skupiony około jakiegoś nieznanego wodza, który wynurzy się nagle z łona tłumu, uchwyci ręką śmiałą siekierę rewolucyjną i sztandar wyzwolenia«.

Równocześnie Wiktor Hugo zaznaczał w przemowie do swych *Liści Jesiennych* (listopad 1831) ważność chwili ówczesnej: »wszystkie społeczne decyzye zakwestyonowane, wszystkie członki ciała politycznego powykręcane...; wszędzie zresztą uszom czujnym daje się słyszeć głuchy odgłos rewolucyj, jeszcze zakrytych...

...Wiary są w walce z sobą, sumienia w niepokoju; nowe religie z formułkami to dobremi, to złemi — stare religie zrzucające starą skórę...« To aluzye do Furyeryzmu, Owena i St. Symonistów.

A ci, których nazwiska złączą się kiedyś w wspólnej pod jednym dachem pracy, Mickiewicz, Michelet i Quinet, nieznani wówczas sobie, wspólne będą głosić obawy, jednakie pragnienia.

Mickiewicz mógł już w r. 1830 w Szwajcaryi, a potem w Rzymie i Genewie 1831 r., w częstych z Krasińskim rozmowach wyrazić niejedno z swych zapatrywań na społeczne kwestye. Nie drukował wtedy wszystkiego, np. tych myśli „*O sejmie polskim*“, gdzie znajdują się takie ważne spostrzeżenia, będące oczywiście wynikiem długoletnich rozmyślań; ale łatwo mogły być poruszone w rozmowach szwajcarskich na dwa lata przed napisaniem *Nieboskiej*:

»Stoi gmach jeszcze, jak dom podkopany w fundamentach, ale za pierwszym powiewem wiatru upadnie. Ta grożąca odmiana objawia się w różnych

symptomatach każdemu, kto czuje i myśli, kto wierzy w Opatrzność. Przepowiadają tę burzę filozofowie, poeci, księża, wieśniacy na różnych punktach ziemi, w różnych partyach i religiach.

Dość podnieść oczy w górę: tam ksiądz Lamennais, Schelling, Lamartine i *mnóstwo innych*, jak chorągwie na wieżach pokazują, skąd wiatr zaczyna wzmagać się; dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, w foburgach paryskich, nawet w chatach włoskich jeden rodzi się huk, wróżący trzęsienie ziemi. Kiedy nastąpi burza, za rok, czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie; czuję, że nastąpić musi«.

Michelet w swej *Rzymskiej Historyi* (II², 1833, str. 400) zwrócił bystro uwagę na przełomową chwilę niegdyś — Cesarstwa Rzymskiego, dziś — naszego świata i znowu przypomni nam równoczesność dwóch bliźnich arcydzieł: *Irydiona* i *Nieboskiej*, tak, jak w westchnieniu końcowem odnajdziemy tam silne podobieństwo do tęsknot Krasińskiego: »...oby Bóg nas jak najkrócej trzymał w tem zawieszeniu między światem ginącym, a tym, co się nie zaczął jeszcze«.

Quinet wreszcie w uwagach wstępnych do swego *Ahasverusa* (*Revue d. d. M.*, 1er octobre 1833) będzie mówił o chorobie wieku, »dziwnej, męczącej nas bez przerwy. Jak ją nazwać? Nie jest to, René, twoja choroba, choroba ruin; nasza jest zjadliwsza i bardziej gryząca... To choroba przyszłości, choroba ostra... W głębi dusz naszych czujemy już, co ma być. *Nic* to na pozór, ale to *nic* żyje już w naszem łonie, widzimy je, dotykamy się go, chociaż świat

o niem nie wie. Zabija nas nie słabość naszej myśli, ale dźwiganie ciężaru przyszłości w pustce chwili bieżącej (*c'est le poids de l'avenir à supporter dans le vide du présent*). By się z gorączki wyleczyć, trzymamy przy ustach naszych czarę jutra, skąd pić będą wargi — ale nie nasze... Ludzkość cierpi bole ciche w łonie, jak gdyby Boga miała porodzić...«

Co czuli najlepsi, najgienialniejsi w ówczesnem społeczeństwie europejskiem, to wyrazić miał najdramatyczniej, najsilniej, dwudziestoletni młodzian, dojrzały przedwcześnie w szkole cierpień i narodowych i ludzkich. Nawet ból fizyczny, choroba długa oczu, zagrożonych ślepotą, nie przeszkodzi przyjściu na świat dziecka długich i bolesnych rozmyślań. Zamknięcie przez całe miesiące w pokojach ciemnych, zupełne przez jakiś czas odosobnienie (w Wiedniu i Petersburgu) sprzyjać będzie obmyśleniu i przetrawieniu ogromnej treści.

Wyjazd z Petersburga, wydobycie się z dusznej, przygnębiającej atmosfery tamtejszej na świeższe, zachodnie powietrze, wpłynęło ożywczo na umysłowy i fizyczny stan Zygmunta Krasińskiego. Towarzystwo, odtąd stałe i długoletnie, druha uniwersyteckich czasów, Konstantego Danielewicza, oddziaływało jak najlepiej; było moralną podporą, było wreszcie podnietą umysłowej twórczości. Krasiński zawsze potrzebował jakiegoś *medium*, które odgrywało wobec niego taką rolę, jak konduktory elektryczne wobec piorunów: wyzywało i wyładowywało nadmiar jego energii duchowej. Takim był Reeve w Genewie, takim będzie później Gaszyński, kiedyś Ciesz-

kowski. Na długie lata jest nim teraz Danielewicz. Dzięki jego listom do jenerało, regularnym i szczegółowym, będziemy najdokładniej poinformowani o życiu, zdrowiu, pracach umysłowych i stosunkach towarzyskich Zygmunta Krasińskiego. Listy Danielewicza dają nam obraz wierny, może czasem szary i jednostajny, ale nigdzie nie zepsuty ani zbytnią dla Zygmunta pobłażliwością, ani banalnem mentorstwem. On kocha głęboko i prawdziwie swego druha, ale właśnie dlatego, że go naprawdę kocha, będzie zawsze zmartwiony i nigdy nie zatai, ilekroć mu się coś w Zygmuncie nie spodoba.

Zrazu pobyt w Wiedniu zapowiadał się pomyślnie pod każdym względem.

Danielewicz opisuje jenerałowi z Wiednia dnia 4 lipca 1833 r., jak sobie urządzili życie:

»Sposób życia nasz jest taki. Wstajemy bardzo rano i zaraz, jeśli pogoda, wychodziemy na Basteyen pić wody. Koło 9-tey wracamy i po śniadaniu czytam mu głośno dzieła, które dostać możemy, przy tem zaraz debata i rozprawy... W żadne poezye i romanse już się nie wdajemy, ale w rzeczy *serio*. Potem następuje godzina obiadowa, po której zwykle ktoś do nas przychodzi...«.

W tymże liście mamy nadzwyczaj ważną wiadomość o pierwszych początkach *Nieboskiej*:

»Równie ze stanem fizycznym i horyzont moralny powoli się rozjaśnia i zdaje mi się, że obadwa tak ściśle z sobą były połączonymi, iż nie wiem, który z nich mam brać za powód, który za skutek. To

wiem tylko, żeśmy przyszli z Zygmuntem do ważnej dla niego epoki...

Rzadko bywamy w złym humorze Bayronicznym, bo to już z mody wyszło. Ponieważ zaś nigdy nie może się obejść bez marzenia o jakim poemacie, więc i teraz to samo się dzieje, ale bohatyrem tego dzieła ma bydź poeta, który wzięty jako człowiek w sferze wypadków jest wiecznie zerem — żonę zaniedbuje i do grobu wpędza, dziecko robi nieszczęśliwym, nareszcie wśród politycznych wypadków gra bardzo zabawną (!!) rolę, bo nic nie działającą i nic nie znaczącą, i trochę na arlekina zakrawa. Wprawdzie i publikum, co się około niego rusza, nie wiele więcej warte od poety, ale i to wielki krok, że mu *tragico-bouffo* daje postać«.

Oto pierwsze zarysy planu »Nieboskiej«, jakże ciekawe i nieoczekiwane! Hrabia Henryk »w sferze wypadków« ma być *„wiecznie zerem“*!! Jeśli pierwszy pomysł przedstawienia bohatyra w roli złego męża i ojca ostał się czasem w zupełności — to z drugiej strony hr. Henryk »wśród politycznych wypadków« gra w utworze przecież rolę bynajmniej »nie zabawną« — a trudno nam się nawet oswoić z myślą, że wielki przeciwnik Pankracego mógł kiedykolwiek »trochę na arlekina zakrawać« (*„tragico buffo“*) i grać wogóle rolę »nic nie działającą i nic nie znaczącą«!!

Musimy zatem przypuścić, że w ciągu pisania w Wiedniu »Nieboskiej«, która pierwotnie miała mieć tytuł »Ludzkiej komedyi« (*L'Umana Comedia*, w przeciwstawieniu do *Divina* Dantego), treść mu-

siała bardzo się rozróść, a bohatyr zmężnieć i odrzucić wszelkie cechy „*buffo*“, skoro ostatecznie »Nieboska« miała być »obroną tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości«. Nie można było dawać roli arlekina, »roli nic nie działającej i nic nie znaczącej« bohatyrowi, który miał ostatecznie być przedstawicielem »przeszłości« w tej walce »dwóch principiów: arystokracyi i demokracyi« (*do Gaszyńskiego I, 37*).

Powody tej zasadniczej zmiany, tego odstąpienia od pierwotnego pomysłu hr. Henryka, jako »wiecznego zera«, leżały w samym przedmiocie, zbyt poważnym, rzekłbym: tragicznym, a zatem wykluczającym wszelkie naleciałości *buffo*, które mogły być tylko przemijającym nastrojem lepszych pod względem zdrowia, dni kilku.

Jak szybko ten lepszy nastrój, to »rozjaśnienie horyzontu moralnego« minęło, świadczy fakt, że po tym ciekawym liście Danielewicza z d. 4 lipca, mamy list obu przyjaciół do Gaszyńskiego *w kilka dni potem* pisany (7-go lipca) w całkiem przygnębionym tonie. Krasiński napisze tam: »Nieraz leżąc w gorączce, cierpiąc z zamkniętemi oczyma, przypominam sobie twarz twoją...

...i mnie los nie obdarzył swojemi dary: w głębi duszy mojej osadził wiele myśli i uczuć wiele, które żrą i palą... Wiek, który nas otacza, ciąży na mnie...«

A Danielewicz dopisze: »Jesteśmy tu z Zygmuntem od kilkunastu tygodni i męczymy się brakiem życia, może równie, jak ty, nieszczęśliwem życiem«,

Były to więc miesiące zmiennego zdrowia, humoru i nastroju: nerwy Krasińskiego grały wciąż jak struny, a choć tłumnie odwiedzającym go tam rodakom zdawać się mogło, że to człowiek szczęśliwy, bo słyszeli nieraz śmiech jego, »konceptów tłum, żartów mnogość«, to przecież mało kto mógł się domyśleć, »że pod tą powłoką coś głębszego smuci się, czasem rozpacza«. *(Do Gasz. 34).*

Pobyt w Wiedniu w lecie 1833 r. nietylko nie rozjaśnił, ale owszem chmurami zasnuł »horyzont moralny« poety. Powodem tego było towarzystwo tamtejsze polskie, zatrwożone objawami rozstroju społecznego we Francyi. W podnieconej i nerwowo lękliwej atmosferze salonów wiedeńskich, wzrastało przyszłe arcydzieło. Danielewicz taką dał charakterystykę ważnych dla *Nieboskiej* miesięcy owych (w liście do jenerała z Wiednia 29 sierpnia 1833 r.):

»Bogu chwała, że ten Wiedeń opuszczamy. Los chciał nagromadzić około nas mnóstwo Jeremiaszów, proroków zaguby i nieszczęść — myśl, która *bardzo często Zygmuntowi się podoba.* Śmieszne wciąż robili hipotezy, nieledwie, że koniec świata, że kometa 34go roku nas pochłonie etc. etc. Najbardziej zaś Giżycki, *dans sa condition d'aristocrate* o swoją głowę się turbował, stąd routy tutejsze podobne do pogrzebów i ledwie że *de profundis* nie śpiewali i nie śpiewają. Chwała Bogu, że dostaniemy się między góry i morza, bo to jedno, jak widzę, robi jakiś efekt na Zygmuncie. Nie cierpiałem poezyi, bo mniemałem, że ona jego nieszczęście sta-

nowi, ale lękam się, żebyśmy z Charybdy do Scylli nie wpadli«.

W kilka dni potem, d. 4-go września 1833 r. wyjechali z Wiednia na Ischl, Salzburg, Innsbruck, Trydent i Treviso do Wenecyi. Kto chce mieć pojęcie o ówczesnym nastroju i stosunku wzajemnym obu przyjaciół, niech odczyta wstęp do t. zw. »Niedokończonego Poematu«, który jest wiernem wspomnieniem i krajobrazu i uczuć. W Wenecyi spędzili drugą połowę września i początek października; tam dokończył Krasiński zaczętą w Wiedniu »Nieboską«. Wzrok mu się znowu pogorszył tak, że musiał Danielewiczowi dyktować swe listy. Dziewiątego października ruszyli dalej na Bolonię i Ferrarę, gdzie zajęły ich biblioteka i wspomnienia Torquata Tassa; 24-go t. m. stanęli w Rzymie. Usposobienie poety nie było pogodne. Rzym nie dodał mu sił moralnych. Nastrój był zrazu pesymistyczny i wyraził się między innymi w takim np. ustępie listu do ojca (d. 2 listopada 1833, dyktowany):

»Nie pojmuję błogosławieństwa, które Krzyż, jak mówią, rozlał nad tym miastem; musi ono być tak zupełnie duchowne, że żadnego kształtu widomego nie przybrało, bo co w oczy wpada, to jedynie tylko poniżenie i jakaś barwa przekleństwa rzucona na wszystko, równie na ludzi, jak na budynki. Nie znam podlejszych twarzy od włoskich, męskich — włoskie kobiece są piękne, ale mają coś żydowskiego. Niebo tylko i klimat jest w rzeczy samej pełen słodyczy i ponęty«.

Nieboska Komedya była wprawdzie już napisana,

ale zapewne Krasiński przerabiał ją i uzupełniał, a chociaż już o druku myślał, to jednak Rzym całą siłą swych wrażeń historycznych pociągał poetę w sferę *Irydionową* i na razie odwodził od druku *Nieboskiej*. Widzimy to zwłaszcza z listu do ojca (z d. 11-go listopada 1833 r.), gdzie znajduje się ów znany od lat dwudziestu kilku ustęp:

»Czy pamięta Papa treść myśli mojej jednej, którą opowiadałem Papie w Petersburgu i którą Papa znalazł piękną? Zwała się Irydion, działa się przed wiekami w Rzymie. Napisałem był jej połowę w Petersburgu, w Warszawie podarłem, ale przez rok cały ona mi pokoju nie dała, chodziła mi po głowie, nabierała szerzy i mocy. Tu mi się objawiła, tu zobaczyłem mojego Irydiona, chodzącego po forum; ja go już nie tworzę, obserwuję tylko. Człowiek ten chodzi ze mną po wszystkich ruinach — przez wdzięczność nie dam mu zaginąć«.

Innymi słowy: chodziło o jak najszerszą podstawę i jak najmocniejsze fundamenty dla ogromnego pomysłu. Tej podstawy, tych fundamentów, nie można było improwizować, należało zdobyć je długą pracą, głębokiem wniknięciem w ducha pogańskiej Romy. Do tego przystąpił teraz Krasiński, gdy już *Nieboską* napisał. W tymże samym liście, z którego powyższy urywek był dawno znany, czytamy dalej:

»Im więcej rozpamiętywam dzieje Rzymu, tem bardziej się przekonywam, że to był najpodlejszy z narodów — wielki tylko wtedy, kiedy szło o jego egoizm — nic nigdy poetycznego nie miał ten naród

w sobie, był prawniczym i rozbójniczym, podchwytywał zapisy starych królow, zdradą, przekupstwem świat podbił, a kiedy podbił, rozpasał się na wszystkie zbrodnie i podłości. Sam chciał być świętym, ale u drugich nic świętego nie uznał nigdy — Dlatego dzisiaj tyle grobów tutaj i tyle jaszczurek na nich — wreszcie plebs zwyciężyła patrycyat i wszystko i świat cały stał się jedną podłością«.

Z dnia na dzień rozszerzał się ten pogląd, a zarazem pogłębiał. W dziesięć dni potem pisał autor *Nieboskiej* prześliczny list do Gaszyńskiego, w którym odnajdujemy i echa *Adama Szaleńca* i program dziejowy tła Irydionowego: »...lubię te gruzy, lubię tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości... Lud i Cezar nie znali nic, nie umieli nic... z Rzymu przodków swoich zrobili rynsztok rozkoszy i legli w nim i przeszło lat trzysta leżeli w nim, aż... przyszli barbarzyńcy i znieśli ich precz na wieki! — Ale razem tu jest świętszy widok: Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swojem obronił ostatki starego świata!...« (*Do Gasz.* I, 36—37).

Jakiż to w ciągu trzech tygodni postęp, aby nie rzec przeskok od owego pesymistycznego zapatrywania: »nie pojmuję błogosławieństwa, które Krzyż rozlał nad tem miastem«.

Ale ten nagły zwrot będzie zarazem oznaką, że to nie wynik powolnej i statecznej pracy ducha, tylko jedna z odmian ruchliwej, żądnej estetycznych wrażeń natury poetycznego umysłu. Jakoż będzie

takich odmian niemało, zanim »Irydion« ukaże się w druku. A tymczasem tenże list do Gaszyńskiego kończył się ważną wiadomością:

»Teraz ci powiem coś, ale żądam od ciebie najświętszego słowa przyjaźni, że nikomu, bez wyjątku, nie powiesz nic o tem. Mam dramat, dotyczący się rzeczy wieku naszego; walka w nim dwóch pryncypiów: arystokracyi i demokracyi; tytuł *Mąż*. Prześlę ci manuskrypt; nie wątpię, że zyski będą, bądź łaskaw je przyjąć od przyjaciela. Rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości! Bezimiennie powinno być wydrukowane; nikt nie powinien domyślić się autora«.

Do tego listu dopisał Danielewicz: »Zygmunt pisze bez ustanku. Musi być w nim *furibunda vena* poetyczna, a przytem szalona wytrwałość, że go nic nie zraża. Ale rzeczywiście jest to talent, o którym nie możesz jeszcze mieć wyobrażenia, bo go teraz nie znasz. Ja mniemam, że kiedyś się zaprze tego, co teraz pisze, bo epoka jego pisania dotąd nie nadeszła. Jego *Mąż* rekomenduje się twojej opiece i największemu sekretowi, jest to dzieło, które się żadnej partyi nie spodoba, na którem mało kto się pozna, przeciwko któremu może wszyscy krzykną, tak, jak krzyknęli przeciwko *Banquet des Girondins* Karola Nodier. Zaklinam cię o sekret w imię całej przyjaźni, jaką masz dla niego«.

W kilka tygodni później donosił znowu Krasiński Gaszyńskiemu: »Manuskrypt ci przyszlę, kiedy będzie przepisany; jest on po polsku. Daruję ci go,

zrobisz, co zechcesz. Jeśli nie wydrukujesz, to będziesz miał pamiątkę po przyjacielu, a pamiętaj imienia jego nigdy nie wydać. Jeśli będę miał fundusze, to ci przeszlę na to. Zresztą za miesiąc poszlę samo pismo«.

Tymczasem 17 stycznia 1834 r. zmienia Krasiński zamiar: »Manuskryptu ci nie posyłam, bo: 1° nie jedziesz do Paryża; 2° goły jestem i nie mam za co drukować; 3° *może lepiej dać pokój* — zobaczymy później, tylko nic nie mów o tem nikomu«.

Następuje w listach głuche milczenie o dramacie, aż dopiero 29 marca 1835 r. pisze Krasiński, mistyfikując Gaszyńskiego: »Jeśli dostaniesz w Paryżu świeżo wyszłe dzieło *Nieboska Komedya*, napisz mi zdanie swoje o niem, ciekawym bardzo, jak go (!) znajdziesz, wtedy ci udzielę moje też nad niem uwagi i spostrzeżenia«. — Gaszyńskiemu przykra być mogła ta »nieufność«, jak sądził. Krasiński objaśnia (26 kwietnia), że to tylko przezorność ze względu na niepowołanych czytelników ich korespondencyi«. I znowu milczenie. W następnym roku (1836, 9 lutego) uwiadamia Krasiński przyjaciela: »...co się tyczy *Komedyi*, nie mam żadnego egzemplarza. Ta rzecz się stała przez księgarza w Frankfurcie nad Menem i ten księgarz się przestraszył potem i wstrzymał i wstrzymuje dotąd gotową edycyę. Ładu z Niemcem dojść nie można, tak się boi. Edycya mała, bo tylko 250 egzemplarzy. Teraz, kiedy widać, że chwalą dzieło (nietylko jeden egzemplarz, ale ze dwadzieścia wykradziono i rozesłano), powiedz mi, czy nie możnaby drugiej edycyi zrobić?...«

Zapowiedziany zatem w listopadzie r. 1833 dramat p. t. *Mąż* ukazuje się w druku, odrazu jako rzadkość bibliograficzna, dopiero w kwietniu 1835 r. pod zmienionym tytułem: *Nie-Boska Komedyia* [mały tomik, 11·5×18 cm., str. 6 nieliczb.+ str. 164+2 nlb.— Paryż. W typografji A. Pinard, Quai Voltaire, 15. — 1835. Na karcie drugiej nieliczb.: »Poświęcone M a r y i«].

Odrazu należy tu rozstrzygnąć wątpliwość, która może się budzić wobec tak długiego przeciągu czasu między napisaniem a wydaniem *Nieboskiej Komedyi*. Mógłby kto przypuszczać, że Krasiński przez r. 1834 poprawiał, wygładzał, może rozszerzał tekst pierwotny i dlatego zwlekał z drukiem. Tak nie było. Nie mamy wprawdzie pierwotnego autografu *Nieboskiej* i nie możemy oznaczyć szczegółowo, jak powstawało arcydzieło; ale dochował się list do Reeva z dnia 19 grudnia 1833 r., a zatem z czasu, gdy Krasiński (raczej Danielewicz) przepisywał dla Gaszyńskiego do druku autograf pierwotny. Otóż w liście tym do *Reeva podaje poeta szczegółowo treść* dramatu aż do jego zakończenia, które dosłownie na francuskie tłomaczy. Widać z tego streszczenia, że *Nieboska Komedya* miała już w końcu r. 1833 te same niemal rozmiary, jakie znajdujemy w późniejszym drukowanym tekscie. Wydanie *Nieboskiej* opóźniło się znacznie z przyczyn nie tyle materyalnych (braku gotówki na druk), ile duchowych. Pogarszający się stan zdrowia Krasińskiego wpływał przygnębiająco na jego ducha, który tracił zaraz właściwą sobie sprężystość i energię i zabarwiał mu ponuro widok świata i ludzi. Wiadomości, jakie mógł odbierać

z kraju i z emigracyi, nie mogły go dobrze usposabiać. Odchodziła ochota ogłaszania zaraz drukiem tego, co było jeszcze nie przeżytą, a idącą ku życiu rzeczywistością, samą treścią jego znękanego ducha.

Coraz czarniej przedstawiała mu się przyszłość Polski. W końcu listopada narzekał w liście do ojca, że »położenie Polaka jest gorzkie na każdym punkcie okrągłej ziemi. Żeby im Pan Bóg nie pamiętał tej ich rewolucyi! Ta zgubiła nas i nadzieje nasze i wszystko«. (25 listopada 1833 r. z Rzymu). W tydzień potem pisał Danielewicz do jenerała Krasińskiego zaniepokojony stanem zdrowia Zygmunta, jakąś »dziwną apatyą«, która sprawiała, że najchętniej przebywał on wtedy w ciemnym pokoju i nie myślał o niczem. Danielewicz doskonale oceniał i rozumiał genezę tej apatyi swego przyjaciela:

»Gdyby Zygmunt miał zatrudnienie odpowiednie swemu przeznaczeniu i talentom, to byłoby najlepiej, ale nie w takiej epoce go (!) znajdzie — czuje to bardzo dobrze, że idzie w lata, że nie czyni żadnej przysługi ludzkości — gdyby ją czynił, gdyby go ludzie potrzebowali, żądali jego opieki, jego pracy, choć w małej sferze, sądzę, żeby choroby nie było. — ...Mniemam, że mu żony już potrzeba, chociaż krzyczy, jak mu to powiedzieć i przeraża mię opisywaniem, jakim byłby mężem i ojcem«. (2 grudnia 1833).

Tę jałowość życia swego czuł najboleśniej sam Krasiński, kiedy równocześnie uzasadniał przed Reevem poglądy swe na stosunek jednostki do społeczeństwa: »ludzkość jest prawie niczem, a człowiek

wielki, c z y n n y, świadomy celu, w s z y s t k i e m; jemu samemu, poecie, trudno żyć w społeczeństwie, on je kocha, pragnie jego dobra i szczęścia — ale w osobistem zetknięciu z ludźmi traci swą moc i energię«. Poeta pragnął działania, rwał się do czynu wielkiego, a skazany był na bezczynność; czuł równocześnie braki swe duchowe, bolał nad nimi i szamotał się w próżni bez wyjścia. W długiej gorzkiej samotności zanalizował on sam siebie do gruntu, a nie mogąc postawić się w świecie i s t o t n e g o działania, przeniósł żywcem swoje *pragnienia czynu* do świata z m y ś l o n e j walki społecznej i wysnuł najdalsze konsekwencye z przesłanek zaczerpniętych, bądź co bądź, ze współczesnych mu zagadnień społecznych. *Skoro los skazał go na bezczynne przypatrywanie się życiu społecznemu*, stworzył przeto sobie dramat, jeśli nie żywy, to bardzo żywotny, a główną w nim rolę dał *Mężowi*, wyposażonemu świadomie w własne zalety i wady. Z pierwotnego pomysłu bohatyra *tragico-buffo* opadały coraz bardziej *cechy »arlekina«*, *wyłaniała* się postać niepospolita *Męża*. Ten panować miał w całym dramacie, walczyć do ostatka w obronie przeszłości, której rzecznikiem gorącym był sam poeta. Siła i dzielność tego *Męża* »przeszłości« mogły się ujawnić w walce z ludźmi »przyszłości«, przedstawiającymi nowe idee, nowy jakiś ustrój społeczny. *Mąż* wymagał zatem logicznie i psychicznie przeciwnika, Przeciw-Męża, którym jest Pankracy. Bliższe zaś wniknięcie w szczegóły obu walczących z sobą zasad zmuszało do pogłębienia postaci *Męża*, do wykazania genetycznego, skąd i dla

czego *Mąż* jest właśnie takim, jakim go widzimy w walce z Pankracym i wstrętnym mu gminem. Za tem poszło, że Krasiński musiał sięgnąć wstecz do młodości męża, na razie przynajmniej do jej *zakończenia*, tj. do chwili, gdy młody poeta »zstępuje do ziemskich ślubów«, — Tego, który chce świat stary zbawić, widzimy naprzód w roli skromniejszej, małżonka i ojca, i stwierdzamy, że człowiek ten własne rodzinne szczęście podeptał, ognisko domowe rozburzył, a to dla urojeń poetycznych, dla dogodzenia wrażliwej swej, zmiennej, kapryśnej, fantastycznej naturze.

Po pierwszej, rodzinnej katastrofie »Mąż« szuka upojenia w sławie, wysuwa się na czoło walki społecznej, a choć huragan dziejowy złamał już dawny ustrój i godzi po prostu na życie jego i garstki mu wiernej — on do nowych warunków już się nie przystosuje; ani chce, ani potrafi — ginie więc, przegrawszy życie w drugiej fazie: egoistycznej, bezwzględnej sławy. A tak »Mąż« traci szczęście własne i szczęście współbraci.

»Obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości« dostała się zatem w powołane wprawdzie, ale nielitościwe ręce. Pankracy zwycięża — na chwilę... I w tej właśnie ironii bolesnej faktów, w tej zaciętej walce dwu zasad, kończącej się ogólnem wyniszczeniem ich obu, tkwi racya późniejszego tytułu dramatu. *Mąż* bowiem odgrywa ostatecznie tylko straszną, ludzką komedyą, on, co całe swe życie jak »dramat układał«.

* * *

Nieboska Komedya składa się zewnętrznie, według podziału autora, z czterech części; logicznie dzieli się jednak na dwie: dramat rodzinny i dramat społeczny »męża«, hr. Henryka. Każda z tych dwu części znowu symetrycznie na dwie podzielona:

Dramat rodzinny z dwóch niejako złożony aktów:

Akt I: Mąż i żona
Akt II: Ojciec i syn
} *Stare społeczeństwo.*

Dramat społeczny:

Akt I: *Nowe społeczeństwo.*

Akt II: Walka dwu światów.
Śmierć Henryka i Pankracego.

Między pierwszym a drugim dramatem lat kilka upływa. Dramat rodzinny tworzy poniekąd sam dla siebie całość i wiąże się dosyć sztucznie z dramatem społecznym [»dobija godzina (*? dlaczego dobija?*), w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi przeciwko wielu ludziom« (!)]. Dramat społeczny (części III i IV) jest tak dalece odrębny, że ma osobną, wspaniałą odezwę, którą może rozpoczynał Krasiński utwór zmieniony, różny od pierwotnego pomysłu *tragico-buffo:*

»Do pieśni! Do pieśni! Kto ją zacznie, kto jej dokończy? Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskiemi pióry?...« Od tych słów zaczyna się właściwa »Ludzka komedya« społecznych kontrastów.

Dramat rodzinny jest poniekąd dużym wstępem, prologiem, zapowiedzią dramatu społecznego. Pierwszy ma się do drugiego, jak przyczyna do skutku, jak przeszłość pełna win i grzechów zaniedbania

do teraźniejszości brutalnej, ciężkiej, rozumowo machinalnej, bez serca, bez współczucia, żądnej odwetu.

Dramat rodzinny.

Poruszone są tu zagadnienia, na pozór ciaśniejsze, bo dotyczące małżeństwa i rodziny; w gruncie zaś zasadniczo ważne, podstawowe, skoro rodzina była, jest i będzie zawiązkiem, komórką organizmu społecznego. Jakie rodziny, taka gmina, jaka gmina, taki kraj, taki naród. Poeta wprowadza nas do świeżo założonego ogniska rodzinnego w sferze »przeszłości«, arystokracyi.

Jako *motto* czytamy zdania Figara (usunięte z trzeciego wydania): »De toutes les bouffonneries, la plus sérieuse est le mariage«. Historya nieudanego małżeństwa, a zatem rzecz bardzo powszednia, tutaj podniesiona została do godności poezyi przez kontrast małżonków: ona cicha, dobra, kochająca — on, poeta, przywykły do swobodnego, bezczynnego życia, rozmiłowany we własnych marach, żyjący głową, nie sercem. Krasiński znakomicie oddał tu typ człowieka nowoczesnego, nerwowego, poddającego się wrażeniom chwili, entuzyasty (nieraz sztucznego), człowieka, któremu co dni kilka nowy jakiś zapał przemijające łzy wyciska. W chwili takiego przelotnego zapału żeni się, czyli mówiąc jego stylem, »zstępuje do ziemskich ślubów«. Niebawem znudzony jednostajnością domowego życia, »snem niemca przy żonie niemce«, zaczyna wracać do wspomnień dawniejszych, przedślubnych, pragnie nowych wrażeń, a nie-

pokojony pamiątką dawniejszych mrzonek i mamideł, ucieka z domu. Żona w swej dobroci anielskiej siebie obwinia, że poecie szczęścia dać nie umiała, że go nie zrozumiała, że nie była dość poetyczną — a siląc się, aby mężowi w poezyi dorównać, popada w obłąkanie. Syn, który wówczas na świat przychodzi, ma wszystko z matki: dobroć, łagodność, nawet dar poetycki, który mu matka pod błogosławieństwem mieć przykazuje. »Mąż« wraca wreszcie z bezowocnej gonitwy za marą swej młodości, znajduje żonę w domu obłąkanych, poetyzującą i kochającą go do ostatka. Na chwilę odzyskuje przytomność i umiera ze słowami: »Dobrze mi, bo umieram przy tobie«.

Tak się kończy część pierwsza dramatu rodzinnego, bardzo krótka (37 stron) i bardzo silna skutkiem skupienia i wyzyskania przeróżnych kontrastów i typów. Krótkość scen jest nieraz zdumiewająca, jeśli się zważy, że w kilku wierszach poeta umie zawrzeć wszystko, co niezbędne i oświetlić to niezwykłością położenia. (Np. ślub: — »mąż ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu — on sam zostaje w kościele« — i t. p.).

Hr. Henryk od samego początku *Nieboskiej Komedyi* do jej końca jest sobie wiernym — ciągle i wszędzie obserwuje siebie i jak czart wody święconej — tak on boi się sytuacyj powszednich, ludzkich. Będzie zawsze »poetyzował« każdą chwilę i dla »złudzenia i mary« poświęci wszystko, owszem sam zechce być »marą, mgłą i dymem«, byle »zjednoczyć się« z utworem swej wyobraźni.

Krasiński, który doskonale już dawniej (w listach

do Reeva) wyrozumował sobie, że poeta, artysta wogóle, nie może być ani mężem dobrym, ani dobrym ojcem, teraz przeprowadził konsekwentnie tę myśl przez cały poemat i dał tej myśli powłokę ziemską w postaci hr. Henryka. A z tą samą bystrością i zimną krwią, z jaką skreślił postać bohatyra, kreśli też jego moralne środowisko, te wyższe warstwy, które go wydały. Scena chrztu jest znakomitą. Każdy z gości mówi zaledwie słów kilka i — dobija się niemi w naszej opinii. Najlepszy jest ojciec chrzestny, człowiek »porządny«, typ przeciętny *obywatela* ziemskiego i pana, mówiącego mądre słowa bez trudu. O nim to można śmiało rzec, że »takie widzi świata koło, jakie tępemi zakreśla oczy«. Widzi on pogodną dla Orcia przyszłość, bo jakżeżby mogło być inaczej: syn hrabiego Henryka! »zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą (co za charakterystyczne następstwo pojęć!) znakomitym... urzędnikiem — pamiętaj, że ojczyznę kochać trzeba i że nawet za ojczyznę zginąć jest pięknie...«

To »nawet« starczy za portret olejny ojca chrzestnego.

Tymczasem hr. Henryk, w pogoni za marą »piękności«, bliski już jest szału i samobójstwa. Na skale, oblanej morzem, stoi rozczarowany i świadomy, że stał się igrzyskiem szatanów. Rozczarowania przeżyć nie chce: »dobija ostatnia godzina — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — rozkosz otchłani mnie porywa« —

Co ratuje hr. Henryka? — Chrzest jego dziecka.

Równocześnie z obrzędem chrztu Anioł stróż ratuje Męża z nad otchłani morskiej, każe mu wracać do domu i nie grzeszyć więcej. — Pomysł to godny poety-katolika: dziecię niewinne broni grzesznego ojca samą siłą łaski sakramentalnej. W podobny sposób ratuje Konrada w chwili, gdy po improwizacyi ma się stać łupem szatanów, modlitwa dalekiej i nieznanej mu Ewy...

Scena w domu obłąkanych jest znowu nieporównana w swej tragiczności. Jest ona echem wrażeń niedawnych. W czasie pobytu w Wiedniu, w lecie 1833 r., odwiedzał poeta w Döbling znajomą osobę, umieszczoną w zakładzie obłąkanych. Stąd tyle realizmu w tej scenie. Zapowiada się ona po prostu, niemal trywialnie rozmową Męża z żoną Doktora. Wśród akompaniamentu szaleńców, którzy ze wszystkich stron izby, z sąsiednich cel przemawiają, toczy się rozmowa hr. Henryka z żoną, chorą na obłęd poetyczny, przez pół świadomą siebie... Grozę tej sceny można było nadwyrężyć jednem przesadnem słówkiem i pobudzić niem do śmiechu. Krasiński wyszedł zwycięsko z arcytrudnej sytuacyi i zachwyca, rozrzewnia czytelnika. Hrabina umiera, przekazując dar poezyi dziecku swemu. Nie o poezyę jej chodzi, ale o to, by mąż jej nie wyrzekł się dziecka, gdyby nie było poetycznem...

Dziesięć lat upłynęło od śmierci Hrabiny. Orcio podrasta. Dzieciństwo jego smutne, zamyślone; tu poeta »nie tworzył prawie nic, lecz przypominał« sobie własne lata dziecinne:

»Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz

się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? —

. . . . . .

»Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. — Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu.

. . . . . .

. . . . . .

»Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: »Jakie śliczne dziecię«. — Gdyby kwiat, co więdnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku, chylącym się ku ziemi, anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje«.

Cała ta część druga pełną jest wspomnień i smutków osobistych. *Wahrheit und Dichtung*... Prawda osłoniona rąbkiem poezyi. »Mąż i Orcio przy grobie w gotyckie filary i wieżyczki« — to jenerał z Zygmuntem przy grobie matki poety w Opinogórze...

Rozmowy »Męża« z Orciem przy grobie matki są nietylko psychologicznie prawdziwe, ale są także stylistycznie wykończone, wypieszczone aż do szczegółów drobnych. Zaliczam je do najpiękniejszych

ustępów, jakie wyszły z pod pióra Krasińskiego. Wierszyki tu wplecione są same w sobie dowodem ogromnego postępu pod względem harmonii słowa i odczucia nastroju lirycznego:

Ja napoję
Usta twoje
Dźwiękiem i potęgą,
Czoło przyozdobię
Jasności wstęgą —
I matki miłością
Obudzę w tobie
Wszystko, co ludzie na ziemi, anieli w niebie
Nazwali pięknością, —
By ojciec twój,
O synku mój!
Kochał ciebie...

Hrabia w tej nawet, uroczystej chwili przy grobie żony pozuje: »mnieś przynajmniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli i uczuć, a jemu? dałeś ciało do pajęczyny podobne. — Niechaj stanie mir już między Stwórcą a stworzonym!« — Zupełnie Konradowa to pycha, z tą wielką różnicą, że Konrad kochał i cierpiał za miliony, a Hrabia sam słusznie mówi, że Pan Bóg łaskę swą zesłał na rozum nie na serce jego. »Odkryłem próżnię grobową *w sercu mojem — znam* wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości niema we mnie...«

Rozumiemy teraz doskonale, że poecie zależało bardzo na tem, aby *Nieboska Komedya* nie miała autora na tytule i aby w ogóle nie domyślano się całkiem autora. Tu, w tej drugiej części, składał syn

jakby łzawnicę na mogile matki, tu dotykał niezabliźnionych ran serdecznych, domowych (Maryo, czyż dziećię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć...), żalił się samemu sobie na cierpienia swe i wkładał w poemat straszne obawy przed własną, bliską, jak mu się zdawało, ślepotą:

(*Pokój — Maż — Lekarz — Orcio*)

»...Już nie mogę ciebie Ojcze i tego Pana rozpoznać — iskry i nicie czarne latają przed mojemi oczyma, czasem z nich wydobędzie się nakształt cieniutkiego węża — i nuż robi się chmura żółta, ta chmura w górę podleci, opadnie na dół, pryśnie z niej tęcza...«

. . . . . .

»Precz odemnie ciemności, jam się urodził synem światła i pieśni — co chcecie odemnie — Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd i oczy moje rozogni płomieniem...

»Matko moja, proszę cię — matko moja, naślij mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równy temu, jaki postradałem«.

Poezya, tak niegdyś pożądana przez hr. Henryka, teraz zeszła widomie na głowę jego syna — ma ją żywą przed sobą i dręczącą jak zmora: syn jest wcieleniem kary za zmarnowanie domowego szczęścia. Dziecko ciałem, młodzieniec duchem, jest Orcio uosobieniem melancholii poety samego: ten pogrobowiec kobiety, oszalałej z miłości, dręczycielem jest

mimowolnym a strasznym ojca własnego, który już poezyi, albo raczej poetycznych urojeń się wyrzekł, ale pada ofiarą nowego mamidła — sławy. Cóż go ku niej nęci? Ten sam egoizm, który kazał mu przed laty opuścić małżonkę i biedz za urojoną Pięknością... On już nie spodziewa się wiele po życiu. W pustyni serca jego krąży tylko kilka przeczuć: o synu, że oślepnie, o towarzystwie, w którem wzrósł, że rozprzęgnie się...

Zamiast usłuchać głosu Anioła Stróża, wróżącego mu zbawienie, jeśli pokocha »schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających« — bliźnich jednem słowem, Mąż ulega pokusie Mefista, nasyłającego mu orła czarnego, uosobienie sławy przeszłości egoistycznej, wyłącznej, bezlitosnej (»nie ustępuj! nie ustąp nigdy!...«) *Hrabia Henryk* widzi w nim posłannika chwały; już znalazł cel w jałowem dotychczas życiu: »Szablą ojców bić się o ich cześć i potęgę«. On nie chce badać, czy cel ten dobry, czy można go osiągnąć — wszystko mu jedno: »bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie, posłanniku chwały. Przeszłości! bądź mi ku pomocy!...«

Jest to głos człowieka, zdecydowanego na wszystko, człowieka, nie mającego wiele do stracenia, prócz własnego życia. Rzuca on je na wysoką stawkę: chodzi o walkę przeszłości, starego rzeczy porządku z nowym, który jak fala oceanu przeciska się przez szczeliny starego statku i grozi zalewem... Mąż pragnie być sternikiem okrętu przeszłości. Możemy być

pewni, że statku już nie opuści, ale z nim razem pójdzie na dno.

Dramat społeczny.

Od pierwszego głosu oburzenia na wiek bankierów i ciemiężycieli, który z Genewy dochodzi do Reeva (t I. 252 i 260), nie ustają w Krasińskim obawy o przyszłą dolę społeczeństwa. Owszem, widzieliśmy, że obawy te potęgują się w miarę, jak własne i Polski nieszczęścia goryczą przepełniają mu serce i doprowadzają go do stanu nerwowego podniecenia, w czasie którego ani chwili spokoju nie zazna: na spaccrze w Ferney, po pogrzebie Sobańskiego w Genewie, w zaciszu pensyonatu genewskiego — wszędzie już będzie go ścigać myśl przygnębiająca o zaniku powolnym obecnego stanu społecznego i lęk przed przyszłością jakąś niepewną, nieuchwytną, nieokreślną.

Krasiński złą wróżył przyszłość systemowi arystokracyi i przewagi możnych.

W lipcu 1833 r., a zatem tuż przed napisaniem *Nieboskiej*, pisze krótko do Gaszyńskrego:

»Wiesz? Kiedy zarzucam wzrok na przyszłość, widzę jedno śmierć dla nas, t. j. dla tych, którzy są mojego i twojego zdania. Czy z góry, czy z dołu, przyjdzie na nas wyrok«.

Rozumiał, że zło leży głęboko, że narosło z win stuleci całych i że zaradzić nie potrafi już ta lub owa forma rządu. Młodzież ówczesna wierzyła jeszcze w ustrój rzeczypospolitej. Gaszyński zapewne,

tak jak wielu na emigracyi, spodziewał się przewrotu rychłego, upadku Orleanów i wznowienia rzeczypospolitej. Krasiński nie podzielał tych złudzeń.

»Z jakich ty ludzi złożysz rzeczpospolitą we Francyi?... Czy z kupców, którzy panują; czy z robotników, którzy w warsztatach pracują dzisiaj? *Bo nikogo więcej już nie widzę na tej ziemi;* a przyznasz mi, że ni jedni, ni drudzy nie zdali się do porządku rzeczy, wymagającego największych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy, bo władną; drudzy są chciwi i namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata, dwa systemata być mogą tylko: despotyzm i anarchia...

Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga, — ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują; przejdą, jak koń Attyli, i głucho po nich!

Dopiero to, czego ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje — nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje; — ale wtedy i twoje i moje kości próchnem gdzieś będą!« (*Do Gaszyńskiego, 17 stycznia 1834*).

To przeciwstawienie kupców — robotnikom, to wyrażenie, że »nikogo więcej już nie widzi na tej ziemi«, jest dowodem, że Krasiński sięgnął do samego wnętrza, do samej Gehenny społecznej niedoli. Niesprawiedliwość panujących stosunków, wszechwładne panowanie kapitału nad rozgoryczoną biedą i upośledzeniem proletaryatu, nie dochodziły oczywiście w latach 1832—1835 do tych strasznych rozmiarów,

co dzisiaj, w czasach, kiedy bezrobocia ciągle wybuchające raz w tym, raz w owym kraju, zapowiadają, jak kratery wulkanów czynnych, że w łonie społeczeństwa wre lawa i szuka sobie drogi na zewnątrz. Kiedy jednak Krasiński bawił po raz drugi w Genewie, zaczęło być coraz to głośniej o Saint-Symonistach, ich zasadach, organizacyi i propagandzie.

Musimy zatem zastanowić się tu nad istotą i znaczeniem Saint-Symonizmu, ponieważ wywarł on wpływ niezaprzeczony i stanowczy na zasadniczą ideę *Nieboskiej*. Dotkniemy szczegółów nawet, na pozór zbytecznych, mających jednak związek z głównemi ideami poematu.

Saint-Simon, twórca duchowy sekty, umarł w r. 1825. Przeczuł on pozytywizm i socyalizm, ale sam nie napisał dzieła zasadniczego i nie był zdolny do stworzenia systemu. Jako uczeń Adama Smitha i Jana Bapt. Say'a doszedł do wyników sprzecznych z zasadami tych ekonomistów. W społeczeństwie przyznawał pierwsze miejsce przemysłowcom i bankierom, równocześnie domagał się od nich polepszenia bytu proletaryatu. Ostatnie jego dzieło *le Nouveau Christianisme* zapowiadało wykład moralności, dogmatu i kultu nowej religii; ale śmierć przerwała dokończenie pracy. Był on zwiastunem nowej szkoły, rzucał pełnemi dłońmi myśli, których urzeczywistnieniem zajęli się zaraz po jego pogrzebie wielbiciele tego reformatora. Do uczniów jego zaliczyć należy słynnych potem: Augusta Comte'a i Augustyna Thierry; ci jednak jeszcze za życia St.-Simona odstrychnęli się od niego. Do wiernych liczyli się L. Halévy i O.

Rodriguez, wreszcie Enfantin, założyciel pisma p. t. *le Producteur*. Doktryna tego pisma polegała na takiem argumentowaniu. Trzema wielkimi produktami działalności ludzkiej są: sztuki piękne (w najogólniejszem znaczeniu), przemysł i wiedza. Wszyscy pracownicy są: albo przemysłowcami, albo uczonymi, albo artystami. Ci, co się nie mogą zaliczyć do żadnej z tych kategoryj, są to próżniacy. Próżniactwo musi zniknąć. — Co do władzy, jest ona albo duchowa, albo świecka. Władza duchowa przejdzie od duchowieństwa do uczonych, którzy oświatą publiczną się zajmą. Władza świecka dostanie się najznakomitszym z przemysłowców, uczonych i artystów. Oni określą każdemu miejsce i zajęcie stosownie do poszczególnego uzdolnienia. Jest to bowiem szaleństwem domagać się absolutnej równości, jak ją sobie wyobrażają niektórzy demokraci. Nierówność, hierarchia, polegająca na różnicy zasług, jest konieczną do życia społecznego.

Część filozoficzna tego programu jest owocem rozmyślań Augusta Comte'a.

Idee ekonomiczno-społeczne w czasopiśmie *Producteur* wychodziły z pod pióra przyszłego papieża St.-Symonizmu. Był nim Enfantin. Przewodnią myślą jego systemu organizacyi społecznej była teorya stowarzyszania się (l'association). W nowym rządzie społecznym, według niego, bankierzy będą rej wodzić. Dzięki kredytowi, papier zastąpi monetę.

Ubocznie rzuca Enfantin myśli o niemoralności pojęcia własności: »dziedziczenie rozwija zmysł próżniactwa«. Podobnież co do wartości produkcyi idzie

Enfantin za Ricarde'em, rozwija jego myśli o nadwartości i woła: »Znaczy to, że robotnicy płacą ludzi niektórych za to, że ci nic nie robią. Ten artykuł Enfantina w *Producteur* z roku 1825 zawiera w zawiązku całą książkę o »Kapitale« Marxa. Ale Enfantin nie kieruje się ani zawiścią, ani nienawiścią, unika dróg gwałtownych do osiągnięcia celu i jest przekonany, że dobrze funkcyonujący kredyt doprowadzi w spokoju do zmiany zasadniczej: zniesienia dziedziczności.

Nie poprzestając na ideach ekonomiczno-społecznych, adepci Saint-Simona zgromadzali się często, aby omawiać idee religijne mistrza. Był to konieczny hołd i trybut, złożony romantyzmowi epoki, która bez religijnej przymieszki obejść się nie mogła. Eugeniusz Rodriguez, żyd, brat ucznia St.-Simona, postanowił stworzyć nową religię ludzkości; zaraz pomyślał o hierarchii w grupie Saint-Symonistycznej, z której starał się zrobić gminę religijną. Przywódcy sekty tworzyli »kollegium« i nazywali się »Ojcami«. Członkowie innych stopni (było tych stopni 4) zwali się synami. Członkowie tego samego stopnia zwali się między sobą braćmi.

Nowy ten religijny duch w sekcie zraził wielu starszych członków. Comte i Halévy wystąpili z grupy. Po śmierci Eug. Rodriguez'a główną rolę wśród Saint-Symonistów odegrali: Enfantin i Bazard. Bazard, syn nieprawego łoża, odznaczył się odwagą w walce 1814 r. i niezwykłą ambicyą. Był to logik Saint-Symonizmu; niewymowny, chłodny, nie umiał wzruszać, ale potrafił przekonać. Na zewnątrz wcie-

leniem St.-Symonizmu był Prosper Enfantin. Upokorzenia, jakich doznał za młodu, otworzyły mu oczy na nierówności społeczne: zapragnął innych podstaw życia; stworzył system, do którego umiał wciągać ludzi. Pięknym był mężczyzną, obdarzonym głosem miękkim, jedwabnym, z natury był wesoły i pod tym względem tworzył przeciwieństwo z Bazardem, zgryźliwym śledziennikiem; wywierał urok na prozelitów. Pewność siebie miał Enfantin ogromną; z tej pewności był tylko krok jeden do uwierzenia w jakąś opatrznościowość swego powołania: to mu się zdawało, że zajmie z czasem miejsce wśród założycieli religij, jak Mojżesz, Zoroaster, Mahomet, to znowu ulegał złudzeniu, że może jest nowem wcieleniem Jezusa Chrystusa. W życiu prywatnem dalekim był od ascezy. Lubiał dobrze zjeść i wypić; całkiem naturalny to objaw w dawnym komiwojażerze win. Na byle jakie pochlebstwo kobiece dał się złapać. Żenić się nie chciał, nawet wtedy, gdy był powinien (był ojcem nieślubnym dziecka, które zresztą dobrze wychował), bo uważał, że małżeństwo zniknie niebawem ze stosunków społecznych.

Enfantin, Bazard i Rodriguez zorganizowali partyę, którą nazywano zrazu *les Producteurs*, a później *Saint-Simonistami*.

Zbór Saint-Symonistów był początkowo bardzo skromny, z czasem wzrósł i wzmógł się przez przyjęcie do swego grona bogatszych adeptów, np. G. d'Eichtala, żyda.

Pierwsze posiedzenie publiczne odbyło się dnia 10 grudnia 1828 r. Bazard przemawiał. Na zapytanie

kogoś z publiczności, aby wyraźnie powiedziano, kim są Saint-Symoniści, Bazard sformułował takie *credo*: »Jesteśmy równocześnie dziedzicami katolicyzmu i kontynuatorami rewolucyi; chcemy zniszczyć resztki tronu i ołtarza, a na tych ruinach odbudować społeczeństwo i władzę (*l'autorité*)«.

Konferencye publiczne ogłoszono następnie w 2 tomach p. t. *Exposition de la doctrine Saint-Simonienne 1830.*

Najważniejsze zdania tej doktryny brzmią tak:

Nadszedł czas nowej organizacyi społeczeństwa. Wypadkiem najdonioślejszym w historyi ludzkości jest rozwój postępowy idei asocyacyi: rodzina, gród, naród, chrześcijaństwo. Kroczy społeczeństwo do szerszej jeszcze asocyacyi: jest nią ludzkość cała.

Dotychczas silny wyzyskiwał słabego: począwszy od ludożercy, a skończywszy na kapitaliście, co eksploatuje robotnika. Ostatnie nadużycie wynika z prawa własności, które trzeba zmodyfikować. Prawo dziedziczenia powinno przejść z rodziny na państwo. Praca tylko daje prawo do własności. Zamiast eksploatować człowieka przez człowieka, należy kulę całą ziemską eksploatować przez ludzkość.

Nowe pojęcia mają być rozpowszechnione w dwojaki sposób: za pośrednictwem 1) wychowania i 2) prawodawstwa.

Sankcyą wyższą nowego porządku społecznego będzie religia. Religia też doskonaliła się w toku wieków (fetyszyzm, politeizm, monoteizm).

Nowa wiara będzie syntezą wszystkich idei ludz-

kich, a nowa organizacya polityczna będzie zarazem religijną.

Chrystyanizm nie może być podstawą przyszłej religii: potępił on materyą, poniżył ciało dla ducha, a przemysł dla teologii. System chrześcijański polega na dualizmie. System nowy wróci do jednolitości. Oto dogmat: Bóg jest jeden. Bóg jest wszystko, co jest: wszystko jest w nim, przezeń, wszystko jest Nim. Bóg, istność nieskończona, to Miłość bez granic, powszechna, objawiająca się nam pod dwiema głównemi postaciami: ducha i materyi, rozumu i siły, ładu i piękności«.

Nowa ta trójca wyraża się w porządku socyalnym jako trójca wiedzy, przemysłu i religii. Religia łączy wiedzę i przemysł tak, jak miłość łączy ducha z materyą.

Religią kierować będzie człowiek z naturą najbardziej artystyczną, najczulszą, najmiłościwszą: to będzie kapłan najwyższy. Władza i Przemysł będą również miały swych naczelników. Będą to pomocnicy i podwładni najwyższego kapłana. Kapłan najwyższy wyznaczy każdemu jego rangę i pracę: wszyscy ludzie są urzędnikami społecznymi, każdy urząd jest święty. Kapłan będzie prawem żywem, kochanem przez wszystkich. Miłość w podwójnym objawie, dośrodkowym i odśrodkowym, miłość własna i miłość bliźniego — to podstawa hierarchii, racya bytu władzy i posłuszeństwa.

Oto w skróceniu system Saint-Symonistyczny. Polega on prawie całkiem na filozofii historyi, jak ją

wówczas pojmowano i objaśniano na podstawie Vico'a i Herdera.

Saint-Symoniści doszli zatem do teokracyi, silnie zorganizowanej.

Propaganda nowej sekty szerzyła się dość prędko dzięki rewolucyi lipcowej 1830 r., tudzież ofiarności majętniejszych prozelitów. Tymczasem w »kolegium« opracowywano teologię i moralną stronę nowej wiary. Kwestya małżeństwa poddaną została dyskusyi.

Saint-Simon przekazał był ustnie taką sentencyę: »L'individu social c'est l'homme et la femme«. Enfantin zastosować to chciał najpierw do kleru nowej religii. Kler, według niego, miał się składać z par; w parze z kapłana i kapłanki, »prześwietlonych obłokiem kadzidła«, a więc nie związanych bynajmniej małżeństwem. Pomysł ten natrafił na opór innych członków »kolegium«. Wtedy to (31 grudnia 1829 r.) Bazard i Enfantin ogłosili się wodzami St.-Symonizmu. Odstręczyło to kilku St.-Symonistów, ale za to ci, co zostali, byli pod urokiem nowej władzy nowego kościoła. Między jego członkami panowało braterstwo prawdziwe.

Rewolucya lipcowa dodała im zapału. Propagowali »religię St.-Symonistyczną« na zebraniach publicznych, które gromadziły ludzi najrozmaitszych zawodów i stanów. »Nawrócenia« stawały się coraz częstsze. Na jednem z takich zebrań Liszt, gorący wielbiciel nowej doktryny, zapoznaje się i zaprzyjaźnia z Heinem, który później jeden z swych utworów poświęca Enfantin'owi.

Wielu szło na te zebrania z prostej ciekawości

aby zobaczyć »rodzinę« Saint-Symonistów w ubiorze niebieskim, osobliwym... Wybiera się na wieczór taki Saint-Simonistów Reeve, bawiący w Paryżu w przejeździe z Londynu do Genewy.

Każde zebranie miało głównego mowcę, z góry oznaczonego, którego wprowadzali uroczyście ojcowie: Bazard i Enfantin. Przemowy były gwałtowne i porywające. Niezwykłą siłą przekonań i swadą oratorską odznaczał się Emil Barraut. Oto wyjątek z jednej z jego mów z r. 1831, która bądź w streszczeniu, bądź w całości mogła być znaną Krasińskiemu:

»Opowiedziałem wam naiwnie, kim byłem, kim jestem, kim chcę być... Z kolei ja was zapytam, kim jesteście? Niestety! Alboż wy wiecie? Jesteście-li chrześcijanami, czcicielami samotnego krzyża? Jesteście-li filozofami-niedowiarkami? Czy jesteście zwolennikami upartymi wszystkich przestarzałych stanów prawnych (légitimé)? Czyście liberałami, oburzającymi się na myśl samą o jakiejś hierarchii i marzącymi słodko o chimerze indywidualizmu? Czyście wreszcie ludźmi, lękającymi się wszelkiej nowej idei i ciągle drżącymi na myśl o postępie?... Nie. — Gdybyście szczerze wyznawali jednę z tych opinij, to czyż nie byłoby to szaleństwem z waszej strony przychodzić tu i słuchać nas z religijnem skupieniem? A więc coście za jedni? Oto ludzie, którzy w nic już nie wierzą silnie z tego, w co się dziś jeszcze wierzy, ludzie, którzy przychodzicie tu i przynosicie wasz sceptycyzm, wasz niesmak, wasze znudzenie, waszą obojętność i niepewność... Rozpra-

wiacie, dyskutujecie, zgłębiacie wszystko, ale nigdy nie działacie. Jakto! wtedy, gdy rozum wasz rozważa z chełpliwą powolnością, rozbiera z drobiazgowem upodobaniem najmniejsze szczegóły porządku społecznego, który dajemy, czyż nie słyszycie krzyków boleści lub wściekłości, jęków, stłumionych westchnień i charczenia tylu biedaków, którzy cierpią, desperują, wycieńczają się, konają? Słuchajcie, słuchajcie nareszcie! U Żydów, kiedy na drodze znajdowano trupa, mieszkańcy pobliskiej miejscowości przysięgali, kładąc rękę na zwłokach, że nie byli w niczem winni tego mężobójstwa. Otóż, zaklinam was, zrozumiejcie mnie! Na widok tego ludu całego, który widzicie w błocie ulic waszych i placów, na nędznych śmietnikach, wśród stęchłego powietrza piwnic i stodół, w przepełnionych szpitalach, w obrzydliwych więzieniach, w bladości głodu i nędzy, w wycieńczeniu ciężkiej pracy, jak na wpół pokryty łachmanami i w konwulsyach wstrętny jest niemoralnością, udręczony łańcuchami, zaledwie żyjący — zaklinam was, dzieci klas uprzywilejowanych, którzy tyjecie z potu nędzarzy, wyzyskiwanych na waszą korzyść — przysięgnijcie, żeście nie winni tych cierpień, tych bólów, tej agonii. Przysięgajcie! — Nie mielibyście do tego odwagi!«

Łkania, płacze, uściski były odpowiedzią na tę mowę.

Powoli sekta wciągnęła w zakres swej propagandy drobnych mieszczan i robotników. Równocześnie rozpoczęło się działanie missyj na prowincyi, zwłaszcza na południu Francyi, z ogromnem powodze-

niem. W połowie 1831 roku mieli Saint-Symoniści już sześć »kościołów«: w Tuluzie, Montpellier, Lyonie, Dijon, Limoges, Metz, a nadto 9 środowisk propagandy, która nawet w wojsku francuskiem się szerzyła. Trzech kapitanów dało swą dymisyą i wystąpiło z armii, aby się poświęcić całkiem pracom sekcyi. — W Szwajcaryi dostaje się Saint-Symonizm do Lozanny za pośrednictwem kilku politechników, mających stosunki w Enfantin'em. W Anglii doktryna ta nie miała wielkiego powodzenia, ale wywarła wielkie wrażenie na młodym filozofie Stuarcie Millu, który poznał osobiście Bazarda i Enfantina w r. 1830 w Paryżu. Ponieważ Stuart Mill doskonale się znał z młodym Reevem, nie jest więc wykluczonem, że opowiadał Reevowi dodatnie wrażenie, jakie mu Saint-Symonizm zostawił. Listownie Reeve nie wzmiankuje tego, ale ustnie mógł Krasińskiemu udzielić spostrzeżeń i wyobrażeń Stuarta Milla o Saint-Symonizmie.

St.-Symoniści postanowili także działać na sfery polityczne zapomocą prasy. Udało im się pozyskać dziennik wpływowy wśród młodszego pokolenia, *le Globe*, dotychczasowy organ polityków, którego opinie estetyczne i literackie przemawiały do przekonania Mickiewicza, gdy jeszcze bawił w Rosyi. Po lipcowej rewolucyi *le Globe* stał się Saint-symonistyczny. Nawet tak bystra i rozumna głowa, jak Sainte-Beuve, jeden z redaktorów *Globu*, życzliwie się zapatrywał na nową sektę. Założyciel *Globu*, Piotr Leroux, dał się pociągnąć Enfantinowi. Od 18

lipca 1831 r. *Globe* dodał do tytułu swego: *Journal de la doctrine de Saint-Simon.*

Rozruch robotniczy w Lyonie, ten sam, który tak przeraził Krasińskiego w Genewie, był jakby wodą na młyn idei St.-Symonistycznych. Zaraz *Globe* zażądał zniesienia podatków bezpośrednich, ogłoszenia nowej religii, aby położyć tamę rozruchom krwawym. St.-Symonistom lyońskim dali »Ojcowie« z Paryża rozkaz, aby uspokajali walczących. Mimo to szerzyły się w prasie urzędowej i nieurzędowej pogłoski, że St.-Symoniści przyczynili się do rozruchów lyońskich; być może, że i Krasiński uwierzył tym fałszywym pogłoskom.

Pomijamy tu reformy finansowe, proponowane przez Saint-Symonistów, a zwracamy uwagę na zalecanie prac publicznych, a przedewszystkiem środków komunikacyjnych. Na polu literatury i sztuki Saint-Symoniści byli barbarzyńcami; dość powiedzieć, że domagali się zburzenia Luwru i Wersalu, jako wyobrazicieli idei przeżytych, nieegzystujących. Zanosiło się nawet na zwalenie wspaniałego zabytku architektury średniowiecznej w Paryżu, kościoła St. Germain l'Auxerrois. *Globe* zadowolony był z tego: »Po co kościoła i zamku, skoro się nie chce już ani księdza, ani pana«.

W r. 1831 osięga Saint-Symonizm szczyt popularności i niepopularności. Miał entuzyastycznych zwolenników, miał też zaciętych wrogów. Niewielu tylko zdołało oddzielić tam ziarno, plenne na przyszłość, od plewy. Polemika wrzała. Największymi przeciwnikami Saint-Symonistów byli chrześcijanie, katolicy

i protestanci, oburzeni nadużyciem imienia religii i kościoła. Pojawiały się broszurki katolickie o Saint-Symonizmie. Z samego tylko r. 1831 mamy trzy: *Joua, Entretiens sur les Saintsimoniens, Rouen; — Les Saint-Simoniens à Lyon, 1831. — Lettre aux prédicateurs de la doctrine Saint-Simonienne, Dijon 1831.* — Nie brakło ataków z obozu na pozór zbliżonego do Saint-Symonistów. Słynny Fourier, trochę może z zazdrości, że nie jego system bierze górę, ogłosił w r. 1831 broszurę p. t.: *Piège et charlatanisme des deux sectes Saint-Simon et Owen.* Wreszcie w uniwersyteckiem nawet zaciszu rozległ się poważny głos historyka Lacretell'a, zwalczający *lege artis* nową doktrynę.

Ale największe niebezpieczeństwo dla rozwoju sekty tkwiło w niej samej, w jej organizacyi. Odmienne charaktery obu »ojców«, Bazarda i Enfantina, musiały doprowadzić do nieporozumień między nimi. *Cherchez la femme...* Kwestya roli i znaczenia kobiety była wprawdzie określoną w Saint-Symonizmie przez ustanowienie pary kapłańskiej: ale pozostawała niejedna jeszcze niejasnosć. Enfantin, który zrazu był za tem, aby stosunek kapłana do kapłanki był zupełnie platoniczny, zmienił z czasem zapatrywanie. Z nieubłaganą logiką wyciągnął on bardzo daleko idące wnioski z tego dogmatu Saint-Symonistów, że ciało jest równie święte, jak duch. Zwierzchnik, działający na podwładnych wszystkiemi sposobami, mógł dojść do przekonania, że środki duchowe nie wystarczą, że łatwiej i skuteczniej można będzie na podwładnych i podwładne oddziałać zapomocą sto-

sunków płciowych... Rozumował dalej Enfantin, że rodzina jest nieodłączną od własności indywidualnej i dziedzicznej; skoro znosi się te ostatnie, to musi i rodzina jako taka zniknąć; a tak kollektywizm doprowadził go konsekwentnie do teoryi o wolnej miłości: Oto nieszczęśliwym małżonkom należy dać furtkę wyjścia z położenia fatalnego; najpierw zapomocą rozwodu. Kapłan i kapłanka mogą i powinni oddziaływać na podwładnych wszelkimi sposobami. Kapłan i kapłanka kochają się gorąco między sobą, ale kochają zarazem swe dzieci w Saint-Simonie (*fils en St.-Simon*) i niczego nie powinni im odmówić, coby się mogło przyczynić do ich szczęścia i zdrowia. Enfantin szedł tak daleko, że w liście do swej matki przewidywał możliwość oddania własnej żony (a nie był żonatym) w objęcia jakiego Saint-Symonisty, gdyby od tego zależeć miało szczęście i życie tego człowieka.

Te wstrętne doktryny nie znalazły uznania u Bazarda. Sprzeczki z Enfantinem były zrazu ukryte przed kolegium, ale z czasem stały się jawne, a gdy dołączały się do kwestyi kobiecej także inne sporne, np prawo publicznej i jawnej spowiedzi — Bazard zerwał z Enfantinem w listopadzie 1831 r., wystąpił z sekty, ogłosiwszy w następnym roku broszurę wyjaśniającą p. t.: *Discussions morales, politiques et religieuses qui ont amené la séparation qui s'est effectuée au mois de novembre 1831 dans le sein de la sociélé saint-simonienne*. Za Bazardem poszli inni znakomitsi Saint-Symoniści: Leroux, Carnot i w. i. Nie zmięszało to Enfantina. Ogłosił (listopad

1831), że »stara moralność« ma być wykonywaną skrupulatnie aż do ukonstytuowania nowego dogmatu. Hierarchia zostaje nadal obowiązującą dla mężczyzn, zniesioną jest dla kobiet aż do zjawienia się Matki, kobiety-Mesyasza, która przez związek swój z Ojcem utworzy najwyższą parę, *le Couple-Prêtre*. Odtąd, podczas posiedzeń Saint-Symonistycznych kazał Enfantin stawiać koło siebie fotel pusty, jako wyraźną odezwę do kandydatek na przyszłą Matkę Saint-Symonizmu.

Od listopada 1831 r. do lutego 1832 r. dał Enfantin kompletny wykład swych teoryj. Na jeden z nich wybrał się Reeve podczas swego pobytu w Paryżu. Nie znając wcale Hegla, odkrywał Enfantin jego sposób argumentowania, widząc wszędzie dwa pojęcia przeczące sobie, pogodzone jakiemś trzeciem (teza — antyteza : synteza):

Wiedza i przemysł łączą się i godzą w religii: człowiek i świat w Bogu — ja i nie ja w nieskończoności.

Rodriguez był jeszcze dotąd wiernym Enfantinowi. Ale gdy logik Saint-Symonizmu ogłosił, że w przyszłem społeczeństwie dzieci nie będą znały swych rodziców, *było tego Rodriguez'owi* za wiele, odłączył się i wydał manifest jako uczeń St.-Simona, mający prawo do przewodniczenia sekcie.

Wreszcie nadeszło prześladowanie rządu. 20 kwietnia 1832 r. wyszedł ostatni numer *Globu* z manifestem Ojca, Enfantina:

»Ja, Ojciec rodziny nowej,

Zanim nakażę umilknąć głosowi, który codzień

ogłasza światu, kim jesteśmy, chcę, by głos ten powiedział, kim ja jestem. Bóg dał mi misyę powołania proletaryatu i kobiety do nowego przeznaczenia, misyę wprowadzenia do świętej rodziny ludzkiej wszystkich tych, którzy dotychczas byli z niej wykluczeni, albo byli w niej uważani za małoletnich; misyę urzeczywistnienia towarzystwa (*association*) powszechnego, którego domagają się od początku świata głosy o wolność wszystkich niewolników, kobiet i proletaryuszów«.

Ojciec Enfantin tegoż dnia przeniósł się z adeptami swymi do Menilmontant *na wspólne życie. Było* ono klasztorne niemal, uregulowane według godzin. Enfantin wymyślił osobny kostyum dla Saint-Symonistów: jasno-niebieski surdut, biała kamizelka, na której czerwonemi literami wypisane było nazwisko właściciela ubrania i białe spodnie. Kamizelka zapinana była z tyłu i nie można jej było zapiąć bez obcej pomocy. Miało to Saint-Symonistom przypominać codzień ich braterstwo. Zaczęto w ogrodzie przy domu wspólnym budować świątynię.

27 sierpnia rozpoczął się proces Saint-Symonistów. Odbywały się dziwne sceny podczas zaprzysięgania świadków. Skazano Enfantina i dwu innych na rok więzienia i 100 franków kary. Dom w Menilmontant rozprószył się na rozkaz Enfantina. — 15 grudnia 1832 Enfantin rozpoczął odsiadywanie kary więziennej, przygnębiony i rozczarowany: od roku oczekiwał i wzywał kobietę-Mesyasza bez skutku! Inni Saint-Symoniści spodziewali się Matki na r. 1833; wyglądano jej ze Wschodu.

Enfantin, po wyjściu z więzienia, postanowił udać się na Wschód, do Egiptu. Ciągnęły go tam wspomnienia napoleońskie, ale przedewszystkiem projekt kanału sueskiego, poruszony dawniej już przez Saint-Symonistę Michała Chevalier. W towarzystwie kilku przyjaciół stanął Enfantin w porcie Aleksandryi w październiku 1833 r., a zjednawszy sobie dla projektu Mahmeta-Ali, rozpoczął zrazu prace wodne nad Nilem (*le barrage*), ale skutkiem epidemii, chorób i śmierci towarzyszy prace przewlekały się. Enfantin wrócił do Francyi w r. 1837.

Tymczasem sekta Saint-Symonistów we Francyi rozłaziła się powoli i właściwie jako grupa wymarła w r. 1833. Niektórzy z Saint-Symonistów, pomimo zerwania z Enfantinem, pozostali wierni ideałom Saint-Symonistycznym; inni przeszli do furyeryzmu. Kilku wróciło do chrześcijaństwa. Saint-Symonistów poznać można po wspólnym rysie: jest nim wiara w ideę postępu. Postęp jest dla nich podstawą historyi, prawem ludzkości, źródłem wszystkich nadziei. O tej wierze w postęp wie doskonale hr. Henryk w rozmowie z Pankracym.

Duch Saint-Symonizmu przetrwał o wiele dłużej. Historya tej doktryny nie kończy się ani z uwięzieniem Enfantina, ani z powrotem jego do Francyi z Egiptu. Jeszcze za Napoleona III nietylko żyli St.-Symoniści, ale trwała doktryna St.-Symonistyczna. Dawni sekciarze z Menilmontant z rozrzewnieniem wspominali lata młodzieńczego zapału dla sprawy wspólnej i wiary bezgranicznej w »ojca«. Przyjaźń

wówczas zawarta przetrwała lat dziesiątki. Ale dalsze dzieje Saint-Symonistów już nas tu nie obchodzą.

Saint-Symonizm jest zatem obszerną syntezą, zawierającą pewną metodę, pewną metafizykę i pewną organizacyę społeczną. Tą metodą jest pozytywizm, metafizyką: panteizm, organizacyą społeczną: kollektywizm. Wszystko składa się na religię ziemską, która ma wyprzeć religię chrześcijańską. Pozytywizm Saint-Symonistyczny żył dalej w pozytywizmie Comte'owskim. Metafizyka tej doktryny panteistyczna nie uznaje właściwie śmierci, widzi wszędzie ciąg dalszy dawniejszego życia bez jakiejkolwiek przerwy.

Kollektywizm Saint-Symonistyczny jest przedewszystkiem religijny, różny od materyalistycznego, niereligijnego kollektywizmu Karola Marxa. Duch doktryn jest odmienny; marxiści myślą mylko o reformie materyalnej społeczeństwa, Saint-Symoniści dołączają do niej jeszcze reformę moralną.

Polepszenie fizyczne, moralne i umysłowe proletaryatu pozostało zawsze hasłem Saint-Symonizmu. Jako środki praktyczne do osiągnięcia tego celu zalecał on zakłady kredytowe, roboty publiczne i wychowanie ludu. Wszystkie stronnictwa dzisiejsze godzą się dziś na te środki.

Wpływ Saint-Symonizmu na literaturę współczesną i sztukę nie da się zaprzeczyć i jest dziś uznany. Znakomity pisarz francuski, M. de Vogüé, powiedział: »Wpływ małej grupy Saint-Symonistycznej na wiek nasz był może trwalszy i potężniejszy, niż wpływ wielkiego ruchu literackiego; odnajdujemy

go na początku wszystkich przeobrażeń ludzi i rzeczy, obyczajów naszych i praw«.

Nie bez racyi zatem mówił Enfantin: »Świat podzieli się naszymi szczątkami«. Rzec można, że największą i istotną zasługą Saint-Symonizmu było rozbudzenie w uczniach swych zamiłowania do pracy, którą wzniesiono na piedestał świętego obowiązku dla każdego człowieka. Saint-Symoniści pracowali z myślą o drugich, nie o sobie tylko, stosownie do ich nauki, która potępiała egoizm, a zalecała solidarność.

Dziś zatem historya, obejmując Saint-Symonizm w całym jego przebiegu, widzi obok śmiesznych i zdrożnych objawów zarody krytycznej i zdrowej myśli, pobudzającej do koniecznych reform społecznych. Ale w r. 1833 trudno było przewidzieć, które prądy w Saint-Symonizmie wezmą górę. Jest to zatem zupełnie naturalne, że Krasiński zwrócił przedewszystkiem uwagę na zwyrodnienie obyczajowe, które niósł z sobą projekt Enfantina o wolnej miłości, a w naruszeniu samych podstaw społecznych, w rozluźnieniu węzła rodziny widział upadek ludzkości i jej zdziczenie.

Natomiast podziwu godna jest konsekwencya logiczna, którą poeta wysnuł z założeń Saint-Symonistycznych: nie wiedząc jeszcze, do czego po wielu latach, po śmierci jego, Saint-Symonizm doprowadzi, nie znając nawet nazw socyalizmu i komunizmu, on je już logicznie przepowiedział i konieczność ich wyrozumował, jak ów słynny astronom. który matematycznie wykazał istnienie nowej planety, zanim

ją teleskop na niebios przestrzeni odszukał. Gdyby *Nieboska Komedya* ukazała się była w r. 1835 równocześnie w oryginale i w przekładzie francuskim, byłaby zwróciła na się uwagę całego wówczas myślącego ogółu, a dziś byłaby kamieniem węgielnym wszechświatowej sławy Krasińskiego. On pierwszy bowiem wprowadził Saint-Symonizm do poezyi, tak jak on pierwszy stworzył dramat nie z antagonizmów narodowych, nie z bied i trosk jednym krajem i jedną mową objętych, ale z rozdarcia się całej ludzkości na dwa wrogie obozy: uciskających i uciskanych.

Wielki rozum Krasińskiego *przewidział*, a zbolałe serce jego *odczuło* niedolę upodlonych i krzywdzonych. Czy to istotnie w r. 1833 napisane, a nie dzisiaj, w dobie ciągłych strejków i zmów wszelkiego rodzaju:

»Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie, szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują, wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu...

»Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi, na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku...«

Cóż temu przeciwstawią wyższe warstwy ludzkości? Czy dogmat wiary? Ach, coraz więcej takich, którym dogmat ciąży ołowiem i którzy żyją „*bez*

dogmatu“: »ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — łatwiej byś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. — Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem się toczy; pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślisko, bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam...«

Krasiński przewidywał krwawe rozwiązanie kwestyi społecznej i na tem tle osnuł ostatnią część *Nieboskiej*. Czy miał racyę? Przyszłość odpowie. Nie brak dziś poważnych usiłowań, indywidualnych i państwowych, aby walkę klas przeprowadzić tylko w sferze naukowo-praktycznej, a szeregiem ustaw nowych zażegnać burzę społeczną, zadowolić wymagania najniezbędniejsze proletaryatu i przez powszechne zdemokratyzowanie społeczeństwa dojść do pokojowego rozwiązania strasznego problemu. Ale czy usiłowaniom tym nie stanie w poprzek elementarna siła najniższych popędów człowieka, siła i pragnienie zemsty, krwawego odwetu za lata upodlenia i nędzy, — któż zaręczy?

Saint-Symoniści zapewniali o swem usposobieniu pokojowem, o dążeniu do spokojnej przemiany stosunków, nie do krwawego przewrotu — ale byli już wówczas i tacy, którym spieszno było do urzeczywistnienia raju na ziemi za jakąkolwiek cenę. I ktoby dał wiarę? Te głosy ochrypłe od wściekłego podjudzania biednych do zemsty, do walki z bogaczem,

rozlegały się wprawdzie nad Sekwaną, ale w obcym tam języku! To były polskie głosy: W sierpniu 1833 r. ukazuje się w Paryżu prospekt na pismo emigracyjne p. t. *Nowa Polska*. Czytamy tam:

»Wolność ludzkiego ducha, zupełne usamowolnienie myśli i ludzkich towarzystw, powstanie przeciw przeszłości, powszechne przekształcenie Europy, nowy kierunek ludzkiej wiedzy, wzniesienie jednej i ogólnej sintezi (!) myśleniu, nowa wiara, nowa ludzkość, nowa jej przyszłość: ten jest symbol Nowej Polski«. Program był, jak widzimy, bogaty... Bogactwo programu jest, jak wiadomo, stałą cechą wszystkich prospektów dziennikarskich. Ale »Nowa Polska« dopełniała, jak mogła, przyrzeczeń. Na dalszych jej kartach czytamy takie wywody: »jest pewna, że dziś wielki posiadacz ziemi, że książę, że hrabia, że Pan, że szlachcic obszerne posiadający włości, jest dziedzicem rabunku, posiada przez wojnę, jest synem szczęśliwego wojownika... (str. 113).

»Nadchodzi sąd ostateczny, świta dzień naprawienia historycznych zbrodni. Ujarzmieni, złupieni, ciemiężeni, niewolnicy, nie mający nic, powstają przeciw synom przywłaszczenia, przeciw dziedzicom rozboju... Towarzystwo najazdów i wojny jest rozwiązane i niewolnicy są usamowolnieni, człowiek uznał swoją godność i uznał, że jest równy dziedzicom swoich zwycięzców, że ziemia powinna być wspólna i wolna, że przeto społeczeństwo swoim początkiem niesprawiedliwe musi być zniszczo-

ne, że przez zniszczenie nadużyć zajaśnieje nowy wiek ludzkości, odrodzenie, naprawienie.

Używaliście — ustąpcie! Wrócił prawdziwy właściciel; społeczeństwo usamowolnione samo chce siebie urządzić«. (Nowa Polska, Paryż 1833, str. 114).

Tak pisał niedoszły polski Pankracy nad Sekwaną, a w poemacie Krasińskiego codosłownie powtórzy hr. Henrykowi:

»Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, *ustąpcie* młodym, zgłodniałym i silnym!«

»Nowa Polska« poczuwała się zrazu do Saint-Symonizmu, który przebija z wielu jej kart, a zwłaszcza z tego ustępu (str. 118): »Są współczujące dusze, nie jesteśmy sami — pragniemy bydź ostrzegającemi rozkrzewicielami nowej wiary«.

Ale upadek Saint-Symonizmu przeraził redaktorów Nowej Polski: »Upadek tych Ikarów był zbawiennym przestrzeżeniem pisarzom »Nowej Polski« (str. 144).

Nie ulegał zatem Krasiński żadnym hallucynacyom, ani był pod wpływem rozgorączkowanej wyobraźni, gdy malował straszną część trzecią *Nieboskiej Komedyi*, prawdziwą noc walpurgijską rozbestwionej ludzkości... On ją odczuwał wszystkiemi zmysłami zbolałej i cierpiącej duszy i jak Dant za życia przeszedł przez piekło przyszłych pokoleń, staczających się zwolna, lecz stale, przyspieszonym pędem, ku przepaści...

»Powstanie przeciw przeszłości« — mówi anonimowy autor artykułu »Nowej Polski« i w tych trzech wyrazach zamyka istotnie cały problem *Nieboskiej Komedyi*. Wiemy, że »Mąż«, hr. Henryk

rozumie doskonale konieczność nadchodzącej walki, że wzywa Przeszłości, by mu była »ku pomocy«, owszem, by się weń wcieliła: »a jeśli się duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem«.

Przeszłości zagląda w same białka oczu — Teraźniejszość. Jej wcieleniem Pankracy, człowiek gienialny, który wyszedł z czarnej masy pospólstwa *(un homme de génie, sorti de l'obscurité:* do Reeva) i na jej wzburzonych falach góruje. Człek to w podwójnem znaczeniu wyrazu — bez przeszłości, bez wspomnień rodzinnych, nie uznający jej i gardzący nią. Wiarą jego: »jęk przez rozpacz i boleść, wydarty tysiącom tysiąców — głód rzemieślników, nędza włościan, hańba ich żon i córek, poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem« — innymi słowy niedola i nędza ludzkości to jest »Bóg« Pankracego »na dzisiaj«, czyli program najbliższej działalności. Pankracy nie byłby gienialnym, gdyby tylko do bezmyślnej destrukcyi dążył. On wie, że po zniszczeniu trzeba odbudowania, po zaoraniu nowego zasiewu, ale spokojnym jest o przyszłość ludzkości: »Z pokolenia, które piastuję, w sile woli mojej narodzi się plemie ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna: Ona cała jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu«.

Nie dziw, że człowiek, roztaczający taki ponętny obraz raju ziemskiego przed oczyma zgłodniałych

i wynędzniałych tłumów pociąga je za sobą, jest ich bożyszczem, ich »wściekłością i kochaniem«.

Postać to genialnie odczuta i po mistrzowsku namalowana. O niej jednej może wśród całej galeryi postaci, stworzonych przez Krasińskiego, można powiedzieć, że jest namalowana: inne, nie wyjmując hr. Henryka, są raczej biustami marmurowymi, posągowo białymi, o delikatnem wyrzeźbieniu głowy. Pankracy, po kilku pociągnięciach pióra, staje jak żywy przed nami, prosi się niemal o płótno i pędzel:

»wstąpił na stół... mówi do nich... Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny; każde słowo rozeznasz, zrozumiesz, ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni; czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce niemasz: wszystkie wypadły strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje; nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy. Chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży ponad nimi: schylają głowy, zda się, że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca; precz z sercem! z przesądami! a niech żyje słowo pociechy i mordu«.

Ten »władzca dusz i zapału« tłumów nędznych i ciemnych wie dobrze, z jak kruchej i bezmyślnej gliny lepić ma przyszłą budowę społeczną.

»Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą i za każdem słowem mojem krzyczało *vivat!* Czy choć jeden zro-

zumiał myśli moje? pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? ach! *servile imitatorum pecus*«.

»Służalcze naśladowców bydło!« Jak to dobrze, że Pankracy nie zapomniał jeszcze łaciny i zwrotem Horacego umie przed ogółem pokryć swą dumną wzgardę dla owczego pędu ludzkości! Zna on na wylot te tłumy, jak je znają dzisiejsi przewódcy proletaryatu! Wiedzą dobrze, ile bezmyślności jest w krzykach i oklaskach wielkiej masy, która słów nie potrafi sprawdzić, ani prawdy odróżnić od fałszu — instynktem kocha, instynktem nienawidzi i mści się i morduje instynktem!

Dwaj przedstawiciele dwu rozbieżnych kierunków: przeszłości i teraźniejszości, pragną się przed stanowczem starciem i ostatnią bitwą poznać i nawzajem przeniknąć. Pankracy szuka Hrabiego w starodawnej siedzibie arystokratycznej: hr. Henryk szuka Pankracego w tym czarnym tłumie, który wydał »władcę swych dusz«, a zarazem jest dzieckiem jego myśli i powolnem jej narzędziem. Spotkanie było nieuniknione i da się bardzo łatwo objaśnić temperamentem i charakterem obu przeciwników. Pankracy jest urodzonym agitatorem i wielkim łowcą dusz do swego społecznego wniku. Porwał za sobą miliony i kroczy na zagubę ostatniej twierdzy arystokratycznej. Zgnieść ją materyalnie, nie sztuka! Tysiącom setki się nie oprą. Ale Pankracy marzy o większym tryumfie: moralnym! On wie, że w całej twierdzy św. Trójcy jedyną głową myślącą, jedynym istotnym przeciwnikiem jest hr. Henryk — i to go drażni. Jakim sposobem człowiek rozumny może nie uznać

krzyczących gwałtów przeszłości, może się głosić jej obrońcą... On chyba udaje! Ale gdyby tak stanąć oko w oko, rozmówić się, porwać go i przekonać i na swoją stronę przeciągnąć! To dopiero byłby tryumf — już nie brutalny tylko tryumf kułaka nad bezbronnymi, ale zwycięstwo myśli nad myślą...

Leonard, towarzysz Pankracego, sekciarz zacięty, bezwzględny i — ograniczony, nie może zrozumieć zamiarów Pankracego i posądza go nawet o zamiar zdrady:

»Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy, rozmowy... ty nas zdradzasz...«

Pankracy odprawia go najpierw krótko i wzgardliwie:

»Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś (!) mnie zrozumiesz« —

A potem poprostu wyjaśnia mu cel zamierzonej z hr. Henrykiem rozmowy:

»Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę«. On wie, że hr. Henryk jest wprawdzie »zabitym Arystokratą«, ale jest zarazem poetą i na tym fakcie buduje Pankracy swe zamiary. — A pożegnawszy Leonarda, Pankracy odkrywa nam jeszcze tajniejsze pobudki swego postępowania: »Czemuż tak pragnę go (Henryka) widzieć, omamić? — czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? Ostatnia to zapora dla mnie na tych równinach, trza ją obalić, a potem...«

Co potem? To słynne: *et après?* którem, według legendy, najbujniejszych zamiarów młodzieńca do-

prowadzić było można do zastanowienia się i ukrócenia buty nieograniczonej — to pytanie, *co potem?* które każdy człowiek rozumny w chwili swych najgłośniejszych tryumfów stawia sobie w cichości ducha i korzy się przed zagadką bytu — to straszne pytanie nurtuje także pierś Pankracego w przededniu ostatecznego tryumfu.

Co potem? gdy już ten nowy świat z myśli jego się wysnuje, gdy ziemia cała stanie się jednem miastem kwitnącem, a na niej zamieszka plemię najwyższe, najdzielniejsze — *co potem?*

»Myśli moja! czyż nie zdołasz łudzić siebie, jako drugich łudzisz! Wstydź się, przecie ty znasz swój cel — ty jesteś myślą... panią ludu... Świat nowy utworzyłaś naokoło siebie, a sama błąkasz się i nie wiesz, czem jesteś...«

Spotkanie się z hr. Henrykiem ma być ostatnią próbą dla myśli Pankracego — on chce się zmierzyć z równym sobie rozumem i ostrza swej myśli na nim spróbować. Człowiek, wierzący wyłącznie rozumowi, chce logicznie i konsekwentnie usunąć sobie z drogi ostatnią rozumową przeszkodę i jest pewny zwycięstwa.

Równocześnie hr. Henryk przechodzi także chwile wahania się, wątpienia. Miał on je od początku, gdy się zdecydował na walkę w obronie przyszłości:

»Bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie posłanniku chwały...« Uwiadomiony przez Przechrztę o tem, że Pankracy chce się z nim spotkać i rozmówić o północy, hr. Henryk postanawia z narażeniem życia zwiedzić

wprzód obóz wroga, przypatrzyć się nowemu społeczeństwu, wniknąć w jego zamiary i rozstrzygnąć nurtującą w nim wątpliwość, czy przeszłość jest fałszem, czy prawdą.

Towarzyszy mu w tej niebezpiecznej nocnej przechadzce po lesie, zapełnionym nowymi »obywatelami« i »obywatelkami«, figura charakterystyczna pozornego »Przechrzty«, w gruncie żyda, fanatyka, talmudysty. Kreśląc tę postać, znakomicie pochwyconą z życia (oko wschodnie, czarne... ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedołężnie, w bok schylone, na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego, na palcach złote pierścienie -- głos chrapliwy) Krasiński nie ulegał tylko wrodzonemu wstrętowi Aryjczyka do Semity, ale bystro zrozumiał i ocenił rolę żydów w każdym fermencie społecznym. Nie mogło ujść uwagi jego wpływowe stanowisko żydów w Saint-Symonizmie (żydami byli obaj bracia Rodriguez, przechrztami: G. d'Eichtal i Carnot) i logicznie zapowiedział niejako dzisiejsze, przewodniczące stanowisko żydostwa w socyalizmie.

Rola, jaką odgrywa Przechrzta w *Nieboskiej*, jest ze wszech miar charakterystyczna. Rewolucya społeczna tam t r y u m f u j e ; nic dziwnego, że żydzi są po stronie Pankracego; ale myliłby się, ktoby naiwnie przypuszczał, że przewrót socyalny wystarczy im i pogodzi ich z ludzkością, jako równych z równymi. Izrael chce władzy i panowania. »Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich (goimów) głupstwie i dumie osadzim potęgę Izraela...

»...uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych...«

Przechrzta czuje doskonale, że gardzi nim równie Pankracy, jak i hr. Henryk. Więc ani jednemu, ani drugiemu nie służy przechrzta naprawdę, zwodzi obu, ale ulega im, bo się ich boi. Ten strach fizyczny jest tu wybornie scharakteryzowany, jak niemniej zwroty i sposób mowy (»Miły obywatelu Leonardzie — Wielki obywatelu (do Pankracego) — Jaśnie Wielmożny Panie (do Henryka).

Rozpoczyna się ta wieczorna przechadzka hr. Henryka z Przechrztą po lesie nowego społeczeństwa: istna karykatura wędrówki Danta z Wergilim po Piekle. Rozpoczyna się scena najciekawsza, ta, która z pewnością poddała poecie zmianę pierwotnego tytułu »Mąż« na ironiczny napis »Nieboskiej Komedyi«. Jedno tylko, co mogłoby być z tamtej Dantejskiej, boskiej, do tej nie-boskiej przeniesione, to ów charakterystyczny i złowrogi napis:

Lasciate ogni speranza voi ch'entrate.

Zaczyna się ta »komedya« napozór wesoło: tańcem wolnych ludzi, co prawda, »w około szubienicy«. Fantazya poetya odrazu sięga przedewszystkiem do skarbca własnych wspomnień, do rozmowy w karczmie w Ferney z dziewczyną, zadowoloną z rewolucyi lyońskiej.

Mąż (do dziewczyny): Cieszy mnie, żeś tak rumiana i wesoła.

Dziewczyna: A dyć, tośmy długo na taki dzień czekały — juści ja myłam talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas, bym jadła sama — tańcowała sama...

Nieznacznie wznosimy się od spokojniejszych tonów ku coraz dzikszym: po chórze lokai słyszymy chór rzeźników i chór zaciekłych w zemście chłopów. Stanami zawodowymi, fachami występują tu biedy ludzkie w tej wielkiej dysharmonii społecznej. Scena z Rzemieślnikiem, wyraźne echo lyońskich rozruchów robotniczych, jest może najżywotniejszą po dziś dzień, a stanowi nowy dowód wielkiego serca poety, współczującego szczerze z istotnymi paryasami rodu ludzkiego, robotnikami wielkich fabryk.

Zabłądziwszy w lesie, trafiają hr. Henryk i jego przewodnik na scenę dziwaczną: to Leonard odprawia na rozwalinach starożytnego tumu, ostatniego kościoła... obrzędy nowej wiary. Tu mamy obraz karykaturalny Saint-Symonizmu, w zarysach, jakie mógł sobie wysnuć Krasiński z opowiadań Reeva, artykułów dziennikarskich i broszur polemicznych:

Mąż: Któż jest ten młody człowiek na gruzach przybytku stojący? — trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem. —

Przechrzta: To Leonard, prorok natchnięty Wolności — naokoło stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki. —

Mąż: Ha! wasza arystokracya — pokaż mi tego, który cię przysłał. —

Przechrzta: Nie widzę go tutaj. —

Leonard: Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia, dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwo-

loną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek Wolności, oblubienicę moją. —

Głos dziewicy: Wyrywam się do ciebie, mój kochanku. —

Drugi głos: Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgliszczach, kochanku mój. — —

Mąż: Z rozpuszczonym włosem, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy, namiętnemi podrzuty —

Przechrzta: Tak co noc bywa. —

Leonard: Do mnie, do mnie, o rozkoszo moja — córo Wolności. — Ty drżysz w boskim szale; natchnienie, ogarnij mą duszę — słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę. —

Mąż: Głowę pochyliła, mdleje. —

Leonard: My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich — a duch Jego zwyciężyli naszemi duchami — duch Jego zstąpił do nicości. —

Chór niewiast: Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościm jej chwały. —

Leonard: Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosa. Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięzcy, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jego odtąd szczęście — prawem jego, równość, a kto

inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo«. (I, 45 do 46).

W obrazie tym szczegóły o kapłańskiej parze są z rzeczywistości wzięte, niemniej zasada Enfantina wolnej miłości, zapędy Saint-Symonistów do burzenia świątyń chrześcijańskich, a wreszcie zasada hierarchii religijnej, którą hr. Henryk odrazu znakomicie określa jednym zwrotem:

Ha, wasza arystokracya!
(»kapłany, filozofy, poeci, artyści...«)

Natomiast, co wychodzi poza granice Saint-Symonizmu, to żądza krwawego przewrotu i utopienia starego świata w »oceanie krwi«:

»Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemiężcy, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi« itd. Nigdy też żaden arcykapłan Saint-Symonizmu nie dawał nikomu »święcenia zbójeckiego«, jak to czyni Leonard, ani nie zalecał wyznawcom nowej wiary: »Idź i niszcz stare pokolenia po wszech stronach świata!«

Jest w tem z jednej strony gra wyobraźni podnieconej, a z drugiej zupełnie logiczne rozumowanie, że pokojowe, zgodne przeprowadzenie doszczętnych zmian w ustroju dotychczasowym społecznym jest mrzonką, że jedyną radykalną drogą jest — wytępienie opornych. Podobnie na karb zbytniej — *à outrance* — konsekwencyi, wysnutej z przesłanek Saint-Symonistycznych, z ich zapatrywań na sztukę, jest nowe *credo* estetyczne w Chórze Artystów:

Chór Artystów: Na ruinach gotyckich świątynię
zbudujem tu nową — obrazów w niej ni posągów

niema — sklepienie w długie puginały, filary w osiem głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy, z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka Wolności — Hurracha!« —

Natomiast, co już całkiem przechodziło pojęcie Saint-Symonistyczne, co jest zupełnie własnością Krasińskiego, jego psychologicznem obliczeniem, sprawdzonem w kilkadziesiąt lat potem, to postulat niezbędny komunizmu: zniesienie pojęcia ojczyzny i wszelkiego uczucia patryotycznego. Zwrócić tu musimy uwagę każdego pilniejszego czytelnika *Nieboskiej*, że cała wędrówka hr. Henryka po lesie odbywa się w miejscu geograficznem jakiemś, ale odojczyźnionem, że się tak wyrażę, wynarodowionem do szczętu. Chór chłopów zdaje się mieć cechy polskie, ale równie dobrze mogliby przemawiać wieśniacy niemieccy czy hiszpańscy z czasów pańszczyźnianych. Natomiast rzemieślnik, ginący z wycieńczenia i braku sił jest jeszcze dzisiaj (a cóż dopiero przed 70-u laty!) figurą niepolską: klnie i wyrzeka, że najlepsze lata prześlęczał nad warsztatem — *jedwabiu*. (Zbyt wyraźne to echo lionskich zaburzeń z powodu przesilenia w produkcyi jedwabiu). Jest to zatem »międzynarodówka« zupełna i nie potrzebujemy nawet zapewnienia z ust Pankracego, że żaden z jego obozu nie wierzy ani »w kasty, ani w kości prababek, ani w słowo ojczyzna *i tam dalej*«. Jakoż tego rodzaju ustrój socyalny może zejść tylko na ruinach wszelkich małych i dużych ojczyzn. W końcu XIX stulecia doszli najspokojniejsi badacze socyalizmu do takiego

właśnie wyniku. Emil Faguet, którego nikt o »burżuazyjne« zacofanie nie posądzi, w dokładnym bilansie socyalizmu *pro* i *contra* (*Le socialisme en 1899*) dochodzi do wyniku, że socyalizm będzie mógł tylko wówczas się urzeczywistnić na naszej kuli ziemskiej, kiedy wszyscy i wszędzie r ó w n o c z e ś n i e zgodzą się na ustrój socyalistyczny. Skoro bodaj jedno państwo pozostanie przy dawnych warunkach istnienia (armia, wytwórczość konkurencyjna itd.), będzie ono tem samem zagrażać egzystencyi socyalistycznej innych, które prędzej czy później, albo raczej bardzo prędko stałyby się pastwą państwa militarnego.

W gruncie rzeczy kwestya rozwiązania socyalizmu jest zatem kwestyą powszechnego rozbrojenia, tylko nie wiadomo, kto zechce i kto będzie mógł je zacząć... To też socyalizm, przynajmniej całkowity, konsekwentny, nie pseudosocyalizm kompromisowy, nie będzie mógł wejść w życie aż wtenczas, kiedy już *ojczyzn* nie będzie. (*„Le socialisme, intégral au moins, ne pourra donc être essayé que quand il n'y aura plus de patries“*). — Wiedzą o tem wybornie przewódcy socyalizmu, ale ze względów taktycznych, aby nie odstraszać ludzi, wierzących jeszcze w »słowo ojczyzna i tam dalej« — nie idą na razie tak daleko, pozwalają socyalistom francuskim zgrzytać zębami na Niemców, a niemieckim socyalistom wolno zapewniać publicznie, że na wypadek wojny z Francyą solidarnie z monarchistami bić będą nawet socyalistów francuskich. Na razie kwestya ojczyzn nie dojrzała jeszcze na świecie, a Pankracowie sądzą,

że nie jest roztropnem strącać z drzewa zielone i kwaśne owoce...

Krasińskiego jednak takie względy krępować nie mogły, to też konsekwentnie z przesłanek Saint-Symonistycznych brak ojczyzny wywnioskował i przepowiedział. Komuna paryska 1871 r., która w oczach Prusaków wszczęła wojnę domową i wzięła się do niszczenia stolicy Francyi, dowiodła, że w *Nieboskiej* przesady nie było i niema, że wszystko z niej spełnić się może w czasie i przestrzeni.

Podobnie ma się rzecz z drugą obserwacyą filozoficzno-historyczną, z drugiem obliczeniem, z tym zadaniem fałszu dogmatowi socyalistycznemu równości absolutnej. Tej równości absolutnej przeczy talent indywidualny, zdolność osobista, dar Boży, którego żaden rząd socyalistyczny w kolebce dziecka nie zważy, nie przytnie do ogólnej miernoty, nie udusi w żelaznych powijakach.

Sam Pankracy jest takim gienialnym wyjątkiem, pewnym siebie, świadomym siebie wyjątkiem. Ale obok niego, nieświadomie dla tłumu, rosną wyjątki inne, taki np. generał Bianchetti, »kondotier ludów«, wiodący tłumy do zwycięstwa. Pytają go się, jak zorganizował atak na okopy św. Trójcy? Odpowiada Bianchetti:

»Chociażeście moi bracia w Wolności, nie jesteście moimi braćmi w gieniuszu; po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach«.

A hr. Henryk słusznie mówi: »Radzę wam go zabijcie, bo tak się poczyna każda Arystokracya«. Istotnie w Bianchettim jest zaród przyszłego

dyktatora wojskowego, a może i cezara *in partibus*. Możnaby tylko dodać, że zabicie jednego Bianchettiego, ani dziesięciu mu podobnych, nie rozwiąże zasadniczo kwestyi socyalistycznej: społeczeństwo musi być przez kogoś rządzone. Frazes, że społeczeństwo samo się będzie rządzić, brzmi nie źle z trybuny agitacyjnej, ale w praktyce wyglądać będzie tak, że jakieś jednostki, oczywiście nie samowolnie, ale z wyboru (a więc znowu parlamentaryzm, tak dziś zdyskredytowany!), będą społeczeństwem kierować i jego potrzeby normować. Potrzeba będzie całej armii urzędników w przyszłem socyalistycznem państwie, urzędników do oznaczenia jakości i ilości produkcyi, podziału produktów itd. Georges Renard (socyalista) poświęcił lata całe pracy, aby wybrnąć z tego skomplikowanego problemu przyszłej maszyneryi państwowej socyalistycznej. Dzieło jego *„le Régime socialiste“* jest najlepszym dowodem, do jakich wewnętrznych sprzeczności i zawikłań doszedłby socyalizm z chwilą, gdyby zaczął funkcyonować i jak w sposób nieunikniony po niewielu latach doszedłby do systemu faworyzowania pilniejszych, karania leniwszych pracowników, do zaniku indywidualnej twórczości w dziedzinie przemysłu i wynalazków, do powolnej stagnacyi, braku wszelkiego postępu i ogólnej apatyi społecznej.

Nauka nie poszła w las, ani też z lasu nie wyszła.

Hr. Henryk wraca z tej pouczającej wędrówki po lesie społecznym nie nauczony i nie wzruszony. Widzi zło, ale nie dostrzega jego przyczyn. Widok biednego zmarłego rzemieślnika, co życie prześlęczał

nad warsztatem jedwabiu, nie przemawia mu do serca, tylko do rozumu. Przestrogi dla siebie stąd nie umie wynieść. — Na chwilę radby z tego chaosu społecznego utworzyć coś i wzywa Boga, by dał mu potęgę: »a w jedno słowo zamknę świat ten nowy ogromny — on siebie sam nie pojmuje«. I zaraz porywa niepoprawnego poetę dawny szał: »Lecz to słowo moje będzie poezyą całej przyszłości...« Jak gdyby w tej strasznej chwili o poezyę chodziło! A głos dobrze mu znany z tych czasów, gdy się nad żoną waryatką poetycznie litował, dodaje: »Dramat układasz!«

Jego szatan przerywa rojenia poetyckie i sprowadza go na padół rzeczywistości. Duch mściwy budzi się w nim i każe wzgardzić przyszłą ludzkością: »Zemsta... Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przekleństwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą — Orle, Orle! dotrzymaj obietnicy«.

Już zaciął się w swej nienawiści do całej przyszłości. Z wiary przodków swych i swojej nie miłość chce wysnuć, nie przebaczenie i nadzieję lepszych czasów, ale zemstę i okrucieństwo:

»Wiara w Chrystusa i Kościół jego, ślepa, nieubłagana, wrząca niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił — ja syn stu pokoleń... na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego...«

Już jest gotów do rozprawy z Pankracym.

Ta rozprawa jest koroną całego utworu, sam jej pomysł genialnym, a wykonanie jego znakomitem. Rozmowa Henryka z Pankracym mogłaby była u in-

nego poety przerodzić się w niesmaczny dyalog na temat arystokratycznych i demokratycznych zasad, lub stać się jałową tyradą: w *Nieboskiej Komedyi* jest to walka dwu równych i godnych siebie sił, dwu namiętnych tytanów.

Poeta nie przesądził z góry sprawy i w tem dowód wielkiego rozumu i wielkiej szlachetności uczuć: siły walczących są równe i znakomicie z obu stron wyzyskane; w tem dowód, do jakiego stopnia poeta opanował przedmiot i sam się wzniósł ponad zacietrzewienie stronnicze.

Obaj przeciwnicy pozostają sobie wierni i konsekwentni. Obaj nie ustępują na krok z swych przekonań i słów nie obwijają w bawełnę. Pankracy na chwilę łudzi się, że trafił w słabą stronę natury duchowej przeciwnika, że »zagiął palec po pod serce jego« i że po nerwie *poezyi* dojdzie do skrytych pobudek działania Henryka — ale tutaj go taktyka zawiodła. Skutek osiągnął wręcz przeciwny zamierzonemu. Henryk przeszedł już dawniej wątpliwości, które chce w nim obudzić Pankracy — (»Postęp — szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem«) przebolał złudzenia i wie, że »teraz trza mordować się nawzajem...«

Z tej rozprawy wychodzą obaj rozjątrzeni: Henryk, przejęty obrzydzeniem i wstrętem do tego, co widział w lesie »społecznym«, nie chce widzieć w »przyszłości« jeno »stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże« — Pankracy zaś nie widzi w przeszłości nic godnego przechowania, ocalenia — a rozjątrzony oporem Henryka, upokorzony w miłości własnej, że

go na swoją stronę przeciągnąć nie zdołał, rzuca mu na pożegnanie przekleństwo. »należne starości«. W tych obu ludziach niema już prawie nic ludzkiego: urośli do dwu niweczących się nawzajem symbolów; przeczą jeden drugiemu i bolesnym przywilejem człowieczeństwa te dwa niepospolite rozumy nie mogą się — zrozumieć.

Mickiewicz, który należał do tych wyjątkowych ludzi, co się na doniosłości *Nieboskiej Komedyi* zaraz poznali, zrozumiał głęboko historyczne znaczenie tej rozprawy Pankracego z Henrykiem, jej nastrój filozoficzno - historyczny, jej nieprzemijającą wartość w dziejach ludzkości, bez względu na ten lub ów naród. Wykazał najpierw prawdziwość tej rozmowy na probierzu polskiej historyi, a potem na rzymskich dziejach:

»Panowie polscy (z końca XVIII wieku) często miewali podobne rozmowy. Książę Czartoryski, Andrzej Zamojski, król Stanisław August nieraz rozprawiali o rzeczach politycznych i społecznych z ambasadorami rosyjskimi, którzy byli także rodzajem Pankracych...

Gdyby można było wiedzieć, co Sulla i Marius mówili z sobą, kiedy dziwny przypadek pod jeden dach ich sprowadził, możeby w ich rozmowie znalazła się niejedna myśl powtórzona w powyższej scenie, bo ten sam spór toczy się od początku społeczeństwa ludzkiego, a strony walczące zmieniają tylko kształt i hasło. Pankracy i Hrabia nie są tu Pompejuszem i Cezarem, ale podobni są bardzo do Mariusa i Sulli, poprzedników Cezara. Hrabia chciał-

by udawać Sullę.' Kiedy ten nadzwyczajny człowiek, czule przywiązany do tradycyi starego Rzymu, widząc rozpadający się ze wszech stron budynek rzeczypospolitej, przedsięwziął ratować ją prawdziwie po rzymsku, po pogańsku, postanowił przywrócić stary porządek rzeczy, wytępiając wszystko, co mogło zagrażać dawnej rzeczypospolitej. Rozpoczął głośne w dziejach świata rzezie. Ale zalawszy krwią wszelki opór, nie wiedział, co dalej czynić, dokąd kierować losy rzeczypospolitej. Kiedy już zabrakło mu przeciwników, złożył topór dyktatorski w ręce senatu i odchodzącemu bezbronnie, samotnie, nikt nie śmiał zrobić żadnego zarzutu: dowiódł bezinteresowności własnej, ale razem okazał niedołężność starego Rzymu. Byłoby tak niewątpliwie i z myślą, wyobrażaną przez Hrabiego, gdyby odniosła zwycięstwo. Z drugiej strony Pankracy, rodzaj Robespierra na koniu, lub Mariusa, czuje ułomność i niedostateczność swego systemu i dlatego oddałby wszystko za to, żeby mógł pociągnąć do siebie, ułudzić hr. Henryka; bo wtedy tylko zaspokoiłby swoje sumienie.

Postawić naprzeciw siebie dwa te systemy, wcielone w dwie osoby, jest to oryginalny i wspaniały pomysł. Istotnie dzieje się zawsze nie inaczej; pierwej rozstrzyga się wszystko w duchu, nim zwycięstwo urzeczywistni się na ziemi. Przeciwnicy przed spotkaniem się na oręże, starli się tutaj, że tak powiemy, na duchy i widać już, na czem się skończy rozprawa.

...Prawdy nie masz w żadnym obozie, unosi się

ona nad obydwoma. A tak zwycięstwo żadnej stronie nie pójdzie na korzyść«.

Ostatnia część *Nieboskiej* zawiera opis obozu »przeszłości« w okopach św. Trójcy w przededniu stanowczej bitwy, która kończy się doszczętnem rozbiciem garstki, oddanej Henrykowi, i zwycięstwem międzynarodowej fali nowych pokoleń. W tej części spełnia się dola ziemska hr. Henryka. Walczy on zacięcie, bez nadziei zwycięstwa, bez względu na stronników, żądnych życia nawet za cenę wstydu. Walczy, choć za życia ma już piekło w duszy, bo oto syn jego własny, oślepły, z rozkazu matki prorokuje mu zagubę i potępienie wiekuiste. Ta przeszłość, którą on poetycznie ukochał bez zastrzeżeń, teraz z lochów podziemnych przemawia głosami licznych ofiar feudalnej tyranii, sądzi go za winy pradziadów (»Na tobie się kończy ród przeklęty,..«) i potępia na wieki:

»Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki...«

Istotnie hr. Henryk jest bezpowrotnie zgubiony. Trawi go nieuleczalna choroba pychy bez granic, egoizmu niemal potwornego w swej dumie pańskiej i w żądzy panowania wyłącznego:

»Jakże tu dobrze być panem, być władzcą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole, skupione naokoło siebie i na was, przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu. —

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich,

nie będzie — ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mej kwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę. — To moja pieśń ostatnia! —

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, Wodzem tych wszystkich, co mi wczoraj jeszcze równymi byli«. —

Na chwilę przed zgonem samobójczym, on nam odkrywa otchłań swej ambicyi:

»Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto — pierwszy z archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu uczuł nudę w sercu swojem i zapragnął potężniejszych sił. Trza być Bogiem lub nicością«. —

Ale w dalszym wyniku dochodzi Henryk do zwątpienia w samą potrzebę Boga. On »stąpa w prawdzie ku sądowi Boga«, on wie, że potępiony jest na wieki i widzi tę wieczność swoją, całą czarną, obszarami ciemności płynącą ku niemu — »a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali, wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca...«!

Ostatnie słowa jego są przekleństwem, rzuconem poezyi, tej poezyi fałszywej, sztucznej, której igrzyskiem był Henryk życie całe. Pojmuje się, że ten człowiek zwyciężyć nie mógł. Mickiewicz świetnie określił brak programu Henryka, mówiąc, że na wypadek zwycięstwa, byłby był z niego drugi Sulla, a na domiar złego Sulla poetyczny, któryby świat cały jako poezyę przyszłości pojmował — a jako »dramat układał«.

Zwycięża Pankracy — na chwilę i na pozór. Czyż

Pankracy godzien był zwycięstwa? Rzeczywistego — nie; chwilowego i pozornego — tak! Zwycięstwo jest na chwilę przy nim, ale po to tylko, aby mu całą jego nicość pokazać. Pankracy tryumfuje; przeszkód już nie ma, głowy ostatnich arystokratów spadną niebawem z rusztowania — a potem?

Leonard radzi mistrzowi, aby odpoczął po tylu trudach — ale Pankracemu nie do snu...

»Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. Patrz na te obszary, na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trzeba zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest«.

Zdaje się Pankracemu, że pora zamienić myśli w czyn. Cały program Saint-Symonistów czeka urzeczywistnienia: eksploatacya globu ziemskiego, zaludnienie pustyń, ułatwienie komunikacyi tunelami i kanałami, jednem słowem ów raj marzony niegdyś: »ludzie panami ziemi od bieguna do bieguna, ziemia jednem miastem kwitnącem...« — A potem?

I teraz dopiero, gdy już na pozór niema na ziemi głosu, któryby mógł sprzeciwić się Pankracemu, gdy nadeszły czasy, w których świat jego ma powiedzieć: Jestem, »a nie będzie głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: Jestem« — teraz wreszcie Pankracy widzi otchłań bez końca dla myśli swej i swego świata: widzi jego moralną próżnię... Więc nic

poza tem! Więc »ziemia jednem miastem kwitnącem«: ten ma być cel Ludzkości całej, treść cała jej bytu przez wieki wieków... I dla takiego to »jednego domu szczęśliwego, jednego warsztatu bogactw i przemysłu« Pankracy wytoczył krwi strumienie i przeszłość całą w oceanie krwi ludzkiej utopił?! A cóż będzie, jeśli człowiek zostanie człowiekiem i czegoś więcej zapragnie, niż ziemskiego szczęścia, za czemś większem zatęskni, niż za warsztatem bogactw i przemysłu? Co będzie, jeśli myślą wzbije się ku niebu?

Pankracy drży na samą myśl tego nowego świata, którego teraz już nie poskromi, nad którym nie zdoła zapanować. On pragnie zniszczenie zastąpić nowem życiem, on wie, że trzeba, »by w dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży — inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest...« Ale on wie także, że to nowe życie już nie dla niego... Fanatyk Leonard mówi mu wprawdzie o Bogu Wolności, który sił im ma dodać, ale Pankracemu straszno na samo wspomnienie Boga:

»Co mówisz o Bogu, ślisko tu od krwi ludzkiej...« On już pojmuje, że zwyciężył nie on, ale ktoś trzeci, że on, Pankracy, był tylko narzędziem tego trzeciego, że przeszedł, jak wódz Hunnów, jak orkan łamiący wszystko. ale że już ożywić, zaludnić, stworzyć niczego nie zdoła. Nie może bowiem zwyciężyć na wieki prawo brutalnej przemocy, idea, którą on sam streścił w swym okrzyku, ciśniętym w twarz Henrykowi: »Zgrzybiali, robaczywi, pełni

napoju i jadła — ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym«.

Łudził Pankracy, łudził siebie i swoich, kiedy twierdził, że to są »wyższe kręgi« świata! Na tak zwierzęcej podstawie trudno się rozwinąć Ludzkości. Instynktownie czuł on, że z tej przeszłości, której szermierzem był Henryk, można było i należało przenieść w przyszłość ducha miłości, ducha poświęceń, tę ideę przewodnią pierwszych wieków rycerstwa, które krzyżowemi wojnami królestwo Boże do ziemi przybliżyć pragnęło, które póty kwitło, póki umiało naprawiać krzywdy (»redresser les torts!«) i chciało bronić uciśnionych, biednych, maluczkich...

Ale Pankracy nie słyszał w przeszłości rycerskiej tylko chrzęst bezmyślny tarczy herbowych, ale Henryk nie widział w nowych falach ludzkości tylko męty i krew i dlatego żaden z nich nie zwyciężył.

Pankracemu, duchowi bezmyślnego zniszczenia, po którem bezmyślne zwierzęce życie ma się w »dwójnasób« rozplemić, duchowi przeczenia i martwej racyi społecznego stanu widnieje na widnokręgu, na chmurze płonącej od zachodzącego słońca, znak innej śmierci, z której wiekuiste życie wytrysło, znamię cierpienia cichego, zaparcia się, znamię pokory bez granic, która przebiła Niebiosa i wyjednała przebaczenie dla wygnanych z raju pokoleń... Napróżno Pankracy radby wzrok ukryć przed strasznem znamieniem Krzyża, który nawskróś przenika ogromny rozum jego i promieniami swemi rozkłada go w proch... A tak ginie Wódz Ludów w chwili

tryumfu, ginie, jak noc przed jutrzenką, zginąć musi, by dać świadectwo Prawdzie.

A prawdą jest, że do prowadzenia Ludzkości rozum sam, choćby największy, nie wystarczy. Rządzi nią Duch Stworzyciel, ten, który konającemu Pankracemu z piersi wyrywa ostatni krzyk: »Galileae vicisti!«, Duch Odkupiciel, który był najwyższym Rozumem, ale zarazem największą Miłością, który mógł o sobie powiedzieć: »Jam jest Droga i Żywot«.

Mickiewicz mówi: »To zakończenie dramatu jest przepyszne, nie znamy nic równego. Prawda nie była ani przy Hrabi, ani przy Pankracym, unosiła się nad nimi i zstąpiła teraz potępić obu. Zwyciężony padł, przeklinając siebie, zwycięzca w pierwszej chwili tryumfu uczuł, że był tylko narzędziem zniszczenia. Ukazał mu się znak na niebie, jemu tylko widomy, a w chwili, kiedy ten znak zrozumiał, pada trupem, powtarzając słowa cesarza rzymskiego, który po daremnych usiłowaniach obalenia chrystyanizmu, skonał, wołając: »Galilejczyku, zwyciężyłeś!« —

Zachodzi słońce nad Okopami św. Trójcy, — nad tą wielką mogiłą Henryka i Pankracego — idzie noc, kto powie, jak długa? i czem brzemienna? Jakie zaświta po niej słońce i jakiemu społeczeństwu?

Krasiński tego nie mówi w *Nieboskiej*, nie udaje proroka i tem składa nowy dowód swego wielkiego rozumu i wielkiej szczerości, które tkwią już i w tem, że nie oświadczył się ani za Henrykiem, ani za Pankracym i że obu osądził; jednym wzgardził — drugiego znienawidził. Ktoby zaś chciał zarzucić Krasińskiemu, że nie dał nam w *Nieboskiej* własnego

społecznego ideału, że wykazał tylko dwa ujemne kierunki, a nie dał dodatniego — temu wypada przypomnieć, że żaden poemat, choćby najgienialniejszy, nie dał jeszcze nigdy i nigdzie rozwiązania zagadnień społecznych i że nikt, nawet gieniusz, nie jest w stanie dać więcej, niż może. Krasiński szczerze przyznał się, że prorokiem nie był i że nie wiedział szczegółowo, co się wynurzy na powierzchni ziemi, gdy kiedyś opadną wody społecznego potopu, wzbierające za dni naszych:

»Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku końcowi, wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga — ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują.

Dopiero to, czego ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje, — ale wtedy i twoje i moje kości próchnem gdzieś będą«.

I my nie jesteśmy dziś bliżsi rozwiązania, niż poeta przed 70-u laty — a zanim Królestwo Boże zstąpi na ziemię i nasze kości dawno próchnem będą.

W tem leży gienialność, niespożyta siła *Nieboskiej Komedyi*, że dziś jest tak świeża, pociągająca, żywotna, jak w chwili, gdy wyszła z pod pióra poety, owszem — bliższa nam jeszcze i zrozumialsza; a w tem znowu tkwi tragizm tego utworu, że stał się on sybilińską księgą naszego społeczeństwa, coraz droższą, że pokolenie mija za pokoleniem, każde czyta *Nie-*

boską, a każde ma w niej coraz wyraźniejszy odgłos coraz bliższej przyszłości.

* * *

Arcydzieło Krasińskiego ma prócz głębokości pomysłu i żywotności, jeszcze jedną cechę utworów prawdziwie gienialnych: prostotę układu i formy. Budowa *Nieboskiej Komedyi* jest tak prosta, że napozór zdaje się uboga: cztery części, symetrycznie na dwie się dzielące, jak cztery kolumny doryckie, podtrzymujące tryumfalny łuk śmiałej myśli Krasińskiego. Każda część rozpoczyna się prześliczną odezwą, jak uwerturą, co streszcza w sobie nastrój i znaczenie tej części. Styl poematu jednolity, mocny, dźwięczny jak spiż, donośny jak dzwon, tak dopasowany do myśli, że tworzy z nią nierozłączną całość i potęguje jej doniosłość, rozbrzmiewa poważnie, rzewnie niemal, uroczyście, jak przystało na utwór, który mógłby także wziąć za swe godło: *vivos voco, mortuos plango*... Styl *Nieboskiej Komedyi* jest doskonałością, jest szczytem, który Krasiński osiągnął szczęśliwie — na którym nie danem mu było długo się utrzymać.

Najbliższy *Irydion* ma w najlepszych swych ustępach moc wysłowienia *Nieboskiej Komedyi*, czasem ją osięga, ale jej nigdzie nie przewyższa. Późniejsze utwory, prozą pisane, zachowają niejedną właściwość dodatnią, niejednę piękność stylu Krasińskiego, ale tej prostoty i naturalności, którą jaśnieje *Nieboska*, nie będą miały już nigdy.

Wspomnieliśmy już, jak małymi środkami pisar-

skiemi umie poeta największe wywołać wrażenia. Nieraz zdawaćby się mogło, że on żałuje nam czasu, że mówi tylko tyle, ile musi, że to nie pełny obraz myśli, ale jej stenogram.

Jakoż tak było istotnie. Przypomnijmy sobie tylko, w jakich warunkach autor pisał *Nieboską*. Jest ona samą esencyą, samym wyciągiem tych wszystkich trosk, smutków, goryczy i przedwczesnych doświadczeń, które poeta gromadził w swej duszy od r. 1831. A gdy przyszło do wydania tej myśli na zewnątrz, do ich spisania, duch był bardzo rączy — ale ciało gorzej niż mdłe, — rozstrojone; wzrok ducha był sokoli i sięgał w tajnie przyszłych wieków, — ale wzrok doczesny zamierał, oczy zagrożone były ślepotą. — Światła znosić nie mógł, to też listy ówczesne są krótkie, lakoniczne, bo sama czynność fizyczna pisania i patrzenia na papier była dla niego bolesna. I w tem mamy fizyologiczne objaśnienie zbytniej lakoniczności i zwięzłości *Nieboskiej Komedyi*. Poeta myśl swą w ciemnym pokoju przerabiał, streszczał, zbijał ją w jak najmniejszą liczbę słów, aby ją potem jak najprędzej na papierze wyrazić, jak najmniejszym kosztem zbolałych oczu. »Niema złego, coby na dobre nie wyszło« — w tym razie choroba wzroku oddała istotne usługi poecie, nauczyła go myśleć — jak sam zaznaczał w listach — a my dodamy, że nauczyła go myśleć zwięźle, skupiać swe myśli, nie rozpuszczać ich w słów potoku, ale tworzyć z nich niejako kryształy, załamujące w sobie całe snopy tęczowych promieni.

Tem się tłomaczy nadzwyczajna krótkość niektó-

rych scen, na którą słusznie krytycy narzekają, bo nieraz piękność, wspaniałość myśli, domagająca się szerokiego rozwinięcia, pada ofiarą tej bezlitosnej zwięzłości. Sam poeta czuł później potrzebę dokładniejszego, albo raczej przystępniejszego wyrażenia swej myśli, kiedy pierwotne, silne jak piorun zakończenie *Nieboskiej* zamienił na dłuższą rozmowę Pankracego z Leonardem, uzasadniającą powolniej śmierć bożyszcza tłumów i okrzyk jego ostatni: dwa razy tam tyle słów, ale myśli przez to nie przybyło.

Do tej zwięzłości myśli musiała się zastosować charakterystyka krótka, nerwowa, błyskawiczna osób. Tylko głównym postaciom poświęca poeta dokładniejsze wizerunki duchowe: Henryk jest oświetlony wszechstronnie w roli męża, ojca, wodza — zawsze poety. Już Pankracy krótszą zadowolić się musi charakterystyką: ale starczy ona, jak widzieliśmy, za portret olejny... A teraz żona hr. Henryka: wzór bogobojnej, wiernej mężowi, oddanej dziecku niewiasty; we wszystkiem, co mówi, określa się doskonale, oznacza zarówno pierwotną skalę swego umysłu jak i anielską czystość duszy. »Stworzona dla ogródka i domku«, ona myśli o sprawunkach, o tortach na chrzciny, nie zaniedba poprawić kołderki w kolebce dziecka — ale ona czuje zarazem, że mąż przestał ją kochać, a nie wie, dlaczego... Czy może być lepsza, głębsza charakterystyka jej gołębiej prostoty i niewinności, jak w tych kilku słowach:

»Wczoraj byłam u spowiedzi i przypominałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleść takiego, coby cię obrazić mogło...«

Orcio jest od dzieciństwa do śmierci opisany *con amore:* cierpienia jego, przedwczesny rozkwit władz umysłowych, okupiony kalectwem fizycznem, gorzkie uczucie dziecka, zmuszonego patrzeć na winy ojca — wszystko to wyjęte z własnej piersi i z własnych doświadczeń dostarczyło gotowych rysów na wytworzenie postaci żywej, tchnącej prawdą i żalem...

Wśród drugorzędnych postaci zwraca przedewszystkiem uwagę Leonard, ulubiony uczeń Pankracego, towarzysz i świadek ostatniego tchnienia »mistrza«. W nowem społeczeństwie odgrywa on rolę »proroka natchnionego Wolności« i arcykapłana, wzywa kapłanki przyszłej i szczęśliwszy od Enfantina, ma ich kilka do wyboru. Przez dziwną pomyłkę, przeoczenie kilku ustępów *Nieboskiej*, Klaczko w znakomitem studyum o Bezimiennym Poecie polskim, domyśla się w Leonardzie następcy Pankracego, szczęśliwego »pojednawcy« (*conciliateur*) przyszłych pokoleń...

»...le jeune Léonard, le disciple chéri de Pancrace, l'enthousiaste sincère qui a partagé toutes les haines, toutes les idées du maitre, mais qui ne s'est pas souillé de sang, et soit hasard, soit instinct, soit bonheur, n'a pas de crimes à se reprocher(?)... Le rôle conciliateur est il-réservé à Léonard, type de la génération naissante qui a assisté à nos luttes« etc. —

Leonard inaczej wygląda w *Nieboskiej Komedyi.* Przedewszystkiem jest to fanatyk zaciekły, który nie dowierza nawet Pankracemu, a w okrucieństwie chyba go przechodzi. Nigdzie Pankracy nie przema-

wia tak wściekle do najgorszych instynktów ludzkiej natury, nigdzie tak nie podjudza do rozlewu krwi, jak to czyni Leonard:

»Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięzcy twoim niech będzie ołtarzem — w ***oceanie krwi*** utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego — kto inne (prawo) tworzy — temu *stryczek* i przekleństwo! Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów...«

Zaprawdę, trudno o tym człowieku powiedzieć, że niema sobie zbrodni żadnej do wyrzucenia... Wszakże on daje nawet jako arcykapłan święcenie zbójeckie olejem, sztyletem i trucizną, a domniemany »pojednawca« ludzkości obiera za życia Pankracego drogę wcale radykalną:

»Idź (mówi do Hermana) i niszcz stare pokolenia po wszech stronach świata!« Czy od takiego człowieka można oczekiwać, że »się nie splami krwią« w przyszłości? — Przechrzta, który zna z bliska Leonarda, ostrzega hr. Henryka i drży o własną skórę:

»Leonard może mnie poznać J. W. Panie — patrz! jaki nóż wisi na jego piersiach!« — Wreszcie jedno z pytań, z którem Leonard zwraca się do Hrabiego, brzmi: »Ty sam, czyją śmiercią się chlubisz?«

Zdaje się, że trudno o dosadniejsze zaprzeczenie domysłu Klaczki, jak to, które tkwi w słowach samego Leonarda. Nie rozszerzalibyśmy się tu nad pomyłką, która w niczem nie przynosi ujmy całości bystrych i świetnych spostrzeżeń krytyka — gdyby nie to, że mylne mniemanie przedostało się nawet

do najlepszej książki o Krasińskim, gdzie Leonard uchodzi także za »człowieka dobrej wiary...«

Z innych, podrzędniejszych figur, wybornie i konsekwentnie obmyślał poeta postać Ojca Chrzestnego, wcielenie bezmyślnego oportunizmu. Pankracy gardzi nim i nazywa go »starym doktrynerem«, Henryk, oburzony dwulicowością człowieka, który zdradził obóz własny i jawi się pod koniec jako parlamentarz, kusiciel z obozu Pankracego, — Henryk grozi mu śmiercią i wartość tej społecznej jednostki streszcza krótko: »Na cel mi wziąć to czoło zorane zmarszczkami marnej nauki, na cel tę czapkę wolności na tej głowie bez mózgu«.

Doskonałe są, idealne, figury sług polskich. Te jedne świadczyłyby o narodowości autora, gdyby był nawet na zawsze bezimiennym pozostał. Stary Jakób, wierny do ostatniego tchu, przeklinający Pana, ale wtedy, gdy już mu na nic przydać się nie może. Mamka Orcia raz tylko występuje, ale w jednym zdaniu odkrywa całą głębię przywiązania, do jakiego tylko nasze wieśniaczki są zdolne: »Najświętsza Panno Częstochowska, weź mi oczy i daj jemu!«

Albo czy nie świetnie scharakteryzowany ów krewny Hrabiego, co to na widok odchodzącego od zmysłów Orcia, myśli przedewszystkiem o sukcesyi po rychłej śmierci tego jedynego dziedzica i odzywa się do brata swego:

»Co myślisz bracie, to wymaga rady familijnej!...«

Im dokładniej wczytać się w *Nieboską Komedyę*, tem więcej podziwiać trzeba ogrom doświadczenia

życia i głębokiej znajomości przeróżnych dusz ludzkich: od najwznioślejszych do bardzo poziomych, zaledwie godnych człowieczego ciała. Jest w tym poemacie dziwnie wysoki już nastrój moralny, dziwnie szlachetne pojęcie celu i wartości życia, celu i wartości cierpienia...

Nieboska Komedya rozpoczyna się od znamiennych słów Anioła Stróża: Pokój ludziom dobrej woli, a po latach wielu, jako owoc życia całego, pełnego gorzkich rozczarowań, poeta zanuci psalm dobrej woli, błagać będzie jeszcze o wyplewienie z dusz naszych kąkolu złud świętokradzkich, tych złud, któremi zasiana jest od początku do końca cała *Nieboska*, złud poetycznych Henryka, złud społecznych Pankracego.

Piękności formalnych, językowych, jest w *Nieboskiej* sporo — ale poeta trzyma je na wodzy i nie pozwala zbytnio wybujać kwiatom stylistycznym. Do piękności tych, na które pierwszy Mickiewicz zwrócił uwagę, zaliczyć należy przedewszystkiem wstępy liryczne, poprzedzające każdą z części. Ostatni wstęp, opisowy, jest mistrzowskiem odtworzeniem krajobrazu ze wspomnień podolskich i alpejskich, jest jej — nie obrazem realistycznym — ale uduchowieniem, odczuciem i współczuciem ducha przyrody z duchem poety.

* * *

Na znaczeniu i wartości *Nieboskiej Komedyi* nie poznano się u nas natychmiast. Trochę w tem winy samego poety, który pierwsze wydanie otoczył takim

wałem ochronnym, że druk mógł raczej za rękopis uchodzić. Ale właściwym powodem był fakt, że arcydzieło to, podobnie jak w poprzednim roku (1834) *Pan Tadeusz*, zjawiło się w pośród emigracyi, rozjątrzonej wówczas bieżącemi sprawami politycznemi, powaśnionej i zgiełkliwej. *Pan Tadeusz*, tak przecie bliski, prosty, poufały, niemal brat-szlachcic, przechodził zrazu niepostrzeżony nad Sekwaną, oceniony przez kilka zaledwie głębszych umysłów. Cóż dopiero *Nieboska Komedya!* dziwna formą, zagadkowa treścią, tajemnicza bezimiennością autora.

Jednak emigracyjne czasopisma wiedziały coś o niej. Pierwszy *Tygodnik Emigracyi Polskiej* (litografowane czasopismo) doniósł w numerze z d. 6 maja 1835 r. krótko w rubryce nowości literackich, gdzie zapowiadał także wyjście Pieśni Janusza:

»*Nieboska Komedya* (na przeciwieństwo tytułu *la Divina Comedia di Dante*) wyszła z druku przed niejakim czasem w Paryżu. M a o n a m i e ć (!) znakomite zalety w obrazach politycznych; autor niewiadomy i dzieło dotąd nie wystawione na sprzedaż publiczną«. Tenże tygodnik, widocznie mający informacye bliższe, doniósł 31 grudnia tegoż roku, że autora otacza wielka tajemnica, że rękopism przysłano z Wiednia (!) jednemu z księgarzy paryskich, że wkrótce po wydrukowaniu nadeszło polecenie wstrzymania sprzedaży, tak, że tylko jeden egzemplarz krąży po emigracyi. Nieznany nam krytyk, który, jak sam zaznacza, miał utwór tajemniczy tylko kilka g o d z i n w ręku — nie mógł go dobrze streścić, ale już i to mu za zasługę poczytać można, że

nazwał *Nieboską* dziełem, poruszającem »kwestye wielkie, socyalne, całą ludzkość obejmujące«. Krytyk zarzucał autorowi, że »nietrafnie i nieprawdziwie umieścił na polskiej (!) ziemi powtórzenie scen strasznego dramatu, odegranego w czasie rewolucyi francuskiej. Zdaniem krytyka, demokracya polska nie wyssała zasad swoich z pism Babeufa i Murata. Charakterystyczny szczegół podaje krytyk *Tygodnika Emigracyi Polskiej*. Oto krążyła wśród emigracyi polskiej pogłoska, że autorem *Nieboskiej Komedyi* był Mickiewicz. Krytyk uważa pogłoskę tę za dowód, jak mało sam Mickiewicz jest rozumiany:

»Autor *Ksiąg pielgrzymstwa* zanadto wyraźnie objawił widzenie swoje rzeczy polskich, aby potem, jak kapłani egipscy, stawił Sfinksa w przedsionku świątyni prawdy i nie rozwinął koniecznych następstw położonej zasady; *Nieboska* zaś *Komedya* jest tylko pięknem, pełnem poezyi i czucia marzeniem poety-katolika, który widzi rozsuwającą się społeczność, zbudowaną przez katolicyzm, widzi czczość i szkaradę wdzierających się na jego miejsce materyalnych teoryj i nie wie, jakie nowe słowo Boże zstąpi między ludzi i natchnie ich nowem życiem«.

Pomijam inne, pobieżne, powierzchowne sądy najwcześniejsze o *Nieboskiej Komedyi;* nie świadczą one o istotnem zrozumieniu arcydzieła. Był to jeszcze za twardy orzech do zgryzienia dla ówczesnej rodzimej krytyki. Nawet L. Ulrych stawiał poematowi zarzuty dziwne, chcąc *Nieboską Komedyę* określić pewną epoką i pewnym narodem. Krasiński, który o zarzutach Ulrycha wiedział od Gaszyńskiego, musiał obja-

śniać *Nieboską* i bronić od zarzutów niesłusznych. List z d. 5 kwietnia 1837 r. jest znakomitą obroną *Nieboskiej* z punktu widzenia ogólno-ludzkiego, nie zaś polskiego lub francuskiego itp.

Dopiero Mickiewicz dał pierwszą ocenę *Nieboskiej*, godną arcydzieła. Poeta przeniknął na wskróś poetę, odczuł piękności estetyczne, oddał hołd wzniosłości pomysłu i prostocie wykonania, zrozumiał i ocenił »odwagę« napisania dramatu prorocze-go. Mickiewicz poświęcił cztery wykłady *Nieboskiej* (d. 24 stycznia 1843 r., 31 stycznia, 7 lutego, 21 lutego), objaśnił znakomicie znaczenie i stosunek wza-jemny części poszczególnych utworu, uwydatnił piękność ustępów lirycznych i dał świadectwo »przeni-kliwości prawdziwie wieszczego wzroku«

Taki sąd starczy za wszystkie współczesne i za bardzo wiele późniejszych. Z oceny Mickiewicza płyną wszystkie niemal nowsze zapatrywania na *Nieboskę*, aż do najnowszych. Wszystkie one liczą się z Mickie-wiczem, rozwijają jego myśli, lub usiłują z niemi walczyć.

W dwadzieścia lat po wykładach w Collège de France rozległ się znowu sąd Polaka o *Nieboskiej*, wydany w języku francuskim. Był to hołd młodego wówczas pokolenia emigracyjnego z lat 1848—1860, którego najświetniejszym rzecznikiem był Julian Klaczko.

W trzy lata po zgonie poety, pod świeżem jeszcze wrażeniem niepowetowanej straty, w czasie, gdy na Zachodzie znowu zaczęto przysłuchiwać się odgłosom wypadków warszawskich, napisał Klaczko jedno

z najświetniejszych swych studyów p. t.: „*La Poésie polonaise au dix-neuvième siècle et le poète anonyme*“ (Revue des deux mondes, XXXVII. 1-er Janvier 1862). Dał on tam rzut oka na całość poezyi Krasińskiego i na jej stosunek do życia naszego narodu. *Nieboskiej* nie mógł wiele miejsca poświęcić, ale tych siedm kartek, które Francuzom i oświeconej Europie dawały pojęcie o dramacie przyszłości starczyło, aby poemat oświetlić historycznie i filozoficznie, aby wykazać jego pokrewieństwo duchowe wśród rodziny arcydzieł literatury polskiej i europejskiej.

Zachował nam Klaczko cenne świadectwo, jak pierwotnie społeczeństwo nasze rozumiało, albo raczej nie rozumiało Henryka, bohatyra *Nieboskiej*, obrońcy ginącego społeczeństwa: »Z trudem pojmowano tego nieprzyjaciela demokracyi, który zdawał się być z nią związany niejednem powinowactwem tajnem i nieprzepartem, tego przyjaciela szlachty i bogaczów, który tak mało ich szanował, a nawet pogardą obarczał — tego męczennika bez zapału i wyznawcę bez wiary. Potrzeba było doświadczenia rewolucyi, prób bolesnych r. 1848, aby ułatwić zrozumienie tajemniczego bohatyra bezimiennego poety, i rzec można, że dopiero przy blaskach pożogi, co ogarnęła Europę całą, ukazał się po raz pierwszy w całej namacalnej i dotykalnej prawdzie, sceptyczny obrońca ginącego świata«. — Hr. Henryk jest jakby wcieleniem w r. 1833 tego chaosu sprzecznych uczuć, nadziei i obaw, który spadł na społeczeństwo europejskie w piętnaście lat potem. Jest to świadectwo ważne i niepodejrzane naocznego świadka owej pa-

miętnej epoki. Dlatego-to charakterystyka Henryka jest tak znakomita, bo krytyk znał za młodu niejednego hr. Henryka i patrzał niemal codzień na podobnych ludzi, którzy tęsknili za ideałem, a nie próbowali odtworzyć go w sobie, którzy raczej szukali wzruszeń przemijających, aniżeli prawdziwych uczuć. O nich to powiedzieć można, co Klaczko świetnie zastosował do hr. Henryka: „*Il a eu un faux enthousiasme et un enthousiasme à faux*“. Krytyk nasz zrozumiał oczywiście doniosłość społeczną dramatu przyszłości, ale był on zanadto dzieckiem swego czasu, aby odczuć tak grozę położenia, jak my ją dziś dopiero zaczynamy odczuwać. Przecież, kto umiał czytać między wierszami, ten powinien był wyciągnąć i wielką naukę i doniosłą przestrogę z następujących słów, których nie chcemy psuć przekładem:

»...il est certain hélas! que nous ne sommes pas au bout de nos épreuves, et que la comédie infernale sera encore pour longtemps le drame de l'avenir. Les dangers que court la société nous feront encore plus d'une fois préférer l'ordre établi *à l'ordre moral*, et nous nous surprendrons en plus d'une occurence à invoquer les fantômes du moyen âge dans la crainte du spectre rouge, a jouer aux fils des croisés sans être même enfans de la croix et à nous proclamer papistes sans être catholiques«.

W dwadzieścia lat po studyum Klaczki ukazał się obszerny artykuł o *Nieboskiej Komedyi* pióra Stan. Tarnowskiego w warszawskiej *Niwie* (r. 1882), skąd po latach dziesięciu, prawie bez zmian, prze-

szedł do monografii tegoż autora o Krasińskim. Jest to studyum przedewszystkiem estetyczne i zawiera mnóstwo świetnych spostrzeżeń o pięknościach utworu. Genezy jego dać nie mogło, bo listy do jenerała i do Reeva nie były znane, a skutkiem tego domysły o powstawaniu *Nieboskiej* są tam mylne. Charakterystyka Henryka, choć na ogół bardzo trafna, miejscami jest stanowczo za pobłażliwa: »wiele piękności w nim zostało (?), serce było wielkie (!?), zguba przechodzi może miarę jego win i miarę sprawiedliwości — poetycznej« (str. 141). — Niema także w studyum prof. Tarnowskiego uwzględnienia momentu historycznego, duchowego wpływu epoki na powstanie *Nieboskiej Komedyi* na co zwrócił uwagę dawniej już prof. W. Nehring. Domysły jego znalazły świetne potwierdzenie w listach poety do Reeva. Natomiast rozbiór psychologiczny najgłówniejszych postaci należy do najpiękniejszych ustępów w dziele prof. Tarnowskiego.

Streszczać tu wszystkie inne pomniejsze zdania o *Nieboskiej Komedyi* niema potrzeby. Sądy Mickiewicza, Klaczki i Tarnowskiego są jakby odzwierciedleniem i skrystalizowaniem zapatrywań trzech pokoleń na gienialny utwór dwudziestoletniego młodzieńca. Każde pokolenie widzi w *Nieboskiej* napozór to samo, ale każde widzi z innego punktu, a każde następne widzi więcej...

Z tego względu godnym uwagi jest sąd dzisiejszy, głos z pokolenia najmłodszego, wchodzącego w życie społeczne. Wnuk Zygmunta Krasińskiego, znalazł w późniejszych jego listach ciekawy dowód, że za-

nosiło się u poety około 1840 r. na ciąg dalszy *Nieboskiej*, a zarazem na dodanie osobnej części wstępnej; skutkiem czego rozrastał się pomysł cały na olbrzymią Trylogię. Że wydrukowana w roku 1835 *Nieboska* przeróbki takiej znieśćby nie potrafiła, to wykazuje bardzo jasno i dokładnie Adam Krasiński w studyum swem p. t.: »Nieznany pomysł trylogii u Zygmunta Krasińskiego« (*Księga Jubileuszowa* dla Stanisława Tarnowskiego. Kraków, 1904). Z tego studyum wyjmujemy tu bardzo oryginalny pogląd autora na dwie główne osoby *Nieboskiej:* hr. Henryka i Pankracego. Punkt widzenia jest nowy, to też obaj wielcy przeciwnicy w nowem stają świetle:

»Dwie wizye, w których przyszłość im się objawia, przejmują bohaterów przed zgonem. Są one n i e r ó w n e j dla nich przegranej zapowiedzią i czuć, że twórca tego dramatu ludzkiej żądzy nierówną miarą chciał mierzyć ich klęskę.

Wizya Pankracego jest Pankracego pogromem, lecz widzenie Hrabiego Henryka przekleństwem mu było i potępieniem. Henryk nad przepaścią, z baszty przyglądający się zniszczeniu w dumnej, zawziętej rozpaczy woła ku swej przyszłości, którą wie i którą ślepy Orcio przejrzał i przepowiedział straszliwie. Wódz Okopów św. Trójcy rzucił swój pałasz niepotrzebny mu już, ale hardą wspaniałość bierze do grobu i z nią się nie rozstawa. Z nią wybiera się w drogę, z nią stąpa ku sądowi Boga. Patrzy w przepaść i w przyszłość — przepaść przyszłością mu — przyszłość przepaścią. — »Widzę ją — woła — całą czarną — obszarami ciemności płynącą do mnie —

wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca, a w pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca«.

I oto w tych słowach sąd nad sobą czyni i potępienie bierze — za to, że nic nie ukochał, za swoją martwą wiarę.

Pankracy, rozdawca myśli, dawca nadziei tłumom, mistrz skupionej, nieubłaganej rachuby, więcej ma zaiste wiary od Henryka. I życia nie obrał z wszelkiej miłości. Pod tem czołem łysem — w tych oczach rozumnej przewagi — w zastygłych rysach twarzy upartej, rozkazującej, czytają rzesze nietylko pewność siebie człowieka, ale pewność zwycięstwa sprawy, a tę dawać może jedynie przekonanie. Pankracy je ma. Pankracy wątpi, ale wierzy mimo, lub raczej wierzy, choć zna i wątpienie. Nie ma ufnej, przywiązanej całą mocą ducha, wiary, jaką daje poczucie, że cel i droga święte — widzi chuci, które poruszył do głębi, widzi przed zastępami swymi namiętności, niosące sztandar na czole i zbrodnie, szturmujące do boju. A przecież wierzy w przyszłość swego ludu, dlatego nie ustaje w drodze, dlatego depcze w krwi.

Czyż szczerym nie jest w owej chwili, gdy, zwycięzca już, odpowiada Leonardowi: »Nie czas jeszcze zasnąć, dziecię — bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób

tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest«.

Takich słów moc przywiązuje ludzi do wodza i można pojąć Leonarda. — Z takich myśli może jeszcze wykwitnąć zbawienie.

A gdzież jest Leonard Henryka? którego nawet stary sługa, Jakób, który go na rękach nosił dziecięciem, — przeklina.

— — Henryk w czyn przyszłości nie wierzy. Ma wszystkie tradycye, a żadnej niema nadziei. Wzywa Chrystusa i Maryą, choć wie, że ma znak potępienia na czole — poetą jest uczuć, które w nim nie mieszkają.

Pankracy wierzy źle, potwornie, nieufnie, lecz wierzy. Wierzy w coś większego od pożogi, jaką niesie, jaką jest, w coś, co żywot dawa, a nie odbiera, i wie, że bez tej wiary — dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.

Dlatego Henryk ginie w rozpaczy, przeklinającej wszystko — i moc Bożą, o której strasznie beznadziejnie mówi, że to słońce pali, a nie oświeca, — a Pankracy upada przerażony poznaniem Prawdy i poznaniem swej wiary zarazem: *Galilaee vicisti!* To nie okrzyk przerażenia jedynie, to głos upokorzenia, to oddanie świadectwa Prawdzie.

Przepyszne jest zakończenie dramatu i przeprowadzenie uczuć w ginącym wodzu tysięcy. Blask krzyża rozkłada go w proch — nie ciało, słaniające się na ramieniu Leonarda, ale sumienie, ale duszę...

— — Hrabia Henryk tylko o ciemności wołał i widział je płynące obszarami ku niemu.

Któż więc z nich dwóch, któż z wielkich duchów walki osięgnąć może zbawienie i zmartwychwstanie w przyszłości, jeżeli to wogóle możliwem dla ich wiary?

Jedynie Pankracy.

. . . . . .

Arcydzieło *Nieboskiej Komedyi* nie inną, a tę konieczność zwiastuje, gdyby z walki na okopach św. Trójcy wysnuć przyszło dzieje dalszych dni i odrodzenie witać w nowej jutrzni. Gdyby nam poeta chciał ukazać nowo obleczonego człowieka, byłby nim Pankracy, nie Henryk — lecz Pankracy, który uklął przed tem, co palił i niszczył, Pankracy, który przeszedł przez czyściec myśli i odrodził się chrześcianinem«. —

W tej ewolucyi zapatrywań na myśli przewodnie *Nieboskiej* widzimy znamienną historyę idei i obowiązków społecznych ostatnich czterech pokoleń, olbrzymią doniosłość utworu, który jest też na wieki obliczony, nie na jedno stulecie. Rówieśnicy Krasińskiego spoglądali nań jeszcze spokojnie, niemal obojętnie, jak na szary brzask, ledwo widoczny na niebios kręgu. Ludzie z połowy XIX wieku już z niepokojem nań patrzyli, jak na świt nowego dnia, płonący na chmurach niepewnego ranka krwawemi i tajemniczemi zgłoskami...

A nas, u progu nowego stulecia, olśniewa coraz potężniej coraz bliższe, coraz zrozumialsze, słoneczne

niemal światło *Nieboskiej*, które przenika do sumień naszych, obnaża bez litości grzechy społecznego zaniedbania, zdaje się wyrzucać nam czas stracony, »wahanie się i bojaźń« i uporczywie powtarzać zdanie, umieszczone na samym tytule tragicznej, ludzkiej komedyi:

To be or not to be, that is the question!

KSIĘGA PIĄTA

I.

Na rozstajnych drogach.

Pobyt Z. Krasińskiego w Rzymie w końcu 1833 r. nie odznaczył się niczem szczególnem. Pewne wyczerpanie fantazyi i zniechęcenie daje się w nim wówczas zauważyć: jest to całkiem naturalny stan ducha, wypoczywającego po trudach twórczości, a równocześnie zajętego myślami Irydionowemi, które przesuwają się przez umysł jego jak mgławice. Rzekłbyś, z ruin Forum, Koloseum i Termów wzbijały się przed nim opary pogańskich idei, zmysłowego piękna starożytności i klasycznych kształtów rzeźby i architektury — stając do walki w duszy jego z cichemi katakumbowemi cieniami pierwszych chrześcian. Rozmyślał wtedy nieraz nad tem, co każdy umysł głębszy odczuwa, a co tak pięknie określił Mickiewicz, kiedy powiedział o pogańskiej sztuce, że w czasach Odrodzenia wyszła »z otchłani nakształt potworu o stu głowach bogów, nimf i półbogów. Ci bogowie, tacy dumni i tacy piękni, obnażając swe ciała jędrne, tworzyli dziwne przeciwieństwo z przeźroczystemi a leciuchnemi kształtami aniołów i świętych. Te nimfy

i półbogi, w całej swej zmysłowej piękności i muskularnej sile zdawały się kusić i wyzywać czystość dziewic chrześciańskich, męczenników pokorę i ascetyczną chudość zakonników«.

W Krasińskim odbywała się także walka dwu tych światów. Roma pogańska wstawała przed nim z martwych i roztaczała wdzięki zmysłowego życia i użycia. Rzym zaś katakumbowy mówił o podziemnem, zagrobowem życiu, cierpieniu doczesnem i męczeńskich palmach.

Młodzieńcza porywczość niechętnie ulegała niewzruszonej powadze Kościoła; zważmy jednak, że były to czasy, w których t. zw. katolicyzm liberalny święcił swe tryumfy. Ksiądz de Lamennais nie był jeszcze zerwał publicznie z Rzymem, ale już w listach swych gromy ciskał na papieża. Montalembert jeszcze ufał palącym słowom księdza de Lamennais i pisał Przedmowę do swego przekładu »Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego«. Aż tu niespodziewanie rozeszła się w Rzymie wieść o potępieniu i samego księdza de Lammennais i Przedmowy Montalemberta do przekładu Pielgrzymstwa. Zakipiał oburzeniem na nietolerancyę Krasiński i napiętnował ją bardzo dotkliwie w liście do ojca (d. 1 grudnia 1833 r.), gdzie porównał Stolicę Apostolską z mocarstwem absolutnem wschodniem. A w tymże liście korzył się przed boską potęgą chrześciaństwa i zdumiewał nad jego ubożuchnymi początkami:

»W tych dniach byłem w katakumbach, które są w Kampanii rzymskiej i zaczynają się od kościoła św. Sebastyana. To strach bierze pomyśleć,

że Chrześcianie zaczęli swój zawód w takich dziurach, a potem owładli światem. Niech Papa sobie wystawi ciąg korytarzy niskich i ciasnych z czarno czerwonawej gliny, zstępujących w dół coraz bardziej i w których wyrznięte są groby, podobne do legowisk dzikich zwierząt... nigdy nic okropniejszego i świętszego zarazem nie widziałem«.

Przeczuwamy, że Irydion zstąpił do katakumb.

Poeta odbywał częste i dalekie spacery po »kampanii« rzymskiej, a potem wracał do domu wyczerpany zupełnie z sił, rzucał się na sofę i pogrążał w smutnych myślach. Gnębił go bez ustanku jakiś dziwny, nerwowy lęk przed najbliższą przyszłością całego społeczeństwa. Posyłając (d. 6 stycznia 1834 r.) ojcu na imieniny swoją miniaturę (której podobiznę dajemy w tym tomie), dołączał do niej krótki, serdeczny liścik z powinszowaniem i tak go kończył:

»Niech Bóg Wszechmocny strzeże drogiego oyca — niech pozwoli, byśmy wśród wypadków, które zewsząd się gotuią, mogli wypłynąć w iakiey arce zbawienia — niech nas ziednoczy, niech uczyni, bym Papie zdał się na coś więcej, niż dotąd mogłem — niech zasłoni nas obu od gorzkich położeń, od strat, od smutków, od nieszczęścia drugich. A choćby i to wszystko się nie spełniło i żadne życzenie moie nie doszło końca, zostanie nam obu miłość nasza — i z tą żyć potrafim — Ściskam drogiego Oyca po tysiąc, sto tysięcy razy — Zyg. Kras.«

Ten list jest bardzo wymownym dowodem wielkiej, gorącej miłości, którą żywił poeta dla swego ojca. Korespondowali oni wówczas zawzięcie z sobą;

sprzeczali się w listach i przekomarzali, ale przedewszystkiem kochali się serdecznie. Trudno może wyobrazić sobie dwu ludzi, bardziej odmiennych, więcej różniących się pod względem zapatrywań i upodobań. W jenerale była dziwna mieszanina prostego, zdrowego rozumu z staropolską tężyzną wojskową, która znaczyła się w każdym niemal zwrocie, w sposobie myślenia, w rubasznem wydrwiwaniu fantazyi i polotów poetyckich syna. Za młodu mniej dbający o formy i przepisy religijne, stawał się jenerał w miarę lat szczerze i gorąco, choć nie ostentacyjnie, pobożnym: umiał wieść z synem dysputy listowne w kwestyach filozoficznych i religijnych, o Görresie i Schellingu (np. w liście z d. 14 stycznia 1834 r.), ale romantyzmu i byronizmu nie rozumiał i nie cierpiał, Byrona nazywał »bandytą moralnym«, a syna ostrzegał przed nadużywaniem imaginacyi. Z żołnierską rubasznością pisał do Rzymu z Petersburga: »Imaginacya jest twym nieprzyjacielem; ona jest fr...ą moralną w tym wieku«; a w związku z tem potępieniem imaginacyi zalecał synowi (w odpowiedzi na jego wspaniały list z d. 11 listopada 1833 r. o początkach Irydiona): »Nie nadto spółkuj z Irydionem, gdyż jeżeli on zajmie wszystkie twe władze, to na tem twe ciało i zdrowie będzie cierpieć« (*z Petersburga, 27 grudnia 1833 r.*). Z miniatury syna swego był bardzo rad i z ojcowską satysfakcyą stwierdzał, że jedynak jego »ma coś poczciwego i niegłupiego (!!) w swej fizyonomii«. Już-to jenerał wogóle nie psuł ukochanego syna pobłażaniem, a cóż dopiero zbytkiem uznania dla prac jego

literackich. Po przeczytaniu *Agay-Hana* przysłał mu z Petersburga ostrą i surową ocenę, która pewnie przykro dotknęła miłość autorską. Z oceny tej bije zapach pseudoklasycyzmu warszawskiego; zdawaćby się mogło, że słyszymy tu jeszcze echo obiadów czwartkowych u jenerała, że to Koźmian lub Osiński znęcają się tak nad biednym romantykiem. Pisze więc ojciec, że w *Agay-Hanie* »polszczyzna litewska, a czytanie fatygujące«, że wszystko tam nastrojone na »ton najwyższy«, że brak naturalności i »niema periodu, na którymby spocząć można«. Charakterystyka osób także nie podoba się jenerałowi: »twoje rysy są wydatne, ale nigdzie nie okrzesane i są podobne do snycerstwa wiejskiego po cerkwiach, które chłop-amator ciosał. Czytać ci trzeba Krasickiego, żebyś gładkości nabrał«.

Od Byrona zawrócić chciał jenerał syna swego do Xięcia Biskupa Warmińskiego! innemi słowy: chciał zapały imaginacyi ostudzić dobroduszną, trzeźwą i gładką poezyą Monachomachii i prozą Doświadczyńskiego!

W gruncie rzeczy nie tyle jenerałowi zależało na stylu syna, ile na tem, aby uspokoić jego wrzącą wyobraźnię, »exaltacyą i nerwy«. Zygmunt zbyt żywo, zbyt boleśnie przypominał jenerałowi fantazye, uniesienia i nerwy nieboszczki żony; to też otwarcie pisał do jedynaka, że bał się pod tym względem dziedziczności: »boję się sukcessyi linii twey macierzystey« (12-go lutego 1834 roku). — Że obawy te nie były płonne, tego dowodzą ówczesne relacye Danielewicza, a z czasem i sam poeta uzna,

że szereg cały cierpień moralnych i fizycznych przejął po matce. Danielewicz narzekał przed jenerałem (8-go lutego 1834 r.): »Nie sposób jest wykorzenić zabytki tej nudnej, starej (!), oklepanej poezyi i zawsze *grób*, *ciemność*, *dyabeł* etc. etc. nawet w chwilach zabawy muszą grać pierwszą i znakomitą rolę«. Rzecz dziwna jednak, że późniejszy »Aligier« tak powierzchownie sądził tu o akcesoryach romantyzmu, a nie starał się przedstawić jenerałowi samego wnętrza tej świątyni, w której widniał wspaniały ołtarz poezyi Zygmunta. Wszakże autor *Nieboskiej* rozwijał wtedy właśnie przed Gaszyńskim olbrzymi i wzniosły program poezyi, którą wyzwalał z wszelkich naleciałości czasu, naśladownictwa i stosunków przemijających: »Co ty mnie chcesz stosować poezyą do d u c h a c z a s u?! Alboż poezya jest nałożnicą marnych okoliczności?... Poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości: o przeczuciach innego życia, o w s p o m n i e n i a c h t e g o, c o p o p r z e d z i ł o n a s z e p r z y b y c i e n a ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tem wszystkiem, co się zowie u c z u c i e m istoty żyjącej w g r a n i c a c h a przeznaczonej kiedyś do życia b e z g r a n i c.

Inszem słowem, zowie się to wszystko r e l i g i j n o ś c i ą — a to, co ty przeznaczasz poezyi, zowie się po ludzku: polityką, filozofią, prawodawstwem itd.; ale nigdy poezyą! Zapewnie, że poezya zmienia

formy swoje podług czasów i okoliczności, ale jej wszystko jedno, czy z piramid Egiptu, czy z świątyń Turcyi, czy z katedr niemieckich wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia; a że religia chrześcijańska jest ostatnią, dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześcijańską być nie przestanie«. *(Do Gasz. I, 45, 46).*

To wysokie, rzekłbym kapłańskie, pojęcie o dostojeństwie poezyi mogło także oddziaływać hamująco na twórczość jego; nie łatwo pisać, gdy się ma takie wysokie wyobrażenie o poezyi, a w dodatku odbiera się ciągłe ostrzeżenia przed poezyą i od ojca i od przyjaciela. To też poeta żartobliwie na pozór, a ze smutkiem w duszy uspokaja ojca co do *Irydiona* (13-go lutego 1834 r.): »W tych dniach *spróbuję* pojechać na polowanie z Bowerem i Labedoyerem, by zabić bekasa i rzucić go na drugą szalę wagi, do której przyczepiony *Irydion*«.

Wiadomość o zamążpójściu Henryki Willan, otrzymana od Reeva (listopad 1833 r.) nie zmartwiła go zbytnio, jakkolwiek odczuł przykro to zakończenie »dramatu«. Henryce życzył w nowym zawodzie błogosławieństwa bożego, ale nie mógł się zrazu oswoić z tą myślą, że ideał z nad Lemanu jest już żoną jakiegoś nieznanego mu człowieka. »Dziwna to rzecz — pisał — te stare miłości (!) które spią w sercu, a potem nagle się przebudzą bez e n e r g i i, bez szału, ale pełne tęsknoty i goryczy. Otóż przynajmniej jeden dramat rozwiązany, skończony, spełniony«. Do ojca pisał potem prawie obojętnie (19 lutego 1834 r.), że

Henryka Willan »poszła bogato i dobrze za mąż trzy miesiące temu w Londynie«.

W lutym 1834 roku kończył 22 lata, uważał się za »bardzo starego we wszystkiem, krom doświadczenia«; narzekał, że od $2^1/_2$ lat książki żadnej nie przeczytał. »Co prawda miałem lektorów, ale więcej spałem podczas ich lektur monotonnych, hiż słuchałem. Za tem poszło, że zapomniałem, co umiałem (a nie było to trudnem), i że niczego nowego się nie nauczyłem«. (*Do Reeva*). — Z tego, co o sobie pisze, widać, że był nerwowo wyczerpanym, w jakiemś odrętwieniu umysłowem *(inanition morale)*; dziśby to nazwano neurastenią. Jedyną przyjemność znajdował w częstych spacerach za Rzymem po kampanii, a pomimo katarów i nagniotków, tam nabytych, uważał, »że kampania jest bardzo piękną rzeczą. Jest to najogromniejsza nuda, jaką znam, nuda najlepiej wyrażona. Jest tam milczenie, zestarzenie się, ogrom — wszystko razem. Ruiny przechodzą zwolna w proch... wszystko jest osowiałe, bez nadziei, bez postępu, wszystko stoi na miejscu, albo raczej wszystko idzie zwolna ku nicości; ja i *campagna* rzymska tworzymy jedność, a krzyki puhaczów, które cieszą się na tych ruinach, zgadzają się wybornie z napadami wesołości, które budzą się czasem w mem sercu...«

Nie opuszczały go *spleeny* i przywidzenia, których rozprószyć nie mogły przyjacielskie perswazye Danielewicza. Poeta gryzł się wewnętrznie bez wyraźnych powodów. Danielewicz tak to jenerałowi objaśniał (w liście z d. 17 marca 1834 r.):

»Ja w tem wszystkiem widzę tylko wyrafinowany, rozumowy egoizm, którego najlepsze serce, najpoczciwsze dyspozycye przezwyciężyć nie mogą, który nigdy z siebie oka nie spuszcza i w każdym momencie próbuje się i passuje się sam z sobą. W zapale poetycznym ponarzucał sobie despotycznie dziwne systemata i *widzimisię*, pogardzał długo tymi, co im wierzyć nie chcieli, lub nie mogli, dzisiaj przyszła kolej wątpić o ich prawdzie...«

W świecie mało bywał. Lubiał towarzystwo hrabianki Kaliksty Rzewuskiej, córki słynnego Emira, z którą sprzeczał się i drażnił w rozmowie. Była to panna bardzo muzykalna, bardzo wykształcona, ale przytem dziwaczka trochę i znudzona. Wspomina także o ciotce swej, księżnej Lubomirskiej, znękanej cierpieniami, »istocie świętej«, przy której poeta czuł się »bardzo małym«.

Zdrowie zaś pozcstawiało ciągle wiele do życzenia. Z końcem marca 1834 r. żalił się Gaszyńskiemu, że go »oczy żrą, palą, rozdzierają«. Jenerał Krasiński, w ciągłej obawie o zdrowie jedynaka, uprosił Dra Sauvana (warszawianina, z rodziny francuskiej spolszczonej), aby czuwał w Rzymie nad jego synem. Umówiony był projekt kuracyi: Zygmunt Krasiński miał pojechać z Drem Sauvanem do Zurychu, aby tam po naradzie z słynnym lekarzem Drem Schoenlein'em zadecydować szczegóły kuracyi. W związku z tem zapowiadał poeta Reevowi, że w połowie kwietnia wyjedzie z Rzymu na Monachium do Wiesbaden i Ems, aby pokusić się »raz ostatni o odzyskanie zdrowia«. Chciał jechać na Genewę, aby

wznowić dawne wspomnienia i zamawiał tam sobie zawczasu list Reeva („*que les souvenirs reviennent m'entourer*“).

Tydzień wielkanocny pragnął jeszcze spędzić w Rzymie. Wspaniałe uroczystości kościelne u św. Piotra przejęły go na wskróś. Silne wzruszenie wyraziło się w liście do Gaszyńskiego:

»Siedziałem w kościele św. Piotra do godziny dziewiątej w wieczór, słuchałem *Miserere*. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bolu i żalu, rozchodzące się zwolna po tem ogromnem sklepieniu, między massy cieniów, massy złota, marmurów i drogich kamieni, zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra pali się gromnic kilka; a reszta kościoła, to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów, chaos jakiś z marmuru i cieniów. Świat, jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy — Bóg, co skonał na krzyżu; i dziś On, o tej czarnej godzinie, kona w każdym zakącie tego olbrzymiego gmachu

— — Gdzie nadzieja wasza, ludzie, kiedy Syn Boży zniknął i niema Go! Ale trzeciego dnia On zmartwychwstanie i świat ten zbawi. — —

Ale ja już pisać, opisywać nie umiem; czuję głęboko, ale wyrazić, codzień mniej wyrażać umiem. Nie wiem, co się ze mną stało...«

Listy Reeva i Gaszyńskiego napróżno go wyczekiwały w Genewie między 10-tym a 12-tym maja 1834 r. Zmienił plan podróży i nie pojechał na Genewę. Nie trafiało się dotychczas, aby od ułożonych projektów podróży odstępował. Coś w życiu jego

zaszło, co wpłynęło na zaniedbanie Genewy, która miała go przecie wspomnieniami swemi otoczyć... Oto serce jego już obumrzeć miało na zawsze dla genewskich wspomnień!

W sam dzień Wielkiejnocy, 30 marca 1834 r., zawarł Krasiński w Rzymie nową znajomość. Edward Jaroszyński, podolak, heglista, wprowadził go w dom krewnych swych, zamożnych obywateli wołyńskich, państwa Bobrów-Piotrowickich. Pani domu, Joanna z Morzkowskich, jaśniała wtedy całym blaskiem niepospolitej urody. Średniego wzrostu, szatynka, o prześlicznym, prawdziwie polskim owalu twarzy, miała w dziwnych ciemno-niebieskich oczach tyle czaru, w harmonijnych kształtach całej postaci tyle wdzięku, że autor *Nieboskiej* poddał się bardzo prędko nieprzepartemu urokowi dwudziestosiedmioletniej kobiety. Miała ona wzrok krótki, coś sennego w oczach, miękkość jakąś i dobroć, przezierającą i dziś jeszcze z portretów, których kopie podajemy. Była to dama światowa, przywykła do życia salonów petersburskich i drezdeńskich, prowadząca u siebie na Wołyniu w Zahajcach dom gościnny, po staropolsku dla braci szlachty otwarty i licznie nawiedzany, zwłaszcza odkąd mąż jej, Teodor Bóbr, wybrany został marszałkiem krzemienieckiego powiatu. — Mężowi swemu wniosła krociową fortunę, oddając rękę z miłości, wzajem gorąco miłowana. Pobrali się bardzo młodo, może zbyt młodo, aby miłość ta, niedoświadczonego dziecka niemal, mogła przetrwać próbę czasu. Dwie córeczki ożywiały dom szczęśliwy, któremu zrazu chyba ptasiego tylko mleka brakowało. Jak i kiedy

zaczęły się gromadzić chmury nieporozumień nad tem gniazdem rodzinnem, nie potrafimy dokładnie określić. Tyle możemy powiedzieć z jakiem takiem podobieństwem do prawdy, że pan Bóbr nie umiał oprzeć się wpływom wesołych kompanij ówczesnego słynnego »bałagulstwa« wołyńskiego, że dla tych kompanij mógł czasem zaniedbywać ognisko rodzinne, że hałaśliwy światek wołyński mógł w końcu znużyć młodą mężatkę, tęskniącą do wyższych, podniośleiszych wrażeń i że gdy z dziecka zaczęła wyrastać na kobietę, a okiem doświadczeńszem przejrzała pustkę próżniaczych przejażdżek po świecie, zatęsknić mogła do istoty, któraby nietylko piękność jej ocenić, ale także duszę przeniknąć umiała. Zdrowie jej zaczęło niedopisywać; dość wcześnie poczęły się objawy cierpień nerwowych, zmuszających do szukania ulgi w łagodniejszym klimacie. W r. 1831 poznaje ją w Dreźnie przelotnie tam wówczas bawiący Juliusz Słowacki. Drezno było ulubionem miejscem jej pobytu zagranicą. Na jednym z jej portretów widzimy w oddali okolicę Drezna. Duża fortuna pozwalała na częste przejażdżki zagranicę.

Tak upłynęło lat dziesięć jej małżeństwa... Zbliżał się rok trzydziesty życia, owa psychologiczna Scylla i Charybda dla serc kobiecych. Lata mijały. Piękność jej jaśniała w całym blasku...

Aż nadeszła wiosna pod nieskażonym błękitem rzymskiego nieba i tchnienie jej owiało dwoje ludzi stęsknionych, zobojętniałych na pozór, a całą duszą spragnionych poezyi uczuć i wzruszeń.

Niezapomniane dla obojga były te pierwsze tygo-

JOANNA Z MORZKOWSKICH BOBROWA

(1833).

dnie wspólnych wycieczek w okolice Rzymu, te pierwsze spojrzenia upajające, pierwsze westchnienia, rozmowy ciche, słowa urywane, łzy pierwsze...

Oczarował ją polotem swej wyobraźni, wdziękiem słowa poetycznego, urokiem młodego gieniuszu!

Ponieważ państwo Bobrowie opuszczali Rzym 19 kwietnia, Krasiński postanowił towarzyszyć im, póki się dało. Zdawał on sobie odrazu sprawę z niebezpieczeństwa sytuacyi, ale nie miał sił, aby stanowczem z samego początku rozłączeniem się przerwać te rozkoszne pęta, które oplątywały niewidzialnymi a silnymi więzami ją i jego. Pani Bobrowa ufała swej cnocie wzorowej dotychczas żony i matki — może wmawiała w siebie, że pozostanie w granicach obowiązków.

We Florencyi zabawiła z matką swą i mężem czas jakiś; pisał stąd poeta do Gaszyńskiego (19 maja) donosząc, że jedzie na Wenecyę do Monachium i że stanie tam pierwszego czerwca. Łatwo się domyśleć, że tą samą drogą jechali państwo Bobrowie. Jak rozkoszne chwile pędzili zakochani w Wenecyi, widać to z późniejszego ich opisu w liście do Reeva; był to maj w naturze i maj w ich miłości: »wieczory zachwycające, gdzie wszystko brzmiało rozkoszą, miłością, — a nieraz płynąc pod mostem westchnień słyszałem głos, który mi mówił: »k a r a« i »z b r o d n i a«. Ale z głosu tego drwiła sobie pożerająca mnie namiętność. Często cierpiałem, jak potępieniec, wzrok mój był prawie zniszczony, a mimo to wiodłem ją na łodzi w samo południe, wśród oślepiają-

cych blasków słońca włoskiego, na Lido, Malamocco, Chiosę...

»Pamiętam, raz w wieczór, przechadzając się na wybrzeżu pustem Lida, przy blasku smutnym księżyca, na widok miejsc, gdzie z tobą byłem, mówiłem jej o wysokim i bladym Angliku...

Piękną była owej nocy! Miała coś w rysach swych z odaliski i anioła...« (*Do Reeva* II, 71).

Dodajmy zaraz, że mąż i matka pani Joanny towarzyszyli tym wycieczkom po lądzie i morzu. Do Monachium podróżowano wśród licznego towarzystwa razem; stamtąd pani Bobrowa z matką swą, mężem i dziećmi udała się do Wiesbadenu, Krasiński zaś z Danielewiczem pojechał do Kissingen, gdzie już nań oczekiwał jenerał.

Spotkanie z ojcem po dłuższem niewidzeniu było zapewne czułe, ale rozłąka z ukochaną psuła chwile wspólnego pobytu z jenerałem, któremu zresztą syn wyznał najzupełniej miłość swą dla pani Bobrowej. Ojciec, na nieszczęście, nie wziął zbyt seryo tej miłości; może mniemał, że uczucie to minie tak spokojnie, jak miłość dla Henryety Willan; bądź co bądź nie starał się syna oddalić od miejsca pobytu pani Bobrowej. Po miesięcznym pobycie w Kissingen odjechał jenerał W. Krasiński do Polski, a syn skwapliwie skorzystał z tego, aby niepodzielnie oddać cały czas swój ubóstwianej kobiecie. Niepodobna przypuścić, żeby mąż pani Joanny nie domyślał się niczego. Z listów do Reeva widać owszem, że już w Genewie i Monachium bacznie czuwał nad zachowaniem się żony, że domyślał się jej miłości dla

Zygmunta Krasińskiego, ale zawierzał szlachetności obojga; może, podobnie jak jenerał Krasiński, łudził się, że to kaprys przemijający, na który sam czas najlepszem będzie lekarstwem. Nie zapominajmy zresztą, że były to inne czasy, że romantyzm święcił wówczas nietylko w poezyi, ale także w życiu codziennem swe tryumfy, że jeszcze dziesięć lat temu na Litwie pani Puttkamerowa przyjmowała jawnie, z wiedzą małżonka, westchnienia i hołdy niewinne Adama Mickiewicza, któremi tam nikt się nie myślał gorszyć. Tu więc, z początku, otoczenie najbliższe pani Bobrowej nie miało z pewnością powodów do żadnych poważnych obaw. Dla niej hołdy nieustanne dwudziestodwuletniego młodzieńca-poety były upajającym trunkiem. Mogła się czuć heroiną romansów Balzaca, które tak wówczas wchodziły w modę, że nawet Krasiński, ostro odsądzający literaturę francuską współczesną od wartości, napisze wtedy — z pewnością dla popisu przed panią Bobrową — jakąś nieznaną nam niestety »powieść à la Balzac«, do której pod bardzo przejrzystą alluzyą wejdzie »romans mężatki...« (*Do Gasz.* 55).

A cóż dopiero, kiedy jej odczytywał *Nieboską* lub może fragmenty *Irydiona*, dwa utwory, które jej poświęcał — gdy dniami i tygodniami całemi pieścił jej słuch najwspanialszą muzyką słów miłosnych, gdy wzrok jej olśniewał błyskawicami myśli swych niepospolitych, jakich nie słyszała dotychczas od nikogo — czyż dziwić się, że go pokochała jak wcielenie poezyi wśród szarej i nudnej prozy życia, jak promyk słońca wśród mgły jesiennej...

A on? — Dla niego miłość tej prześlicznej pani była wielkiem objawieniem nieznanych mu sił w życiu, ogromną niespodzianką, rozkoszą i boleścią, do których zniesienia sił mu poprostu brakowało. Rozpoczęła się w nim bowiem walka zajadła uczuć prawych, zasad etycznych, będących samą treścią jego ducha, z całą szarańczą instynktów niskich, zmysłowych, które rzuciły się do podgryzania najszlachetniejszych arteryj moralnych. — Namiętność stanęła do walki ze zwykłą, prostą moralnością i burzyła zwolna, bezlitośnie, same podstawy etyki ludzkiej: małżeństwo musiało już uchodzić za najpoważniejsze ze wszystkich błazeństw (*de toutes les bouffonneries — Nieb. Kom.*), aby miłość dla mężatki, i to matki dzieciom, mogła się wydać pobłażania godną. Jako poezya młodości zaczęło uchodzić »rozpasanie wszystkich uczuć« (Listy, I, 51). Nawet autorska ambicya musiała iść na usługi wybiegów zakochanego poety: »By dobrze pisać, trzeba żyć wprzódy. Ja zarzucam na pewny czas pisanie, biorę się do życia: wychylę kilka puharów wesela, kilka puharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i zapiszę i to będzie dobrem... Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd, my przez wieczność całą będziemy w materyalnych ciałach; niema ducha bez materyi, jak niema myśli bez słowa, jak niema ciała bez formy. Są rozkosze i jest poezya materyalna. Tę należy harmonijnie pomięszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon (!?) mu odda. Inaczej niktby nie

uczuł sympatyi do niego, inaczej byłoby to stworzenie nieorganiczne na ziemi, może organiczne na księżycu lub Jowiszu, ale tutaj marne, niezrozumiałe. — Tak więc się zmodyfikowałem i z chmur zstąpiłem...« (*Listy*, I, 51—52).

Ale takie »zstąpienie z chmur« i »zmodyfikowanie« siebie nie mogło się odbyć bez cichych i wyczerpujących walk wewnętrznych, z których wielbiciel pani Joanny wychodził nieraz znękany i bezsilny. Ciągłe udawanie wobec najbliższego otoczenia, ciągła odświętna rola Balzakowego bohatyra zaczęła w końcu nużyć go i moralnie i fizycznie. Nie ukrywał tego przed ojcem, owszem spowiadał się przed nim, jak przed najlepszym, najserdeczniejszym powiernikiem:

»Ja przyznaję jużem zmęczony, choć ją szczerze bardzo kocham i winieniem wdzięczność za tysiączne Jej dobroci, za tysiączne Jej niezrażania się. Na Jej miejscu byłbym oddawna wypędził i z nienawidził p. Zygmunta — ale w tej kobiecie jest jakieś miłosierdzie anielskie. — Słowem, dosyć głupią rzeczą jest mieć stosunki z istotą niewolną, otoczoną przeszkodami; więcej przykrości, niż przyjemności. — Trza cały dzień być na służbie (!!). Nie wiem, co mi się stało, ale zleniwiałem, możem osłabł. — — Z tego wszystkiego wyjdzie jeszcze siła, praca i moc nad sobą«. *(28 lipca 1834 r. z Frankfurtu).*

A nazajutrz, najbliższy świadek tej »służby«, Danielewicz, także osłabiony i wyczerpany swoją znowu służbą i drużbą, tak się żalił jenerałowi:

»Ta mieszanina rozmaitych elementów: świetnego czasami rozumu, na subtelne sofizmata mar-

notrawionego, obok niepojętego w małych rzeczach nierozsądku, nadnaturalnej odwagi, niepotrzebnej obok moralnego tchórzostwa, dobroci serca nieograniczonej, obok lekkomyślności w innych przypadkach, jest dla mnie niepojętą. — Albo to jest niezmiernie słaby charakter. który się okupuje najmocniejszą walką z sobą samym, albo też jest to jakieś wielkie przeznaczenie, które jeszcze swojego zawodu nie znalazło, a w dotychczasowym mu ciasno, albo-li też już w biegu zatrzymane i zmarnowane. Bóg sam to wie i sądzić go będzie. To tylko jest realne, że jest bardzo nieszczęśliwy i wciąż się męczy. Ale czegoż się męczy? O bagatele, któreby każdy drugi pominął...«

»Wracam do mojej teoryi *d'une grandeur en travail, ou d'une grandeur erronée.* Pani S. pisała do niego między innymi taki frazes: *qu'elle est fière de lui au nom de l'humanité.* Dopieroż żale nad panią S., że biedna, nieszczęśliwa, zgubiona etc.«.

Danielewicz w tymże liście zapowiada wyjazd swój do Monachium. Chce tam nabrać sił do dalszych przyjacielskich przy Zygmuncie obowiązków: »bo mi sił już zupełnie brakuje. Od półtora roku, momentu własnem życiem nie żyję tylko obcem, bo ten ktoś nigdy z siebie nie wychodzi; ja więc jestem jak owo pasożytne ziele na dębie, a przyzna JWPan, że dąb dziwnego nabożeństwa«.

W słowach Danielewicza nie było przesady; że »dąb« był istotnie »dziwnego nabożeństwa«, dowodzi niejeden szczegół tej miłości *à la Balzac*, która rozmarzywszy go na dobre, nie dała mu spokoju i mę-

skiej siły. Różne drobne, nieodłączne od takiej fałszywej sytuacyi przykrości, były kroplami zimnej wody na rozpaloną głowę romantyka. Odetchnął spokojniej, gdy krople spadać przestały. Przed ojcem się tłómaczy (a jak się z tych szczegółów jenerał musiał cieszyć!) z Frankfurtu dnia 2 sierpnia 1834, po wyjeździe pani Bobrowej do Ems:

»Pani sama wciąż była fatalnego humoru... spazmy, łzy i długie milczenia. To wszystko bardzo mi serce rwało, bo ją szczerze kocham, bez szału wyobraźni, ale szczerze, prawdziwie z sercem. Nawet odetchnąłem, kiedy odjechała (!). Tęskno mi za nią, ale *jakoś wolniejszy jestem*«.

A w kilka dni potem z zadowoleniem pisał do jenerała z Wiesbadenu (5-go sierpnia 1834 r.):

»Zresztą zdrowie moje dobre. Tylko jeszcze nie pojmuję, co to się znaczy, że nie słyszę głosu pani B., lub pisku jej dziecі«. — Stanowczo wypoczywał po męczącej roli romantycznego kochanka. W tymże liście po uwagach niekorzystnych o ostatniem dziele Lamennego *Les paroles d'un croyant* (»jako poezya małpiarstwo Mickiewicza«), dodaje: »Na świecie literackim całej Europy jedyna nie-mierność, to Mickiewicz... Znam jeszcze jednę nie-mierność, to pani B. — ale tylko na scenie uczuć moich i pragnień«.

Przytaczamy te urywki z listów do jenerała, jako wyraźny i nie podejrzany dowód marzycielskiego jeszcze stosunku do pani Bobrowej. Nie kochanki on w niej szukał, ale raczej duszy czułej niewieściej, zdolnej do zrozumienia go, do otarcia łzy jego w dniach zniechęcenia i smutku.

»Tęskno mi wciąż do p. B. — Jednak ta kobieta była dobrą dla mnie, jak tylko dobrą być można — prawda, że nie na wiele jej się zdałem, ale ją bardzo kocham, n i e s z a l e n i e, o n i e! b r o ń B o ż e! ale tem przywiązaniem *wdzięczności* za łaskę doznaną, *za dobroć nieodpłaconą*...« (6-go sierpnia t. r.)

Zatęskniwszy tak do pani Joanny, zapomniawszy już »o pisku jej dzieci«, wybierał się 17-go sierpnia do Ems, pomimo niemiłej perspektywy spotkania tam także Ankwiczów i jakiejś garbatej Charlińskiej i pani Grocholskiej: »wszystkie baby zazdrośne, że pani B. piękniejsza, do tego Ankwiczowie, którzy może kiedyś myśleli, że się ożenię z ich córką; miłość własna panny Henryety, z którą zawsze mówiłem *exclusive*, wszędzie, gdzie się spotkałem, obrazi się. Już musieli im w Ems dać do poczucia, że Krasiński umizga się do pani B. — a zatem Krasiński znajdzie się w najlichszej pozycyi — wśród dziesięciu bab zazdrosnych, że amanta nie mają itd.... Wielkiej sobie uciechy nie obiecuję w Ems, może dostanę dymisyę — i cóż mógłbym zarzucić? n i e u m i a ł e m k o r z y s t a ć z n i c z e g o; oddano mi wszystko, ja nic nie wziąłem: kobiety dość tego nie lubią«. *(17-go sierpnia 1834 r. z Wiesbadenu).*

A Danielewicz, niezadowolony z takiego dziwnego kochania, na które bardzo trzeźwo i sceptycznie się zapatrywał, napisze w miesiąc potem do jenerała:

»...Smutny i smutny, czy pod okiem kochanki, czy z daleka od niej. Gdyby się tylko trochę zastanowiła pani B., toby dostrzegła, że zamiast z nudów ją wyrwać, jeszcze jej nudów dodaje. T a k i e j m i-

łości nie pojmuję, nie rozumiem, i prędzej rozum stracę, nim pojmę. — —

Nie taki był Zygmunt, kiedym go poznał, za młodu, był pełen błędów, ale też pełen zalet i życia. Marzyłem sobie, że błędy ustąpią, passye zasną, a życie i cnoty zostaną. Życie ustało, cnoty śpią gdzieś głęboko, błędów zrozumieć nie chce, a i passye się znajdą za okolicznością«. *(18-go września 1834 z Wiesbadenu).*

Zygmunt Krasiński nie zatracał jednak nigdy jasnej świadomości własnych swych pomyłek. Młodzieńczy szał porywał go chwilami, ale dni rozwagi zaraz potem nadchodziły, a wtedy nieubłaganym był sędzią samego siebie.

Świadczy o tem obszerny list do Reeva (z Wiesbadenu 25-go sierpnia 1834 r.), w którym streszczał przyjacielowi dotychczasowe dzieje swej niezwykłej miłości. Wyjątki z tego listu jużeśmy wyżej podali, a teraz uzupełniamy je ogólnym sądem poety o tem, co w nim i przezeń zaszło:

»Wiodłem żywot upiększony poezyą chwil doryw-czych, zasępiony sytuacyami przykremi, żywot wznoszący się na przemiany do tragizmu, a potem spadający w buffo, żywot utkany z zachwytów i urągań, ze słabości i egzaltacyi, z błazeństw tego rodzaju, jak moda, wstążka, plotka i z rzeczy poważnych, uroczystych, jak uwiedzenie, upojenie miłosne, zgryzoty cnotliwej kobiety, która się poświęciła, nienawiść dla tego, który jest jej mężem, tysiąc obaw przed niespodziankami i zemstą, tysiąc oczekiwań na szczęście, stokroć zawiedzionych a raz spełnionych, wre-

szcie rozpacz, zwykłe zakończenie podobnego dramatu, gdzie. *jak mówi Balzac:* »Dwie piękne dusze rozłączone są przez wszystko, co się nazywa prawem, a złączone wszystkiemi pokusami przyrody...«

»...Okoliczności stały się coraz nieznośniejsze. Mąż stał się podejrzliwym, zazdrosnym, niespokojnym. Wreszcie rozłączyliśmy się. Ja zostałem w Wiesbaden, ona bawiła niedaleko. Czasem udaję się na dwa lub trzy dni, aby ją zobaczyć. Ale towarzystwo, które ją otacza, zajęte jest plotkami i zazdrości jej urody; to też pada ofiarą cnotliwości tych pań.

Patrz zatem, jak żyłem. Od pięciu miesięcy nie zmówiłem ani jednej modlitwy; jednak nie odczuwam zgryzot. Do tego stopnia silną była we mnie potrzeba działania, która zmuszała mię do życia wszystkiemi memi władzami, do szukania zbawienia tam, gdzie inni śmierć znajdują. Zdrowie moje poprawiło się, a wśród tysiącznych obaw i tysiącznych wyczekiwań nerwy me odzyskały dzielność. Chciałem żyć i żyłem, ale teraz chwila rozłąki się zbliża. Ponieważ to, co się stało, nie było nigdy towarzyską zabawą, ale owszem dramatem smutnym, rzeczywistym, namiętnym, fatalnym i silnym, muszę się teraz spodziewać kary surowej i długiej. Niech i tak będzie«. (*Do Reeva* II, 70, 72).

Ironia losu chciała, że tegoż samego dnia, w którym autor *Nieboskiej* przed przyjacielem swym tak poetycznie »dramat« życia swego »układał«, ów trzeci w »trójkącie«, pan Bóbr z Ems najspokojniej uwiadamiał jenerała o tem, jak się miewa Zygmunt, żartując sobie i z niego i z jego czułych westchnień.

W liście tym traktuje go mąż pani Joanny, jak dobrego, nieszkodliwego dzieciaka. Widocznie ów romans *à la Balzac*, odgrywany to w Wiesbaden, to w Ems, nie był tak dalece niebezpieczny, z pozoru tylko bardzo francuski, w gruncie szczerze jeszcze polski, więcej dający materyału niewieścim plotkom, niż — spowiednikowi...

Listy ówczesne Z. Krasińskiego do Gaszyńskiego nie dorzucają światła na tę sprawę; są one dziwnie krótkie, zakrótkie; mogą nawet obudzić podejrzenie, że je z czasem Gaszyński umyślnie skracał do druku. Lecz i one zawierają uboczne potwierdzenie naszego domysłu, że poeta, dręczony niepokojami sumienia, raczej przesadnie odmalował przed Reevem swe rzekome winy.

»Ja żyję, ale jak żyję? tobym trudno opisał. Naprzód we mnie jest pierwiastek zgubnej goryczy, który objawia się ciągle, czy się rzucę na chmury i siedzę nad ziemią, czy zejdę na ziemię i rzeczywistości się chwycę, tak, że rzeczywistość zda mi się ideałem. Fizycznych nawet rozkoszy dopełnionych niema, umysłowe jeszcze błędniejsze. Gdzież jesteśmy? gdzie żyjemy?« (*Do Gasz.* 23-go sierpnia 1834).

Napisanie romansu *à la Balzac*, w którym puścił wodze ironii, wyśmiewając plotkarki, uwłaczające dobrej sławie pani Joanny, miało także głębsze pobudki historyozoficzne. Od osób, które czytały ów romans i zapamiętały w przybliżeniu treść jego, wiemy, że powieść zaczynała się w sposób żartobliwy od sceny w jakimś sklepie niemieckiego »badu«, gdzie bohatyr odcina się atakującym go plotkarkom;

wraca potem do siebie, by odpocząć i zapada w sen. W tym śnie ma widzenia czasów przyszłych, które mu Dante objaśnia. Występuje tam ludzkość współczesna ze wszystkiemi wadami i potwornościami społecznego ustroju, albo raczej rozstroju, a zatem: militaryzmu, giełdy itd. Słowem mielibyśmy tam już pierwszy pomysł późniejszego *Snu* z t. zw. „*Niedokończonego Poematu*“, wyraźny dowód, jak wcześnie, bo przed ogłoszeniem *Nieboskiej*, autor jej przemyśliwał nad genetycznem uzasadnieniem hr. Henryka, jako przenikliwego i nielitościwego szydercy z rzekomych dobrodziejstw współczesnego mu »postępu«.

Miejmy nadzieję, że ów romans *à la Balzac* nie zaginął na zawsze, że się odnajdzie i rzuci tak pożądane światło na ciągłość rozwoju historyozoficznych myśli poety.

Miłość nie pochłaniała go wyłącznie; myślał także o swych utworach. Dowodzi tego fakt, że w tych właśnie miesiącach letnich 1834 r. czytał pani Bobrowej *Nieboską* w Wiesbadenie, cieszył się jej uznaniem dla tego utworu, rad widział rękopis *Nieboskiej* na stole ukochanej, której miał pieszczone lat tylu dziecię ducha swego poświęcić. Powiózł wreszcie rękopis do Frankfurtu i księgarzowi Jügelowi w największej tajemnicy do wydania anonimowego powierzył.

Wiadomości z paryskiego życia emigracyjnego żywo go obchodziły, a przedewszystkiem ten, co był naszej emigracyi czołem i koroną — Mickiewicz. W końcu sierpnia 1834 r. uwiadamiał z Wiesbadenu ojca o ślubie Mickiewicza z panną Szymanowską i o naj-

nowszym jego utworze, *Panu Tadeuszu*. Zachęcał jenerała, aby go sobie sprowadził, a dla tem większej zachęty zapewniał, że tam już niema »szału poetyckiego pierwszych dzieł« Mickiewicza, że to jest »w swoim rodzaju arcydzieło prostoty wiejskiej«, że »to jest *Pan Podstoli* wierszem napisany«. (29 sierpnia 1834 r.).

Pierwsze wrażenie pobieżne po odczytaniu *Pana Tadeusza* nie pozwoliło jeszcze Krasińskiemu oddać prawdziwego hołdu temu arcydziełu poezyi naszej. Już w kilka tygodni potem mamy gorętsze uznanie dla *Pana Tadeusza* — ale jeszcze nie uwielbienie, które dopiero po sześciu latach nadejdzie. Bądź co bądź zapał dla *Pana Tadeusza* w nim wzrasta; 17-go września 1834 r. pisze do jenerała:

»Niech Papa przeczyta co prędzej *Pana Tadeusza* Mickiewicza. To jedynie dzieło w swoim rodzaju — lepsze od Mon(ach)omachii, komiczne, pełne życia narodowego polskiego, dzieło polskie całą gębą, narodowe, wieyskie, szlacheckie — Don Kiszott polski — dowód nieodbity wielkiego gieniuszu. Wszystko tam się znaydzie: wady i zalety Polski, natura polska, uczucia nasze wzniosłe i śmieszności bez liku — rewolucye nasze, seymiki, szlachta stara i młode generacye, jakobiny i doktrynery — wszystko, wszystko z taką prawdą oddane, z taką prostotą, że aż strach bierze«.—

Spędziwszy drugą połowę września we Frankfurcie, pożegnał w końcu tego miesiąca panią Bobrową. 6-go października pisał do niej z Frankfurtu jeszcze,

uwiadamiając, że stosownie do jej życzenia jenenaście mszy »za duszę kuzynki Józefiny« zamówił, że był w katedrze na jednej z tych mszy, »a dawno już nie był na żadnej«.

Szczegół o mszach niech nas nie dziwi. Pani Bobrowa była osobą szczerze i głęboko religijną. Możemy sobie wyobrazić, jakie walki wewnętrzne toczyły się w niej między duszą na wskróś prawą i szlachetną a nerwami rozkiełznanymi i pierwszymi objawami cierpień, które po latach zamroczą jej umysł. — Rozstanie z Z. Krasińskim było wówczas smętne zapewne, ale nie tak bardzo jeszcze bolesne. Rozstawano się z nadzieją spotkania w roku przyszłym. List pierwszy, po rozstaniu pisany, jest też zupełnie spokojny, o drobiazgach donoszący, zawiera w końcu czułości dla córeczek pani Joanny; nawet o guwernantkę dla nich ma się starać Zygmunt Krasiński.

W kilka dni po wysłaniu tego listu z Frankfurtu, opuścił to miasto poeta i zaczął zwolna kierować się na południe. — 11-go października napisał z Monachium list do Reeva, przepełniony wspomnieniami błogich letnich miesięcy. Z Monachium, gdzie dwa tygodnie zabawił, pisał także do ojca. Samotność oddziaływała zawsze przygnębiająco na poetę. Nie mógł on mówić z Mickiewiczem:

»Samotności! do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno-czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów.
Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami,
Igram z niemi jak z falami...«

Nie! Samotne myśli Krasińskiego nie były falami chłodzącemi — były raczej koszulą Dejaniry palącą... To też narzeka przed Reevem na »samotność zgubną *(funeste)*«, na to, że skazany jest, mimo osób miłujących go, na »samotne życie i śmierć samotną«. Nawet miłość kobiety niezwykłej, »która czoło jego uwieńczyła miłością kochanki, siostry, matki i dziecka«, nawet ta miłość nie dała mu sił i życia. »Przeszła jak marzenie ponad mą trumną« *(Do Reeva*, II, 74—75). Równocześnie zaś odsłaniał przed ojcem sam rdzeń swej natury duchowej i bez litości dla siebie, a ze zdumiewającą przenikliwością i trafnością taki dawał swój wizerunek; *se ipsum pinxit:*

»...Z ludźmi, których znam oddawna, choćbym najserdeczniej ich kochał, staję się martwym głazem, milczącą istotą. Tak przy końcu i z panią B. było. Ileż razy mi przypominała pierwsze dni miłości mojej i moje długie rozmowy, opisy, przemowy, które ona tak lubiła, które ją oszołomiły — pytała się o nie, a ja nie mogłem ich wznawiać. — Niechże trafi się nowy człowiek; wtedy nie rozumiem, jaka siła budzi się we mnie bez wiedzy mojej. Miłość własna staje na straży, jak anioł, wszystkich słów moich, myśl moja pomimowolnie się wytęża, prawie bez rozkazu; staje się mocną. Ja czuję wtedy nieraz, że stwarzam, że wynajduję nowe widoki, stosunki, uwagi. Im mój słuchacz bardziej się dziwi, tem (więcej) rosnę w moc, w wymowę, sam nie chcąc, nie żądając tego, jakby inspiracya jaka spadała na mnie — a kiedy go przekonam, żem silny, leniwieję. — Ztąd

też poszło, że wszyscy, którzy krótko mnie znali, powzięli wysokie wyobrażenie o moim rozumie, — wszyscy, co długo, zwątpili o nim. Sam nigdy tak dzielnie nie myślę, nie zdołam nigdy w samotności tak myśleć; trza mi bodźca, a jeśli go niema, tam raczej zwierzę, niż człowiek...« *(Z Monachium, 12 października 1834 r.)*. — W ścisłym związku z tym własnoręcznym portretem duchowym, jest o miesiąc późniejsza próba wyjaśnienia jednej z zagadek psychologicznych, tak powszechnych u tylu pisarzów prawdziwie twórczych:

»Co to się znaczy, że niby ja wszystkich rozumiem, a nikt mnie? Czy to czasem nie znaczy, że ja nie jestem indywiduum, że nie mam własnego charakteru, ale że mam wielką drażliwość nerwową i moralną, jak kobieta; co robi, że mogę wleść w każdego uczucia na chwilę. — I kobiety, dla tych samych przyczyn, nikt nie rozumie — bo kto może kaprysy, rzeczy nieregularne, niewymiarkowane zrozumieć?« *(Do ojca z Rzymu, 11-go listopada 1834 r.)*.

Z Monachium powoli, na Medyolan posuwał się ku Rzymowi. »Zmieniał miejsca, widoki, ale zmieniał napróżno«, bo ciągle miał z sobą — siebie samego, t. j. stały przedmiot niezadowolenia. Z Medyolanu odezwał się do Gaszyńskiego z narzekaniem na los swój:

»Dotąd nic nie zaspokoiło pragnień moich na tym świecie. Ani żądzom mojej miłości własnej, ani żądzom serca mego nigdy nie stało się zadość... Sam nie wyrozumiałbym, czego żądam, ale czuję skorpiona

żądań, przewracającego się we wnętrznościach moich, który, nie dostawszy nic, sam siebie zakłuwa...

Takie istoty, jak ja, powinne były urodzić się w nieprzeklętym świecie, poczynającym żyć, w wiośnianym Edenie, przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było świętem i wolnem; lub prosto w piekle, jeśli im już los kazał narodzić się wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń«. *(Do Gasz. z Medyolanu, 30 oktobra 1834).*

Narzekał na pustkę ducha swego, na ból fizyczny, który wznosi myśl jego ku Bogu z prośbą o litość, na ból moralny, który oddala od Boga, napełnia duszę zazdrością szatańską, pożądaniami pychy.

Mimo to wszystko interesował się polskiem piśmiennictwem, uwiadamiał Gaszyńskiego o tem, co piszą Dmochowski i Osiński, jak mu się Mochnackiego dzieło o »Powstaniu« wydało, powtarzał mu wreszcie znane już nam z listu do jenerała zdanie swe, niedoceniające *Pana Tadeusza.* Sam także był literacko czynny. Pisząc do pani Bobrowej z Medyolanu list francuski dość obojętnej treści, umieszczał tam ciekawą, niestety zagadkową dziś wiadomość o utworze jakimś drobnym, napisanym na życzenie pani Joanny jako wspomnienie jej zmarłej »kuzyny«. Nie posyła jej utworu tego, chcąc go czytelnie przepisać, a cierpi na oczy. »Starałem się wprowadzić do tych kilku wierszy *(dans ces quelques lignes)* o losie duszy, co uleciała z ziemi, nieco pierwiastku anielskiego, którego mi, zdaniem wielu, odmówiono. Pierwsza to rzecz, jaką w życiu napisałem, w której wyrzekłem się całkowicie środków piekielnych (*des moyens in-*

fernales [!]). Oceni Pani, czy mi się to udało. Aby rzec prawdę, demony zaczynają mnie nudzić. Mam ich dosyć w mem łonie«. (*Z Medyolanu, 28 października 1834 r.*).

W dalszym toku tego listu zachwyca się śpiewem słynnej Malibran w Normie i dołącza osobny list do »Teodora«, męża pani Joanny. Wyprawiwszy do niej drugi list z Medyolanu 4-go listopada 1834 r., wyrażający w ostrożnych słowach tęsknotę za nią i nudę, z ciągłem zapytywaniem się o męża i dzieci — ruszył do Rzymu.

Tu zastał widocznie list pani Bobrowej, bardzo spokojny i trafnie go oceniający, skoro 11-go listopada pospieszał wytłumaczyć się przed nią z zarzutów:

»Chciałbym teraz wrócić do tego, co Pani mówi o mojej imaginacyi, o fałszywości tej imaginacyi i o tem, że ja sam wiem doskonale, jako idee moje są fałszywe«.

Zarzucała mu mianowicie pani Joanna, że »tworzy sobie jakąś doktrynę poetycką, której nie odczuwa, z której może nawet sam drwi, a którą rozwija po to tylko, aby zwieść drugich«. Poeta zastrzega się wobec tego uroczyście: »nie staw mnie pani w rzędzie chorych z imaginacyi«.

A przecież jeśli porównamy zarzuty pani Joanny z tem, co pisze często o Zygmuncie Danielewicz do jenerała — będziemy musieli nie jemu, a jej przyznać słuszność. W końcu tegoż listu ciekawe znajdujemy wyznanie: »Długo nienawidziłem Rzym, teraz go kocham«.

Równocześnie opisywał dokładnie Reevowi stan swej duszy o »porywach szatańskich«. Nie możemy tu przedłużać opowiadania długiemi ustępami jego korespondencyi ówczesnej z przyjaciółmi. Listy te należałoby tu w całości podawać, chcąc w szczegółach określić smutny stan jego fizyczny i moralny. Co w tem najboleśniejsze, to zupełna świadomość powolnego zaniku sił duchowych i cielesnych:

»Nicość życia wypełniła aż po brzegi czarę mego przesytu... Kto mnie zna na wskróś, unika mnie, pyta, kim jestem, skąd przychodzę... Kobieta, którą najdłużej kochałem, która mnie najsilniej kochała, doszła w końcu do przypuszczenia, że byłem dyabłem. Słowem, jestem w walce z braćmi mymi, ludźmi«. (*Do Reeva*. 12 listopada 1834, passim).

Ten zupełny upadek ducha da się tylko wytłumaczyć rozłąką z ukochaną, miłością bez nadziei, aby kiedykolwiek miłość taka mogła się stać jawną i dozwoloną. Moralne uczucie jego cierpiało w tej walce nierównej z pierwszą namiętnością silną.

»Tak Briareus olbrzym stąpał ku mieszkaniu bogów, i dostawszy piorunem w łeb, zwalił się pod gruzami gór, które dźwigał. O, gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę; ponieważ jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą. Nie byłby to posąg Pigmaliona, ale ona, utworzona z żebra duszy mojej, poznałaby mnie, byłaby mną i sobą zarazem. O! wtedy ukląkłbym przed jej śnieżnem ciałem«. (*Do Gaszyńskiego*, 29-go listopada 1834).

Były to sny chorego, sny na jawie, męczące i osłabiające. Stan fizyczny z początkiem grudnia był bardzo zły.

Kiedy niespokojny o zdrowie pani Joanny, przerażony jej milczeniem, pisał do niej z Rzymu 4 grudnia 1834 r., nie mógł dać pocieszających o sobie samym nowin. Chory był na piersi i cierpiał tak silnie, że lękano się, czy to nie suchoty. Poeta dodawał:

»smutne to dziedzictwo, które zapisała mi matka moja wraz z imaginacyą swą, jeszcze smutniejszą«. Przecież pomimo złego stanu zdrowia, a raczej dla tego właśnie, postanawiał poeta zostawić przyjaciołom trwałą po sobie pamiątkę. Po tak długiem milczeniu słyszymy przecież znowu o *Irydionie*, albo raczej o tle jego:

»...zanim zniknę ze sceny, chciałbym tu zostawić coś, coby mnie przypomniało tym, co mnie znali... na kilku stronach chciałbym zawrzeć wszystkie me idee, marzenia, wszystkie pragnienia dalekie, które — czuję to — nie ziszczą się nigdy. Co było myśli mych celem, radbym w słowo silne i majestatyczne wcielić. Sceną tego, co mnie nurtuje, jest Rzym, są wnętrza katakumb; dzieje się to *wśród męczenników*, u szczytu Kapitolu, obok purpury Cezarów. Z tego także względu wolałem pobyt w Rzymie, nie w Neapolu«. (*9 grudnia 1834 r.*).

Zważmy, że w dalszym ciągu tegoż listu opowiada Krasiński pani Bobrowej dzieje Cecylii Metelli, a następnie zajrzyjmy do tekstu *Irydiona;* przekonamy się, że poeta zajęty był wówczas tworzeniem

samego początku drugiej części, gdzie-to mamy właśnie scenę w katakumbach, rozmowę Papieża z przyszłym Cezarem, Aleksandrem Sewerem, a wnet potem z Irydionem:

»WIKTOR. Czekałem na ciebie, Hieronimie — sługi twoje dziś zrana przynieśli ciało brata, ściętego pod mausoleum Cecylii Metelli...« (I, 133).

...(Wchodzi orszak, *męczennik na marach* itd. — I, 135).

A w »Przypiskach« poety do powyższych ustępów czytamy: »Pod mausoleum Cecylii Metelli«. Zdaje się, że obok tego pomnika, wystawionego żonie Triumvira Krassusa, było ukryte miejsce do katakomb. Dotąd stoi obok kościół św. Sebastyana w Kampanii rzymskiej, od którego schodzi się w tę resztę katakomb, po której chodzić można. *[Por. wyżej ustęp z listu do ojca str. 150—151].*

»...Na Forum romanum«. Tak zwał się plac przed Kapitolem... od tego Forum wstępowały schody aż na szczyty kapitolińskiego wzgórza, tam na lewej wyniosłości« itd. (I, 307).

Tak zatem pod świeżem wrażeniem tego początku drugiej części i objaśnień, niezbędnych do tekstu, pisał Krasiński list swój z d. 4 grudnia 1834 roku; o czem jednak nie pisał do pani Bobrowej, a co my dziś jasno widzimy, to, że zaraz po owej rozmowie Irydiona z Papieżem rozpoczyna się ważny dyalog Kornelii z Irydionem, tej Kornelii, którą poeta przyozdobił wszystkiemi blaskami duchowej egzaltacyi i bezgranicznej dobroci pani Joanny. Odnajdziemy ją w tych słowach:

»Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. Ja wiem, żem się urodziła, żeby ciebie zbawić.

»...Od krzyża nigdym oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz, o Panie, dwoje oczu utkwiło mi w pamięci — jego oczy, jego, Panie!«

A jak z listu do pani Bobrowej możemy na pewno wnosić o czynnej pracy nad *Irydionem*, tak znowu z listu do Reeva, w dni dziesięć po tamtym pisanego, widać, że zaprzątała go w dalszym ciągu postać demoniczna Masynissy. Reevowi odpowiada na tezę jego, że »myśl — to Bóg, a namiętność to dyabeł«. Nie zgadza się z tem Krasiński i podaje swoją definicyę szatana, bardzo ciekawą i dla nas ważną, bo daje się ona żywcem zastosować do Masynissy, który najwyraźniej wtedy wysuwał się na pierwszy plan nowego dzieła. Oto najważniejsze zdania z listu do Reeva:

»W starożytności prawdziwy szatan, który bez litości popycha do złego i każe popełniać zbrodnie, to nie Pluton, to Fatum, panujące nad wszystkiem...

»Weź znowu Szatana. Gdzie widziałeś istotę, któraby ściślej rozumowała, wyszedłszy z fałszywej podstawy? któraby umiała lepiej odegrać retora, obracać myślą, uzbroić się w zwątpienie, walczyć słowem zimnem, energicznem, używać teorematów, wywodów i wyników...« (*Do Reeva, 20 grudnia 1834 r.*).

Otóż i profil moralny Masynissy, a wystarczy przypomnieć sobie, jak on argumentami rozumowymi, na chłodno, »obracając myślą« Irydionową, powoli

a statecznie doprowadza bohatyra do upadku, aby z listu do Reeva domyśleć się, że choć nie mówi tam o Masynissie, jego przecież ciągle ma na oku.

I tak dochodził zwolna wśród zmiennych kolei zdrowia i choroby, chwil błogich i zwątpienia, do kresu owego roku 1834-go, który nazywał przed panią Bobrową jednym z najpiękniejszych w dotychczasowem życiu. Był to rok istotnie ważny ze względu na nowe, silne uczucie, które go na ziemi włoskiej opanowało. Na jednostajnej, cierpieniem tylko urozmaiconej drodze jego życia, wykwitł nagle, niespodziewanie, purpurowy kwiat miłości, róża wonna, której czarem upajał się poeta. Jej ciernie nie krwawiły mu jeszcze łona.

II.

RAJ I PIEKŁO.

(1835 r.)

Rok 1835 zaczynał się nie pod najlepszemi auspicyami. Do dawniejszych cierpień fizycznych przyłączyła się jeszcze ruptura, która zmuszała go do ostrożności w ruchach, co znowu oddziaływało źle na cały organizm, wymagający ruchu. Otoczenie w Rzymie było dawniejsze: księżna Lubomirska, Adam Sołtan, Dr Sauvan i nieodstępny Danielewicz. Wspomnienia rozkosznych miesięcy wiosennych i letnich r. 1834 zatruwało mu teraz pobyt w Rzymie. Odzywał się dwukrotnie w styczniu 1835 r. do pani Bobrowej (10-go i 21-go stycznia), ledwie hamując żywsze, gorętsze wyrazy. Narzekał na nudy rzymskie, na kobiety, zajęte plotkami, a tu miał z pewnością na myśli dom pp. Ankwiczów, gdzie nie stracono jeszcze nadziei pozyskania *„Mr. le Comte“* na zięcia. Przed Gaszyńskim roztaczał smutny obraz stanu swego:

»Chorobą fizyczną zniszczała lepsza połowa ducha mojego. Tej sprężystości już nie mam, którą dawniej

gibki byłem, czy w mówieniu, czy w pisaniu... świat zewnętrzny nieznośnie mnie cięży...

...Dogorywa w piersiach zapał, w głowie myśl, w sercu uczucie. A nie dzieje się to mimo wiedzy mojej: owszem widzę każdą iskrę, co gaśnie, każdą sprężynę, co pęka, widzę duszę moją zwijającą się w popiół jak list spalony, co zżyma się i tli jeszcze i tuż, tuż, już zczernieje, rozwieje się w nicość. *Siła analizy* pozostała mi; nią, jak ostrzem zatrutem sam się rozdzieram i kraję, konam z przytomnością umysłu«. (I, 62. Do Gasz. 8 lutego 1835 r.).

Ta »siła analizy« nie była jednak właściwie *siłą* ducha, była raczej objawem jego niemocy i zniechęcenia, których źródłem znowu opłakany stan zdrowia i starganych nerwów. To, na co patrzał w Rzymie, rozdrażniało go tylko. Widział sędziwą księżnę Lubomirską, dręczoną skrupułami religijnemi, więc zaraz lękał się, by w takiż stan duszy nie popadła pani Bobrowa. To też w liście do niej z d. 8 marca 1835 r. złorzeczy księżom w ogólności i tak do nich zniechęca panią Joannę:

»Księża, po większej części, są dumnymi, jak tyrani, złośliwymi, jak karły. Ich pokora jest udaniem, bo takiej pokory przybrać prawdziwie nikt inny by nie mógł, jak święty, a gdzież świętego szukać w 19-ym wieku, w wieku egoizmu i podłości i niedowiarstwa. Czytaj Pani Ewanielię Fenelona; módl się, ale sama, spowiadaj się, ale sama; nie rozumiem przez to spowiedzi protestanckiej, uczynionej przed Bogiem bez pomocy księdza — ale twierdzę, że można księdzu

wyspowiadać [się] i pozostać samą«. (*Z Rzymu, 8-go* marca 1835 r.).

List ten pisał na wyjezdnem z Rzymu do Neapolu, dokąd wyruszył w towarzystwie Danielewicza. Wspaniały widok na morze, Wezuwiusz i Capri, rozerwał na chwilę znękany umysł jego, ale ani bolu nie ukoił, ani myślom wypoczynku nie dał. Przeciwnie! W Muzeum Burbonów (dziś Narodowem) ujrzał cały szereg wykopalisk pompejańskich, a rozmyślając nad tą straszną katastrofą, dochodził do ponurych wniosków, któremi ledwie śmiał podzielić się z religijnym swym ojcem. Ciekawy to bardzo dowód, jak ciągle pracuje w nim myśl badawcza, owa »siła analizy«, na którą narzekał przed Gaszyńskim. Przyszły autor *Myśli Ligenzy* tak się zwierza ojcu (w pierwszej połowie kwietnia 1835 r.):

»...muszę wyznać tę straszną i tajemniczą prawdę, że natura, że Bóg nieraz postępuje terrorystycznie, że jak rośliny dla zwierząt, zwierzęta dla ludzi gubi, tak też pomniejsze stowarzyszenia niszczy dla większych familij narodów, narody poświęca ludzkości. Ztąd wniosek dalszy, zatrważający: »Komuż ludzkość poświęci?« — bo my nie jedyni, nie ostatni, nie najwyżsi przecie wśród światów.

Wiem-ci ja, że te poświęcenia są tylko pozorne, że to tylko przeniesienie z miejsca na miejsce, że to tylko rozwianie pewnych kształtów, by zaraz tę samą siłę ubrać w inne, ale chwila konania, chwila przemiany jest zawsze bolem i nędzą. Świadkiem niech mi będzie Pompea i Muzeum Bourbon,

w którem my dzisiaj korzystamy z wybuchu zaszłego przed wiekami, przypatrując się kólczykom i fibulom tych biednych pań rzymskich, co wtedy zginęły. Anglicy! podziękujcie! — Ciceroni, podziękujcie — historycy, podziękujcie! Ale jabym nie był chciał przed ową godziną mieć ojca, lub matkę, lub siostrę, lub kochankę w Pompei«. —

Odwiedziny Pompei pobudziły go zaraz do ciekawych zestawień sztuki pogańskiej z średniowieczną. Znać z listu do Gaszyńskiego, jak pomimo zniechęcenia, goryczy i smutku rozum poety dojrzewał szybko i świetnie:

»Byłem w Pompei: w tej odgrzebanej mumii piękne są pomniki. Architektura grecka skandowana, jak wiersze Eneidy; matematyka, prawo rzymskie stare, w kamień wcielone. — Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii, najpiękniejszą z gotyckich utworów, choć niewykończona. W Pompei równoległobok i elipsa, to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone, nic niema za kapitelem kolumny, na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii ty idziesz za strzałą gotycką; a kiedy się przerwie, ty dalej wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje — w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch organiczny, wielki. W Pompei ducha niema, tylko jest ciało i ciało piękniejsze w rzeczy samej, ale zawżdy określone i nieżywe. Fidiasz nicby nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach i potworach dłutowanych w podnożu każdej katedry goty-

ckiej. Wirgiliusz plunąłby na *Fausta* Goethego. Bo im trzeba było symetryi, jedności, regularności; co pochodziło stąd, że oni tylko jednę część człowieka znali, to jest ciało i z tej części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu złożonem z duszy i ciała, między którymi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch«. (*Neapol, 26 kwietnia 1835 r.*].

Doświadczał tego najlepiej na sobie twórca *Nieboskiej*, niespokojny kochanek. W niepewności o zdrowie pani Bobrowej, która leczyła się w Niemczech, spróbował Krasiński uchylić nieco zasłony przyszłości i uciec się do wróżb, nie cygańskich — ale zakonnych. Był w Neapolu klasztor *Sepolte vive*, zakonnic, zwanych *Trenta tre*. Siostra Agata przepowiadała tam przyszłość. Krasiński poszedł do *Trenta tre*, powiedział przy kracie imię ukochanej i po dziewięciu dniach dowiedział się, że osoba, o którą mu tyle chodziło, umrze niebawem, *perchè è giovane, sensibile e affezionata;* na domiar nieszczęść: *la sua morte sarà dura*. Krasiński był przerażony, tem bardziej, że list pani Bobrowej, w tych czasach otrzymany, donosił, »że choroba jej postępuje i spełnia powoli dzieło zniszczenia«. Tu należy zaraz uspokoić czytelnika: siostra Agata gruntownie się pomyliła, gdyż pani Bobrowa wyszła szczęśliwie z owej choroby, bardzo długo żyła i Krasińskiego o lat trzydzieści przeżyła. Ale wówczas zaniepokojony był Krasiński do najwyższego stopnia. 21-go kwietnia 1835 r. posyłał pani Bobrowej kwiaty z pod Wezuwiusza

na dzień 7-go maja i zapewniał ją, że siostry *Trenta tre* modlą się o jej zdrowie.

W Neapolu mało wychodził z powodu niepogody i wiatru, bardzo szkodzącego oczom. Wyszedł na tem najlepiej *Irydion*, nad którym poeta dalej pracował. Zapewne też korespondował z księgarzem frankfurckim Jügelem w sprawie *Nieboskiej*, która już w końcu lutego 1835 roku była wydrukowaną. 30-go marca bowiem zapytuje Krasiński panią Bobrową: „*Ce bałamut de Jugiel vous a-t-il envoyé le Livre?*“

Czytał tam z zamiłowaniem Herdera, zajadłego wroga katolicyzmu, »który mało przyznawał Chrystusowi, ale wzniosłym był w swej powadze, potężny rozumem, sędzia nieubłagany podłości i zbrodni, czasem prorok... w gruncie materyalista...«

W tym samym liście (z d. 4 maja 1835 r.), w którym donosi Reevowi o wyjściu z druku *Nieboskiej Komedyi* i o jej powodzeniu na emigracyi, uwiadamia go także o *Irydionie:*

»Zawsze jeszcze piszę powoli poemat mój *Irydion, syn Amfilocha.* Chrześciaństwo, Północ i Cesarstwo Rzymskie mieszają się tam i utrudniają pisanie. Ale jakoś idzie i pójdzie; wiek nasz poddaje mi symbole zepsucia i gwałtu. Bohatyr mój ma coś z Hamleta, ale cele są ogromniejsze i wymagają gieniusza praktyczniejszego. Choć jest on prawym, przeznaczeniem jego jest zginąć, bo przybył za wcześnie: chciał on wypełnić w jednym dniu przeczucie wieków przyszłych. Ale niech przynajmniej cała ziemska chwała nie stanie się udziałem tych tylko,

co zwyciężyli i dokonali dzieła; niech też iskierka spadnie na tych czoła zwiędłe, którzy pragnęli tego, co wielkie i dobre — a opuszczeni od ludzi i rzeczy mogli być tylko głosem donośnym na puszczy«.

Z początkiem maja (5-go lub 6-go) wyjechał Krasiński z Neapolu do Florencyi i miesiąc tam zabawił. Wyrywał się do Kissingen, gdzie pragnął spotkać panią Bobrową; ale planom tym stał na przeszkodzie najprozaiczniejszy brak gotówki. Niecierpliwy kochanek skracał sobie czas listami. Dnia 15 maja 1835 r. wyprawił z Florencyi do pani Joanny czuły a zarazem smutny list. Przypomina tam rocznicę wspólnego ich we Florencyi pobytu, tak odmienną pod każdym względem. Żali się na coraz gorszy stan wzroku: »Danielewicz prowadzi mnie na ulicy za ramię, bo oczy mam zamknięte. Tylko wieczorem mogę patrzeć. — Radbym wiedzieć, czy otrzymała Pani *Nieboską*. Ja ją dostałem. Chciałbym wiedzieć, że dziecię to spoczywa na stole u Pani; kiedyś podobało się ono Pani (zdaje mi się, że to było w Wiesbaden). Odebrałem list z Paryża, gdzie mi mówią, że nikt nie zna nazwiska autora i *że z największym entuzyazmem od Mickiewicza, Goreckiego i w ogólności od wszystkich była przyjęta*...« (Te ostatnie słowa po polsku w liście francuskim).

O *Nieboskiej* mógł pisać do pani Joanny (wszak jej poświęcał to dziecię długich rozmyślań), do Gaszyńskiego i Reeva, tylko nie do ojca. Głuche milczenie o twórczości wogóle panuje w listach poety i Danielewicza do jenerała Krasińskiego. Syn, może

zrażony cierpkiemi uwagami ojca o *Agay-Hanie*, nie wspominał już nawet o znanym jenerałowi z Petersburga *Irydionie* — cóż dopiero o *Nieboskiej!* Wogóle w tych miesiącach zwiększonego cierpienia oczu i podrażnienia nerwowego, staje się też ton listów synowskich nie powiem chłodny, ale jakiś twardy. Zapewne i listy jenerała były wówczas pełne wymówek o ciągły pobyt za granicą, o czas marnowany i t. p.; syn zaś usprawiedliwia się, ale dość szorstko, z pewnem zniecierpliwieniem. To raz napisze ojcu: »Ja i matka moja byliśmy tylko smutkami dla Papy. Jej losy ciągną się we wnie«. (18-go marca 1835 r.). To znowu, dotknięty jakąś ironiczną uwagą ojca o swych śmiesznościach czy dziwactwach, odpowie mu w słowach, drżących od wzruszenia i serdecznego bolu:

»Oprócz moich śmieszności, które do mnie indywidualnie należą, moje uczucia odziedziczyłem po ojcu i jestem tem, czem być Papa sam mi kiedyś wskazywał. Co do mego serca, ono bije dla Papy. Co do mojej choroby, mam ją po matce: nie można mi jej za winę przypisywać. Co do mego losu, jest on wypływem tego wszystkiego i oprócz tego wszystkiego, innych, niezależnych od nikogo z nas, ale od Fatum okoliczności... Jestem istotą chorobliwą, cierpiącą, śmieszną może często — rozum mój niech puszczony będzie na łup krytyce wszelakiej, ale serca mego bronię i bronić zawsze będę z głębokiem przekonaniem, że ono bije na swojem miejscu i że ani razu, od kiedy żyję, nieszlachetnie nie uderzyło«. (*Z Florencyi, 15 maja 1835 r.*).

A kiedy, już po wysłaniu tej obrony, otrzymał od ojca jakiś inny list, pełen wyrzekań na wspólną ich, ciężką dolę, na los ten bezlitosny, co ich obu rozdzielił i w rozłące latami trzymał, — gdy wspomniał, jakim-to strasznym zbiegiem okoliczności ojciec jego wydobyć się nie mógł z zaklętego koła, które mu zakreślił rok 1831, — gdy rozważył, jaką przepaść wykopał ten ojciec między sobą a narodem, on, co Polski nigdy nie przestał kochać: na wspomnienie całej tej tragiczności, której brzemię obaj dźwigać musieli, syn złożył hołd cichym cierpieniom ojca ukochanego w tym wspaniałym liście z Florencyi z d. 26 maja 1835 r.

»Jeśli ja Papie dniem i nocą stoję na umyśle, ciężę na sercu, o! niech Papa wierzy, że i ja nie spuszczam losów ojca i jego położenia z oczu, z głębi duszy — Niech Papa wierzy, że dnia jednego nie było podczas całej mojej młodości, w którym-bym Boga nie prosił, w którym-bym nie płakał sercem całem, w którym-bym nie czuł tego ogromu męczarni, nie podzielał tych samych oburzeń się przeciw ludziom i rzeczom, nie doznawał tych samych wrażeń rozdzierających. Tylko u Papy to się dzieje za kurtyną, to się odbywa daleko od ludzi — u mnie to wydobyło się na wierzch, to może w oczy mi wlazło, to mi duszę zniszczyło, to mnie nauczyło nie mieć tych chwil pociechy i radości, które inni mają. Nie! Lekkomyślną istotą nie jestem. — — —

Choć oddaleni, choć rzadko spotykający się razem, a wtedy mówiący rzadko o tem, o czem napomykam teraz, jednak bądź pewny Papa, że obaśmy

na chwilę nie przestali chodzić w jednem kole — zaklętem i tem samem. Żadna ułuda, rozkosz żadna nigdy nie przytłumiła we mnie tych skrytych cierpień — a że ich wypowiedzieć nie mogę, więc w spleeny, w marzenia wpadłem dla tych, którzy mnie widzą...

Papa powtarza mi zawsze, że nie rozumiem mojego położenia; przecież tyle razy byliśmy razem, że mogliśmy o niem się rozmówić. — Zdaje mi się, że je doskonale rozumiem i z tej przyczyny cierpię, z tej przyczyny nie jestem i nie będę tem, na co Bóg mnie stworzył — z tej przyczyny musiałem sobie świat własny, mój, oddzielny stworzyć, by choć dźbło jedno niezeschłe, kroplę jedną, niezatrutą na tym świecie posiadać«.

List ten wyjaśnia wszystko w stosunku na pozór dziwnym ojca do syna i syna do ojca. Związani wspólnem cierpieniem, wspólną niedolą, wspólną służbą jednej i tejże idei narodowej, rozdzieleni przecież byli odmiennością wyobrażeń, rozbieżnością dróg, któremi pragnęli dotrzeć do wspólnego celu, różnicą usposobień i temperamentu, upodobań filozoficznych i estetyczno-literackich. Syn był orłem, szybującym w przestworzach, Ikarem, wzbijającym się na skrzydłach natchnień zawrotnych — ojciec Dedalem, świadomym labiryntów ziemskich i zamierającym z trwogi, by jedyny Ikar jego nie roztrzaskał głowy w upadku z podsłonecznych wzlotów...

»Musiałem sobie świat własny, mój, oddzielny stworzyć...« Tym światem jego to świat natchnień, świat *Nieboskiej*, świat *Irydiona*. W nim żyjąc, za-

pominał na chwilę, że nie jest na »ojców ziemi«, że »deptać musi obcych ludzi łany«, a w grodzie Danta czuł, że już za życia przechodzi przez piekło.

Przymusowy dla zdrowia, dłuższy pobyt we Florencyi wpływał dodatnio na dalszą pracę nad *Irydionem*, który w tym czasie doczekał się prawie ukończenia. Dowodzi tego długi i ważny list do Reeva z Florencyi, dnia 3 czerwca 1835 r., zawierający zupełną treść nowego utworu:

»Zdrowie moje jest złe, czego dowodem list ten nie moją ręką pisany. Mimo to doszedłem prawie do końca owego Irydiona Amfilochidesa, który po trzykroć darty, dziesięć razy przerwany bądź to z powodu mych cierpień, bądź też z powodu mych namiętności, nie przestawał od trzech lat dręczyć mego mózgu, rosnąć tam i wydobywać się częściowymi połogami. Teraz z tego chaosu Rzymian, barbarzyńców i pierwszych chrześcijan wysnułem myśl tak drogą memu sercu, tę myśl zrobiłem człowiekiem pochodzenia greckiego, który za dni potęgi i zepsucia cezarów szuka zemsty na tym Rzymie, co zwiódł Ateny i zdusił Korynt.

Człowiek ten jest samotny. Ojciec jego umarł, zostawiając mu w spuściźnie nienawiść cesarstwa, matka jego, kapłanka Odyna, porwana niegdyś w Chersonesie cymbryjskim, otruła się, kiedy był jeszcze dzieckiem. Została mu siostra; wydaje ją Heliogabalowi, aby pomięszała mu zmysły i stopniowo doprowadziła do szaleństwa. Osiągnąwszy ten cel, ubezwładnił cezara; staje się prefektem jego pretoryanów, jego bezwzględnym władcą. A wówczas

wmawia w niego, że potrzeba, aby cezar dla ocalenia cezara działał tajemnie przeciwko wiecznemu miastu. Pobożnym Eneaszem mego Turnusa jest Aleksander Sewerus, syn chrześcijanki Mammey. Irydyon i Aleksander spiskują równocześnie. Lecz Aleksander chce zdetronizować cezara i wrócić cesarstwu potęgę, Irydyon zaś chce jednym zamachem obalić Rzym za pomocą wszystkiego, co ma pod ręką, za pomocą cezara, pretoryanów, chrześcijan i barbarzyńców. Myśl jego, potężna i szalona, zrywa się, jak gdyby za podmuchem rozpaczy i nienawiści przeciwko wszystkiemu, co jest rzymskie; w tym stanie musi jednak udawać dniem i nocą.

Niewolnicy i gladyatorzy żyją w pałacu jego z jego ręki, znalazł dwóch starych patrycyuszów, doprowadzonych przez nędzę do tego, że muszą w cyrku walczyć; wyjawił im myśl swej zemsty. Scypion i Werres, obaj łachmanami okryci, z uśmiechem przyjęli myśl zasztyletowania Romy, ich niegdyś matki, a dziś macochy.

Z pośród tych wszystkich osób i tych wszystkich namiętności wznosi się spokojna postać starca afrykańskiego, Masynissy. Powaga jego jest gorzka, jak każde z jego słów; zdaje się nieraz, że żył on od wieków i że nigdy nie umrze. Pierś jego jest gorejąca, sarkazm i pycha wylewają się z niej, jak z otchłani. On jest jedynym powiernikiem Irydyona. On go pobudza do znoszenia cierpień w milczeniu, powtarzając mu, że jest inny Rzym poza grobem i że przeciw temu Rzymowi trzeba będzie walczyć wieczność całą. Pobudza go potem do uwiedzenia i uzbro-

jenia katakumb. W katakumbach jest dziewica, chrześcijanka, fanatyczna i nieskalana, która stanie się szaloną z miłości. Nie mogąc buntem zgrzeszyć przeciw Chrystusowi, mdleje u stóp Irydiona, a przyszedłszy do zmysłów, uważa go za Chrystusa, który przyszedł ugruntować *millennium*. Wszystko do tej pory zapowiada zwycięstwo dla bohatyra, ale w dniu umówionym, w chwili, kiedy ponurym wzrokiem tryumfującego Katyliny ogarnia miasto, które ma poświęcić bogom podziemnym, w chwili, gdy podnosi rękę, by zapalić stos, mający być hasłem pożaru Rzymu, zdradzają go chrześcijanie. Biskup Rzymu wyklina ich, kiedy uzbrojeni już mieli wyruszyć z łona katakumb.

A wtedy Irydion, który przyjął był chrześcijaństwo, wraca do bogów swej matki, do nieubłaganego Odyna. Heliogabal i boska Elsinoe, nieszczęśliwa siostra, giną. Następuje walka krwawa, zacięta, z Aleksandrem Sewerem. A kiedy już wszystko stracił, kiedy żaden pocisk, żaden miecz nie mógł go dosięgnąć, Irydion ucieka, jak Orestes, ku brzegom morza. Tam Masynissa nań czeka, aby mu duszę swą zaprzedał. Zwyciężony, poznaje w ostatniej swej godzinie, że był tylko ideą proroczą o zgubie Rzymu, niczem innem, tylko ideą. Oddaje tedy duszę swą księciu ciemności, ale pod pewnym warunkiem i nagrodą. Chce przynajmniej kiedyś oglądać ten znienawidzony Rzym w błocie i hańbie. Masynissa zgadza się na to i usypia go w grocie górskiej, latyńskiej.

Dzień, w którym Masynissa obudzi Irydiona, to nie dzień Alaryka albo Atylli, ale noc z roku 1835,

kiedy to z Rzymu, panującego materyą i duchem, zostaną tylko, z pierwszej same ruiny, z drugiego zaś strupieszała teologia. — Wstęp jest w kształcie poematu, reszta jest dramatyczna, koniec, przebudzenie, będzie balladą«.

Jest to już zatem bliski ukończenia, ale jeszcze nie wykończony *Irydion*. Zupełnemu wykończeniu stanęła w drodze nietylko pora roku, wielkie już we Włoszech w czerwcu upały, a w związku z niemi wyczerpanie sił, ale także wahanie się co do samej myśli końcowej utworu, jak to we właściwem miejscu wykażemy.

Aby siły swe wzmocnić, spieszył poeta do wód, a w nagrodę pracy twórczej nad *Irydionem* obiecywał sobie, po tylu miesiącach niewidzenia, dni szczęsne, dni radosne spotkania z ukochaną. Wyjechał z Florencyi w pierwszych dniach czerwca do Liwurna, gdzie brał kąpiele morskie. Uwiadomił stamtąd krótko Gaszyńskiego, że około 18 czerwca wyjedzie do Kissingen na trzy tygodnie. Jakoż w ostatnich dniach czerwca r. 1835 zastał w Kissingen panią Bobrową.

Radości i szczęścia obojga opisywać tu ani potrafimy, ani chcemy. Kto kochał prawdziwie, domyśli się, czem dla nich były krótkie chwile błogie po długiem niewidzeniu. Jakże często mogły im na myśl przychodzić wiersze Mickiewicza, które jakby dla nich były napisane:

Potępi nas świętoszek, — rozpustnik wyśmieje,
Że chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszczam, a ona łzy leje.

Ja bronię się ponętom; ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
Któremi ręce związał nam los oplakany...
Jest-że to ból lub rozkosz?...

Ojca uspokajał, aby nie lękał się z jego strony »głupstwa, ni szału«, upewniał go, że to »dni kilka tylko, dni znikomych, dni może szczęśliwych, ale dni krótkich kilka. Jako muszki świętojańskie, tak te dni będą«.

Czuł się szczęśliwym swoją i jej miłością — a przed przyjacielem (Sołtanem) zwierzał się z tego nadmiaru szczęścia; »Zastałem ją dwa razy tyle kochającą mnie, co dawniej. W życiu mojem zapewne już takich dni szczęśliwych nie doznam więcej. Może ci miło będzie wiedzieć, że ten, który cię kocha, dostał się do raju i z raju do ciebie pisze«. Przed ojcem nie ukrywał szczęścia: »Może i serce Ojca się wzruszy na myśl, że jego syn szczęśliwy; jeszcze dni kilkanaście, a potem skończy się młodość — będę człowiekiem«. (Z Kissingen, 3 lipca 1835 r.). — W tych samych niemal słowach wyrażał swój zachwyt w liście do Reeva z Kissingen 10 lipca 1835 r., usprawiedliwiając się przed nim, że go nie zobaczy tego roku:

»Kobieta, którą najwięcej w życiu kochałem (!), ostatnia, koniec mej młodości, początek wieku dojrzałego i męskiego będzie w tym czasie w Tryeście i Wenecyi. Fatalność ciągnie mnie ku niej... Jest teraz tutaj. Mocen jestem i szczęsny, jak bożek pogański. Za dni kilka udaję się do Ischl, z początkiem sierpnia pojadę do Tryestu. Tam pisz. Po dniach tych, co się kończą i nigdy nie wrócą, złożę wie-

PANI BOBROWA

(1835).

niec młodości mej i szału. Stanę się człowiekiem«. (Corresp. II, 92—93).

I jeszcze raz, w samym szale upojenia, nie traci panowania nad sobą, przewiduje krótkość szczęścia i — rzecz wielce znamienna i charakterystyczna — stawia sobie zawczasu program poważny, program pracy ku pożytkowi dobra wspólnego:

»Niema zmiany ani w życiu mojem, ani w szczęściu mojem — to ostatnie nawet rośnie co chwila tylko ostrzega właśnie siłą swoją, że krótkich dni jest tylko ozdobą...

...Potem więc czeka mnie praca męska, wytrwałość i statek, moc nad sobą i niefolgowanie już ułudom. *Zdaje mi się, że Bóg mnie przeznaczył na coś mocnego na tej ziemi, że po uniesieniach młodości będzie coś ze mnie,* że potrafię cierpieć, jak mało ludzi umieją i to dla dobra ludzi...

Je serai homme enfin et j'espère qu'un jour mon nom restera après moi...

...Ogromna, ogromna przemiana bliska mnie, ojcze, będę ją winien najszlachetniejszej z istot słabych i pięknych. Po niej już nikt mnie nie obaczy na ścieżce *de la dissipation. J'ai été né pour aimer une fois et de toutes mes forces, mais non pour être un Lovelace de femmes*".

...Nie wiem, co Papa o tem wszystkiem pomyśli. Ja wiem, że prawdę mówię«. (*Do ojca, z Kissingen 7 lipca 1835 r.*).

Prawdę mówił, bo wówczas istotnie tego dla siebie życzył i tego pragnął dotrzymać. A przewidzieć nie

mógł, że los zadrwi sobie z najwspanialszych jego planów i za chwile »raju«, każe mu zapłacić miesiącami zgryzot i cierpień... Jak tragicznie brzmią nam dziś takie jeszcze zapewnienia, przesyłane w kilka dni później jenerałowi:

»...potem (w jesieni) ona wraca do kraju i wiek młodociany, wiek marzeń, wiek błędnych pragnień kończy się dla Pana Zygmunta — zaczyna się myśl, cel i czyn«. (10 lipca 1835 r. z Kissingen).

Póki byli w Kissingen, byli w »raju«. Ale nieszczęście chciało, że pani Bobrowa przeniosła się potem do Ischl, trafiła tam na znajome Polki, które zaczęły szarpać jej sławę i znęcać się nad nią. Na domiar biedy list pani Joanny, pisany do Zygmunta Krasińskiego, wręczyła poczta przez pomyłkę jakiemuś awanturnikowi o takiemże nazwisku, który listem tym się chełpił, jakby do niego pisanym. Kiedy Krasiński przybył do Ischl, zastał panią Bobrową w stanie wielkiego rozdrażnienia. Oto jak się żalił Sołtanowi (12-go sierpnia 1835 r.): »Raj mój ziemski prysł odrazu. Polki, pani G[rocholska], o której ci wspominałem, i drugie, były w Ischl. Niema potwarzy, szyderstwa, złości, którąby nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G..., zlepiona z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłemi wdzięki, wściekła, że kto inny piękny i kochany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca. Dni tam spędzone były mi piekłem. Dopiero wieczorem odpoczywałem, kiedy wszyscy posnęli: w tym salonie na wieki pamiętnym, wśród krzewów hortenzyi, przy

pół-świetle lamp, przy blasku jej łzawych oczów. Tam jej cała dusza, tyle szlachetna i dobra, na łzy roztapiała się przedemną; tam ją, umęczoną za to, że kocha, pokochałem jeszcze więcej, niż wprzódy. Ale czułem święty obowiązek, srogą konieczność wyjechania, by nie szkodzić jej sławie. Ona zaklinała, by zostać, bo kochała nadewszystko. Ale stało się: wyjechałem, przeklinając świat i podłych i nędznych, którzy mszczą się na tych, co czują, za to że sami nie czują nic, którzy będą lizać stopy pierwszej metresy pierwszego króla, a rzucają potępienie na duszę najszlachetniejszą!

Ale dosyć o nich, dosyć o psach. Wróćmy do ludzi. Zostawiłem ją w rozpaczy; taki koniec raju mojego, Adamie! Jestem, jak potępiony. Nigdym nie kochał, nie wiedział, co to kochanie; dziś dopiero, zstąpiwszy do piekieł z niebios, to poznałem. Dziś dopiero chodzę po spiekłym bruku tego miasta i chciałbym się położyć i skonać na nim, tak mi dolega każda chwila bez niej. Jeżeli były jakie błędy, Bóg je nam przebaczy. Trudno tyle walczyć, co ona, a tyle kochać i szanować, co ja. A im dalej, tem ból większy, tem sroższe zgryzoty«.

»Twój list — pisze z Wenecyi (bez daty) — zastał mnie w Wenecyi w jednej z tych kryzys, które kończą się zwykle szaleństwem lub śmiercią. Słaby jestem bardzo, mam gorączkę okropną, źle mi się dzieje. Świat, który od kolebki mnie napastował i krzywdził, nie wiem za co, i dziś wlazł mi pod moje ołtarze i tam mnie przedrzeźnia i psuje mi szczęście. Ona, jeśli w tych dniach nie straci zmysłów

na zawsze, to cud boski. Ach, jakże ona nieszczęśliwa! Ale nie przezemnie. Świat! świat, *cette idole couverte de clinquant et remplie de boue*, ją rozszarpał i zabił. Jam mu nie hołdował, on się mści. Ja w Wenecyi, ona w Tryjeście. O to prosiła, by niby zwieść tych, co ją prześladują! Ona myśli. że im się opędzi, tym psom zajadłym! A Bóg świadkiem, że to nie była istota, co zasłużyła na potępienie. Walki jej rozpacznemi były, nigdy walczyć nie ustawała, ale świat nie pyta o to... Ten rok wielką zmianę we mnie sprowadził. Miałem chwile takie niebieskie! i takie piekielne także! Szatan kusił mnie kilka razy samobójstwem! *Terrible tentation: tentation des tentations!* Powiedz mi, co ta ziemia, co ludzie, co ja im zrobiłem, że od dziedzińskwa tylko ich obelgi lub przekleństwa słyszałem? Tyś mnie kochał, kilku mnie kochało prawda. Ale ci wszyscy, żeby mi tak zabić moją biedną, moją kochaną, w moich objęciach, żeby jej przeciąć na ustach słowo kocham słowem hańba! I wszędzie, wszędzie ta hańba! I któż je wymawia? Podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie potępi bliźniego, ten czeka sądu Boga«.

To cierpienie nie ustaje, owszem rośnie. W innych listach biedny poeta boi się, że skończy na samobójstwie, to znowu chciałby ją porwać i unieść gdzie daleko, gdyby nie dzieci, których ona ojcu odbierać nie chce; albo unosi się nad szlachetnością i godnością tak, że nieraz »nie już z miłości, ale z admiracyi chciało mu się upaść jej do nóg«. Wreszcie przychodzi chwila rozstania. »Ona wyjeżdża za dziesięć dni. Ja zaraz potem. Ile wycierpiałem,

nie masz wyobrażenia. Ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto mieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej, niż sił przysparza. Co mi najmilszego z tego wszystkiego zostało, to to wyobrażenie, że szlachetniejszej kobiety niema na ziemi, to to przekonanie, że takiego serca daremniebym już szukał w życiu. Ah! co mi życie zatruwa, to, że ona uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obowiązek uważa odwieźć dzieci mężowi i cierpieć. W tem rodzaj ekspiacyi widzi. Ale sił nie będzie miała i umrze, i *Trenta tre się sprawdzą.* Już teraz po kilka razy na dzień mdleje, blada, jak trup, lub rozgorączkowana, jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka! Ludzie to zowią błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż, jeśli ten błąd już w samym sobie swoje piekło zawiera? Jeśli kwiat przez to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć i umierać musi? Biedny to świat, w którym jedyne szczęście przezwali zbrodnią; biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać musi«.

»Addio. Za kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa bytu: Rozum, jak mówią ludzie, rozsądek! co u niektórych znaczy podłość, u niektórych głupstwo, a u bardzo mało cnotę«.

»Drukując te słowa — mówi prof. St. Tarnowski — doznaje się pewnej obawy. Co innego czytać w *Niedokończonym Poemacie* o tych samych uczuciach i dziejach poetycznie przerobionych, a co innego chwytać je żywcem w Listach poety, i tak jak były,

tak jak każdej chwili w sercu jego biły, wywlekać i pokazywać. Czy się nie robi źle? Czy to nie profanacya? nie okrucieństwo, którego wprawdzie nie czuje ten, kto pisał, ale którego za życia nie byłby darował? On pisał z głębi swojego żalu, każde słowo jest jękiem, każda litera łzą, a my patrzymy na to i wystawiamy na widok publiczny chłodno, dlatego, że te listy piękne! Czyż wielcy ludzie, dlatego że wielcy, nie mają tego prawa, jakie ma każdy, do poszanowania tajemnicy najtajniejszych uczuć? Nietylko pogarda, każde uczucie prawdziwe »ma swe panieństwo« i przed ludźmi pokazywać się nie lubi, a cóż dopiero miłość. Poeta może tym razem »znamiętniłby się w przekleństwo«, gdyby wiedział, że jego rozkosze i skargi dostały się do rąk wszystkich, jak rzeczy powszednie, obojętne, jak gazeta!

Nie dla prostej ciekawości też, ani z zamiłowania pogrobowego plotkarstwa o zmarłych wielkich ludziach, szperania w każdem ich uczuciu i wyciągania gwałtem na wierzch wszystkiego, co się kryło w ich sercu lub myśli, ani przez zimną tylko admiracyą dla pięknie wyrażającego się cierpienia, przytoczyliśmy te wyjątki. Dla takich względów tylko nie bylibyśmy się poważyli wydobyć ich z milczenia, które byłoby dla nich najlepszym sposobem uczczenia, najwłaściwszą formą współczucia. Ale zdawało nam się, że wyjątki niektóre z tych właśnie listów Krasińskiego ogłosić można, a nawet trzeba, bo one lepiej, niż cokolwiek innego odpowiedzieć mogą zwycięsko na pewne o nim mylne i niekorzystne wyobrażenia«.

Łącząc się zupełnie z tem zapatrywaniem, przytoczyliśmy tu, oprócz już znanych dawniej i drukiem ogłoszonych, także nowe wyjątki z listów, mogące w świetle prawdziwem przedstawić stosunek zawikłany i bolesny dwojga szlachetnych serc. Nic łatwiejszego dzisiaj, jak rozdzierać szaty z wielkiego oburzenia nad zdrożną miłością: to potępiać panią Bobrową, która, jako starsza, powinna była zawczasu zerwać; to znowu krzywić się na poziom etyczny Zygmunta Krasińskiego, który nie wahał się »uwodzić« kobiety zamężnej... Sąd szczerze ludzki, sąd nie inkwizycyjny, lecz bliźni, wypaść musi chyba tak, jak u prof. Tarnowskiego:

»Niepodobna odmówić współczucia tym dwojgu ludziom cierpiącym i walczącym: kobiecie, która ma odwagę oskarżyć się sama przed mężem, bo w tej szczerości widzi i rodzaj ekspiacyi i godność; mężczyźnie, który ten popęd jej serca rozumie, ocenia i tej potrzebie jej sumienia szczęście swoje poświęca. Ona zapewne szlachetniejsza, bo cierpi więcej i zdobywa się na większy heroizm; ale i on szlachetny«.

A jak na potwierdzenie tego sądu, zjawia się ustęp listu, nieznanego wówczas prof. Tarnowskiemu, a tak pięknie określający, tłómaczący całą niezwykłość tego dziwnego stosunku. Z tego samego Tryestu, który nazywał wobec Sołtana »piekłem« swem (tak jak Kissingen był mu »rajem«), pisze do ojca 16 sierpnia 1835 r.:

»Zanadto kocham, bym mógł uwieść, a jeślim doszedł do najwyższego stopnia miłości, to że to jedyna kobieta, która mnie kochała właśnie za to, za co kobiety

nienawidzą, która przywiązała się do mnie przez litość nad moją konstytucyą fizyczną i moralną. — Ona wprzód nędzę poznała, niż siły — i właśnie do tych nędz się przywiązała raczej jako matka, niż jak kochanka. — *Tout cela est assez humiliant pour moi d'après le monde, mais d'après mon coeur, non* — bo w tem dowód, że ta kobieta mnie kocha, że coś musi być w mojej duszy serdecznego i dobrego. *Elle m'a aimé parce que j'étais faible et malheureux.* Za to jej wdzięczność najświętszą winienem«.

Po smutnych dniach w Wenecyi, pełnych goryczy i »szatańskich« pokus samobójstwa, pożegnał na krótko Krasiński panią Bobrową i w towarzystwie Danielewicza udał się do Wiednia, dokąd przybył 14-go września. W oczekiwaniu pani Bobrowej, która na Wiedeń wracać miała do kraju, spędził poeta kilka tygodni w względnym spokoju i dokończył tu ostatecznie *Irydiona*. W końcu października przybyła pani Joanna do Wiednia. Zbliżała się chwila rozstania na długo... Smutne były ostatnie tygodnie, tem smutniejsze, że Krasiński rozdrażniony był całą nienaturalnością stosunku, a może i cierpkiemi uwagami Danielewicza, który nie szczędził mu przyjacielskich perswazyj. Danielewicz bardzo sceptycznie zapatrywał się na miłość Zygmunta. Nie wierzył w jej trwałość, nie oceniał jej siły, po prostu nie rozumiał takiej miłości. Jeżeli Odyniec nie pojmował całej potęgi miłości Mickiewicza dla Maryli, którą nazywał: »at sobie kobietą« — to Danielewicz pisał wprost do jenerała: »Nie mogę tego sobie wytłumaczyć, aby cała egzystencya, wszystkie siły, wszystkie myśli,

wszystkie uczucia zaplątały się w niewieściej spodnicy, jak w pajęczynie. Co moment mamy w ustach: »Duszę Szatanowi za jeden moment...« — Narzekał na *orgie morale*, którą, wedle wyrażenia jenerała, Zygmunt lubiał sobie wyprawiać, sądził, że dla swego systematu przyjaciel jego gotów wszystko poświęcić, nawet panią Bobrową, wreszcie żalił się zniechęcony w słowach, nie pozbawionych pewnego lekceważenia; *pluralis maiestaticus* dodaje tu jeszcze soli gryzącej:

»...na scenę występują hypokondrye, kwasy, czasem i gniewy i oświadczenia nieukontentowania, a nic nie zaręcza, że i dyabły i co innego nie powrócą. My rządzim teroryczne. A opinia? co nam po opinii? Wtenczas tylko nieznośna, kiedy przyjdzie do salonu, bo przeszkadza, za salonem my żartujem z opinii...« (*Z Wiednia, 18 października 1835 r.*).

Jak złożoną, niełatwą do ujęcia i scharakteryzowania, jak po prostu zagadkową osobistością był Zygmunt Krasiński nawet dla najbliższych, najżyczliwszych mu osób, dowodzi ustęp z innego listu Danielewicza do jenerała. Zważmy, że pisał to człowiek niezwykły, filozoficznie wykształcony, artystycznie wrażliwy, a przytem tyloletni przyjaciel, w końcu nieodstępny druh Zygmunta Krasińskiego, obserwujący go z dnia na dzień latami całemi. Jakże my dzisiaj, w lat siedmdziesiąt po zdarzeniach, możemy sprawiedliwie przeniknąć pobudki działania poety, skoro Danielewicz wyznaje swą bezsilność w tym względzie! Przypatruje się zjawisku psycho-

logicznemu, ale o rozwiązanie sprzeczności nawet się nie kusi:

»Jest to — pisze o nim — człowiek zupełnie różny od innych ludzi, ani go wymiarkować, ani przewidzieć, ani zapobiedz nie znam sposobu. Kiedy go nic nie porusza, ciasno mu, duszno, nudno, i zamiast, coby chciał usiłować, aby cokolwiek swoją ciasnotę rozprzestrzenił, jeszcze gorzej ścieśnia się i dusi, kwasi, nudzi etc.; niechże iskra jaka ten proch zapali, to i świat nie jest dosyć szeroki dla niego i Pan Bóg sam kapitulować musi. Ja wiem, co mnie za miesiąc czeka; na mnie się oprze *tout le revers* tego pięknego życia. Jednakże zawsze, gdy się co złego stanie, dziękuję Bogu, że nie gorsze«. (*Z Wiednia, 29 października 1835 r.*).

A tymczasem zbliżały się ciężkie chwile rozstania dla obojga zakochanych. Już 3-go listopada 1835 r. pisał poeta do ojca: »kiedy myślę, że się zbliża dzień rozstania, to drżę cały... I w rzeczy samej od dwóch lat żyłem prawie tylko w tej kobiecie... A teraz przychodzi koniec«. — 16-go listopada wyjechała pani Bobrowa z Wiednia, odprowadzał ją Zygmunt do wioski okolicznej i zwierzał się ojcu: »Od śmierci Matki takiego żalu tkliwego, serdecznego nie czułem...« A do Edwarda Jaroszyńskiego, któremu zawdzięczał poznanie pani Bobrowej, napisze: »Dzień 16 Nowembra był dniem śnieżnym, ponurym, z tych dni nieśmiertelnych, które nigdy w pamięci nie wymierają: z tych dni zabijających, stanowczych, które odmieniają postawę, twarz, ruchy człowieka, a w duszy jego coś niszczą, przetwarzają;

z tych dni koniecznych, w których objawia się siła przeznaczenia, jakby siła jaka natury ślepa, ogromna!... Ten dzień przeszedł mi nie w Wiedniu, ale w jego okolicach. Ten dzień przeszedł mi jak sen, a został się we mnie jak męka: Kiedy pomyślę o nim, zda mi się jakobym widział rusztowanie i słyszał ostatnie namowy księdza. Po tym dniu życie moje stało się bryłą granitu: ni mchu, ni rosy!«

Serce się w nim kruszyło, ale rozum wracał rychło do równowagi i spokoju. Już w dwa tygodnie po smutnem rozstaniu, szukał ukojenia w pracy umysłowej, zaciekał się w badania filozoficzne i zdawał z nich ojcu sprawę:

»Görres i systemat sceptyków wydał nowe dzieło, które rzuciło się w zapasy z analizą i śmiercią, powoli wkradającą się we wszystkie gałęzie nauk filozoficznych. Z tego wynikło, że systemat Heglowski wziął w łeb, że Heglanie bardzo pomieszani i nie wiedzą, jak odpowiedzieć. Zdaje się podług tego niespodzianego usiłowania otrząśnienia się ze śmierci naukowej, że nowym zupełnie kierunkiem pójdzie filozofia niemiecka, chociaż i to przyznać jej trzeba, że pomimo świetne obietnice, których nie skąpi, wogóle dość niezrozumiała, a kto wie i szarlatanizmu może pełna. Bądź co bądź wyjście tego dzieła sceptycznego p. t. *Wissenschaft der transcendentalischen Vernunft* ogromny ruch umysłowy sprawiło w Niemczech i stało się powodem wielu dyskusyj, a co dziwniejsza, Wiedeń nawet, dość nienaukowy zwyczajnie, dość niefilozoficzny, zapaliło. Czytam je właśnie teraz«. (*Z Wiednia, 29 listopada 1835 r.*).

Ważny to ślad nieustających studyów filozoficznych; niedawno jeszcze rozczytywał się w Herderze.

Po pięcio-miesięcznem milczeniu odezwał się znowu do Reeva, streszczając mu dzieje ostatnie swej miłości:

»Nie pisałem przez cały czas pobytu mego w Kissingen, bo żyłem w jakiejś zawierusze wzruszeń, radości i rozpaczy, która tamowała mi oddech moralny, a omal że nie pozbawiła mnie tchu fizycznego. Teraz, skoro zawierucha ta przeszła jak symum pustyni, zostawiając po sobie popioły i samotność — teraz, kiedy nie działam już, nie jęczę, nie płaczę, nie śpiewam radośnie, lecz trwam w nieruchomości i ciszy, uderzony piorunem, przybity pożegnaniem, żyjący roślinnem życiem, odwoływam się do Twego wspomnienia«. (*Z Wiednia, 5 grudnia 1835 r., Corresp. II, 94*).

A chociaż w tymże liście wyrzekał na »pustkę straszną« po wyjeździe pani Bobrowej, nie zapominał przecież o kwestyach naukowych, zalecał bardzo Reevowi »Historyę Francyi« Micheleta, jako pierwsze dzieło francuskie »prawdziwie i wysoce filozoficzne«. — Zaczął bywać w salonach wiedeńskich, przypatrywał się bacznie figurom tam się ruszającym i obdarzał ojca świetnemi sylwetkami Polaków wiedeńskich. Nie możemy się oprzeć pokusie przytoczenia tu przynajmniej jednej takiej mistrzowskiej charakterystyki typu, który żyje dziś jeszcze i chyba nie prędko wymrze na *Grabenie*:

»Jest S., zupełnie człowiek znowu 19-go wieku, rozumny na biuralistę, a zatem mniemający, że po-

winien być ministrem, że to niesprawiedliwość losu, która go ściga — a zatem z swojej strony ścigający językiem wszystkich majętniejszych i wyższych od siebie. Dowcipny zgryźliwie, ale otwarcie. Egoista także, ale na zasadach poświęceń i wysokich idei — trochę poeta, nieco filozof, poniekąd historyk, wieczny krytyk wszystkiego, Byron kancellaryi austryackich (!!), Katon utycki, mieszkający na 3-im piętrze, pijący kawę w kaffenhauzie, chodzący we fraku na salony — *powtarzam, człek 19-go wieku*«. (*Z Wiednia, 20 grudnia 1835 r.*).

Wśród takich to zawikłanych i nierównych wrażeń kończył się ów niespokojny rok 1835, w którym Krasiński przechodził z »raju« do »piekła« miłości, bywał to szczęsnym i mocnym jak bóg pogański, to znowu »bryłą granitu« bez mchu i rosy... A jenerał odczytując zdala od syna w listach jego lipcowych zapowiedzi »pracy męskiej, wytrwałości, statku, niefolgowania już ułudom« — i porównywając je z jesiennemi narzekaniami Danielewicza, nie taił tego, że uważa jedynaka za »bardzo lekkomyślną istotę«. Syn zaś nawzajem dąsał się 26 grudnia 1835 r.: »Papa sobie *systemat* o mnie ułożył!«

* * *

W pierwszych dniach stycznia 1836 r. wyjechał do Florencyi. »Przez śniegi i wiatry i góry« przedzierał się z Lombardyi ku Florencyi; z powodu różnych przeszkód musiał nałożyć drogi i z Medyo-

lanu jechać do Genui, stamtąd morzem do Livorna 24-go stycznia stanął we Florencyi, kontent był z dużego i taniego mieszkania, z kawiarni pobliskiej i namawiał bardzo Sołtana, aby z Rzymu do niego przyjechał.

W Wiedniu jeszcze wykończył ostatecznie *Irydiona* i stamtąd może, lub też z Medyolanu przesłał kopię autografu do Paryża, do druku, najpewniej na ręce R. Załuskiego. We Florencyi oczekiwał już jakiejś o rękopisie wiadomości z Paryża — nadaremnie. Pisząc do Gaszyńskiego (9 lutego 1836) żalił się, że nie ma szczęścia z wydawaniem swych prac. Miał na myśli niefortunny układ z Jügelem o *Nieboską*, który »gotową Edycyę« ze strachu wstrzymywał (»ładu z Niemcem dojść nie można, tak się boi«) Zdawało mu się, że coś podobnego groziło *Irydionowi*. »Nieszczęśliwy ja jestem w edycyach. Wystaw sobie, posłałem teraz *Irydiona* i pieniądze komuś; od tego czasu ani słychu o nim, zapewne manuskrypt, by dojrzewał, do szuflady schował. Jeśli to potrwa, to ja tobie drugi tego samego manuskrypt przeszlę«. Ale już z początkiem marca miał pocieszające co do *Irydiona* wiadomości. »*Irydion* za cztery tygodnie wyjdzie w Paryżu«. (*Do Gaszyńskiego, 4-go marca 1836 r.*).

Zapewne w pierwszych dniach kwietnia 1836 r. pojawił się na półkach księgarskich. Wnosimy to z listu do Reeva z dnia 6 marca t. r., gdzie zapowiadał bliskie (*incessamment*) ukazanie się *Irydiona*. Treść jego, jak wiemy, podał Reevowi jeszcze w maju zeszłego roku. Reeve odrazu poznał z tego streszcze-

nia starą myśl poety. („*Vous reconnaissiez ma vieille pensée*“). Krasiński zaklinał Reeva, aby nikomu nie zdradzał tajemnicy autora, a ponieważ przyjaciel bawił wtedy w Paryżu i obracał się w kołach polskich, więc prosił go Krasiński, by doniósł mu o wrażeniu, jakie tam dzieło jego sprawi.

IRYDION.

Reeve, nazywając w lutym 1836 r. *Irydiona* starą myślą poety, składał dowód doskonałej pamięci. Wystarczyło mu zresztą zajrzeć do listów Krasińskiego z r. 1831, aby tam wśród wyjątków z *Adama Szaleńca* znaleść zarodek *Irydiona:*

»Marzyłem wśród ruin: oto świat starożytny leży u mych nóg powalony — przed krzyżem z drzewa; milczenie grobów, burze naszego wieku, wspomnienia ojczyzny mej ujarzmionej — wszystko to mięszało się w mym mózgu.

Pocieszałem się, spoglądając na Rzym w glinie i w błocie — gdyż w dzieciństwie mem poprzysiągłem zemstę innemu Rzymowi, a depcąc pierwszy, zdawało mi się, że kiedyś będę deptał drugi« — —

O zachodzie słońca w kampanii rzymskiej tak marzył Adam Szaleniec:

»Ach! niczego nie pragnę — chcę tylko w godzinę konania mieć przeczucie, że wrogowie ojczyzny mej runą w proch, tak jak te tu portyki i że kiedyś będą marzyć i przeklinać na ich grobach, jak ma-

rzyli i przeklinali nad tymi ruinami ludzie wolni, którzy toporami i mieczami zagrzebali w piasku potęgę Romy« (z Genewy, d. 21 czerwca 1831).

Po wielu, wielu miesiącach w Petersburgu, w samem jakby sercu wroga, dojrzewała myśl Adama Szaleńca.

Jak się ta myśl rozwijała, tego nikt dziś na pewno nie może powiedzieć. Skąpe i ogólnikowe pierwsze wzmianki o *Irydyonie* w listach do Reeva i do ojca pozwalają zaledwie na ustalenie mniej więcej czasu, w którym pierwszy plan powstawał; o samym planie one milczą. O *Irydionie* pisze Krasiński do Reeva 20 stycznia 1833 r., że »jest to Grek w Rzymie: *et dulces moriens reminiscitur Argos etc.* Z Petersburga nie mógł poeta pisać dokładniej o »synu zemsty«. Że o zemstę chodziło, mógł się Reeve domyślać z samego przeciwstawienia: *c'est un Grec à Rome*, zwłaszcza gdy pamiętał o tem, że pisze to Polak w Petersburgu. Wiersz z Eneidy upoważniałby Reeva i nas do przypuszczenia, że autor przewidywał odrazu śmierć bohatera (*moriens*); ale wiersz ten Wergiliusza był powszechnie znany, już choćby z »Gieniuszu Chrześciaństwa« Chateaubrianda, gdzie służył do objaśnienia rozdziału: „*Instinct de la patrie*«. Wiersz ten zatem nie może sam w sobie niczego dowodzić.

Mamy jednak inny szczegół, z którego pośrednio możemy wnioskować o pierwotnej idei *Irydiona;* znany nam już list Z. Krasińskiego do Ojca, pisany w Rzymie 11 listopada 1833 r., zawiera taki ustęp: »Czy pamięta Papa treść myśli mojej, którą opowia-

dałem Papie w Petersburgu i którą Papa znalazł piękną?«

Znamy już dostatecznie przekonania jenerała W. Krasińskiego, by móc twierdzić z wszelką stanowczością, że nie byłby on nigdy nazwał *Irydiona* myślą piękną, gdyby był w planie utworu synowskiego znalazł pochwałę zemsty, a cóż dopiero jej apoteozę. *Irydion* zatem kończył się z pewnością potępieniem zemsty. Czy jednak zawierał już w pierwotnym pomyśle także potępienie bohatera i oddanie go na pastwę Masynissie — trudno wiedzieć. Poeta nie dokończył w Petersburgu pierwszego rzutu Irydyona: »napisałem był jej połowę w Petersburgu, w Warszawie podarłem, bo nędzna była«. W Petersburgu był on raczej w nastroju rezygnacyjnym, pod wpływem ojca. Upadek Irydyona i próbę jego powtórną na ziemi mogił i krzyżów, wytrwanie pomimo dumy i ucisku i natrząsania się niesprawiedliwych: taką i tylko taką myśl mógł Wincenty Krasiński nazwać »piękną«, a do takiej myśli przygotowywał już przed dwoma laty przyjaciela swego Henryk Reeve.

Z tych wszystkich względów przypuszczalibyśmy raczej, że od samego początku było w planie *Irydiona* i potępienie zemsty narodowej i expiacya za nią na ziemi mogił i krzyżów. Na poparcie tego przypuszczenia staje nieznany, drobny utwór, p. t. *Synteza*, pisany właśnie w kilka tygodni po wiadomości pierwszej o *Irydionie*, d. 25 lutego 1833 w Petersburgu. Cały ten utwór przejęty jest duchem rezygnacyi chrześcijańskiej. Mamy w nim istotnie

syntezę rozmyślań długich i bolesnych w samotności petersburskiej. Podając na końcu tomu całkowity tekst nieznanej dotychczas *Syntezy*, tu zwracamy uwagę tylko na te ustępy, które odbiły się zbyt wyraźnem echem w zakończeniu *Irydiona*, iżby można przeczyć wzajemnemu ich duchowemu związkowi:

»Dla tych, którzy się zostali *[po klęsce narodowej]* zaczęło się długie męczeństwo; krwawa praca bez sławy — cierpienia bez nadziei; jedni po drugich zstąpią do grobu, a po sobie zostawią milczenie. Za te ich boleści, za tę niepamięć o nich, ich potomki będą sławni i szczęśliwi.

W tej ciężkiej pokucie za winy ojców, czyż wielu dotrzyma na drodze pokuty?

. . . . . .

A ten, który dotrwa, nie usłyszy nigdy odgłosu trąb... i zwiędnie przed czasem. Droga jego wytknięta na ziemi mogił i krzyżów...« *)

Długie męczeństwo, praca bez sławy, cierpienie bez nadziei — to wszystko nie mogłoby się pogodzić z »apoteozą« zemsty. Nie było jej zatem w pierwotnym pomyśle Irydiona. — Do tego pierwszego planu wchodziły już katakumby; wnosić to można z listu do Reeva (d. 5-go lutego 1833. — II, 35), gdzie mamy przelotny obraz »świętej«, grzebanej w katakumbach. Skoro zaś przywiedzione powyżej zdania »*Syntezy*“ są wyraźnie echem zakończenia *Irydiona*, to należy

*) ...idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów... — nie proś o chwałę twoją... — a po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami.

przyjąć, że już w pierwotnym pomyśle utwór kończył się nie potępieniem bohatyra, ale wysłaniem go na powtórną próbę do ziemi mogił i krzyżów, czyli ocaleniem duszy jego od męczarni piekła. Poeta najwidoczniej uległ tu wpływowi Goethego, który w drugiej części arcydzieła swego wybawiał Fausta z rąk Szatana. Krasiński widział w tem zakończeniu *Fausta* wyższość Goetego nad Byronem i tak to Reevowi objaśniał (d. 4 kwietnia 1833 r. — II, 43):

»Koniec *Fausta* dowodzi mi, że Goethe był istotnie wielkim poetą, większym nawet od Byrona; bo rozważ *Manfreda*, *Kaina*, *Marino Falieri* etc. etc., zobaczysz, że wszędzie potępienie wieńczy dzieło. Pod tym względem Byron zbliża się tylko do poezyi wszechświatowej. Nie pojął wszechświata; a Goethe objął wszechświat, walkę dobrego ze złem, i kazał tryumfować dobremu«.

Nie możemy więc wątpić, że i Krasiński myślał pierwotnie zakończyć *Irydiona* zwycięstwem dobrej myśli nad złą. Ale z równą pewnością można twierdzić, że ten pierwotny plan uległ w toku tworzenia zmianie, że sam zamiar ocalenia Irydiona był potem poważnie zakwestyonowany; był nawet czas, kiedy cały już utwór kończył się wprawdzie upadkiem bohatyra, ale nie z pobudek religijnych. Tak mianowicie stała sprawa Irydiona w r. 1835, kiedy to Krasiński podawał 3 czerwca Reevowi znaną już nam treść utworu, którego koniec miał być... — ballada!

Niema tam mowy o pokucie bohatyra na Północy w krainie mogił i krzyżów; upadek jego wytłómaczony jest tylko tem, że Irydyon przyszedł za wcze-

śnie; ale myśl zasadnicza uznana jest jako słuszna (quoique juste, son sort est de périr, *parce qu'* il est venu trop tôt). Cały *Irydion* określony tam został jako myśl prorocza o zgubie Rzymu, i nic więcej: »il n'a été qu' une idée prophétique de la *ruine de Rome*, rien qu' *une idée*". W tych słowach mamy wyraźne echo skargi Irydyona pod koniec czwartej części: »O Amfilochu! więc syn twój był tylko marzeniem... i jak zawczesną igraszkę rozbiły go *losy!*«

Jest tu zresztą Krasiński w zupełnej zgodzie z najpierwotniejszą myślą swoją z r. 1831. Adam Szaleniec chce mieć w godzinie konania choćby tylko przeczucie *(pressentiment)*, że wrogowie ojczyzny jego runą w proch.

Nie można przypuścić, aby Krasiński chciał w r. 1835 przed Reevem zatajać myśl chrześcijańską *Irydiona;* wszak jeśli kto, to Reeve na taką myśl dzwonił już w r. 1831, kiedy mściwość potępiał, a przebaczenie chrześcijańskie zalecał. Nie taił zatem chrześcijańskiej myśli Krasiński, streszczając w r. 1835 *Irydyona*, bo nie miał czego taić: już jej tam nie było i nie było jej tam jeszcze. Irydion żył i kończył jak poganin, »jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy (= *Fatum)*"; przebudzenie jego ze snu wieków miało być jakąś »balladą«, jakąś pogardą i dla ruin pogańskiego Rzymu i dla »zbutwiałej teologii« *(théologie décrépite)*, której-to pogardy ślad został w krótkim końcowym obrazku dwu kardynałów w powozie (»na ich twarzach wyryte *ubóstwo myśli*...«). A zatem ruina obu Rzymów, pogańskiego i chrześcijańskiego...

Takim był *Irydion* w r. 1835. Mamyż objaśniać powody takiej właśnie przemiany *Irydiona;* mamyż przypominać, że właśnie w owym czasie (marzec 1835 r.) Krasiński był w rozterce duchowej, zniechęcony do księży, do spowiedzi, a niebawem pod wpływem Herdera ulegnie zniechęceniu do katolicyzmu.

Myśl zasadnicza utworu ulegała wstrząśnieniom, przypływom i odpływom idei chrześcijańskich, w miarę tego, jak autor z hymnu wyżyn moralnych, okupionych wielkiemi ofiarami ducha, a nawet cierpieniami fizycznemi, zstępował sam w życiu do prostej powieści i szukał ziemskiego »raju« u stóp pani Joanny; stając w kolizyi nietylko z najbliższem swem otoczeniem, ale, co gorsza, z własnym dorobkiem duchowym z lat 1831—1833, nabytym krwawo, niemal kosztem wzroku.

»Wśród zamętu wznoszę pieśń...« wołał na początku *Irydiona* — a miał na myśli nietylko zamęt dziejowy, który mu służył za tło i oponę myśli jego skrytych, — ale czuł zapewne i drugi, bliższy ówczesnemu jego nastrojowi zamęt własnego ducha, bijącego się, jak ptak w ciasnej klatce filozoficznego i religijnego dylematu. I ten to zamęt miał się odbić w utworze, który od lat tylu zaprzątał myśl jego; po trzykroć podarty rękopis świadczył o ciągłych wewnętrznych fermentach, które nie pozwalały na poród prawidłowy »powieści«. Wydobywała się ona z przerwami tylko, *par accouchements successifs*, a jednak nie zaniechał jej poeta.

Wśród zamętu wznosił pieśń, która mu się *gwałtem* z piersi dobywała. Wydzierała się zaś gwałtem,

jako płód myśli »starej«, dawnej, pacholęcej jeszcze. On sam się za »syna zemsty« uważał i »zemstą« przesiąkły wszystkie jego dawniejsze rojenia.. Nadszedł czas myśli tej dać najwspanialszą szatę i wznieść ją na sam szczyt pomnika tyloletnich pragnień, marzeń, nadziei i — rozczarowań. I wtedy w długoletniej ducha rozterce poeta zawahał się, czy z bohatyrem swym runąć do piekieł, czy też duszę jego ocalić za to, że kochał Grecyą i niebo jej wymodlić, aż wreszcie rozum (»logika«) i konieczność skazały Irydiona na czyściec, na trudy polskie, »okropniejsze, niż wszystkie przewalczone boje...«

Ale ten przeskok od potępienia do względnego warunkowego ocalenia Irydiona, nie przeszedł bez pozostawienia śladu w samym utworze. Jądro opowieści silne i odporne mogło wytrzymać taką gwałtowną zmianę temperatury — ale spojenie zewnętrze wykazuje po dziś dzień rysy dwóch odmiennych, przeczących sobie prądów.

Porównajmy *Wstęp* z zakończeniem, a zobaczymy, jaki miał być w r. 1835 koniec Irydiona:

Poeta mówi we *Wstępie* o swej myśli, że trwa ona dopóki ziemia i ziemskie narody — »ale za to w niebie dla niej miejsca nie masz«. Wzywa dalej syna pieśni swej, by zmartwychwstał ze snu wieków, bo już Rzym grobem, ruiną: »Powstań, chodź, wzywam cię, ja i straszniejsza potęga jeszcze, od której cię wybawić nie zdołam...«

Poeta zostawia towarzyszów swych u stóp Apenninów, chce sam zobaczyć Irydiona:

»Ja pójdę — ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią jego *na wieki!*...

»On cały zawieszony leży między snem a śmiercią, między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami, a tą, która niedługo w nim się obudzi, między potępieniem życia całego, a *potępieniem wieczności*«.

A wreszcie ta silna odezwa do Irydiona: »Gdzież jesteś synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zmartwychwstać, by deptać po zwłokach olbrzyma... pamiętasz — przysiągłeś. — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, *gdzie miliony*...«

Trudno o wyraźniejszą zapowiedź innego, zmienionego potem w r. 1836 zakończenia. Pierwotnie kończył się Irydion temi słowy:

»Na milczącej arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad, przemienionych w dzikie skały... tyś podziękował za spodloną Romę«.

Masynissa brał go na wieczność.

Po zmianie planu poeta do słów powyższych dopisał:

»Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — stąd miałeś pójść kędy miliony«.

Wstęp niezmieniony przeczy dorobionemu, dodanemu w r. 1836 zakończeniu, które było niespodzianką nietylko dla Masynissy, ale jest nią dziś jeszcze dla każdego uważnego czytelnika.

Po długiem wahaniu się poeta z zamierzonej, końcowej »ballady« wzniósł się znowu do pierwotnego hymnu chrześcijańskiego. Potępił Irydiona, dyszącego

zemstą, a zbawienie duszy jego uczynił zależnem od tego, jak wyjdzie z »powtórnej próby« wśród nowych braci na ziemi mogił i krzyżów.

Zmiany tej ostatecznej dokonał nietyle pod wpływem religijnych serca wzruszeń, ile raczej z pobudek czysto rozumowych. »Logika, konieczność doprowadziły autora do tego końca, choć sam się przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż *filozoficznej*« [! a więc nawet nie religijnej]. Do Gaszyńskiego, 114.

To późniejsze wyznanie, łącznie ze streszczeniem *Irydiona* z r. 1835, rzuca bardzo ważne i stanowcze światło na genezę utworu. Pojmujemy teraz powody ciągłego opóźnienia i podczas pisania »powieści« i po jej napisaniu, a przed wydrukowaniem. Zrazu były tam zapewne trudności także artystycznej natury: zwikłanie archeologiczne trzech pierwiastków, mających wypełnić treść powieści (»Le christianisme, le Nord et l'empire romain qui s'y mêle, me le rendent assez difficile«, *do Reeva* II, 86); ale gdy powieść prawie końca dobiegła, myśl »przewodnicza«, myśl mściwa okazała się w końcu bezpłodną: co synowi Amfilocha do »teologii zbutwiałej« z r. 1835? czyż nie stokroć więcej uroku mogły mieć dla syna Grimhildy, kapłanki Odyna, właśnie dni Alaryka lub Atylli, »kiedy bracia matki mojej zatrąbią w rogi swoje na siedmiu wzgórzach?! — I tu »pogańska« część mogła już nawet z artystycznych względów nie zadowalać autora; pragnienia serca, które było tej pogańskiej części zwolennikiem, zaczęły poddawać się sile analitycznej rozumu, aż ostatecznie »logika, konie-

czność doprowadziły do tego końca«, jaki dziś *Irydiona* wieńczy.

Myśl przewodnia *Irydiona* przechodziła zatem, o ile dziś sądzić możemy, następujące koleje:

I. Pierwsza mgławica z r. 1831 pod wpływem rozpaczy patryotycznej: ogólne pragnienie zemsty, znajdujące ulgę w przeczuciu, że tak jak Rzym Cezarów dziś, tak północna potęga runie kiedyś w gruzy. (*Adam Szaleniec*).

II. Z tej mgławicy wyłania się w początku roku 1833-go w Petersburgu idea następująca: uczucia zemsty narodowej wcielić w osobę zmyśloną Greka w Rzymie za Cezarów; uznać zemstę za jałową i niezgodną z zasadami chrześciańskiemi; poświęcenie i rezygnacya biorą górę (»*Synteza*«). Myśl ta uznaną za »piękną« przez ojca.

III. Za granicą, w r. 1834 i 1835, pod wpływem z jednej strony pism emigracyjnych, z drugiej zaś hiobowych wieści z Polski, idea mściwości bierze górę: Irydion ginie dlatego tylko, że za wcześnie przybył, ale poeta zemsty nie potępia (*quoique juste...*; streszczenie utworu w liście do Reeva).

IV. Mściwość potępiona. Irydion zgubiony na wieki. (*Wstęp* z końca 1835 r.).

V. Irydion zbawiony »modlitwą Kornelii«, ale skazany na »próbę powtórną« w Polsce. (Ostateczna redakcya na samym początku 1836 r.).

A tak po trzech latach, zakreśliwszy olbrzymie koło rozmyślań i walk wewnętrznych, wracał poeta do pierwotnej idei, którą ojciec znalazł piękną,

a którą zalecało także zakończenie drugiej części *Fausta.*

Już ten rzut oka na historyą powstawania i pisania *Irydiona* ostrzega nas, że mamy do czynienia z utworem niejednolitym, owocem długoletnich, głębokich rozmyślań poety, które dojrzewały zwolna wśród zmiennych okoliczności; utwór ten przeto ocenić trzeba z różnych punktów widzenia.

O *Irydionie* mówić można z dwojakiego stanowiska: niższego, obejmującego »powieść« fantastyczno-historyczną i sposób jej wykonania, — i, wyższego, wnikającego w samą ideę zasadniczą utworu. Dodajmy, że to drugie stanowisko jest punktem widzenia samego poety, któremu o ideę więcej chodziło, niż o jej oprawę archeologiczno-artystyczną. Odpowiednio też do tego dwojakiego stanowiska mamy dwie kategorye studyów, poświęconych *Irydionowi.* Jedne roztrząsają zasadniczy jego pomysł, a osoby w nim występujące raczej jako wcielenie symbolów oceniają, nie zaś jako postacie z krwi i kości; — drugie zaś zastanawiają się nad żmudną, archeologiczną pracą poety, badają oryginalność i pochodzenie mnóstwa szczegółów historyczno-obyczajowych, z których autor utworzył staranną mozaikę obrazu historyczno-cywilizacyjnego z III wieku po n. Chr. — Zbytecznem dodawać, że ta druga kategorya studyów jest owocem najnowszych zapatrywań na potrzebę genezy literackiej utworu nawet pod jego zewnętrznym i formalnym względem.

Zastanówmy się nad głównemi osobami *Irydiona*, które są głównych idei wcieleniem.

Trzy nazwy bohatyra: grecka, germańska i chrześciańska, są jakby wykładnikami trzech prądów, nierównej siły, przenikających jego duszę. Jest on przeważnie Irydionem, bardzo często pod koniec Sygurdem, pozornie tylko, podziemnie, katakumbowym Hieronimem. Szlachetne pierwiastki duszy jego muszą iść w służbę przez całe życie trawiącej go i jak żrący jad przepalającej idei zemsty. Hieronim będzie wprawdzie w katakumbach modlił się przed zwłokami męczennika (»a nas wybaw od pokusy zemsty!«) — ale za chwilę zapomni o tem Sygurd i powie do zdumionej Kornelii: »za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę — trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci!« »Kornelio! zemsta dobrem mojem — w zemście żyć muszę i skonać!« A mówi tak ulegając ułudzie, że pora mieczem wywalczyć dla podziemnej wiary tryumf ziemski, że »już bliskie czasy« — a wreszcie: »Gdyby sam Bóg nie wołał na nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była, sam jeden jeszczebym dzieło rozpoczął«. Bo tryumf Chrystusa jest mu tylko pozorem, pretekstem, wybiegiem, a żądzą jego duszy tryumf własny, tryumf sponiewieranej Grecyi nad hardym Rzymem; »ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pragnienia, które je rozdziera...«

Irydion działałby przebiegle, stanowczo i szybko, gdyby nie był równocześnie Sygurdem. Myśl jego grecka, lotna, rącza, myśl ojcowska ma w nim samym do czynienia z usposobieniem germańskiem po matce odziedziczonem, usposobieniem refleksyjnem, skłonnem do czułych marzeń (»czuję jad, co

podchodzi mi skronie i do ócz się tłoczy — niewiasty ten jad nazywają łzami — wszak ja kiedyś *miałem być człowiekiem!*« — Ob. cały monolog, kończący część pierwszą).

Ten hamletowy pierwiastek w Sygurdzie (tak naturalny u poety, który wielkim monologiem Hamleta zachwycał się i z pamięci go, niemal codzień, przytaczał) mógby wpływać hamująco i osłabiająco na spełnienie myśli greckiej, Amfilochowej, gdyby Irydion nie miał przy swym boku nieodstępnego Masynissy, który nie daje mu rozrzewniać się i przewlekać sprawy, pobudza go do czynu, w osobistym oczywiście interesie. Irydion tak zna swą Sygurdowo-hamletową naturę, że nie dowierza sam sobie i w chwilach stanowczych wzywa Masynissę na pomoc, na wsparcie własnej chwiejności. Taką chwilą jest np. wyprawienie z domu ojcowskiego siostry Elsinoy w progi Heliogabalowe. Prośby i żale Elsinoy już mają zmiękczyć serce Sygurda, on to czuje dobrze: »Te filary drżą na podstawach swoich, plamy jakieś czarne biegają między niemi — Bogi! nie dajcie mi upaść u wejścia do areny — Masynisso! przybywaj!«

Masynissa staje się tedy w budowie utworu nietylko potrzebnym, ale wprost niezbędnym dla zrównoważenia pierwiastku hamletowego w Sygurdzie, który mógłby myśl irydionową nietyle może na szwank narazić, ile raczej przewlec ją i oddalić. A tak Irydion zabezpieczywszy się Masynissą od samego siebie, od nie-greckich pierwiastków swego ducha, działa wytrwale i systematycznie, działa jak wy-

trawny polityk. Nie spieszy się, nie zdradza się słówkiem przedwczesnem, ale też nie zasypia gruszek w popiele. Wszystkie siły Romy (owe trzy »systematy« zaznaczone w Przypiskach do Wstępu) stara się w korzeniu podciąć lub na swoją stronę przeciągnąć. Cezara-dekadenta obezwładnia za pomocą swej siostry, którą bezwzględnie poświęca Heliogabalowi, aby mieć go potem powolnem narzędziem swych zamysłów. Rzesze znędzniałego, głodnego ludu rzymskiego karmi swym chlebem i przysparza wrogów Rzymowi. Barbarzyństwo, liczne w stanie niewolników i w wojsku rzymskiem, zjednywa sobie łagodnem postępowaniem, urokiem pochodzenia, jako syn kapłanki Odyna. Chrześcianie są trzecim składnikiem sił ówczesnych Rzymu. Irydion wie od Masynissy, że w katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie — więc bez wahania zstępuje w podziemia, daje się ochrzcić i jako Hieronim, współwyznawca, stara się pociągnąć młodszych chrześcian ku dziełu zemsty — a tak jak siostry rodzonej nie wahał się poświęcić dla idei, tak teraz miłości jedynej, dziewicy ukochanej, Kornelii chrześcianki użyje za narzędzie powolne swych planów i za jej pomocą wywoła rozłam, niepokój, niezgodę w społeczeństwie chrześciańskiem. Gdyby nie liczebna siła chrześcian, którą pragnie rzucić na szalę wypadków, Irydion nie zstąpiłby może do katakumb. Ale jest ktoś, komu zależy przedewszystkiem na katakumbach, a zwłaszcza na tem, aby w kiełkującym i wschodzącym bujnie zasiewie Chrystusowym było jak najwięcej kąkolu niezgody, aby myśl boską, niebieską zbrukać,

sponiewierać i do ziemskich nadużyć celów; jest duch, który znowu tak samo posługuje się Irydionem, jak on barbarzyńcami, który tak samo nie cierpi rosnącego Rzymu chrześciańskiego, jak mściwy Grek Rzymu Cezarów: to Masynissa.

Postać ta oddawna rozmaicie była tłómaczoną. Bardzo wcześnie, bo w rok po ukazaniu się utworu, przyjaciel Gaszyńskiego, Ulrych, odsądził Masynissę od racyi bytu i nazwał go »niepotrzebnym«. Antoni Małecki w doskonałym rozbiorze Irydiona (Przegląd Poznański, r. 1847, zeszyty z m. lutego i marca str. 220—222) tak określił rolę Masynissy:

»Stawił przy boku Irydiona Masynissę, jako stworzonego przed wiekami szatana z własnymi swymi celami, zgubnymi całemu rodowi ludzkiemu. Nie stawił go jednak na to, aby Irydiona kusił do złego, bo mizerny i litości godny byłby to bohatyr, który tak jest słaby, że się szatanowi kusić pozwala; ale na to, aby szatańską, t. j. ujemną stronę charakteru bohatyra w swej osobie oddzielnie odbijał, przez co dopiero dzieło sztuki prawdziwej plastyki kształtów, a obrazy żywych kolorów nabierają. Dlatego Masynissa też w tej tragedyi więcej jako personifikacya odzywa się i działa, niż jako udzielny a pełnomocny wykonawca własnego celu. Pod ręką poety musiał stary ten wróg rodzaju ludzkiego odrzucić i zostawić poza obrębem tragedyi nieprawe swoje, a znane nam skądinąd intencye i stać się na pewien czas w kolosalnych zarysach odbiciem tylko Irydionowego żalu i bolu i pogańskiego rozumu, przyrządzającego zemstę. Dlatego Masynissa jest jakby połową ducha Iry-

dionowego i nic niema w Masynissie, czegoby w Irydionie nie było (?); choć wiele jest w Irydionie, czego niema w Masynissie.

W Irydionie pasuje się starożytny duch zemsty; rozum zniszczenia z wyższemi uczuciami, na których nasza epoka wspartą jest.

W Masynissie niema sprzeczności, nic się w nim nie pasuje, bo jest uosobionem przeczuciem tylko; dlatego też on jakby stróżem jest, czuwającym nad synem Amfilocha, aby kiedy w nim ujemny pierwiastek nie uległ dodatnim a istotnym popędom. W chwilach wahania się on pełnią ujemności rozumu i przeczenia swego go wspiera; Irydion zaś słucha go z zaufaniem i idzie wszędzie za głosem tego starożytnego rozumu, boć to nie obca istota, ale własny duch jego i ojca jego przez usta tego szatana do niego przemawia. Nic mu Masynissa nowego nie rozkazuje, tylko to, czego on sam chciał już oddawna. Jest on jakby skarbnicą myśli i woli Amfilocha, a więc i Irydiona. — Nawet w tych scenach, gdzie Masynissa jako udzielny charakter i rzeczywisty szatan występuje, nawet tam spokrewnił go poeta z celem i założeniem całej swojej tragedyi. Bo nie na innej-to namiętności i on opiera wszystką swoją nienawiść wobec Boga i świata, jak na nieogarnionej boleści i rozpaczliwym żalu, że zstrącony został wraz z braćmi swymi »z przestrzeni, które spustoszały teraz, a dawniej wrzały rojami szczęśliwych i pięknych«.

Otóż i to tło udzielno-szatańskiej nienawiści podobne jest do podstawy uczuć Irydiona«.

[Ustęp ten wypuścił A. Małecki w zbiorowem wydaniu prac pomniejszych: »Z dziejów i literatury« — Lwów, 1896].

Doniosłość postaci Masynissy nie uszła uwagi tak bystrego krytyka, jak Klaczko. Nazywa on Masynissę wcieleniem najwyższej negacyi nauki Zbawiciela, a pomysł tej postaci uważa za najgłębszą i najoryginalniejszą z całego dramatu (p. 39):

»... doradca *Irydiona* nie jest prostym Wajdelotą (jak Halban z Wallenroda), to sam duch złego, to szatan w swojej osobie, ale szatan ściągnięty misternie do kształtów i rozmiarów klasycznych i taki, jakiegoby mogła wystawić sobie mytologia, zawsze, nawet w kreacyach swoich najbardziej ponurych, rozmiłowana w piękności, w spokoju i w pogodzie.

Masynissa nie ma ani gorzkiej i rozpaczliwej ironii Mefistofelesa, ani wściekłości bez granic upadłego Anioła z *Raju* Miltona; to starzec poważny i majestatyczny. Nie trzeba w nim szukać wiecznej i powszechnej negacyi, jaką Goethe dał swojemu duchowi złego; jego nienawiść jest ściśle określona i żeby się tak wyrazić, zupełnie plastyczna. Chrześciaństwo go razi tem samem, czem razić musiało każdy umysł prawdziwie starożytny: pozornym brakiem męskiej energii i wdzięcznych form. Nauka o poddaniu się i rezygnacyi, którą powtarzają bez ustanku wyznawcy krzyża, jemu wydaje się niegodną umysłu męskiego człowieka wolnego. Nazywa ją nikczemnością, a wszystko w niej, aż do jednego z wielkich dobrodziejstw ewangielii, aż do podniesienia kobiety, oburza go do żywego. »Oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej

starości, z łupów cielesnych rozkoszy wydumali parę tajemniczą, oni przed niewolnicą męża schylili czoła«. Tak, niezdolny natchnąć człowieka do wielkich czynów, ideał chrześciański wydaje mu się przedewszystkiem *brzydkim*. »Oni się kochają w tem ciele rozkrzyżowanem, w tych rysach, które sobie wymarzyli pięknymi, gasnącymi w zwycięstwie miłości. *Nie znali go*, nie widzieli, kiedy konał, wydany na łup brzydocie cierpienia, kiedy upadał pod ciężarem bolu, zmazany krwią, z wichrem gwiżdżącym wśród włosów«. (Przekład St. Tarnowskiego w dziele o Z. Kr. str. 207—208).

Następuje chronologicznie ocena Masynissy przez Prof. St. Tarnowskiego. Uznaje on pierwiastek klasyczny, poważny w Masynissie, odkryty przez Klaczkę — ale prócz tego widzi w złym duchu Irydiona coś więcej jeszcze, widzi »szatana politycznego, szatana w historyi, czyhającego nie na to, żeby podejść i zgubić tego lub owego człowieka jednego, ale żeby wszelki kierunek dobry i zdrowy, jaki zabłyśnie w zbiorowem życiu ludzi, zwichnąć i na złe obrócić; [210] żeby każdy dobry popęd, każde dobre uczucie podciąć w samym korzeniu... żeby stopniowemu doskonaleniu się i uszczęśliwieniu ludzkości stawiać na drodze zawady takie, iżby ono nietylko ich przebyć nie mogło, ale żeby się cofało w tył, niżej i dalej punktu, z którego wyszło — — [211] Masynissa w katakumbach pośród płomieni, ukazujący się na miejscu pierwszej walki między chrześcianami i rzucający Bogu to wyzwanie tak kolosalnie dumne i śmiałe, tak pełne rozkoszy i tryumfu nienawiści — to jeden

z największych tryumfów w poezyi. Raz tylko, ten jeden raz odzywa on się w ten sposób w poemacie, ale ten jeden raz wystarcza na to, żeby on był przedstawiony i pojęty jako ten zły duch, który ludzkości nie dopuszcza do wolności, pokoju, sprawiedliwości i cywilizacyi; jako szatan w historyi«.

Domysł był świetnie trafny, skoro potwierdził go z czasem list Krasińskiego do Gaszyńskiego, odpierający zarzuty L. Ulrycha, dotyczące *Irydiona*. Poeta uzasadniał wymownie potrzebę Masynissy w poemacie i tak go określił (*Do Gasz.* I, 111—112): „*Masynissa niepotrzebny*“.

»Co to znaczy powiedzieć: niepotrzebny? Jak tylko podobało się poecie wprowadzić postać, ona jest i żyje. Chyba, że jej nie dokonał, nie postawił na nogi, nie uczynił częścią żyjącą całości organicznej; wtedy należy mówić, że owa postać niedopełniona, nieożywiona, niedorzeczna, ale nie, że nie potrzebna. Tak samo możnaby wyrzec, że wszystko niepotrzebne, że cały poemat niepotrzebny, że suknie, obuwie niepotrzebne, bo można nago, boso chodzić. Mefistofeles w Fauście niepotrzebny, bo można było wszystkie jego mowy i czyny skupić w parę sentencyj i położyć w przedmowie, przypisku lub dewizie. Sam Faust niepotrzebny; można było nic nie napisać; stworzenie całe niepotrzebne, można było nic nie stworzyć.

Nic nie jest potrzebnem, ale są rzeczy konieczne: i tak Bóg nie potrzebował zapewne ani komet, ani słońc, ani komarów; lecz koniecznością jego rozumu poszło, że biegą komety, świecą słońca, brzęczą komary.

Masynissa jest to pierwiastek wszechzłego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest-to to nic, to zero, niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na coś: jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia.

Jest to słowem szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe«.

Objaśnienie Krasińskiego nie przekonało p. B. Chlebowskiego, który stanął po stronie L. Ulrycha (*Nieboska* i *Irydion*, Ateneum, luty, 258—9) i wbrew oczywistemu tekstowi *Irydiona* osądził, że Masynissa jest »postacią zbyteczną zupełnie i nie wywiera żadnego (!) prawie wpływu na wypadki«.

Zdaje się p. Chlebowskiemu, że poeta już po napisaniu *Irydiona* »inaczej (w liście do Gaszyńskiego) pojął i scharakteryzował rolę, jaką powinien był Masynissa odegrać w jego utworze, niż mu się przedstawiała w czasie pracy. Domysłu tego nietylko nie stwierdza w niczem korespondencya poety z Reevem, ale przeciwnie obala go w owym, przytaczanym wyżej ustępie o szatanie starożytnym (str. 182); zarzuty zaś dotyczące Masynissy, »że brak mu koniecznych rysów, jakich wyobraźnia nasza wymaga od przedstawiciela, a nawet władcy świata piekielnego« — uprzedził dawno wywód Klaczki o »klasyczności«

tego szatana, mającego przedewszystkiem działać nie na naszą wyobraźnię, ale na wyobraźnię Greka, syna Amfilocha.

Trudno także zgodzić się na domysł p. Chlebowskiego, jakoby Masynissa »wprowadzony był z czysto estetycznych pobudek do utworu, jako przeciwstawienie młodzieńczemu Irydionowi...«

Przeciwstawienie — pod jakim względem? — Że zaś pomysł był nietylko estetycznym, ale przedewszystkiem etycznym i psychicznym, bardzo wreszcie dawnym, ulubionym pomysłem, a nie dopiero w toku tworzenia *Irydiona* zmienionym, dowodzą drobne utwory z czasów jeszcze warszawskich, dowodzi ustęp z albumu pani Załuskiej (ob. wyżej str. 13—14).

Wracamy do definicyi Masynissy, podanej przez samego poetę: »jest to pierwiastek wszechzłego, który ciągle przemienia się na dobre«. W tem określeniu leży zarazem milczące zeznanie pierwowzoru poetycznego; naprowadzały na to poprzednie wyrazy: »Mefistofeles w *Fauście* niepotrzebny...«. — Istotnie Mefistofeles niemal temi samemi słowy przedstawia się Faustowi na jego pytanie: *Wer bist du denn?*

Mefistofeles:

Ein Theil von jener Kraft,
Die stets das Böse will und stets das Gute schafft,
Ich bin der Geist, der stets verneint...

Masynissa jest zatem ewolucyą Mefista, starą poniekąd, bo sięgającą jeszcze wiosny 1833 roku, kiedy

to poeta rozczytywał się w drugiej części *Fausta;* niemniej ewolucyą samodzielną i ciekawą, albowiem Masynissie nie o Irydiona jednego chodzi, ale o społeczność chrześciańską: Faustem Masynissy jest nie człowiek jeden, ani ludzkość w jej jednym ułamku dziejowym — ale ludzkość pomyślana na przestrzeni wieków całych od Cezarów rzymskich do ruin Rzymu papieskiego. Masynissa jest pomysłem obszerniejszym od Mefista, ale przez to jeszcze nie ogromniejszym, nie większym, tylko trudniejszym w wykonaniu, z różnych pierwiastków złożonym, a przez to dającym się różnie tłómaczyć i uzasadniać.

Końcowa walka Masynissy z duchem Kornelii o Irydiona wypłynęła zaś z dwóch źródeł poetyckich: 1) Końca II-ej części *Fausta,* który, jak wiemy z listów do Reeva, wielkie na poecie wywarł wrażenie i 2) z walki szatanów o ducha Konrada i sporu Archaniołów w III części *Dziadów.*

Wpływ *Fausta* jest niezaprzeczony. Przedewszystkiem i Faust i Irydion tak samo kończą. Szatan i tu i tam pod koniec jest niemal pewny swej zdobyczy (»jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary i pójdziesz ku starcowi pustyni...«). I tu i tam kochanka wierna, niezapominająca i w niebie o znękanym i zbolałym pielgrzymie, kochanka-chrześcianka (Gretchen — Kornelia) wybawia z sieci szatańskich ofiarę, a szatan napróżno usiłuje zdobycz zachować:

On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie — zgrzytał i rwał ci ręce i wołał: »potępiony, potępiony, kto mi wydrze jego?« —

Zewnętrzny obraz Masynissy przypomina Mefista nad zwłokami Fausta:

»On *wparłszy stopy w kipiący piasek*, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje...«

Sam spór wreszcie, sąd »nierozstrzygniony« toczy się między piekłem a niebem, jak w *Fauście*. Natomiast motywy wyroku, względnie przychylnego *Irydionowi*, są już zaczerpnięte ze sporu Archaniołów w III części *Dziadów:* Tam Archaniał pierwszy przemawia za karą i potępieniem bluźniercy Konrada, Archanioł drugi wzywa litości dla zbłąkanego, który szanował imię Najświętszej Rodzicielki. On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!

Podobnie ma się rzecz z Irydionem. Szatan uważa go za swego, bo żył w zemście i nienawidził Romy. »Lecz anioł (Kornelia) rozwiązując tęczę skrzydeł« błagał Boga słowami: »Panie, on jest moim, bo on kochał Grecyą«.

A tak jak w III-ej części *Dziadów* scena egzorcyzmu po sądzie Archaniołów kończy się wyrokiem przebaczenia dla Konrada (»Pokój grzesznemu sierocie«), tak tu w końcu dramatu szatan musi ulec wyrokowi Niebios i wydać Irydiona: »Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyą!«

Za sprawą Masynissy cały dramat podnosi się o wszechludzką skalę i z pozornej powieści historyczno-obyczajowej przechodzi na wyżyny zagadnień moralno-społecznych. Nietylko zatem Masynissa nie jest zbyteczny, »niepotrzebny«, jak mniemał L. Ul-

rych, ale postać ta Szatana »wszystkich wieków i społeczeństw« jest wprost niezbędną w budowie psychologicznej *„Irydiona“*, jest wiązaniem tajemnem, łączącem Rzym Heliogabala z ziemią mogił i krzyżów.

Ta równoległa akcya Irydiona i Masynissy, na pozór jednomyślna, nadaje całości dziwnego uroku. Jest to jakby symfonia, w której dwie melodye równie tytaniczne zlewają się na pozór i harmonijnie splatają w całość — a w rzeczy samej ton Masynissy przemaga od początku, narzuca się Irydionowi i bez jego wiedzy wyprowadza »syna zęmsty« w pole — w pole długich, wiekowych oczekiwań na ruinę i upadek wcale innego Rzymu, nie tego, cezarowego, który Helladę ujarzmił. *Sic vos non vobis*... Irydion, doprowadzając do obłędu Kornelią, mniema, że uczyni z chrześcian powolne narzędzie zniszczenia Rzymu, celu swego nie osięga, ale wprowadza rozdwojenie do katakumb i pracuje na rzecz Masynissy. Do jakiego stopnia zależy Masynissie przedewszystkiem na katakumbach, widać to z tego, że po dokonanem tam rozdwojeniu Masynissa wypoczywa »na krześle z kości słoniowej«, bo główny cel jego (rozłam i niezgoda w społeczeństwie chrześciańskiem) jest częściowo przynajmniej osiągnięty, Rzymu zaś on Irydionowi na pastwę nie wyda, bo mu Rzym potrzebny: »O, miasto serdeczne moje, błogosławię tobie..., żyj i uciskaj, by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu! (I, 172).

Masynissie przeciwstawione są — katakumby, t. j. duch tam panujący, życie kiełkujące nowej Romy, tak samo znienawidzonej przez Masynissę, jak Roma

pogańska Cezarów przez Irydiona. — A tak samo jak bez Masynissy, tak bez katakumb obejść się w „*Irydionie*« nie było można.

Chrześcijaństwo wchodziło odrazu w plan *Irydiona* jako jeden ze »systematów«, tworzących obok »pogaństwa« i »barbarzyństwa« trzeci ważny czynnik społeczny cesarstwa rzymskiego w III-im wieku po Chrystusie. To chrześcijaństwo, »bez ciała prawie, bez kształtu«, podobne do »ducha potężnego w pracy wcielania się swego«, ducha »przechadzającego się w katakumbach«, odtworzone jest z wielkiem zamiłowaniem i uszanowaniem przedmiotu. Czy w pierwotnym pomyśle dawał Krasiński tyle miejsca katakumbom, czy tworzył z nich część drugą w dzisiejszych rozmiarach, trudno wiedzieć. Ale przypuszczać wolno, że gdyby nie zbyt wyraźna chęć złożenia hołdu pani Bobrowej w postaci Kornelii, to możeby Irydionowi miłość chrześcijanki nie mąciła planów zemsty, może trafiłby do katakumb nie przez niewiastę, ale np. przez Symeona z Koryntu; wówczas musiał jednak ginąć na wieki, pozbawiony zbawczego z niebios głosu Kornelii. Miłość poety dla pani Bobrowej zbyt zaważyła w ówczesnem jego duchowem życiu i bez wątpienia wpłynęła na rozszerzenie, może nawet przerobienie pierwotnego krótszego planu. Poeta sam przyznaje się, że w latach 1834 i 1835 ostygł niezmiernie w uczuciach religijnych i że od zatraty wiary wybawił go wpływ dobroczynny głęboko wierzącej i religijnej pani Joanny. To też w uznaniu i hołdzie wdzięczności powie potem przez usta Kornelii:

»Ty się nie odejmiesz mojej potędze — Łaska uwiośni twą duszę Ja wiem, żem się urodziła, żeby ciebie zbawić!«

Na chrześcijanach oparł Irydion w bardzo znacznej mierze rachuby swe co do zagłady Rzymu. W planie poematu są oni czynnikiem pierwszorzędnej doniosłości. Węzeł spisku jest tak misternie splątany, że — nie mówiąc już o znaczeniu tła chrześcijańskiego dla pogańskiej idei zemsty — nie można sobie wyobrazić utworu bez roli rozstrzygającej, powierzonej katakumbom. Aby to lepiej zrozumieć, zastanówmy się nad zarzutami, które poecie z punktu widzenia budowy całości stawia pod tym względem Prof. St. Tarnowski; da nam to równocześnie sposobność wniknięcia w wiązanie wewnętrzne powieści i ocenienia kunsztu kompozycyjnego poety.

»Irydion — mówi Stanisław Tarnowski — czeka na Symeona z Koryntu; bez chrześcijan nie może zacząć działać, nie może zwyciężyć.

Tu jest pewien rozstęp, pewna niezgoda pomiędzy wewnętrzną treścią poematu i jego znaczeniem, a tem, co jest jego zewnętrznym kształtem. W przeznaczeniach Rzymu świata było, żeby Rzym nie zginął, ale przez chrześcijaństwo uratowanym był od zniszczenia, i przez nie dalej żył, i dalej znaczył. Jest więc naturalnem i słusznem, że zniszczenie dopełnić się nie może, jeżeli chrześcijanie do niego ręki nie przyłożą, jeżeli i oni nie sprzysięgną się przeciw miastu. W głębszem pojęciu rzeczy jest słuszność i prawda; pomysł Krasińskiego, podług którego Rzym przez chrześcijan i chrześcijaństwo tylko nie zniszczał zu-

pełnie i przeżył upadek rzymskiego państwa, jest wytłómaczony, jasny i trafny. Ale w allegorycznem przedstawieniu rzeczy, w wypadkach przedstawionych w poemacie, w tym fikcyjnym spisku Irydiona, zależność rezultatu od pomocy lub bezczynności chrześcijan, ta nie jest tak widoczną ani tak konieczną. Żeby Rzym na zawsze zgładzić, do tego chrześcijaństwo mogło dopomódz lub przeszkodzić; ale jeżeli wyobrażeniem i symbolem tej zagłady jest walka z legiami Alexandra i pożar miasta, to bez nich udać się mogło. Kto stał na czele żołnierzy Heliogabala, własnych wyzwoleńców, Greków i barbarzyńców z całego miasta, niewolników, gladyatorów, całej tej najliczniejszej zgrai upośledzonych, a do środków zwycięstwa liczył spalenie, temu pomoc, chociażby kilku tysięcy chrześcijan, tak koniecznie potrzebną nie była. Mogła się przydać, ale nie mogła rozstrzygać o skutku walki; w każdym razie sił przygotowanych było tyle, ogień rozniecony mógł roznieść taki popłoch i przerażenie, że zwycięstwo bez chrześcijan mogło doskonale przeważyć się na stronę Irydiona. Tymczasem w chwili, kiedy minęła godzina, naznaczona przez Symeona, kiedy przybiegł z katakumb posłaniec z oznajmieniem, że biskup wszystkich zatrzymał, Irydion odrazu uważa sprawę za przegraną i rozpacza. Dlaczego rozpacza, to się pojmuje: Rzym nie będzie zniszczony, Rzym odżyje w chrześcijaństwie. Ale ze względu na to, co on w tej chwili robi, na spisek, na bitwę, na pożar, rozpacz ta usprawiedliwioną nie jest; obrót tych wypadków nie zależał tak bardzo i tak jedynie od

chrześcijan. To też, kiedy od tej chwili dramat przechyla się ku katastrofie, kiedy Irydion zrozpaczony i pewien przegranej, śpieszy do katakumb, a potem na bitwę bez hełmu, bo »żeby walczyć, dość miecza; żeby zginąć, nie potrzeba hełmu« — czytelnik nie wie, skąd to zwątpienie? nie pojmuje, dlaczego wszystko ma być stracone, dlaczego Irydion gasi pochodnię zamiast podpalić stos i dać hasło pożaru. Wszak tylko jedna rachuba chybiła, a zostało ich jeszcze wiele, które mogą nie chybić. Oczywiście, Krasiński musiał zważać więcej na znaczenie, aniżeli na zgodność i podobieństwo fabuły, musiał więcej dbać o to, co mówi na końcu poematu Masynissa: »czy wiesz, kto wyrwie miasto z rąk braci swoich, kto zlatującą purpurę Cezarów pochwyci w powietrzu? Nazarejczyk« — aniżeli o to, żeby wszystkie sprawy i dzieje fikcyjnego spisku Irydiona rozwijały się według wszelkich prawideł jasnej, matematycznie ścisłej logiki. I miał słuszność; inaczej zrobić nie mógł. Wzgląd mniej ważny, poświęcił ważniejszemu. Jednak zaprzeczyć się nie da, że w historycznym procesie upadku i odrodzenia Rzymu, było rzeczywiście czynnikiem głównym i rozstrzygającym to, co w fikcyjnych wypadkach dramatu być takim nie mogło; i stąd powstaje pewien rozstęp, pewna niezgoda pomiędzy formą allegoryi a jej treścią«.

Zarzutów tych podzielać nie możemy. »Zależność rezultatu (spisku Irydiona) od pomocy lub bezczynności chrześcian nie jest tak widoczną, ani tak konieczną«. Przedewszystkiem sięgnijmy do źródła sa-

mego idei, do miejsca pierwszej wzmianki o »Nazareńczykach« w *Irydionie*.

Zaledwie »syn zemsty« dokonał strasznego czynu, poświęcił cześć siostry, Elsinoi, na ołtarzu idei, zaledwie rozpoczął działać na Cezara, aby przezeń do zguby Rzymu się przybliżyć — a już myśli o dalszych zaporach, które mu przyjdzie obalić; ma chwile zniechęcenia: »gdziekolwiek wytężę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia«.

Nagle, niespodziewanie przechodzi w rozmowie z Masynissą do chrześcian.

»Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć jak bydło, niźli bić się jak męże — o n i, o n i-t o m n i e w s t r z y m u j ą«. Dlaczego? Masynissa nie dziwi się temu wykrzykowi — tak, jakby nie pierwszy raz słyszał go z ust Irydiona.

Poeta zbyt tu jest lakonicznym. Jest to początek utworu — może najstarsza jego część pierwotna z r. 1833, zbliżona stylistycznie do zwięzłości *Nieboskiej*. Domyślać się trzeba, że Irydion w planie zemsty zawczasu wciągnął w rachubę chrześcijan, tak, jak już zaatakował Cezara za pomocą Elsynoi, a niewolników i gladyatorów umiał hojnością dla celów swych zjednać. Widok męczarni chrześcijan, na które zapewne nieraz patrzył, mógł mu poddać myśl, że wśród niewinnie prześladowanych muszą być przecie rzesze całe ojców, braci, mężów, pragnących zemsty i odwetu; ale pierwsze zbliżenie się do nich przekonało go, że ludzie ci »wolą ginąć jak bydło, niźli bić się jak męże«. Więc byłby ich skreślił z rachuby swych

planów, gdyby nie Masynissa, któremu przedewszystkiem zależy na tem, aby Irydion użył chrześcijan do swych planów; podnieca go zatem bardzo chytrze i bardzo rozumnie:

»MASYNISSA. Aleksyan, syn Mammei, codzień do nich zstępuje i naradza się z pierwszemi Kapłany. — Jeśli go nie uprzedzisz, on szalę przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo nazareńskiem uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków!

IRYDION. Nie — przez Thora, Ja mu przyrzekam, że nie będzie Cezarem!

MASYNISSA. W katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, woda ich na twojem czole, niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga niezemszczonego dotąd. — Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwała na powierzchni ziemi? — A kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o, wtedy, synu mój, Duch mój będzie z tobą! *(Zbliża się i opiera się na jego ramieniu)*«.

Masynissa trafia do przekonania Irydiona argumentem politycznym: Aleksyan, brat Heliogabala, zstępuje do katakumb i naradza się z biskupem — snać widzi w chrześcijanach czynnik społeczny nie do wzgardzenia; a jeśli tak, jeśli »w katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie«, to trzeba je zdobyć dla sprawy Irydiona, trzeba tam szczepić zemstę w imieniu Boga »niezemszczonego dotąd«. Irydion nie może się wahać. Istotnie Masynissa się nie myli — a druga część

poematu otwiera się rozmową Aleksandra Sewera z biskupem Wiktorem w katakumbach. Aleksander szuka błogosławieństwa biskupa i otrzymuje je jako »pomazaniec Chrystusa«. Biskup Wiktor wie, że Aleksander Severus jeszcze nie wyprowadzi chrześcijaństwa z katakumb na Forum, że jest on tylko jedną falą w nieskończoności, ale wie także, że niedaleki Cezar może niesłychanie wiele dobrego zdziałać dla rozprzestrzenienia chrześcijaństwa i dlatego mu błogosławi:

»Żyj więc i przemiń jak reszta braci twoich, ale działaj według światła zlanego na ciebie«.

Aleksander, który gotuje się do obalenia Heliogabala, jest już w duchu chrześcijaninem; on nie błaga Wiktora o czynną pomoc chrześcijan — on go prosi tylko, aby chrześcijan »przygotował do zmiany i przyzwyczaił ich do imienia jego«. Nie o ludzką błaga pomoc, ale o modlitwę do Boga: »Ojcze, w godzinie walki bądź moim dobrym gieniuszem!«

Jakże inaczej postępuje Irydion, który omal że nie otarł się o Aleksandra, przybywając na rozmowę z biskupem. Umie on sobie zjednać biskupa i przychylnie usposobić. Słudzy Irydiona przynoszą do katakumb zwłoki jakiegoś nowego męczennika. Biskup Wiktor dziękuje mu za ten uczynek braterski. Ale Irydion z politycznemi wieściami przybywa: oto pretoryanie burzyć się zaczynają przeciw Heliogabalowi. W myśli »syna zemsty« dzień odwetu niedaleki: on pragnie pozyskać biskupa Rzymu, a przez niego tysiące wyznawców:

»IRYDION. Ojcze, dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twoim ręku przyszłość nasza, wszak jednem skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą, tam będzie zwycięstwo!

WIKTOR. W niewidzialnem królestwie walczyć mogę przeciw książęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

IRYDION. Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o prędszym tryumfie! Ojcze, cierpiemy jak ludzie, spodziewamy się jak ludzie i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ściskała nas zewsząd, tak, żeśmy woleli umierać, niż kłaniać się rozpuście lub czcić kłamstwo na ziemi. — Lecz dzisiaj to, co gubi narody, stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i duma bez granic. — Heliogabal sił nie ma do utrzymania swoich, Aleksander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszczą w zbliżającem się starciu — pomiędzy niemi obuma czyż każdy, co uwierzył w Chrystusa, nie radby krzyż wyrwać z wnętrzności ziemi i zatknąć na Forum romanum? — ojcze, widzę chmurę zgrozy na czole twojem. — Daruj, że pałam miłością ku braciom uciśnionym — daruj, żem śmiał ci ogłosić, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

WIKTOR. Z litością słuchałem słów twoich! Naprożno wodę chrztu wylałem na głowę twoją! Naprożno tłómaczyłem ci świat ducha. — Tyś go nie pojął, nie zrzuciłeś starego człowieka. Tyś w żelazie

i ogniu położył nadzieję doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje! *(słychać pieśni pogrzebowe)* Czy słyszysz te Hymny, płynące wśród grobów, jak ostatnie szumy burzy, w której Jedyny skronie opuścił i skonał? — Czyż On wzywał na pomoc Aniołów, czyż On wołał o pomstę do Ojca? —

IRYDION. A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze? —

WIKTOR. Mylisz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością! — Zaprawdę ci mówię, że w tych cmentarzach śpią goście tylko — że nietylko na progach niebieskich, ale i na płaszczyznach bolu, Miłość przemoże nareszcie. — Zaprawdę, zaprawdę, ludy pokłon jej oddadzą, i nie będzie Cezara, któryby przed nią nie uderzył czołem...«

Irydion wychodzi z katakumb nie pojednany z Chrystusem, ślepy i głuchy na całą treść d u c h a nowej wiary — pożądający tylko owych tysięcy c i a ł, aby je rzucić do walki niedalekiej z Aleksandrem. Udaje się mu rozerwać zgodę chrześcian. Tylko starsi, doświadczeńsi są mu oporni. Wszystko, co młodsze, żądne czynu, tryumfu Chrystusa na ziemi, daje się porwać płomiennej wymowie syna zemsty i przyrzeka współudział w walce. — Odtąd już katakumby nie są schroniskiem wiary, miłości i nadziei. Nieczyste duchy starają się tam przedostać — a poeta uzmysławia to trzęsieniem ziemi w katakumbach i słupami ognia, wśród których przechadza się Masynissa. Scena ta należy do najpotężniejszych w Irydionie:

(Nadchodzą słupy ognia, wśród nich Masynissa).

»CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni, o my gorejący, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tylu, od wieków tylu!

MASYNISSA. Przyjdzie chwilla, w której cała ziemia na pastwę oddaną wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — nie pójdziecie dalej!

CHÓR. Zwycięstwo! Do czasu, do czasu tylko żyjem rozpaczą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie: »Gdzie ziemia, siostra nasza?« i zapyta się ten, który ją zbawił: »Gdzie oblubienica moja?« a my wytrząśniem pod ich gwiazdy Jej umarłe popioły!

MASYNISSA. Zwolna, z cicha, dzieci moje! — Ta chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń od niej przegradza was jeszcze!

Wprzódy muszą siły swoje styrać — każdą wiarę krwią popierać i ogłosić ją fałszem — każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreszcie! — aż doważy się szala ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie a siła szaleństwem!

CHÓR. I zginą!

MASYNISSA. Myśl ich osiądziem — w niej światy tworzyć będziem coraz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni, zamęczym w ich duszach. — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy — Znikome berła powierzym ich dłoniom. — Wyniesiem ich na samodzierżców ziemi!

CHÓR. I zginą!

MASYNISSA *(przechadza się wśród ogniów)*. Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych, błogosławieństwa Twego! Nie — Ty niemi nie

zaludnisz spustoszałych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów! — Sama zgasiłaś słońca, które były chwałą twoją!

CHÓR. Niechaj trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

MASYNISSA. Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my niegdyś, tak i oni odpadną od niego!

CHÓR. I przyjdą jeść chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu naszym!

MASYNISSA. Wrogu! ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny ziemi! — Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje!

W Imieniu twojem będą zabijać i palić — W Imieniu twojem gnić i milczeć — W Imieniu twojem uciskać — W Imieniu twojem powstawać i burzyć!

Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szałach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przeklniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród potęg twoich, doznasz, co to piekło nasze!

CHÓR. Chwała nam i Temu, co dotąd jaśnieje w ogniu odrzucenia, jak pałał niegdyś tęczami siły! Chwała nam — chwała nam!

MASYNISSA. On skazę piorunów zakrył dłonią na czole. — Na dnie przepaści on myśli krzepi na dzień ostatni świata! Chwała Jemu. — A teraz owińcie mnie ciemności — teraz w milczeniu skonajcie, bracia moi!«

Cel Masynissy osiągnięty — ale Irydion łudzi się, że i jego cel już blizki i że jeśli nie wszyscy Nazareńczycy, to przynajmniej owi najdzielniejsi, najgorętsi po ludzku, nie opuszczą go i »szalę zwycięstwa« przechylą na jego stronę. Na nich cała Irydiona nadzieja polega i nietylko nadzieja! »Na nich oparta cała moja potęga. Na ich czele zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa. Gladiatory i żołnierze moi bez nich *nie wystarczą* tłumom. Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!«

W tych słowach mamy odpowiedź na zarzuty Prof. Tarnowskiego. Irydionowi musimy zostawić troskę o to, czy ma dosyć sił zbrojnych na odparcie legij Aleksandra, czy nie. Jak dalece siły jego i rzymskie były równe niemal, to pokazuje kilkudniowe uparte zdobywanie Rzymu, wzgórze za wzgórzem, przez wojsko Aleksandra. Gdyby istotnie Irydionowi przybyły wtedy w pomoc owe »chociażby kilka tysięcy« chrześcijan z katakumb, sprawa byłaby inny całkiem wzięła obrót. Nie kto inny, tylko oni, chrześcijanie, samą bezczynnością przeważyli szalę na stronę Cezara — bezczynnością fizyczną, ale nie duchową. Owszem ich modlitwa rozstrzyga o wyniku walki. Biskup Rzymu nakazuje:

»Módlcie się za Aleksandra Sewera — on będzie Cezarem«.

Jest zatem zwątpienie Irydiona po zawodzie, który go spotkał ze strony katakumb, zupełnie uzasadnione, bo to nie »jedna tylko rachuba chybiła«, ale cały spisek udaremniony, a kiedy słyszymy, że »zostało ich (rachub) jeszcze wiele, które mogą nie chybić« (str. 232) — to musimy zapytać, jakie to rachuby i jak im na imię? Żołnierze Heliogabala? wyzwoleńcy? gladyatorzy? Obliczył wszystkie swe siły Irydion i chyba nie myli się »syn zemsty«, kiedy mówi do powiernika swej duszy, Masynissy:

»Gladiatory i żołnierze moi bez nich (chrześcijan) nie wystarczą tłumom; jeśli mnie zdradzili, zginąłem«. Oczywiście i bez chrześcijan będzie on walczyć do upadłego, będzie siać popłoch i przerażenie, ale nie łudzi się już, aby »zwycięstwo bez chrześcijan mogło doskonale przeważyć się« na jego stronę.

Nie widzę zatem żadnego »rozstępu«, ani niezgody między »formą allegoryi a jej treścią«. Prof. Tarnowski zapytuje (str. 232): »dlaczego Irydion gasi pochodnię, zamiast podpalić stos i dać hasło pożaru?« — Dlatego właśnie, że nie chce bez chrześcijan rozpoczynać ogólnej walki i pożaru Rzymu, bo ma jeszcze nadzieję słabą porwania ich za sobą pomimo oporu biskupa.

Jakoż wdziera się do katakumb i zaklina młodszych do walki: »Zostawcie zgrzybiałych na grobach, chodźcie za mną — tam zwycięstwo« itd. itd. — Gasi zatem pochodnię Irydion, nie chcąc przed czasem dawać hasła spiskowym. On wróci niebawem do swego pałacu. »Jeśli kto z moich wróci, niechaj siądzie i czeka«.

A zatem i Masynissa i katakumby są w *Irydionie* potrzebne, albo jak mówi Krasiński: konieczne. Katakumby są jakby moralnem tłem, na którem idea niemoralna zemsty pogańskiej Greka tem jaskrawiej ma się uwydatnić.

Charakter Irydiona doskonale jest oświetlony przez jego stosunek do Elsynoi, do Masynissy, do barbarzyńców i gladyatorów, do chrześcijan i do Kornelii, do Aleksandra i Ulpiana. Raz szczerym jest i otwartym, to znowu obłudnym i podstępnym — wszędzie nie siebie i szczęście swe mając na względzie, ale tę ideę, którą mu ojciec przekazał niegdyś i dla której wszystko poświęci, nawet miłość Kornelii. — Stosunek jego do chrześcijan od początku jest nieszczery i nie może wydać pożądanego dla Irydiona owocu. Znakomicie to wywiódł i uwydatnił Antoni Małecki (*Przegl. Pozn.*, luty 1847, str. 181—2):

»... Cały ten sojusz i sprzymierzeństwo z chrześcijanami tylko na obłudzie i podstępie polega. Jakiegoż to potrzeba było rusztowania, nim je powiązać potrafił! Trzeba mu dopiero było świętą dziewicę zdradzić, zdradzoną w szał wprawić, przez szał uczynić z niej echo swej woli, zwierciadło swojej myśli, nim przystąpił do zawiązania węzła między sobą a tajemniczem tem gronem. A i tu ciągle dopomagała przytomność niewidzialnego Masynissy, któremu w chwili zwycięstwa nad umysłami, w chwili, gdy mu pomoc zaprzysięgają, dziękuje za nią Irydion (»przez ciebie Masynisso zwyciężam!«).

Z góry więc zapowiedzieć sobie możemy, że węzeł ten kunsztowny pryśnie, bo choć go Irydion zawikłał

niby silnie i kilkakrotnie, nie umieścił go jednak w sercu swojem, bo nie jest chrześcijaninem; a nie jest nim nie przeto, żeby miał Chrystusowi (jak np. Masynissa) *zaprzeczać*, lub go nienawidzieć; ale że uczucia nowe i nad świat starożytny wyższe, są sercu i przeznaczeniu jego obce, że go nie obchodzą i nie mogą obchodzić, gdyż leżą poza obrębem żywotnej jego treści, którą jest tylko mściwa myśl Hellady, a poza tę nie wolno mu pod przekleństwem ojca wykroczyć.

Życie jego przy urodzeniu, a powtórnie w godzinie konania ojca, jest wymierzone nieporuszonemi granicami — nieubłagane Fatum, któremu Irydion jako postać starożytna podlega, nie dozwala mu wybiedz poza te granice; a w tem właśnie cała spoczywa tragiczność, dla której Irydion walczyć musi, ale tak walczyć, iż zwyciężyć nie może. Gdyby był został istotnie chrześcijaninem, miałby odrazu na swoje usługi cały orszak Nazareńczyków, ale wtedy nie dozwoliłaby mu wiara mięszać się w boje i sprawy pomsty; nie mógłby tak walczyć. Dlatego chrześcijaninem zostać nie mógł; a że jednak pomocy chrześcijan potrzebuje, stąd udać się musiał do podstępu. Tak opierając się na obłudzie i fałszu, dokazał wprawdzie, że będzie mógł rozpocząć walkę, lecz zwycięstwa nie osięgnie. Na tem polega cała zawiłość tragiczna w losach i charakterze Irydiona. Jest występny, a niewystępnym być nie może. Gdyby przynajmniej mógł dokonać zemsty swojej! Ale i tej nie wypełni, za to, że ją pełni. A nie może jednak nie pełnić jej«.

Po rozpaczliwej walce Irydion wstępuje na stos dymiący Elsynoi i ma zgorzeć, gdy wtem jawi się Masynissa i z nim się razem zapada. Pierwotnie, jak wiemy z listu do Reeva, uciekał Irydion z Rzymu ku brzegowi morskiemu. Ale słusznie zmienił to Krasiński. Bohatyr jego nie mógł się splamić nawet pozorem tchórzostwa. Zresztą nie o to tylko chodziło. »Porwanie to Irydiona i zapadnięcie się z Masynissą jest w każdym razie już śmiercią jego jako syna zemsty, jako syna Amfilocha. Obaczymy się jeszcze z żywym Irydionem; będzie to jednak już nie ten sam człowiek, przynajmniej nie taki sam człowiek, jakim aż dotąd on działał... Samo to wstąpienie na stos, choć nie jest śmiercią naturalną i oczywistą, jest zawsze śmiercią moralną bohatyra«. (Małecki, l. c. 215, 216).

Rozmowa jego pogrobowa z Masynissą na szczycie góry między Rzymem a morzem jest już próbą zwrotu od zemsty ku miłości, próbą nieudaną jeszcze, ale świadczącą o tem, że uczucia lepsze nie zamarły w nim całkiem, jest poznaniem oszukaństwa Masynissy, przeświadczeniem, że syn Amfilocha »był tylko marzeniem, tylko cieniem odbitym od późnej przyszłości — i jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy«. Nie chce już służyć nikomu. Odpycha Masynissę: »ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej«. Napróżno Masynissa kusi go obietnicami, jakiemi Fausta Mefisto będzie uwodził, Irydion urąga skarbom »słabego gieniuszu«. Podrażniony Masynissa musi z teraźniejszości sięgnąć w daleką, bardzo daleką przyszłość, aby znęcić raz jeszcze Irydiona.

Irydion sam stawia warunki. Chce powstać ze snu wieków, ale wtedy dopiero, kiedy na Forum będą prochy tylko, na Cyrku kości same, a na Kapitolu hańba. Masynissa przystaje na taki układ o duszę (»Mnie Rzym — tobie duszę moją!«) i usypia Irydiona na całe wieki w grocie latyńskiej, okrytej winem i bluszczem. —

Prześnił Irydion i Germanów i Hunnów napady, i zaranie średnich wieków z Karolem Wielkim na czele i czasy Rienziego i świetność papieskiego Rzymu, aż dożył dni naszych i obudził się znowu na głos Masynissy. Z groty swej wyjrzał w cudną noc księżycową i za przewodem szatana ruszył ku miejscu prastarej swej nienawiści — ku Rzymowi.

Rozradował się wzrok jego i dusza:

»Pójrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nadgrodą: i niziny, wdowy amfiteatrów, i wzgórza, świątyń sieroty — z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam, gdzie cyrk Karakalii, tam, gdzie Mausoleum Cecylii, żony Krassusa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu. — One same się roztworzą — nie słychać zgrzytnienia zawiasów. — Weszli. — Straże nagle usnęły oparte na broniach. — Oni przeszli, jak cienie!

* * *

I wśród długich, samotnych kaplic ciasna im droga się wije. —

O nocy jedyna, ostatnia! o nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje — nad każdą

ruiną zasłonę cieniów rozdzierasz — i truchlejącą, nagą, wydajesz wrogowi. — Twój księżyc nędzne domy i nędznych, rzadkich mieszkańców wytyka szyderstwa promieniem!

* * *

W krużganku Bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt kościoła i ojców — na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne, schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem, konającem z głodu, i na ramach u okien i na listwach u dołu ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. »To następcy Cezarów, to rydwan kapitolińskiej Fortuny« rzekł przewodnik, a syn Grecyi pójrzał i klasnął w dłonie. —

* * *

A teraz stromą pochyłością, sadzonemi schody, wstąpili na puste dziedzińce — pośrodku posąg Aureliusza na koniu, z wyciągniętą dłonią w próżniach powietrza. — Cezar bez poddanych — Tryumfator bez pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu!

* * *

Obok skały tarpejskiej ułamkiem miecza, wracający na ziemię po latach tylu, zostawił znak swój na czole najlepszego z Cezarów — i dźwięk greckiego żelaza

o spiż rzymską rozległ się, jak dzwonu uderzenie pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł żałośny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa, błądzącego po innych ruinach!« —

Wracała mu pamięć dni i miejsc starych. Doszli do Kolosseum. Tu miał być koniec jego pielgrzymki — stąd miał już pójść »kędy miliony« — to jest w moc i panowanie Szatana wiekuiste, tu miał się Masynissa upomnieć o dotrzymanie umowy, skoro Irydion nic mu zarzucić nie mógł i większej ruiny Rzymu pomyślećby sam nie zdołał — miał Rzym pod stopami swymi i deptał po nim; pora było Masynissie oddać duszę. —

Ale Szatan przeliczył się w swej pewności tryumfu. Mógł był wszystkie ruiny Rzymu Irydionowi pokazać i niemi o duszę się dopominać — ale do Kolosseum lepiej było go nie wprowadzać... Tu radość Irydiona miała się w *„dziwne uczucie“* zamienić.

»...Dziwne uczucie się budzi...

»I wszystko, coś widział niegdyś, wszystko, czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć. — Tam był tron Cezarów — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. — Słońca tylko niema, niema purpurowej obsłony, co powijała na wierzchołkach Cyrku — Księżyc blado świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących. —

* * *

»Z nich wszystkich został się głos Hymnu, słyszanego niegdyś. — To »niegdyś« było wczoraj — tu

wczoraj — skonali Nazareńczycy. — Ich twarze były pogodne, jak wieczór letni — i otóż na miejscu, na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku Areny — od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze. —

* * *

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiałeś, byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapomniał — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej — jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelezca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz — i zdało ci się, że on znużony, jako ty — opłakany, jak losy Hellady niegdyś — i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

* * *

Jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary — wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni...« —

Ale to »dziwne uczucie nie mogło go przykuć na zawsze do krzyża. Pora mu było dotrzymać słowa Masynissie, który przerażony, bo przeniknął duszę Irydiona, stara go się teraz oderwać krok za krokiem od samotnego Krzyża na Kolisseum. »Synu! czas, wypiłeś napój (zemsty), który ci wieki sączyły do czary

i kropli nie zostało. Synu! czas, zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba«. Irydion już miał odejść, gdy wtem od szczytów amfiteatru »zabrzmiał głos pełen chwały« — syn Amfilocha podniósł oczy i ujrzał wśród jasności przejrzystych anioła o »słodkiem licu«, poznał dawne kształty, poznał Kornelią i spoglądał na nią z niewysłowioną tęsknotą, jak ten, co się żegna z pięknością na wieki!

Ten głos anielski rozbrzmiał w górze nie na potępienie, którego pewny był już Masynissa. »Głos wzywał starca napowrót przed stopnie Krzyża na sąd nierozstrzygniony jeszcze«. — Ten sąd — wiemy już — ocala duszę Irydiona. Kornelia wymodliła to w niebie i przebaczono mu, bo »kochał Grecyą«.

Przebaczono mu — do czasu, jeśli z drugiej podobnej próby wyjdzie zwycięsko. Irydion ma odżyć jako człowiek współczesny nam »na ziemi mogił i krzyżów«, niedawno spustoszonej ogniem i mieczem: »poznasz ją po milczeniu mężów; po smutku drobnych dzieci, po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców...«

Głos boży, głos, co zleciał jak piorun o świcie, a tak wszechmocny, że woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu, Chrystusowy głos każe Irydionowi z Kolosseum iść na Północ, zamieszkać wśród braci nowych:

»Tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje!«

Irydion ma odczuć wszystkie męczarnie Polaka po

r. 1831. Cała jego przeszłość grecka i bolesne doświadczenia z czasów Heliogabala mają mu teraz być nauką i przestrogą w »ziemi mogił i krzyżów«. Nauka to bolesna i przykra nad wyraz, ale zbawienna. Owoc to gorzkich rozmyślań, okupiony przez poetę łzami rozpaczy po nieszczęśliwej wojnie narodowej — owoc cierpki, który samemu poecie wydawał się nie do przełknięcia — a jednak uznany przezeń za lek jedynie skuteczny.

Posłuchajmy, jak objaśnia *Irydiona* w liście do Gaszyńskiego i bądźmy wdzięczni Ulrychowi, że poematu nie zrozumiał dobrze, a przez to wywołał sprostowania autora. W rok po wydaniu *Irydiona* spojrzał nań spokojnem okiem i myśl zasadniczą utworu wyłożył jak na dłoni, po prostu, a wspaniale:

»Spytaj się Leona, czy nigdy nie słyszał, nie znał, nie ścisnął ręki postaciom, które żyły, a częścią nikły nieszczęśliwie na ziemi, ktorych głowa pałała jednem tylko dzikiem marzeniem, a których serce cierpiało i żądało i wszystko poświęciło i wreszcie pęknąć musiało w żelaznych rękach konieczności, nic nie wyprosiwszy u losów, nic nie zdziaławszy dla braci. Zstąpili oni do grobu hańbą pozorną okryci, wielu ludzi ich przeklęło; oni święci byli uczuciem, wielcy męztwem, błędem ich tylko to było, że nie wymiarkowali czasu, sił. zasobów, słowem całego mechanizmu i matematyki życia. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezyi. Polityka mało o nich, lub nic nie powie, historya więcej, poezya najwięcej, wszystko może! I po wszystkie wieki byli tacy bohatyrowie nieszczęścia, żadnem nie uwieńczeni zwy-

cięstwem, bezsławni, o grobach bezpomnikowych, co przeczuwali daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć i zginęli przez to, że raczej w przeczuciu żyli, w żądzy swojej, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Z massy takich bohatyrskich serc złożone pokłady ziemi, na której zakwitnie później kwiat dni pogodnych.

Otóż uosobieniem tej massy jest *Irydion*. Ale choć on jest poetyczną prawdą, nie jest on prawdą filozoficzną. Nie zemstą dzieją się wszelkie postępy rodu ludzkiego, ale miłością, ale pracą długą ducha. Ciało musi się zżymać, krwi pragnąć, mieczem i włóczniami miotać, krótkie albowiem dni jego; Duch może myśleć, modlić się, kochać, bo ma wieki przed sobą. Ciało, gdy raz padnie, nie powstanie więcej; Duch, z serc, co pękły, przelewa się w serca co biją i kończy zaczętą drogę.

Otóż w połowie pogańskiej dzieła, w połowie zmysłowej, młodzieńczej, bohatyrskiej, poetycznej, wre ciało, wre zemsta, jako jedyna myśl; żelazo, ogień i zniszczenie idą za nią. Lecz ogień zagasa, żelazo pryska, zniszczenie w własnym chaosie nie wie co począć, śmiech szatana nad tem wszystkiem się rozlega. Ciemno i gorzko. Najszlachetniejsze cele giną niedokończonemi, ogień i żelazo słabemi są na doprowadzenie ich do końca.

W drugiej, ostatniej części, chrześcijańskiej, filozoficznej, następuje zbawienie: bo wszystko co złe, darowane być musi (!) za to, co było dobrego — i przestroga, nauka, by Duchem działać, by z pracy wieków zmartwychwstać. Cóż to jest praca wieków? To

jest praca Ducha, święta, żmudna, długa, ale jedna prawdziwa. A zatem właśnie to, czego Leon żąda, tam jest: to jest, że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsyi i rzezi, jeno uznaje konieczność rozumu i cnoty. Logika, konieczność doprowadziły autora do tego końca, choć sam się przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż filozoficznej: wolałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieję dalekiej przyszłości. Ale darmo — co jest, to jest: nie nasze kaprysy światem rządzą, ale rozum Boży. — Artysta ten rozum pojąć winien; gdy go nie pojmuje, jest dzieckiem, a dzieło jego nie jest poezyą, koniecznością, ogółem.

Autor więc dwie części miał w tem wszystkiem na myśli:

1. Zemstę, ciało i konwulsye, co zwykle miotają światem, — i tylu umarłych zawcześnie, pięknych, dzielnych, niepamiętanych.

2. Ducha i prawdziwy postęp rodu ludzkiego, chrześcijański, idealny, którym wszystko, co jest i co będzie, się dzieje; przetworzenie wnętrza Ducha, by potem wcielić w świat tegoż Ducha; rozum Boży przeciwpostawiony namiętnościom indywidualnym, wiecznie rozbijanym.

Ztąd pochodzi, że za *czyściec*, za powtórną próbę, każe głos, słyszany w Kolizeum, iść Irydionowi do ziemi mogił i krzyżów i tam już nie dbać o chwałę własną, ale o dobro braci swoich; nie już o zewnętrzne tryumfy, o zwycięstwa własne, ale o Duchową piękność, o przekształcenie tego, co złem, na

dobre; i w nagrodę takiej pracy, okropniejszej, niż wszystkie przewalczone boje, obiecuje mu zmartwychwstanie i to jeszcze na ziemi. Chrześcijaństwo nie inaczej owładnęło światem.

Zresztą mówiłem z autorem wiele o tem. On sam wie, że wykonanie jest w wielu miejscach słabe, niedostateczne, chrome, że dramatyczność nieraz zasypia, słowem, że są ogromne błędy pod względem wyrobienia. Lecz o myśli głównej, przewodniczej, o tem, co było marzeniem jego młodości, sądzi, może uwiedziony dumą, że jest szeroka i głęboka, i że jest zgodna z prawdą wiekuistą z jednej strony, a z drugiej z przemijającymi objawami, których za czasu naszego, za dni krótkich naszych wiele już było, a znikły wszystkie, zostawiając za sobą jęk niesłychany, tytańskiej boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei... Na to, że to prawda, mógłby autor wywołać cienie poległych i łzy żyjących; mógłby niejednego zapytać: »czyś ty nie czuł, nie marzył tak?« a niejedenby odpowiedział: »Tak jest — nietylko niejeden, ale naród cały!« (*Do Gasz.* 113—116).

Do tych wymownych słów trudno cokolwiek dodać. Są one streszczeniem walk wewnętrznych poety, co wbrew głosowi serca, które domagało się dnia jednego bodaj, pogańskiego, »choć z przegraną« — ukorzył się przed rozumem Bożym i narodowi swemu zalecił »przekształcenie tego, co złem, na dobre«, ciężką pracą wiekową, »okropniejszą, niż wszystkie przewalczone boje«; — a w nagrodę trudów ukazy-

wał na odległych falach całych pokoleń — zmartwychwstanie.

* * *

Zstępując z wyżyn ogólnej idei *Irydiona* do szczegółów samej techniki wykonania, zwrócić musimy przedewszystkiem uwagę na niezwykłą trudność przedsięwzięcia. »Wymyśleć Greka, który swoją ojczyznę chciał pomścić na Rzymie upadającym, wymyśleć całą jego historyę, jego spisek, jego walkę i jego przegraną, to było dość śmiałe. To zaś pociągało za sobą konieczność wystawienia obrazu Rzymu... Nie dość na tem; trzeba było, żeby ten obraz, cały starożytny, jak być może najbardziej klasyczny, dał się nagiąć do ukrytej myśli poety i był jej tłómaczeniem wiernem i wyraźnem«... (St. Tarnowski, 248—249).

Trudności były istotnie ogromne, a do ich pokonania nie wystarczała intuicya gieniusza. »Niniejsza powieść pomyślaną jest w trzecim wieku po Chrystusie« — mówi poeta na samym wstępie ważnych i pełnych erudycyi przypisków. Otóż wniknięcie dokładne w ówczesne dzieje cesarstwa rzymskiego nietylko zewnętrzne, ale owszem wewnętrzne, społeczne, obyczajowe — nie mogło być robotą dorywczą i przygodną. Na szczęście znakomity słuchacz wykładów genewskich Rossiego znał dzieje Rzymu bardzo dobrze, a poznał je jeszcze lepiej wśród częstych odwiedzin Forum, Kolosseum, Kampanii rzymskiej i wykopalisk pompejańskich. Z współczesnych mu rodaków jeden tylko Mickiewicz znał równie dobrze świat

starożytny i jego ducha. W »Przypiskach« do *Irydiona* złożył Krasiński świetne dowody i głębokich rozmyślań nad duchem społeczeństwa pogańskiego i olbrzymiego oczytania w materyale naukowym danego przedmiotu.

O ile świat rzymski jest w *Irydionie* wystudyowany starannie i w głównych swych zarysach zgadza się z badaniami historycznemi, o tyle cała powieść o Irydionie, jego rodzicach i jego myślach mściwych, jest już owocem poetycznym fantazyi patryotycznej Krasińskiego. Pomysł małżeństwa Greka Amfilocha z córą dalekiej Północy, Grymhildą, przeczy prawdzie historycznej. Grek, który gardził w duszy nawet Rzymianinem, uważając go za barbarzyńcę, nie byłby nigdy wyniósł Germanki ówczesnej do godności swej małżonki. Jeżeli poeta szuka aż »w Chersonesie Cymbrów« matki dla swego bohatyra, to czyni to ze względu na te składowe pierwiastki ówczesnego państwa rzymskiego (a zatem i jego powieści), które symbolicznie mają wyobrażać Amfiloch (»pogaństwo bez życia«) i Grymhilda (»barbarzyństwo«). Irydion jest zatem symbolem dwu sił starożytnych: ducha helleńskiego, któremu cielesną powłokę daje córa ludów mocnych, świeżych, uosobienie ducha pra-germańskiego. Oba te pierwiastki, helleński i germański, odnajdujemy z łatwością w mściwym, bezwzględnym, przebiegłym, a równocześnie chwilami rozmarzonym i hamletowym Irydionie. Dodajmy zaraz, że w literaturze współczesnej francuskiej znalazł Krasiński pobudkę do zajęcia się światem skandynawskim. J. J. Ampère ogłosił w tomie szóstym

Revue des deux mondes (r. 1832) studyum o »Dawnej Literaturze Skandynawskiej«; sławił tam Sygurda, bohatyra Północy i tak go scharakteryzował, że słowa jego żywcem do Irydiona-Sygurda dałyby się zastosować: »wielka chwała, koniec nagły i smutny — oto jego przeznaczenie, jego i Achillesa; i jest to uwagi godne, że w Skandynawii, tak jak w Grecyi, taka sama myśl melancholiczna skojarzyła się z myślą dzielności i chwały, i że u obu ludów bohatyr narodowy ginie w blasku młodości...«

O ile zatem genealogia Irydiona jest po prostu genialnie obmyślana dla celów powieści samej, o tyle znowu pomysł jakiejś tradycyi zemsty narodowej Greków przeciw Rzymowi nie jest zgodny z prawdą historyczną. Dawno to już zauważył Prof. Nehring: »Grecya za czasów Heliogabala wydawała uczonych, filozofów, retorów, rękodzielników, spieszących do Rzymu po zarobek, sławę, ale nie wydawała mścicieli. Historya o nich nic nie wie. Historycy, z rodu Grecy, jak Dio Cassius i inni, uznają w Rzymie potęgę i czynią to bez patryotycznej nienawiści. Od czasów cesarstwa nie słychać w Grecyi o żadnych spiskach lub buntach«. Wspomniany w *Irydionie* Filopoemen, ur. 253 r. przed Chr., wódz achajskiego związku, nie miał żadnej głębszej, politycznej myśli, a gdyby ją był miał nawet, trudno przypuścić, aby mogła się ona propagować w ukryciu przez cztery wieki aż do czasów Irydiona.

Bez wątpienia wiedział o tem wszystkiem Zygmunt Krasiński, ale ponieważ nie pisał historyi czasów Heliogabala, więc w »powieści« swej nie myślał krę-

pować się faktami dziejowymi. Jeżeli pomimo całej niehistoryczności stworzył takiego Greka o niezbyt greckiem nazwisku i kazał mu działać za czasów Heliogabala, to uczynił to dlatego, że chciał dać dobry symbol miłości pogańskiej do ziemi rodzinnej i nienawiści pogańskiej do ciemiężcy-wroga. Wziął więc najbardziej przystępny i najjaskrawszy wyraz takiego dziejowego przeciwieństwa: Grecyą zasłużoną dla ludzkości, Grecyą Sofoklesa i Platona, sponiewieraną przez potwory takie jak Neron lub Heliogabal, cezarów Rzymu, pod których ręką »ludzkość zgniła«. Słowem: świat ducha, zgnębiony i spodlony przez świat materyi, świat brutalnej pretoryanów przemocy! Czy był istotnie w tym lub owym wieku cesarstwa rzymskiego możliwy taki Irydion? Może nie historycznie — ale to pewna, że i filozoficznie i poetycznie da się taka postać, taki symbol uzasadnić, że ma wszelkie prawo do bytu w »powieści«.

Z tego zapatrywania wyszedłszy, rozgrzeszymy poetę z góry z wszelkich możliwych anachronizmów lub niedokładności: pokaże się może, że nie było nigdy żadnego pierścienia ze znakiem tajemniczym Romy, że mówiąc o katakumbowym chrześcijaństwie, nie można mówić o krzyżu w katakumbach, bo go tam chrześcijanie z różnych względów zastępowali »ichtysem«, Orfeuszem, winnem gronem itd. Są to wszystko drobiazgi, które w niczem nie ujmują piękności utworu, ani nie osłabiają myśli jego przewodniej. Te i tym podobne zarzuty rozbroił poeta wspaniałomyślnem wyznaniem w liście do Gaszyńskiego, którem aż na trzy zbyty okupił wszelkie anachro-

nizmy i pomyłki w szczegółach: »są ogromne (!) błędy pod względem wyrobienia«.

Wspomnieliśmy już o nadzwyczajnej skrzętności, z jaką autor *Irydiona* gromadził sobie szczegóły historyczno-obyczajowe do epoki Heliogabala. Już Lucyan Siemieński zastanawiał się nad źródłami literackiemi i historycznemi, z których Krasiński mógł czerpać. Ogłosił on w *Czasie* w roku 1870 swój przekład polski francuskiego dyalogu pana de Ferrière, wydrukowanego p. t. *Il vivere* w r. 1830. Występujący tam Heliogabal mógł zdaniem Siemieńskiego poddać Krasińskiemu pomysł użycia tej właśnie epoki za tło swej powieści. Przypuszczał także Siemieński, że utwór Quineta „*Ahasvérus*« oddziałać mógł na Krasińskiego. W rozmowie z Mickiewiczem wyraził Siemieński przypuszczenie, »że zachodzi pewna analogia między *Ahasverusem* Quineta a *Nieboską* i *Irydionem*«. Mickiewicz odparł doskonale: »Zapewne, ale tylko w zewnętrznej szacie — u Krasińskiego nierównie większa żywotność; u Quineta wiele książkowego szumu«.

Wykazanie szczegółowe zależności Krasińskiego od źródeł historycznych i zestawienie wpływów ich na *Irydiona* stało się przedmiotem kilku specyalnych rozpraw. Przypomnimy tu najważniejsze. Prof. W. Hahn w bardzo dokładnem i pełnem erudyi studyum p. t. „*Tło historyczne w Irydionie*“ (Przewod. nauk. lit. — Lwów 1897) zastanowił się nad tem, o ile osnowa historyczna *Irydiona* zgadza się z prawdą dziejową. Nie będziemy tu streszczać wywodów p. W. Hahna; zaznaczymy tylko, że do najciekawszych wy-

ników jego cennej pracy zaliczamy udowodnienie wpływów dwu dzieł francuskich: Chaussarde, Héliogabale, ou esquisse morale de la dissolution romaine sous les empereurs (Paris 1802) i Crévier'a Histoire des empereurs Romains (Paris 1766, tomów 12; dzieło to miał Jenerał Krasiński w swej bibliotece już przed r. 1827). — Chaussarde mógł zwrócić uwagę Krasińskiego na pierwszorzędne w owym wieku znaczenie Ulpiana; Crévier zaś poddać mógł myśl spisku Irydionowego, wykazując, że za Heliogabala spiski na życie cezara były częste (Hahn, l. c. 928, zwłaszcza nota).

Prof. Adam Miodoński rozpatrzył »chrześcijaństwo w *Irydionie*« (Przegl. Polski, 1897) i określił przedewszystkiem tradycyą pierwszych chrześcijan »o końcu świata«, zastanowił się nad »urokiem i siłą Kornelii«, wreszcie ocenił pięknie znaczenie biskupa Wiktora w *Irydionie* i w historyi. Historyczny papież Wiktor umarł na lat 16 przed wstąpieniem Heliogabala na tron cezarów.

Mówiliśmy już powyżej o rozmaitych zapatrywaniach krytyków (począwszy od Ulrycha) na Masynissę. Rzec można, że sam Irydion mógłby mu pozazdrościć pod tym względem powodzenia. Po Ulrychu, Małeckim, Klaczce, Tarnowskim i Chlebowskim zajął się Masynissą w nowszych czasach p. Drogosław. Głównym wynikiem rozprawy jego p. t. „*Masynissa, Irydion, Kornelia*“ jest wykazanie wpływu Lucifera z Byronowego *Kaina* (*Ateneum* 1895, I, 279—304). Zdaniem autora poeta »bezwiednie usiłował zlać w jedno i pogodzić z sobą odmienne stosunki i sprzeczne rysy«

goethowskiego Mefistofelesa i byronowskiego Lucyfera w „*Kainie*“. Myśl Drogosława nie jest jednak dokładnie rozwinięta. Sam on zaznacza, że »łatwo poczynić szczegółowsze zestawienia«. Pominął Drogosław np. określenie Boga dane Kainowi przez Lucyfera, zupełnie zgodne ze słowami Masynissy:

Lucifer o Bogu:

»He is great
But in his greatness is no happier than
We in our conflict...
But let him
Sit on his vast and solitary throne
(Byron, *Cain*).

Masynissa:

Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz...
(Chór) Niechaj trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe...

Nie może być wątpliwości, że Krasiński obdarzył Masynissę rysami Byronowego Lucifera. Nigdzie Mefistofeles nie zieje we *Fauście* taką nienawiścią, takiem poczuciem samodzielności jak Lucifer, który istotnie wpłynął na niektóre charakterystyczne cechy Masynissy, dowodzące tu zależności Krasińskiego (l. c. 296).

Po wymienionych studyach analitycznych ukazała się bardzo ważna praca Prof. T. Piniego: *Studyum nad genezą Irydiona* (Lwów, 1899 r.).

Składa się ono z trzech rozdziałów. W pierwszym (»Geneza psychologiczna«) stara się autor dać rozwój myśli irydionowej począwszy od r. 1831-go, a pomimo

że nie była mu znaną wydana później korespondencya poety z Reevem, skreślił dobrze, z wielką przenikliwością sądu, stan uczuć Krasińskiego po r. 1832; w drugim rozdziale p. t. »Źródła historyczne« zastanawia się kolejno, bardzo drobiazgowo, nad książkami, których czytanie mogło wpłynąć na autora *Irydiona*. W tych dociekaniach posuwa się może p. T. Pini za daleko i nieraz widzi wpływ jakiś tam, gdzie ja, naprzykład, dopatrzyć go się nie mogę; ale na ogół sądząc, doszedł autor do ważnych i przekonywających wyników, które należy uważać za trwały dorobek naukowy. Aby zacząć od nieudanych wywodów, tak łatwych do popełnienia, gdy się jest w zapale i na drodze »odkryć« — powiem, że przypuszczenie, jakoby Krasiński oparł plan działania Irydiona na czterech przyczynach upadku Rzymu, podanych przez Gibbona w jego *Historyi upadku państwa rzymskiego*. nie może się ostać wobec faktu, że autor hypotezy musi punkt trzeci Gibbona odrzucić, a drugi rozbić na dwie części. Trzymając się ściśle tekstu Krasińskiego »Przypisków do Wstępu« widzimy, że Krasiński mówi tam ogólnikowo o dezorganizacyi i »stanie konania« państwa rzymskiego, nie wymieniając Gibbonowskich »czterech głównych powodów«. Natomiast charakteryzuje poeta wybrany dla swej »powieści« moment dziejowy w sposób następujący:

»Trzy systemata stały obok siebie: 1) Pogaństwo już bez życia... 2) Chrześcijaństwo dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem — podobne do ducha potężnego w pracy

wcielania się swego — i 3) barbarzyństwo rozmaite, dzikie« itd.

Ten-to podział na trzy składowe pierwiastki, tworzy naturalny plan Irydiona, który wszystkie trzy »systemata« stara się dla swej idei pozyskać. Mógł oczywiście Krasiński z własnych rozmyślań wysnuć owe trzy »systemata«; ale jest autor, któremu twórca *Irydiona* bardzo dużo zawdzięcza, jak tego dowiedli pp. Hahn i Pini, a który taki sam plan w swojem dziele przeprowadził — to Chateaubriand. Uszło uwagi dotychczasowych badaczy ważne bardzo dzieło Chateaubriand'a p. t. »Études ou Discours historique sur la chute de l'Empire Romain, la naissance et les progrès du Christianisme et l'invasion des barbares«. Już w samym tytule mamy dużo obiecującej dla *Irydiona* treści. Dzieła tego fragment ogłosił był Chateaubriand w r. 1826; w całości zaś ukazało się po raz pierwszy w zbiorowem wydaniu (*Oeuvres complètes*) Chateaubrianda, które wyszło w latach 1826—1831. (*Études ou Discours* wypełniają tam tomy 4, 5, 5 bis, 5 ter.). Nie myślę tu streszczać tak dużego dzieła; zawiera ono mnóstwo świetnych i głębokich spostrzeżeń, wyjaśniających stosunek chrześcijaństwa i barbarzyńców do Rzymu cezarów. Ale wystarczy przytoczyć jeden charakterystyczny ustęp, aby ocenić możliwość wpływu tego dzieła na Krasińskiego. Wykazawszy doniosłość chrystyanizmu za cesarstwa rzymskiego dla całego ludzkiego społeczeństwa, mówi Chateaubriand przy końcu swej wstępnej »expozycyi«:

»Je vais essayer de vous peindre ces trois mon-

des, *coexistant* confusément: le monde païen ou le monde antique, le monde chrétien, le monde barbare; espèce de trinité sociale, dont s'est formée la société unique qui couvre aujourd'hui la terre civilisée. Résumons l'exposition du système qui m'a paru le plus approprié aux lumières du présent...«

Aż do następstwa nawet wyrazów mamy tu identyczny podział na trzy światy, trzy »systemata«, które stały wówczas obok siebie (*coexistants*).

W dziele tem Chateaubrianda, które jest jakby podręczną, trochę bezładną, ale przepełnioną faktami encyklopedyą wiadomości dotyczących cesarstwa pogańskiego i chrześcijańskiego, obyczajów pierwszych chrześcijan i obyczajów barbarzyńców itd. itd., mógł Krasiński znaleźć mnóstwo potrzebnych mu szczegółów. Nie twierdzę bynajmniej, aby z nich wprost korzystał; ale bardzo mi się wydaje prawdopodobnem, że przy pomocy Chateaubrianda rozejrzał się Krasiński po raz pierwszy w olbrzymiej literaturze i jej głównych źródłach. Na kilku miejscach mówi Chateaubriand o Heliogabalu bardzo obszernie, przytacza ustępy z Athenaeusa (Deipnosoph.), Lampridiusa, Herodiana, Diona Cassiusa. Pierwsze zaciekawienie się epoką mógł Krasiński wynieść z tych »*Études*« Chateaubrianda, za czem czem poszło samodzielne rozczytywanie się w podanych tam źródłach.

W trzecim rozdziale swej pracy zastanawia się p. T. Pini nad »wpływami literatury pięknej«. Mówi naprzód o wpływie *Wallenroda*, który jednak jest więcej niż problematyczny, bo przytoczone zestawienia są zbyt ogólnikowe i nie wykazują żadnego mo-

ralnego podobieństwa obu bohatyrów. Natomiast o wiele ważniejsze i zupełnie przekonywające są zestawienia tekstów *Irydiona* (Przypisków) z dziełkiem Ferrièra *Il vivere;* jasno z nich wynika, że szczegóły dotyczące Heliogabala powtarza Krasiński nieraz dosłownie z Ferrièra (l. c. 51—53). Co więcej forma utworu Ferrièra, ustępy dyalogowane, wpłynęła bardzo wyraźnie na *Irydiona.* Zwłaszcza sposób, w jaki tam przemawiają chóry, te zdania urywane, te dyalogi, w których dwie osoby rozmawiają tak, że jedna kończy zdanie drugiej — to wyraźnie naśladowane z *Il vivere,* jak wykazał p. Pini.

Pomijam pomniejsze reminiscencye z Bohdana Zaleskiego i Zacharyasza Wernera, co do których pozwalam sobie mieć duże wątpliwości — a przejdę do bardzo ważnego i bardzo pewnego wyniku poszukiwań pana Piniego: wykazał on mianowicie wpływ znaczny wielkiego utworu Chateaubrianda: *Les Martyrs.* Pisał o tym wpływie także p. W. Hahn; poprzestał jednak na krótkiem stwierdzeniu faktu i poparciu go kilku szczegółami. Pan Pini przeprowadza dokładnie porównanie między Grekiem Eudorosem i kapłanką Welledą z jednej — a Amfilochem i kapłanką Grimhildą z drugiej strony. Drugim analogicznym motywem jest proroctwo Grimhildy o upadku Rzymu, które jest reminiscencyą proroctwa pustelnika Pawła w *Tebaidzie.* Trzecim najciekawszym faktem w dziedzinie zależności *Irydiona* od *Męczenników* jest podobieństwo Masynissy do Szatana u Chateaubrianda. Pan Pini tak to określa:

»W Szatanach Krasińskiego i Chateaubrianda od-

bija się odwieczna walka dobrego ze złem, walka, której celem jest nie jeden człowiek, ale całe społeczeństwo, cała ziemia. A jeden środek ma ich obu doprowadzić do tego celu: namiętna miłość, którą starają się wzbudzić w sercach »wybranych« (bo zarówno Kornelia jak Kymodoke są wybrane przez Boga). Kymodoke miała już wkrótce zostać małżonką Eudora, kiedy szatan wysyła do niej boginię namiętności — Kornelia i Irydion zdawna już żywili ku sobie żywsze uczucie, kiedy Masynissa każe synowi Amfilocha porwać ją w objęcia... W jednym i drugim poemacie starania szatana nie odnoszą skutku — w jednym i drugim kończą się tryumfem wiary chrześcijańskiej na arenie w Colosseum. Analogia jest zatem zupełna«.

Istotnie, o ile stosunek Masynissy do Boga jest skreślony pod wpływem Lucifera z Byronowego *Kaina*, to z drugiej strony sposoby walczenia z Bogiem przypominają szatana z *Męczenników*. Pod jednym względem możnaby uzupełnić jeszcze poszukiwania p. Piniego: oto nawet zewnętrzne rysy Masynissy zdają się być reminiscencyą jednego ustępu z VIII-ej księgi *Męczenników;* kto wie, czy i afrykańskie pochodzenie Masynissy nie tam ma swe źródło:

»...le chef des démons entre au séjour, ...ainsi dans le désert de Zaara... le noir Africain se couche sur les sables... Alors le démon de la fausse sagesse se lève... Il affecte la forme d'un vieillard«.

A to, co ten demon mówi, przystaje zupełnie do Masynissy: »Nous n'obtiendrons la victoire que par

le raisonnement, la douceur, et la persuasion... Je saurai forcer l'Éternel à détruire une seconde fois son ouvrage...«

Te jednak reminiscencye i analogie z *Męczennikami* Chateaubrianda nie wyczerpują całej kwestyi wpływu tego pisarza na Krasińskiego. Pomimo całej sumienności i rozległości studyów pp. Hahna i Piniego tylko połowa pracy jest dokonana. Analogie i reminiscencye są tu tylko zewnętrznym, materyalnym, że tak powiem, objawem duchowego stosunku, który czeka jeszcze na dokładną charakterystykę. Są podobieństwa, ale są też bardzo głębokie różnice w pojęciu i przedstawieniu tak chrześcijaństwa jak pogaństwa w *Męczennikach* i *Irydionie*. Nie mogąc kwestyi tej, bardzo ciekawej ze względu na znaczenie obu znakomitych pisarzy w ich społeczeństwie, poświęcać tu osobnego ustępu, zaznaczę tylko, że — o ile mnie się zdaje — przeciwstawienie kultu pogańskiego obrzędom chrześcijańskim jest lepiej wyzyskane i silniej oddane w *Męczennikach*. Natomiast mniej jest sztywności i pompy u Krasińskiego, choć sporo jej mamy w *Irydionie* właśnie skutkiem wpływu uroczystej prozy Chateaubrianda.

Ważne studyum prof. Piniego zawiera jeszcze jeden szczegół, na który warto zwrócić osobną uwagę. Mówi on o wpływie Hamleta na monolog Irydiona, zamykający pierwszą część »powieści«. Wpływ ten występuje, zdaniem p. Piniego, z »krzyczącą wyrazistością«. Jakoż tak jest istotnie. Samo zestawienie tekstów przekonywa nas o tem, a ustęp z listu poety do pani Bobrowej czyni z domysłu p. Piniego pra-

wdziwą *coniectura palmaris* i zamienia go na pewnik. Nie mógł p. Pini wiedzieć, że w liście do Reeva zwróci sam poeta uwagę na podobieństwo duchowe bohatyra swego do królewica duńskiego. W liście zaś do pani Bobrowej z d. 9-go grudnia 1834 roku będzie się najpierw rozwodził nad Rzymem, który »śmiał zażądać od nieba panowania nad ciałami i nad duszami — a dziś leży w ruinie«, — potem zaś przypomni swej ukochanej szczegół następujący:

»Czy pamięta Pani ten mały stolik, tego czarnego i starego Szekspira i ten wspaniały monolog Hamleta, który Pani tłómaczyłem, a z którego powiodło się Pani poprawnie wygłosić pierwsze wiersze:

To be or not to be that is the question!

Czytałem wiele różnych rzeczy, ale nigdy na tym świecie nie znalazłem nic, coby dla mnie dorównywało sile nieodpartej, mocy magicznej tego wiersza. To też wie Pani, jak ja ten wiersz kocham i jak go często powtarzam — dziesięć razy na dzień jest on na mych ustach lub w mej myśli; jest to jakby pierścień magiczny, który opasał serce moje, jest-to jak przyjaciel odnaleziony w pewnych chwilach, czasem jak wspomnienie, to znowu jak nadzieja. Zdarza mi się, że wygłaszam go przez sen, że chcę coś powiedzieć po przebudzeniu się i zamiast tego zaczynam mówić: *To be or not etc.* Dziwne to, że kilka tych słów związało do tego stopnia moją duszę«.

Teraz rozumiemy zupełnie, dlaczego wiersz ten zdobi tytuł „*Nieboskiej*“ i dlaczego monolog cały ham-

letowski słyszymy w parafrazie Sygurda-Irydiona! Były to wiersze uświęcone dla poety i własnem jego upodobaniem i drogiemi wspomnieniami angielskich lekcyj z ukochaną.

* * *

To dorywcze rozejrzenie się w »prolegomenach« *Irydiona* daje pojęcie o niesłychanej pracowitości poety, który nad »powieścią« swą lata całe strawiwszy, stworzył to, co Małecki nazywa pięknie »ogromem przepełnionym pomysłami, a przemyślanym w najmniejszych szczegółach swoich«. Obok postaci głównych: Irydiona i Masynissy, wystudyowanych głęboko, dał nam poeta cały szereg zajmujących i przykuwających uwagę osób.

Jak pięknie, jak lekko, powiewnie nakreślona jest miłość Irydiona i Kornelii! Jak uczucie to kryje się zrazu w obsłony wspólności braterskiej, chrześcijańskiej, a później, za podmuchem Złego wybucha żarem długo tajonych uczuć. Scena uwodzenia Kornelii w katakumbach przeprowadzona jest z mistrzowskiem stopniowaniem psychologicznem; co prawda, mistrzostwo to okupił poeta drogo, bo spokojem dusz dwojga, własnej i ukochanej!

Ponad drugorzędne postacie w *Irydionie* wznosi się szlachetna para: Elsinoe i Aleksander Severus. Na przekór nienawiści plemiennej kochają się oboje — bez najmniejszej nadziei — i nigdy może idealny stosunek dwojga dusz pięknych nie był naszkicowany z większą delikatnością; całe mistrzostwo znać tu w krótkości określenia tej dziwnej miłości: westchnień

kilka i spojrzeń kilka — oto wszystko! Seraficzne to uczucia Greczynki i Rzymianina — smutne i rzewne, a wstrząsające do głębi.

Obok tych dwu par zakochanych, tej przynęty dla szerokiego koła czytelników, szukających w powieści przedewszystkiem »romansu«, — jakiż tam orszak osób, z których każda może być przedmiotem estetycznego lub filozoficznego rozbioru, bo każda niemal jest wcieleniem jakiegoś historycznego lub psychologicznego typu. A przecież wzgląd artystyczny był tu, jak słusznie zaznaczył Prof. Tarnowski, dla samego poety podrzędnym. Postacie te jednak żyją własnem życiem, umieją w nas wywołać wstręt, jak Heliogabal, uszanowanie, jak biskup Wiktor, zaciekawienie. jak Ulpianus... Pomimo całej ideowej abstrakcyjności głównego celu, ta »powieść«, nawet jako powieść zajmuje, nieraz zachwyca.

Usterki kompozycyi artystycznej wynikły z długiego pisania i częstego przerabiania *Irydiona*. Nie da się zaprzeczyć, że układ jest w ogóle nieco za rozwlekły, nieożywiony, nie stopiony jednym potężnym żarem natchnienia. *Irydion* był z pewnością pierwotnie o wiele krótszym, kiedy go poeta nazywał w liście do Reeva swojem *„opusculum“*; po napisaniu, rozpoczęły się uzupełnienia, wstawki, wzmocnienia w miarę tego, jak chodziło o uwydatnienie większe »pogańskiej« lub »chrześcijańskiej« części. Ten rozłam wewnętrzny, duchowy podczas pisania i przerabiania *Irydiona*, zaszkodził niemało sile i ogniowi utworu. Chęć artystyczna odtworzenia dziejowego momentu przebrała miarę w przeładowaniu erudycyjnych szcze-

gółów i archeologicznych drobiazgów, które nieraz rozpraszają uwagę czytelnika. Zwłaszcza Heliogabal na tem źle wyszedł. Nie jest on, jak to mówią, »wytrzymany« w tonie dziejowym, w mowach swych jest za rozwlekły, bądź-to kiedy nie wiadomo dlaczego opowiada Elsynoi sny swoje, bądź też kiedy gawędzi z Irydionem zamiast działać. Dziwimy się Elsynoi, że chce wstrętnego sobie Heliogabala nawrócić na wiarę Odyna (!), uważamy rozmowę Irydiona z Heliogabalem za nudną, rozwlekłą i niezbyt potrzebną, tak jak rozprawa historyozoficzna Irydiona z Ulpianem zyskałaby także na zwięzłości; spotkanie to zresztą kontrastem swym przypomina zanadto spotkanie Pankracego z hr. Henrykiem, nie dorównywając mu w sile. Sam Krasiński zauważył, że w *Irydionie* »idee więcej się ruszają niż ludzie«.

Istotnie, za często mówią tam, gdzie działać trzeba; np. Scypio opowiada, zamiast się bić. Pod tym względem nietyle to są krewcy ludzie Południa, ile raczej mężowie Północy, o których mówi Kochanowski przez usta rotmistrza: »Tak-ci, panowie, wy tu radzicie, a w polu nas wojują«. Cała część czwarta *Irydiona* jest pod tym względem charakterystyczna. Przypomina się tu sąd ostry poety samego: »dramatyczność nieraz zasypia«.

O pięknościach stylu *Irydiona* wiele pisano; nikt trafniej go nie określił od Prof. Tarnowskiego, który uznał *Wstęp*, jako obrazowość stylu, za »jedną z wielkich piękności naszej literatury«. — »Zapewne jest to proza tak uroczysta, tak majestatyczna i tak poetyczna, że włos jeden dalej, a wpadłaby w przesadę,

zastosowana do przedmiotów drobniejszych byłaby nienaturalną i śmieszną...« Mówiąc zaś wogóle o stylu *Irydiona*, zaznacza sprawiedliwie tenże krytyk: »Gdyby wreszcie chciał kto dodać, że uroczysty ton prozy *Irydiona* wpada tu i owdzie w przesadę i staje się nużącym przez swoją majestatyczność i obrazowość, to takiemu odpowiedzieć łatwo, że nadmiar gdzieniegdzie trafić się może; ale gdzież znowu znalazłby się ten majestat, ta uroczystość, ta wielkość prawdziwa stylu i języka?«

Tej charakterystyce stylu trudno odmówić trafności. Kto wie, czy majestatyczność jego nie poszła poniekąd ze zbytniego przejęcia się stylem „*Męczenników*“ Chateaubrianda, bardzo dziś nużących z powodu monotonnego, arcypoważnego nastroju. Styl *Irydiona* jest wspaniały — ani słowa! ale zdaje mi się, że nie jest dość urozmaicony; rysunkowy, ale nie kolorowy. Rzeźba to, prześliczna płaskorzeźba w nieskalanej bieli marmuru — ale nie obraz, nie siła kolorytu i kontrastów barwnych. Logomachie, tak częste, rozumne i głębokie, nie porywają za serce. Chłód pewien wieje z tej prześlicznej płaskorzeźby... Rozstawalibyśmy się też z *Irydionem* na chłodno, gdyby nie cudowne »Dokończenie«, które niespodziewanie przeszywa serca nasze, rozrzewnia, każe zapomnieć o Rzymie i Heliogabalu, a przenosi nas czarowną mocą na Północ, do ziemi mogił i krzyżów...

Tem dokończeniem żyje po dziś dzień dla nas Irydion, jak ożył dla poety w r. 1836-ym!

Niema wątpliwości, że *Irydion* był odpowiedzią na *Wallenroda*, odpowiedzią na pozór spóźnioną, skoro w r. 1831-ym Wallenrod stał się Belwederem; spóźnioną pod tym jednym względem, ale nie przestarzałą po dzień dzisiejszy. Nie tak dawno jeszcze twierdził jeden z poetów naszych, że »słowa Wallenroda palą i do czynu pędzą, kiedy Irydiona dzwonią pięknie, ale i powstrzymują energią działania, wieją po sercu zwątpieniem w indywidualną siłę«.

Nic tu nie pomoże wybieg poetyczny, że »Irydion widzi zniszczony Rzym, ale nie widzi powstającej Hellady, kiedy Wallenrod widzi tryumf Litwy«. Tryumf to w poemacie, nie na ziemi, niestety! Tryumf ziemski okupić trzeba wiekowym trudem. Nie zgadzamy się zresztą na zarzuty powyższe, stawiane Irydionowi. Syn Amfilocha nie jest bynajmniej symbolem »zwątpienia w indywidualną siłę« i chyba nie powstrzymuje niczyjej »energii działania«. Irydion zaś odrodzony, dążący ku nowemu życiu na ziemi mogił i krzyżów, słyszy głos: »Idź i czyń... czyń ciągle i bez wytchnienia...« więc chyba nie pozbawi swych nowych braci ani »energii działania«, ani »indywidualnej siły«.

Że praca będzie »okropniejsza, niż wszystkie przewalczone boje«, że warunki nawet dla tej pracy będą bezlitośnie ciężkie — wiemy dziś wszyscy, wiemy lepiej, niestety, niż dziadowie nasi. Uczuciu ziemskiemu, uczuciu narodowemu tak dotkliwie i tak często obrażanemu trudno, jak trudno!, przebaczyć, a cóż dopiero przeanielić się w miłość ku wrogom;

a gdy w jeden biją policzek, Chrystusem być trzeba, aby drugi nadstawiać...

Irydion zamieszkał wśród braci nowych, których mu dano i rzeczywiście po raz drugi ujrzał miłość swoją przebitą, konającą i męki tysiąców wcieliły się w serce jego —

Czy wytrwa?

Wallenrodów już nie wyda ziemia nasza. Postarał się o to wróg. Ale i o to się stara, by Irydion-naród zwycięsko z próby mu danej nie wyszedł, by serce mu wyschło w piersiach, by zwątpił o braci swojej, by wreszcie o Bogu samym mógł zrozpaczyć...

Przecież nie stracił jeszcze wiary, nie wyrzekł się miłości i żyje nadzieją. Dotąd jest spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych. Wie, że męczeństwo ma być długie, ale ufa stale przyrzeczeniu:

»A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami: szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty: wolnością!«

KSIĘGA SZÓSTA

I.

W ROZSTROJU.

Przez cały rok 1836 Krasiński czuł się źle: cierpiał i moralnie i fizycznie. Moralne cierpienie określał jako chorobę wieku, »morową zarazę«, której ulec musiał, bo »niema na szerokim świecie dzisiaj istoty, którejby ta zaraza nie dotknęła, niema serca, któreby nie cierpiało przez brak wiary i nadziei; bo tak się ułożyła teraźniejszość, że jest próżnią, w której nic z przeszłości nie pozostało i w której dotąd nic niema z przyszłości«. Zapewne jenerał Krasiński starał się pocieszyć syna, dowodząc mu, że Polska pomimo nieszczęść politycznych ma jaką taką pomyślność materyalną, względny dobrobyt itp. — Zygmunt Krasiński nie mógł ze względów ostrożności otwarcie w listach zbijać zapatrywań ojcowskich: czynił to w obsłonach stylu cenzuralnego, nie mniej jednak stanowczo występował przeciw takiemu optymizmowi: »Na świecie tak się wszystko trzyma w związku, że nie można rozdzielać pewnych rzeczy i uczuć. Nie można powiedzieć komuś: bądź szczęśliwy z tego, że twoja kochanka ma jedno oko piękne, chociażeś

nieszczęśliwy z tego, że drugiego wcale nie posiada. Brak tego jednego oka i drugiego piękność w niwecz obróci. Szczęście materyalne, jakkolwiek wysokie, nie może stanąć za szczęście moralne — a szczęście moralne jest to ruch, czynność umysłowa. — W takim samym stosunku mają się uczucia ciche, rodzinne, do uczuć ogółowych. Dom i przestrzeń, na której dom stał, ściśle z sobą powiązane«. (Z Florencyi, 26 stycznia 1836 r.).

W tych spokojnych na pozór, chłodnych słowach, ileż kryje się żalu serdecznego! Cóż mu potem, że ma »szczęście materyalne«, że jest jedynym spadkobiercą dużej fortuny, okiem w głowie kochającego ojca — kiedy »uczucia ciche, rodzinne« nie dadzą się oddzielić od »uczuć ogółowych«, a te są straszne, rozpaczliwe w tych właśnie latach ucisku mikołajowskiego.

Nietylko Polska, nietylko emigracya nasza, ale cała, rzec śmiało można, Europa zdumiona i przerażona była gwałtowną mową Mikołaja I, wypowiedzianą w Warszawie d. 16 października 1835 r. — Zacząwszy od obelg, od zarzutu polskich kłamstw i polskiego gwałcenia przysiąg (przyczem i Aleksandrowi I dostała się wymówka, że zrobił dla Polski więcej. niż się carowi rosyjskiemu godziło) — zapowiedział Mikołaj deputacyi warszawskiej, że jeśli Polacy »upierać się będą w zachowywaniu *mrzonek o narodowości odrębnej* (rêves de nationalité distincte), o niezawisłej Polsce i o wszystkich tych *chimerach*«, to ściągną na się wielkie nieszczęścia. »Kazałem tu wznieść cytadelę i oświadczam wam, że za najmniejszym roz-

ruchem każę zbombardować miasto, zniszczę Warszawę, a możecie być pewni, że ja jej nie odbuduję«. Z dumą stwierdził dalej, że »wśród wszystkich zamieszek, które niepokoją Europę, wśród tych wszystkich doktryn, które *wstrząsają gmachem*, Rosya jedna pozostaje silna i nienaruszona«. »Wierzcie mi — kończył przemowę swą do Polaków — jest to szczęściem prawdziwem należeć do tego państwa i korzystać z jego ochrony...«

Dobrodziejstwa tego państwa i to szczęście utwierdzał Mikołaj ukazami: o niezliczonych konfiskatach dóbr, o przerzuceniu tysięcy dziatwy polskiej na stepy Uralu i t. d. Te hiobowe wieści przejmowały dreszczem zgrozy biednego Zygmunta Krasińskiego, a jak sam pisze: »wstrząsnęły nim całym od stóp do głowy i od mózgu do serca«. Zadrżał o przyszłość narodu, tak ciężko doświadczonego; sięgnął do jego przeszłości, pragnąc w niej odszukać rękojmię silnych wiar i silnych zasad, na którychby oprzeć można nadzieje przyszłości. Ale tu rozstrój myśli filozoficznej nie dawał mu pewnej ostoi. Był jeszcze pod wpływem filozofii niemieckiej, a choć pragnął się z niej wyzwolić, chociaż przeklinał »Niemców, filozofów«, nie miał własnego systemu, własnej opoki. Mgła panteistyczna usposabiała go pesymistycznie. To też skreślony wówczas w liście długim do jenerała historyozoficzny pogląd na przeszłość naszą dziejową, na cały nasz dorobek cywilizacyjny i duchowy, jest dziwnie ponury i przygnębiający. Przytaczamy go tutaj raz dlatego, że krótki tylko wyjątek, a tem samem nie zupełną myśl poety, podał już przed dwudziestu

kilku laty Szujski w rozprawie »O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju« (Dzieła, Ser. II. Tom VII, 366—7), a powtóre dajemy ten pogląd, jako doskonały dokument zniechęcenia chwilowego, które było wypływem i współczesnych okoliczności i wywołanego niemi rozdrażnienia.

Odczytując te gorzkie wynurzenia zbolałego poety, miejmy zawsze w pamięci, że za lat kilka będzie w *Przedświcie* błogosławił ojców winie, że pod rdzawymi szyszakami dostrzeże »iskry ducha«, ujrzy »szlachty starą śmiałość« i »niewoli wzgardę« — że wreszcie orzecze: »Łaska Boża nas wegnała w te bezdroża«. — Jak tam odnajdziemy dużo wpływów nowej filozofii, której wtedy hołdował, nowych prądów, które kazały mu wierzyć w *przedświt* nowych czasów, kiedy to »wzrosną życia kształty *trzecie*« — tak teraz w r. 1836 filozofia »przeklętych Niemców, panteistów« rzuciła niepokój w duszę poety i kazała mu w przeszłości naszej widzieć same ujemne strony, słyszeć w niej tylko śmiech rubaszny »gardłem całem«:

z Florencyi, 26 stycznia 1836 r.

. . . . . .

»Wszystko, co było nami, rozprzęga się i wraca do nicości. Zginiem, jak żydy zginęli, ale nie utrzymamy się, jak oni. Choć [winni]śmy sobie sami. *Byliśmy najniepewniejszym, najbłędniejszym, najbledszym, że tak powiem, narodem w historyi ludzkości. Nic nigdy organicznego, zupełnego, całego

* Ustępy między gwiazdkami ogłosił już Szujski.

u nas nie było: ni arystokracyi, ni mieszczaństwa, ni ludu*. — Byliśmy politycznemi Infusoriami, ale nie indywiduami. Dlatego tak łatwo koniec przyszedł na nas. *Żeby nasza Arystokracya miała była z kim walczyć, jak francuska, jak angielska, byłaby była dzielną i żywotną. Życie jest to tarcie się, jest to podwójność, nie zaś jedność spokojna. A szlachta polska była jednością — sobiepańską, niedbałą o nic, bo nic się jej nie sprzeciwiało, nie nauczyła się życia, w letargu leżała; obudzenie jej było śmiercią*. Szlamazarny był los nasz. *Zabierało się na coś w początkach. Zdawało się, że my Słowiańszczyznę spoim i urządzim. Garnęły się do nas narody i korony, ale z niczego korzystać nie umieliśmy, nic w czas zrobić. Gdzie kiedy jaki Polak był genialnym politykiem? Gdzie kiedy Polska wpływ na Europę, reakcyą choćby, wywarła? Dobrze gadać obcym o Turkach, — ale w rzeczy samej wojny tureckie nie były u nas owocem rozmysłu i przewidywania, tylko dziełem chwilowym nieodbitej konieczności*. —

Wielki rozum! wielka zasługa, że kiedy przyszli Tatarzy lub Turcy, to my się bronili wtedy. Ale *czyśmy przejrzeli, jakoby obalić potęgę Turecką?* ale czyśmy założyli sobie ją obalić, lub przynajmniej określić? Ale *czyż wyprawa pod Wiedeń nie była jeszcze prostym przypadkiem — szczęśliwym!

A w naukach, w kunsztach, w sztukach cóżeśmy stworzyli? Jest-że poezya, architektura, lub malarstwo, lub muzyka polska? Czyśmy mieli kiedy co polskiego na świecie, prócz Rubaszności? — Ubiór od zachodniej Europy, potem od Wschodu pożyczony.

Język narodowy porzucony dla umarłego, łacińskiego, potem porzucony dla żyjącego, francuskiego. Literaturka nasza z konceptów włoskich, z maxym Cycerona, z wierszyków francuskich, z ballad niemieckich wyarlekiniona.

W niczem geniuszu, ni zewnątrz, ni wewnątrz; w niczem życia, ni w polityce, ni w duchu krajowym. Po śmierci dopiero żyć się nam zachciało: kiedy niema, dawaj! Upiory z nas nie ludzie. Wszystko po niewczasie. Upiory męczą się srodze: to sekret mąk naszych. Ale to przodkom naszym winniśmy —

Że wojen u nas religijnych nie było, to tylko dowód, że nikt w nic nie wierzył mocno. O to, w co ludzie wierzą, biją się. Wojna jest znakiem życia. Naród polski bywał zawsze leniwy do wojny, do pospolitego ruszenia, lubił wygódki. Ale za to fanfaron wielki; bo ten tylko się chełpi, który czuje niedostatek rzeczy, z której chełpi się* — ale za to małpa, bo ten tylko naśladuje, co niema nic własnego —

*Te dwie przywary, razem połączone, tworzą affektacyą, brak naturalności. Dlatego też my najmniej naturalni z ludzi†.

Dlategośmy często wystawni dla widzów, skąpi w domu. Dlategośmy często namiętni dla widzów, zimni w sercu. Dlatego krzyczym, nie myślemy, dowodzim bez przekonania. Jedyną tradycyą stanu u nas była: swawola*. Jedynym celem powszechnym towarzystwa: używanie. Jedynem pojęciem wolności: Lenistwo.

† Tu widoczna przerwa w pisaniu. Odtąd pismo drobniejsze.

Lekkomyślność nasza pochodziła zawsze z braku głębi w czuciu, z braku prawdziwych celów, słowem z braku wiar jakichkolwiek. Trza było okropnie słabych i szlamazarnych ludzi, by po oczytaniu się starożytnych, po obznajomieniu się z całą cywilizacyą europejską, dać się opanować przez Jezuitów; by dać sobie wydrzeć z rąk wszystko przez ludzi, którym nie wierzyli, bo któż z panów polskich wierzył katolicyzmowi? Cała Polska, to raz protestancką, to to znów socyniańską, to znów Rzymską apostolską bywała.

Nigdy w Polsce ni silnego despotyzmu, ni silnej opozycyi nie było. Król żaden nie był wielkim. Stefan Batory zapił (!) sprawę swoją wielką. Ileż to prac podejmować trza było, by tym ludziom wytłumaczyć coś korzystnego dla nich, a Rząd, który zawsze wnosił i tłumaczył, sam nie umiał dobrze tłumaczyć. I tak: Unia z Litwą z jakiemiż trudnościami się spotkała? a Unia z Rusią, z kozactwem nigdy do skutku przyjść nie mogła.

Często się przydarza, ze bezinteresowność raczej jest lenistwem, tak samo, jak że pozory szlachetności pochodzą z głupstwa, t. j., że są pewne bezinteresowności, że są pewne fakta, wynikające z głupstwa, którym ludzie podchlebiają, przezywając je szlachetnemi. U nas takich bardzo wielka siła. Z lenistwa naszego, z chęci używania a nie działania, srodze potępiające nas wyniknęły skutki: na drodze realnej, że nie mamy bytu — na drodze idealnej, że nie mamy wspomnień naszego bytu, życia naszego życia, t. j. Historyi polskiej. W tym względzie żaden naród

niżej od nas nie stoi. Tak tu się stało, jak we wszystkiem: mamy ułamki kościotrupowe Historyi, t. j., Chroniki, z których najlepsza Chronika Naruszewicza, tyle razy obdarzona tytułem Historyi; ale nie mamy organicznych dziejów polskich, nie mamy całości. Ztąd wynika, że niema Polaka, któryby głębiej nie znał szkockich dziejów od swoich własnych. Przyznaję zresztą, że gdyby przyszło prawdziwie i filozoficznie komu pisać polską Historyę, to chyba trzaby mu było być cudzoziemcem, żeby się odważyć do takiego dzieła. Serce Polaka nie zdołałoby przenieść na sobie, by odsunąć zasłonę, leżącą nad takim ogromem niedorzeczności, błędów raczej słabości, niż namiętności, głupstwa raczej, niż zbrodni, dzieciństwa raczej, niż ludzkich czynów. —

Nie zdołałaby ręka polska opisywać, jako nam opatrzność wydzieliła ogrom darów swoich, jako nas postawiła na pysznej drodze, na samym środku Sławian, jako napisała w przeznaczeniach naszych, że my powinni ich skupić i uorganizować, jako nam dała potęgę, wtedy, kiedy sąsiedzi byli słabi i dzicy, jako nas połączyła, nas jednych z sławiańskiego szczepu z żyjącą i oświeconą Europą i jako my wszystko zmarnowali nie przez hojność, nie przez popęd, nie przez rozpasane namiętności, ale tylko przez nieporządek, przez opieszałość, przez brak rozumu, a nieraz i serca. Podobni w tem do tego, który nikomu szklanki wody nie dał, a stracił majątek.

Słyszałem nieraz naszych sawantów, dziwiących się, że niema epopei polskiej. Rzecz jasna: gdzie

niema Historyi, tam Epopei być nie może. Epopee nie przez poetów, ale przez narody się robią. — Grecya u stóp murów Trojańskich zrobiła Iliadę, Germanie w walkach Attyli Nibelungów. Trza czynu, któryby lud cały poruszył aż do wnętrzności jego — a u nas nigdy nic takiego nie było. Żadne *factum* w Polszcze nie wdarło się głęboko ani w uczucie, ani w pamięć narodu. A, mój Boże, mój Boże, my nie dzieci, my nie młodziki, my od tysiąca lat przeszło żyjemy. Jedyna nasza Epopea to Myszeida Krasickiego. Jedyna liryczna poezya, to fraszki Kochanowskiego. Jedyna tragedyja to Barbara Felińskiego. I w rzeczy samej tragicznego przedmiotu w Historyi polskiej nikt nie wynajdzie. Tam tylko jest Tragiczność, gdzie były głębokie uczucia i silne namiętności.

Tragedyja jest-to to w teraźniejszości, co Epopea w przeszłości; do jednej i drugiej trza ruchu, tradycyj poważnych i wiary w coś na świecie.

Było pryncypium, zakorzenione w Polszcze, które niszczyło wszelką w niej poezyą: pryncypium buffońskie, Rubaszność szlachecka, trefność dworzańska, krotofilność. — W innych narodach byli szczególni ludzie, wyznaczeni na pastwę temu pryncypium, zwali się błaznami królów (Triboulet etc etc). U nas cała szlachta ćwiczyła się w tem rzemiośle, a że wszystko przesadzamy, byliśmy nieraz fanfaronami błazeństwa (tak jak Lacenaire był fanfaron du crime). Ileż to z tego opłakanego zwrotu ducha narodowego wyniknęło podłości i uniżenia w postępowaniu! Ileż razy szlachcic, Dworzanin, tak się przyzwyczaił

wszystko w koncepta stroić, że nareszcie koncept powiedział o cnocie i został łajdakiem! — Ileż-to sejmów przez koncept zerwanych. Same Liberum veto było rodzajem konceptu ale to z tych koncepтów, które kończą się płaczem.

Były u nas indywidualne cnoty i bohatyrstwa, ale narodowych nie było. Co u innych narodów wyszło na cnoty i zbrodnie, to u nas wychodziło na buffonady. Tam gdzie wielkie zbrodnie, muszą być i wielkie cnoty — bo pierwiastek zbrodni i cnoty jeden: moc ducha, ale tylko kierunki różne (mówię ja tu o zbrodniach politycznych, o wojnach i prześladowaniach, o spiskach, o niesprawiedliwych zaborach, o dumie i żądzy panowania)†. U nas było ogromne n i c. —

Ni cnota, ni niegodziwość, ale *mezzo termino:* błazeństwo. Ni sroga tragedyja, ni idylla niewinna, ale *mezzo termino:* farsa. I tak leżąc na kożuchu, pijąc małmazyę i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu. —

Teraz, niech mi Papa odpowie: czy takie przyczyny nie wydają gorzkich owoców? Czy potomkom takie przeszłości nie zapisują chwil smutnych? Czy taka nicość nie wydrąża nicości w duszach, które się ku niej obracają? Czy można się dziwić, że plemię nasze, że pokolenie nasze pochyloną trzyma głowę, kiedy pokolenia przeszłe wszystkie żarty zużyły, a nam tylko zostawiły niedolę?

O, ze śmiechu, który niegdyś rozlegał się po Pol-

† Tu widoczna przerwa w pisaniu.

szcze całej, została nam tylko zawczesna starość. Polska lat pięćset się śmiała gardłem całem i komiczną była — przez kompensacyą, my dziś płaczem i czujem nieco tragiczniej!

Pisałem ja tak długo, choć z obawą znudzenia, jak zwykle, dlatego, że serce moje usprawiedliwić chciałem z zarzutu, jakoby ono nic nie czuło, jakoby usiłowania drogiego ojca nie mogły go powołać do chwili nadziei. — Chciałem, z ogółu rzecz biorąc, oskarżyć okoliczności i przeszłość, a zdjąć z teraźniejszości ciężar wyrzutów.

Ludzie są tem, czem ich przeszłość zrobiła. Zależą nietylko od chwil, w których są, ale od wszystkich, w których nie byli. Strasznemi bywają zapisy czynione przez przodków: zdrowie, choroba materialnie — radość, smutek moralnie — i jeszcze kara, lub chwała. My w testamencie dostali tylko wypłatę długów...«

Bolesne to, ciężkie oskarżenie przeszłości, pomimo genialnego ujęcia niektórych wad narodowych, grzeszy przecież przesadą młodzieńczą. Przyjdzie czas, w którym poeta sam sobie odpowie: »A zkąd ty się wziął? A kto wlał w ducha twego mowę polską? a kto polski obyczaj? a kto wolności żądzę? a kto siłę czynów?... Niewdzięczniku? ktoby głosu twego słuchał, gdyby nie Chrobrych miecz, Jadwigi niepokalaność, Zygmuntów mądra miłość, Batorych hart, Zamoyskich rzymska cnota, Żółkiewskich zgon, Czarnieckiego żywot, Sobieskiego trud i europejski czyn? Nicości bez nich, czemu powstajesz ty na nich? Czemu się targasz na wiekopomne?...«

Krasiński kiedy pisał akt oskarżenia na Rzeczpospolitą był w niemałej rozterce z sobą samym. *Czuł* już beznadziejność gnębiącego mu duszę panteizmu, porywał się do walki z nim, ale rozkiełzane nerwy nie pozwalały mu jeszcze odnieść stanowczego zwycięstwa. Oto jak w tym czasie żali się przyjacielowi:

»Przekleństwo tym Niemcom, panteistom, filozofom. Oni chcą, by materya i duch jedno były: by zewnątrz świata, by za naturą nic już nie było; by organizm świata był Bogiem żyjącym na ciągłej przemianie, na ustawicznem umieraniu cząstek swoich. Przeklęci, przeklęci — oni mnie pozbawili na czas długi uczucia piękności! A jeżeli to prawda, żeśmy błaznami dni kilku, a potem prochem, gazem, infuzoryami, idącemi się zrosnąć w jakie inne błazeństwo organiczne? a jeśli prawda, że świat tylko nieśmiertelny, a wszystka cząstka jego śmiertelna, odmienna, bez wiecznej indywidualności? jeśli Bóg to otchłań tylko przemian bez końca, to wieczność śmierci i urodzin, to łańcuch nieskończony o pryskających ogniwach, to ocean, w którym każda fala wspina się, by kształt dostać i opada natychmiast bez kształtu? ah! powiedz mi, gdzie piękność, gdzie poezya? Bo poezyi niema bez nieśmiertelności duszy; bo poezya, to losy dusz naszych w przeszłości i w przyszłości, w porównaniu z naszym stanem dzisiejszym; bo poezya moja i każdego to to, że był kiedyś, gdzieś — i że będzie kiedyś, gdzieś, ale ten sam, on, on zawsze czy na ziemi, czy na jakimś komecie, czy w raju, czy w piekle, czy w czyścu, czy w polach Elizejskich, czy na Walhalli, byleby to był — on!

Bez tego już mi i oczy mojej kochanki, już mi i promienie słońca niemiłe. Ah! przeklęte Niemcy, filozofy! — Widzisz ty z tej przemowy, że nie w rozkosznym jestem humorze. Żeby to nawet tylko filozofia Niemców, tobym jeszcze dał sobie rady; ale od kiedy tyś o mnie nic już się nie dowiedział, zaszły wypadki, które wstrzęsły mną całym od stóp do głowy i od mózgu do serca«. — (*Do Gasz.* 73, z Florencyi 9 lutego 1836).

Do smutków ogólnych przyłączały się złe wiadomości o bliskich mu osobach: więzienie Jaroszyńskiego w Szlüsselburgu, wywiezienie dzieci Ad. Sołtana do korpusu kadetów. Wszystko to padało jak węgle rozżarzone na serce poety.

Zdumiewającym jest faktem, że pomimo tak silnego przejmowania się cierpieniami osobistemi i polskiemi wogóle, Krasiński nie zatracał nigdy spokoju obserwatora. Ciągle badał siebie nietylko jak filozof, ale jak medyk; organizacyą swoją fizyczną objaśniał sam sobie i nam dzisiaj właściwości swego charakteru i usposobienia. Oto świetny, niezrównany obraz duchowy, skreślony ojcu z Florencyi d. 13 lutego 1836 r.:

»Kiedy przebiegam pamięcią odmiany mojej długoletniej choroby, spostrzegam w niej przewagę nerwowej drażliwości nad wszystkie inne słabości działacze. To u mnie istotnie cierpi, co najbliższem jest duchownej natury, — bo zawsze przez moralne, silne wzruszenia zapadałem, jeśli były smutnemi, — dźwigałem się, jeśli były połączonemi z nadzieją i pociechą. — W Petersburgu najgorzej cierpiałem; przy

tej, którą kochałem, najznośniej mi było. To ostatnie zjawisko łatwe do wytłómaczenia, bo wtedy czułość nerwów mózgowych odprowadzoną była do nerwów gangljonowych i kupiła się w około serca. Od dawna byłbym oślepł, gdyby moja choroba działała na materyalniejsze organa, boby już w nich wyrobiła jakie przetworzenie.

Ale z drugiej strony byłaby była łatwiejszą do usunięcia, nie tak ukrytą w tajnikach najgłębszych życia organicznego. Teraz nie wiedzieć, czy więcej szkód, czy też więcej korzyści odniosłem z tej choroby. Zdaje mi się, że szkody tyczą się rozumu mojego, bo przerwaną została działalność moja umysłowa, dalsze kształcenie się moralne — a korzyści padły na mój charakter; bo z mojemi usposobieniami żywemi, żądającemi wiecznie, możebym przy silnem zdrowiu był się dał unieść na drogi, na których moja noga nie postała. Zapewne lepiej byłbym poznał rzeczy nauką, ludzi doświadczeniem, ale kto wie, coby za stosunki się były ułożyły między mną a ludźmi temi, cobym za wnioski wyciągnął z rzeczy. Miałem ja w sobie dane przez naturę zarody wszystkich namiętności. Zobojętniła wiele z nich choroba — nie mogłem pić, bo mi krew biła do głowy, grać w karty, bo mi krew biła do głowy, chodzić, intrygować, krzyczeć, podmawiać, bo mi krew rozrywała oczy — wydawać wieczorów, gromadzić młodych ludzi u siebie, bo mi krew zalewała głowę — słowem: cierpienie stało się pod kilkoma względami moim aniołem stróżem. I tak przebyłem pierwsze, najrozhuzdańsze (!) lata młodości mojej, jeśli nie szczęśliwie, jeśli

nie świetnie, to przynajmniej poczciwie. Zachowałem pewne wiary dobre i piękne, potracone przez drugich, którzy więcej odemnie widzieli i silniej tarli się ze światem. To sprawi, że nieraz mnie oszukają, ale zarazem to uczyni, że ja nikogo nie oszukam. — Z lat dziecinnych lekkomyślną istotą byłem. Niedoznałem wielu rozkoszy, straciłem siły niektóre moralne, raczej sam z sobą się męcząc bezpłodnie, niż walcząc ze światem; zestarzałem się niejako przez siebie, jak inni starzeją się przez drugich, ale jednak czuję, że w sercu mojem ocalały uczucia, którym trudno ocaleć w żyjącym inaczej, niż ja dotąd żyłem.

I dlatego z pewnym rodzajem rezygnacyi spoglądam na przyszłość, prosząc jednak Boga, by mnie niedługo już wyprowadził z tej próby, czy z tej szkoły, w której niczegom się nie nauczył, ni dobrego, ni też złego, w której nudą długą byłem dla ojca i tych, którzy mnie kochali«.

Cierpienie, ów nieodstępny »anioł stróż« nie dawało niemal wytchnąć biednemu poecie. W drugiej połowie lutego stan wzroku tak się pogorszył, że ledwie mógł pisać; pomimo to skreślił 25 lutego 1836 długi i ważny list do Reeva, rozwijający dokładniej niż wobec Gaszyńskiego pogląd na panteizm i na jałowość poezyi panteistycznej. Zdaniem jego jeden jest tylko przedmiot dla poezyi:

»nie Bóg i nie natura, tylko człowiek, działający w indywidualności nieśmiertelnej dla Boga lub przeciw Bogu. Poezya opiera się na przeczuciu nieśmiertelności osobistej. Całe uczucie poetyczne przepada z chwilą, gdy życie moje jest tylko rzeczywistością

na tym świecie. Panteizm jest wyższym materyalizmem. Z niego jak z materyalizmu, wynikają fatalizm i oschłość serca. Odpycham czarę życia i śmierci, którą mi podaje *Siva*«. (II, 99). Wzgardziwszy przeto panteizmem z punktu widzenia poetycznego, jako systemem, w którym wszelka prawdziwa poezya zamrzeć musi, zamyślał równocześnie Krasiński o nowym poemacie, który podobnie jak *Irydion* miał być osnutym na tle historyczno-filozoficznym. Bohatyrem zamierzonego utworu miał być Doktor Procida, Faust polityczny, przyjaciel Fryderyka II i Manfreda, twórca i organizator Nieszporów Sycylijskich (30 marca 1282). Mamy tu zatem znowu do czynienia z tematem walki o niepodległość narodu i zemsty nad najeźdźcą. Wielki temat dziejowy był już wprawdzie napoczęty przez utwory Delavigne'a i Nicolini'ego, ale Krasiński uważał, że obaj ci autorowie słabo tylko »zgalwanizowali« Procidę. W jego umyśle rysowały się już charakterystyczne postacie średniowieczne Fryderyka II, Konradyna, Karola d'Anjou, a zapał dla nowej idei tak był duży i szczery, że poeta wołał: »Jeśli z was wszystkich nie zrobię pieśni żałobnej i mściwej, niech lutnia moja idzie do czarta!« (25 lutego 1836 r.).

Ale twórczość poetycką podgryzał w samym korzeniu robak zwątpienia filozoficznego. Trudno na seryo myśleć o pieśni »żałobnej i mściwej«, skoro sam cel bytu wydawał się bezowocny i znikomy. Już w kilka dni po tych planach o Procidzie Krasiński narzekał w liście do Reeva, że jakiś czas odgrywał rolę Fausta, a Mefistofelesami byli Oken,

Schubert, Schelling, jednem słowem »puhar wiedzy niemieckiej«, z którego pił poeta. Zagadka bytu ciągle go nęciła, napawając równocześnie goryczą i niesmakiem. »Dusza moja jest jednakowo obrzydzona ideą niebytu i brakiem indywidualności po śmierci — a z drugiej strony ideą czynności *(activité)* bez wypoczynku, ideą niekończącej się seryi światów, wiecznej metempsychozy nędzy i bolów«. Bo niema nic innego: sen albo życie; nicość, albo alternatywa szczęścia i złego. Otóż w alternatywie tej na pewno przewagę ma zło, a gdyby nie przeważało, to i dobro i szczęście przestałyby nam być tak drogie i słodkie. Warunkiem nieodmiennym czynności jest jakiś cel. Ponieważ celem nieskończonym jest szczęście, to z dwojga jedno: albo czynność ustaje, osiągnąwszy cel swój, a wówczas nastaje nicość — albo też czynność trwa, oddzielona od szczęścia, a wtedy jest troska i ból. Niemogę wybrnąć z tego fatalnego dylemmatu i kiedyś rozbiję sobie oń czaszkę. »Szczęśliwi ubodzy duchem, ich bowiem jest królestwo niebieskie«.

Dylemmat jednak nie był tak »fatalny«, tylko nie dość konsekwentnie przeprowadził go poeta: nie rozumiemy bowiem, dlaczego z osiągnięciem najwyższego celu, t. j. szczęścia, ma zapanować nicość (*le néant*); owszem, nastaje nieskończone i niekończące się szczęście...

Ale rozterka ducha nie dopuszczała nawet marzenia o szczęściu. W tymże samym liście zapytywał Krasiński Reeva, czy nie słyszał o dziele Straussa *Das Leben Jesu Christi*, które »zbija umiejętnie i historycznie Objawienie, zniszczone już moralnie

w sercach ludzkich«. Widzimy, do jakiego stopnia zwątpienia religijnego dochodził wówczas autor *Irydiona*.

Tym rozstrojem moralnym i ciągłem rozdrażnieniem, wynikającem z złego stanu zdrowia da się objaśnić ponure wówczas usposobienie Krasińskiego. Rwał się do pracy, a nie miał sił do niej: »Darmo mówić o statku duszy — ale kiedy człowiek najpiękniejsze lata życia strawił na nędznej chorobie, kiedy widzi, że wciąż ona nieprzepartą jest, kiedy ile razy miał nadzieję, że się usunęła, tyle razy pomimo wszystkie usiłowania sztuki i własne wstrzymywanie się od zbytków jakichkolwiek wpadł w nią nazad i czuje, że mu charakter, umysł, serce nawet przepsuwa, przekwasza, to wtedy trudno się wstrzymać od pewnego rodzaju oburzenia przeciwko tak silnemu fatalizmowi, od pewnego gatunku utraty wszelkiej nadziei, od pewnego gatunku odrętwienia i nieczucia już więcej ni pociechy, ni słodyczy w tak przykrym bycie. Mniejsza o cierpienie cielesne, to niczem nie jest w porównaniu z rozstrojeniem się stopniowem i pewnem choć powolnem umysłu. Kto mi wróci kiedy te lata najlepsze do pracy, najkorzystniejsze do pojmowania świata i ludzi, przeszłe na leżeniu lub jeżdżeniu po wodach? Czyż dotąd nie byłbym nagromadził w sobie wielkiego, zamożnego kapitału wiadomości, z któregobym już teraz procent mógł ciągnąć? Ale daremne to słowa — próżne skargi — przez tę chorobę nie będę nigdy czem być mogłem, a dalibóg mogłem być czemsiś wśród ludzi na świecie. Czego mi brak, oto nauki,

umiejętności, właśnie tych rzeczy, które pracą się nabywają — nie brak mi iskry, którą ożywić je można — ale na co zda się iskra, kiedy materyału niema. Na co by duch się zdał, gdyby ciała nie było? Tego ciała, ciała tego, nabyć nie mogę. — Wiecznie więc w błędnych błąkam się sferach. — Co papa mojemi *chmurami* zowie, to nie chmury, to oczy moje, które mnie przegrodziły od świata, które mi świat wydarły zewnętrzny, zostawiły wewnętrzny tylko, a ten jest tylko połową życia. Jeśli więc już takie przeznaczenie moje, że nikomu nie zdam się na nic rozumem ni działalnością, chciałbym przynajmniej zdać się na coś papie sercem mojem. Chciałbym, by on wierzył, że go kocham i że jego jednego mam na świecie — że w nim jest dom mój, w nim cała rodzina moja, w nim pamiątki dzieciństwa i obowiązek przyszłości. Byłbym szczęśliwy gdzie w jakiej ustroni być razem z papą daleko od ludzi — daleko od świata tego, w którym dla mnie miejsca niema, bo go bawić nie myślę, a mu użytecznym być los mi zabronił. Niemogę wielkich rzeczy pisać do papy, bo cały niedomagam — bo w mojej duszy jest jakaś bezdenność smutku i goryczy. — To wiem tylko, że papę szczerze i całą duszą kocham«. (1836, Florencya 8 marca).

W dwa tygodnie potem wyjechał z Florencyi do Rzymu, który podziałał nań zrazu orzeźwiająco skutkiem dawnych wspomnień. Tak się złożyło, że mógł stanąć w dawnem swem mieszkaniu z r. 1830. W wielką sobotę, 2-go kwietnia 1836 r. donosił ojcu:

»Piszę ja ten list w tym samym domu, w tym sa-

mym pokoju i na tym samym stoliku, na którym odpisywałem Papie podczas polskiej rew[olucyi] temu lat sześć. Miałem 18 lat wtedy, dziś liczę ich 24. Ileż razy od tego czasu odmienił się widnokrąg mózgu mojego, ale ani razu serca. Szczerze wyznaję i prawdziwie, że te same uczucia, ta sama nieskończona żądza piękności i tkliwych wzruszeń dotąd jest we mnie. Com czcił wtedy, czczę i dotąd — com kochał i dotąd kocham. Tylko już niemam tych samych pewności, nadziei, tej silnej wiary, że to, co żądam, stanie się, że to, co kocham, objawi mi się na tej ziemi! Pod tym względem zestarzałem się, pod inszym żadnym«.

W kilka dni potem opisuje dokładniej mieszkanie swe przy kościele *„della Trinità“*, wiedząc, jak Jenerała każdy szczegół, dotyczący życia jedynaka, obchodził. Z tego opisu wyjmujemy ciekawą notatkę o podręcznej biblioteczce poety, która mu widocznie w podróżach towarzyszyła:

»Stolik okryty książkami (Górnicki, Hist. polska, Żywot Czarnieckiego, Mickiewicz, Muller, Michelet, Szekspir, Pismo Św., Bulwer, Skarga, Gołębiowski, Oken, trzy puilaresy, jeden z wszystkimi listami Papy, drugi z listami B., trzeci z mojemi pamiętnikami, papiery rozmaite, kopersztych wystawujący Napoleona na łożu śmierci, drugi darowany przez Paca obraz Małachowskiego marszałka i Tad. Czackiego, trzeci malowany przez B., Malek Adel w pustyni — potem książka czarna z srebrnym napisem ἀναγκη, w której są różne kartki zapisane Jej ręką i różne inne moją własną«.

Z wiosną obudziła się w nim całkiem naturalnie chęć ruchu, pragnienie świeżego powietrza, ćwiczeń fizycznych aż do umęczenia ciała. Wyznawał Reevowi, że znużyło go już przeklęte życie spędzane na wcielaniu idei (»incarnateur d'idée«). Zarzucił przeto pomysł *Procidy*. »Od dwóch lat ciągle niemal przestawałem ze starożytnymi ludźmi, z ruinami. Chcę się odświeżyć trochę«... (II, 105—6). Zaczął się ćwiczyć codziennie w szermierce na szable i szpady, a czynił to z takim zapałem, że już się nikt z nim bić nie chciał. Znużenie fizyczne nie dawało jednak ukojenia. Noce miewał bezsenne, z wizyami ognistemi o kobietach umierających, krucyfiksach, walkach, przygodach. Szermierka dzienna nie zużywała energii rozkiełznanych nerwów, raczej ją potęgowała. W odpowiedzi na nieznany nam list Reeva, w którym tenże zarzucał mu, zdaje się, zbytni idealizm w życiu, zastrzegał się poeta, że w dniu czynu potrafiłby działać realnie. Ale to całe jego nieszczęście, że niema pola do działania:

»Co mnie zabija, to nie realność. Co mnie zabija to to, że mając pewne warunki męża czynu, pewne siły realne, spędzam dni moje w nicości. Jestem tylko duszą, a przecież żyję na ziemi!«... (II, 104).

I w związku z tem żalił się ojcu (z Rzymu 24 kwietnia 1836) na to, że czuje

»jakiś żal głęboki, czasem nieutulony, kiedy spojrzę na to życie moje takie nędzne i bezowocne, na to życie Papy takie markotne i dalekie, kiedy pomyślę, że niema jednej chwili, w którejbym przez Papę nie żył, jednego kawałka chleba, któregoby ręka Papy

w moje usta nie kładła, a ja? cóż robię dla Papy? czyż nie same smutki mu nasyłam?...

»Dzikie nasze położenie. Nie mamy nic na świecie prócz samych siebie nawzajem, a nie jesteśmy z sobą — nic, nic nie mamy — tylkobyśmy mogli mieć teraźniejszość obcowania, widzenia się, rozmawiania — a tego nie możem osiągnąć«...

Tragedyę życia własnego, tragedyę roku 1831-go ciągle miał żywą i przytomną, zwłaszcza w Rzymie, w tem samem mieszkaniu, w którem przed sześciu laty ugodziła weń niespodziana wieść z nad Wisły o strasznej nocy listopadowej. I teraz po latach odczuwał całe brzemię swej niedoli, całe pasmo udręczeń i niezatamowane źródło swych chorób. Jakże trafnie, z jaką dokładnością psychologa kreśli on w tych czasach ojcu stan duszy swej rozpaczliwy:

»wszystkie prawdziwe boleści moje wyszły z serca, tam mieszkają. Cała choroba, która od sześciu lat mnie trapi, jest skutkiem jednego tylko roku, przebytego wśród ciągłej gorączki i rozpaczy. Wtedy wszystko wrzało jakby na wiosnę, w ciele i w duchu moim — wtedy wszystko jakby mrozem ścięte zostało znienacka, nieprzewidzianie. I odtąd poczęły się spleeny, urodziło się to usposobienie czucia wszystkiego gorzko, widzenia każdego przedmiotu żałobnie. Nerwy rozprzężone, w ruch nadprzyrodzony wprawione, już odtąd nie zdołały odzyskać równowagi swojej. — Mniej więcej zawsze w nich huczy burza, lub posępna martwość, milczenie jakieś i wstręt apatyczny się rozlega, ale nigdy niema tej zgody sił, która stanowi zdrowie

ciała i serca spokojność. — Nie na scenie otwartej, ale w ukrytej głębi, wewnątrz duszy mojej, odbyły się wszystkie dzieje moje. Co tam było walk i niezgody, co tam nieznanych od nikogo klęsk przeminęło! Ależ zawszeć powtarzam, że nie z głowy szedł oddźwięk ponury, ale z serca. Bo gdybym był wszystko brał na szalę rozumu, gdybym był mógł zimno rozważać, a nie czuć namiętnie, możebym był zdrów dzisiaj. Kto wie, możebym był na drodze zewnętrznej, świetnej według świata, wiodącej do potęgi. — Owszem, wszędzie serce moje przemogło miłość własną i rozum mój. Pewno, były walki między niemi — ale zwycięstwo nigdy nie wahało się długo. Jestem dzisiaj chory, smutny, nic nie znaczący na tym szerokim świecie. Pewno tego przypisywać nie należy mojemu rozumowi, ale czuciu raczej. Niech Papa wierzy, że miłość własna jest tylko iskierką we mnie, pryskającą mi często z czoła, na to zgoda, ale nie mogącą iść w porównaniu z świętszym, z lepszym, z większym ogniem, choć skrytszym, serca mego. Wielu ludziom uda się lepiej odegrać rolę swoją ziemską — ale nikomu goręcej kochać tych, których kochają, święciej czcić to, co czcili od kolebki.

Teraz ile razy pomyślę o Papie, mam łzy w oczach«...

Co się działo w duszy Jenerała, gdy takie listy czytał? Czy nie wyrywał się do jedynaka? Czy nie mógł porzucić Petersburga? Co go tam zatrzymywało? Wszak nie żądza zaszczytów. Wszystkie ich szczeble przebył Wincenty Krasiński. Zapewne też po mowie październikowej 1835 r. nie łudził się co do uczuć Mikołaja I dla »narodowości« polskiej. Ale

równie dobrze wiedział, że dymisyi jego z wojska Mikołaj nie byłby przyjął, a nosząc się wówczas z planami utworzenia ordynacyi opinogórskiej, musiał służbą wojskową okupić na nią pozwolenie.

Tymczasem jedynak jego ciężkie dni pędził w Rzymie:

»Z ludźmi, których widuję, nie wiele mam wspólnego... Ich żądze, ich nadzieje, ich marzenia, nie są mojemi... Tak od dnia do dnia przeczołguję się w coraz następne życie, tyle śladów zostawujące za sobą, ile ślimak. Czy to po matce odziedziczyłem? Czyż nic nie potrafi przekształcić ni mojego ciała chorego, ni duszy? Czym przeznaczony być śmiesznością dla jednych, smutkiem dla drugich, nicością dla wszystkich, męką samemu sobie? Odczytywałem pod te czasy Ewanielią. Żadnej pociechy mi nie przyniosła, żadnej otuchy«. (Z Rzymu, 1-go maja 1836. Do Ojca).

Maj, najpiękniejszy miesiąc na Południu, przechodził mu w osłabieniu fizycznem i przygnębieniu moralnem. Dziesiątego maja narzekał na zdenerwowanie, »jakieś drgania w piersiach, myśli czarne«, a w kilka dni potem (15-go) pisze do ojca: »zgłupiałem, nicość we mnie«. Powodem tego przygnębienia były, pomijając już stan fizyczny, troski sercowe. Nie odbierając żadnych wiadomości od Pani Bobrowej, zaczął się bardzo niepokoić i tak się przed ojcem spowiadał: »Jeśli nieszczęśliwa, to mnie boli, bo nieszczęśliwa przezemnie — jeśli szczęśliwa, to mnie gorzej boli, bo szczęśliwa z drugim«.

Wobec takiego dylematu, pragnął czemprędzej podążyć do wód w Kissingen, aby tam wzmocnić zdro-

wie i żyć przynajmniej wspomnieniami chwil błogich zeszłorocznych.

Niedorzeczność losu zrządziła, że dopiero pod koniec swego w Rzymie pobytu poznał Krasiński bawiącego tam od końca lutego Juliusza Słowackiego. Gdyby się byli odrazu, wcześniej poznali, byłby pobyt w Rzymie dla obu milszy i pożyteczniejszy. Krasiński znalazłby był towarzysza, którego bujna i świetna fantazya mogła była orzeźwiająco podziałać na znękany i przygnębiony jego umysł; Słowacki zaś byłby może wiele więcej wyniósł duchowej podniety, przestając dłużej z autorem *Nieboskiej* i *Irydiona*. Spotkanie to obu gienialnych młodzieńców mogło było inne, świetniejsze wydać owoce, niż odległe spacery, »żywe i passyonowane rozmowy«, »po szalonemu językiem imaginacyi«.

Spotykały się bowiem dwie wielkie, piękne dusze w samym rozkwicie uczuć i poezyi. Starszy wiekiem, 27 letni autor *Kordyana* i *Balladyny*, olśniewał młodszego twórcę *Nieboskiej* i *Irydiona* tęczowym blaskiem niepohamowanej wyobraźni i czarem przepysznego wiersza; latami młodszy poeta przemyślał jednak, przebolał więcej niż autor *Żmii* lub *Maryi Stuart* i starszy był doświadczeniem przebytych smutków, całem pogłębieniem filozoficznem treści swego ducha. To też Krasiński przeniknął prędzej i lepiej Słowackiego, a to co w liście (do Gaszyńskiego), po krótkiej znajomości o nim napisał, przewyższa nieskończenie wiadomostkę o Krasińskim, daną w liście autora *Kordyana* do matki. W wilią wyjazdu swego

z Rzymu taką dawał Krasiński charakterystykę Słowackiego:

»Jest tu Juliusz Słowacki, miły człowiek, ogromem poezyi obdarzony od niebios. Kiedy ta poezya w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. *Kordyan* jest poematem zapału, szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia. *Marya Stuart* jest także znakomita. Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej... Brak mu czasem powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza« (I, 80. 22 maja 1836).

Ale tak oceniając »ogrom poezyi« w Słowackim, Krasiński spotkał się z protestem Gaszyńskiego. Był on (w nieznanym nam liście) zapewne echem kół emigracyjnych, w których autor *Kordyana* nie był lubiany. Żartował sobie z Słowackiego Witwicki, ostro mu przyganiał Bohdan Zaleski, gotował się nań potem z pociskami ironicznymi Ropelewski. Krasiński zawczasu i proroczo twierdził: »Mów co chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą i kiedyś imię jego świetnem będzie«. — Jak przenikliwie sądził go autor *Nieboskiej* na podstawie krótkiej tylko zażyłości w Rzymie widać to z dalszych uwag, kreślonych w pół roku po-

tem, jako wynik nie dorywczego, pierwszego wrażenia, ale spokojnej skupionej, rozwagi:

»Dziwny to kontrast w tym człowieku: awanturniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całem ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezyi w działaniu mieć nie będą«... Zaliczał Słowackiego do tej kategoryi poetów, jak Byron, Goethe, Szekspir, którzy »mniej są ludźmi, bardziej są światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt... Są to siły ogromne duchowe, ale nie ludzie. Tę uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla siebie. Ogadywaćbym go nie chciał, tak jakbym w żadnym przypadku także liczyć na niego nie chciał. Z temi istotami obchodzić się trzeba jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne, żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury« (I. 92).

Jakie w Rzymie okoliczności dały Krasińskiemu podstawę do powyższej, ostrożnej charakterystyki Słowackiego, trudno dziś wiedzieć. Być może, że autor »przemowy« do tomu III-go poezyj »wygadał się« z niejedną niechęcią swą do »Wieczerzy Pańskiej poetów« naszych w Paryżu, ani przeczuwając, jak bystrego i poważnego nad wiek ma słuchacza w 24-letnim Krasińskim; wzmianka o pochwałach Mickiewicza dla Garczyńskiego zdawałaby się tego dowodzić. Bądź co bądź, stosunki ich po pierwszem poznaniu się w Rzymie były z pewnością bardzo miłe i doprowadziły do wielkiego zbliżenia, skoro Krasiński, zkądinąd nieskory do poufałości, nazywa Słowa-

ckiego (w liście do Gaszyńskiego) poprostu »Julkiem«. Czy jednak wpływ Krasińskiego na »Julka« mógł być wogóle trwałym i jakim był wtedy, trudno wiedzieć. Tyle zdaje się być pewnem, że Krasiński nie mógł podnosić myśli Słowackiego ku niebu, on, co sam się żalił wówczas że mu Ewangielia »żadnej pociechy nie przyniosła, żadnej otuchy«. Natomiast mógłby był Krasiński znakomitym być ciceronem Słowackiego wśród ruin Rzymu, gdyby autor *Balladyny* miał był jakikolwiek nerw czucia dla tych wszystkich pamiątek, którymi się zachwycał autor *Irydiona*. Ale tak nie było. Kto chce mieć dobre wyobrażenie, o tem, jak odmiennie przemawiał świat starożytny do naszych dwu poetów, niech odczyta znane już nam wrażenia Krasińskiego z Pompei (I, 67—69) a potem list Słowackiego do matki (Méyet. II, 10); tam porównanie architektury greckiej z gotycką, »ciała« pogańskiego z duchem nowszych czasów, — tu spacer »z cygarem w zębach jak po spalonej wiosce«, z tem filisterskiem zapewnieniem, że »Herkulanum i Pompeja nie zrobiły na nim żadnego wrażenia(!)«. Szeroki, jak stulecia, pogląd Krasińskiego o całe niebo wzbija się ponad dziwnie pospolite zapatrywanie Juliusza na wielką historyczną ruinę.

Tu młodszy z nich stanowczo jest starszym i wiedzą i powagą myśli —

23-go maja wyjechał Krasiński z Rzymu na kuracyą do Kissingen, gdzie miały go otoczyć smętnym rojem wspomnienia zeszłorocznego »raju«. Kochał i tęsknił do nieobecnej, niewidzianej od półroku przeszło. Gaszyńskiego zapewniał, że »są miłości, które

duszą się pod ciężarem czasu i przestrzeni; są inne, które sił nabierają tem samem, że ciągle pracują wyobraźnią, w niedostatku upragnionej rzeczywistości. Ja się w tym drugim przypadku znajduję«.

Ta ciągła praca wyobraźni wydała też swe owoce. W tym samym liście (z d. 12 czerwca 1836 r.) posyłał poeta przyjacielowi kilka wierszy, które »w tych czasach« napisał. Odnosiły się one do Pani Joanny. Poeta posyłał je »pod sąd« przyjaciela i uważał je za pierwsze(!) w życiu swojem«. (*„O, biedna! czegoż ja mam życzyć tobie“...; „Jeśli mi kiedy przewodniczyć miały...“*).

Gaszyński wcale nie po »przyjacielsku« obszedł się z tymi wierszami; przymówił im, że »ustać nie mogą«. Krasiński uznał to za »istną prawdę« — ale niezrażony posłał znowu (7 lipca 1836) nowy wiersz jakby w odpowiedzi na sąd niekorzystny przyjaciela: *„Bóg mi odmówił tej anielskiej miary“*...

Tęsknota do nieobecnej ukochanej szukała wyrazu poetycznego — ale »niebiańskie dźwięki« serca łamały się na dwoje, ust nie doszedłszy. Duch był rączy, ciało zawsze mdłe, a wtedy pomimo kuracyi lub może właśnie przez nią coraz to słabsze. Ojca uwiadamiał z Kissingen (28 czerwca), że jest »śmiertelnie smutny i bardzo osłabły na zdrowiu«. Nie leżał wprawdzie w łóżku, owszem chodził dużo, ale ani jeść ani spać nie mógł, a »kości mu wyzierały z ciała«. Pomimo to czuł »w głębiach życia swego siłę, ale gorączkową«... Wody w Kissingen nic mu nie pomagały i czuł się w stanie »opłakanym«. Do bezsilności fizycznej dołączało się gorzkie uczucie bezsilności twórczej:

»Dawniej pisać, jeślim nie umiał, tom przynajmniej namiętnie lubił. Teraz pióra podnieść nie mogę, takie ciężkie jak ołów, a puste, zda się, jak puch. Dawniej piękna okolica obudzała we mnie lepsze, pogodniejsze otuchy. czucie jakieś piękności. Dziś wyjdę na wzgórza, pojrzę na tę zieloność, na to niebo śliczne — i nic nie czuję, choć rozumiem, że to musi być piękne. Dawniej poszedłem do kościoła; w modlitwie do Boga był spokój chwil kilku dla mnie. Teraz ani zajrzę, a gdybym modlić się chciał, tobym tylko marne słowa plótł...

Zabijać czasu nie potrafię wistem i wałęsaniem się: umiem tylko pisaniem, a pisać już nie mogę, a czytać nie mogę. Nie powiem, żebym się nudził, ale cierpię wciąż. Cokolwiek czytam, nie przypada mi do smaku. Wezmę książkę historyczną, np. pana Capefigue Histoire du Gouvernement de Juillet — coś nieznośnego mi się robi. Wezmę romans, nic w nim świeżego już dla mnie niema, ni silnego, książkę naukową, matematyczną, zda mi się, że czytam wyrok fatalności, ścigającej mnie zewsząd, nie cofnięty wyrok, — filozofię ironia mnie porywa, i smutny podziw, że ludzie tak wszystko dowodzić i zbić tem samem rozumowaniem potrafią. Jak Chrystus mówił, potęga jakaś wyszła ze mnie *(une vertu est sortie de moi)*. A tą potęgą była wiara. Dwa rodzaje jej. Jedna B o s k a w sercu bardzo młodem i ta jedynie jest silną. Druga r o z s ą d k o w a w sercu dojrzałem, kiedy człowiek się przekona, że t r z e b a m i e ć w i a r ę i każe ją sobie mieć jakby przystojność jaką, jakby maskę jaką przed sobą samym, aż wreszcie maska z twarzą w jedno się

zejdzie i dlatego ludzie znów mocno wierzą, lecz tylko w jedną rzecz, w Boga lub materyą, a młodzi we wszystko razem: w Boga, w materyą, w siebie! oh! zgłupiałem zupełnie«. (Z Kissingen, 8-go lipca 1836 r.).

Równocześnie zaś Danielewicz objaśniał sercowe sprawy. Zapewne jenerał zapytywał, czy miłość dla pani Joanny nie ustała już, czy nie nastąpiło zerwanie. Danielewicz uwiadamiał, że nie, i tłómaczył, dlaczego nie mogło jeszcze być mowy o zerwaniu. Treściwa to, jak zwykle u Danielewicza, a bardzo ważna informacya (z Kissingen, d. 8 lipca 1836 r.): »Pani B. nie jest bynajmniej zapomniana... W tych czasach rozpoczęła się niefortunna korespondencya, zawsze kłótliwa i wzajemnemi wyrzutami przepełniona, nie mniej jednak te nieszczęsne stosunki przedłużająca. Czasami Z. w chwilach *lucides* czuje, że mu to drogę do wielu rzeczy zagradza; ale rzeczywiście, gdyby nawet nie tak bardzo się kochał, musiałby mieć dla pani B. *de certains ménagements*, znając charakter jej drażliwy, stan umysłu niebezpieczny, wiedząc, że się do tego trochę przyczynił i pamiętając, ile go to kosztowało pracy, żeby tak harmonijne dzieło wystawić«.

Listy Pani Joanny smuciły i drażniły poetę, a równocześnie złe z kraju wiadomości przejmowały go bolem i wstydem:

»Dziś domem nam cudze ziemie, własna stała się gorszą, niż obca, niż daleka — bo więzieniem. W tej naszej ziemi, prócz ojca, żadnego przyjaciela, prawie żadnego znajomego nie liczę. Codzień dochodzą mnie

wieści o stanie społeczeństwa warszawskiego, które mnie przenikają grozą: podłość doszła do nieprzebranej miary; niema prawie człowieka, któryby umiał nawet powierzchowną godność zachować; dobry byt pieniężny i gospodarski ukołysał serca zranione. Bunakami i pszenicą grób Polski zasypali, na wyścigi się uniżają i liżą. Mojem zdaniem, roztropnością się zowie z motyką na słońce się nie porywać, ale z drugiej strony podły ten, kto plwa na motykę za to, że słońca z niebios strącić nie potrafi. Jednem słowem, na śmierć smutny jestem i nigdzie żadnej nie upatruję nadziei...« (*Do Sołtana*, 27. — Z Kissingen 10 lipca 1836 r.).

Wśród tych smutków osobistych i zbiorowych starał się poeta zagłuszyć się pracą umysłową. Może pod wpływem odczytanej mu niedawno w Rzymie *Balladyny* zaczął Krasiński roić o jakimś poemacie z zamierzchłej lechickiej epoki; zapewne był to pierwszy pomysł zaczętej potem *Wandy*, jakieś rojenia o pogańskich czasach »Lechii«. Były one dość silne, skoro poeta prosił ojca (w liście z Kissingen d. 13 lipca 1836 r.) o dostarczenie mu materyału mitologicznego: »Niech Papa będzie łaskaw, odpisując mi na ten list, załączyć kawałeczek papieru z wypisem imion Bogów Sławiańskich i rozmaitych ich attrybutów, o ile nam wiadomo jest. Np. jak się zwał Bóg wojny, czy była jaka Bogini czystości, podobna do Vesty etc etc. Co to też było *Lelum polelum*? Bardzo mi to potrzebne, a nigdzie nie mogę najmniejszej o tem powziąć wiadomości«.

W tymże samym liście znajdujemy ciekawe uwagi

o głośnej autorce francuskiej, pani George Sand: »W tych czasach czytałem kilka dzieł pani du Devant (George Sand). To jest gienialna kobieta, bez serca — niezawodnie najrozumniejsza z całej literatury dzisiejszej francuskiej. Ona jedna ma swój ideał ustalony: chce wyzwolenia kobiet, poniżenia mężczyzn, odmiany we wszystkiem. Wszystkim mężczyznom daje miejsce kobiet. Kobiety wynosi na miejsce mężczyzn. Chce koniecznie wykazać, że i kobieta może być potęgą intellektualną i świecką, chociażby nie była ni kochanką, ni żoną, ni matką — powtóre, że kobieta tak jest wzniosłą, że jej miłość dostateczna na uszlachetnienie choćby najpodlejszych namiętności i błędów w mężczyznach. Większa część czytelników nie pojmuje jej ogólnych myśli, tylko szczegóły widzi i z tych szczegółów szkaradne skutki wyniknąć mogą dla głów młodych i miękkich jak wosk, które ją czytać będą«.

Kuracya w Kissingen najfatalniej zaczęła oddziaływać na cały organizm poety. Hypochondrya wzrastała do tego stopnia, że poeta lękał się o swe zmysły; dołączały się bole zębów, ciągłe drżenia w piersiach i zawroty głowy. Pojmujemy w tych warunkach chorobliwie przesadne obawy Krasińskiego, aby nie wydało się w Rosyi autorstwo *Irydiona*. Widocznie go z Petersburga ojciec ostrzegał, skoro w liście z d. 21 lipca 1836 r. bardzo sprytnie wydrwiwszy zrazu lichą powieść Henryka Krasińskiego *La bataille de Kirchholm*, tak dalej udaje:

»Ale w coraz większe zadziwienie wpadam, a to z powodu *Irydiona*. Skądże ja mam być autorem

czy *Kirchholmu*, czy *Irydiona*? Nie rozumiem, skąd ten honor na mnie spada? Wyszło w rzeczy samej w Paryżu dzieło pod tym tytułem bezimiennie. Lecz ani wiem nic o nim, kto go napisał, ani się domyślam. Skądże książe Giedroić to wyciągnął? Jeśli z palca sam nie wyssał, to zapewnie korespondent jego. A to wcale nie pasuje* do mojej głowy! Skąd tak mi sławę ludzie robią? Bóg-by dał, żebym był zdolny co napisać!«

W kilka dni po tym ostrożnym liście, po sześciotygodniowej męczącej i osłabiającej kuracyi w Kissingen, wyjeżdżał poeta na nową, dosyć niebezpieczną kuracyę, która miała być rozstrzygającą: »zależy na mocnych potach i na włażeniu w lodowatą wodę, wśród tych potów«. Był to system hydroterapii, wprowadzanej wówczas przez głośnego Priessnitza, tak po dziś dzień wsławionego w »prysznicach«. Wyruszył tedy Krasiński po zdrowie do Graeffenbergu, nawiedzanego wtedy tak tłumnie, jak do niedawna Wörishofen. Przez Karlsbad, gdzie się napatrzył różnych nieciekawych typów polskich kuracyuszów, podążył do Pragi. Stanął tam w ostatnich dniach lipca, znużony i znudzony.

Spotkani w Karlsbadzie rodacy opowiadaniami swemi o stanie wewnętrznym Polski zmartwili go nie mało. Dowiedział się, że »wali się z pieca na łeb ostatek godności narodowej«, że żydzi wdzierają się na wszystkie stanowiska i wypaczają narodowy charakter. Ponieważ mieszczaństwo uważał Krasiński

* Pierwotnie było: »pachnie czem dobrem!«

za warstwę napływową w Polsce, niezdolną do przechowania narodowego ducha, pozostawała zatem szlachta i lud, jako ostoja polskości. To też Krasiński rozumowo dowodził potrzeby, nietylko u nas, ale wogóle w ludzkiem społeczeństwie, tych dwóch zasadniczych składników: ludu i arystokracyi: »jakkolwiek szlachta wszędzie nadużywała nagromadzonych w ręce swoje potęg, to pewnem pozostanie, aż do sądu ostatniego, że są dwa tylko pierwiastki bohatyrskie na ziemi, zdolne ogromnych, olbrzymich cnót i zbrodni, umiejące działać w dziejach ludzi, jak w przestrzeniach natury działają morza i wulkany, t. j. Lud i Arystokracya.

Lud przez dni kilka, bo na dłużej rozumu, raczej instynktu mu nie staje, arystokracya przez wieki, bo ona zawiera w sobie wszystkie instynkta mass i cały rozum indywidualnych ludzi. Wszędzie też, gdzie arystokracya podupadła, największa podłość ją zastąpiła; gdzie nie było jej nigdy, tam zawsze podłość żyła. Monarchie spodlić usiłowały arystokracye, a jak tylko osłabiły je, same runęły... —

Europie nic nie pomoże, aż nową, silną arystokracyę wydobędzie z toni okoliczności i czasów; nie będzie to nigdy ta sama, która była... Rodziny arystokratyczne wymrą, lub wyginą, pierwiastek arystokratyczny jest wiecznym«. (Z Pragi, 30 lipca 1836 r. Do Ojca).

Ale ta teorya, której hołdował Krasiński, napawała go smutkiem i goryczą, ilekroć pomyślał, jak rolę swą pojmuje arystokracya w Polsce. Właśnie dlatego, że arystokracyi przodujące w społeczeństwie wyzna-

czał stanowisko, chciał ją widzieć godną i świadomą tej doniosłej roli. A tymczasem, cóż to się u nas działo? »Nie uwierzysz, jak się cała szlachta wyepisierowała, jak pieniądze zbiera i twierdzi, że nic nad pieniądze, jak nawet utrzymuje, że dosyć dobrze...; o Polsce nikt już nie wspomina... Serce się kraje na taki widok, bo demoralizacya narodowa coraz szybszym krokiem postępuje, coraz do żydów podobniejszymi się stajem...

Wszędzie parcie okropne przeznaczenia, brak powietrza, czarno, duszno, jakoby dzień ostatni sądu się zbliżał, a na nim naród polski miał być potępionym. Źle mi nad miarę, szukam jakiejkolwiek ulgi, powierzając Ci te myśli moje«. (Do Sołt. 35—36. — Praga, 5 sierpnia 1836).

W towarzystwie D-ra Sauvana ruszył d. 6 sierpnia z Pragi do Graeffenbergu na Śląsku austryackim, poruszony do głębi gnębiącemi nowemi ukazami. Nie będziemy tu opisywać szczegółów długiej, bo kilkumiesięcznej kuracyi wodnej w Graeffenbergu, która zupełnie z nóg go zwaliła i tem przykrzejszą się stawała, że »podczas niej człowiek zupełnie tracił władze umysłowe« (*Do Sołt.* 41). Przed ojcem się żalił 22 sierpnia: »Stan zdrowia mego zawsze jednaki — podwojone cierpienia, zwiększony smutek i wstręt do wszystkiego, spazmy w piersiach, w oczach obłędne widzenia, w nerkach bóle hemorroidalne, w nogach artrytyczne, osłabienie ciągłe i ospałość. Walczę z tem wszystkiem, jak mogę...«

Jenerał zaniepokojony temi wiadomościami skorzystał z względnej bliskości pobytu syna, odwiedził

go 1-go października i zabawił dwa tygodnie w Graefenbergu. Ku wielkiej radości Zygmunta, jenerał nie nalegał na powrót jego do Polski, ale pozwolił mu udać się na zimę do Wiednia, celem dalszego prowadzenia wodnej kuracyi.

Z samych nudów wziął się poeta pod koniec pobytu swego w wiosce śląskiej do literatury niemieckiej, a rozczytawszy się, zasmakował w niej. Reeva zapewniał, że to powietrze tamtejsze natchnęło go mową niemiecką: »bo nic nie umiejąc, zacząłem czytać *Jean Paula*, *Okena*, *Hartmanna* i *Nibelungi* i *Sagę Frithjofa* i *Novalisa* i *Goethego*; i nie wiem, jak przyszło do tego, że ich zrozumiałem. A wtedy jakby świat nowy otworzył się dla mnie...« Następuje prawdziwy potok zachwytu nad literaturą niemiecką, zakończony pięknym wierszem Novalisa. (II, 110—111). Do Gaszyńskiego zaś pisał wtedy, że literatura niemiecka »jest to pierwsza w Europie«.

Szczególnie Jean Paul podziałał silnie na jego wyobraźnię, a wpływ tego pisarza zaznaczy się niebawem bardzo wyraźnie w stylu i obrazach fantastycznych Krasińskiego.

Dziwne są drogi wpływów literackich. Gdyby nie pobyt w Graeffenbergu, wielkie nudy w nędznej wiosce, rozmowy z dobrodusznemi Niemkami (hrabiankami Reichenbach), kto wie, czy wziąłby Krasiński kiedykolwiek do ręki romanse Jean Paula, o których wiedział z pewnością już dawniej, choćby z *motta*, przed IV-tą częścią *Dziadów* położonego. Francuzi zaczęli wychwalać tego pisarza po r. 1831, kiedy w Niemczech samych już on się stawał ledwie

że nie zapomnianym. Ale dla Krasińskiego były utwory Jean Paula zupełną nowością. Dłuższe, przymusowe z powodu zdrowia wstrzymywanie się od książek, wznieciło w nim prawdziwy głód czytania. Traf zrządził, że właśnie Jean Paul'a utwory dostały mu się do rąk; zaczął je przeto gorączkowo pochłaniać. To też zachwyty i uniesienia nie miały niemal granic. Kto wie, czy w całej literaturze niemieckiej znalazłyby się podobnie entuzyastyczne pochwały Jana Pawła Richtera: »Jest to pisarz, o którego rodzaju ni Anglikom, ni Włochom, ni Francuzom się nie śniło. Jest w nim coś tak nadzwyczajnego, coś tak nadludzkiego, iż zdaje się czasem, że to był duch wtajemniczony we wszystkie niewidzialne dla nas szlaki państwa duchów. Jego fantazya umie tworzyć, jakby była Bogiem. Musisz się upić, musisz się zataczać z zawrotem w głowie, rad nie rad musisz się lękać lub zachwycać, kiedy Cię on porwie za sobą i nieskończoność, *universum*, wskazując, raz cię stawia w godzinie sądu ostatniego, znów wiedzie po ruinach wszystkich światów; to naprzemian rzeźwi cię nadzieją i przenosi cię na szczęśliwe wyspy, wśród okręgów światła, wśród tysiąca słońc i księżyców, tysiąca zórz północnych, wśród obłoków woni, wśród harmonii gwiazd, akkordów bijących zewsząd; — i tam, zgromadziwszy wszystkie dusze ludzkie, otoczywszy je aniołami, zbawia je miłością jednych dla drugich, łączy razem kochanych z kochanymi, ten milion serc i postaci rzuca w objęcia anioła śmierci, który je przyciska do łona i z tych milionów jedna tylko łza rozrze-

wnienia się tworzy, i ta łza coraz przeźroczyściej płynie w nieskończoność wieczności! Ale darmobym ci go opisywał, trzeba samemu czytać. Dostań jego *Titan*... to jest arcydzieło. (Do Gasz. 89. — 20 paźdź. 1836 r.).

Zupełnie tak samo zachwycał się Jean Paulem w liście do Reeva: »Jean Paul wydał mi się Bogiem nieznanym, który stworzył nowe krainy. Jest to dusza najświeższa, jaką znam, najbardziej dziewicza« (II, 110).

Niemożemy już tutaj rozwodzić się nad wpływem, jaki wywarł Jean Paul na niedalekie utwory Krasińskiego. Na razie niech wystarczy przynajmniej jeden drobny fakt. Do jakiego stopnia przejął się wtedy »arcydziełem« Jean Paula Krasiński, widać chociażby tylko z jednego szczegółu: druga »*myśl*« Ligenzy, *Sen Cezary* ma nazwisko bohatyra romansu: *Titan.*

Pomimo śniegów i przenikliwych chłodów wytrwał Krasiński w Graeffenbergu do pierwszych dni listopada. Po łatwiejszym i zajmującym Jean Paulu wziął się do poważniejszych i trudniejszych *Nibelungów.* Widocznie nie zapominał o pomyśle utworu na tle lechickich stosunków i starał się o wniknięcie w germańskiego ducha. Że myślał o Wandzie, widać to z uwagi o kobietach w *Nibelungach: »Nibelungów* czytałem w tych dniach — może się równać z *Iliadą,* a postać kobiety lepiej niż w *Iliadzie* odbita na tle czarnem tych wszystkich rycerzy i dzikich bohaterów Potem jest prostota, która za serce chwyta, boska prostota. Żeby autor jakikolwiek dzisiejszy francuski w czworo się skręcił, to nic podobnie uderzającego

nie napisze. Niech się wstydzą z swoją sztuką cywilizowaną przed tą dziecinną prawie chroniką barbarzyńców«. (Z Graeffenbergu do ojca d. 4 listopada 1836 r.).

W kilka dni potem opuszczał Graeffenberg, narzekając na »szelmowską kuracyę«, która go »osłabiła i ogłupiła«. W towarzystwie Danielewicza i D-ra Sauvana wyjechał na całą zimę do Wiednia. Stanął tam 10-go listopada 1836 r.

II.

W Wiedniu zimą 1836/7 r.

Po kilkumiesięcznych nudach śląskich wydać się musiał Krasińskiemu Wiedeń rajem. Przedewszystkiem dorwał się poeta książek nowych i ludzi. Zachwycał się świeżo w Poznaniu wydanemi *Pamiętnikami Paska* i szukał w nich zapewne rozrywki dla umysłu, znękanego bardzo złemi z Wołynia nowinami o Pani Joannie. Ojca swego uwiadamiał d. 26 listopada:

»Pani B. coraz niebezpieczniej chora, w Krzemieńcu. Zdaje się, iż pomieszania zmysłów dostała. Na wiosnę ma jechać do wód. Musi być źle z nią, kiedy pan feodalny na to przystaje«.

Przed ojcem udawał obojętnego. Ale co się w sercu jego działo, możemy się domyślać. Cichy ból, rezygnacya, głęboki smutek mieszczą się w kilku wierszach wtedy napisanych, które przesłał w liście do Gaszyńskiego (I, 92—94: *Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy. — Chciałbym Anioła widzieć na tym grobie. — Przed nocą nieczną niech głos twój usłyszę*).

Nowości księgarskie nie zawsze sprawiały mu takie

zadowolenie, jak *Pamiętniki Paska*. Dostał w Wiedniu do rąk *Historyę rewolucyi polskiej* przez Ludwika Mierosławskiego i czytając tę rzecz »w stylu rzeźnika«, trząsł się z oburzenia. Rzadko dotychczas można było spotkać w listach poety taki wybuch gniewu. Pisząc do ojca (30 listopada 1836 r.) uważał książkę tę za »świństwo, szum i głupstwo nieporównane«. Podawszy kilka wyjątków, tak dalej pisze o Mierosławskim: »Drugi Piekarski, któremu, żebym mógł, tobym kazał dwieście rózeg dać, ośle uszy przypiąć, sztylet z czekolady w gębę — i puścić na świat«. Gaszyńskiego zaś zapewniał: »Jeżeli kiedy spotkam tego człowieka, to ja, albo on, chwilę gorzką mieć będzie. Mój Boże! przekleństwo Twoje na nas wszystkich spoczywa; zatrute głębie serc naszych... Z własnych braci katów nam dałeś i gotujesz na później(!)«. (1 grudnia 1836).

Być może, że niedawne z ojcem rozmowy o prześladowaniach i srogim ucisku w kraju zwiększyły jeszcze obawę Krasińskiego, by nie wykryto prawdziwego autora *Irydiona*. Tak objaśniałbym zagadkowy ustęp listu do Sołtana (z d. 5 grudnia 1836 r.), gdzie prosi go o zniszczenie jakiegoś rękopisu; u Aleksandra Torlonii w Rzymie przechowywał Krasiński kilka prac swoich. »Między temi jest podobno, z innemi papiery razem, książka rękopismowa o *rozmaitych starożytnościach*, którąś czytał we Florencyi, tylko się nie pomyl. Ową książkę, proszę cię, weź do siebie, a gdybyś wyjeżdżał z Rzymu, rzuć w komin lub też i zaraz to uczyń; inne papiery zostaw u Alessandra«.

Ponieważ wspólny we Florencyi z Sołtanem pobyt przypada właśnie na czas drukowania w Paryżu *Irydiona*, jest więc bardzo zbliżonem do prawdy przypuszczenie, że Krasińskiemu zależało na zniszczeniu *autografu*, którego też istotnie dziś niema; dochowała się tylko bardzo staranna, niewiadomo czyja kopia, dokonana z autografu. Przytoczony powyżej ustęp dowodzi zarazem, że były złożone w Rzymie jakieś inne jeszcze *papiery*, czyli utwory, dawniej skreślone.

Ponieważ w Wiedniu prowadzić miał Krasiński dalej kuracyę wodną, zależało mu bardzo na wyszukaniu dobrego mieszkania, a nie było o nie łatwo. Nie każdy właściciel domu godził się na warunki niezbędne dla lokatora: osobny pokój z przyrządami do oblewania się wodą, konewkami, balią — ani wodociągów, ani urządzeń hydroterapicznych w mieszkaniach wówczas nie znano. Znalazł poeta wreszcie odpowiednie mieszkanie na *Stubenthor Basteien Nr. 1186.* Miał tam pokój do pracy w kształcie elipsy, »ale bardzo foremny«, w niem biuro, na którem znowu rozłożył wędrowną swą, tak dla nas ciekawą biblioteczkę. Wylicza ją ojcu w liście z d. 18 grudnia 1836 r.: »*Biblia* po polsku i po angielsku, *Rituale Romanum* w Antwerpii 1621 r. — Lwów — Kraków — *przysłowia polskie — Pasek — Szekspir — Muller Hist. szwajcarska*, najpiękniejsze może dzieło historyczne nowożytnych czasów; *Novalis — Jean Paul — Nibelungsnoth und Klage — Życie Stefana Czarnieckiego — Gołębiowski, Sismondi, Répub. italiennes etc etc etc Skarga, Virey Philosophie de l'hi-*

stoire naturelle i *Oken*«. — Jakże urozmaicony i bogaty świat ducha! począwszy od Biblii i Nibelungów, Skargi i Szekspira, a skończywszy na Novalisie i Virey'u! Zwraca uwagę naszą zupełny brak francuskiej literatury i — Byrona! Z byronizmem rozstał się poeta dawno, od r. 1832-go, a w tymże czasie mniej więcej zaczął lekceważyć Francuzów, nawet takich, jak Chateaubriand, Victor Hugo i Balzac. Zwrot ku filozofii przyrody był tylko naturalną potrzebą umysłu, zajętego zagadkami wszechbytu.

W zimie tegoż roku, korzystając z pobytu w uniwersyteckiem, dużem mieście, oddał się Krasiński studyom przyrodniczym i słuchał osobnego kursu fizyki, chemii, tudzież najnowszych na tem polu odkryć.

Rok 1837 rozpoczynał się pod złą wróżbą. Nieodstępny druh, Danielewicz, musiał nagle wyjechać z Wiednia i pospieszać do łoża konającego ojca swego. Rozstanie przyjaciół było tem boleśniejsze, że wobec nadzwyczajnych wówczas trudności paszportowych, nikt nie mógł wiedzieć, czy i kiedy się znowu będą mogli zjechać.

Zostawiał Danielewicz Krasińskiego w złym stanie zdrowia Kuracya Priessnitza żadnej nie przyniosła ulgi. Jedyną pociechą dla samotnego poety był *Burg-Theater*, gdzie mógł zachwycać się wyborną grą aktorów. Dokładniej poznał teraz ze sceny dramaty Schillera i dawał świetną ich charakterystykę w listach do Sołtana (str. 70: *Jungfrau v. Orléans*) i do Gaszyńskiego (108—110: porównanie Szekspira z Schillerem).

Złe wiadomości o zdrowiu jenerała, który przechodził gorączkę żółciową, nabawiły trwogi kochającego syna. Pragnął on zawsze trwałego połączenia i stałego z ojcem swym przebywania i uważał, że »takie życie w oddali i rozdzieleniu piekłem jest« (*Do Sołt.* 76). Wymownie i gorąco prosił ojca, aby z nim razem zamieszkał:

»Lepiejby nam było być razem gdzie w chacie, lub gruzach zamku na dalekich brzegach, niż żyć ciągle w bojaźni i nieustannej trosce, tęsknocie, niespokojności. Biegną dni po dniach — cóż się w losie nas obu odmienia? Co zima, rozdzielają się nasze drogi. Jeden ciągnie na południe, drugi na północ — ni jednemu, ni drugiemu spokojnej jednej nocy niema.

Niech papa się złączy ze mną, z jedyną istotą pozostałą mu na ziemi i odpocznie gdzie pod lepszym, zdrowszym niebem. Inaczej mnie i Papie pożegnać się z życiem, t. j. z tem, co godne nazwiska życia, z uczuciem spokoju i nietrwogi. Z przepełnionego serca mówię, wiem, że słowa nie są czynem, że fala opoki nie rozbija — ale mówić muszę, ale mówię, bo czuję, bo żądam, bo pragnę — i to jedyne moje pragnienie na tym świecie, który mi przynieść nie zdoła nic inszego, ani dobrego, ani miłego, bo ni w nim, ni z nim żyć nie dozwoliły mi losy«. (Z Wiednia, 4-go lutego 1837 do jenerała).

Kiedy tak syn zapraszał ojca pod »lepsze, zdrowsze niebo«, jenerał tymczasem trzeźwo i praktycznie myślał o przyszłości rodu swego i czynił już starania o utworzenie dla tego rodu podwaliny trwałej, myślał

o ordynacyi. Dedalus chciał Ikara na ziemi utwierdzić rodzinnej i zapytywał go o zdanie w sprawie ordynacyi. Poeta oczywiście niechętny był takiemu projektowi. Nie tłumaczył się z powodów niechęci: »Tyle rzeczy o tem mam powiedzieć, że papier za krótki, a pióro za wątłe«. Chciał »ustnie« na zapytanie odpowiedzieć i odkładał rzecz całą do widzenia się latem w Kissingen. »Nie lekkie są moje przyczyny, owszem ważne, jak ołów i żelazo...« (8 marca 1837 r.).

O ile stan wzroku mu na to pozwalał, bywał Krasiński w Wiedniu w domach polskich, gdzie wszyscy go najgościnniej przyjmowali, zwłaszcza tam, gdzie były panny na wydaniu. Ale poeta doskonale zdawał sobie z tego sprawę i tak się zwierzał Sołtanowi:

»...Grzeczni wszyscy niezmiernie, ale nie dla Zygmunta, nie, broń Boże! tylko dla tej figury, co posiada coś i co doszła lat, sposobnych do zawierania intercyzy. To mnie okropnie poniża; nieraz myślę: gdybym był chudym pachołkiem, kazaliby mnie wyrzucić przez okno. Lepiej mi było z tobą palić cygaro, niż tu słuchać pochwały mojego dowcipu; lepiej raz ścisnąć twoją dłoń szlachetną, szczerą, niż tych wszystkich pięknych panien i wystrojonych matek widzieć na się zwrócone spojrzenia. Ale obserwuję świat! Uczę się w szkole podłości i próżności nie być nigdy podłym, a próżnym jak można najrzadziej! Cudze śmieszności, choć nigdy z własnych nie wyleczą, są jednak silnem lekarstwem«. (23 lutego 1837).

Bywanie w salonach polskich niebawem ustało.

Odnowiło się w marcu cierpienie oczu, a z niem nadeszły smutne dni, urozmaicone kuracyą wstrętną, a najwidoczniej mylną:

»Z bolem oczów sprzężona melancholia wróciła. Czytać niesposób. Wieczorem lampy jak żelaza rozpalone mi stają w oczach, nigdzie więc i bywać nie sposób. Sam siedzę z Sauvanem lub gram najfałszywiej w świecie na harmonice. Danielewicza jak niema, tak niema. Potnieję codzień od 5-ej do 10-ej z rana, potem się wodą oblewam. Zażywam do tego proszki, które mi ściągają hemoroidy i assafetydę na nerwy. Robię, co mogę, by wyzdrowieć. Kładę się wcześnie spać — chodzę dużo, nic nie piszę — ale nie sprzyjają mi losy. Siódmy to już raz tak zapadam. A kiedym pierwszy raz zapadł, miałem lat 18ście. Wszystkie dzieje życia mego mieszczą się w tych kilku wyrazach«. (Do ojca, 27 marca 1837). — A w kilka dni potem pisał te jeszcze skargi: »na tej nędzy oczowej strawiłem najpiękniejsze lata moje i najdzielniejsze władze rozumu straciłem. Nieraz czuję, że byłbym czemsiś dzielnem, gdyby nie ta choroba — a wtedy żal nieskończony łzy mi do ócz prowadzi i płaczę sam na sam z sobą, jak dziecko. Gdy przyjdą znajomi, staram się śmiać, a oni wychodząc mówią: jaki wesoły chłopiec«.

Ojcu mogło się z daleka wydawać, że syn jego sam sobie poniekąd winien, bo zdrowia nie szanuje, a wytrwałem leczeniem odzyskać sił nie umie. Poeta czuł doskonale, jaki zawód sprawiał ojcu, którego ambicya rodowa wysokie i świetne roiła dla jedy-

naka plany; to też ze smutkiem się uniewinniał: »Czuję aż nadto, ile mój stan jest nieszczęśliwy, gdy ciągle przymusza mnie żądać od Papy ofiar, a nie dozwala mi Papie służyć, pomagać, być podporą! Jednak niech Papa wierzy, że nic nie opuszczam, by dojść do tego celu i że cały wątek życia mego obrócony na twarde i przykre leczenie się, nie na żadne zabawy lub rozkosze. Zarzuca mi Papa palenie, późne wieczory, pisanie etc etc, a te zarzuty jednak muszę odeprzeć, bo nie poczuwam się do nich. Nic nie piszę, mało bardzo palę, jeślim kiedy poszedł późno spać tej zimy, to żem musiał pójść w towarzystwie, czego sam papa nieustannie żądał odemnie. Mam ja szczególną stronę, a tą jest, że mi wszyscy, nawet ojciec, przypisują rzeczy, o których nie wiem. Jedni autorstwo, drudzy śluby kościelne, inni St. Symonistostwo... — — —

Ja 25 maja stąd wyjadę — 6-go czerwca będę w Kissingen. Niech Papa będzie łaskaw przywieść mi Narbuta świeżo w Wilnie wyszłe dzieło o Mitologii Litewskiej i Maciejowskiego o Prawodawstwie narodów słowiańskich, a jeśli co świeżego i dobrego po polsku jest oprócz tych dwóch dzieł, to o nie upraszam także«. (19 kwietnia 1837).

Gromadzi zatem coraz skrzętniej materyały do *Wandy*, którą może w Wiedniu zaczął pisać.

W tym czasie Reeve doniósł mu jakieś nieznane nam szczegóły o Henryce Burdett, niegdyś pannie Willan, i wywołał niemi piękny list z d. 30 kwietnia 1831 r., pełen wspomnień o błogich czasach genewskiej, niewinnej miłości. *Quantum mutatus ab illo!*

Dziś całe jezioro genewskie wydawało mu się olbrzymim głazem grobowym z *lapis lazuli*, przygniatającym nieziszczone rojenia młodości... Niebawem wyruszył na spotkanie z ojcem, aby tam w Kissingen, o innej, nieszczęśliwszej rozmówić się miłości, a czuł, że »spojrzenie jedno ojca zabije w nim słowa wszystkie«. — 1-go czerwca opuścił Wiedeń w towarzystwie Danielewicza.

III.

PRZESILENIE.

Przyjeżdżał Jenerał Krasiński do Kissingen dla widzenia się z synem, a także dla poratowania własnego, bardzo nadwątlonego zdrowia. Spotkanie było rzewne i smutne. Widywali się rzadko, a mało pociechy spotkania te dorywcze, mało ulgi przynosiły. Ojciec nalegał na powrót syna do kraju, pragnął, by raz rozejrzał się gruntownie w licznych interesach majątkowych, w dobrach tak od siebie dalekich jak Kleszczewko pod Gdańskiem i Dunajowce pod Kamieńcem Podolskim. Syn nie mógł nie przyznać słuszności rozumowaniom ojca i rad nie rad widział konieczność wstąpienia na drogi »praktyczne«, na te drogi »sadzone wierzbami i zasypane prochem i urozmaicone to grudą, to błotem«... Poeta miał męczące jakieś (mylne) przewidywania bliskiej śmierci Jenerała, serce mu się krajało, gdy myślał o warunkach, w jakich ojciec jego życie pędzić musiał. A na domiar biedy on sam, jednak, nie mógł i nie chciał spełnić gorącego życzenia ojcowskiego. Jenerał, tworząc ordynacyą, chciał ją mieć żywą i szczęśliwą, chciał widzieć wnuków,

a niepewny zdrowia swego, naglił syna do ożenienia; już dla niego uroczą pannę w myśli obierał, już o domowem ognisku dla schorzałego tułacza myślał. Ale rojenia ojcowskie rozpraszał głuchy upór Zygmunta Krasińskiego. On czuł się związanym wobec Pani Joanny, a choć miłość pierwsza, gorąca, dawno już uleciała, zostawało ogromne, braterskie współczucie dla chorej, znękanej, a kochającej go zawsze kobiety. Postanawiał sobie być zawsze jej przyjacielem, opiekunem, w razie potrzeby obrońcą jej czci. Drżał na myśl samą o ciosie, jaki zada jej wiadomość o woli ojcowskiej, o możliwym ożenku. Stan uczuć własnych określił dobrze w tych wyrazach. przeznaczonych dla Gaszyńskiego, ale określających osobiste jego doświadczenie:

»Wiem, iż trudno kochać, kiedy miłość znikła z duszy; ale jeśli ta, którą kochałeś, ma prawo do twej wdzięczności, winieneś z nią postępować tak, jakgdybyś ją kochał. To różni ludzi od zwierząt, że mogą uczucie, popęd, namiętność zgasłą, w duszy przeciągnąć w zewnętrznych czynach i idee obowiązku, czyli raczej głębię serca zastąpić serca powierzchnią. Na powierzchni szumi egoizm jak piana, w głębi żyje szlachetność i poświęcenie, jak perły i koralowe skały na dnie morskiem. Ile razy uczujesz, że fale zewnętrzne ucichły, zstąp głębiej, zanurz się w wnętrzu swojem i przysłuchaj się głosom, co tam wołają — są to anielskie! One cię zawsze na dobrą drogę zaprowadzą«... (I, 99—100).

Ale to, co on dobrą drogą nazywał, uważał ojciec za manowce. Rozmowy i namowy ojca i Danielewi-

cza nie trafiły do jego przekonania. W liście do Sołtana przyznawał, że przeznaczona mu panna »piękna jak anioł, ślicznie ułożona, wszystko w niej zapowiada dobrą żonę i tok umysłu i przyroda i wychowanie... Mówiąc po ludzku, ogromne głupstwo robię«... Jednak nie chciał się żenić i tak to przyjacielowi tłómaczył: »bądź moim sędzią; wiesz, ile kochałem tamtą i wszystkie koleje z nią przebyte. Ona całą moją przeszłość zagarnęła, ale w niej niema dla mnie żadnej przyszłości. To wiedziałem zawsze, ona to czuła, równie jak ja. Ale dla niej ja jestem wszystkiem,... bom ją przed ludźmi i przed własnem jej sumieniem pozbawił pokoju, bom wygnał ją moralnie z progów domowych, bo mi ona wszystko poświęciła i dziś jest nieszczęśliwą... Teraz jedyną jej ulgą, pociechą jest myśl, że ja jej nie uwiodłem, ale że ją kochałem, myśl, że poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić. Gdybym z drugą się ożenił, pchnąłbym ją w serce na wieki. Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną kobietę, a zostać jej przyjacielem, bratem i kochać ją sercem, wdzięcznością«... (*Do Sołt.* — 6. V. 1837. — *Przegl. Pol.* 1877, I, 95).

Takie argumenty nie mogły przekonać i uspokoić ojca; a tak po miesięcznym wspólnym pobycie w Kissingen rozjeżdżali się w gorszych niż przy powitaniu warunkach: ojciec zagniewany, zmartwiony, że nawet łzy jego nie mogły uporu syna zmiękczyć; syn zacięty w postanowieniu wytrwania przy »ukochanej, biednej kobiecie, »czystszej przez swe cierpienia, niż inne w dziewictwie« (*do Reeva*, II, 123).

Po wyjeździe ojca, którego 8-go lipca do Erfurtu

odprowadził, wrócił Krasiński do Kissingen dla dalszej kuracyi, w ciągłem oczekiwaniu przybycia tam pani Bobrowej. Po rozprawach z ojcem czuł się bardzo wyczerpanym; zdrowie tak się pogorszyło, że ledwie mógł pisać. »Nerwy w wysokim stopniu rozdrażnienia, ręce drżą, jak u Papy. — Chodzić nie mogę, bo mi zaraz tysiąc much czarnych igra przed oczyma«. 10-go lipca pisał z Kissingen:

»Wzruszenia moralne, których doznałem, połączone ze skutkiem wód do szczętu moje nerwy rozdrażniły i codzień gorzej się mam.

Boku ból przed ośmiu laty zatracony wrócił, a dlatego żadnej ulgi oczom dotąd niema. Womity wróciły. Drżę cały jak liść. Ni sypiać, ni wyleżeć, ni chodzić długo niemogę. — — — Moralnie i fizycznie utrapiony jestem i głęboko. Lękam się myśli Papy o mnie, ale słowami ich zbijać niemogę, kiedyś zbiję je czynem. Jestem w kryzys życia mojego pod wielu względami. Nieraz będę miał w tych czasach serce rozdarte. Przygotowałem się na to i przyjąłem to, bom na to zasłużył — a potem mniejsza o moje serce, byleby Papy serce odetchnęło, byleby Papa był jeszcze szczęśliwy. Dłużej nie mogę pisać, bo płaczę i trzęsę się — proszę o błogosławieństwo Papy«.

Nie mogąc już dać sobie rady w Kissingen, wyjechał z Danielewiczem do Frankfurtu. Pożegnał się z Doktorem Sauvanem, któremu termin trzyletniej nad nim opieki lekarskiej się kończył, a we Frankfurcie pragnął doczekać się przyjazdu z Drezna Pani Bobrowej. Danielewicz, który był między ojcem a synem

istotnie jak między młotem a kowadłem, tak opisywał Jenerałowi pobyt w Frankfurcie w liście z d. 24 lipca 1834. Znać tu wyraźnie serdeczną troskę przyjaciela o rozwiązanie pomyślne smutnych komplikacyj. Wspomniawszy o przykrych wrażeniach, które Jenerał wywieść musiał z Kissyngi, pisze dalej druh Zygmunta:

»Wyjechaliśmy z Kissyngi, żeby ustąpić miejsca Pani B., która tam ma przyjechać... Nie bardzo się spieszymy do niej. Bardzo się o przyszłość boję. Już cały arsenał argumentów wytoczyłem, jakie mi tylko i przyjaźń i zresztą słuszna indygnacya przeciw temu wszystkiemu podyktowała. Ale jest zacięty w swoim uporze, — słucha, przyznaje, potem sofizmem się wykręci i swoje dalej ciągnie. Zresztą nie trzeba zbytniego wysilenia, żeby przekonać, iż takie igranie ze wszystkiem, co jest świętem u ludzi, bo z jednej strony z miłością, której tutaj jest tylko *fac-simile*, z drugiej z tysiącem ważnych obowiązków — nie jest ani pięknym, ani zacnym, ani szlachetnym. Takiego zarzutu bardzo się boi, a przecież nie widzi, że mu tutaj go uczynić można.

Pani B. z drugiej strony pisze raz listy rozpaczne *avec passion, abandon et oubli de toute sorte d'égards*, drugi raz krótkie z pryncypiami, wyrzutami i odpychaniem od siebie. — Toż to jest nieszczęście, że nasze Polki nie mają wyobrażenia, co to są pryncypia i albo ich wcale nie mają, albo tylko w czasie ataków nerwowych(!). Słusznie też w Europie używają porządnej reputacyi, szczególniej wojażerki. — Że to jest dobra i słodka kobieta, to nie

sekret. Ja mam dla niej wiele politowania, gdyż będąc prawie ciągłym świadkiem tej historyi, wiem, że wcale się do niej nie przyłożyła, aż po długich oporach — ale zbyt wielkiego szacunku dla niej niemam, za to, że chociaż tak silnym atakom moralności jak mało Polek podlega, dała się ująć jednakże w tak niezgrabne i niemoralne sidła, jak są te, które Z. zwykle zastawia kobietom«. —

Zanim nadjechała do Kissingen Pani Joanna, Krasiński miał chwilę błogą wytchnienia w Frankfurcie przy boku Reeva, którego od lat pięciu nie widział. Ale Reeve podobnie jak Danielewicz, nie mógł pochwalić miłości przyjaciela. Anglik widział przedewszystkiem to tylko, co było *shocking* w uczuciach Krasińskiego dla kobiety zamężnej i matki. Na niedolę serca patrzał Reeve krytycznem okiem »prawodawcy, moralisty lub filozofa« (II, 125). — Po krótkiem a serdecznem spotkaniu się z przyjacielem lat genewskich, miał wreszcie ujrzeć w jakiś czas potem tak tęsknie oczekiwaną Panią Joannę, która z dziećmi i jakąś starszą towarzyszką przybywała do Kissingen na kuracyą. Należało zachować wszystkie ostrożności i względy światowe. Krasiński pozostał w Frankfurcie; zrzadka dojeżdżał do Kissingen. Chwile tam spędzone opisał poeta w listach do Sołtana i do Reeva. Prof. Tarnowski, który czytał wszystkie jego listy do Sołtana, nam dziś niedostępne i nieznane, tak streszcza ważne ówczesne wyznania Krasińskiego:

»...Na myśl o tem spotkaniu przejmuje go jakiś strach: ona w tak dziwnym stanie, ona go męczy

ciągłemi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności. Miłość nic nie warta, przyjaźń jedna nie podlega zmianom; ta kobieta jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą nawet od niego samego;... czytając takie słowa, zdaje się, że miłość skończona. Ale ona przyjechała i dawne uczucia obudziły się, zajaśniały, wybuchły może z dogasającą już, ale z wielką siłą:

»Widziałem ją przez trzy dni — (list LXI bez daty); — co się z tego widzenia w sercu mojem zostało, reszty mego życia będzie towarzyszem: zgryzota, smutek, przywiązanie. Powiem ci, żebyś jej nie poznał; smutek i choroba tak ją przetworzyły. Tem droższa dla mnie. Oczy jej z błękitnych w ciemne, przygasłe się zmieniły; piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała, a w duszy nic prócz bolu ciągłego, mąk ciągłych i miłości dla mnie«... (*Przegl. Polski*, l. c. 96—97).

Dokładniej przedstawił krótkie chwile ówczesne w liście do Reeva:

»Było kilka smutnych spotkań; zgadnij gdzie? na cmentarzu, bo wszędzie indziej bywały tłumy gości kąpielowych. — Tam wśród grobów niemieckich, pokrytych kwiatami, spędziłem z nią dziesięć do piętnastu wieczorów letnich; jeśli nas burza zaskoczyła, mokła do suchej nitki. Nie bladła podczas grzmotów jak dawniej. Stała tak na mokrych trawnikach w sukni jedwabnej z paryskim kapeluszem na głowie, z dłońmi swemi w mych dłoniach. Słowem, była to kobieta, która doszła do ostatniego stopnia egzaltacyi,

PANI BOBROWA

(1837).

bez względów na konwenanse światowe; spokojnie patrząca na to, że towarzystwo niebawem ją odrzuci; w świecie tym zapatrzona tylko na tego, który nie powinien był nigdy doprowadzić jej do tak ponurej ostateczności.

»A więc przyszła mu do głowy myśl rozpaczliwa i miłosna. Chciał się dla niej poświęcić. Napisał do ojca swego, że chce ją nakłonić do rozwodu i ożenić się z nią. Tu rozpoczyna się okrutna tragedya. Ojciec nie odpowiedział nic; odpisywał tylko przyjacielowi (Danielewiczowi). Zagroził synowi przekleństwem; zarzucił mu, że go do grobu wpędza; oświadczył, że nigdy takie małżeństwo nie dojdzie do skutku, chyba po procesie z ojcem i po rozstaniu się z nim raz na zawsze, na życie całe. Co mógł zrobić syn wobec tak strasznych pogróżek? Czy miał prawo wyzywać przekleństwo ojca? czy miałby do tego serce!« (II, 128—129). — Tak tedy miał Krasiński do wyboru: albo zerwać z Ojcem, którego kochał, albo z Panią Bobrową, dla której czuł już nie miłość kochanka, ale wielkie współczucie i wdzięczność za wszystko, co z jego winy wycierpiała. Był jak w matni, z której napróżno szukał wyjścia. Po rozstaniu z Panią Joanną pospieszył w końcu sierpnia do Wiednia, gdzie znowu jesień i zimę miał spędzić.

A tak lato, które mogło mu było ulgę jakąś i polepszenie zdrowia przynieść, zeszło znowu na udręczeniach fizycznych i gorszych jeszcze — moralnych. Otwarcie ojcu się przyznawał: »jej nie mogłem przestać kochać. Dzisiaj sercem ją kocham, — nie miłością własną«. (9 września 1837 z Wiednia). W końcu

września wyrywał się bodaj na dwa tygodnie do Drezna, by tam znów ujrzeć Panią Joannę *(do Reeva*, II, 126); już powóz stał przed domem, już miał ruszyć w drogę pomimo zaklinań i perswazyj Danielewicza i Sołtana, kiedy wtem »widmo« ojca go powstrzymało... Na samą myśl, czem się ta podróż może stać dla ojca, rozpłakał się i — został w Wiedniu.

Nie trzeba sądzić, że tylko nieszczęśliwa miłość była źródłem rozpaczliwych szamotań się poety. Ciągła myśl o Jenerale, o tem, gdzie przebywa i dlaczego tam przebywa, także go rozdrażniała i tkwiła w nim jak cierń dotkliwy:

»A zatem Papa wraca do Petersburga. Trzeba przyznać, że gdziekolwiek spojrzeć, to wszędzie zdaje się nas ścigać jakaś fatalność nieskończenie smutna. Ona to moją młodocianość zniszczyła, jak się Papa wyraża, w samym jej zarodzie i daleko dawniej od nastania przyczyn, którym brak świeżości we mnie Papa przypisuje. Jedno poszło z drugiego. Przedczasem starym i smutnym zostałem. —

Gdybym nie miał w sobie takich zarodów smutku, niesmaku i wstrętu od świata, pochodzących z wyższej siły t. j. z natury rzeczy i okoliczności, nie byłbym chorował, gdybym nie był chorował, byłbym żył w świecie i nauczył się potrzebnej czasem umiejętności zacierania wrażeń wczorajszych dzisiejszymi, dzisiejszych jutrzejszymi i t. d.

— — Jestem w położeniu moralnem tak trudnem do wytrzymania, że niemam chwili pokoju ni we dnie ni w nocy. Włosy mi precz siwieją od

okropnych bolów nerwowych w głowie. Nieznośnie mi — nudno — boleśnie, pełno wyrzutów i przeczuć czarnych. A świeżości duszy nic a nic. To Papa odgadł — to jest moją chorobą nadewszystko. W duszy, jak ciele, silne muszkuły i kości — ale nerwy zepsute. Czasem się zamknę i po całych godzinach płaczę. Ni z Sołtanem, ni z Danielewiczem już nawet rozmawiać długo nie mogę«. (28 września 1837).

Te bóle nerwowe w głowie tak się powtarzały, że że z początkiem października lękał się o swe zmysły. Zdawało mu się czasami, że »mózg mu puchnie w nieskończoność«. Czuł wstręt nieprzezwyciężony do całego swego otoczenia, »do światła, do krzeseł, do ludzi«. Wyobrażał sobie wtedy, że »sama essencya życia jest dotknięta«. I z rozpaczą wołał: »z tego wyrwać się trzeba, koniecznie trzeba!«

Godził się z przekonaniem ojca, że to kara za zło wyrządzone, zapewniał go, że »godzina rozkoszy minęła dla mnie, a wybiła kary« i że w końcu ojciec może na to liczyć, iż syn jego będzie wobec niego zupełnie bierną istotą«. (12 października 1837).

Dochodził poeta do ostatecznych granic nerwowego rozstroju, skąd krok już tylko do naruszenia całości zmysłów. Na domiar złego Danielewicz sam tracił już cierpliwość i mimowoli mógł zbyt ostrem słówkiem do reszty rozjątrzyć otwartą ranę serdeczną. Mamy tu wrażenie, że Krasiński potrzebował wówczas raczej niewieściej, macierzyńskiej lub siostrzanej dłoni dla ochłody rozpalonego czoła — a nie filozoficznych argumentów. Danielewicz był już sam cią-

głem z nim obcowaniem zbyt podrażniony, by mógł mu ulgę jakąkolwiek i pociechę przynieść. Widzimy to dziś jasno z następującego listu Danielewicza do Jenerała. Jest tam bardzo dużo słuszności — ale niesłychanie mało współczucia. Przypomina się nam rozmowa księdza z Gustawem w czwartej części Dziadów: »Znasz ty Ewangelią«? — »A znasz ty nieszczęście?«

Oto ważny i dobrze o b u przyjaciół charakteryzujący list z Wiednia, z d. 15 października 1837:

»Im bardziej zastanawiam się nad tak długoletnimi związkami młodego człowieka z podstarzałą kobietą, obłożoną dziećmi. bonami, schorzałą i kwaśną, nie mogę przypuścić, żeby były naturalnymi i chyba przez jakieś pomieszanie zmysłów, albo przynajmniej monomanię wytłumaczyć je sobie mogę. Nieraz mnie ta myśl seryo zastrasza, bo kiedy z a n a d t o m u g a d a m przeciwko tym związkom, albo gdy mi się uda ich ś m i e s z n o ś ć naocznie wykazać, napadają go jakieś *szczególne akcessa:* chodzi po pokoju i jedne słowa sto razy powtarza, że aż mi dreszcz po nerwach przebiega. Niech mi JWPan wierzy, że każda minuta, w której się spotykam z tym wszystkim, jest mi zatrutą tym lub owym sposobem — i że gdyby miało takie życie dłużej potrwać, to chybabym wolał sam placu ustąpić, niż to dłużej cierpieć.

Czyż to nie jest najsmutniejsza rzecz pomyśleć, że te pięć lat, w których Opatrzność nam pozwoliła odetchnąć w świecie obcym i nowym, przeszły prawie całkiem w nudach, kwasach i kontemplacyi starej baby, po którą nie potrzeba było tak daleko jeździć.

Gdyby to jeszcze było na wsi, tobym się nie dziwił, ale żeby w całej Europie młody człowiek nie znalazł interesu innego, nad ten jeden, tak oryginalny do tego, to mi się w głowie pomieścić nie może.

— — Znając Panią B., nie mogę jej wszakże nie oddać w niektórych rzeczach sprawiedliwości, między innemi, że nie ona temu wszystkiemu winna, ale choćby była aniołem, to zawsze będę nienawidził tych stosunków, bo rzeczy przyszły do tego, że nam chodzi o życie lub śmierć. Z Zygmuntem już wyczerpałem wszystko, co można było, już nic nowego mu powiedzieć nie mogę...

Albo zmora ustąpi, albo ja zupełnie ustąpię«.

I »zmora« nie ustąpiła i Danielewicz wytrwał. Z całego opisu powyższego widać wyraźnie, że Krasiński skutkiem wadliwego i forsownego leczenia zimnemi kąpielami, a potem wodami w Kissingen pogorszył tylko cierpienia swe nerwowe, które my dziś zbiorowem obejmujemy mianem: neurastenii. Danielewicz, jako bystry i spokojny obserwator, świetnie scharakteryzował tę chorobę, nie domyślając się nawet wówczas jej dzisiejszej nazwy:

»Stan jego moralny jest prawdziwie zastraszający. Jest to kompletna bezwładność, nuda wieczna i jakieś uparte zajęcie się jedyną kobietą i zgoła niczem więcej. Jest w stanie przyjść nietylko do mnie, ale do mniej poufałych osób i tam pięć godzin na jednem miejscu przesiedzieć lub przeleżeć bez powiedzenia słowa jednego, bez dania znaku życia. Niech JWPan nie myśli, żeby tu jedno słowo było przesadzone. Jest to po prostu dusza, która

od dnia do dnia wolę traci i dochodzi do kompletnej bezwładności«.

Listy ówczesne jenerała przyczyniały się także do pogorszenia takiego stanu. Zawierały zapewne ciągłe wyrzuty, wypominania z powodu skrytości charakteru syna itp. Zygmunt Krasiński bronił się, jak mógł: zaznaczał, że od dzieciństwa przyzwyczajony był wszystko ojcu mówić i że dusza jego zawsze przed ojcem »odkryta i naga stała«. Jenerał, z odległości, nie zdawał sobie sprawy, ile ostre jego słowa sprawiają bolu znękanemu synowi, chociaż ten wprost mu pisał: »Każde słowo każdego listu Papy jest nożem mi w serce«. (18 paźdz. 1837).

Jenerał na seryo zaniepokojony był zamiarem syna, który w Kissingen jeszcze marzył o związku legalnym z panią Bobrową po wyrobieniu jej rozwodu. Nie dowierzał wszelkim zapewnieniom poety; żądał od niego koniecznie przysięgi na duszę nieboszczki matki, że się z panią Joanną nie ożeni. Złożył taką przysięgę Zygmunt Krasiński w liście z d. 28 grudnia 1837 r.

Donosząc o tem Reevowi wyznawał, że jest nieszczęśliwy, bo przewiduje teraz smutny koniec kobiety, czuje cały ogrom swej odpowiedzialności i wie, że kiedyś na sądzie ostatecznym opowiedzą mu raz jeszcze całą historyę jego miłości. Zapóźno stawiał sobie zapytania: »Dlaczego nie przewidziałem niczego w pierwszym dniu naszego spotkania? dlaczego wówczas byłem ślepym, a teraz tak jasnowidzącym? Bo szczęście zakrywa nam obraz nędz ludzkich, nieszczęście odsłania je wszystkie naraz«. (II, 130). Mógł

po prostu powiedzieć, ale nie śmiał: »bo wtenczas ją kochałem i pragnąłem jej miłości, a dziś mam dla niej uczucia brata dla nieszczęśliwej siostry«.

W takich to ciężkich smutkach, strapieniach i cierpieniach wszelkiego rodzaju kończył rok 1837. Zdawaćby się mogło, że nie było w nim czasu i miejsca na jakąkolwiek pracę poważniejszą, na jakiś pomysł literacki lub utwór poetyczny. Duch słabszy, dusza zwykła, byłaby się ugięła i spłaszczyła pod brzemieniem tylu trosk serca i bolów ciała. Ale Krasiński marzył i tworzył nawet w cierpieniu, albo raczej pomimo cierpienia. W listach do przyjaciół mamy liczne wzmianki i dowody żywej czynności umysłowej. Choroby, pozbawiające go sił fizycznych, nie pozwalały oczywiście na wykonanie planów twórczych; nie mniej ciekawe są i ważne dla historyi jego ducha wszelkie wzmianki o zamierzonych utworach.

W tym samym, długim liście do Gaszyńskiego, zawierającym znane nam prostowanie i odparcie zarzutów Ulrycha co do *Irydiona*, znajdujemy także plan nowego, widocznie zamierzonego, może już rozpoczętego utworu. Gaszyński zachęcał Krasińskiego, aby podjął tak wdzięczny i tak patryotyczny temat Konfederacyi Barskiej. Krasiński twierdził wprawdzie, że to »przedziwny temat«, ale wyznawał, że nie czuje sił do niego. Dodajmy zresztą, że prawnuk marszałka Konfederacyi Barskiej nie byłby nawet mógł z wszelką swobodą wysławiać owe czasy bez obudzenia podejrzeń i zarzutów, że szło mu o sławę swego rodu. — Natomiast inne snuł

wtedy pomysły: »*Kilka rzeczy on zaczął*, ale dalej ich ciągnąć nie umie, nie chce mu się. Wandy myt jest przecudownym dla poety, który pod jego postacią pojmie wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemczyzną, a wołącej zawsze w przepaść skoczyć, niż się jej poddać. Różne także komiczne, humorystyczne wiły się zamiary w jego głowie; ale to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem. On jest w tej porze życia, w której wszystko pod zwątpieniem schnie i męczy się. Niech mu Bóg dozwoli z tej toni z nową i męską wyniść wiarą«. (I, 116).

Że o »Wandę« w dawniejszych już przygotowawczych studyach chodziło, widzimy to teraz wyraźnie. Autograf świadczy, że początek jej datuje się z r. 1837. Widocznie brak sił, brak natchnienia przerwał i ten utwór i innych »kilka rzeczy«, o których tu mowa. Wprawdzie Gaszyński chciał dodać Krasińskiemu otuchy, twierdząc, że do pisania nie potrzeba »podżegacza żadnego materyalnego«, ale Krasiński innego był zdania: »Praca rąk i nóg — odpowiadał przyjacielowi — na codzień przeznaczona człowiekowi, tę odbyć może bez rozdrażnienia nerwów; ale natchnieniem się nie napoi, jeśli wprzódy mózgu nie nastroi na nutę natchnienia«. Otóż o nastrój taki było mu bardzo wtedy trudno: »Świeżości za grosz niema w wyobraźni mojej. Wszystko wewnętrzne moje zdaje się jednego losu doznawać z tem, co zewnątrz mnie jest. Gnije wszystko pod ręką konieczności«. Nie mniej przeto zdawał sobie poeta dokładnie sprawę z tragiczności epoki, w której

mu żyć przyszło. Przepowiadał w wspaniałych i łzami przepojonych słowach przyjście po wielu latach poety jego własnych czasów: »Przyjdzie dusza na świat, która w dzisiejszem położeniu rzeczy się rozpatrzywszy, przejmie się chwil naszych goryczą i tragicznoś ogromną z niej wydobędzie. Słuchając jej słów, zapłaczą potomki, dowiedzą się, jak marnie życie nam upłynęło, jak gorąco wzywaliśmy czegoś, coby pociechę nam w sercu orzeźwiło; jak stateczną myślą w głębi ducha przeczyliśmy widomej potędze i zdarzeniom otaczającym, jak pozbawieni nadziei mieliśmy do walczenia przeciw pokusom wielu i radom własnego rozsądku i burzom własnej rozpaczy i słabościom znużenia; jak w każdym dniu ciaśniej nam było, każdej nocy nieznośniej i samotniej; jak wreszcie zapadliśmy w wstręt i świat zmierzili, czekając, jak zbawienia, śmierci podłej na łożu, lub niepamiętanej wśród nieznanych i obcych.

Taka tragiczność będzie sto razy straszniejszą i pełniejszą bólów, niż dzisiejsze dramata, przeznaczone oczom chciwym dekoracyj, ubiorów, morderstw i wszeteczności. W niej męka ducha wystąpi, jak otchłań głęboka, a na ustach będą malować się znikome ciężkiego udawania uśmiechy. Powiadam ci, płakać będą nad nami! To jedyna nieśmiertelność nasza«. (Do Sołt. 99—100).

Ilekroć w miejscach kąpielowych zagranicznych spotkał Krasiński rodaków, zawsze dawało mu to powód do narzekań na rozpanoszenie się obcego żywiołu w Polsce. Tak, jak poprzedzającego roku na

żydów, tak teraz narzekał na przechrztów, »najbezczelniejszy ród, który krajem wreszcie owładnie, jak *tiers-état* owładnęło Francyą«. Traf zrządził, że przez Kissingen przejeżdżał »cny i godny wyobraziciel plemienia swojego, ex-sekretarz dyktatora«. Podrażniony widokiem spanoszonego przechrzty, który wyglądał na »księcia jakiego z Moskwy lub Trebizondu«, poeta zbyt pochopnie uogólnił sprawę i z jednostki wnioskował o całej klasie społecznej: »Ta dziwna mieszanina złota zewnątrz, a błota wewnątrz dziś panuje w Warszawie«. Bał się tego panowania Krasiński ze względu na przyszłość Polski. Jej pomyślność upatrywał on w »ocaleniu szlachty, w pogodzeniu się jej i w pojednaniu z ludem wiejskim. W tem widział jedyny zaród siły; a po latach wyrazi to w słynnym wierszu: »Jeden tylko, jeden cud...« Nie innemu stanowi, nie obcemu w Polsce »nienarodowemu« *tiers-état* powierzał on moralne przewodnictwo nad »tłumami«, tylko szlachcie — a na lat dziewięć przed galicyjską rzezią ostrzegał: »Kto zamierza szlachtę wyrznąć, ten nędznie jest głupim, ten niewiniątkiem większem, niż dziecko u piersi, ten niema wyobrażenia o rzeczach, ten gada próżne słowa... Wzrośliśmy szlachtą i upadliśmy szlachtą; przez nią się podźwigniem, przez to, co jest nami samymi«. (I, 121).

Niebawem spotkanie z Reevem, rozmowy z nim o kwestyach społecznych na zachodzie, zwróciły znowu myśli autora *Nieboskiej* ku zagadnieniom ogólno-dziejowym. Reeve od dwóch lat zaprzyjaźniony był ze znakomitym autorem dzieła o *Demo-*

kracyi w Ameryce, Alexym de Tocqueville. Zaciekawiony opowiadaniami przyjaciela swego o tym niepospolitym »adwokacie«, rozpoczął Krasiński w Wiedniu studyowanie nieznanego dotychczas autora, a niebawem »pochłonął go« z zapałem i odtąd miał dla niego »głęboki szacunek« (II, 126). Zachwycał się jego stylem, ideami, duchem dzieła o zapachu cnoty starożytnej i uważał je za »metafizykę narodów«.

W tych słowach odnajdujemy autora *Nieboskiej*. Ale czytanie Tocqueville'a było tylko krótkiem wytchnieniem między jednem a drugiem cierpieniem. Zbliżył się okres najgorszego rozstroju nerwów, który wydawał się samemu Krasińskiemu zapowiedzią »niezawodnej zguby«, bliskiej śmierci; wtedy posyłał Gaszyńskiemu na pamiątkę »po człowieku, po przyjacielu, nie po sztukmistrzu« smutne wiersze: »Serce mi pęka, światło się umyka z przed oczu moich«. (9 listopada 1837).

Wymówki Danielewicza o straconych latach młodości odniosły w końcu ten skutek, że poeta zaczął żałować sił zmarnowanych. Ambicya autorska stanęła do walki z porywami szlachetnego serca i z ust poety wymknęły się skargi, o których lepiej, że Pani Joanna nie wiedziała:

»Gdybym nie kochał śmiertelnej piękności
I ust nie złożył na widomym czole,
Byłbym tą iskrą spadłą mi z wieczności
Pożar rozniecił na ziemskim padole
I duszę moją pozaludniał tłumem
Żyjących myśli...
Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci!
Dziś już zapóźno!...

Czuł, że miłość w nim obumierała, powtarzał prześliczne wiersze:

Des Lebens Mai blüht einmal und nicht wieder —
Mir hat er abgeblüht —

zazdrościł Gaszyńskiemu »serca prawego, tkliwego, niezatrutego samolubstwem, ni próżnością, nie goniącego za blichtrami i fałszem« i odsłaniał przed nim tajniki swej duszy: »Ty nie będziesz nigdy czuł rozdzierających męczarni dumy, która celu nie dopięła«...

Tak schodziła mu zima w Wiedniu z r. 1837/8. *Burg-Theater* skracał mu wieczory długie, ale dni, tygodnie, miesiące wlokły się leniwo wśród gorzkich rozmyślań. Danielewicz nie tracił wprawdzie nadziei, że druh jego wyjdzie zwycięsko z przesilenia, ale samo to przesilenie określał jako bardzo poważne:

»...to co on teraz już wycierpiał i cierpieć musi może jest silniejszą karą, niż było przewinienie. Jest to z rodzaju tych cierpkich doświadczeń, które mogą zupełnie uformować mocny charakter, albo do reszty zniszczyć słaby. Daj Boże, żeby mu to na dobre wyszło. Każdy list, który odbiera czy z Petersburga, czy z Drezna jest dla niego ciosem śmiertelnym i stawia go w trudnym położeniu między dwoma stronami.—

— — Przykro mi jest widzieć Z. igraszką szaleństwa babiego, ale że to szaleństwo sam wywołał, wymęczył, wyprosił, dzielę jego stąd cierpienia i trwogę, aby się katastrofą nie skończyło, bo choćby waryacya np. pani B. była skutkiem skłonności i choroby, niktby mu nie wyperswadował, że on nie był do

niej powodem i dlatego Boga proszę, żeby nas od tego uchował«... (Z Wiednia do jenerała, 9 lutego 1838 r.).

Im smutniejszą była teraźniejszość, tem idealniejszą, świętszą, lepszą wydawała się przeszłość, kraj lat dziecinnych, niezaburzony błędów przypomnieniem, nie podkopany nadziei złudzeniem.

Był zwłaszcza jeden dzień w roku, poświęcony takim wspomnieniom; to rocznica urodzin, dzień 19-ty lutego. Poeta robił w nim jakby obrachunek i przegląd wspomnień; zestawiał je z obecną chwilą i zawsze wolał przeszłość. Tak było i w r. 1838; dnia 19-go lutego pisał do ojca:

»...dziwnie się przed myślą moją wiły wspomnienia dzieciństwa: te wszystkie rocznice moich urodzin w Warszawie, te zamki z kartonu w ogrodzie naszym i zbroje i szyszaki i kolacye i ci sprowadzani przez Osińskiego lub Rybczyńskiego kuglarze... Jakże świat się mój wnętrzny i zewnętrzny odmienił — nic może już wspólnego niemam z istotą, która wtedy igrała w płaszczu templaryusza po trawnikach ogrodu— nic — prócz jednego uczucia: miłości do ojca!«

Jenerał nie rozrzewniał się jednak temi wspomnieniami, bo zależało mu przedewszystkiem na tem, aby syn zerwał stanowczo i raz na zawsze z panią Bobrową. Wojskowy »klasyk« zarzucał swemu »romantykowi« pewne pieszczenie się sobą i swą sytuacyą. Nazywał to »melodramatyzacyą«. Jedynak w zasadzie doszedł pod wpływem gróźb i próśb ojcowskich i przyjacielskich — bo ani Reeve ani Danielewicz nie szczędzili swych rad i napominań — do przekonania, że

rozstanie się z panią Joanną było nieuniknione. Różnił się tylko z ojcem swym co do sposobu postępowania. Jenerał chciał poprostu jak szablą przeciąć węzeł; syn, czujący całą swą wobec pani Bobrowej winę, pragnął łagodną, przyjacielską ręką węzeł rozplątać i zwolna nici wiążące ich rozsnuć i rozłączyć. Zaklinał ojca, aby pozwolił mu działać i zaręczał, że dopnie celu. Spowiadał mu się z zamiarów swych w pięknym liście (d. 15 marca 1838 r.), w którym szlachetność jego postępowania tak silnie przemawia, że gniew ojca powinien był chyba czuć się rozbrojonym:

»...Zarzuca mi Papa zawsze melodramatyzacyą. I to jest prawdą, ale prawdą przeszłości, nie istniejącą już dzisiaj. Kiedy pierwszy raz, złożony chorobą i pochodzącym z niej smutkiem, ujrzałem tę kobietę w Rzymie, kiedym z nią bywał w Florencyi i Wenecyi, przyznaję, że moje młodociane uniesienie samo z siebie przybierało dramatyczne barwy, lubiło sobie układać sny szczęścia, obrazy romantyczne w okręgach jej się tyczących. Lecz teraz zanadtom wypił goryczy, sączonej kropla po kropli w różnolicznych kubkach, by jeszcze jaki kwiat tego rodzaju mógł róść w wyobraźni mojej.

Dziś rzeczywistość naga stoi przedemną. Boleść wygnała złudzenie. Jednej tylko pragnę rzeczy, by ukoiło się jej serce; a jej serce ja zraniłem, ja obróciłem na wspak kierunku, w którym bić zawsze powinno było! Teraz Papa zapewne pomyśli, że jeśli melodramat ustał, to miłość własna dotąd panuje. I to jest prawdą, ale prawdą przeszłości. Przyznaję,

że dawniej uważałem za dosyć chlubne, posiąść kobietę, której wdzięki sławiono, której dobrą sławę ogłaszano. Lecz teraz oczy moje dowiodły mi, że przestała być piękną, Danielewicz przekonał mnie, że stara, zgadzam się z Panią Załuską, że nie jest rozumna, jakiż więc pokarm znaleść w niej jeszcze zdoła moja próżność? — — Cóż więc dotąd jeszcze stanowi spójnię, trwającą między nami? Szczerze Papie powiem: rzecz wyższa od melodramatów i próżności i namiętności wszystkich, przekonanie obowiązku, przekonanie, żem wdzięczność jej winien, jasne pojęcie postępowania mojego z nią, które ją przywiodło do smutnych rezultatów, wzdraganie się serdeczne przed myślą, że mógłbym gwałtownem zerwaniem przyprawić ją o rozpacz, wreszcie to, co się zowie delikatnością, dobrem sercem, przyjaźnią, to co przykazuje mi być raczej ofiarą niż katem!... — Ale niech Papa nie myśli, że przez to ja zapowiadam przeciągnienie długie jeszcze tych nieznośnych stosunków. Gdybym poszedł za jego radami, skończyłbym je tragicznie — ale ja chcę skończyć prozaicznie, naturalnie, spokojnie, chcę by rzecz sama przez się się skończyła. To wziąłem na siebie, tego dokonam, lecz na to potrzeba mi wolności.

— — I to, czego Papa żąda się stanie, a z drugiej strony nie potrzeba będzie ofiary. Tę kobietę kochałem, ta kobieta dobra była dla mnie. Zachowam względem niej wszystkie kształty przyjaźni, wszystkie ostrożności czułości, ani jej dumy, ani jej serca nie zranię; wsparta na mojej ręce dojdzie do punktu

pożegnania, sama mnie pożegna, ja jej nie odepchnę. Zdaje mi się, że gdyby kto inny, nieznajomy, obojętny, tak myślał i czynił, papa by uznał, że dobrze myśli i czyni. —

Dziś, dziś powtarzam, że już tylko jestem jej przyjacielem i jako przyjaciel z nią postępuję i postąpię«.

Taki sobie założywszy plan postępowania spokojnie już wyczekiwał Zygmunt Krasiński wiosny i lata. Wiedział, że miesiące jego pobytu za granicą już są policzone, że paszport jego pięcioletni się kończył, i że w pierwszych dniach Czerwca musi stanąć w Opinogórze.

Ze spokojem względnym wróciła ochota do pracy; — widocznie rozmyślał dalej nad „*Wandą*“ i gromadził do niej materyały, o czem uwiadamiał ojca d. 11 kwietnia:

»Ważne mam wypisy z mitologii słowiańskiej i czasów przedchrześcijańskich, które chciałbym Papie pokazać. Czy przywieść je?«

O powrocie do Polski myślał ze smutkiem głębokim.

»Mój powrót blizki rzucił mi na duszę zasłonę z krepy czarnej«. (*Do Gasz.* 131). Nie wiedział, na jak długo wraca, a przyszłość przedstawiała mu się w barwach szarych, bardzo prozaicznych; »w postaci wołów, pługów, kapusty, zboża, kartofli i alembików gorzelnianych«... (Do Reeva II, 131). Czuł on, że kończy się epoka młodości jego i wzywał przyjacieia z genewskich czasów, aby różami alpejskiemi grób młodości tej obsypał, a wodą Lemanu go pokropił.

Lękał się, że zrobią z niego tęgiego hreczkosieja, *a perfect country gentleman*, i temi ponuremi obawami zamykał ostatni swój list do Reeva, z d. 12 kwietnia 1838 r. Żegnał się także bardzo czule z Gaszyńskim, bo z Polski do emigranta pisać nie śmiał: »teraz będziemy odmurowani jeden od drugiego«. Na pożegnanie dawał mu rady znamienne i charakterystyczne. Znać w nich, że z przesilenia już wychodził zwycięsko, że odnalazł źródła otuchy i pokrzepienia:

»Szukaj pociechy w świecie ducha, bo w innym prawdziwej nie znajdziesz... Strzeż się miłostek, a jeśli kiedy z miłością się spotkasz, a okoliczności sprzyjać będą, kochaj i ożeń się... Co do prac umysłowych, zapoznaj się z niemiecką literaturą i filozofią. Czytaj jeśli będziesz mógł dostać Novalisa i Estetykę Hegla... *Religijne uczucia pielęgnuj* i karm w sobie. Jest to klejnot, bez którego perły poezyi nie umieją stać rzędem, padają jedne po drugich i pękają na ziemi... Nie zazdrość mi, że wlokąc swój pogrzeb dalej, wracam na bratnie cmentarze. Wierz mi, tobie na duchu lepiej będzie, niż mnie. Zresztą każdy z nas, odbywamy inaczej próbę narzuconą przez losy na plemię nasze. O ile wytrzymamy ją, o tyle będziem cnotliwi i piękni; a kiedy miną te pozorne widziadła, nazwane światem i naturą, staniem się w Duchu, Duchem wolnym i nieskończonym«...

Z temi wzniosłemi hasłami opuszczał Wiedeń dnia 14 maja 1838 r. — Wyjeżdżał stamtąd, przebywszy już ciężkie wewnętrzne przesilenie, jako duchowy

rekonwalescent. Dążył na ostatnie spotkanie z tą, którą kochał lat kilka szałem młodzieńczym, a dla której miał już teraz uczucia wznioślejsze, przyjaciela i brata. Chciał powitać raz jeszcze, a zarazem pożegnać na zawsze tę, której nigdy żoną nie nazwał,

A która była mu więcej niż żona,
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzie kochanie przezwali

IV.

Ostatnie spotkanie.

Na Ołomuniec i Hof podążał Krasiński z Danielewiczem do Salzbrunn na Śląsku (niedaleko Wrocławia), dokąd przybył d. 19 maja 1838 r. Widocznie zdrowszy, opisywał zaraz Sołtanowi obszernie przygody swe w okolicy Lubnika. Zachwycał się pięknem położeniem zamku Fürstenstein i samym tym zamkiem starożytnym, który obudził w nim dziwne tęsknoty za upłynionemi wiekami i ludźmi okutymi w żelazne zbroje. Zazdrościł tym panom feodalnym, on, autor *Nieboskiej*. Pomimo zupełnie szczerego i głębokiego przekonania, że »świat, że ludzkość musiała się wydobyć z pod tych mostów zwodzonych, musiała się rozsypać i ziemię pokrajać na małe zagony, by kiedyś każdy był wolny i pełen godności«, on roił jeszcze, jak hr. Henryk, śnił na przekór rzeczywistości, jak prawdziwy romantyk, wielbiciel niegdyś bohatyrów Walter-Scotta, o tych wiekach, »kiedy cała godność tysiąców skupiała się w jednego wodza. Jakżeż ten wódz mógł być w i e l k i m i d u m n y m!« I marzył dalej o kochance, w takiem

ustroniu, w takim zamku. »Niech choć noc jedną z nią przebędę w tych komnatach gotyckich, niech od wieczora do ranku marzę, iż jestem »częścią przeszłości, a nie teraźniejszej doli poddanym...« — Ze szczytów zamku tego patrzał na piękną okolicę i na drogę daleką, »kędy jechać ma ona« i zapraszał ją w te mury...

Nadjechała wreszcie. Przybyła, spojrzała i — zwyciężyła raz jeszcze! Wielkie postanowienia rozstania się na zawsze zmalały, stopniały na widok znękanej, kochającej kobiety. »Nie kochać jej nie jest w mojej mocy. Im słabsza, im smutniejsza, im coraz bardziej tracąca piękność dawną, tem mocniej lgnie moje serce do niej... Dzień cały minął mi z nią jak sen pełen tęsknoty... Czasem, kiedy się zamyśli i spojrzy Bóg wie gdzie i marzy Bóg wie co, rzekłbyś, że letarg *ciemnego obłąkania* się zaczyna. Wtedy serce mi się kraje, wtedy całuję jej ręce, prosząc, by przemówiła, a łzy czuję w duszy, choć ich nie mam w oku. A za dwa dni muszę ją zostawić samą na świecie...« (*Do Sołłana, Przegl. Polski*, styczeń 1877, str. 97). Zgryzoty sumienia opanowały go teraz na widok jej cierpień niezasłużonych, na myśl, że za dni kilka »wszysko już będzie przeszłością, wszystko schroni się do głębi serca i tam żyć będzie rozdzierającemi podrzuty. O, Adamie! Nieszczęsny ten, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności (!) targnął się na cudze prawa, żonę od męża oderwał, matkę od dzieci... Ja tom czynił myśląc szalony, że na tej drodze poezya i wiosna; teraz, te-

raz głębokom poniżony sam przed sobą, a ona przed światem...« (*tamże*).

Smutne było powitanie, smutne zapewne rozstanie po krótkim wspólnym w Salzbrunn pobycie. Prócz listu do Sołtana nie mamy innych wspomnień tego spotkania. Czas naglił; paszport kończył się w pierwszych dniach czerwca, to też Krasiński, zabawiwszy zapewne do końca maja w Salzbrunn, pospieszał, jak mógł, do Opinogóry. 4-go czerwca był w Toruniu, skąd rzucił słów kilka do Sołtana, a 6-go padł ojcu do nóg w Opinogórze.

Odetchnął rodzinnem powietrzem. Na chwilę może znalazł ukojenie i z ciekawością rozglądał się po zmianach, jakie przyniosły z sobą lata: »Drzewa podrosły, budynków wiele nowych stanęło, nie do poznania okolica« (Do Gasz. 135). — Ale już po pierwszych rozmowach z ojcem zrozumiał, że dłużej przewlekać stosunku z panią Bobrową nie potrafi. Listami z Wiednia można było do czasu uspokajać jenerała. Ale teraz, po świeżem widzeniu się syna z Panią Joanną, ojciec dowiedział się, że przyobiecane rozplątanie łagodne węzła nie nastąpiło, że przecięcie go stawało się wprost koniecznością i to nie cierpiącą zwłoki, jeżeli Zygmunt Krasiński miał wogóle rozpocząć życie normalne. Chwile te bolesnego starcia ojca z synem w Opinogórze są nam znane tylko z jednego źródła: z listu poety do Sołtana. Prof. Tarnowski, na podstawie korespondencyi z Sołtanem, znanej dziś tylko w wyjątkach, tak opisuje tę ważną, przełomową chwilę: »Zygmunt Krasiński w Opinogórze spotkać się miał z prośbą i groźbą ojca, z pła-

czem i z rozkazem, żeby zerwał (z panią Bobrową): odmawiał statecznie. Pobyt ten razem był dla obu męczarnią«. Do Sołtana tak wówczas pisał: »Po trzech tygodniach, nic na mnie wymódz nie mogąc, udał się (jenerał) do niej i prosił ją o to samo. Pojmiesz znowu, że tak jak ja nie mogłem przystać, tak ona nie mogła nie przystać. Wrócił mój ojciec, przywożąc mi kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych, w których mówi, ‚że musiała się zgodzić na to, by ostatni raz te kilka słów napisać do mnie,«. (List bez daty).

Całe lato było ze względu na to przymusowe zerwanie i na cały stosunek naprężony do ojca, bardzo przykre. Z Gdańska, dokąd poeta wyjechał na krótko w interesach majątkowych, żalił się d. 12 sierpnia 1838 r. Sołtanowi: »Nie możesz sobie wyobrazić, do jakiego stopnia rozdrażnienia doszedłem pod tym względem (swatów), jakie życie moje codzienne w domu, jak czuję, że zabijam mojego ojca i jak nawzajem sam zabijany jestem. Stałem się uosobioną troską i tęsknotą«. Z całego tego listu widać, że głównym powodem nieporozumienia między ojcem a synem były wznowione plany ożenienia Zygmunta, marzone przez jenerała już od roku. Planom tym sprzeciwiał się zasadniczo poeta, nawet bez względu na panią Bobrową. Jenerał, zmusiwszy do zerwania z nią, mniemał, że usunął tem samem główną przeszkodę swych matrymonialnych projektów. Ale tak się nie stało. Wstręt bowiem do małżeństwa był głęboko zakorzenionym w autorze *Nieboskiej*. Ani myślał, ani chciał »zstępować do ziemskich ślubów«.

Jenerała zaś najgorętszem pragnieniem było ożenić syna i doczekać się wnuków.

Ciężka, duszna zapanowała w Opinogórze atmosfera w sierpniu 1838 r. Ojciec zaciął się i postanowił nie rozłączać się z synem, póki się nie przekona, że rozerwany przezeń węzeł nie nawiąże się na nowo. Czuł to jenerał, że podróżą swą na Wołyń odciął wprawdzie pani Bobrowej drogę do korespondencyi, ale jeszcze tem samem nie wykorzenił w obu sercach miłości.

Syn, przerażony gwałtownym krokiem ojca, starał się owszem ubocznemi drogami złagodzić ten czyn szorstki i przekonać panią Joannę, że od niedawnego spotkania w Salzbrunn w niczem swych uczuć dla niej nie zmienił. Nie miał lepszego, pewniejszego powiernika i pośrednika od Edwarda Jaroszyńskiego, tego samego, który go przed czterema laty w Rzymie pani Joannie przedstawił... Do niego więc pisał po trzykroć od przybycia do Opinogóry, a nie odbierając odpowiedzi, czwarty list wyprawił 27 sierpnia, pełen niepokoju, bo listy poprzednie zawierały »dużo rzeczy«. Wielki niepokój o panią Joannę przebija z tych słów gorączkowych:

»Była tam i ciągła prośba moja do ciebie, którą cię zaklinałem, byś czuwał nad nią, i jeśli jej położenie kiedykolwiek wymagać będzie, nadbiegł jej na pomoc, a mnie zaraz o tem uwiadomił.

Donieś mi też, co się z nią dzieje, co mąż robi, w jakim ona stanie umysłu, bo zupełnie przerwane są między nami komunikacye; a codzień czuję jakby przekleństwo wiszące mi nad

głową, za to, żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziem tego znamię całe życie nosili. Raz jeszcze polecam ci ją — powierzam ci ją: ty się nie domyślisz może nigdy, ile goryczy jest dla mnie w tych słowach, jednak tak szczerych, tak pełnych wiary w ciebie, które tu piszę.

Na miłość Boga mi odpowiedz; na miłość Boga cię proszę, a pisz do Warszawy«.

Jenerał Krasiński postanowił wyjechać z synem na południe; był bowiem znacznie osłabionym i podupadłym na zdrowiu skutkiem ostatnich zmartwień. I dla syna konieczny był wyjazd. Pomimo najpiękniejszej w kraju pory roku czuł się niedobrze; oczy go tak znowu bolały, że ani sam pisać, ani cudzych listów czytać nie mógł. Zdawało mu się chwilami, że jakaś nieskończona ciemność zaczynała się roztaczać koło niego, »że tysiąc tysięcy pająków wiją nici cieniutkie, a jednak widnokrąg od nich ciemnieje«; czasem znowu duże plamy czarne, czerwone, żółte, jak chmury płynęły koło jego skroni«. (*Do Sołt.* 119).

Spędziwszy jesień w Polsce, ruszyli obaj 1-go listopada do Włoch, kierując się na Pragę i Linz zrazu do Wenecyi. Danielewicz im nie towarzyszył; zakochał się w jakiejś pannie, zamyślał o ożenieniu i gospodarowaniu na własnym kawałku ziemi. Nie łatwo byłoby mu zresztą nagiąć się do wymagań i przywyknień jenerała, który lubiał wstawać o 4ej zrana, kłaść się o ósmej w wieczór. jeść o 12ej obiad itd. (*Do Sołt.* 119).

Z Wenecyi odezwał się poeta do przyjaciół, narzekając na »samotność wewnętrzną, w której serce

kona powoli«. Wspomnienia błogich niegdyś chwil weneckich, owej wiosny miłości jego, goryczą go teraz napoiły: »te niegdyś dla mnie tak szczęśliwe wody, te pałace, te gondole, wszystko to teraz jak grób stoi przedemną«. (*Do Gasz.* 137).

Już go po drodze doszedł był nowy poemat Słowackiego: *Anhelli*. Zachwalał go Gaszyńskiemu i jako »styl przejrzysty, spokojny, kryształowy« i jako myśl prawdziwą. W *Anhellim* widział Krasiński »doskonały symbol poetyczny naszego przeznaczenia«. Podawszy z mistrzowską zwięzłością treść tego »pięknego dzieła« i zachęciwszy przyjaciela, aby je odczytał, wyznawał w końcu, że po przeczytaniu tego utworu »zapadł jakby w sen magnetyczny i wyśniły mu się wszystkie gwiazdy, wszystkie tęcze, o których tam mowa...« (*Do Gasz.* z Wenecyi 18 listopada 1838 r.).

W przejeździe przez Florencyę uściskał autora *Anhellego* po dwuletniem niewidzeniu, przywiózł mu smutne nowiny o zesłaniu wuja jego T. Januszewskiego do Permy i trzymaniu matki jego przez pięć miesięcy w Kijowie pod śledztwem. Wiadomość ta wstrząsające wywarła wrażenie na autorze *Anhellego*. Dzięki Zygmuntowi Krasińskiemu przebył Słowacki szczęśliwie ciężkie dla siebie chwile; podniesiony przezeń na duchu i pokrzepiony, dziękował mu w ślicznym wierszu, datowanym z Florencyi d. 4-go grudnia 1838. Nazywał tam autora *Irydiona* archaniołem wiary, który znękane serce jego wziął we własne łono, ogrzał i oświetlił.

W kilka dni potem stanął Zygmunt Krasiński

w Rzymie na krótko, gdyż ojcu jego spieszno było do cieplejszego słońca Neapolu. Jak w Wenecyi, tak teraz w Rzymie wspomnienia dawnych, lepszych chwil smutkiem go napoiły:

»Byłem i na Forum. Nie uwierzysz, jak mi się serce ścisnęło; zdało mi się, że widzę całą młodość moją, wracającą na te miejsca jak duch Irydiona po latach wielu. Wszystko, com tam marzył i kochał, wszystko, co mną było, oddzielone odemnie, jak dusza od ciała — rozdział dalszy coraz i coraz posępniejszy!

I przeszedłem ową przestrzeń ruin, własność moją, tak ogromnie smutny, taką nocą obleczon, że byłem sam jako głaz zdatny do leżenia między głazami; jednak czułem, że to wszystko moje, żem niegdyś tę całą ziemię między Kapitolem i Koliseum przyswoił sobie, wziął w ducha w mego, w piersi moje, tylko że już dawno temu, bardzo dawno — i od tego czasu zdaje się umarłem«. (*Do Sołt.* 10-go grudnia 1838 r.). W tymże liście posyłał wiersze w Rzymie napisane, w których i wrażenie kampanii i wspomnienia pani Joanny splatały się razem (»*Jak anioł spadły... Italia drzemie*« — »*Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi...*«).

Z tą nieodstępującą go myślą o ukochanej, której śmierć przewidywał bliską (»Już palec Boga na tem czole leży«), dla której już grobowiec upatrywał przy Rzymu ruinach, »zakryty zewsząd bluszczem i głogami«, — wyjechał z ojcem w połowie grudnia do Neapolu. Tu doczekał się gorąco upragnionego listu E. Jaroszyńskiego z wiadomościami pani Bobrowej.

Przyjaciel starał się zapewne uniewinnić go, zmniejszyć odpowiedzialność wobec Boga i ludzi, wytłómaczyć go okolicznościami; ale Zygmunt Krasiński nieubłaganym był dla samego siebie sędzią.

W długim liście z d. 29 grudnia 1838 r. odbywał jakby generalną spowiedź swych win wobec pani Bobrowej, składał sam własny akt oskarżenia, nie dopuszczający jakichkolwiek okoliczności łagodzących:

»Wszystko, co mówisz, Edwardzie, może być prawdą *obiective*, ale nie jest dla mnie *subiective*. Trybunał mojego rozumu nie może się zebrać i wyroki głosić za mną tam, gdzie sam przewiniłem: on tylko umie mnie potępić i przebłagalnych domagać się ofiar. Ty nie wiesz, co to pamięć kochanej połączona z wyrzutami, co to jej głos cichy, we wnętrzu duszy szepczący; jak tylko ludzie zasną dokoła, a ty nie możesz zasnąć, bo i kochasz i lękasz się tego głosu zarazem i radbyś go zatrzymać, by przez wieki mówił do ciebie, i chciałbyś go odegnać, by pokoju ducha dostąpić... a potem, gdybym choć marzyć mógł, choć oszukać siebie, choć przypuszczać, że się coś dobrego i świętego ze mnie w niej zostało; — że ona uwierzyła światom ducha, które jej objawić pragnąłem: — ale nie — ja myślę i to mnie nęka, że ona w nadziejach zawiedziona, na szczęściu otruta — teraz przeklina mnie i złorzeczy wszystkiemu, czem ją natchnąć chciałem, czem przez czas jakiś natchniętą była: — i dlatego, że to natchnienie widomego kształtu nie przybrało, ona o jego idei samej źle trzyma; ona w goryczy serca zaprzecza moim myślom dlatego, że moje czyny im dorównać

nie mogły: — że moje indywiduum oddzielone od niej...

Mojej winy nikt względem niej ocenić nie zdoła, oprócz mnie samego: przez niesłychane walki dowiodłem ją wreszcie do nieszczęścia. — Ona przewidywała wszystko, co się stało, ona nigdy nie zapomniała o przyszłości, nigdy pokoju szczęścia nie widziałem w niej, nigdy nie wyglądała na *równą mi*, ale zawsze na moją ofiarę, poświęcającą się, ale z głęboką wiedzą, że się poświęca. Czyż nie było okrucieństwem walczyć z takim wyrazem jej twarzy, z takiem przekonaniem jej rozsądku, a nie zważać nań, czyż nie było najogromniejszem samolubstwem? Wiem i to, że namiętność ma swój świat własny, na który teraz zapatruję się z sfery mojego rozumu; a zatem wierzę wiarą nie swoją: to coś, które wtedy wrzało we mnie. Wiem i wiele innych rzeczy jeszcze, ale cóż mi to pomoże? Ją kochałem, a teraz ona smutna i cierpiąca; ona bez nadziei jakiejkolwiek przyszłości, będzie jej przekleństwem niezadługo, żyjącą każdego jej dnia torturą; to widmo, które mnie ściga. — Daj Boże, by się moje przeczucia o niej nie spełniły.

Niema tragedyj okropniejszych nad te, co się odbywają koło ognisk domowych: niby cicho, niby dobrze, zajrzysz do salonu, zgromadzona rodzina cała, na ich twarzach nie poznasz nic, wyjdziesz z dobrą myślą, westchniesz tęskniąc za podobnym spokojem i życiem; a ledwoś próg przestąpił, już oni z krzeseł się zerwali, z ich lica zeszła wszelka powszedniość i cisza; najdziksze, najbardziej jadowite kwasy pry-

skają im z oczów; rozdzierają się słowami gorzej, niż żelazem; jedni przeklinają drugich! Ale z takowych obrazów ten najstraszniejszy, w którym córka przeciwko matce powstaje: *apage, apage Satanas!*

Otóż kiedy podobne larwy mnie otoczą, i ścisną i dławią; kiedy widzę jej twarz bladą i coraz bledszą, i coraz oczy jej bardziej gasnące, i w oddali samotne łoże choroby, samotną śmierć i wyrzucającą matce dzieje przeszłości; miasto uderzyć ją nożem, — wymawiającą moje imię: a to imię odbija się tak żałobnie, tak kamiennie w sercu nieszczęśliwej, i ona sama może doda do niego przekleństwo, lub krzyknie: *„o! Boże! czemuś nasłał na mnie tego człowieka!“* Oh! wtedy, wtedy, wierz mi, piekło staje mi się zrozumiałem, jasnem, widomem, dotykalnem. Naprożnobym z niem się pasował. Ono nie zewnątrz, nie głęboko podemną, ale głęboko we mnie!« —

Zwolna zasuwała się w przeszłość niepowrotną ta nieszczęśliwa miłość, której błogie uniesień chwile okupili oboje ciężkiemi, długiemi cierpieniami. Zygmunt Krasiński, nawet z daleka, nawet wtedy, gdy na popiołach tej miłości zakwitło w sercu jego nowe uczucie, możniejsze, potężniejsze, zagłuszające blaskami swemi i wonią czarowną, smutne, zwikłane lat młodszych szały — nie przestał myśleć, pamiętać, czuwać nad biedną panią Joanną. Prosił przyjaciela, by mu o niej pisał, usprawiedliwiał jej kroki, dawał rady, jak z nią postępować, jak myśli jej odrywać od małości kobiecych, a ku dzieciom kierować i ku ostatecznemu celowi — ku Bogu! Rozstawał się z nią

w słowach prześlicznych, drżących od wzruszenia i pełnych nadziemskiego zaiste uczucia:

»Niech pamięta, że jeśli moje czyny były gwałtowne, popędliwe, to mój duch jednak zawsze pragnął objąć ją czystemi skrzydłami i unieść do nieba! Jak człowiek się w niej kochałem, ale zarazem kochałem ją jak dusza, i nie mogę wspomnieć o niej, żeby łzy mi ócz nie ćmiły — żeby serce mi nie zaczęło się lękać o nią! Niema we mnie żadnej zazdrości, ale dbam o jej godność więcej, niż o jej życie, dlatego właśnie, żem sam pierwszy tę jej godność nadwyrężył. Ja dla jej godności dzisiaj możebym własną poświęcił, kiedy za jej życie dałbym tylko moje życie! Edwardzie, to wszystko jej powiedz, a jak?... to twojemu sercu poruczam«.

V.

Twórczość.

Kto śledził bacznie koleje życia Zygmunta Krasińskiego od chwili wydania *Irydiona*, ten mógł z niepokojem pytać: czy człowiek tak schorowany, tak znękany nieszczęśliwą miłością, okropnem położeniem kraju, stosunkiem do ojca itd. mógł wogóle tworzyć; a jeśli tworzył, to czy płody takiego natchnienia w takich okolicznościach mogły być dorodne i okazałe? Dotychczas nie znano dokładnie tych okoliczności, widziano tylko skutki i dziwiono się im bardzo słusznie. Prof. Tarnowski, kiedy z kolei chronologicznej przychodzi do oceny utworów z tych lat, stwierdza z ubolewaniem pewne obniżenie się lotu poetyckiego:

»Logiczna jasność Krasińskiego — mówi — i pewność jego przekonań jest jakby przyćmiona i zachwiana, a sama zdolność artystyczna, sama twórczość poety, jak żeby osłabła«. Dziś, wobec tylu skarg i narzekań poety, rozumiemy doskonale, że inaczej być nie mogło.

»On jest w tej porze życia, w której wszystko pod zwątpieniem schnie i męczy się«. (*Do Gasz.* 116).

Przechodził lata ciężkiego przesilenia: religijnego, filozoficznego i estetycznego, a to na tle nieustających cierpień fizycznych. Taki okres był najniekorzystniejszy dla fantazyi twórczej. Rzec można, że najzdrowsze nawet ziarno pomysłu poetycznego nie mogło rozwinąć się w prostą i kształtną roślinę: albo usychała łodyga i w chorobliwej atmosferze opadały listki niedokończonych fragmentów, albo, gdy okoliczności zdawały się pomyślniejsze, zawiązywał się pączek, ale bez soków żywiących czerniał i nie zakwitał; albo wreszcie kwiat sam bywał nikły i bez woni.

Trzeba to wszystko mieć na uwadze, kiedy się czyta i ocenia *Wandę*, *Modlitewnik*, *Noc letnią*, *Pokusę*, a wreszcie *wiersze drobne* z tego okresu. Trzeba, na chwilę bodaj, zapomnieć, że już było po *Nieboskiej* i po *Irydionie* i do tych mniejszych utworów nie przykładać wielkiej miary tamtych arcydzieł. A wtedy na tle smutnych lat jego ówczesnego życia wydadzą się płody natchnienia w stosownej i naturalnej perspektywie. Twórczość jego szła linią falistą ku szczytom: po wzdętej fali natchnień *Nieboskiej* i *Irydiona* następowało zniżenie *Pokusy* i *Nocy Letniej*, wyższe przecież od poziomu *Agaj-Hana!* Pielgrzym, by dojść do upragnionego wierzchołka, musi przebyć niejeden szczyt i znowu zstąpić w dolinę, dzielącą go od następnego szczytu. Ale dolina, którą teraz przebywa, już jest znacznie wyższą od poprzedzającej.

Wspólną cechą rozbieranych tu utworów jest brak dokładnej daty ich powstania; nie mówimy oczywi-

ście o drobnych wierszach, które przesyłał poeta, zapewne w dni kilka po ich napisaniu, w listach do Gaszyńskiego i Sołtana. *Wanda* i *Modlitewnik* nie były ogłoszone za życia poety, *Noc Letnia* i *Pokusa* dopiero w lat kilka po ich napisaniu. Jeśli je tu razem oceniamy jako równocześnie powstałe utwory, to czynimy to na podstawie wewnętrznej krytyki tekstu w związku z dowodami ubocznemi, zaczerpniętemi z autografów; żadne bowiem nie dochowały się w korespondencyi poety bezpośrednie dowody co do czasu pisania tych poematów prozą. O *Nocy Letniej*, *Pokusie* i *Modlitewniku* głuche tam panuje milczenie; o *Wandzie* zaś lekko tylko napomyka poeta w liście do Gaszyńskiego, jako o hardzo wdzięcznym temacie.

Nie możemy wprawdzie wskazać dziś dni ani miesięcy, kiedy powstawały te utwory; ale rok da się z wszelką stanowczością oznaczyć: jest to r o k 1 8 3 7, wspólny wszystkim tym utworom. Autografy dostarczają pod tym względem niezawodnej wskazówki. Nie wyklucza to przypuszczenia, że p o m y s ł tego lub owego utworu mógł się zrodzić w głowie poety wcześniej. *Irydion* pod tym względem uczy nas ostrożności, skoro poczyna się w r. 1832, a wychodzi na świat w r. 1836. Ale pisanie, lub może częściowe przerabianie z dawniejszego, nie dochowanego brulionu, dokonywało się w ciągu r. 1837.

Kiedy poeta na początku czerwca 1837 r. zachwala *Wandy* myt, jako »przecudowny dla poety«, to ma już z pewnością jakąś część utworu napisaną (»Kilka

rzeczy on zaczął«); dowiadujemy się bowiem, że samo podanie historyczne miało mu tylko posłużyć za tło do przeprowadzenia głębszej historyozoficznej myśli: pod postacią mitu, którym poeta krępować nie chciał swej fantazyi, przedstawić zamierzał »wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemczyzną, a wolącej zawsze w przepaść skoczyć, niż jej się poddać«.

Ale podobnie, jak w *Irydionie*, dla myśli przewodniej, końcowej, nie poświęcił autor samej »powieści« i uposażył ją bogatą tkaniną dziejowych i archeologicznych szczegółów — tak teraz, przystępując do *Wandy*, chciał dać jej tło lechickie, zgodne z badaniami ówczesnej nauki i zadał sobie trud niemały zebrania rozproszonych wiadomości o mitologii słowiańskiej, obyczajach Niemców i Lechów, »nieochrzczonych Polan«. — Rozczytanie się w *Nibelungach* pozwalało na odtworzenie orszaku Rytygiera, Długosz i Naruszewicz mieli dopomóc fantazyi, zaludniającej starą »Lechią«.

Utwór, jak z treści wnosić wolno, składać się miał co najmniej z czterech części. Tylko pierwszą mamy w całości; z drugiej tylko pierwszą scenę i plan następnych; z trzeciej tylko plan. Ale całości domyślać się możemy z dochowanych fragmentów.

Ziemowit, starszy syn Krakusa, przeklęty przez ojca za to, że w gniewie zabił młodszego brata Leszka, ucieka z »Lechii«, tuła się po świecie lata całe; tymczasem Krakus umiera, a Wanda, córka jego, panuje »Polanom«. Chciwy władzy Ziemowit (w przebraniu zwie się *Hamder*) wkrada się w łaski księcia nie-

mieckiego Rytygiera i naprowadza go na kraj własny, na »ziemię obiecaną, rumianą jagodę, by (Niemcy) ją gnietli żelaznemi stopy« — W drugiej scenie pierwszej części spotykają się Niemcy z ludem lechickim przy granicznym kopcu. Biskup nawrócić pragnie ten lud pogański i zwraca się do wojewodów, głosząc im »dobrą nowinę«. Rozmowa jego z Żelisławem, najstarszym z wojewodów nie doprowadza do porozumienia. Biskup odwoływa się do ludu. Nadjeżdża Wanda i zapytuje synów Słowian, czy chcą być chrześcijanami. Lud odpowiada, że nie. Rytygier grozi zemstą, ale na widok piękności Wandy słabnie. Ziemowit przemawia do siostry, otrzymując w odpowiedzi wypowiedzenie wojny Niemcom i przekleństwo ludu całego. Ziemowit przeciąga na swą stronę wojewodę Brzetysława nadzieją zwrócenia się kiedyś przeciw Niemcom i obietnicą wywyższenia go do godności jedynego wojewody. — W części drugiej (według planu, naszkicowanego tylko, nie rozwiniętego w sceny) Rytygier w przebraniu przybywa do jaskini smoka, gdzie Wanda obraduje z wojewodami, a odrzuciwszy rękę Hardymira, pragnącego się z nią ożenić, poświęca się na dziewicę bogini Wisły. (Poeta pozwala się domyślać, że piękny Rytygier zdobył serce Wandy, która z obawy przed samą sobą poświęca się na dziewicę-kapłankę, byle nie ulec miłości dla Niemca).

W części trzeciej miała być rozstrzygająca bitwa, zakończona pogromem Polan. Niemcy i Ziemowit zwyciężają. Rytygier i Ziemowit wydają wyrok śmierci na starca Żelisława.

W części czwartej, domyślnej tylko, miały być zapewne starania Rytygiera o rękę Wandy, jej odmowa, w następstwie samobójstwo Rytygiera, popełnione w szaleństwie i śmierć Ziemowita »zawczesna«: oba zgony, przepowiedziane w części pierwszej przez Ludgarda. — Samobójstwo Wandy.

Już zewnętrzny podział na »części«, nie na akty, dowodzi, że poeta nie zamierzał pisać właściwie dramatu, ale chciał dać, podobnie jak w *Irydionie*, udramatyzowaną powieść. Występują w niej, także jak w *Irydionie*, chóry, wygłaszające nieraz zaledwie jedno zdanie. Mamy w *Wandzie* bardzo wyraźny zamiar przeciwstawienia pogańskich Lechitów chrześcijańskim Niemcom, przyczem Polanie scharakteryzowani są jako silny, dobroduszny naród, któremu własna kultura i własne bóstwa w zupełności do szczęścia wystarczają. Wątek historyczny przejęty jest z Naruszewicza, a uzupełniony rozczytywaniem się w Kadłubku i Długoszu. Pierwsza pobudka do napisania utworu mogła wyjść z »Historyi« Naruszewicza. Nowe jej wydanie (Bobrowicza) wyszło właśnie w Lipsku w r. 1836. Czytamy tam (w t. III, str. 97 i n.): »Historya o tej królowej byłaby piękną nader do bajecznego jakiego romansu, albo do tragedyi materyą, gdyby od kogo innego, nie od Kadłubka, była utworzoną...« Ten kronikarz jednak pod niejednym względem więcej powiedział Krasińskiemu, niż blade wywody Naruszewicza, który np. krótko tylko w historyi swej zaznaczył: »Kadłubek wspomina o piękności tej damy«. Z tekstu Kadłubka patrzmy, co zrobił poeta; wyczytał tam tylko,

że Wanda była *elegantis formae* i że *hostium atrocissimi ad eius mansuescebant aspectum.* — A w *Wandzie*: gdy odrzuciła zasłonę i Rytygier spojrzał na nią, z zachwytu tchu mu brakło pod szyszakiem, »poległ od jednego jej spojrzenia«, on, co »dotąd na żadną nie spojrzał niewiastę«. W przemowach Wandy znać nadto charakterystykę Długosza, który mówi o niej, że »zdumiewała radą i obrotnością«. »Lud zwie ją »Krasopani nasza«, a więc za bóstwo niemal ją uważa«. (Naruszewicz, *Krasopani:* »sławna ta bogini Morawców«). W każdym zwrocie mowy i przenośni znać wielką staranność poety, aby archaizować. Mamu tu zatem Marzannę, Ładę, Flinsa, Lela, Potrympa, Okkopirna, Jessena itd. (Ob. objaśnienia T. Piniego, t. I, str. 379—383).

Niewiadomo, jakby był poeta całość wygładził i zharmonizował. Dochowany fragment uważać należy za rzut pierwszy myśli niewykończonej. Wiemy już z listów jego do ojca, że ciągle zagłębiał się w epokę mglistą pierwszych dziejów Polski, że czynił w Wiedniu jakieś wypisy, prosił ojca o Maciejowskiego i Narbuta. Dalsze koleje życia jego sprawiły, że *Wandy* nie ukończył; być także może, iż przekonał się o sprzeczności i nielogiczności różnych podań i wierzeń pseudomitycznych. W końcu i samo pojęcie doniosłości wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski nie mogło go potem zadowolić, a do przerabiania podstaw nie miał już ochoty. Usposobienie sceptyczne, któremu w latach 1835—1837 hołdował, odbiło się niekorzystnie na samem pojęciu doniosłości chrześcijaństwa. Biskupa spór ze starym Żelisławem jest

pod tym względem bardzo znamienny. Hamder (Ziemowit), którego postać najwidoczniej obmyślił poeta bardzo starannie i szczegółowo ją scharakteryzował, jest, jak na syna Kraka, zanadto sceptyczny i pod tym względem syn pogańskiej Lechii nie ustępuje rówieśnikom Byrona i Musseta: »Przez co mam przysiądz? — pyta Brzetysława — zbiegłem ziemię od zachodu na wschód, a żadnych imion świętych ni kochanych niema dla mnie na niej« Za nic sobie ma bożka »starego Okkopirna«, a gdy poganin Brzetysław lęka się wziąć krzyż do ręki, drwi z niego Hamder: »to *drewno* i toczne kamienie — *nic więcej!*« — Postać ta przeczy całej »historycznej« prawdzie danej epoki. Brat Wandy, jakiekolwiek było jego miano, jeśli wogóle miał być utrzymany w »tonie« epoki, jeśli mu wogóle zależało na tronie i władzy, nie mógł być tak strawiony zupełnem zwątpieniem; bo wówczas mógł śmiało mówić: »wszystko mi niczem«, skoro rzuciwszy krzyż razem z pierścieniem Peruna, drwił na głos: »Teraz leżcie pospołu! — Cha, cha, cha! Oni leżą obok siebie w zgodzie i milczeniu, a za trzy dni o nich bić się będziem«. Jest to zbyt silny dyssonans na owe wieki, w których pięści stanowczo silniejsze były od głów i od treści mózgów.

Poeta, który równocześnie kreślił pod wpływem *Nibelungów* wstrętne obyczaje dzikich Germanów [»u stóp Hakona kałuża krwi była i kosy rozplecione pływały w niej czarne...« Rytygier pije zdrowie Biskupa(!) z *czaszki* Hakona] — a wśród łagodnych Lechitów kazał powstawać byronicznemu Zie-

mowitowi, co przebiegł świat cały z północy aż tam, kędy żyją ludzie, »jak noc czarni« — poeta ulegał zachciankom gorączkowej fantazyi i tworzył, jak mu przypływ lub odpływ sił fizycznych tworzyć pozwalał; ale o *Wandzie* właśnie można powiedzieć z poetą samym: »to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem«. Zanosiło się na rzecz piękną i wielką, obmyślaną nawet w takich szczegółach, jak wyrazy gwary góralskiej; ale natchnienie zawiodło, albo raczej, mówiąc słowami poety, »schło pod zwątpieniem«.

Ślady tego zwątpienia i przygnębienia znać nawet tam, gdzieby ich z natury rzeczy samej nie należało oczekiwać: w *Modlitewniku* pani Bobrowej; wydał go prof. T. Korzon p. t. »Myśli Pobożne Z. Krasińskiego«. (Wyd. Biblioteki Ordyn. Zamoyskiej, z podobiznami okładki i kartki rękopisu. Warszawa 1899). Jest to zbiór modlitw przygodnych (»za umarłych«, »do N-tszey Panny«, »za dzieci«, »za siebie«, »podczas mszy« itd.), napisanych przez poetę różnymi czasami, w pięknie oprawionej książeczce, której połowa ma czyste kartki. Według wszelkiego prawdopodobieństwa modlitwy te wpisywane były w czasie smutnego spotykania się w Kissingen (sierpień 1837), kiedy-to Pani Bobrowa najwięcej potrzebowała religijnej pociechy i moralnej otuchy. Poeta poczuwał się do obowiązku zostawienia takiej właśnie pamiątki po sobie, któraby znękanej i samotnej kobiecie przypominała znikomość spraw i stosunków doczesnych, a myśli jej kierowała ku wieczności. Przytem ciągle jeszcze oddawał się on złudzeniu, że *Trenta Tre*

przepowiedziały prawdę i że pani Joanna niebawem świat ten pożegna. Dlatego jako przygotowanie do tego przedwczesnego zgonu mamy w *Modlitewniku* osobną i osobliwą dla kobiety modlitwę, »żeby umrzeć młodą«.

Gdyby Krasiński pisał był modlitwy te dla samego siebie, w czasach gorącej wiary, pod wpływem istotnej potrzeby serca, mielibyśmy rzecz wzniosłą i wspaniałą, może hymny uniesienia ku Bogu. Tworząc je dla kochanej a cierpiącej osoby, której serce zranił, zmuszony był stosować się przedewszystkiem do jej potrzeb duchowych, jej nawyknień (»przebudziwszy się w nocy«), jej obaw i zwątpień. Za czem poszło, że nie mamy tu wylewu szczerego i naturalnego duszy rozkochanej w Bogu, ale raczej wyrozumowane uczucie. Jest tu sporo argumentów *ad feminam* i to zastosowanych wprost do położenia wyjątkowego pani Bobrowej (*Litania*). Jest tam niemało słów, obrażających uczucie pokory chrześcijańskiej. W modlitwie do Najśw. Panny czytamy zdania, trącące bluźnierstwem (Każda z niewiast kocha, *jako ty kochałaś* i miłość swoją przebitą, umierającą widzi...) albo zwątpieniem (»Głos nasz szczytów nie dochodzi krzyża«). »Modlitwa w chwili zwątpienia« ma bardzo dużo, za dużo, rysów psychologicznych z żywego wzoru branych, a przeto zbyt osobistych i dziś nas rażących:

»Tulę się w zwoje płaszcza mego i nie mogę zasnąć. Czoło wciskam w wezgłowie, by nic nie widzieć, nic nie słyszeć: a nie mogę zapomnieć. Kroki ludzi dolegają mi...

O Panie, Panie, kiedy szaleństwo rozum mój rozdziera, ja bluźnię Tobie. — Kiedy wśród nocy drżę wszystkiemi członkami przed wrogiem Twoim, ja bluźnię Tobie...«

To oczywiście nie są »myśli pobożne«, ale zwierzenia duszy dręczonej, spowiedź bolesna i przejmująca.

Modlitewnik ma wielkie zalety stylu obrazowego i wytwornego, ale na ogół biorąc, jest raczej zbiorem rozmyślań bardzo osobistych. Godzien jest jednak uwagi ze względu na poczynający się tu nowy nastrój filozoficzny, który kiedyś wyda z chaosu marzeń religijnych kryształki zasad i przekonań poety. W historyi rozwoju filozoficznych idei Z. Krasińskiego jest *Modlitewnik* ważnem ogniwem, zapowiadającem już *Myśli Ligenzy*. Oto np. ważniejsze i godne spamiętania myśli *Modlitewnika:*

»Wszak ja myślą Twoją serdeczną, którąś ukochał przed laty... Gwiazdy i ślepe skały i martwe siły natury poczęły się w rozumie Twoim, w konieczności mądrości Twojej — ale ja poczęłam się w sercu Twoim, na chwilę znikomą oderwałam się od niego... Mnie dałeś *być przez siebie samą*... poczuwam się, że jestem częścią Twoją i sobą zarazem... — Umrzeć nie mogę — przemienię się, przeobrażę się. I gdzież nadal będzie życie moje? — Światło Twoje jest we mnie. Urodziłam się u Ciebie. Tyś czuł mnie w Sobie, nim sama zaczęłam czuć siebie i wierzyć Tobie.

Kto między nami nicość wydrąży? Kto uczyni, bym już nie była myślą Twoją, bym nie wróciła do Ciebie?

Od chwili, w której wyszłam z Ciebie, nieśmiertelna jestem. — Niosę Duch Twój w sercu mojem, *jak Marya nosiła Jezusa (!)*

Duch Twój w sercu mojem wytrzymuje mękę, obraz męki Jezusa.

...objawiłeś się mężom, obiecałeś im pocieszyciela, Ducha świętości... I ten Duch święty w nas jest, o Panie!

Bo my ni ciałem, ni Duchem czystym: my zgodą ciała i Ducha — my żyjącą miłością tych dwóch połów stworzenia, tych dwóch części wiekuistej myśli Twojej!... Z głębin nieskończoności wyszedłeś, opisałeś się w kształt, bo żal Ci było tej nieszczęśliwej, tej cierpiącej materyi — przybrałeś ją, Panie, za córę swoją i ona nieśmiertelną się stała w obliczu Ojca Twojego...«

Te myśli filozoficzne należy oceniać w związku z późniejszemi ideami o ewolucyi przyrody ku Bogu. Na tem miejscu zaznaczamy tylko, że już one nurtują w jego duszy, że już pracują w nim i dążą do przyobleczenia się w stosowną formę. I dlatego *Modlitewnik* ma swoje, skromne wprawdzie, ale trwałe znaczenie w rozwoju myśli filozoficznej poety.

Dziwna zagadkowość, umyślne zaciemnienie treści cechuje dwa niewielkie utwory Krasińskiego: *Noc Letnią* i *Pokusę*. Poeta jest wtedy nietylko na przełęczy swych filozoficznych idei; także styl przeobraża się zwolna w tych właśnie latach.

Wanda ma jeszcze w dyalogach sporo sposobów argumentowania i zbijania zarzutów, przypominających nam *Irydiona;* znajdziemy także w *Modlitewniku*

niejeden zwrot żywcem z *Irydyona* przeniesiony (»miłość swoją *przebiłą*, *umierającą* widzi«; — »aleś potępionych nie pomyślał nigdy«; — »myśli serdeczna... wysłuchaj mnie« itp.). Ale od pierwszych okresów *Nocy Letniej* czujemy wyraźnie, że metal słowa dźwięczy jakoś inaczej, jakby przytłumiony, a równocześnie jednostajnie ponury, jakiś zgnębiony i nas gnębiący. Styl tu się widocznie nastraja do żałobnej treści; treść zaś sama spowija się w obsłony tajemniczości zagadkowe.

Prof. Tarnowski objaśnia styl ten i zamiłowanie w niejasnej treści wpływem szkodliwym z jednej strony maniery Jean Paula, z drugiej zaś lichego, trzeciorzędnego romantyzmu, który znakomicie w dziele swem scharakteryzował: »Przerzuca się kartki, przebywa się z pospiechem nagromadzone massy przyborów i dekoracyj, katedr, krużganków, galeryj, schodów, sal, stawów, illuminacyj, chce się pod tem wszystkiem domacać myśli autora i jego zamiaru i w końcu z niesmakiem i zniechęceniem odkłada się na bok książkę, przeładowaną ozdobami i efektami stylu, szumną i pompatyczną w tonie, umyślnie zaciemnioną w treści, a niezrozumiałą w znaczeniu. Trzeba komentarza, trzeba odsyłacza; trzeba jakiejś nici Aryadny, któraby pomogła znaleźć drogę przez ten labirynt dekoracyi«. — Zupełnie uznajemy słuszność powyższych estetycznych zarzutów. Poetę usprawiedliwia jednak tak w *Nocy Letniej* jak w *Pokusie* jeden bardzo ważny wzgląd, dziś zapomniany, a dla niego stanowczo rozstrzygający: obawa przed wyśledzeniem autora i wielką w takim razie odpowiedzial-

nością Jenerała. Jeśli przypomniny sobie, jak uroczyście i stanowczo wypiera się Krasiński umyślnie w listach do ojca autorstwa *Irydiona*, jak jest niezadowolony z Reeva, że się z nazwiskiem autora wygadał, jak po latach zasłaniać się będzie Gaszyńskim i Kożmianem na tytułach swych poematów: — jeśli zważymy, że i *Noc Letnia* i *Pokusa* zawierały (jak niebawem zobaczymy) sporo treści, mogącej obarczyć syna Jenerała Krasińskiego złą notą policyi rossyjskiej — to zrozumiemy, dlaczego tak skrzętnie zagrzebywał on w »labiryncie dekoracyi« myśl głębszą swych obu utworów.

Przedewszystkiem zaznaczmy, że ani wyjątek naczelny z »Antygony«, ani Przedmowa wierszem (datowana z Varenny) nie należały do pierwotnego autografu z r. 1837 i że są tam później doszyte.

Treść *Nocy Letniej*, po usunięciu wszelkich ozdób i dekoracyj, przedstawia się dość ubogo. Jedyną córkę możny jakiś magnat wydaje za księcia z obcego rodu, poświęcając dziecko swe »marze wielkości i panowania«. Ona, czyni z siebie ofiarę, by ojcu nie skracać życia, ale oddaje tylko swą rękę niecierpianemu księciu; serce należy oddawna do bliskiego krewnego, stryjecznego brata, do »buntownika«, wygnańca, który nie chciał upokorzyć się przed królem *południowym*, co kraj jego najechał. W chwili ślubu wygnaniec jest w kościele, w ukryciu. W noc tę ślubną, *noc letnią*, zakrada się »buntownik« do zamku ukochanej, pragnie ją uprowadzić w góry do wiernych mu rodaków. W stanowczej chwili »pan młody« wpada do komnaty, ale »brat« zabija »siostrę« i siebie. Ojciec

panny młodej w przystępie nagłego obłąkania z rozpaczy topi się w jeziorze a »obce książę zagrabił zamek starożytny cnego imienia«. —

Od bliskich poecie osób dowiedział się Prof. Tarnowski, że w tej powieści niema alegoryi, ale jest myśl patryotyczna: »Powieść tę natchnął poecie widok młodych Polek, wychodzących za mąż za Rossyan, mniej lub więcej z rozkazu rodziców; pomiędzy rokiem 1830 a 1840 zaszło podobno takich wypadków kilka. Krasiński uczuł żywo w swojem sercu szlachetnem, ile cierpieć musiała taka młoda dziewczyna, skazana na zmianę ojczyzny i t. d.« (l. c. 324). Wykazawszy dalej, że w tak objaśnionej *Nocy Letniej* »jest przystosowanie, jest moralna nauka« dla Polaków, którzy dzieci swoje do związków takich skłaniali, albo zmuszali — czuje Prof. Tarnowski, że zagadka jest tylko na pół rozwiązana i że pozostaje zawsze jeszcze pewna tajemniczość. »Czy *Noc Letnia* — mówi dalej — wypłynęła tylko z takiego ściśle objektywnego współczucia dla młodych Polek poświęconych Rossyanom i objektywnego oburzenia na rodziców. którzy je poświęcali — czy jakiś przypadek tego rodzaju n i e o b c h o d z i ł b l i ż e j p o e t y s a m e g o?« — List Słowackiego, który zaraz potem przytacza Prof. Tarnowski, zbił krytyka z dobrego tropu; odnosi się on najwyraźniej nie do *Nocy Letniej*, ale do stosunku poety z Panią Bobrową. Lecz zapytanie samo było bardzo słusznie postawione. Postaramy się teraz na nie odpowiedzieć.

Nim to uczynimy, wydzielmy przedewszystkiem z *Nocy Letniej* to wszystko, co jest w niej osobiste

Jak w hr. Henryku i Irydyonie odszukać łatwo rysy indywidualne samego poety, zmienione przezeń i zastosowane do celów i potrzeb *Nieboskiej* i *Irydyona*, tak i w *Nocy Letniej* kochanek biednej ofiary ambicyi rodowej, ów »buntownik«, walczący z »królem południowym«, ma niejeden rys duchowego podobieństwa z poetą, a stosunek kochanka do panny młodej przypomina miejscami zbyt żywo miłość niefortunną dla Pani Joanny. Już to samo byłoby poważną wskazówką dla chronologicznego oznaczenia *„Nocy Letniej“*. Pisał ją poeta pod świeżem wrażeniem bolesnych przejść własnych, gniewu ojca, niemożliwości ożenienia się z Panią Bobrową. Kto wie, czy ustępy, które zaraz przytoczymy, nie miały właśnie przynieść poetycznej osłody dla nieszczęśliwej Pani Joanny. Prawda kryła się tu pod zmyśleniem, niedostępna dla ogółu; ale czuła słuchaczka miała w duszy swej dośpiewać treść pełną...

Przymusowa bezczynność Z. Krasińskiego w wojnie r. 1831-go była przez długie lata zmorą ciążącą mu na piersiach. Tego jednego może zazdrościł — on, co zawiści żadnej nie znał — przyjaciołom swoim: Stanisławowi Krasińskiemu, Konstantemu Gaszyńskiemu, Danielewiczowi, — że się bili w r. 1831! Wiemy jaka rozpacz z tego powodu przepełnia listy do ojca i do Reeva; w późniejszych latach, jak widzieliśmy, nieraz ponowna fala tej tęsknoty do niepowrotnych pól Grochowa i Wawru rozsadzała mu piersi i łzą mroczyła oczy. Gdy rzeczywistość go zawiodła, pociechy szukał w rojeniach poetycznych, wyobrażał sobie, jakim mógł był być, co mógłby był zdziałać. Jednem z takich

rojeń jest »brat« oblubienicy z *Nocy Letniej*, ów buntownik w niezgodzie z »królem południowym«. Nie dziwmy się, że ma on zbyt romantyczne pozy w kościele podczas ślubu państwa młodych, że potem wyciąga sztylet z pod płaszcza i ostrzy go »na zgrzytającym kamieniu« kościelnym — to koloryt modny wówczas, to mimowolne echo podobnej sceny w *Wacławie* Garczyńskiego. Ale z chwilą, gdy człowiek ten działać poczyna na ojców swych ziemi, poeta ożywia go własnemi wspomnieniami, stawia go »*wśród trzech wzgórzów* łagodnej pochyłości« i ztamtąd przemawia za niego i za siebie do powstańców, jako niedoszły wódz, przekazujący »ostatnie swe słowa«, »prawdę starą«. Nie żądamy od słów tych zupełnej jasności, poeta lęka się autorstwa, by nie stało się jawnem. Ale rozumiemy przecież dobrze kogo ma na myśli, gdy mówi o ojcach zasiedziałych od lat tysiąca na swej ziemi, jak »pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy«, a »Wolność była ich udziałem«. Rozumiemy, co to za »król południowy z służalców tłumami«, różny wiarą i mową, który »nituje nas z sobą ogniem i żelazem!« Pojmujemy wreszcie i tę odezwę do emigracyi naszej: »Teraz właśnie, gdyście z tułaczy na groźne męże wyrośli, łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich — złote góry. Ich dary: marne garści błota«. Młodzieniec — wódz zginąć postanowił wraz z ukochaną, a gdy oddany mu i wierny hufiec powstańczy chce go powstrzymać od rozpaczliwego kroku i obiecuje mu zdobyć zamek i porwać oblubienicę, wódz zatrzymuje ich stanowczemi słowy,

które znowu dźwięczą dla nas osobistym, synowskim bolem poety: »starca śpiącego w komnatach przodków moich nie przebudzi szczęk szabel waszych. Wzrosłem pod cieniem jego ręki. *On pierwszy usta moje nauczył imienia Ojczyzny.* On pierwszy serce moje zapoznał z chucią bitew«...

Kochanek przez łąki i wzgórza i »rozłomy« dotarł do zamku »naddziadów« i przez krużganki doszedł do »baszty zachodniej«, wreszcie do komnaty, kędy oblubienica przeczuwa jego przybycie. Zachwytom obojga, ich wyrzekaniom i smutnej, bo przedzgonnej radości poeta znowu własnych użyczył ogni, własnym je tchem ożywił. »Nie tworzył prawie nic, lecz przypominał« słowa Pani Joanny i własne skargi. Tu narzekania oblubienicy i łagodne wymówki są właściwie jego usprawiedliwieniem; tu oblubienicy słowami sam poeta za siebie do Pani Joanny mówi:

»Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! Kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nierozumiesz mnie! czy ty wątpisz jeszcze o mnie! Ah! ojciec przyszedł i błagał! ty wiesz, jak twardym głosem rozkazować umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przekleństwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecię, że go strąca do grobu«...

To ze stosunku do ojca, a teraz z tej fatalnej sytuacyi wobec kobiety zamężnej:

»To słowo *żona* spadło z jej ust jak kamień na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od

klątwy kościoła, bo co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże«... A teraz jej wyrzekania: »Co zamyślasz? gdzie gonisz niewierny? Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić? jedno wykraść i zhańbić mnie chciałeś? O! nie zdradzaj! o, nie opuszczaj!... pchnij mnie w serce, wyrwij mnie potworowi«. I w obłąkaniu wyciągnęła ręce, jakby straszne widmo odepchnąć chciała«...

A kiedy w rozpaczliwem uniesieniu samobójstwem chciał skrócić swe męczarnie, wtedy znowu ona żyć mu nakazywała: »Nie!... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu. Ja w czyścu czekać będę na ciebie cierpliwa i tęskna«. Ale poeta wymawiał się i wypraszał od życia takiego. Spełnił już swoje: »Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu«. Naród rusza się do walki. »Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li, czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy?«

Tak-to rzeczywistość smutna, zawsze w pamięci i w sercu przytomna, sączyła krople goryczy do rojeń *Nocy Letniej*. O niej pamiętać i ją wydzielić trzeba było z góry; teraz do właściwej, zagadkowej treści utworu przystąpić już można.

Wiemy, że *Noc Letnią* uważać mamy jako wyraz głębokiego współczucia dla młodych Polek, skazanych na małżeństwo z Rossyanami. »Czy jakiś przypadek tego rodzaju nie obchodził bliżej poety samego?« zapytuje Prof. Tarnowski, ale nie daje odpowiedzi.—

Otóż wśród małżeństw mięszanych w świecie arystokratycznym najgłośniejszym w owych latach było wydanie księżniczki Stefanii Radziwiłłówny za księ-

cia Ludwika Sayn-Wittgensteina. Ojciec księżniczki. Dominik Radziwiłł, wystawił własnym kosztem ósmy pułk kawaleryi poiskiej w1812 roku, a w październiku t. r. mianowany był majorem w pułku szwoleżerów Gwardyi Cesarza Napoleona, na czele którego stał Jenerał Wincenty hr. Krasiński; służył tu Dominik Radziwiłł jako major i odznaczył się niezwykłą walecznością. Zmarł w Lautreck 11 listopada 1813 r. skutkiem ran odniesionych w bitwie pod Hanau. Wdowa po nim wyszła za rossyanina, hr. Czernyszewa. — Jedyną córką Dominika Radziwiłła, księżniczką Stefanią zaopiekował się nie kto inny tylko sam Mikołaj I. Umieścił ją w Smolnym Monastyrze. Był zamiar wydania jej za syna księcia Antoniego Radziwiłła, Namiestnika W. Ks. Poznańskiego. Młody książę Ferdynand przyjechał do Petersburga, podobał się pannie, zaręczył się z nią, ale zachorował tam i umarł w r. 1827. Księżniczka opłakiwała bardzo zgon narzeczonego. — Na jednym z balów dworskich Mikołaj przedstawił księżniczce Stefanii syna swego feldmarszałka, młodego i bardzo przystojnego księcia Ludwika Sayn-Wittgensteina. Przy bardzo usilnych zabiegach Cesarzowej, za zgodą opiekunów księżniczki, których Wittgenstein ujął piękną francuzczyzną i wyszukaną grzecznością, oddała »obcemu księciu« Stefania Radziwiłłówna swą rękę (d. 14 kwietnia 1828 roku), wnosząc w posagu olbrzymie dobra allodyalne Radziwiłłowskie (Słucczyznę, Mir, Korelicze, Naliboki itd, itd.) przedstawiające przeszło milion hektarów litewskiej ziemi, która wyszła tym sposobem na zawsze z rąk polskich. Był to fakt głośny w całej Polsce.

Zygmunt Krasiński, po matce krwią z Radziwiłłami związany, musiał wiedzieć od ojca o tem nieszczęsnem zdarzeniu. Jenerał Krasiński, który z pietyzmem pamięć księcia Dominika przechowywał, który serce jego pochować kazał w Krasnem (w r. 1816) a włosy zmarłego wraz z wojskowymi jego papierami w czci miał u siebie, nieraz zapewne opowiadał synowi o księżniczce Stefanii i smutnych jej losach.

Czy Zygmunt Krasiński znał księżniczkę, czy mógł być istotnie na jej ślubie w r. 1828 (»Widziałem ją, kiedy ją wiedli«...), nie potrafię o tem dziś nic pewnego powiedzieć. — Gdy w sierpniu 1832 r. wrócił do Polski dowiedział się o śmierci księżnej Stefanii († 26 lipca 1832). W zimie r. 1832/33 mógł przyszły autor *Nocy Letniej* widzieć w Petersburgu młodego wdowca, księcia Wittgensteina, który w półtora roku potem stanął znowu na ślubnym kobiercu z księżniczką Bariatyńską. Że go poeta widział, wnoszę z bardzo żywego opisu jego postaci w *Nocy Letniej:* (»rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, *dzwoniąc o marmury* posuwistymi kroki,... potrząsając *płowych* pukle włosów,... *piękny* krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy« itd.).

Ale pora dokładniej przypatrzyć się tekstowi i zbadać, czy istotnie przypuszczenie nasze znajduje poparcie w słowach utworu, czy nie jest mylnem? Gdzie dowód, że chodziło właśnie o *Radziwiłłównę?* Otóż mamy dowód nie jeden, ale kilka, wszystkie zaś są z sobą zgodne i wzajem się wspierające. Przedewszystkiem zauważmy, że »starzec«, ojciec jedynaczki,

jest oczywiście zmyśleniem poetyckiem, skoro książe Dominik poległ śmiercią walecznych na lat piętnaście przed ślubem swej »jedynaczki«. Ten »starzec« jest tu raczej symboliczny, jako ogólna przestroga dla innych ojców, jest bez cech indywidualnych, a w wykonaniu trochę szablonowo-romantyczny. Ale jego wizya jest już dla nas bardzo ważna, bo daje klucz zagadki. W oburzeniu, po niewczasie, zrozumiał starzec straszną pomyłkę ambicyi rodowej, przeklina króla »*południowego*« i zięcia w śnie gorączkowym:

»Precz mi stąd, książe przybyłe z obcej ziemicy! Przodki moje! powstańcie z grobów! otoczcie go rzędem. Czarny Hetmanie, wytrąć mu puhar z dłoni, ty Kardynale rzymski wymów nad nim klątwę rozwodu!« — W tych słowach bardzo przejrzysta kryje się alluzya do Radziwiłłów. Mikołaj IV Radziwiłł, zwany Czarnym, założyciel świetności i potęgi majątkowej rodu, nie był wprawdzie Hetmanem, tylko Kanclerzem W. Ks. Litewskiego, ale jest to łatwą do wybaczenia pomyłką poety, skoro tylu było hetmanów Radziwiłłów. Syn *„Czarnego“*, Jerzy, Biskup wileński, w końcu krakowski, był kardynałem i jego ma tu na myśli poeta. Od innych trzech synów Mikołaja »Czarnego« wzięły początek trzy słynne ordynacye.

Że w końcu poeta doskonale rozumiał doniosłość narodowej klęski takiego małżeństwa, które ubożyło Litwę i oddawało olbrzymie przestrzenie kraju w obce ręce, o tem świadczą kilkakrotne wzmianki *Nocy Letniej:*

»Ona, śliczniejsza od Aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem... matki nie znaleźć, któraby jej niezazdrościła, młodzieńca, któryby mu nie złorzeczył«. — »Pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów niema w całej ziemi naszej...

«Tak *obce książe* zagrabił zamek starożytnego imienia... A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem«.

Wszystko, co tylko mógł, wypowiedział ostrożny autor w tych słowach bardzo mglistych, dając przecież cierpliwemu i uważnemu czytelnikowi możność wniknięcia w myśl główną.

Jeśli zastanowimy się jeszcze nad stylem *Nocy Letniej*, to wypadnie nam stwierdzić dziwną jego niejednolitość«. Obok wyraźnego wpływu stylu biblijnego (nadużywanie łącznika *i:* »I w jej kibici coś znękanego... I w jej źrenicach... I z jej ust... t. II, str. 5. — »I do owego człowieka zbliżył się mnich... II, 8) mamy także echa warszawskiej jego maniery (»pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią, tam stawało się pusto(!) str. 18. — »Śmiejcie się malowne chmury wyobraźni« 23 itp.), a w końcu zaczynający się, bardzo znamienny i charakterystyczay wpływ obrazów i porównań Jean-Paula. (»A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy.

Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach« itd. str. 35).

Styl jest tu wiernem odbiciem duszy poety, ulegającej w owym czasie zmiennym, gorączkowym nastrojom. Nie krępując się szczegółami i mając tylko to na uwadze, aby w dekoracyach i krajobrazach wątek prawdziwego małżeństwa przed ogółem czytających ukryć — a tylko świadomszym dać przecie w tym labiryncie jakąś Ariadny nitkę — snuł swobodnie fantastyczne obrazy *Nocy Letniej* i wplatał dowolnie własne swe i Pani Joanny smutki do żałobnego wieńca oblubienicy książęcej.

Nastrojem i stylem wiąże się bardzo silnie z *Nocą Letnią Poknsa*. Nuta patryotyczna rozbrzmiewa tu silniej i wyraźniej, a jednak tak zgrabnie jest przeprowadzona, że nawet w owe czasy do kraju przedostać się potraliła (Wilno, 1850). *Noc Letnia* zwracała się z przestrogą ku Polkom, by nie wychodziły za ludzi obcej wiary i mowy. *Pokusa* zaś ostrzegała młodych Polaków przed ponętami króla »południowego«, przed ułudą jego potęgi i przepychu. Utwór ten napisany w Wiedniu, prawdopodobnie w zimie 1837/8, miał na celu wzgląd ważny: przestrogę dla bardzo młodego wówczas Adama Potockiego, który w interesach majątkowych wybierał się po raz pierwszy do Petersburga. — (*Małachowski*, krótki rys... str. 6. *Tarnowski* l. c. 335, nota). — Zygmunt Krasiński otaczał go wielką przyjaźnią i serdeczną życzliwością; bardzo dbał o to, aby młodziutki jego przyjaciel nie dał się obałamucić pokusom stolicy północnej. Pamiętał przez jakie sam w r. 1833 przechodził tam

udręczenia, jak wabne zastawiano nań sieci — i doświadczenia własne ujął w krótką i fantastyczną *Pokusę*, gdzie znowu jak w *Nocy Letniej* zmyślenia więcej niż prawdy, ale prawda, bądź co bądź, moralna wogóle i polska w szczególności, jest tam dobitnie i stanowczo zaznaczona.

Najciekawsze dla nas są oczywiście wspomnienia osobiste ówczesnego Petersburga: »Miasto ogromne, dziwne, jednostajne i wybielone; naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży«. Opis sfer urzędowych i wojskowych niema tu oczywiście siły i plastyki *ustępu* trzeciej części *Dziadów*, ale to, co wyszło ze wspomnień osobistych, z samotnych rozmyślań w długie, mroczne nocy zimowe petersburskie, to zachowało siłę prawdy: »Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa, jak arcydzieła sztuki i posiadł je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich«...

Wielkie przyjęcie na dworze cesarskim, oszałamiające wschodnim przepychem strojów, muzyką, tańcami, »wonią kadzideł«, jaskrawem oświetleniem, odmalował w barwach żywych. Spotkanie z »Jedynowładzcą« jest bardzo charakterystyczne. Mikołaj I jest tu sportretowany duchowo i fizycznie, a wrażenie jakie sprawił wówczas na biednym, schorowanym Zygmuncie Krasińskim oddane jest znakomicie. W tym opisie mamy też jedyne echo rozmów Mikołaja z synem Jenerała: »prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny

i silny!... złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą... Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać, że znikła już z ziemi na zawsze i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie, gdyby Prorok Boga. Od twarzy jego urodziwej, jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce«...

To wzięte z życia, z rzeczywistości. Inne szczegóły biesiady, wizye bogactw carskich i »posłanników królów wschodu i zachodu« z urnami szczerozłotemi, pełnemi popiołów »tych, którzy walcząc w świętej *sprawie po różnych* stronach świata polegli«, ucieczka z zamku cesarskiego, jakieś zmagania się z wrogami (»I bił się i tarzał i biegał i padał aż do pierwszych świtu brzasków«...) to już są *aegri somnia*, łudzące naśladownictwo wizyj Jean Paul'owych. Wyraźne tu osłabienie fantazyi i energii moralnej świadczy o tem, że *Pokusa* powstała w miesiącach najgorszej depresyi nerwowej, o której poprzednio mówiliśmy.

Tak objaśniamy i ową śmierć młodzieńca z ręki przyjaciela i ową niesmaczną tyradę zabójcy, który morduje przyjaciela, bo go »najmocniej kochał«, a duszę jego »w pierwszej chwili upadku (za to, że przysiągł służbę jedynowładzcy) wydarł wrogom« i posłał do Boga: »Ojcze niebieski, zbaw ją w wieczności,

a niech ta krew przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusicieli«. Słusznie mówi Prof. Tarnowski: »To posyłanie cudzej duszy do Boga..., ta egzekucya spełniona przez człowieka, który spełnia morderstwo jak coś najlepszego, z modlitwą na ustach... to niemoralność tak głęboka, że pojąć nie można jak Krasiński mógł coś takiego wymyśleć? (str. 338).

Uważając *Pokusę* jakby odwrotną stronę tejże myśli patryotycznej, która i *Nocy Letniej* przyświeca, chciał widocznie poeta i tu i tam wskazać *śmierć*, jako jedyne wyjście ze strasznych, niedających się pogodzić z narodową godnością sytuacyj. Tylko że w *Nocy Letniej* zabija kochankę wygnaniec w przystępie *rozpaczy*, która i jego życiu kres kładzie; w *Pokusie* czyni to przyjaciel wprawdzie z jękiem, ale trochę na chłodno, skoro ma ochotę do wypisywania teatralnego napisu krwią własną »na kamieniu ponad głową umarłego czerwonem ostrzem: »Z ręki przyjaciela«. Tenże przyjaciel ma jeszcze dość czasu, by po tem zabójstwie »porwać się« i — uciec przed »walącą zgrają«. Gdyby zamiast rozprawiać z przyjacielem, zabijać go i ryć napisy grobowe, »wędrowiec« odrazu uszedł był z nim przed ścigającymi wrogami, byłby nie popełnił zabójstwa i zachował dla ojczyzny oszołomionego chwilowo na balu przyjaciela. Ale nie widzimy potrzeby rozwodzić się z zarzutami wobec drobnej fantazyi, rzuconej w gorączce nerwów jako »dzień jeden widzenia«.

Pokusa jest znowu próbą uspokojenia własnych zgryzot patryotycznych. Poeta chciał wobec »Matki po sześć kroć zabitej« prosić o litość dla tych, »których rozum blichtrami fałszu złudził« wróg narodu. »Oni więcej wycierpieli, niż reszta synów twoich. Omylone nadzieje jak noże przeszyły im piersi; w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmią chrzęstem stali i łoskotem dział«... Całe zakończenie *Pokusy* stosował w duszy swej poeta najwyraźniej do własnego ojca...

I jeszcze z jednego względu *Pokusa* ma pewne znaczenie w dziejach twórczości Krasińskiego. Oto załamują się w niej promienie utworów innych, bądź poprzedzających ją, bądź współczesnych, co do których niemamy skądinąd pewnej wskazówki chronologicznej. Z jednej strony padają tu z *Irydiona* pewne promyki (»Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą«...) z drugiej przebłyskują światełka innych myśli, które odnajdziemy z czasem w utworze, wydanym p. t. *Niedokończony Poemat* (Część Pierwsza *Nieboskiej*). Cały wstęp do *Pokusy* ma już szeroki pogląd »Aligherowy« na pogrobową dolę Polski i wiernych jej synów, wygnańców. »Za nimi grób od morza do morza..., a idących przeklinają mocarze i kupcy! Wzrosłych na łonie śmierci niezrozumieją żyjący... Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i *zmartwychwstając*, po drodze rzucacie szmaty całunów«...

Na takich ustępach znać już połyski innych pism poety, kryjących się w owych »papierach«, przecho-

wanych u Aleksandra Torlonii w Rzymie. Nie doszły nas one, przejęte z czasem i wcielone w inne większe, później opracowane całości, ale światłem swem już dodały blasku pomniejszym utworom i świadczą nam dzisiaj o sobie.

Zgadza się to także ze zdaniem dobrego świadka, Stanisława Małachowskiego, doskonale wtajemniczonego w dzieje twórczości poety. Mówi on w swym »Krótkim rysie«: »Po napisaniu i wykończeniu *Nieboskiej Komedyi* i *Irydiona* powziął myśl powiększenia i skompletowania nowemi oddziałami *Nieboskiej Komedyi* — ale niestety, ze szkodą wielką dla całego dzieła i literatury, zamierzonego przedsięwzięcia tylko w części i ułomku dokonał i to nie odrazu, tylko w rozmaitych chwilach«... (str. 27).

Nie jest to przypadkowem, że w kilka tygodni po zawarciu w Rzymie bliższej z Juliuszem Słowackim znajomości, Krasiński probuje sił swych w rymach i posyła w liście do Gaszyńskiego ***wiersze,*** które nazywa *pierwszymi* w życiu swojem. Wiemy doskonale, że pierwszymi nie były. Ale jeśli je za takie sam poeta uważa, to znak, że te dopiero uznaje za godne takiej nazwy. Jakoż istotnie poprzednio pisał dla Pani Bobrowej chyba bardzo nieudolne, sądząc z czterech strofek z dnia 3-go września 1835 r., ogłoszonych przez pana L. Méyeta. (»Czy pomnisz jeszcze na dożów kanale — Gondolę moją w weneckiej żałobie«). Te są dziwnie słabe, nie znoszące żadnego porównania np. z wierszykami w *Nieboskiej.* Wytłómaczyć je można tylko stanem wielkiego wów-

czas rozdrażnienia. Ale późniejsze są już lepsze i lepiej uczucia jego dla Pani Bobrowej wyrażają.

Należy je tu dokładniej rozpatrzeć i scharakteryzować.

Zwierza się z nimi poeta czasem przed ukochaną, częściej przed przyjaciółmi w listach.

Natchnienie jest zrazu nieśmiałe, niedowierzające sobie. Rymy płyną zwolna i skąpo. Na rok cały 1836 przypada zaledwie 90 wierszy. Zaraz w pierwszych strofkach przyznaje się poeta do bezsilności: »Bóg mi odmówił tej anielskiej miary, bez której ludziom nie zda się poeta«. Zwłaszcza wobec prześlicznie brzmiących wierszy Słowackiego, wobec takiej np. *Dumy o W. Rzewuskim*, mogły mu się wydawać własne rymy bardzo biednymi. Istotnie, myślom autora *Nieboskiej* lub *Irydiona* za ciasno było, za kuso w prostych rymach gramatycznych (dwoje — moje; falach — salach; zawrzały — przeiskrzały itd. itd.). Zbyt czułe miał sam ucho, by nie gardzić taką tuzinkową miarą; pragnął »anielskiej«:

Gdybym ją posiadł, świat ubrałbym w czary,
A że jej niemam, jestem wierszokleta.

Ten rozdźwięk własnej duszy, słyszącej w sobie »niebieskie dźwięki«, a wydającej tylko złamane i twarde słowa, bo »nim ust dojdą, łamią się na dwoje« — znał także arcymistrz pieśni naszej, kiedy w improwizacyi wielkiej stwierdzał, że »myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie. A tak jak twórca *Dziadów* oceniał dobrze wieczne niepo-

rozumienie poety z społeczeństwem i wieczną niedomyślność rzeszy pospolitej:

Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach —

tak Krasiński żalił się, że »ludzie usłyszą tylko twarde szczęki« słów jego, gdy on dniem i nocą słyszy serce swoje:

Ono tak bije na krwi mojej falach,
Jak gwiazda brzmiąca na wirach błękitu,
Ludzie nic słyszą jej...

Miłość smutna i bez przyszłości szuka wyrazu w tej skromnej, świadomej swych braków poezyi. Pierwsze wybuchy namiętności i szczęścia z r. 1834—5 nie uwieczniły się w wierszach. Tylko rozpamiętywania i żale zakwitły poezyą. — Nie widział ukochanej przez cały rok 1836 i przez połowę 1837-go. Tęskni i cierpi. Czuje, że szczęście minęło niepowrotnie, a jest to charakterystyczne, że drży przedewszystkiem o *piękność* ukochanej, że się lęka,

By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole.

Ale darmo! »Czasu niewstrzymane fale«, a każda chwila wspomnień błogich cięży mu na sercu przeczuciem goryczy: wie, że już podobnie szczęsnych nie zazna nigdy.

Znamienną cechą tej poezyi miłosnej 24-letniego kochanka jest trwożliwy niepokój o wdzięki ukochanej. Nie słyszymy nic o zaletach jej duszy; natomiast tęskni poeta do oczu zmiennych, prześlicznych, które z błękitnych zmieniały się w upojeniu

miłosnem na czarne, wspomina jej wspaniałe istotnie czoło, wrażliwe na każdą myśli zmianę, drży o jej cielesną piękność, chce za trwałość tej piękności płacić dniami własnego życia, własnem szczęściem, nawet chwałą, byleby tylko przedłużyć jej młodość,

Byś tylko dłużej piękną mi została.

On drży na samą myśl, że *ona* może zbrzydnąć; wiemy już, że życzy jej tego, by umarła młodą, bo zdaje mu się, że nie przeżyłby jej piękności, bo »gdy ty *zwiędniesz*, ja zgasnę na wieki«. Ale w miarę, jak przedłuża się rozłąka z ukochaną, jak cierpienia fizyczne odhartowują mu duszę, on czuje coraz dotkliwiej brak jej »cichych rąk«, ciężar swej samotności i wybucha żalem:

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwym, . .
Lecz teraz konam w próżniach ducha mego.

Już w tym wierszu znać więcej zajęcia się sobą, niż tą oddaloną, nieszczęśliwą. Już on biada nad niemocą ducha, która go ogarnia, i zazdrości owym lepszym dniom przeszłości, kiedy-to »świat duchów zdawał się otworem stać duszy« jego, kiedy »z braćmi na chmurach witał się dumnie«, a rozkochany w tchnieniach ich miłości, wyrywał się ku błękitom wiecznego spokoju, »z sercem szczęśliwem, bo skonania bliskiem«. Miłość jego ma tu już jakieś pogrobowe tony i cmentarny nastrój!

Chciałbym Anioła widzieć na tym grobie,
Kędy sny nasze leżą pogrzebane.

W chorobliwym lęku przed utratą wzroku radby przynajmniej głos jej usłyszeć, »jak pieśń nadziei w godzinie skonania«.

Jednak miłość dla niej wydaje mu się jeszcze dość silną, skoro i po śmierci nie straci ona swej nad nim władzy:

A jeśli płacząc, na zgasłych źrenicach
Złożysz jak kwiaty twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce!

Tu już wyobraźnia rozigrana sięga wyżej, kusi się o obrazy niezwykłe i nowe. — Potem rok zupełnej ciszy. Smutne spotkanie w r. 1837, które było jakby pogrzebem zmarłej już w sercu jego miłości, odebrało mu wszelką do poezyi odwagę. Z całego r. 1837 jeden tylko wiersz się dochował, raczej pamiętnik wierszem, pisany w chwili zupełnego upadku ducha, największego przygnębienia, jakiego od r. 1831 doznał. Poeta przechodził wtedy ciężkie przesilenie neurasteniczne, które w właściwem miejscu opisaliśmy. Zdawało mu się, że jest bliski śmierci lub szaleństwa, a w tym samym liście, w którym posłał Gaszyńskiemu te wiersze, określał także doskonale znane neurastenikom »przeczucia niezawodnej zguby«: »Nie minie dni wiele, a mnie *coś się stanie;* przejrzeć jasno co, nie mogę, ale coś takiego, nad czem ty zapłaczesz tam«... Posyłał zatem wiersze, które »same wydostały się z jego głowy« na pamiątkę po człowieku, po przyjacielu, choć uważał je za »kiepskie«.

Są przecież najsilniejsze treścią, jakie dotychczas napisał, choć formą nie wznoszą się nad poprzednie. Jest w nich wprawdzie chorobliwość nerwowa, naturalny skutek stanu, w jakim się wówczas znajdował — ale jest też dużo samowiedzy poetyckiej, jest już ten filozoficzny nastrój, który odtąd będzie stałą przyprawą jego poezyj. Już tu miłosnych westchnień napróżno szukać; życia nerw zagrożony:

Serce mi pęka, światło się umyka
Z przed oczu moich. Wszystko, co kochałem,
Jak Bóg dalekie, lub jak chmura znika...

Już nie o miłości mowa, ale o »*ułudach* młodości«, już cierpki żal do samego siebie, że kochał i siły ducha w miłości tej zmarnował:

Gdybym nie kochał śmiertelnej piękności
I ust nie złożył na widomem czole,
Byłbym tą iskrą, spadłą mi z wieczności,
Pożar rozniecił na ziemskim padole.
. . . . . .
. . . . . boskich skrzydeł szumem
Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci!
Dziś już zapóźno!

Jakaż namiętna i ambitna skarga! Jakie poczucie siły, zrozumiałe w autorze *Nieboskiej*, że mógł był pożar rozniecić na ziemskim padole. A równocześnie, jak tu przebija żal hr. Henryka i pragnienie, aby się wynieść nad głowy współbraci. Jedyny to wiersz, w którym poeta zastanawia się nad siłami swego

ducha i w rozpaczy, że lata młode w cierpieniach mu zeszły, woła:

Iskra geniuszu na cóż mi się zdała?
Tliła się tylko w głębiach mojej duszy. —

Nieubłagany własnych czynów sędzia, on wie, że z rozstroju duszy swej niełatwo się wyleczy, bo

Dusza jest jak ciało:
Gdy się raz psuje, a nadpsutej części
Od zdrowych siłą nie oderwiesz całą
Złe się rozbiegnie i wszędzie zagęści. —

On tę moralną zarazę zna, on ją odczuwa każdym nerwem zbolałej duszy, a

Ból co w nim rośnie, róść musi jak życie...
I jak krew żyły, tak myśli obiegać. —

Rozłam własnego ducha na »dwie tonie« skreślił z psychologiczną wiernością. Ona to sprawiła, że porwani silną i obrazową myślą, zapominamy niemal o rymie i rytmie. Filozofia przemaga tu nad poezyą, a tragizm męki duchowej nie dba o piękno wysłowienia; prawda jest tu pięknem. Wiecznie ludzki rozbrat rozumu z sercem wyraża się w słowach prostych, głęboko odczutych i z samego wnętrza zbolałej duszy dobytych:

Duch na dwie tonie ciągle się rozkłada:
Z szczytów otchłani sam woła na siebie
I sam jej z głębi smutno odpowiada.
Rozdarty wiecznie, myślą siedzi w niebie,
A sercem w piekło coraz niżej spada...
Bo zlać się w jedno i zgodzić nie zdoła,

Ani też całkiem rozpaść się na dwoje.
Do wskazanego raz wepchnięty koła,
Sam z sobą toczy nieśmiertelne boje,
Niemogąc skonać, a co chwila kona
Podwójnym bólem. Jedna jego strona
Niszczy się jadem śmiertelnych miłości,
A druga żalem niebieskiej litości!
Rozum, co w górze, choć sądząc, przeklina,
Równie samotny jak przeklęte serce:
Wszędzie nieznośnie, bo wyrok i wina
W każdej się życia zmięszały iskierce!

Dziś, gdy znamy całe smutne dzieje tego kochania, gdy wiemy, jak bezlitośnie umiał »sam siebie rozdzierać«, możemy domyśleć się, jakie piekielne przechodził męki za krótkie chwile »śmiertelnej miłości«; a gdy zważymy, że równocześnie zapadł w bezdeń zwątpienia religijnego i »konał w próżniach swego ducha« — to wtedy odczujemy chyba całą zgrozę tego stanu, gdzie »wszędzie nieznośnie«, gdzie i rozum samotny i serce przez rozum własny przeklęte, a niema chwili jednej zapomnienia o winie i o wyroku.

Więc nie dziw, że poeta, zagnany chłostą sumienia aż na sam brzeg przepastnej rozpaczy, zwątpił o wszystkiem: o możliwości zagrobowej ciszy i wypoczynku dla ducha, o śnie nieprzespanym i pokoju cmętarzy; świat cały nazwał »przegranej polem« i trudem bez końca, bolem wiekuistym.

I znowu rok mija... Po przesileniu ciężkiem, nastąpiło spotkanie w Salzbrunn, o którem nie wiedzieli oboje, że będzie z woli ojca ostatnie. Pożegnawszy się z Panią Bobrową w ostatnich dniach maja 1838 roku,

z drogi zapewne, może z Wrocławia, posyłał jej poeta w darze siateczkę czarną na pieniądze dawane ubogim; dołączał przytem list następujący (bez daty i miejsca): »Ile razy sięgniesz do tej czarnej siateczki, by dać grosz biednemu, wspomnij na mnie, bo ja także biedny, ja takżem żebrał i tyś mi niegdyś jałmużnę serca rzuciła!

»W tej chwili mrok już pada, ledwo mogę dostrzedz liter, które piszę, a patrzę w stronę Twoją, w niebo za górami: gwiazdka tam wschodzi i kocham ją, bo niby przyszła od ciebie.

Leniwo, mułem mętne ciekną życia fale
I na nurtach potoku wszędzie słychać żale.
Z tyłu spią bladem zmierzchem przypruszone tonie,
Z przodu niebo w oddali krwawą łoną płonie,
A z stron obu pływaczy tak zimno i ciemno,
Że każdy płynąc woła: »przekleństwo nademną«.

»Wśród takiego życia bądź mi ty błogosławiona, boś jedynym ty mi była aniołem. O, wspomnij o mnie, ile razy dasz grosz ubogiemu«.

Wierszyk ten, który z małemi, ale charakterystycznemi zmianami umieścił potem poeta na czele *Pokusy*, maluje dobrze smutek i zwątpienie jej i jego: »obu pływaczy«. Po tem smętnem pożegnaniu, po zerwaniu, dokonanem przez ojca, mógłby był poeta odpocząć na klasycznej, umiłowanej przezeń ziemi italskiej, w tej Kampanii, gdzie »taki spokój wielki«, — gdyby mógł i śmiał zapomnieć. Chwilowy, »niezwykły« spokój ducha pozwolił mu skreślić wiersz pod wrażeniem Kampanii rzymskiej (»Jak anioł spadły, leżący w pięknośći« z dnia 9 grudnia 1838 roku),

jakby na okładce *Irydiona* skreślony. Ale wędrówka po *Forum* i *Colosseum* zniszczyła ten chwilowy spokój. Przypomniała się »cała młodość«, wszystko, co tam marzył i kochał — wróciła pamięć miłości tam poczętej i jej wszystkich późniejszych zgryzot. Już nie sam był w Rzymie i w Kampanii. Głos znany, smutny i rzewny szeptał mu teraz wśród przestrzeni ruin:

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci...
. . . . . .

Zdawało mu się, że to już zmarłej głos prosi o pamięć wierną, o grób przy Rzymu ruinach, »zakryty zewsząd bluszczem i głogami«. A tak, czy kiedyś w Wiedniu, czy teraz w Rzymie, czy potem w Neapolu: spokoju nie zaznał.

W wierszu tym, jakby w urnie grobowej chciał złożyć ból ukochanej i własną zgryzotę, wystygłe żarów namiętnych popioły... Zbyt dobrze znał sam siebie, by nie przeczuwać, że przyjdzie niebawem czas, »uczuć morderca«,

Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije;
Na starych gruzach z róż świeżych uwije
Nową koronę, lub nauczy szydzić
Z ułud młodości i młodość pochowa...

OBJAŚNIENIA I UZUPEŁNIENIA.

(str. 30). List *) Z. Krasińskiego do Jenerała Franciszka Morawskiego:

»Po tysiąc razy dziękuję Panu Jenerałowi za Jego łaskawą pamięć o mnie. Nie mogąc sam pisać z przyczyny bólu oczów, muszę cudzego pióra używać, by Mu oświadczyć wdzięczność moją i chwil kilka, jeśli pozwoli, z Nim pomówić. Myślę, że może będzie przyjemnie Panu Jenerałowi w dalekich stronach usłyszeć rozmaite wieści literackie, chociaż literatura teraźniejsza mało ma w sobie powagi i wielkości; przypatrzyłem się jej z bliska, siedząc przez dwa lata w Genewie, która jest stekiem wszystkich wiadomości naukowych Europy. Widziałem tam kilku znakomitych ludzi, przejeżdżających różnemi czasami, naprzód Chateaubrianda, który przypiąwszy różę białą do czarnego fraka i w oną różę wlepiając oczy, przechadzał się dosyć smutny; pono wspominał sobie męczenników swoich. Czasem mówił starodawne komplementa kobietom i potrząsał głową, bo nie miał pieniędzy. Ktoby dobrze zważał, poznałby w jego żywych oczach próżność bez miary. Na jego czole nie mogłem wyczytać nic chrześciańskiego. Potem poznałem się z Wiktorem Hugo; natura wydoskonaliła w nim wszystkie zmysły tak, że wzrokiem sięga ogromnych odległości, słuchem wyrównywa dzikim Ameryki, a Marcinkowskiego (Jaxę) przechodzi o wiele w żarłoctwie, w dumie zaś szatana. Powtarza zawsze »po Karolu W. Szekspir — po Napoleonie »ja«, twierdzi, że doskonale pojął swój cel od dziesięciu lat przeszło, i że ku niemu dąży matematycznie: gwiazdą wschodzącą jego nieśmiertelności ma być Epopea Napoleońska, nad którą pracuje. O ile sądzić mogę, zda mi się, że chęć zysku jest najdzielniejszą jego pobudką, poezya ta cała jest poezyą bankierów, pozbawiona czucia i harmonii, ni jedna jak u starożytnych, ni rozmaita w swojej prawdzie jak u Szekspira, ale potworna,

*) Po raz pierwszy wydrukowany w *Kuryerze Poznańskim* (Nr. 3 z r. 1901).

osypana marzeniami gdyby pieprzem, utwór dnia jednego handlowego, cień nędzny i znikomy w dziejach sztuki, żadnej prawdy nie mający za podporę, jedno tę, że przynosi pieniądze. Nie mówię ja tu o samej fantastyczności, której barwa cechuje wszystkie te płody, bo zda mi się, że fantastyczność jest prawdą jak n. p. u Hofmana, i w rzeczy samej są fantastyczne zdarzenia w życiu, kształty w naturze, uczucia w duszy, tony w muzyce. Wydać je doskonale, przeniknąć się całą ich prawdą, jest tak trudnem w poezyi, jak w fizyce spostrzeżenia nad magnetyzmem i elektrycznością, ale zda mi się niezmiernie łatwą rzeczą napisać jakiekolwiek bałamuctwo, ułożyć niejaką, że tak powiem, arytmetyczną kombinacyą z kilku zbrodni i przezwać cudzołoztwo, morderstwa oszukaństwa, pijaństwa, karty etc. etc. imieniem »fantastique«, bo któż proszę sprzeczać się z nim będzie, że to tak nie jest, kiedy fenomena fantastyczne niezmiernie są ulotne i niepojęte dla wielu. Tam gdzie Byron ostrzeżony szeptami geniuszu, swojego jedynego anioła stróża, stanął, zatrzymał się i już nie szedł dalej, tam właśnie początek ich drogi, a droga ta wiedzie w przepaść nie ich samych, bo oni wiedzą, że kłamią, że nie mają żadnego natchnienia, ale tych, którzy ich czytają i wierzą im — servile imitatorum pecus. — Pierwsze miejsce piastuje między niemi Balzac, niby to filozof, niby poeta. U niego prawie wszystkiem jest mechanizm stylu, zależący na obwijaniu jednej myśli tysiącem wyrazów, na przeciąganiu scen, na sztucznem odwlekaniu, na wmawianiu w czytelnika, że coś niezmiernie ciekawego się zbliża. W tem zachodzi wielkie podobieństwo między nim a każdym grzechem, który łudzi, ciągnie do siebie obietnicami, a nigdy ich nie dotrzyma. Zresztą dążeniem Balzaca jest materyalizm i tak np. w jednej z ostatnich powieści swoich pod tytułem *Louis Lambert* opisuje człowieka o mdłem ciele, o cudnem licu, o potężnej duszy rozwijającej się wewnątrz siebie bez żadnego zewnętrznego wpływu, kształcącej coraz bardziej wszystkie swoje władze, spostrzegającej najdrobniejsze szczegóły analityczne, a zarazem umiejącej się podnieść do najwyższej syntezy, przenikającej tajemnice, dochodzącej do samych niebios. Przez cały czas sam autor się roz-

pływa nad tem cudem stworzenia, z czułością, z zachwyceniem, ściga za postępami tego umysłu i najpiękniejszemi, najczystszemi przymiotnikami go otacza (cette brillante intelligence, exquise, céleste, délicieuse) a kiedy omamił czytelnika, zda się oderwał go od ziemi, przeniósł go do kraju ducha, jednym wyrazem obala tę całą budowę duchowną wykrywając, że wszystkie objawienia tej duszy, głębokie jej myśli i przeczucia, są jedynie skutkiem szkaradnego nałogu, cała zaś powieść poświęcona kochance. Jest w tem coś ohydnego, nie myślę zaś, by było coś fantastycznego. Pan Jules Janin na pierwsze wejrzenie ma więcej ognia i popędu, jego *Barnave* jest niepospolitem dziełem. Jako się Byron przejął charakterem szatana i postawił go na nogi, tak Janin przejął się Hrabią Mirabeau i utworzył z niego kolosalną postać, w około której jednak dużo jest grochu z kapustą. Styl jego z początku czaruje, zda się tęczą połysków, ale to trwa krótko, gdyż ten sam zupełnie układ wyrazów wraca wciąż, gdyby zwrotka w baladzie. Wynalazku jeszcze mniej jak u Balzaca, ale za to karty pełne, tomów zawżdy cztery, zapłata u księgarzy a do tych dochodów dodać trzeba jeszcze jeden: Panna Mars, owa sławna aktorka, go utrzymuje. — Eugéne Sue pisze powieści morskie, ma on niekiedy błyskawice poezyi, ale cóż z tego, kiedy każda piękna postać którą opisze, z początku święta, pełna szczerości i powabów, musi koniecznie stracić cześć w końcu i przemienić się na obrzydłą; znać że się w jego mózgu powikłał korsarz Coopera z korsarzem Byrona, a z owej mieszaniny powstały dziwne bałamuctwa, zemsty najszkaradniejsze, nienawiści bez przykładu etc. etc. — Charles Nodier czasem jeszcze głos swój podnosi, ale krótko przemawia i przepowiada koniec rodu ludzkiego, on jeden wierzy w to co mówi, insi żadnej wiary nie mają, żadnej myśli wspólnej, wielkiej, miasto jedności mają monotonią, słowem, cała teraźniejsza literatura jest śmieszną w swoich okropnościach; styl składa się z kilku pewnych wyrazów: révélation, fatal, virtuellement, pantelant, mission i t. p... Rzecz zaś snuje się ogniwem z trumien, z sztyletów, z domów gry i rozpusty, z namiętności pofałszowanych, z uczuć wykutych, jako się kują złe wiersze za

pomocą truflów i wina. Otóż to się łacno daje zrozumieć, że po dobrym obiedzie, który jest niezmiernie antynaturalną rzeczą, nerwy żołądka wprawione w ruch chorowity, przesyłają część swej gorączki nerwom mózgu, a ztąd owe wszystkie marzenia, sprośności, które są tem samem co wątroby gęsie, z których złożone pasztety strasburskie, chorobą sztucznie sprawioną gwoli większej rozkoszy żarłoków. I tak pan Soulié świeżo wydał *Les deux cadavres;* treść tej powieści oparta na trupie Kromvela i na trupie Karola 1-go. Rozmaite losy tych dwóch ciał opowiada autor. Ze wszystkich scen jedną tylko Panu Jenerałowi opowiedzieć chcę: Barksteat pragnie zemsty nad Karolem II-gim który kazał stracić jego ojca za to, że podpisał wyrok śmierci Karola 1-go. Długo więc nad nią rozmyśla, a nareszcie wynalazłszy, pośród nocy ciemnej bierze się do jej wykonania. Idzie po trumnę w której leży ciało i głowa odcięta Karola 1-go, ową trumnę kładzie na barki i niesie do rowu przed domem kochanki, która jest córką nieprawą Karola 1-go, dziwnym trafunkiem wychowaną w domu Barksteta, towarzyszką jego lat dziecinnych, siostrą dawniej, a teraz lubą, jedyną pociechą, ukochaną nadewszystko. Woła na nią, by wyszła z domu. Szesnastoletnia dziewczyna ładna, niewinna, rozmiłowana spieszy na głos kochanka; wtedy walka następuje w duszy Barksteta, chęć zemsty przeważa, wymaga więc od niej, by mu się oddała zupełnie, ona nieboga złoży pocałunek na jego ustach i rzecze: otóż dostałeś mnie, ale on tłómaczy jej, że to jeszcze nie wszystko i ciągnie nieszczęśliwą do trumny ojca; owa truma staje się łożem jego rozkoszy. Gdzież tu poezya? gdzie harmonia? same fałszywe tony. Są w muzyce niektóre fałszywe akorda, które powiązane z następnemi zgodnemi, w ogóle swoim tworzą najświetniejszą harmonią; dobór takich fałszywych i melodyjnych w poezyi tworzy jak mi się zdaje *fantastyczność*. Ale oni bez żadnej sztuki bez żadnej uwagi, samemi jedynie fałszywemi grają a każą słuchać i mówią: »Patrzcie, jaka doskonała muzyka! my pierwsi ją wyjawili światu«.

Od kiedy średni stan wziął przewagę i nazwał się ośmnastym wiekiem, można było przewidywać, że literatura stanie

się spekulacyą, że tomy na funty sprzedawać się będą. Trzeba poecie, by wierzył w siebie i w poezyę jako cel, nie jako w środek, inaczej stanie się bankierem i kupcem, kupcowi zaś wszystko jedno, czy bohatyra posłać na skałę, by tam umarł wśród mąk, czy napisać i rozsiewać najfałszywsze zasady. Upatruję wielkie podobieństwo między polityką angielską a dzisiejszą literaturą francuzką. Do tego jeszcze dodać można różne insze wpływy. Publiczność łaknie takowych obrazów, bo jej ojcowie i ona sama już objadła się i opiła wszystkiemi trunkami, mianowicie krwią. Takowi ludzie nie mogą czytać Idyll Gesnera, nerwy ich rozdrażnione do najwyższego stopnia, trzawraz nowszych poruszeń. Rzymianom pod koniec cywilizacyi starożytnej trzeba było igrzysk i biesiad, to był ich szał zmysłowy, ostatnia konwulsya zmysłowego świata. Teraz to jest nasz szał moralny, może ostatnia konwulsya naszego świata. Byron także się do tego przyłożył, on pierwszy porwał razem tysiąc obrazów i rzucił razem, ale któż mu wyrówna? kto go naśladuje, przepaść musi, on jest sobą samym, początkiem żadnej szkoły być nie może, a kto wie, czy nie jest końcem romantycznej, ostatniem echem średnich wieków, bo choć powątpiewa jak Spinoza, szydzi jak Wolter, nieraz w nim coś rycerskiego się obudza, powstaje nagle Baron angielski w szyszaku i zbroi, pan nad mnogimi wasalami, a choć nie wierzy ukrzyżowanemu Bogu, jakże doskonale pojmuje i Danta i Tassa i gdyby oni sami, ich głosem przemawia. Jednak Don Juan ogromny wpływ wywarł na teraźniejszą literaturę francuską. Stało się jako się dzieje zwyczajnie z naśladowcami, chcąc utworzyć coś podobnego przesadzają, a nierozumiejąc geniuszu, któremu hołdują, wszystkie jego piękności i prawdy zamieniają na fałsze. Pamiętam wiersz Pana Jenerała:

»Jam się wieszczem mych czasów a nie małpą zrodził.« Ja bym się teraz do nich podobnie odezwał i jeszcze nieco inaczej: Jam się wieszczem mych czasów, a nie świnią zrodził. — Tym czasem Lamartine z żoną angielką wsiadł na okręt i popłynął do Palestyny, rzucając brzegi ojczyste z ściśniętem sercem poety, którego nie rozumieją. On miał wiarę, a choć nie uni-

knął monotonii, kto go czytać będzie uwierzy w niego. Ja nieraz płaczę za średniemi wiekami, za ową poezyą, która utworzyła Danta i dźwignęła katedry gotyckie. Jako błyskawicy służą za tło czarne chmury, tak jej tłem były podania północy, skandynawskie Sagi — a jako Eschylos przypomniał sobie świat zniszczony Tytanów i natchnął się nim i wskrzesił go na chwilę, tak Szekspir, Chrześcianin, przypomniał sobie mity zatracone północy i wyrósł na olbrzyma. Gdzie owa poezya dzisiaj? Staliśmy się drobnymi, a mamy się za poważnych i groźnych, okropności nasze w śmieszność przechodzą, a co w teraźniejszej literaturze jest najzgubniejszem, najbardziej przeciwnem porządkowi wszech rzeczy, przeznaczeniom duszy ludzkiej i celom ludzkości całej, to, że każda walka moralna kończy się na zwycięztwie złego, a kiedy szatan przemoże, kiedy gach osiędzie w domu i mąż mu zawierzy, kiedy filozof rozumując dojdzie do najfałszywszego wniosku, szaleniec dostąpi celu swych namiętności, wtedy zapada kurtyna. »Skończyło się, widzowie, wracajcie do domu«. Poezya to na wspak natury, bo przeznaczeniem duszy jest cierpieć, zmagać się, ale wreszcie ujrzeć Boga; szatan snać rozgościł się na tej ziemi, wiele serc natchnął i serdecznie się raduje. Chciałbym tych wszystkich panów, którzy sobie tak łatwo marzą o trumnach, trupach, zabójstwach, nienawiści i zemście widzieć za bramami Paryża w jakiem niebezpieczeństwie, pana Sue w burzy na morzu, pana Janina wśród konwencyi narodowej, a Balzaca obok jakiego rycerza z czasów Ligi, któryby mu groził sztyletem. Ponoby uciekł jako niegdyś Jaksa przed korpusem oficerów w Lublinie.

Poznałem także za granicą Mickiewicza. W nim jest prawdziwa poezya, bo szuka prawdy i jedynie prawdy, umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć; od nieba dostało mu się natchnienie jakie znamionuje wieszcza, połączone z wielką potęgą myślenia i rozumowania. Do tego jest wielka harmonia między jego wyobraźnią a jego sercem, tamci wszyscy francuscy mają wyobraźnię, ale serca nie mają, wyobraźnia zaś bez serca prowadzi nieraz kobiety do zbrodni, a mężczyzn zawsze do głupstwa. Byłem z Mickiewiczem w Rzymie,

tam trza żyć w przeszłości, i owóż żyliśmy w niej. Nie przeto jednak rozumiem, iżby Mickiewicz nie znał swojego wieku i nie pojmował go. Ostatnich jego poematów jeszcze tu nie ma, jeśli nadejdą przed moim odjazdem, niezawodnie je przeszlę Panu Jenerałowi. A teraz, kiedy się obrócę ku literaturze polskiej, głuche milczenie. Mnie się zdaje, że trza wrócić do starych pisarzy, z tamtąd czerpać, i z tych pysznych, porozrzucanych kawałków marmuru wybudować świątynie.

W Anglii zjawił się młody poeta Tennyson, same dotąd ułamki wydawał, ma w sobie wielką prostotę i razem bogatą wyobraźnię, jedną strofę z niego pamiętam:

The poet in a golden time was born,
With golden stars above,
Dowered with the hate of hate, the scorn of scorn,
And the love of love.

Moore jeszcze czasem zaśpiewa piosnkę; romanse wychodzą podług formy Walterscota nieboszczyka, fantastyczność francuska nie ma w nich miejsca.

Znudziwszy Pana Jenerała tą długą gadaniną upraszam Jego, żeby raczył na mój zamiar uważać, a nie na wykonanie jego. Przyłączam serdeczne ukłony moje dla Jenerała Milberga, przyjmijcie Oba wszystkie moje życzenia, wszystkie chęci życzliwe, które składam życzliwem sercem, a których nigdy czuć nie przestanę. Zapewne kiedy ten list dojdzie Pana Jenerała, już mnie wtedy tu nie będzie, a zatem nie mogę spodziewać się odpisu, tylko tę mam nadzieję, że kiedyś miasto słów pisanych będą słowa prawdziwe i uściśnienia. Polecam się łaskawej pamięci Pana Jenerała i powolne mu służby moje zalecam.

St. Petersburg, 30 stycznia 1833 r. *Zygmunt Krasiński.*

(str. 38). »Reeve przewinił....« — Trochę światła na tę sprawę rzuca list Krasińskiego z Rzymu, d. 12 listopada 1833 r., pisany do wspólnego ich przyjaciela genewskiego, Alexandra Lombarda; oto ustęp odpowiedni:

»Je vous dirais une chose Alexandre: Reeve, quand il pensa qu'il sied à sa dignité *de rompre avec moi*, finit sa correspondance, en m'annonçant le mariage de H. W.; à présent,

qu'il veut revenir à moi, il contredit la nouvelle et annonce qu'elle prend toujours de l'intérêt à moi. — Ne trouvez-vous pas, mon cher Alexandre qu'il y a ici une finesse peu généreuse, cruelle dans le premier cas, cousue de fils blancs dans le second«.

Podobnież w liście do A. Lombarda z Wiednia z d. 18 sierpnia 1833 wypomina Reevowi »sa fierté malentendue«.

(str. 86). ..»system Saint-Symonistyczny«. — Ob. treściwy zarys w książce Weill'a: L'école Saint-Simonienue. Paris, 1896. str. 29—31.

(str. 88). Wyjątek z mowy Barraulta podaje Weill l. c. str. 49.

(str. 90). Stosunek Sainte-Beuve'a do St.-Symonizmu objaśnił szczegółowo Gustaw Michaut: Sainte-Beuve avant les »Lundis«. Fribourg—Paris. 1903, str. 237 i nn.

(str. 97 *Polepszenie... proletaryatu*). Z tego punktu życzliwie ocenia St.-Symonizm znany pisarz obozu katolickiego G. Goyau. Oto kilka wyjątków z jego książki p. t.: »Autour du catholicisme social« (Paris, 1897, str. 193—4):

Le but constant de l'École se peut définir ainsi:

L'amélioration morale et physique, l'acheminement au bien-être de la classe la plus nombreuse et la plus pauvre... dans ce socialisme archaïque, timide encore, qu'ébauchait l'école Saint-simonienne, on ne perçoit nul appel aux basses passions de la foule, nulle condescendance à ses appétits, nulle aspiration haineuse vers un universel nivellement, il tend moins à la jouissance qu' à l'amour, il ne résulte point d'une efflorescence de l'envie, mais du sentiment profond d'une fonction sociale imposée à tous. —

Enfantin aux prêtres:

‚Le monde nouveau sort des entrailles du Christ; ce n'est plus le monde des nations, des races, des castes, de la naissance, de la guerre, de la servitude; non! c'est le monde de l'humanité, de la fraternité, de la paix, de la liberté, de la recompense selon les oeuvres! Vous qui l'avez enfanté, vous méconnaissez donc Votre enfant!'

Plein d'admiration pour le catholicisme du moyen âge, »qui avait fait des cathédrales, institué les pompes du culte et

fondé l'industrie... Enfantin lui demandait de sortir de son isolement et de savoir comprendre le monde nouveau«. —

Dla osób, interesujących się znaczeniem St.-Symonizmu w rozwoju pojęć społecznych, podaję tu wykaz ważniejszych dzieł, omawiających rozkwit i upadek tej sekty:

Bibliografia: Louis Reybaud: Socialistes modernes. I. Les Saint-Simoniens -- Revue des deux mondes, 1836. — Sainte-Beuve: Premiers Lundis, T. II. Doctrine Saint-Simonienne. — Lorenz v. Stein: Geschichte der socialen Bewegung in Frankreich. Leipzig, 1850, 3 Bde, 8°. — Booth: Saint-Simon and Saint-Simonism. London, 1871, 8°. — P. Janet: St.-Simon et l'école St.-Simonienne. Revue des deux mondes, 15 avril et 1 octobre 1876. — Scherer: Mélanges d'histoire religieuse (C. Lévy: Le Saint-Simonisme et la Société. — Warschauer: Saint-Simon u. die Saint-Simonisten. Lpz. 1892. — Ch. Adam: La Philosophie en France, première moitié du XIX siècle. Paris, 1893. — Charléty: Essai sur l'histoire des ideés St.-Simoniennes (thèse). — G. Weill: Un précurseur du socialisme Saint-Simon et son oeuvre. Paris. (Perrin et Cie) 1894. — E. Faguet: Politiques et moralistes du dix-neuvieme siècle, Deuxième série. Paris, Société Française d'imprim. 1898. (Saint-Simon, Fourier... Ballanche...)

(str. 113 *międzynarodówka zupełna*). Nie dostrzegł tego Mickiewicz w wykładach o *Nieboskiej* i zarzucił Krasińskiemu, że skrzywdził »charakter włościan, charakter ludu słowiańskiego w ogólności, dając mu za głos swoje chóry lokai i rzeźników«. — Chóry te nie mają nic w sobie wyłącznie słowiańskiego, a lokaje i rzeźnicy są wszędzie, od Gibraltaru do Petersburga i są właśnie typowymi przedstawicielami międzynarodowych, fachowych, nie narodowych rekryminacyj. Zarzuty Mickiewicza, dotyczące »cudzoziemczyzny« Henryka, wychodzą tylko na pochwałę Krasińskiego. Ob. St. Tarnowskiego: »Z. K.« 1892, str. 134—5. — Że wreszcie Mickiewicz nie zgadza się z Krasińskim w pojmowaniu roli Żydów (»Przechrzta«), jest to zupełnie naturalne w r. 1843, w ustach wyznawcy Towiańskiego.

Wiadomo z wykładów w Collège de France, że Mickiewicz

uważał imię Pankracego za symboliczne i etymologicznie dobrze obmyślane. Krasiński żartował sobie potem z tego przypuszczenia: »Bóg świadkiem — mówił do Gaszyńskiego — że podobny symbol ani mi przeszedł wówczas przez głowę. Szukałem jakiegoś *brzydkiego* imienia i nazwałem przywódzcę demagogów Pankracym«. (*Wspomnienia Gaszyńskiego*, autograf, str. 102).

(Do str. 114). Cytata z Fagueta: *Questions Politiques*. Paris, A. Colin, 1899, p. 168. — Do czego doprowadzić musi socyalizm, wykazuje to świetnie tenże autor w najnowszem dziele: „*Le Libéralisme*“ (Paris, 1903, Société Fr. d'imprim.). — Oto kilka tez, dokładnie tam uzasadnionych: »Le socialisme, c'est une bureaucratie universelle«. — »C'est le césarisme«. — »...il est le despotisme en soi«. Ob. str. 220—224.

(str. 116 *apatyi społecznej*). »Le Socialisme, même tempéré, même fort inégalitaire et quelque peu capitaliste aurait pour résultat, presque autant que le communisme strict, une immense langueur sociale. Il aurait pour conséquence aussi l'arrêt du progrès, personne n'ayant le moindre intérêt à inventer quoi que ce fût, etc. etc.« E. Faguet, l. c. p. 161 i nn.

(str. 122 *Ostatnie słowa jego...*). Okrzyk: Jezus Marya nie jest »tradycyjnym gruntem religijnego uczucia« — jest to tylko okrzyk bojowy, hasło dawniej stale przez Henryka używane, a machinalnie powtórzone na widok wrogów, którzy go spostrzegli: »Biegną, zobaczyli mnie...«

(str. 130 *...myśli przez to nie przybyło*). Zmienione zakończenie mamy w trzeciem wydaniu (Paryż, 1858 r.). Opuszczono tam *motta*, poprzedzające każdą z części *Nieboskiej*. Oba teksty zakończenia, pierwotny i późniejszy, zestawił w przedruku H. Biegeleisen w Bibl. Warsz. 1894 r. III, 512—514.

(str. 131). Tekst francuski Klaczki: *Le Poète anonyme de la Pologne*, Revue d. d. m. t. XXXVII (1er janvier 1862) str. 25.

(str. 136 *Sądy najwcześniejsze o Nieboskiej Komedyi*). Zebrał je i chronologicznie zestawił L. M. Dziama: »Sądy współczesne o *Nieboskiej Komedyi* i *Irydionie* w źródłach (?) polskich (1835—1859). Poznań (Kuryer Pozn.) 1893 (stron 25). — Dokładniej przedrukował wskazany przez Dziamę materyał H. Bie-

geleisen, dodając wiele uzupełnień: »*Komedya Nieboska* w świetle spółczesnej krytyki« — Biblioteka Warszawska, rok 1896, Tom I, od str. 114 do 150.

Jednym z najpoważniejszych ówczesnych sądów był sąd Stanisława Ropelewskiego, który w swem »Wspomnieniu o piśmiennictwie polskiem na emigracyi« [Kalendarz pielgrz. polskiego na r. 1840. Paryż, str. 57—61] złożył hołd poecie za to, że »pierwszy rozszerzył poezyjny widnokrąg polski«. — »Witamy go, jako człowieka dalszego spojrzenia i silniejszej twórczości, niż był ktokolwiek po dziś dzień w piśmiennictwie polskiem«.

(str. 159 *Joanna z Morzkowskich* ...) Jedynem na dziś źródłem wiadomości co do czasów panieńskich i zamążpójścia pani Bobrowej jest niewielka i pod względem dat niepewna broszurka Dra Antoniego J. (Rollego) p. t. »Z życia Z. Krasińskiego. Pierwsza miłość i jeden z pierwszych przyjaciół«. Kraków. Nakładem redakcyi »Świata« 1890. (Stron 48). — Dokładniej starał się wniknąć w dzieje tego stosunku F. Hösick w książce p. t. »Miłość w życiu Z. K.«. Warszawa 1899. (Bibl. Dz. Wyb.).

(str. 217 *apoteozą zemsty*). P. Tadeusz Pini przypuszczał, że pierwszy plan *Irydiona* był »wallenrodyczny«, że nie było tam jeszcze »osądzenia zemsty ze stanowiska chrystyanizmu; zemsta na wrogu ojczyzny była tam jakby *apoteozowaną* — i to było zapewne powodem, że Krasiński utworu tak pojętego nie wykończył«. (Studyum nad genezą *Irydiona*... Lwów, 1899, str. 12—13).

Do argumentów, podanych przez nas w tekscie książki, dodajmy jeszcze i to, że wszelka »apoteoza« zemsty narodowej byłaby wówczas, w półtora roku po wojnie polsko-rosyjskiej, uchodziła w oczach jenerała za apoteozę nocy listopadowej, za potępienie własnej jego bezczynności. Przeciwnie, upadek Irydiona i »próba powtórna« na ziemi »mogił i krzyżów«, wytrwanie pomimo »dumy i ucisku i natrząsania się niesprawiedliwych« — taką i tylko taką myśl mógł Wincenty Krasiński nazwać »piękną«.

»Czy mógłby (Zygmunt Krasiński) to pisać bez fałszu i obłudy

wtedy, kiedy nienawiść w nim samym wrzała tak, że obawiał się jej wybuchu, który go mógł na Sybir zaprowadzić? I jaki byłby cel takiej cbłudy? Czyż ona mogłaby podnieść upadłego ducha ziomków? Nie, w roku 1832 nie mógł Krasiński tak myśleć i tak pisać«. Tak sądzi p. Pini i dlatego twierdzi, że »w pierwszym pomyśle *Irydiona* nie było jeszcze idei przebaczenia i miłości chrześcijańskiej«.

Nie będę tu powtarzał znanych już nam ustępów z listów do Reeva w r. 1831, zwłaszcza polemiki Polaka z Anglikiem w sprawie nienawiści narodowej, polemiki, ukończonej wówczas poddaniem się Krasińskiego i uznaniem, że nienawiść z chrześcijańskiem przekonaniem i uczuciem pogodzić się nie da. Wykazujemy zresztą, że w ciągu tworzenia poeta staczał pod tym względem sam ze sobą walkę i w miarę, jak religijność w sercu jego słabła, dawał przystęp ideom mściwym. Ale »Synteza« świadczy, że w *pierwotnym* planie *Irydiona* nie mogło być mowy o apoteozowaniu zemsty.

(str. 236 *dwóch źródeł poetyckich*). O stosunku *Irydiona* do drugiej części *Fausta* i do *Dziadów* III części mówię tu na podstawie wykładów moich fryburskich z r. 1891.

(str. 281 *staje się nużącym*). Przed niebezpieczeństwem stylu Irydionowego ostrzegał poetę już Ropelewski w r. 1839 we wspomnianej ocenie: »Jeśli zaś każdemu sztukmistrzowi dobrze jest wiedzieć, co o nim gwarzą pomiędzy gminem, i mierzyć przez to wrażenie, jakie sprawił, badać, którą z sił swoich najgłębiej dusze swych czytelników wstrząsnął, donosimy autorowi *Irydiona*, że jego styl brylantowy, pełen effektów, nie trafiał właśnie do publiczności. Lękano się, aby ten obyczaj wyrażania się zawsze w sposób nowy, uderzający, *nie przeszedł w manierę*. Dziwny zarzut! był przecie powszechny. Żądano *naturalniejszego dyalogu*, tym bardziej, że poeta przemawiając osobiście w ciągu dramatu, ma gdzie użyć tego nadmiaru farb, co mu pędzel przeciąża. Niech sam poeta śpiewa, tylko niech ludzie odeń stwarzani rozmawiają w sposób więcej zbliżony do zwykłych śmiertelnych mowy«.

(str. 386 *nie należały do pierwotnego autografu*). Autograf

Nocy Letniej składa się z 37 kart formatu 19·18×14·5 cm. Okładki pierwotnej niema. Dochowały się okładki papierowe wewnętrzne, koloru piaskowego, spłowiałego, ze znakiem wodnym J. GREEN. Na nich ręką Delfiny Potockiej (k. 1): *Zygmunta ręką pisana Noc Letnia* — i (k. 37^b): *Zygmuntowi Krasińskiemu oddać gdy mnie nie będzie.* — Karty 2—3 (wszyte potem), papieru kiedyś z odcieniem *lila*, cienkiego, trochę szorstkiego w dotknięciu, mają znak wodny J. WHATMANN TURKEY MILL 1836. — Na nich ręką poety (k. 2^a):

Noc Letnia.

Bo na tym świecie...

(itd. aż do »Sofokles. Antygona« jak w druku)

str. 2^b — 3^a niezapisane.

(na 3^b) »*Jeżeli dotąd iedno dumne ieszcze*« aż do: »*Varenna — 1840 r. 15 września*«.

Pierwotny koniec wiersza brzmiał:

Gdziekolwiek iesteś, znane czy nieznane
O serce dumne, o serce stroskane,
Serce niewieście i prześladowane —
Gdziekolwiek iesteś, zbliska czy zdaleka —
Ty przyim co przyiąć możesz od człowieka!
Tę pieśń mey duszy ia poswięcam Tobie!

Po silnem przekreślaniu i poprawianiu tych wierszy, poeta dopisał na prawym marginesie i na górze odwrotnie dziewięć ostatnich wierszy, tak jak są dzisiaj drukowane. — Data jest bez poprawek: *wrzesnia* (w druku: sierpnia); z pierwotnego 12 zrobił potem 15.

Tekst cały *Nocy Letniej* pisany jest na papierze gładkim, trochę żółtawym, ze znakami wodnymi: J. WHATMANN TURKEY MILL 1837. — Pismo spokojne, równe, bardzo wyraźne; poprawek stosunkowo bardzo mało. Najwięcej mają ich kartki 15^b, 20^b, 23^b, 27^b, 31. Najczęściej po przekreślonych ustępach podawał zaraz poeta tę samą treść w poprawniejszej formie na czysto. Stąd wniosek, że mamy tu brulion utworu, a nie przepisywany tekst.

Uzupełnienie tomu pierwszego.

Już po wydrukowaniu pierwszego tomu odszukał Dr Józef Bieliński ciekawy dokument z lat szkolnych poety: świadectwo dojrzałości Zygmunta Krasińskiego z pieczęciami urzędowemi i podpisami własnoręcznymi egzaminatorów. Podając dokładny tekst tego świadectwa, składam serdeczne podziękowanie Drowi Bielińskiemu za wzbogacenie materyału mej książki. — Rozmiary oryginału: 47·5×39·5. Papier czerpany, prążkowany, znak wodny GRAF i znak fabryczny. Pieczęcie: 1) Sigillum Lycei Varsaviensis. 2) K(omis)yi R(ządo)wey Wyz. i Oświe. Publ. — Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych. Wyrazy podane tu kursywą są *wpisane* do schematu drukowanego.

RECTOR ET PROFESSORES
LYCEI VARSAVIENSIS
L. S.

Juvenis *Sigismundus Krasiński* pietate in Deum et moribus *egregie commendatus* annum agens *16* studiorum cursu in schola nostra peracto, an studiis academicis operam utilem dare posset explorandum nobis se dedit. Ac primum quidem themata a nobis proposita lingua Polonica, Latina, Gallica atque Germanica, sub oculis nostris, a nemine adjutus, elaboravit, eaque nobis recognoscenda tradidit. Deinde omnibus, quorum intererat, audientibus, coram examinatus est. Unde patuit eum fecisse progressus:

In doctrina religionis et morum *egregios.*

in lingua Polonica *sufficientes*	in Mathematicis *mediocres*
— Latina *egregios*	— Physica et Chemia *sufficien-* [*tes*
— Graeca *sufficientes*	— Historia naturali *sufficientes*
— Gallica *egregios*	— — univers. et patriae *egre-* [*gios*
— Germanica *sufficientes*	

Quapropter hunc juvenem
Studiis academicis operam utilem dare posse declaramus, idque fide nostra interposita testamur, D. O. M. precantes, ut ejus studia porro secundet.

Datum *Varsaviae* die *20* Mensis *Julii* Anno 1827.

Recognitum a societate cui librorum edendorum cura tradita est.

Jacobus Sroczyński curator.

I. C. Krzyżanowski
O. Lewocki L. S.
L. S. *Luc. Gołębiowski*
Joannes Deckert in Inst. Paed. Doc. Chr. Pr.
Pacławsky

Samuel Theoph. de Linde Supr. Mag Inst. P. á Consiliis, Rector Lyc.
Josephus Dobrowolski Cucus Metropol. Varsov. Professor Religionis Praefectus Lycei.
Thomas Dziekoński Prof. Lit. Pol.
Wenceslaus Alexander Macieiowski Prof. lit. Graec. et Lat.
Joannes Siebert Prof. lit. Germ.
Ludovicus Koncewicz Prof. Hist. Univ. et Patriae.
Vladislaus Jasiński Prof. Math.
Antonius Stan. Flor. Waga hist. Natur. Profess.
Alexander Chlebowski ex. Ph. et Chem.
Nicolaus Chopin Prof. Litt. Gall.

We wrześniu t. r. poddał się Z. Krasiński w *Towarzystwie elementarnem* sprawdzającemu egzaminowi z tychże przedmiotów, przyczem otrzymał te same stopnie, z wyjątkiem matematyki. W patencie dano mu z niej stopień *mierny*, przed Towarzystwem elementarnem »udowodnił« stopień *dobry*. —

W rubryce »na jaki wydział chce się zapisać«, zanotowano: *Administracya.* W »Konkluzyi« zapisano: zatwierdzony. (Według kopii Dra Bielińskiego).

Z czasów uniwersyteckich Poety dochował się w papierach rodzinnych następujący akt urzędowy:

Nr. $\frac{134}{2616}$ Nr.—D. 126.

SUMMIS AUSPICIIS

Augustissimi Potentissimi Imperatoris totius Rossiae
Regis Poloniae
etc etc etc
NICOLAI Imi

SIGISMUNDUS KRASIŃSKI

Oeconomiae Politicae studiosus

exhibito testimonio Maturitatis numero civium Universitatis Liter. Regiae Varsaviensis, qui annum secundum studiorum in Ordine Jureconsulto inchoaturi sunt, adscriptus est...

Varsaviae d. 20 mensis septembris anno millesimo octingentesimo vigesimo octavo.

Adalbertus Ansel: Szweykowski
Rector

L. S.

Recognitum a rectore magnifico
$\frac{3}{1}$ 29 *Mroczinski*

Na luźnym arkuszu wydano następujące świadectwo:

P. Zygmunt Krasiński na examinie rocznym z Fizyki okazał postęp dostateczny. *Skrodzki.*

(Według urzędowego programu: »Nauki obowiązkowe dla uczęszczających na prawo i administracyą« obejmowały w roku pierwszym: 1. Religiją. 2. Historyją powszechną. 3. Starożytności Rzymskie. 4. Fizykę. 5. Chemiją stosowaną. 6. Leśnictwo).

NIEZNANE FRAGMENTY I LISTY ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

I.

Fragment, który tu ogłaszamy, nie da się bliżej co do czasu określić. Format papieru 20·3×13·2 cm.; znak wodny: HONIG. Papier szorstkawy, zmięty, składany w czworo. Pismo najwięcej zbliżone do listu Z. Krasińskiego, pisanego z Warszawy do X. Chiariniego, na krótko przed wyjazdem do Szwajcaryi, a więc we wrześniu lub październiku 1829 r. — I treść Fragmentu najwięcej przemawia za rokiem 1829. — Wprawdzie jedno zdanie z rozdziałku 14-go („Ostatni raz się wzbiłeś niedawno itd.“) zdaje się przemawiać za datą r. 1831-go; ale cały nastrój i styl odnieść można tylko do czasu przedrewolucyjnego. Bardzo ciekawą ze względu na wczesną datę jest odezwa do Matki Boskiej, zapowiedź daleka późniejszej wspaniałej apostrofy z Psalmu Dobrej Woli.

Fragment z r. 1829.

[a] 11.

Gdzieżescie o znaki zwyciężkie, sztandary gromem zwycięstwa rażące. Wasz blask odbiiał się o słońce chwały i zwycięstw, wasza iasność zlewała się w ognistych falach na ziemię Polską, w żarzących się sławą strumieniach. Zniknęły wasze promienie, nie oświecaią one więcey serc biiących dla oyczyzny.

Piersi u nas z miedzi, a serce z lodu.

* Niewola zmroziła nam duszę, zdrętwiał nasz umysł więzami. Poniżenie udziałem naszem. Smierć szczęściem, życie męczarnią — kaydany nas krępuią i nadzieia miła iak róża skropiona iutrzenki łezką nie zawita do naszego serca.

12

* Miecz ordzawiał. Zbroia nietknięta gnusnieie. Chorągwie w kurzawie leżą. Trąba woyny nie zagrzmi, słychać tylko chrzęst kaydan które nas krępuią. Jęki i płacze rozległy się po naszey ziemi. Łzą gorzką ią skrapiamy. Nie kwitną iuż na niey laury. Róża więdnieie, a łono dziewicy, na którym leżeć miała nie biie iuż dla kochanka. Nieszczęście wrzuciło nas w przepaść niedoli — nie wolno płakać głośno, łzę naszą pokrywać musiemy, słowa głęboko w piersiach zawierać. Ale łza *[b]* toczy się w naszym oku, słowa wybuchaią z piersi — ogień zemsty wre w naszym sercu, gniew rumieni nam lica, rozpacz włada umysłem — Lód pęka przed promieńmi słońca. Pryskaią więzy przed ogniem wolności —

13

Do broni, do broni — za miecze, za dzidy. Na koń bracia, na koń — śmierć, rzeź, spustoszenie — zagłada wrogów — Długą była niewola — Sen był długi, ale Lew się obudził, otworzył oczy, wstrząsł grzywę, ogień bucha w iego oczach, ryczy, drżą nieprzyiaciele — otwiera paszczę — iuż po nich, tratuie po ich ciałach. Polsko, Polsko, powstań, złam iarzmo. Niech pękną okowy. Długo ięczyłaś (!) — ale nadszedł czas, nadeszła chwila.

Pierzchną syny lodu — pierzchną —

14

Czemu miły snie, miło (!) maro kołysasz móy umysł tak mile — To wszystko marzenia — wznoszę się do nieba, unoszę się nad ziemią, chce stargać pęta, ale zawsze spadam na

* Zmiana atramentu i pióra.

ziemię, i zawsze w okowach. Skrzydła ieszcze mi nie przyrosły do boków, ieszcze piórka mnie nie unoszą. — Mylisz się nieszczęśliwy, złamane, skruszone twe skrzydła, nigdy nie odrosną. Ostatni raz się wzbiłeś niedawno, ale było to ostatnie wysilenie. Utraciłeś wszystko, nawet nadzieię. — O Boże ieżeli iuż straciliśmy nadzieię, ieżeli iuż na nas nie chcesz swego zwracać oka, iesli iuż twa *[c]* ręka wszechmocna piorunami wrogów nie zdruzgoce i wiecznie mamy płakać w okowach, zeszliy lepiey smierć i zagładę na nasze głowy. Zetrzyiy (!) z ziemi imie Polskie. Śladu niechay nie zostanie iego spodlenia i iego niewoli. Zgińmy, bo życie nasze gorsze od śmierci. Znosim urazy i krzywdy, upadamy pod ciężarem obelg, gniew twóy ogarnął nas, rozciągnąłeś nad nami mściwą rękę — Ale o ty Królowo niebios i Polski, ty która panuiesz naszym sercom, ubłagay Pana piorunu. Winnismy nasze zwycięstwa tobie. Dawniey sprzyiałaś Lechitom. Czcili cię, iak matkę, kochałaś ich iak synów, ale czas twey miłości znikł, opuściłaś i wydałaś nas wrogom. O wróć nam twe serce. Imie twe wielkie. Wieniec z gwiazd nieśmiertelnych wieńczy twe skronie. Wiosna usmiecha się na twych licach. Pod nogami twemi rozlewaią się strumienie iasności i światła. Ogień słońc tysiącznych toczy się u twey stopy. Panuiesz całemu światu, czyż iednę tylko odrzuciłaś Polskę? —

15

Nadzieia iest naymilszą. Wzrok iey spokoyny, łegodne weyrzenie, lica iaśnieią boską światłoscią, na skroniach wieniec z tęczy uwity, szata iey kwiatem *[d]* spleciona. Skrzydła utrzymuią ią na powietrzu, bo nigdy się ziemi nie dotknie, ziemi Polskiey.

16

* Miiaią i dnie i lata. Lód kuie pęta wodom. Słońce wraca ie wolności, ale nasza niewola ciągle w cieniu, żadnem nieoświecona słońcem — Nieszczęście napełnia życie nasze. Radości nie znamy*. Zdaie się człowiek na to rodzić, by wy-

* Zdania między gwiazdkami pisane były ołówkiem, dziś bardzo starte i ledwie czytelne.

chylał aż do ostatniey puhar nieszczęścia kropli. Przy samem wschodzie życia płacz zalega twarz iego, łzy nieprzestannie snuią się po powiekach — Ale iuż wzrasta. Siła młodości następuie po słabości — Ray mu się zdaie stać otworem. Szczęście zdaie się ulatywać około niego — Miłość iest darem nieba, naduzyta (!) piekła — Piekła co niszczy uciechy, wysusza swym ogniem łzy radości -- Całe nasze życie piekłem — Fale ognia unoszą nas — ogień nas pożera i trawi — Wieniec na naszych więdnieie skroniach. Młodość — życie ulatuie, a ieśli chwila uciechy, chwila roskoszy ie nam uprzyiemniła, za to tysiąc chwil wtrącaią nas w otchłań nieszczęścia —

Wszystko się łączy przeciwko nas — Czas bystro płynie — Unosi z sobą siły, młodość, gasniemy — śmierć nas porywa — gdzie? w te gwiazdy złote, w te ogniste słońca! Nie! Gdzie? w te chmury białawe? nie! Gdzie? Do Boga, do wolności. Pryska świat i kaydany.

II.

Synteza.

Utwór pod powyższym tytułem dochował się nie w oryginale, tylko w kopii, dokonanej nieznanem nam pismem, a poświadczonej kilku wyrazami własnoręcznego pisma Poety. „Synteza“ skopiowana jest na dwóch dużego formatu arkuszach papieru grubego, gładkiego, białego, bez jakiegokolwiek znaku wodnego lub fabrycznego. Format 31×19·8 cm. — Kopia zrobiona „pagina fracta“. Na początku u samej góry pierwszej strony napisane ręką Zygm. Krasińskiego: Synteza — Na marginesie z lewej strony także ręką poety: na pamiątkę Z. K. Ponad tem u samej góry napisała nieznana mi ręka: „Zygmunta Krasińskiego“. W drugiej linii: „1832. 25 lutego“. — W trzeciej: „w Peterzburgu“. Te dwa wyrazy obwiedzione linijką.

Tekst „Syntezy“ kopiowany był nie zawsze doktadnie; kilka wyrazów poprawił potem sam Krasiński. I tak: kopista odczytał źle z autografu „pragnie“. Poeta poprawił na „poymie“; kopisty ‚cierpcie‘ poeta poprawił na ‚cierpiec‘, ‚kiedy‘

na ‚kędy', ‚Pocieszajcie' na ‚Puszczajcie'. Po wyrazach: „kiedyś zniknie" wpisał poeta opuszczone przez kopistę: „jako wy znikniecie". — Mylnie zanotował tu ktoś rok 1832; powinno być 1833. Być może, że pomyłka powstała z niezrozumienia słów poety; natomiast data „25 Lutego" dokładnie stosuje się do pobytu petersburskiego poety w r. 1833. — Pismo Z. Krasińskiego w wyrazach „Synteza" i „na pamiątkę" jest zmienione chorobą, trochę drżące; odniósłbym je do lat ostatnich jego życia.

S y n t e z a —

[a] Ostatni raz się zwarli — a komu pobłogosławiło szczęście, ten legł przeszyty kulą, zrzucony pod końskie kopyta.

»Dla tych, którzy się zostali — zaczęło się długie męczeństwo; krwawa praca bez sławy, cierpienie bez nadziei — jedni po drugich stąpią do grobu, a po sobie zostawią milczenie. Za te ich boleści, za tę niepamięć o nich, ich potomki będą sławni i szczęśliwi.

»W tej ciężkiej pokucie za winy Ojców, czyż wielu dotrzyma na drodze pokuty? — niejedno serce rozniemoże się w ciężkim żalu i zapragnie wesela. — A więc popiół z czoła otrząsną i na piersiach rozedrą włosiennicę i miasto jej ubiorą się w drogie szaty i klękną przed obliczem ziemskiej piękności lub ziemskiej potęgi — a taki bałwochwalca niech przeklętym będzie!« —

[b] »A ten, ktory dotrwa, nie usłyszy nigdy odgłosu trąb i wrzawy bratniego zapału — ani pieśni lubej i tkliwej — ani słowa dobrego i zwiędnie przed czasem — Droga jego wytknięta na ziemi mogił i krzyżów — wszystko, co dla innych jest roskoszą i świętością, świętokradztwem dla niego — ani poymie niewiasty i wprowadzi w dom ojca, ani się dziatkami otoczy przy domowem ognisku. Lecz raz porzuciwszy strzechę musi dalej stąpać w udręczeniu i nędzy, bez przyjaciela, bez odpoczynku. Chyba że w ostatnich chwilach gdzie na błoniu jałowem znajdzie kamień, na którym głowę złożyć i skonać. Takim jak on, nawet marzyć nie wolno: bo od dnia,

w którym się poświęcili, weszli do państwa Ducha; ich ciała są tylko marnem złudzeniem«.

[c] »Idźcie więc cierpieć jak olbrzymy, a jako dzieci przerzucać w dłoniach ziarnka piasku przez całe życie — z tych może kiedyś zrosną się bryły, a jeszcze później opoka się wzniesie. Ale ci którzy zasiądą na niej i stamtąd będą rozkazywać światu, waszych imion nie będą umieli wymówić — ciemność jest matką waszą i będzie grobem waszym«. —

»A zatem słońce zostawcie za sobą — im mniej jego promieni, tem pewniejszy znak, że tu wasza droga. — Gmin, bohatery, którzy iaśnieją i są nieśmiertelni na ziemi — wybrani świata, którzy jaśnieją i są szczęśliwi na ziemi biegną zwykle, kędy woła ich światło i łudzą błękity — zawady idą w proch przed niemi — a kiedy spojrzą w górę, mówią: patrzcie, tam jest gwiazda nasza! Puszczajcie ich mimo siebie i nie patrzcie na ich *[d]* chwałę, bo ona kiedyś zniknie, jako wy znikniecie, jedno, że trochę dłużej, gdyby pył wielkiego wiatru latać będzie przed oczyma ludzi; ale idźcie w przeciwną stronę i nie odwracajcie głowy«.

»Nim zacznie się pielgrzymka, nim się usta zawrą, nim pełni sił i drżący namiejętnością umrzemy dla świata, raz jeszcze wznieśmy pieśń pożegnania ku tym, którzy żyją i których znaliśmy kiedyś: —

»Róże moje, dzieci Edenu, zostawiam was opiece Aniołów — niegdyś po tych ścieżkach przechadzałem się, a wyście były szczęściem mojem. Teraz wąż przyczołgał się do mnie, spiął się aż do piersi i w samem sercu zaszczepił jad poświęcenia. Wam nie umniejszy się połysków i rosy dlatego, że od was odchodzę na wieki — bądźcie mi piękne i świeże, wieczną oddychajcie *[e]* wiosną, ja o was zapomnieć muszę i odtąd karmić się jadem, jakem dawniej się karmił waszemi woniami«. —

Wszyscy, którzy tam stali, słuchali brata i słowa jego powtarzali chórem. Teraz pielgrzymy rozejść się mają, każden w osobną stronę, by się już nie spotkać więcej. Lecz jeden

z nich czy mniej cierpliwy, czy bardziej udręczony, bolem dał znak, że mówić chce i zatrzymał ich. —

»I ja nim zginę dla świata, nim powiem duszy mojej: milcz nieboga na zawsze, — ostatnią wolę moją wyrzec, ostatnie słowo moje wam opowiedzieć chcę — posłuchajcie brata, który jako wy umiera i pieśń jego powtarzajcie za nim!« —

»Biada tym, którzy panuią! biada Olbrzymom złości i szyderstwa — podstawa ich błoto — gmach *[f]* ich kurzawa — biada im, że mnie odepchnęli od bitej drogi, którą stąpa ród człowieczy i przymusili iść po ścieżkach, kędym obtoczon jest ciemnością! To, co innym narodom życie dawa, niechaj im przyniesie zagubę. Cień, który pada z drzewa wiadomości, owionie ich szaleństwem. Wolność stanie pomiędzy nami jako widmo krwią zbroczone i przechadzać się będzie wśród łuny pożarów, a po jej przejściu ród ich niech przepada; język niech zatracon będzie. Ale niech sława o nich żyje w późne wieki, — niech powieść o zbrodniach, podłości i ucisku będzie nagrobkiem tego plemienia; iżby go ludzie potomni czytając, przeklinali po wszystkie dnie swoje aż do końca świata!« —

Wszyscy, którzy tam byli, słuchali brata i pieśń jego powtarzali — a potem jest ich rozejście i każden udał się w stronę powołania swego. —

III.

List do Stanisława Krasińskiego.

Piękny ten list, pisany w pamiętnym roku 1831, przechował się w posiadaniu córki Stanisława hr. Krasińskiego, księżnej Maciejowej Radziwiłłowej. List przesłany był drogą prywatną, złożony w malutki format z adresem: „W ręce Stanisława Krasińskiego“. Papier listu żółtawy, chropowaty, cienki, bez znaków wodnych; format 12·5×10·5 cm. Składam tu serdeczne podziękowanie księciu Maciejowi Radziwiłłowi za pozwolenie wydrukowania tego listu; otrzymałem go już po wydrukowaniu pierwszego tomu.

[a] Drogi Stasiu!

Ten list zastanie cię na łożu gdzie cierpisz za Polskę — Z dumą, żem ci krewnym, czytałem w gazetach, żeś wpadaiąc na kara-batalion moskali dostał ranę ciężką — Jeśli móy głos ieszcze waży coś dla ciebie, iesliś nie zapomniał ieszcze o tym, który obiecał cię kochać i nosić zawsze twóy pierścień, przyim moie życzenia i bądź pewny, że ile razy wymawiam twe imię, głośniey ono brzmi w moich ustach nad insze -- Ty ieden teraz iesteś Krasińskim — Gdzież reszta świetnosci naszey się podziała — ale niech nasze imie *[b]* przepadnie, byleby Polska była -- Choć może są mocne pozory na mnie, choć teraz gniię daleko od Polski, choć niezadługo może hańba nadciągnie i zawisnie nad moią głową, wierzay, iż serce Zygmunta iest polskiem i takiem być nie przestanie aż do ostatniey chwili — Proszę Boga codziennie, byś wyzdrowiał — kochay mnie iesli ieszcze tego kochać możesz, który siedzi w Genewie, kiedy iego bracia konaią — Wierzay, iesli ieszcze zechcesz mi wierzyć, że potężna musi być zawada na moiey drodze, kiedy dotąd ani iey odsunąć ani przeskoczyć nie zdołałem — Bądź mi zdrowym Stasiu — Bądź mi zdrowym — może Bóg mnie pobłogosławi tyle, że niedługo przy twoim boku zawołam *[c]* »Hura i śmierć Moskalom«. Żegnam Cię — kocham cię i wielbię twe męstwo.

Genewa
1831
13. czerwca

Zyg. Krasinski.

[d] W ręce
Stanisława Krasińskiego

IV.

Z listów do Pani Bobrowej.

Treść listów francuskich do pani Bobrowej podałem w tekście w stosownych miejscach. Tutaj umieszczam tylko kilka wyjątków dłuższych, aby dać wyobrażenie o stylu i nastroju tej korespondencyi. Pisownia oryginału zachowana.

1.

(Z listu z d. 9. XII. 1834, z Rzymu).

»Rome osa tout demander au ciel — l'empire des corps et l'empire des âmes — puis vint un jour ou elle se trouva gisante entre des ronces et des serpens, foulée par l'étranger, par le soldat, par le voyageur, accablée par ses propres souvenirs et rendue de fatigue — aujourd'hui elle se meurt aux beaux rayons du soleil — elle se meure enveloppée du bleu de son ciel — sur chacune de ses pierres est écrit: »sans espérance«. —

..vous rappellez-vous de cette petite table, de ce Shakespire noir et vieux, de ce magnifique monologue d'Hamlet que je Vous traduisais et dont vous aviez réussit à prononcer si correctement les premieres lignes —

To be or not to be that is the question!

J'ai lu bien de différentes choses, mais jamais je n'ai rien trouvé dans ce monde qui égale pour moi la force irresistible, la puissance magique de ce vers — aussi vous savez combien je l'aime et comme je le repète souvent — dix fois par jour il est sur mes lèvres ou dans ma pensée — c'est comme un anneau magique qui se serait entortillé autour de mon coeur, c'est comme un ami que je retrouverai à certains momens, c'est comme un souvenir quelquefois, puis de nouveau c'est comme une espérance — Il m'arrive de le prononce en rêvant — de vouloir dire quelque chose, quand je suis éveillé et au lieu d'elle de commencer: To be or not etc. C'est bizarre que ces quelques mots aient tellement lié mon âme. —

2.

15 Mai 1835 — Florence

Il y a bien longtemps que je n'ai été assez heureux pour recevoir de vos nouvelles. Je suis à Florence. L'état de mes yeux m'a forcé de quitter Naples. Je suis là où j'étais il y a un an à pareille époque. Tout est vert et tout fleurit —. la nuit les mouches brillent et il me semble entendre le galop de Votre cheval.

Je vais de plus en plus mal — Danielewicz me conduit par

le bras, les yeux fermés, dans les rues. Ce n'est que le soir que je peux regarder et alors je ne sais quels signes fantastiques je crois decouvrir dans les nuages; ce sont comme des morceaux de crêpe, comme de vertes immortelles qui voltigeraient autour de moi. Et ces signes, je les sens, je ne les comprends pas — *[b]* oh! si ce n'était que de moqueuses illusions — si le ciel se riait de ma vue affaiblie en peuplant les airs de phantômes —

Comment va votre santé? Avez-vous reçue les quelques fleurs que je me suis permis de vous envoyer pour le 7 de maie? Théodore est il arrivé? Je voudrai qu'il me donne des nouvelles du pays — il a dû faire froid pendant l'hiver! Alexandre Pot. est ici — Je suis arrivé avec lui de Rome par le bateau à vapeur — il s'est pris de passion pour des bagues à talisman — c'est horrible que toutes ces bagues — nous sommes très bien ensemble — Je désirerais savoir si la Nieboska vous est parvenue — moi je l'ai reçue — Je voudrai savoir cet enfant qui vous a plû un jour (je crois que c'était à Wisbaden) [*c*] reposant sur Votre table — J'ai reçue une lettre de Paris où on me dit que personne ne connait le nom de l'auteur i że z naywiększym entuziazmem od Mickiewicza, Goreckiego i w ogólności od wszystkich była przyięta — Ce qu'il y a de parfait c'est que mon correspondant ne sait pas plus qu'un autre qui l'a écrit et il me prit de l'apprendre si je le peux. Je vous prie ne le dites à personne. Eh! que me font toutes ces jouissances d'amour propre — J'ai désiré la gloire — mais la gloire et rien d'autre, qu'est-ce sur cette terre? Un pain sec, mouillé de sueur —

Je passe de longues journées à penser et mes pensées sont comme un voile de crêpe. Il y a ici des cypres dont la vue me font (!) de bien; quel sera mon avenir je ne peux le dire — Je sais que plusieurs fois dans ma vie j'ai eu l'âme brisée; adieu, madame — Si j'avais auprès de moi un enfant comme Mimi, je crois que je pourrai me faire enfant pour lui, tant j'ai besoin d'aimer quelque chose dans ce monde froid, indifférent et étroit. — Dites-moi quelques mots sur Votre santé — Sig. Krasiński.

[*Wzdłuż stronicy c*]: mon adresse à Florence est Fenci banq.
[*d*] A Madame Madame de Bobr par Munich à Dresde confié aux soins de Mr Bassanges, banq.

Wizerunki Pani Bobrowej podałem według miniatur, wykonanych w Dreźnie przez miniaturzystkę Emilię de Loqueyssie (ur. w Dreźnie 1787 r.). Portret duży, będący własnością hrabianki Nat. Potockiej, jest nieviadomego pędzla.

(str. 401 „*Czy pomnisz jeszcze na dożów kanale*“). P. L. Méyet w artykule *Do Niej* (Bibl. Warsz. 1896, III, 492) mylnie podaje datę tego wiersza na 30 września; w autografie zapewne jest: »3⁰«, co odczytano jako »30«. Tylko data 3⁰ września 1835 r. zgadza się z ówczesnemi kolejami życia poety.

WYKAZ NAZWISK.

Adam Ch. II: 421.
Aleksander I: 5, 6, 10, 11, 12, 22, 23, 39, 65—68.
Alfieri 112.
Ampère J. J. II: 265.
Ankwiczówna Ewa H. 183, 185, 195, 207, 211, 229, 271. II: 168, 184.
Antoniewicz Jan B. 91, 93, 106, 109, 352.
Askenazy 333.
Athenaeus II: 273.

Ballanche I: 318, 322. II: 26, 28, 53, 257, 421.
Balzac 254, 286. 314. II. 30, 414, 418.
Bandke prof. prawa polsk. 61, 77, 336, 341, 342.
Barraut E. II: 88.
Barzykowski 221.
Batory, król Stefan II: 293, 297.
Bazard I: 253, 254, 321. II: 83—88, 92, 93.
Beaufort d'Hautpoul 338.
Bentkowski prof. 61, 349.
Bernadotte, książę Pontecorvo 39.
Bernatowicz 147, 353.
Berry, książę 66.
Bestużew 68.
Biegeleisen H. II: 422, 423.
Bieliński Piotr, prezes sądu sejm. 68, 69, 76, 77,
Bieliński Józef Dr. XIV, 341, II: 426, 427.
Bielski Marcin 34.
Binet 253.
Biron, ks. 138.
Blanchard P. 336.
Bobrowa Joanna z Morzkowskich II: 159—163, 174, 175, 178, 188, 199—203, 208, 239, 240, 306, 310, 315, 317, 327, 337, 338, 340—344, 347, 354, 356—358, 360, 362, 363, 368, 371, 381, 388, 390, 391, 401, 409, 423.
Bóbr Teodor II: 159, 160, 170.
Boissier 176, 188.
Bonstetten 122, 127, 158, 167, 195, 201.
Booth II: 421.
Bourienne 148.
Brodziński K. 55, 61, 79, 80, 146, 178, 343, 344, 348.
Bronikowski 147, 223.
Budziszewski 264.
Bulwer II: 306,
Burdett, ob. Willan.
Byron 109, 112, 113, 121, 143, 147, 157, 254, 380, 417. II: 9, 12, 15, 22, 36, 152, 153, 218, 269, 270, 275, 313.

Campbell 147.
Candolle A. P. de; 122, 132, 142.
Capefigue II: 316.
Carignan, księżniczka Marya II: 3.
Carignan Karol, książę II: 3.
Carnot H. II: 93, 108.
Carré Honor. 79, 80, 348,
Charléty II: 421.
Chateaubriand 242. II: 30, 272—276, 413.
Chaussarde II: 269.
Chiarini L., ksiądz 49, 52, 141, 339, 340, 357. 358. II: 429.
Chlebowski Alex II: 427.
Chlebowski Bron. II: 234.
Chlebowski Piotr 33—35, 37, 39, 40, 43, 45, 48.
Chlustine Anastazya 143, 195, 240, 242, 353.
Chłopicki 221, 224.
Chmielowski P. 355.
Chodźko L. 173, 175, 339, 354.
Chopin Mik. II: 427.
Cieszkowski August XII: 54, 193, 340
Comte Aug. II: 81.
Constant Benjamin 65.
Cousin Victor I: 322. II: 20, 26.
Crévier II: 269.
Crue de; 352.
Czacki Aleksander 45.
Czacki Tadeusz 14, 17. II: 306.
Czartoryski, książę Adam 6, 9, 10, 11, 12, 19, 23, 66, 223, 224, 334.
Czech Józef 336.
Czernyszew 357.
Czyżewski biskup 336.

Damiron II: 28.
Danielewicz Konstanty IX: 63, 75, 77, 78. II: 38—40, 56, 57, 64, 154, 156, 165, 168, 184, 206-208, 317. 326, 330, 335, 337, 339, 340, 345—347, 353—355, 357, 366.
Dante 255, 286. II: 418.
Danton 286, 313.
Dąmbski Jul. 63.
Deckert J. II: 427.
Delahaye, bona Zygmunta 30, 37, 38, 54.
Delavigne II: 302.
Diderot II: 36.
Dio Cassius II: 266, 273.
Długosz II: 376, 379.
Dmochowski Fr. S. 55, 61, 93, 145, 146. II: 177.
Dobrowolski J. II: 427.
Drogosław II: 269, 270.
Duchesne 253.
Dupan Ferdynand 138
Dziama L. M. II: 422
Dziekoński II: 427.
Dzwonkowski 67.

Eichtal G. d' II: 84, 108.
Enfantin I: 253, 321. II: 82—84, 90, 92, 93, 94, 95, 96. 98, 112, 420.
Engelke prof, 61.
Eschylos II: 418,

Faguet E. II: 114, 421, 422.
Falkowski 334, 336
Faure 156.
Feliński 112. 146 II: 295
Ferrière de II: 268, 274.
Fourier II: 92, 421.
Foy, jenerał 65
Franciszek I, cesarz 361.
Frayssinous 61, 341.
Fredro Aleksander 61, 62, 146.
Frithjof II: 323.

Gagarin 247
Garczyński Stefan II: 312, 313, 389.
Gaszyński Konst. 55, 57, 58. 74, 77, 94, 95, 146, 147, 150, 155, 162, 171, 178, 181, 197, 298, 325, 328. 350, 351, 358. 359 II: 171, 312, 315, 350, 422.

Genlis 338.
Gessner II: 31, 417.
Gibbon II: 271.
Giedroyć, książę II: 320.
Girardot 340, 363.
Goethe II: 25, 36, 218, 225, 235, 236, 270, 313, 323.
Görres II: 152, 209.
Gołębiowski II: 306, 329.
Gorecki Antoni II: 190. 438.
Górnicki 318, 319 II: 306.
Gottschied 337.
Goyau G. II: 420.
Grabowski 357.
Grzymała Fr. 224.
Guerrolt 337.

Hahn W. II: 268, 272, 274, 276.
Handley Hill. E. II: 5, 25.
Hartmann II: 323.
Hauke, jenerał, minister 67.
Hegel II: 94, 209, 359.
Heine II: 87.
Herder II: 87, 188, 220.
Herodianus II: 273
Hohenlohe książę 138.
Hołowczyc, arcybiskup 336.
Homer 39, 45, 112. II: 295, 325.
Hösick F. 338. II: 423.
Hubert L. 352.
Hugo Wiktor 254, 322. II: 30, 54, 413.

Irving Washington 147, 150.

Jaeger, Dr. II: 5.
Jakubowski 122, 127, 180, 199, 237, 240–241, 255, 319, 329.
Janet P. II: 421.
Janin J. II: 415, 418.
Januszewski T. II: 367.
Jaroszyński Edward II: 159, 299, 365, 368
Jasiński Wład. II: 427.
Jaźwiński 255.
Jean Paul II: 323–325, 329, 395, 398.
Jezierski 279, 280, 308.
Johannot J. 360.
Junker 337.

Kadłubek II: 378.
Kalderon 286
Kalinka, ksiądz 73, 341.
Karpiński 145.
Karski, szpieg 67.
Keppler II: 33.
Klaczko II: 131, 132, 137—139, 231, 422.
Kniaziewicz 254.
Kniaźnin 145.
Kochanowski Jan 145 II: 280, 295.
Kochanowski Piotr 318, 319.
Koncewicz L. II.: 427.
Konstanty, W. książę, brat Aleksandra I. 11, 23, 65, 68, 69, 220, 221, 357.
Kopczyński 336.
Korotyński Wł. 340.
Korzeniowski Józęf 30–33.
Korzeniowski Józef Dr. XIV.
Korzon Tad. II: 381.
Kościuszko 19.
Kosicki M. W. 341.
Kotzebue, ajent rosyjsk i66, 341.
Kowalski 146
Koźmian Ant. Edw. 36, 41, 56, 60, 76, 81, 335, 339—341.
Koźmian Kajetan 25, 50, 55, 70–72, 81, 146, 335, 341.
Krasicki Ignacy 145. II: 153, 173, 295
Krasińska Antonina z Czackich, babka Zygmunta 8, 14, 17—20, 61, 362. 363
Krasińska Franciszka II: 3
Krasińska Marya, matka Zygmunta 3, 20, 21, 26—28, 35, 336 II: 180, 191, 348.
Krasiński, biskup Adam, 14, 233

Krasiński Adam, wnuk Zygmunta IX, X, XIV; II: 141—144.
Krasiński Henryk II: 319.
Krasiński Jan, starosta opinogórski 14, 15—17, 23—27, 334.
Krasiński Józef 130, 179, 334, 352
Krasiński Ludwik, kasztelan ciechanowski 14.
Krasiński Michał 14.
Krasiński Stanisław 14, 125.
Krasiński Waleryan 59, 351.
Krasiński Wincenty, jenerał, XV, 3, 8, 9, 10, 13, 14, 15—26, 31—33, 35, 36, 37, 39—43, 55, 56, 69—77, 122, 206, 207, 217, 221—224, 226, 227, 231, 233, 238, 242, 248, 326, 334, 339, 342, 354, 361, 363. II: 50, 153, 162, 193, 211, 216, 287, 309, 319, 322, 323, 331, 336, 343, 344, 355, 363—366, 386, 393, 400, 423.
Kraushar Alex. 335
Krzyżanowski J. C. II: 427.
Krzyżanowski, podpułkownik 67—69, 71, 72.
Kunat, prof. 61.
Kurnatowski 221, 222, 225.
Kurpiński 336.
Kuszel 269.

La Bruyère 112.
Lacretelle II: 92.
Lafontaine 337.
Lamarque 313, 314.
Lamartine 92, 93. II: 55, 417.
Lamennais F. de: 211, 212, 271, 322. II: 55, 150, 167.
Lampridius II: 273.
Leach 150.
Leduchowski Jan 264.
Lelewel, 119, 146.
Lenartowicz T. II: 282.
Lerminier 322.
Leroux P. II: 90, 93
Lewocki O. II: 427.
Linde S. B. 48, 339; II: 427.
Liszt II: 87.
Lombard A. 127.
Loqueyssie II: 439.
Lubecki, książę, minister 66, 68, 70, 357
Lubomirska z Krasińskich 14.
Lubomirska, księżna, ciotka Zygm. Kr. II: 157.
Lubomirska z Potockich M. XV.
Lubowidzki 357.
Lucian 39.

Łubieński Leon 63, 77, 79, 80, 111, 167, 227, 254, 286, 287—289, 308, 344, 346, 347, 349.
Łukasiński 67, 68.

Machnicki 123.
Maciejowski W. A. II: 334, 379, 427.
Magnuszewski D. 63.
Małachowski Stan., marszałek sejmu czteroletniego 18, 28. II: 306, 401.
Małachowski Stanisław II: 17, 35, 396.
Małecki Antoni II: 229—231, 252, 253, 278.
Manugiewicz, biskup 336.
Marcinkowski (Jaxa) II: 418.
Marx K. II: 97.
Melmoth-Mathurin II: 41.
Méyet L. II: 401, 439.
Miączyński Aleksander 63.
Michaut G. II: 420.
Michelet I: 318. II: 54, 55, 210, 306.
Mickiewicz Adam 54, 59, 84, 92, 93, 112. 146, 184, 175, 181—190, 192, 195—198, 201, 207, 210—212, 217, 220, 228, 229, 237, 240, 241, 245, 261, 270, 271. 274, 275, 322, 351. II: 22, 31, 32, 54, 90, 119—122, 126, 134, 137, 163, 172—

173, 190, 237, 264, 268, 273, 306, 312, 313, 323, 402, 418, 421.
Mierosławski L. II: 328.
Mikołaj I. 63, 68—70, 279, 356—357, 361. II: 35, 288, 289, 309, 397.
Milberg, jenerał 363, II: 419.
Mill Stuart J. II: 90.
Miodoński A., II: 269.
Mirabeau 286.
Mirecki 175.
Mochnacki M, 223. II: 177.
Montalembert Ch. de II: 150.
Moore 143, 147, 162. II: 419.
Morawski Fr., jenerał 55, 119, 146. II: 30, 413.
Mroczyński II: 428.
Müller, hist. szwajc. II: 306, 329.
Murawiew, dekabr. 68.
Musset II: 380.

Napoleon 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 19, 20, 22, 23, 61, 67, 178, 237, 326, 333, 341, 361. II: 306.
Narbut II: 334, 379.
Naruszewicz 105, 145. II: 294, 376, 378, 379.
Nehring W. II: 266.
Nesselrode hr. 356, 357.
Newton II: 33.
Nibelungi II: 323, 325, 329, 376, 380.
Nicolini II: 302.
Niemcewicz J. U. 4, 6, 7, 55, 59, 71, 86. 106, 112, 145, 333, 336. II: 42.
Niemojewscy, bracia 6[illegible].
Nodier Ch. II: 64, 415.
Novalis II: 323, 329, 359.
Nowosilcow 66, 68.

Odyniec A. E. 55, 56, 112, 119, 120, 146, 181—189, 191, 192, 195, 197, 199, 200, 354. II: 206.
Oken II: 303, 306, 323, 330.
Orpiszewski L. 341.
Osiński L. 55, 77, 119, 146, 348, 349. II: 177, 355.
Ostrowski, biskup 336.

Pacławski II: 427.
Pasek J. Chr. II: 327, 329.
Paskiewicz Eryw. 357.
Pestel 68.
Pictet-Galiffe 133.
Pini Tadeusz IX; II: 270, 271, 272, 276, 379, 423, 424.
Platon II: 20.
Poniatowski, książę Józef 5, 2.
Potocka z Komarów Delfina XII; 47. II: 425.
Potocka Natalia hr. XV.
Potocki Adam hr. II: 36, 396.
Potocki Mieczysław 63.
Prądzyński, pułkownik 67.
Priessnitz II: 320, 330.
Procida II: 302, 306.
Przygodzki Jan 339.

Quinet Edg. II: 28, 55, 268.

Radziwiłł Dominik II: 392—4.
Radziwiłłówna Stefania II: 391, 393.
Rautenstrauch 357.
Reeve Henryk IX. XII: 128, 150, 154, 155, 166, 175—178, 180, 181, 195, 200, 206, 211, 215, 219, 220, 227—229, 237, 239, 240, 243, 244—248, 251—254, 256—258, 270, 280, 283—289, 292, 299—302, 304, 314, 320—327, 329, 352, 354, 358, II: 4, 9, 28, 51, 56, 88, 94, 212, 215, 334, 341, 352, 355, 419, 420.
Reichenbach, hr. II: 323.
Reiter M. 94, 99, 351, 352, 353.
Renard G. II: 116.
Reuttowicz Fr. Dr. 334.
Revilliod L. 127. 135.
Reybaud II: 421.

Richter ob. Jean-Paul.
Rigaud-Saladin 152.
Rodriguez II: 84, 94.
Roget Fr. 140, 158, 173, 176, 177, 184, 200, 354.
Rolle (Dr. Antoni J.) 334. II: 423.
Ropelewski St. II: 312, 423, 424.
Rossi 122, 138, 139, 141, 184. II: 234.
Rousseau J. I. 177.
Rybczyński II: 355.
Rzewuska Kaliksta II: 157.

Saint-Simon II: 81, 334, 421.
Sainte-Beuve II: 90, 420, 421.
Sand Georges-II: 319.
Sapieżanka, księżniczka Anna 29, 30.
Sarbiewski 145.
Sautter Konst. 175, 292, 321, 324.
Sauvan Dr. II: 157, 322, 326, 333, 339.
Say J.-B. II: 81,
Schelling II: 26, 55, 152, 303.
Scherer II: 421.
Schiller 93. II: 330.
Schlegel 157, 256.
Schmitt Henr. 334, 341.
Schubert II: 303.
Scott (Walter) 59, 60, 83, 101, 103, 112, 113, 121, 148, 163, 362. II: 360, 419.
Ségur hr. 61.
Shelley 188, 191.
Siebert II: 427.
Siemieński L. I: 340, 351. II: 268.
Sismondi de Simonde I. K. L. 122, 353. II: 329.
Skarga P. 145, 318, 319. II: 306, 329.
Skrodzki II: 428.
Skrzynecki 256.
Słowacki Juliusz II: 261, 271. II: 160, 311—314, 318, 367, 401.
Smith Adam II: 81.
Sobański Artur 320.
Sobieski, król Jan, II: 297.
Sofokles II: 386, 425.
Sołtan Adam XI, II: 299.
Sniadecki Jan 146.
Soulié II: 416.
Southey 147.
Spinoza II: 417.
Sroczyński Jak. II: 427.
Stanisław August, król 16, 17.
Stein L. v. II: 421.
Strauss D. II: 303.
Strogonow 357.
Strzelecki 210.
Sue E. II: 415, 418.
Suworow 356.
Swierczewski 352.
Szaniawski, ks. prof. 61.
Szekspir 92, 93, 112, 150, 254, 286. II: 189, 227, 277, 306, 313, 329, 418.
Szembek 221, 222.
Szujski J. II: 290.
Szweykowski, ksiądz 345, 348, 350. II: 428.
Szymanowski 145.
Szyrma 221.
Szyszko, ks. dziekan 38.

Tarnowski Stanisław I, IX, XI, 334, 336, 340. II. 17, 139—141, 203, 205, 232, 240—242, 250, 251, 264, 279—281, 341, 363, 373, 385, 387, 396, 399, 421.
Tasso II: 417.
Tennyson II: 419.
Thierry Aug. II: 81.
Tocqueville Aleksy II: 353.
Tomaszewski D. B. 112.
Torlonia A. II: 328.
Towiański A. II: 421.
Trembecki 92, 145.
Tretiak J. 59, 341.

Ulrych L. II: 136, 229.
Umiński, jenerał 67.

Vico II: 87.
Virey II: 329.
Vogüé M. de 97.
Voltaire 30, 286. II: 417.

Waga Ant. II: 427.
Waille 336.
Warschauer II: 421.
Way 166.
Weber (kompozytor) 50.
Weill E. II: 420, 421.
Werner Z. II: 274.
Węgierski, ks. 336.
Wężyk 146.
Wilczek, adj. jen. Krasińskiego 12, 13, 23.
Willan Henryka 131, 149, 155, 156, 159, 160, 166, 168, 170, 172, 177, 181, 185, 190, 196, 206, 207, 212, 242, 251, 282, 283, 292, 300, 301, 304, 306, 322. II: 8, 20, 29, 38, 155, 3 4, 419.
Witte 357.
Wittgenstein Ludw. ks. II: 392, 393.
Witwicki Stefan 55. II: 312.
Wolski Zygmunt 338.
Wołowski Ludwik 62, 63.
Woronicz. arcyb. 72, 146.
Wyleżyński, kap. 363.
Zajączek, jenerał 4, 5, 22.
Zaleski B. 146. II: 274, 312.
Załuska Amelia XV, 53, 54, 56, 57, 113, 141, 159, 361, 363 II: 8 10, 17, 18, 20, 357.
Załuski Roman 68, 69, 319, 329. II: 212.
Zamoyski August 138, 140, 200, 219, 220, 228, 252. II: 6.
Zamoyski Stanisław, prezes Senatu 23.
Zamoyski Wład. 221, 356, 357.
Zyc 67.
Zychliński 334, 339.
Żyrosław 356.

BIBLIOTEKA NARODOWA

BIBLIOTEKA NAUKOWA WDP
78587/1.